PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK SZESNASTY. — TOM LXI.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1899.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1899.

Errata:

Str. 144, wiersz od dołu 13, zamiast: »ministów«, ma być: »ministrów«.
Str. 145, wiersz od góry 13, zamiast: »bezkarność«, ma być: »bezradność«.

WSTĘP DO STUDYUM

O „ŚWIĘTYCH OBCOWANIU".

Ideą poniekąd panującą w drugiej połowie naszego wieku była myśl ewolucyi. Wyłoniwszy się w jednej szczegółowej gałęzi wiedzy, rozszerzyła się ona powoli, z odpowiedniemi odmianami, na cały świat nauki. Już nietylko botanik i zoolog zajmują się powstawaniem gatunków, ale nawet anatom rzucił skalpel i bada mikroskopem historyę tworzenia się komórki; a nawet teolog zaczął się szczególnie interesować ewolucyą dogmatu, i on bada jakby pod szkiełkiem embryony organów pierwotnego Kościoła. Ze sfery nauki, jak to bywa, idea ewolucyi przeszła w sferę życiową, ciągnąc za sobą teorye walki o byt, konieczności zagłady słabszych, z któremi związaną była w oderwanej nauce — i z tem otoczeniem odezwała się aż w polityce.

Idea ta jeszcze nie dokonała swego obiegu, wiek XIX. jeszcze się nie skończył, a już widać kiełkującą nową przewodnią ideę, która prawdopodobnie będzie panowała w wieku XX. Idea solidarności ludzi występuje na widownię, wypierając stary liberalizm, który tylko o jednostkach myślał; owłada nietylko uczelnie, ale i wiece i nawet parlamenty; wyłomy czyni coraz większe we wrogich sobie dotąd ustawodawstwach; płodzi coraz liczniejsze społeczne instytucye, związki, korporacye, syndykaty, marzy o wskrzeszeniu pogrzebanych cechów. Socyalizm przyczynia się w pewnej mierze do krzewienia tej idei, ale się ludzi,

gdy się uważa za jej twórcę. Ona przecież i tam silnie kiełkuje, gdzie protekcya socyalizmu tylko szkodzićby mogła, jak w sferach życia katolickiego; i nawet w pogodnych sferach czystej myśli, dokąd wrzawy ulicy i klubu nie dochodzą, ona — jak wnet zobaczymy — umysły zaprząta. Socyalizm jest tylko skrajnym wyskokiem tej szerokiej idei, która dziś przez wszystkie pory ludzkości zaczyna się przeciskać — a tkwiła w niej zawsze.

Ot, obok akcyi socyalistycznej, występuje we wszystkich niemal krajach akcya chrześcijańskiego socyalizmu, czyli, jak się dziś pięknie nazwał: katolicyzmu socyalnego. We Francyi pokazał drogę założyciel Katolickich Kółek robotniczych, hr. de Mun; dziś przodują w tym ruchu bracia Harmel, Goyau, kard. Langénieux, księża Lemire i Guérau; w Belgii, Woeste, prezes Katolickich Kółek, A. Verhaegen, prezes belgijskiej ligi demokratycznej, biskup Doutreloux, ks. Pottier; we Włoszech prof. Toniolo, hr. Paganuzzi, kard. Ferrari, ks. Albertario; w Niemczech posłowie Trimborn, Groeber, księża Hitze, Huber, Eckhard i t. d.— Dokąd zmierza ten ruch? Co chcą ci ludzie? Czy przykroić socyalizm do takiej miary, żeby mógł się wcisnąć do Kościoła — jak się niektórym z daleka patrzącym wydaje? Nie, oni idą w kierunku wręcz odwrotnym: z idei religijnej, czysto chrześcijańskiej, idą do czynu, który z daleka chyba akcyę socyalistyczną przypomina. Oni chcą wydobyć z religii Chrystusowej tkwiący w niej pierwiastek społeczny i wprowadzić go usiłują w życie. Przypominają sobie, że katolicyzm nie jest łącznią odosobnionej duszy z Bogiem, ale łącznią solidarną ludzi, jako braci, z Ojcem Niebieskim; że więc wymaga, by wszyscy łącznie, z braterską życzliwością i szanowaniem się braterskiem, starali się o to, co jest wszystkim potrzebne, o co się łącznie w Pacierzu modlimy: o królestwo niebieskie i chleb powszedni.

Jeżeli wolno jednem słowem charakteryzować tak skomplikowane ruchy, powiedziałbym, że z trzech haseł przez wielką rewolucyę z ewangelii porwanych i rzuconych w świat — wolności, równości i braterstwa — tylko pierwsze zostało przez nią wprowadzone w życie; a następstwa okazały się niebawem fatalne — może właśnie dlatego, że ten czynnik wystąpił w odosobnieniu. —

Socyaliści znów jęli realizować drugie hasło: równość. Raziła ich ta straszna nierówność między biesiadnikami przy uczcie życia, nierówność, której rozkiełzana przez rewolucyę wolność nie zniosła, owszem spotęgowała ją może. Szukają więc takiego ustroju społeczeństwa, któryby wszystkich po równi obdzielił pracą i używaniem. Mówią wprawdzie czasem i o braterstwie — któż o niem od czasu ogłoszenia ewangelii nie mówi? — ale żadnego znaczenia do tego słowa nie przywiązują, żadnej nie wkładają do niego treści. Jeżeli kiedy socyaliści opanują świat — to będzie wielka równość, nawet robotnik, pracowitszy od drugich, głowy ponad strychulec nie wystawi; ale wolność będzie należała do historyi, a braterstwo do snów. — Dopiero katolicka akcya socyalna podejmuje naprawdę trzecie hasło: braterstwo. I oni jedni to zrobić mogą, bo jedynie wiara w ojcowstwo Boga daje sens braterstwu ludzi — a wiara w Syna Bożego, który się z nami zbratał, potęguje ten sens ogromnie. Prawda to stara jak chrystyanizm, ale wobec nowych zupełnie warunków ekonomicznych i społecznych i po peryodzie względnego jej przyciemnienia w pamięci ludzi, należało się, żeby ta prawda była w nowy sposób i z nowym zapałem podjęta. I dlatego Sternik Kościoła, którego encyklika *Rerum novarum* dała temu ruchowi początek, po dziś dzień mu widocznie sprzyja.

Tak się zaznacza dzisiaj idea solidarności w dziedzinie czynu i życia; ale i w sferze nauki dziwnie się ona szerzy W socyologii, w ekonomii politycznej, tej niezdobytej, jak się zdawało, twierdzy manchesterskich doktryn, dziś już nie policzy się jej zwolenników. W Niemczech powiedzieć można, że wszyscy wybitni socyologowie i ekonomiści, nietylko katolicy, jak Hertling, Hitze, Vogelsang i jego szkoła, ale i inni, jak Schäffle, Wagner, Schmoller, Conrad, Schönberg, odwracają się od dawnych indywidualistycznych teoryj i szukają w solidarności wszystkich obywateli, nowych dla pomyślności społeczeństw podstaw. We Francyi tą samą drogą idzie Gide i jego szkoła w Montpéllier; we Włoszech Loria, Luigi Cossa i inni; w Anglii Rogiers, Cleffe, Leslie; w Rosyi wszczyna ten sam kierunek uczony Worońców; nawet w Ameryce, owej ziemi obieca-

nej liberalizmu, już Harvardski uniwersytet w swym *Kwartalniku ekonomicznym* za nową walczy doktryną.

Socyologia ma jeszcze choć spekulatywny związek z walkami życiowemi; ale i takie nauki, które wcale tego związku nie mają, znajdują się jakoś, na końcu tego wieku, pod wpływem idei solidarności. Psychologia, która dotąd tylko jednostką się interesowała, zaczyna się troszczyć o zbiorowość. Fouillée bada „psychologię narodu francuskiego"[1], Le Bon „psychologię rozwoju narodów"[2], Roberty „duszę społeczną"[3], Baldwin „psychologię społecznej organizacyi"[4], Bosanquet „psychologię postępu społecznego"[5], Robinson „psychologię ludów w stanie natury"[6], Belgijczyk Tardieu i wielu innych badają szczególną psychologię różnych stanów społecznych i t. d.[7] — Podobnie i kryminologia filozoficzna, już nie poprzestaje na studyowaniu zbrodni pojedynczej, ale zajmuje się zbrodnią zbiorową, jako taką. We Włoszech, Scipio Sieghele pisze sławne dzieło „o zbrodniczości tłumu"[8]; we Francyi Tarde „o tłumach i sektach pod względem zbrodniczości"[9]; u nas tę samą rzecz, ale z innego stanowiska, podejmuje Br. Loziński[10].

Historya jeszcze przed innemi naukami dokonała tej zmiany oryentacyi. Wyrzuca ona sobie, że dawniej dbała tylko o czyny monarchów i ministrów, o to, co się na samem wierzchu społeczeństw działo; dzisiaj zaś troskliwem okiem przeniknąć usiłuje głąb społeczeństwa, bada, jak różne warstwy, aż do najniższych, żyły, jak pracowały, co myślały i czuły, i w pracy ich łącznej — niby w pracy tych drobniuchnych okrzemek, które

[1] Alfred Fouillée, *Psychologie du peuple français.*
[2] Le Bon, *Psychologie des foules.*
[3] M. de Roberty, *Le psychisme social.*
[4] Baldwin, *The Psychology of social organisation.* 1897.
[5] Bosanquet, *The Psychology of social progress.* 1897.
[6] Robinson, *Die Psychologie der Naturvölker.* 1896.
[7] Tardieu, *Psychologie militaire.* 1898.
[8] Sieghele (w przekł. franc.), *La criminalité des foules.*
[9] Tarde, *Foules et sectes du point de vue criminel. Revue des deux mondes.* 1893.
[10] Dr. Bronisław Loziński, „Tłum". Szkic socyologiczny. 1895.

wśród oceanu budują lądy — chętnie upatruje przyczyny najważniejszych wypadków dziejowych. Ten zwrot historyi jest tak notoryczny, że nazwisk przytaczać nie warto. — Ba! nawet w literaturze pięknej pewne przenikanie idei solidarności czuć się daje. Czemże jest to współczucie, ta litość, ta „sympatya powszechna". która jest, może nie najpowszechniejszą, ale pewnie najgłębszą nutą w dzisiejszej literackiej twórczości, która wyjednała tak wielki wpływ powieści rosyjskiej — czemże jest, jeżeli nie odruchem serca na ideę solidarności, mglisto uświadomioną?... A sama estetyka, w czystym eterze piękna szybująca, czy nic dzisiaj z wpływu tej idei nie odczuwa? Otóż dziś właśnie pojawia się teorya, według której zadaniem sztuki nie jest wcale tworzenie piękna, jeno udzielanie społeczeństwu takich uczuć, które je mogą uszczęśliwić, za pomocą form, w których się te uczucia krystalizują [1]. Teorya ta, jak wszystko, co dziś z umysłu Lwa Tolstoja się rodzi, jest przeholowana, przesadza prawdę. Ale charakterystyczną jest rzeczą, że właśnie na zakończenie tego wieku występuje takie pojęcie estetyki, pod piórem, nie jakiegoś obskurnego teoretyka, lecz artysty i myśliciela, który dziś do najbardziej wpływowych należy.

Nakoniec właściwa filozofia, uogólniając kwestyę, zajęła się tem, co jest wszystkim innym solidarnościom wspólne, solidarnością moralną między ludźmi. Już Karol Secrétan w różnych swoich dziełach kładł na nią nacisk [2]. Renouvier określił ją dobrze i nazwał właściwem imieniem [3]. Wreszcie H. Marion, w znakomitem dziele p. t. „Solidarność moralna", rzecz tę w całej jej szerokości objął. Nad tą książką niech nam będzie wolno trochę się zastanowić, bo jest ona pewnego rodzaju wprowadzeniem do naszego przedmiotu.

Autor uznaje, że człowiek jest pod wpływem przeszłości, czyli solidarny z minionemi pokoleniami, przez fizyologiczną

---

1 Comte Léon Tolstoi, *Qu'est-ce que l'art?* 1898.

2 Secrétan, *Philosophie de la liberté.* 2 partie, p. 460—470.

3 Renouvier, *Essais de critique generale.* 4-e *Essai.* Także w miesięczniku *La Critique Philosophique,* zwłaszcza w 4-tym roczniku.

4 H. Marion, *De la solidaritaté morale.* 4 édition. 1896.

dziedziczności; ale konstatuje, że obok dziedziczności, i daleko więcej od niej, wpływa na jego postępowanie środowisko moralne, które go otacza, a które jest także po wielkiej części wytworem przeszłych pokoleń. Wpływ ten moralnego środowiska, czyli moralne oddziaływanie jednych ludzi na drugich, jest w tej książce przedmiotem szczegółowej i gruntownej analizy. Wykazuje się najprzód, że podstawowym tego wpływu postulatem jest zawsze jakaś sympatya. Niezgody, czyny przeciwne sympatyi między ludźmi, więcej może nam wpadają w oczy, właśnie dlatego, że są wyjątkami z normy; lecz normalnym stanem, normalnie panującą siłą jest sympatya — inaczej społeczeństwo ludzkie nie egzystowałoby, podobnie jak w świecie materyi, gdyby grawitacya powszechna nie panowała nad odśrodkowemi pędami, nie byłoby świata.

Ta zaś sympatya różne przybiera kształty: ma formy wyszczególnione ku małej liczbie osób, skoncentrowane, i zarazem intenzywne — i ma też formy na ogół rozlane, a słabe. Do pierwszych należy miłość, która zawiązuje małżeństwo i rodzinę wytwarza; należy przyjaźń, która podobnych sobie dobiera i silnie, jak wiadomo, zespala; należy też ten podziw, jaki zdobywają sobie w swem otoczeniu jednostki wybitniejsze pod jakimkolwiek względem, moralnym czy rozumowym czy fizycznym, i za pomocą którego wpływ, daleko nieraz sięgający, wywierają. W każdej z tych form sympatyi wykrywa autor rozmaite a potężne sposoby, jakiemi jedni ludzie na drugich moralnie oddziaływują, nie wyjąwszy tych, co podrzędne w owych związkach zajmują miejsce: nietylko człowiek podziwiany wpływa ogromnie na swych wielbicieli, lecz i ci trochę wpływu na niego wywierają — jak słońce wodzi swoje planety, ale też pod ich wpływem trochę swą drogę odmienia. Wszystkie te oddziaływania i w moralnie złym i w moralnie dobrym kierunku idą. Słusznie jednak sądzi i dowodzi autor, że mimo pozorów przeciwnych oddziaływanie dodatnie ogółem przewyższa złe.

Jeszcze subtelniej analizuje on następnie sympatyę powszechną czyli rozlaną. Jest ona słabą, krzyżuje się co chwila z objawami antypatyi; jednak istnieje, zbliża i grupuje ludzi

w społeczeństwa, a przez uspołecznienie jeszcze się wzmaga. Jednym z jej objawów jest popęd naśladowczy, popęd który silnie występuje u dzieci, u idyotów, u histeryków; u ludzi zaś pełnię umysłowości posiadających nie zanika, lecz schodzi na drugi plan, poza wolną wolę. Przykłady dobre lub złe suggestyonują nas, wtedy zwłaszcza skutecznie, kiedy jesteśmy do dobrego lub do złego skłonni. — Pokrewną z tym instynktem naśladowczym, ale różną od niego jest pewna zaraźliwość uczuć między ludźmi, która działa odruchowo, bezwiednie, a dopiero w sferze świadomości opanować się daje. Że stany uczuciowe, zwłaszcza namiętne, udzielają się w pewnych okolicznościach dziwnie prędko, i przez to udzielanie się potęgują się aż do strasznej siły — raz pchają żołnierzy na bohaterską śmierć, drugi raz pędzą tłum uliczny do potwornych zbrodni — jest to rzecz znana, badana dziś naukowo; ale pamiętać trzeba, że i poza temi skrajnemi objawami, ten sam czynnik zaraźliwości uczuć stale w społeczeństwie działa. Wszelkie uczucia, nawet na scenie i w dziełach sztuki przedstawione, a tem bardziej rzeczywiste i żywe, udzielają się w jakimś stopniu otoczeniu. Uczucia zaś te, choć nie są jeszcze czynami moralnie dobremi lub złemi, są jednak bodźcami do nich.

Skuteczniej jeszcze, bo wszechstronniej, choć nie tak żywo, oddziaływa ogół na jednostkę przez opinię i przez obyczaj. Opinia — tj. suma sądów moralnych, czyli zdań o tem co dobre i złe, wygłaszanych w społeczeństwie — wpływa na nas silnie, bo instynktem naśladowczym pragniemy wogóle dostroić się do zdań drugich ludzi. Wpływ ten, jak wiadomo, bywa bardzo zgubny; wybitne a przewrotne jednostki przykładem lub sofistyką swoją zdołają nieraz sąd moralny szerokich warstw wypaczyć. Ale częściej jeszcze ten wpływ jest korzystny; trzyma on jako tako ludzi w ryzach, jednostkom zwłaszcza słabszym nie daje spaść niżej pewnego poziomu. Zmienność opinii, przysłowiowa, jest tylko po wierzchu, odnośnie do szczegółów; w głębi opinia ma zawsze coś względnie stałego w swych sądach — skąd, po dłuższym ciągu pokoleń, wyrabia się obyczaj *(la coutume)*, tj. nawyknienie społeczeństwa do pewnych moralnych sądów,

wyrażające się zwykle pewnemi ustalonemi praktykami. Ten obyczaj, pod którego wpływem już dziecko rośnie, do którego młodzieniec naginać się musi, a którego, starzejąc się, sam stanie się szermierzem, jest najpotężniejszą dźwignią, jaką ogół moralnie wpływa na jednostkę, i przeszłość solidarną jest z teraźniejszością.

Wobec tej ogromnej masy wpływów, ściskających zewsząd jednostkę, wpływów całego otoczenia i wpływów najdalszej przeszłości, zdawać się może, że odpowiedzialność jej moralna niesłychanie się zmniejsza. — Takby iście było, gdyby nie to, że ten sam człowiek, który tylu wpływom podlega, tyleż odwrotnie wpływów wywiera. Podlega on wpływom otoczenia, bliższego i dalszego — ale i on też postępowaniem swojem i mówieniem wpływa na najbliższych, z którymi go łączy miłość, przyjaźń, wspólne pożycie — i on też bierze udział w wyrobieniu opinii, panującej w kraju, a promieniejącej daleko. Jeżeli pisze, wpływ jego jest tem widoczniejszy; a choć nie pisze, to jednak dokłada swoje do tego zbiornika myśli i czucia, z którego czerpią literaci i gazeciarze i w dal rozsyłają. — Jest on pod wpływem najdalszej przeszłości, częścią przez fizyologiczną dziedziczność, częścią przez wychowanie i ustalone wiekami obyczaje; ale nawzajem on wpływa na przyszłość najdalszą, czasem fizyologicznie, a zawsze moralnie; całem życiem swojem, przykładem dobrym czy złym, zdaniami jakie wypowiada, wszystkiemi sposobami, jakiemi na współczesnych oddziaływuje, przyczynia się do formowania tego moralnego środowiska, które najdalszym przekaże się pokoleniom, i jakiś wpływ na ich moralne postępowanie wywrze.—Wolna wola wśród tego wszystkiego, jak mówi doskonale nasz autor, jest wszędzie i nigdzie. Nigdzie się nie znajduje jako czynnik izolowany, bo na każdym kroku tysiące wpływów na wolę działa i składa się z nią na kierunek postępowania człowieka. Jest wszędzie, bo na każdy z tych wpływów wola po swojemu reaguje: nawet odziedziczonych skłonności możemy przy odpowiednim wysiłku w ten lub ów sposób użyć, tem bardziej tak użyć możemy moralnych podniet. Charakter nasz determinuje do pewnego stopnia nasze postępowanie i ogra-

nicza poniekąd naszą wolność; ale tenże charakter wyrobił się także pod wpływem naszej woli i jej wolnych czynów od najmłodszych lat. Do odpowiedzialności zaś nie potrzeba, żeby wola była w danym czynie izolowaną, wystarczy że wykluczoną nie jest.

Wten sposób odpowiedzialność człowieka wcale nie maleje, jeno się odmienia do połowy — a raczej inną się okazuje, niżby była, gdyby człowiek mógł być odosobniony. Część odpowiedzialności za moje czyny spada istotnie na społeczeństwo, które mię otacza, i na moich przodków, i wogóle na ludzkość w przeszłości — ale też na mnie cięży część odpowiedzialności za moralny stan otaczającego mię dziś społeczeństwa; na mnie przypada cząstka odpowiedzialności za moralny stan ludzkości przyszłych wieków. „Pracuję więc dla przyszłości, mówi nasz filozof, tj. dla przyszłej moralności i przyszłego szczęścia mej rodziny, mego kraju, ludzkości całej, ile razy inicyatywą swoją, jakkolwiek ograniczoną, odmieniam się choć cośkolwiek na lepsze; a przeciwnie ilekroć moralnie upadam, tylekroć rzucam w przyszłość posiew upadków i nieszczęść" [1]. — Cała ludzkość dzisiejsza, krótko mówiąc, jest moralnie solidarna z ludzkością przeszłą i ludzkością przyszłą; każda w niej jednostka, jak ta komórka w organizmie, jest z nią solidarna, wpływu jej moralnego doznaje i na nią wpływa.

Piękny ten i prawdziwy pogląd na moralną solidarność wzięty jest z filozofa, o którym nawet nie wiemy (książka tego nie pokazuje) czy jest katolikiem. Woleliśmy jego zdania przedłożyć, aniżeli omówić tę rzecz po swojemu, ażeby pokazać, że to jeszcze filozofia, rzecz szczeremu rozumowi dostępna. Na podkładzie fizyologicznej solidarności rodu ludzkiego, wznosi się ta moralna solidarność ludzi, której budowę przedstawił nam właśnie filozof. — Ale i ta jest dopiero podścieliskiem jeszcze wyższej, tajemniczej, nadprzyrodzonej a przecież najrealniejszej spójni między duszami, którą Bóg buduje — zwanej u przodków naszej wiary κοινωνία, *communio* — tyle co wspólność, uczestnic-

[1] *De la solidarité morale,* p. 319.

two, współuczestniczenie. A że wszystkich, którzy w tej wspólności uczestniczą, zwano onego czasu świętymi, stąd *communio sanctorum*. To samo znaczenie musiały też mieć polskie wyrazy „świętych obcowanie" w epoce, kiedy Skład Apostolski przyoblekał się w nasz język.

* * *

O tem tajemniczem Świętych Obcowaniu pisać zamierzamy — i wyświecić je, o ile dzisiejsza teologia, przy pomocy innych nauk, pozwoli. Dlaczego? Dlatego, że dzisiejszy ruch umysłów oryentuje się, jak widzieliśmy, ku solidarności; otóż tu jest tej solidarności i jej dążeń kres: tu jej najwyższy cel; trzeba więc ten kres dzisiejszym umysłom wyraźnie wskazać. Dlatego także pisać o tem chcemy, że jest to dogmat chrystyanizmu ważny — szczególnie wewnętrzną stronę Kościoła rozjaśniający — który w świadomości dawnych chrześcijan, jak zobaczymy, żywo świecił: a teraz zdaje się być jakby w półcieniu zostawiony. Katechizmy poprzestają często na stwierdzeniu stosunków między nami a niebem i czyscem przez modlitwy — co jest określeniem tej tajemnicy wcale niewyczerpującem. W teologii, choć tyle dziś wychodzi gruntownych dzieł, tyle monografij znakomitych o pojedynczych zagadnieniach wiary, jednak — do chwili kiedy to piszemy — nie pojawiło się żadne dzieło, któreby o świętych obcowaniu specyalnie i *ex professo* traktowało.

Sięgniemy tedy do najstarszych pomników chrystyanizmu — w nich znajdziemy składniki tej wiary w komunię świętych, i życiowe objawy tej wiary. Zobaczymy, jak już starzy chrześcijanie poczuwają się do pewnej tajemniczej solidarności między sobą, tak ścisłej, że jedni mogą za drugich wysługiwać, zadośćczynić. W duchowem ciele, które tworzą, każdy wpływa realnie na całość a całość na każdego. Zobaczymy, że ta wspólność jest poniekąd selekcyjna: według pewnych praw immanentnych, jednych obejmuje, drugich wyklucza — co się wyraża na zewnątrz przez praktyki „komunikowania" i „ekskomunikowania". Zobaczymy jeszcze dalej, że ta wspólność jest tak głęboka i tak rdzenna,

że śmierć nawet wcale jej nie przerywa. Pójdziemy po szlakach wytycznych grobowcami dawnych chrześcijan, w ślad za ich myślą, z lampką Pisma św. w ręku, aż do różnych miejsc, gdzie przebywają dusze poza światem w tej komunii zostające — do czysca — do nieba. Badać będziemy, jaki jest stan onych dusz, w tych różnych miejscach, jakiej natury wpływ otrzymują i jaki wywierają jedne na drugie.

Następnie, zapuszczając się jeszcze głębiej, aż do fundamentu tej tajemniczej spójni dusz, dojdziemy do tego, że tym fundamentem, korzeniem tej k o m u n i i dusz między sobą, jest ich u n i a z Chrystusem — zjednoczenie z Chrystusem, nietylko moralne, przez to że Chrystus jest przedmiotem ich wiary, ich miłości, ale realne, w tem znaczeniu, że Chrystus niewysłowionym sposobem w nich mieszka i działa — i całe życie nadprzyrodzone tych dusz jest jego życiem — On w nich rośnie — cierpi — zwycięża — jest z niemi najzupełniej solidarny, więcej niż winna macica z latoroślami.

Tak więc stanie przed nami jeden duchowy organizm, ogromny — obejmujący w swej jedności i niebo i czyściec, i aniołów i ludzi, od początku świata do końca — wchłaniający z ziemskiej ludzkości materyał, który przetwarza na swe wyższe życie — aż dorośnie do doskonałej, odwiecznie mu przeznaczonej, miary i piękności.

Ten organizm, jak zobaczymy, to jest Kościół — Kościół wewnętrzny, istotny — dusza Kościoła, której zewnętrzny Kościół, ze swą hierarchią i sakramentami, jest doczesnem ucieleśnieniem i narzędziem.

Z tego syntetycznego punktu widzenia padnie nam szczególne światło na naturę Kościoła i na istotny stosunek tej duszy Kościoła do jego ciała (zupełnie inny, niż był ongi stosunek tej duszy do starej synagogi). Zrozumiemy między innemi rzeczami jasno, dlaczego niemożliwe jest zbawienie poza Kościołem, a dlaczego rozmaite przynależenie do Kościoła jest przecież możliwe. — W temże świetle rozwidnią nam się do pewnego stopnia rożne funkcye tej komunii dusz, któreśmy dotychczas jako fakta konstatowali. Ta spójnia dusz z Chrystusem wytłumaczy nam

możliwość oddziaływania, poprzez światy, jednych dusz na drugie. Badać będziemy różne formy tego oddziaływania: wypraszanie, wpływy zasług i odsług, zadośćuczynienie za drugich i odpusty... Znajdziemy tu klucz do wytłumaczenia dziwnych nieraz zrządzeń Opatrzności w historyi. Poznamy wpływ świętych ukrytych, zakonów bogomyślnych, na dzieje Kościoła i świata. A jeszcze więcej może wytłumaczy się nam z tajemniczych praw rozdawnictwa łask. Dojdziemy do wniosku — aproksymatywnego przynajmniej — iż prawa miłosierdzia tak się dziwnie kojarzą z prawami mądrości i sprawiedliwości, że chociaż Bóg wszelkie łaski na swe stworzenia rozlewa darmo, zarazem jednak nic darmo nie daje: bo chce — i misternym systemem wzajemnych zależności do tego doprowadza — żeby każda i najmniejsza łaska uzyskaną była, nietylko ceną krwi Chrystusowej, ale nadto odpowiednią ilością wysług, wyproszeń, zadośćczynień — bądź owej duszy, której się ta łaska daje, bądź innych dusz, w związku z nią zostających.... Boska Miłość ma w tem najwyższe upodobanie, żeby stworzenia przyczyniały się do tego, co im daje, i żeby wszystkie miłośnie wysługiwały się wszystkim.

W końcu zobaczymy, że głównem czynnikiem tej komunii dusz z Chrystusem i między sobą jest komunia eucharystyczna, na to właśnie założona, aby była tej spójni i symbolem zewnętrznym i przyczyną wewnętrzną i zadatkiem jej trwania aż do wieczności.

Nie taimy sobie, ni czytelnikom, że studyum to jest trudne, a pole jego wysoko jest położone. „Wieczory nad Lemanem" doprowadziły nas tylko do drzwi teologii; teraz przerzucamy się w teologię samą, owszem w to, co jest w teologii najbardziej wewnętrznego, gdzie teologia graniczy z mistyką — bo taką jest rzecz o mieszkaniu Boga w duszy przez dary nadprzyrodzone. Ale też mamy dużo zasobów do pomocy. Co mówiliśmy wyżej: że nie napisano dotąd dzieła specyalnego o Świętych Obcowaniu, to nie znaczy, aby trzeba w tej materyi z niczego tworzyć. Nic się tak nie tworzy w teologii. Z przedmiotu o którym piszemy, pojedyncze zagadnienia i partye po najwięk-

szej części wystudyowane zostały, jak w ciągu tej pracy zobaczymy, przez teologów dzisiejszych; inne przez średniowiecznych. Św. Tomasz jest tu, jak niemal wszędzie, obfitą a klarowną krynicą. Lecz i u Ojców Kościoła dużo jest do wyzbierania drogich pereł, do naszej rzeczy należących. A między Ojcami, wielki doktor łaski, Augustyn św., jest też, jak się przekonamy, mistrzem nauki o komunii dusz, najściślej z nauką o łasce złączonej.

Ale głównem, rozumie się, źródłem — źródłem nigdy niezgłębionem tego dogmatu — jest św. Paweł, który o tej solidarności wiernych między sobą i z Chrystusem, i o jedności mistycznego organizmu, pisze w swych Listach często i z niepoównaną siłą i wyrazistością.

Jakkolwiek to przedmiot teologiczny, traktować go jednak będziemy, jak zwykle czynimy, w sposób przystępny dla wszystkich, którzy ogólne wykształcenie otrzymali. Nie jest prawdą, żeby teologia tylko dla teologów była. Tylko teolog pisać o niej może; ale każdy wykształcony chrześcijanin może jej być słusznie ciekawy, i zrozumieć z niej może wszystko, co mu się w sposób odpowiedni wyłoży. Taki pozytywny umysł, jak Arystoteles, zrobił tę uwagę, że wiadomość choćby tylko prawdopodobna o zagadnieniach wyższych więcej człowieka zadawalnia, niż najpewniejsza wiedza o rzeczach poziomych. O ile bardziej obchodzić może, i umysły i serca pociągać, przedmiot cieszący się w głównych swych zarysach pewnością absolutną — a tak wysoki, że aż do zetknięcia z Bogiem dochodzi — a przytem nie abstrakcyjny, lecz mocno z życiem związany.

Ks. Maryan Morawski.

BRANDES O POLSCE.

Nieraz pragnęliśmy, aby jakiś obcy wędrowiec, umysłem spostrzegawczym obdarzony, skierował swe kroki ku dalekiej śnieżnej Północy, zbliżył się do naszych ognisk życia rodzinnego i społecznego i odczuł tajniki serc naszych i naszego istnienia warunki. Pragnęliśmy tego najpierw ze względu na nas samych. Jak wygląda nasze społeczeństwo dzisiaj, w czem postąpiło naprzód w swojej wiekowej niewoli, a co mu jeszcze do zrobienia pozostaje, zwłaszcza, czy nadzieje, jakie to społeczeństwo żywi, są uzasadnione, czy nie — te i tym podobne pytania pukają do umysłu i serca Polaka niejednokrotnie. Swoi pisali o tem często, ale choćby pisali i najobjektywniej, to w tym wielojęzycznym gwarze politycznych naszych i społecznych stronnictw słowo ich nie zajdzie wszędzie i nie znajdzie powszechnej wiary. Słowo człowieka obcego bywa pod tym względem daleko lepiej przyjęte.

Pragnęliśmy także takiego słowa tak, jak pragnie się dla swego kraju szacunku u zagranicy, lub przynajmniej zainteresowania i sympatyi. Dziś w Europie o Polsce głucho. Nie widzimy dziś już nigdzie tego wielkiego współczucia, jakiem cieszyły się jeszcze poprzednie porozbiorowe pokolenia, kiedy nasze nieszczęścia obchodziły inne narody publiczną żałobą, gdy Polsce w dani składał pieśni Laprade, lub kiedy pisał Wiktor Hugo te znane powszechnie wiersze:

Triste Pologne, helas!...
Les Baskirs ont marché sur ta robe royale.

Dziś Polska wyparta z wielkich placów w zaułki przedmieścia, pozbawiona wszelkiej samoistności, a nawet w dwu dzielnicach z najistotniejszych warunków życia codziennego odarta, niema nawet sposobności po temu, aby zwrócić na siebie szerszą uwagę. Z dniem każdym coraz o nas ciszej i tylko czasem daleki krzyk wydziedziczanych zamąci na chwilę spokój biesiadującym narodom, lub łuna pożogi i krwi męczeńskiej zwróci przelotną ich uwagę na płonącą krawędź wschodniego widnokręgu.

Dlatego też książka o Polsce dzisiaj przez cudzoziemca pisana, jest wypadkiem godnym powszechnej naszej uwagi. Jerzy Brandes, jeden z wybitniejszych literatów Europy, był aż trzy razy nad Wisłą, przeszedł przez udręczenia rosyjskiej granicznej rewizyi i warszawskiej cenzury, bawił jakiś czas we wiejskim polskim dworze i na warszawskich polskich salonach i stykał się dość blizko z niektóremi warstwami warszawskiego towarzystwa. Spisane wrażenia z trzechrazowego tego pobytu w Warszawie wraz z obszerniejszym literackim szkicem o romantycznej naszej poezyi wydał Brandes w osobnem dziele zatytułowanem: „Polska“. Jako środek do przypomnienia Europie, że Polska jeszcze istnieje, książka ta ma niezaprzeczoną wartość i wielką doniosłość. Przedewszystkiem jednak nasuwa się pytanie, jaką jest doniosłość tej książki dla nas? Czy dzisiejszy przewódca tak zwanej „wolnej myśli“, jakim jest Brandes, którego zasady religijne i etyczne stoją w dyametralnej sprzeczności z zasadami rdzennie katolickiego, polskiego społeczeństwa, potrafi duszę tego społeczeństwa zrozumieć, odczuć i trafnie ocenić? A dalej, czy fejletonista, opierający się na pewnej tylko sumie wrażeń i spostrzeżeń, potrafi być dość objektywnym sędzią w sprawie tak trudnej, jak charakterystyka psychologiczna jakiegoś narodu, a tak zawikłanej jak polityczne i społeczne warunki dzisiejszej Polski? Pierwsze zachwyty nad tą książką już mijają, czas zatem, aby oddzielić z niej to, co ma wartość objektywną, od tego, co jest niedokładnością fejletonisty, lub co jest subjektywnem przekonaniem pisarza.

I.

Przechodząc do kilku uwag i refleksyj nad dziełem Brandesa, wysuwamy naprzód tę stronę dzieła, która dyskusyi ulega, zwłaszcza, że o tej stronie, jako najważniejszej, z porządku rzeczy najpierw mówić potrzeba. Jest to społeczno-praktyczna strona kwestyi polskiej. W czem Brandes upatruje niedostatki naszego narodowego charakteru, w czem widzi pierwiastek dodatni, zwłaszcza, jak pojmuje ewolucyę cywilizacyjną Polski teraz i w przyszłości?

Kreśląc charakterystykę dzisiejszej Polski, rozumie Brandes dobrze, że jakaś zmiana w naszym charakterze narodowym wraz z tak olbrzymią zmianą w stosunkach politycznych, jak upadek własnego królestwa, zajść musiała, że więc dusza dzisiejszych pokoleń przedstawiać się musi inaczej od duszy pokoleń poprzednich. Najpierw więc, w jakich rysach jawi się Brandesowi dawniejsza polska dusza?

„W dawniejszych charakterystykach narodu polskiego — pisze Brandes — często spotykamy się z sądem, że na rycerskość i osobistą odwagę Polaków można zawsze liczyć, ale że z wielkodusznością idzie u nich w parze pewna próżność, że z szlachetnością łączy się pewna lekkomyślność, że są oni uparci, skłonni do swarów i kłótni, że własna ich wola, której jednakże zbywa na wytrwałości, jest dla nich najwyższem prawem. Powszechnem jest też mniemanie, że Polacy nie umieją gospodarzyć, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, choćby nie wiem jakie mieli dochody, że przerzucają karty tysiąca książek, ale żadnej gruntownie nie przestudyują, że lubią się rozpraszać i marnują czas oraz swe talenta. Oskarżano ich także, iż zapalając się dla wielkich idei wolności, umieli równocześnie być tyranami dla swych chłopów, że będąc czułymi małżonkami, potrafią równocześnie obok ubóstwianej żony mieć jeszcze i miłostki postronne. Słowem upatrywano w charakterze polskim mięszaninę cech świata zachodniego i Wschodu".

Po tej charakterystyce zadaje sobie Brandes sam pytanie,

które z tych właściwości pod obcem panowaniem rozwinęły się, które zaś się zatarły? Na to pytanie odpowiada na różnych stronicach swej książki, ale tak oględnie każdy zarzut stawia, że zarzuty te nie jest łatwo ścisłej poddać kontroli. Jest w tem kreśleniu naszych ujemnych stron pewna taktyka szczególnego rodzaju. Z jednej strony chce autor być obserwatorem trafnym, krytykiem objektywnym, wszystko, co mu w oczy z naszych ułomności wpadnie, notuje skwapliwie. Ale z drugiej strony rozumie dobrze, że bezwzględna krytyka żadnemu społeczeństwu nie przypadłaby do smaku, a szczególniej społeczeństwu polskiemu byłaby przykrą, które tak jest na każde słowo cudzoziemca wrażliwe. Z tą wrażliwością Brandes rachuje się, najpierw może dlatego, że nie chciał na siebie ściągać niechęci całego narodu, może i z tej przyczyny, że wdzięcznym był za gościnne i serdeczne przyjęcie, ale głównie dlatego — co z tej książki jest widocznem — że dla tego narodu czuł sympatyę. Stąd chce być trafnym, ale i sympatyzującym krytykiem. Każdej obserwacyi Brandesa przyświeca z góry promień serdecznego ciepła; każdy zarzut stawia autor z wielką delikatnością, a postawiony stara się zaraz rozjaśnić odwrotną, szlachetną stroną polskiej duszy. Ucieka się i do forteli stylowych, tu i ówdzie zabawia się nawet w łamigłówkę, by w ten sposób i prawdę powiedzieć i przykrości nikomu nie zrobić.

Jakżeż Brandes charakteryzuje i ocenia duszę dzisiejszej Polski? Zgubilibyśmy się w szczegółach, raczej w ogólnikach, gdybyśmy chcieli streszczać pojedyncze ustępy, mieszczące w sobie obserwacye naszych zalet i usterek. Jak w charakterze jednostki jest jedna podstawowa strona duszy, z której wszystkie jej przymioty i wady wypływają, tak również w zbiorowym charakterze narodu taka strona istnieje. Strona ta jest w dziele Brandesa zaznaczoną, i wskazanie na nią, choć niewyraźne, uważamy za jedną z większych zalet tej książki. Brandes nie mówi wprawdzie nigdzie, że ten rys, o którym zaraz mówić będziemy, uważa za podstawowy, czy z rozmysłu, czy wskutek niezupełnie zdecydowanego pojęcia kładzie go nawet na równi z innemi rysami — jemu jednak najwięcej uwagi poświęca i naj-

większą nań kładzie wagę, a tam, gdzie mimochodem jednem słowem duszę polską szkicuje, tam szkicuje ją tym rysem.

Tym rysem jest „arystokratyczne usposobienie“, rodzaj pewnego wielkopaństwa, jakiś odcień lekkiej duszy, której ideałem zawsze jest, jak mówi autor, być *grand seigneur*. Brandes czuł, że stawiając ten zarzut, mówi społeczeństwu polskiemu bardzo przykrą prawdę i dlatego stara się ją osłonić piękną formą takich wyrażeń, jak: usposobienie arystokratyczne, wielkopańskie, a przeciwne temu usposobieniu zalety, nazywa cnotami mieszczańskiemi. Niemniej jednak mimo tej słodkiej przyprawy, zarzut pozostaje doniosły.

Jako ujemne objawy tego wielkopaństwa wylicza Brandes w jednem miejscu wstręt do liczenia i oszczędzania, do prowadzenia i zdawania rachunków, marnotrawienie czasu i brak miłości do pracy, nawet lekceważenie pracy i klas pracujących. Pod tę kategoryę pańskości podporządkowują się z natury rzeczy i inne ujemne strony charakteru, których autor w swej książce dotyka. A więc brak wytrwałości w pracy, więc próżność i gonienie za wszystkiem, co błyszczy, samowola nielubiąca się do nikogo i do niczego naginać; nawet dyletantyzm — rys, którym autor w jednem miejscu ogólnie naturę polską charakteryzuje — pod to pojęcie podpada. Tak pojęty wielkopański charakter dzisiejszej Polski niczem prawie nie różni się, jak każdy łatwo zauważyć może, od charakterystyki Polski dawniejszej, przytoczonej powyżej z Brandesa.

Suche to wyliczenie ujemnych stron takiego arystokratycznego usposobienia nie przekonywuje jeszcze dostatecznie o ważności tego zarzutu. Nie poprzestaje też na tem wyliczeniu Brandes, ale w różnych miejscach książki we wnętrzną jego naturę wchodzi i maluje, do jakich skutków to usposobienie doprowadza. Zróbmy więc za wskazówkami autora krótką refleksyę nad istotą tej wielkopańskiej natury.

Stawmy sobie przed oczy człowieka, u którego głównym popędem i celem jest wielkopańskie pędzenie życia bez troski, lub, jak Brandes w innem miejscu mówi, „przemienienie życia

na wieczne święto". Jak długo zewnętrzne warunki szczęśliwie się układają, jak długo służą zasoby pieniężne, człowiek taki przedstawiać się może nawet sympatycznie. Ale w życiu bez pracy, bez przezorności rozpada się wszystko, i największe fundusze przy nieoszczędzaniu, przy marnotrawieniu pieniędzy i czasu, zwłaszcza przy wstręcie do pracy, wyczerpują się i nikną. Nieszczęściem właśnie tej wielkopańskiej natury, jest to, że złączone są z nią nierozłącznie najpierw niechęć do pracy, która wtedy nawet nie ustaje, kiedy już bieda zagląda w oczy, a dalej lekkomyślność, goniąca tylko za tem, co nadzwyczajne i błyszczące, a zapominająca na wszystko, co pożyteczne i konieczne, lekkomyślność, która nawet w najkrytyczniejszej chwili ma w pogotowiu szczęśliwe, polskie przysłowie: „Jakoś to będzie". Rezultatem takiego usposobienia jest to, że u natur poziomych wyradza ono oszustwo i inne pokrewne występki, bo pracować się nie chce, a środki do życia są potrzebne, a natury szlachetniejsze wyrzuca to usposobienie z szerszej areny i skazuje na nędzę. Czy nie na tej drodze roztopiło się wiele naszych wielkich posiadłości, czyż zwłaszcza ta wielka nasza wspólna posiadłość, ojczyzna, na tej drodze nie przeszła pod obce rządy. Bezład i ruina w życiu prywatnem, bezład i ruina w życiu społecznem, oto są tego usposobienia następstwa. A kiedy jeszcze w ruinie i nędzy jest się lekkomyślnym, niepracowitym i przytem ma się wielkie pretensye, kiedy nędzarz ma usposobienie wielkopańskie, to już karykatura.

Rozebraliśmy tylko z obsłonek sympatycznej terminologii obserwacye Brandesa. Są one w ten sposób skreślone, że mogłaby nawet powstać jakaś wątpliwość, czy te mieszczańskie cnoty nie są czemś poziomem i płaskiem, a, czy nie jest czemś idealnem, przeciwne im wielkopańskie usposobienie. Brandes wykazuje wadliwość takiego usposobienia głównie z niezgodności jego z obecnym mieszczańskim duchem czasu, czasu niemieckiej roztropności i rosyjskiej siły. Naturalnie, że przeciw tej roztropności i sile nasuwa się wiele zarzutów, bo duch dzisiejszej polityki, jest nietylko poziomy, lecz nawskróś niemoralny — zdaje nam się jednak, że Brandes rozmyślnie z pewnej

delikatności użył tego wadliwego zestawienia, ażeby bezwzględną krytyką nie drażnić polskich uczuć. Jasnem jest przecież, że przezorność, oszczędność, praca mają swoją objektywną wartość i nie muszą koniecznie utożsamiać się z dzisiejszym płaskim utylitaryzmem.

Z drugiej znowu strony „arystokratyczne" takie usposobienie ma dużo stron jasnych i szlachetnych. Podnosi je Brandes i robi z nich nawet świetlane tło swojej charakterystyki, na którem, jakby przelotne cienie zarysowują się pomienione wady. Brandes widzi w polskim charakterze naturę szlachetną, czułą, przystępną dla bezinteresownych uczuć, zdolną do bohaterstwa i poświęcenia. Wszystko to, co Brandes w dzisiejszej duszy polskiej obserwuje i co bezsprzecznie jest jej właściwe — wspaniałomyślna gościnność, takt wrodzony, delikatna wrażliwość, szlachetne uczucia i porywy — wszystko to widocznie są znamiona wyższej, „arystokratycznej" natury. W organizm tak usposobionego człowieka wszczepić tylko kilka kropel przezornej rozwagi i rachowania się z okolicznościami, pewną nadto dozę wytrwałej pracy, a powstałby typ idealny. Bez tych przymiotów charakter taki przydałby się na świąteczną uroczystość, gdzie trzeba przepychu i blasku, lub wielką chwilę, która wymaga bohaterstwa, ale wobec szarego, codziennego życia staje on całkiem bezradny. Zwłaszcza, jeżeli idzie o istnienie i dobrobyt społeczeństwa, gdzie głównie mieszczańskie te cnoty wchodzą w rachubę, to oczywiste, że usposobienie takie nie jest szczęśliwe. Jeszcze jakiś mały procent podobnych ludzi mógłby być na miejscu, ale, jeżeli wszyscy są tacy, a przynajmniej większość, to społeczeństwo to o swej mocy istnieć nie może. Idziemy i w tym wywodzie tylko za słowami Brandesa, który w jakiemś miejscu swej książki twierdzi, że Polak nie jest stworzony do państwowego współżycia, na obywatela państwa.

Czy więc w niczem nie różni się dzisiejsza dusza Polaka, od charakteru dawniejszej epoki? Zauważa Brandes, że zamiłowanie w zewnętrznym blasku, przywiązanie do zaszczytów i błyskotek ustąpiło dzisiaj miejsca głębszemu poczuciu honoru. Na balu w warszawskiej sali ratuszowej na przeszło 500 par

tańczących nie widział krytyk duński, z wyjątkiem trzech oficerów rosyjskich, ani jednego mężczyzny w orderze. Brandes rozumie dobrze wyjątkowy stan Polski rosyjskiej nawet pod względem odznaczeń, ale w tym stanie właśnie upatruje najskuteczniejszy środek do pogłębienia charakteru.

„Może żaden stan — pisze Brandes — nie oddziaływa równie wychowawczo na naród, jak ten stan ucisku, w którym nikt w narodzie znaczny nie przyjmuje żadnych odznaczeń, tytułów ani dekoracyj, w których urzędowy blichtr i zaszczyty uważane bywają jako hańba, a strój politycznego skazańca jako najwyższy zaszczyt. Każde dziecko, przechodząc w Warszawie codzień obok pomnika Paszkiewicza, każde dziecko, spoglądając codzień na obelisk spiżowy, na którym z polecenia rządu imiona zdrajców są na pamiątkę wyryte, przyzwyczaja się od najwcześniejszej młodości do tej myśli, że ci, których mocarze tej ziemi czczą, nie są najlepszymi, a ci, których mocarze prześladują, są najszlachetniejszymi ludźmi. To, co jest istotą chrześcijańskiej religii, prawdziwa ocena czci, bezeceństwa i sprawiedliwości tego świata, rozróżnienie tego, co jest prawdziwie wielkie, od tego, co jest nizkie — to prawdziwe poznanie posiada tu doskonale każdy człowiek, nawet umysł najmierniejszy. Jakaż to szkoła życia!“

Próżność ta jednak nie wygasła całkiem, czemu nawet, w ogólnej przynajmniej zasadzie, dziwić się nie można, bo niema społeczeństwa na świecie, któreby jakiejś próżności narodowej nie miało. Tylko że ta próżność polska, wobec zamknięcia przed nią szerokiej widowni, stała się dzisiaj czasami zanadto małostkową. W tym względzie porozrzucane tu i ówdzie obserwacye Brandesa są bardzo trafne. Jakiekolwiek słowo jakiegoś zagranicznego pisarza o Polsce wywołuje nadmierny zachwyt [1], albo bezgraniczne oburzenie, w miarę tego, czy sympatyczne jest, czy wrogie. Takie samo nadmierne znaczenie przypisuje się u nas dzisiaj wszystkiemu, co pod polską etykietą zyskało sobie za granicą trochę szerszy rozgłos. Nazwisko pol-

[1] W ostatnich dniach doświadczył tego Brandes na sobie samym.

skiego autora, czy aktora, podróżnika, czy prestidigiatora niech tylko pojawi się w kilku zagranicznych dziennikach, zwłaszcza w połączeniu z nie wiele już dziś mówiącą, bo za często szafowaną przydawką „genialny“, a już wita się u nas z zachwytem nowe światło polskiej gloryi, nieraz bez względu na to, czy jest to rzetelne światło, czy błędny ognik tylko. A ten cały szereg małych próżnostek, że polska kuchnia jest znakomitą, że krajobrazy naszej przyrody są pełne wdzięku, że Polacy najlepiej umieją tańczyć, wszystko to Brandes i słusznie i trafnie wytyka. Zwłaszcza bezzasadność tej pretensyi, czy może raczej małostkowości, chcącej się pod cudze nazwisko ukryć, że Polacy są Francuzami Północy, jest w tej książce słusznie podniesioną — i to pod wielu względami na naszą korzyść.

Poza tą zmianą w charakterze na punkcie honoru, która właściwie tylko zaboru rosyjskiego się tyczy, innej ważniejszej Brandes nie widzi. Nie mówi przynajmniej o żadnej ważniejszej ewolucyi, a milczenie takie, wobec tego, że sam sobie z góry pod tym względem pytanie postawił, wziąć trzeba nie za brak odpowiedzi, ale za odpowiedź przeczącą. Zresztą niejednokrotnie pomienione wady, jako po dziś dzień istniejące, wylicza. Wspomnimy tu tylko tę wcale nie wesołą uwagę, że Polak bardziej rządnym się nie stał, chyba pod zaborem pruskim, gdzie ma ciągle przed oczyma przykład niemieckiej pracowitości. Gdzieindziej znowu rzuca ogólne zdanie, że „Polacy pozostali dotąd narodem arystokratycznym“.

Trudno jest Polakowi wydać sąd stanowczy o trafności lub niesłuszności powyższych uwag, bo idzie o własną sprawę. Sądzimy jednak, że w ogólności charakterystyka jest słuszną; zwłaszcza wyrażenie *grand seigneur* zdaje nam się, że sięga do dna polskiego charakteru. Kwestya tylko zachodzić może, czy jest ona w całej swej rozciągłości prawdziwą.

A najpierw, czy Brandes dosyć widział, czy przypatrzył się Polsce na tyle, aby jakikolwiek sąd jego ogólny był dostatecznie uzasadniony? Brandes był w Polsce aż trzy razy, ale był tylko w Polsce rosyjskiej, właściwie tylko w Warszawie i jej okolicy; Galicyę i Wielkopolskę zna tylko z dzienników

i z opowiadania. Stąd relacye o Wielkopolsce ograniczają się tylko do kilku wzmianek o prześladowaniach Bismarka i o polityce pana Kościelskiego, a Galicya figuruje w książce Brandesa jako kraik górzysty, gdzie mieszkańcy mają swój sejm, mówią patryotyczne mowy i śpiewają patryotyczne pieśni. Trochę za mało.

Jakaś znajomość wszystkich trzech dzielnic była konieczną, już choćby ze względu na wytworzenie sobie przybliżonego sądu o charakterze narodowym Polski dzisiejszej. Charakter jakiegoś narodu nie jest martwą liczbą, która w najrozmaitszych kombinacyach tę samą zawsze wartość zachowuje. Jak charakter jednostki, tak i charakter społeczeństwa rozwija się z biegiem czasu i przekształca. Zależnie od tysiącznych okoliczności przybiera on najrozmaitsze odmiany; w ciężkich próbach dziejowych zaostrza się, mężnieje i uszlachetnia, w dostatku i szczęściu opada, a inaczej znowu kształtuje się, gdy przy względnej wolności i swobodzie zażywa średniego dobrobytu. A jeżeli gdzie, to właśnie w trzech naszych dzielnicach taka odmiana politycznych sytuacyj istnieje. Co za tem idzie — Królewiak, nad którym zawsze unosi się widmo Sybiru, będzie miał odmienne pewne strony psychiczne od Wielkopolanina, który przy wolności konstytucyjnej musi staczać z wrogim rządem walkę narodowo-ekonomiczną; inaczej znowu przedstawiać się będzie Polak pod zaborem austryackim, cieszący się względną wolnością i swobodą. Pewne rysy istotne, wynikające z narodowego temperamentu, będą wszystkim trzem dzielnicom wspólne, ale do dokładniejszego poznania tej wspólności trzebaby właśnie przypatrzeć się bliżej terytoryalnym odmianom. Tę trudność czuł sam Brandes i rozwiązuje ją sobie w jakiemś miejscu w ten sposób, że właściwa dusza polska pod zaborem rosyjskim istnieje. Twierdzenie w ustach Brandesa, który dwóch innych zaborów nie zna, zanadto jednostronne, żeby można brać je inaczej, jak zwykły ogólnik.

Wyłączna ta znajomość zaboru rosyjskiego jest pierwszym wielkim błędem „Polski“ Brandesa. Gdyby nie druga część tej książki, poświęcona romantycznej naszej poezyi, która do całe

Polski odnosi się, to najodpowiedniejszym jej tytułem byłaby nie „Polska“, ale „Warszawa“, lub raczej „Warszawskie towarzystwo“. Wszystkie obserwacye Brandesa tyczą się tylko warszawskich stosunków, w najlepszym razie stosunków Polski rosyjskiej. Każdy dobrze rozumie, że pewnych pięknych przymiotów, które Polacy w Rosyi wskutek wyjątkowo trudnego położenia posiadają, w innych dzielnicach trudno byłoby się w tym stopniu doszukać, i na odwrót, że wielu wad, które z tego samego położenia płyną, w Poznańskiem i w Galicyi niema. Kiedy naprzykład mówi Brandes, że najlepsi młodzieńcy polscy są to wyroby zbytkowne, układni, mili, ale niepracujący, to wyrażenie takie, w tej bezwzględnej formie postawione, tyczyć się może chyba tylko zaboru rosyjskiego, gdzie wstęp do publicznej działalności jest dla Polaków zamknięty.

Wskutek też tego ciasnego widnokręgu, jaki widział Brandes, wiele zasadniczych rzeczy jest całkowicie źle pojętych. Brandes był tylko w kilku salonach i w jednem, drugiem kółku literatów i wyniósł wrażenie, że Polskę właściwą jeszcze po dzień dzisiejszy tylko szlachta przedstawia. Gdyby był bliżej przypatrzył się naszym stosunkom, nie byłoby mu trudno zrozumieć, że jak w całej Europie, tak i w Polsce dzisiejszej wytworzyła się tak zwana inteligencya, która bynajmniej nie rekrutuje się wyłącznie ze szlachty, a która dzisiaj właściwe czoło narodu stanowi. O kwestyi ludowej, która nasze społeczeństwo pod wielu względami zaczyna przekształcać tak, że jakiś zarodek nowej Polski w niej się mieści, Brandes zupełnie nic nie wie.

Za tą zmianą społeczną idzie w ślad i jakaś zmiana w samym charakterze Polski dzisiejszej. Trudno jest w samem stadyum rozwijania się społecznego i w obecnym przetwórczym procesie wskazać już pewne określone i skrystalizowane formy wewnętrznego narodowego charakteru, ale nawet ogólny rzut oka na obecne stosunki o takim rozwoju świadczyć może. Co do pracy i przezorności naszej, naprzykład, pisze Brandes, że ilekroć Polak z Niemcem konkurencyę jakąś urządza, tyle razy ulega. Tymczasem w Poznańskiem, gdzie konkurencya ekonomiczna właśnie między Polakiem a Niemcem istnieje, mimo

olbrzymich szans, jakie Niemcy za sobą mają, sprawa wyższości niemieckiej nie przedstawia się znowu tak bardzo pomyślnie. Jasnymi dowodami poparte, a ogólnie na korzyść Polaków wypadające świadectwo znajdujemy w najnowszej pracy „Wielkopolanina“ o walce ekonomiczno-rasowej w Poznańskiem. Zwłaszcza robotnik polski stoi tam o tyle wyżej od robotnika niemieckiego, że nawet na terytoryum niemieckie zwycięsko wkracza.

To samo, co się tyczy zdolności do państwowego życia, zdanie, że Polak i dzisiaj nie jest stworzony na obywatela państwa, w bezwzględnej tej swojej formie ostać się nie może. Zapewne jest w tem zdaniu wiele słuszności; rygoru państwowego i poczucia przynależności do wielkiej społecznej rodziny wraz z pełnieniem obowiązków z tego poczucia płynących, niema u nas i dzisiaj bardzo wiele. Jakaś jednak ewolucya i pod tym względem nastąpiła. Jakiekolwiek są opinie różnych naszych stronnictw o rządach w Galicyi, faktem jest, że w tej Galicyi rządzą się Polacy sami, wszystkie obowiązki krajowe sami pełnią i ostatecznie rządy te do najgorszych znowu nie należą. Duch pańskości w Polsce jeszcze pokutuje i w wielu jeszcze przejawia się formach, ale sam ogólny rzut oka wystarczy, by stwierdzić, iż ujemne strony jego umniejszyły się i nie są dziś już tak rażące, jak były przed wiekiem. Ostatecznie, jak już powyżej zaznaczyliśmy, charakter Polski dzisiejszej nie jest kwestyą, o której możnaby już ostatnie słowo powiedzieć. Najlepszem polem do obserwacyi w tym względzie byłaby ta dzielnica, która największą swobodą się cieszy, gdzie najwięcej jest miejsca dla ewolucyi, a taką jest Galicya. Tymczasem w Galicyi w obecnej chwili odbywa się kryzys społeczna, stadyum niewyraźne i mgliste, czas rozpadania się kształtów starych i tworzenia się nowych mgławic, uniemożliwiający głębszą kontrolę psychologiczną, choćby się nawet statystykę pracy społecznej w ręce wzięło.

Tyle co do charakteru narodowego. Co się ewolucyi społecznej i cywilizacyjnej dzisiejszej Polski tyczy, uwagi Brandesa nie są bez pewnej wartości, choć nie przedstawiają żadnej myśli nowej. Nadto, z wyjątkiem jednego ustępu, w którym pochwala

ugodową politykę pana Kościelskiego w Poznańskiem, tyczą się wszystkie wskazówki głównie stosunków Polski rosyjskiej. Za punkt wyjścia dla swoich rozumowań bierze Brandes narodowość: obrona narodowości jest głównem jego kryteryum dla ocenienia czy dotychczasowych pierwiastków cywilizacyjnych, czy kierunków nowych w Polsce. Wszystko, co tę narodowość podtrzymuje i rozwija, należy zachować i otaczać opieką, wszystko co dąży do jej zagłady, należy usuwać. Z tej zasady wychodząc potępia socyalizm, a nawet potępia u Polaków te kierunki, których przez całe życie był i jest sam najradykalniejszym przedstawicielem — liberalizm i pozytywizm. Dziwnie to w ustach pozytywisty wygląda, kiedy wyznawcom tej samej teoryi robi wyrzut, że swojemi atakami przeciw katolicyzmowi podkopują najsilniejszą twierdzę narodowości przeciw Rosyi. Siłę i znaczenie Kościoła katolickiego dla narodowości polskiej w Rosyi zrozumiał Brandes jasno. Swoją drogą, katolicyzm ma oprócz tej strony utylitarnej swoją wartość bezwzględną, ale tego pozytywista nie pojmie nigdy. Żyłka ta pozytywistyczna i tak przy każdej nadarzonej sposobności przegląda. Z pewną satysfakcyą naprzykład notuje autor, że wiara w wyższych warstwach upada: a nawet u księży, którzy w Rzymie nauki odbyli, jako u wykształceńszych, tenże sam brak wiary przypuszcza. Widać, jak księży katolickich zna!

Stąd i obrona ta katolicyzmu a kondemnata pozytywizmu warszawskiego, mają w ustach Brandesa tylko wartość względną. Katolicyzm uważa Brandes za doktrynę wsteczną, którą, kiedy tylko przeminie grożące niebezpieczeństwo wynarodowienia, można będzie spokojnie odłożyć na bok i rozpocząć „do różnych prądów tegoczesnych przykładać nową i prawdziwą miarę“. Tą prawdziwą miarą, o ile ze słów i z przekonań autora wnioskować można, byłyby liberalizm i pozytywizm. Niestety, jeszcze niebezpieczeństwa narodowości polskiej grożące nie przeminą, kiedy już o liberalizmie i pozytywizmie zaginie pamięć. Już dzisiaj z tych doktryn widnieją tylko strzępy, i bankructwo ich na całej linii już niejednokrotnie w ostatnich czasach skonstatowano.

Strona ta społeczna, dodajmy to na zakończenie, jest mimo niektórych cennych uwag, stroną najsłabszą książki Brandesa. Gdyby nie inne zalety tego dzieła, to nie zwróciłoby ono nawet u nas większej na siebie uwagi. Prócz tej wady, którą wytknęliśmy poprzednio, że twierdzenia tyczące się całej Polski opierają się tylko na znajomości Warszawy, zaznaczyć trzeba i tę drugą, że i ta znajomość opiera się tylko na szeregu przelotnych wrażeń i na pewnej seryi ubocznych, a nie zawsze objektywnych, informacyj. Znajomość Brandesa jest zupełnie wystarczającą pod innym względem, o którym zaraz niżej piszemy, ale nie jest dostateczną do wyrzeczenia ostatniego słowa w kwestyi społecznej natury. Stąd książka ta, pod kątem społecznych obserwacyj uważana, jest to fejleton, o wiele dokładniejszy od szkicu, jaki się pisze o kraju widzianym z okien wagonu, ale znowu nie na tyle dokładny, by posiadał trwalszą, polityczną wartość.

Jest wszakże inna strona tej książki, która zapewni jej u nas pamięć na długie czasy. Strona ta dotyka tragicznego położenia naszej ojczyzny, naszych cierpień i niewoli.

II.

Gdyby trzeba było jednem słowem tę drugą stronę dzieła scharakteryzować, to nazwalibyśmy ją poematem z naszej romantycznej epoki. Tosamo wniknięcie w tragiczność naszego położenia politycznego, tosamo głębokie odczucie wszystkich udręczeń polskiej duszy, tej duszy wymęczonej, na której widnokręgu widnieją cytadela i Sybir. A wszystko to oddane z siłą wyrażenia, z tym urokiem świeżości, jaki płynie z duszy pisarza, spotykającego się oko w oko ze zjawiskiem nowem i niezwyczajnem, oddane wreszcie z tem szczerem uczuciem, które wnika w całą duszę czytającego. Do tej tragedyi, która wciąż w rosyjskich puszczach odgrywa się, myśmy już od dawna nawykli; już przyzwyczailiśmy się czarne wieści stamtąd idące raczej matematycznie rejestrować, niż głęboko odczuwać, nawet u dzisiejszych poetów naszych wieści te nie budzą natchnienia. I stąd książka ta zjawia się dzisiaj jakby jakieś odświeżenie

dawnych wrażeń, jakby cucenie zdrętwiałego uczucia, jakby ostatnie echo naszej wielkiej poezyi, tem donioślejsze, że o duszę cudzoziemca łamiące się.

Brandes stanął na ziemi mogił i krzyżów z czcią i pietyzmem. Rozumiał i uznawał odwieczne prawa tej ziemi do niezależności i swobody, znał jej bohaterską przeszłość, znał z literatury duszę tego narodu, jakby stworzoną do wolności. W miejsce tego przesunęły się przed jego oczyma rogatki granicznej rewizyi i ciągnące warszawskiemi ulicami pułki czerkiesów, biura cenzury i pomniki zdrajcom stawiane. Stanął przed nim jasno cały system represyjny rosyjskiego rządu, który przy każdym społecznym objawie polskiego życia rozstawia czaty:

„Na straży tego ruchliwego — pisze Brandes — to słabiej to silniej tętniącego życia społeczeństwa polskiego stoi rosyjski system ucisku, system ciężki, działający z całym biurokratycznym aparatem a mający karczunek i wytępienie narodowości polskiej na celu. Dąży on nietylko do tego, aby zdusić każdy wolniejszy objaw życia narodowego i nawet literackiego, ale usiłuje wyrwać całą polskość z korzeniem, zgnieść ją w zarodku i wyjałowić jej nasiona. I nie dość na tem. System rosyjski boi się nawet wszystkich tych pyłków polskości, których pełne jest powietrze, które wiatr rozsiewa a rzeka roznosi. Obawia się on wszystkiego, co jako śpiew, płacz lub wesele drga w przestrzeni, jako słowo z ust się zrywa lub barwa miła wzrok czaruje. Na wszystko, choćby najbardziej powietrzne i uduchownione, system ów ma swój zakaz. Na strój narodowy wymyślił on uniform, na śpiew nałożył milczenie, na wesele milczenie, na skargę milczenie, na słowo milczenie, a na wszystko, co tworzy się za granicą i wewnątrz kraju, jest cenzura. Opasał on Polskę murem, który stara się zrobić tak wysokim, ażeby żaden ptak nie mógł ponad nim przelecieć, i tak grubym, ażeby żaden prąd wolniejszy przezeń nie przeniknął".

Rzeczy są to u nas aż nadto znane, a jednak czyta się je w tej książce z wielkiem przejęciem. Przesuwają się te stosunki przed duszą czytającego jak ponure widma, wychylające się z jakiejś dalekiej epoki. Najpierw te dzieci szkolne, w rosyj-

ski uniform przyodziane, którym nie wolno w szkole słowa wymówić po polsku, a w miejsce tego wpaja się w nie od pierwszej młodości przekonanie, że są Rosyanimami. A dalej ten cały szereg ukazów, zamykających Polakom w Rosyi wszelką polityczną karyerę, wszelkie wyższe stanowisko, wszelką wolność myśli i słowa, ograniczających nawet prawo posiadania własności. Nic z tego ucisku i prześladowania nie uszło uwagi Brandesa, począwszy od drobnych policyjnych obostrzeń, a skończywszy na nagłych i niespodziewanych deportacyach na Sybir i rozlewie krwi męczeńskiej w obronie Kościoła i wiary.

To głębsze serce pisarza, które potrafi odczuć wszystkie stopnie i odcienie cierpienia, to dodaje tym rzeczom znanym i po tysiące razy słyszanym nowego uroku i siły. W milczącym wyglądzie Warszawy i w spokojnem obliczu jej mieszkańców czytał autor jedno tylko słowo: „Sybir“, słowo, „które unosi się w warszawskiem powietrzu, które jak straszna zmora ciąży nad miastem, jak groźba czatuje u drzwi każdego mieszkańca, którego ponure wspomnienie można tu wyczytać w obliczu każdego mężczyzny i każdej kobiety“. Poniżej tej dusznej atmosfery, w najskrytszym zakątku rodzin odczuł Duńczyk to gorące serce polskich matek, które pracą cichą a wytrwałą zacierają wszelki ślad rosyjskiej naleciałości i podtrzymują zapał i nadzieję w przyszłość. Dotarł jeszcze dalej do samego wnętrza polskiej duszy. W tej duszy usłyszał najpierw ten smutny rozdźwięk, który już w sercu dziecka, w pierwszych chwilach młodości powstaje, gdy musi ono przechodzić równocześnie dwie szkoły, jedną domową pod okiem matki, a drugą publiczną pod nadzorem państwa, dwie szkoły wprost ze sobą sprzeczne, z których jedna to niszczy, co druga usiłuje wkorzenić. A potem ta wielka walka wewnętrzna w męskiem sercu tocząca się, gdy na każdym kroku widzi się zapory, krępujące wszelką energię i działalność, uniemożliwiające dostęp do jakiegokolwiek wyższego stanowiska. „Wystawmy sobie żywo ów naród — pisze Brandes — rwący się wszystkiemi siłami swej duszy do szerokiego i swobodnego życia publicznego, do otwartej i jawnej działalności, a skazany na półtony życia prywatnego; wystawmy sobie ten naród, który

od czasów Arilda miał jak najprzesadniejsze pojęcie o prawach jednostki wobec państwa, a teraz zmuszony jest wieść żywot bynajmniej nie zabezpieczony od samowoli pierwszego lepszego wyższego urzędnika, z ciągłem widmem Syberyi, niby choroby, która może zaskoczyć człowieka właśnie w chwili, gdy jej najmniej oczekuje!"

Ten cały tragiczny proces wewnętrzny duszy, to ustawiczne przeczenie widomej potędze nieprzyjaciela, ciągłe podtrzymywanie nadziei wbrew wszelkiej ludzkiej nadziei i oczywistości otaczających zdarzeń, zwłaszcza ten cały chorobliwy stan psychiczny, jaki z tej nienaturalnej sytuacyi wynika, — wszystko to skrystalizowało się w tej książce, w słowach wymownych i płynących z serca. Są ustępy, których od cudzoziemca nigdyby się nie oczekiwało. „Polska — pisze autor — przedstawia widok narodu, nietylko na śmierć skazanego, lecz, jak się wyraził Cherbuliez, żywcem pogrzebanego; narodu, który pomimo wszystko ustawicznie podnosi wieko swojej trumny, aby zaświadczyć, że jego siła żywotna bynajmniej jeszcze nie wygasła.

„Naród to, w którym każdy nerw jest napięty, gdyż zawsze, każdego dnia walczyć on musi o swój byt, miasto, żeby go miał używać, jak inne narody używają. Naród polski cały rozpłynął się w swej sprawie narodowej, a ta polska sprawa toć przecie nic innego, jak sprawa ogólno-ludzka, sprawa ludzkości.

„Dlatego Polskę miłuje się nie tak, jak się kocha Niemcy, lub Francyę, lub Anglię — lecz się ją kocha tak, jak się wolność kocha. Bo kochać Polskę wszak to znaczy kochać wolność, mieć sympatyę głęboką dla nieszczęścia, podziwiać odwagę i zapał wojenny!

„Polska jest symbolem, symbolem wszystkiego, co najszlachetniejsi w ludzkości umiłowali i za co walczyli. W Polsce jest wszystko skupione: wszystko i najbardziej godne nienawiści i najwstrętniejsze, i wszystko najpromienistsze i największej godne miłości: tu są przeciwieństwa życia ziemskiego odznaczone jak na płaskorzeźbie: tu jest istota świata jakby w ekstrakcie zawarta".

A przyszłość Polski? Porusza ją Brandes także, ale wobec dzisiejszych stosunków, wobec przemożnej potęgi zaborców i on wzrusza głową i z wielkiej sympatyi tylko, zamyka książkę temi słowy: „Kto wie! Może — mimo wszystko!“. Dorzuca jednak do tej kwestyi bardzo cenną uwagę. „Niezwykłym — pisze — jest widok narodu całego, przejętego takim ideałem, przeciw któremu wszystko się sprzysięgło, narodu, zdającego się walczyć z historyczną koniecznością swego upadku. Dążenia Polaków płyną nietylko z instynktu samozachowawczego, ale wywołane są mniej lub więcej świadomem poczuciem tego, że wraz z każdą niknącą społecznością narodową, posiadającą swój wybitnie indywidualny charakter, życie na ziemi staje się uboższem w treść i mniej wielostronnem. Może te usiłowania są daremne, ale upadku Polski nie można utożsamiać z upadkiem Asyryi lub Egiptu w zamierzchłej starożytności, gdy, biorąc rzecz politycznie, wobec Rosyi i Prus Polska oznacza wolność sprawiedliwość, rozum, t. j. z jej losem związana jest kwestya czy ideały te mają zwyciężyć, czy też uledz, czy militaryzm, czy też wola ludu mieć mają w chwili obecnej ostatnie słowo w dziejach ludzkości. Stanowcza śmierć Polski oznacza w zasadzie upadek wolnościowej kultury w Europie. Po Polsce upadałby jeden wolny i niezależny kraj po drugim“.

A parę słów niżej tak to rozumowanie kończy: „Że zatem całe duchowe życie Polski skupia się dokoła sprawy narodowej, nie jest to rzecz tak marna, jakby się komu zdawać mogło. Historyczny bowiem rozwój stosunków europejskich utożsamił kwestyę polską ze sprawą wolności w dziedzinie praw obywatelskich i w sferze duchowej, z prawem narodów do niepodległego bytu. Polska stopiła się w naszem pojęciu w jedno z nadzieją czy też iluzyą o postępie kulturalnym naszej epoki. Przyszłość Polski łączy się nierozerwalnie z postępem cywilizacyi, a zupełny jej upadek oznaczałby zwycięstwo nowożytnego militarnego barbarzyństwa w Europie“.

Kwestya tylko, czy postęp ten kulturalny stanie się rzeczywistością, czy pozostanie w sferze iluzyj?

Takie są najogólniejsze wrażenia, jakie z tej książki wynieśliśmy. Pominęliśmy wiele szczegółów bardzo ciekawych i charakterystycznych, ale, zdaniem naszem, drugorzędnego znaczenia; pominęliśmy też niejedną usterkę, wymagającą sprostowania, ażeby nie rozpłynąć się zanadto w szczegółach. Nie wspominamy też o drugiej części dzieła, omawiającej naszą romantyczną poezyę, bo ta wymagałaby osobnej rozprawy.

Wyznajemy, że biorąc książkę do ręki, spodziewaliśmy się w niej coś więcej znaleźć. Znaleźliśmy barwne i zajmujące opowiadanie o stosunkach, zajęciach i osobistościach warszawskich często przeplatane sympatycznemi refleksyami autora, ale takie, które na całą Polskę, zwłaszcza na życie nasze społeczne całkowicie prawdziwego światła nie rzuca. Stąd obrachunkiem politycznym naszej ewolucyi książka ta być nie może. Ostatecznie i tak dodatnie znaczenie książki jest niemałe. Dla umysłów naszych nasunąć może ona niejedną trafną uwagę, i serca może rozgrzać, a zagranicy przynajmniej przypomni, że kwestya polska w całej swej doniosłości istnieje.

Ks. Jan Pawelski.

NASZE KÓŁKA ROLNICZE.

Rzut oka na ich stan obecny, potrzeby i zadania.

Liczniejsze niż zwykle publikacye Towarzystwa „Kółek rolniczych“ w r. 1898 pozwalają nam dość dokładnie rozpoznać ich stan obecny, ocenić ich postępy i braki oraz kierunek rozwoju, — słowem zrobić obrachunek, któryby nam — niby dobremu gospodarzowi — dał jasny obraz tego, co się na tem polu zrobiło, oraz co na przyszłość podjąć należy. A to tem bardziej, że przyjęty na ostatniem walnem zgromadzeniu we Lwowie 27—28 września 1898 r. nowy statut, otwiera działalności Kółek, zwłaszcza samodzielnej, nowe i obszerne pola. Zebranie więc odnośnych w tej mierze materyałów, rozrzuconych w sprawozdaniach, memoryałach i t. p. i podanie ich do szerszej dyskusyi, jest na czasie; próba niniejsza, jakiebykolwiek miała niedostatki, w tem swoje uprawnienie niech znajdzie.

Jak sprawozdanie Towarzystwa za rok 1897 zaznacza, rozwój Kółek w r. 1897 postępował równie pomyślnie, jak w latach poprzednich, co jest dowodem, że ruch ten nie jest dziełem chwilowego tylko zapału, lecz poważną, świadomą celu, ale też i trudności, pracą obywatelską.

W 36 powiatach założono w 1897 r. 71 nowych Kółek z 2.257 członkami, z czego lwia część przypadła po staremu na zachodnią część kraju. Było tedy z końcem 1897 r. Kółek 1.291 z 58.000 członków. W sierpniu 1898 r. liczba ta doszła do 1350. Nie należy jednak się łudzić; wiele Kółek istnieje tylko na papierze, jak to przekonać się można ze sprawozdań z lu-

stracyj gospodarskich z lat 1895, 1896 i 1897. Nawet — rzecz smutna — w powiecie bocheńskim w 1896 r. aż 19 Kółek było nieczynnych. Jakkolwiek nie brak już dość oświeconych włościan, którzy pracę w Kółkach podjąć potrafią — jednak w regule, tylko tam one się pomyślnie rozwijają, gdzie inteligencya wiejska, zwłaszcza duchowieństwo, więksi właściciele i nauczycielstwo, do dzieła gorliwą rękę przykłada.

Odnosi się to zwłaszcza do zarządów powiatowych, które — acz dopiero w połowie powiatów zorganizowane — bardzo wybitnie wpływają na rozwój i postępy Kółek. Dowodem tego np. powiat sokalski, o którym sprawozdanie lustratorskie z 1895 ze smutkiem, jako o bardzo zacofanym wspomina, a który dziś, dzięki gorliwej pracy zarządu powiatowego zbliża się już do ideału: ile gmin, tyle Kółek.

Zjazdy powiatowe liczne, połączone z wystawami, odczytami, premiowaniami i t. p. rozbudzają ducha do pracy skuteczniej i szerzej, niż to jeden wielki zjazd centralny zdziałać może. O swojej biedzie radzić, każdemu i łatwiej i chętniej. Organizacye te coraz bardziej rozwijać się będą, zwłaszcza, że nowy statut bardzo stosownie znaczną im samorządność przyznaje. Tak np. zasilanie biblioteczek kółkowych książeczkami ludowemi, których główny zarząd rozesłał w 1897 r. 3.529, kosztem 385 złr. (nie licząc opłaty pocztowej), powinno przejść na fundusz i staranie zarządów powiatowych; pośrednictwo zaś w nabywaniu książek i kontrola wyboru mogłaby pozostać przy zarządzie głównym. Także zarządy powiatowe starać się powinny, aby za *Przewodnik Kółek rolniczych*, który każde Kółko otrzymuje (a którego przedpłata tylko 81 złr. przyniosła), regularnie płacono prenumeratę, wynoszącą tylko 1 złr. rocznie. W ten bowiem tylko sposób organ może się rozwinąć i na lepszych oprzeć siłach. Z uznaniem podnieść tu należy, że Zakład im. Ossolińskich drukuje go za nizką cenę 800 złr. rocznie.

Przedewszystkiem pożądaną byłoby rzeczą, gdyby się ożywiła w *Przewodniku* wzajemna wymiana poczynionych przez Kółka doświadczeń i postępów — zwłaszcza na polu handlowej działalności Kółek. Ta bowiem dla braku fachowych autorów handlo-

wych za mało jest uwzględnianą w *Przewodniku*. Nadto większe Kółka powinnyby po kilka egzemplarzy *Przewodnika* otrzymywać, zanim dojdziemy do tego, aby każdy członek miał swój egzemplarz, jak to jest w Kółkach poznańskich, które w wielu względach za wzór nam służyćby powinny. To też byłoby pożądanem, żeby główny zarząd postarał się o dostarczenie choćby tylko zarządom powiatowym kilkudziesięciu egzemplarzy jubileuszowego XXIV. *Rocznika Kółek rolniczo-włościańskich w W. Ks. Poznańskiem* z r. 1898, który oprócz pouczającej historyi Kółek z lat 25, zawiera sprawozdania z każdego niemal Kółka (bo ze 193 na 197 wszystkich), obfitujące w liczne ciekawe a naśladowania godne szczegóły. Te egzemplarze kolejno mogłyby obchodzić Kółka, aby prezesowie zaczerpnęli z nich nowej, a rodzimej inicyatywy. Ważniejsze zaś przykłady należałoby omówić w *Przewodniku*. Wogóle utrzymywanie ściślejszych stosunków z Kółkami wielkopolskiej dzielnicy, np. przez prenumerowanie poznańskiego *Poradnika Kółek rolniczych*, wyśmienicie redagowanego, czego dowodem rozszerzenie się jego na Litwie, Białorusi i w Królestwie Polskiem, byłoby bardzo korzystnem i pożądanem i przyczyniłoby się choć w części do wzmocnienia narodowej łączności. Że to samo dotyczy bliższego nam jeszcze Ślązka cieszyńskiego, jak niemniej Górnego, czyżby kto wątpił?

Pośrednictwo głównego zarządu w nabywaniu przez Kółka nasion, nawozów sztucznych, maszyn i t. p. niewielkie przybrało rozmiary. Nasion np. za 4.317 złr. sprowadzono, nadto rozdał zarząd bezpłatnie doborowych nasion za 700 złr. Podobnie pośredniczył zarząd główny w zakupnie nawozów sztucznych oraz zbóż na przednówku; atoli przeważna część tego obrotu idzie obecnie przez zarządy powiatowe, związki lub miejscowe spółki handlowe, którym działalność ta bardziej odpowiada, niż głównemu zarządowi, który ma inne, ważniejsze zadania do spełnienia. Same zaś Kółka w liczbie 243 sprowadziły bezpośrednio nawozów sztucznych za 19.843 złr. Bardzo to jest pięknie, lecz dążyć należy bezwarunkowo do łączenia tych zakupów w wielkie, wspólne zamówienia przy

pomocy towarzystw rolniczych. Taniej to wypadnie i mniejsza będzie obawa wyzysku lub otrzymywania gorszego lub mniej stósownego towaru, tak co do gleby, jak i zdolności przewozowej. I tu znowu pole do działania dla zarządów powiatowych. Odnosi się to także do sprowadzania maszyn i narzędzi rolniczych, które przez zarząd główny nabyto zaledwie za 775 złr. mimo 15—20% opustu i dogodnych terminów spłaty. Powodem tego jest niedoświadczenie Kółek, które idąc na lep licznych a obrotnych agentów obcych fabryk, robią zamówienia u nich wprost, przez co, jak wiadomo, z reguły ponoszą szkodę. Należy tedy rozpowszechnić zasadę, iż agentów trzeba unikać, a zamówienia uskuteczniać przez zarządy powiatowe lub towarzystwa rolnicze, którym świeżo zorganizowany oddział rolniczy krakowskiego Związku handlowego fachowe usługi w tej mierze świadczyć może. Pouczającym jest co do zakupów nawozów, maszyn i t. p. przykład włościan niemieckich, a zwłaszcza francuskich [1]. Na gorliwe też uskutecznienie zasługuje projekt d-ra Prażmowskiego przedstawiony na ostatniem walnem zgromadzeniu delegatów Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie, aby prowincyonalne towarzystwa zaliczkowe (związkowe) podjęły się pośrednictwa w sprzedaży artykułów rolniczych (a dodajmy i spożywczych), których hurtowną dostawą zajmuje się Związek handlowy Kółek rolniczych w Krakowie. Towarzystwa te mają już pewną rutynę i znajomość prowadzenia interesów, mają też i trochę kapitałów — a gdy między członkami ich jest przeszło 70% rolników [2], to i uzasadnienie pożytku tej akcyi leży jak na dłoni.

Lustracye gospodarstw włościańskich przeprowadziło w 1897 5 lustratorów z ramienia zarządu głównego w 345 gminach 20 powiatów, z których sprawozdania w streszczeniu drukiem ogłoszono. Zawierają one wiele cennych szczegółów nietylko o gospodarstwach, lecz zwłaszcza o stanie Kółek w rozmaitych

[1] Por. T. Kudelka. „Syndykaty i Spółki rolnicze we Francyi“. Kraków 1898.

[2] XXIV. *Rocznik Stow. zarobkowych i gosp.* Lwów 1898. Str. xvii.

stronach kraju, i pod tym względem zastępują do pewnego stopnia brak sprawozdań z tychże i pozwalają wejrzeć bliżej w ich potrzeby.

Stosownie do życzenia podnoszonego już zdawna przez Kółka, zreformował zarząd główny w r. 1898 sposób lustracyi w ten sposób, że utworzył okręgi lustracyjne i zamianował w nich po zasięgnieniu opinii czynników miarodajnych lustratorów miejscowych ze stosunkami miejscowemi dobrze obznajomionych. Wobec różnorodności bowiem stosunków przyrodzonych i gospodarczych rozmaitych okolic, trudno było lustratorom w sedno utrafić, gdyż dawanie odpowiednich a praktycznych wskazówek wymaga obszernej znajomości rzeczy a zwłaszcza wytrawnej praktyki, którą nie u każdego lustratora znaleźć było łatwo. Na razie utworzono 5 okręgów, a nadto ustanowiono jednego lustratora krajowego, który ma kontrolować czynności lustratorów okręgowych, oraz zwiedzać powiaty, gdzie takowych niema. Zresztą krajowi nauczyciele wędrowni rolnictwa uzupełniają pracę lustratorów. Lustracye jednak wymagają znacznych kosztów (3345 złr. w r. 1897), które choć w części powinnyby przejść na organizacye powiatowe. Gdy zaś sam zarząd główny czuje pewne braki tej instytucyi, możeby dobrze było zwrócić uwagę na wzór Kółek poznańskich, w których gremialne zwiedzanie gospodarstw bardzo ważną a skuteczną odgrywa rolę; np. w r. 1897 w 85 Kółkach (t. j. w $^2/_5$ ogólnej liczby) zwiedzono 203 gospodarstw [1]. Kosztów przy tem niema żadnych, tylko trzeba dobrego prezesa Kółka i dobrego wyboru gospodarstwa, którego kierownik również wskazówki dać może. Że i oglądanie złych gospodarstw z korzyścią być może, jeżeli się błędy wytyka, także wiadomo.

Również czyni zarząd główny starania co do utworzenia wzorowej zagrody włościańskiej, któraby żywym przykładem i widocznemi wynikami, płynącemi z postępowego gospodarowania, zachęcała do naśladownictwa i była niejako pionierem lepszej kultury i hodowli. Nie przesądzając sprawy,

[1] XXIV. *Rocznik,* str. IX.

zauważyć należy, iż tak zwane wzorowe gospodarstwa zwykle czystego przychodu nie dają i już z tego powodu do naśladowania nie mogą zachęcać; następnie koszta ich urządzenia są znaczne, więc nie wiele takich zagród utworzyćby można, a ponieważ ich wpływ tylko w najbliższej okolicy mógłby być skutecznym, cel zamierzony na tej drodze nie prędkoby osiągnąć można. Dlatego wartoby może wejść na drogę, którą postępuje zarząd Bośni i Hercogowiny, który, jak wiadomo, wbrew dawnym tradycyom austryackim, na tem polu pod wielu względami za wzór służyć może [1]. Chcąc podnieść tamtejsze, bardzo nizko stojące gospodarstwa chłopskie, utworzył rząd kilka wielkich folwarków, mających wskazać, do czego staranne gospodarowanie i wielka kultura dojść może. Następnie założył kilka folwarków, połączonych ze szkołą praktyczną, gdzie synowie zamożniejszych kmieci uczą się praktycznie gospodarować; po opuszczeniu zakładu otrzymują oni jako nagrody, nie pieniądze lub książki — lecz maszyny, narzędzia, nasiona, drób, owce chowalne i t. p., które z pożytkiem w ojcowskiem gospodarstwie zaprowadzają. Ich przykład działa bardzo skutecznie, podczas gdy do naśladowania dobrze prowadzonych gospodarstw kolonistów Bośniacy się nie kwapią, bo sądzą, że oni nie mogą tak skutecznie pracować, jak obce „Szwaby". Gdy tedy swojski przykład lepiej działa, nakłonił rząd wielu chłopów, aby gospodarstwa swoje urządzili i prowadzili według wskazówek kierowników powyższych folwarków państwowych, wspierając przytem takich „wzorowych chłopów" udzielaniem narzędzi, nasion, bydła, drobiu i t. d., jako też zapomogami w gotówce na poprawienie budynków gospodarskich. Oddziaływanie ich sprawiło, iż, jak pewien pruski sprawozdawca przyznaje, można spotkać tam zagrody, przypominające stosunki środkowo-europejskie.

My, dzięki Bogu, większych gospodarstw wzorowych zakładać nie potrzebujemy, bo je mamy, tak samo i szkoły praktyczne — ale wspieranie wzorowych gospodarzy, którzyby się

[1] Por. *Mittlgen der Disch. Landw. Gesellsch. Beilagen* zu Nr. 3 i 15 z r. 1898, jako też mój art. w nr 42 *Rolnika* z 1898 r.

stosowali do udzielanych im wskazówek, nie zawadziłoby i u nas. Byłoby to co najmniej równie skuteczne, stosunkowo tańsze i bez porównania nawet przy miejscowych środkach i inicyatywie na szersze rozmiary możebne, jak zakładanie nowych zupełnie zagród.

O ile ze sprawozdań z lustracyj gospodarskich dojść można, wpływ Kółek na podniesienie uprawy i hodowli u włościan gdzieniegdzie już widoczny, ale wogóle jeszcze mało w tym kierunku zrobiono. Zdaje się, iż zebrania Kółek odbywają się niezbyt często i do szerzenia oświaty zawodowo-rolniczej nie bywają dość wyzyskane. I tutaj znowu przykład Kółek poznańskich, które na wspólne czytanie i pogadanki wielki i energiczny kładą nacisk, dużo dobrego mógłby zdziałać. Niemniej i z Królestwa w tym kierunku zaczerpnąć można dobrą myśl. Oto we wsi Szelkowie (pow. makowski) założono tam w początkach 1898 r. „muzeum wiejskie", zawierające modele maszyn ważniejszych i ulepszonych narzędzi, tablice, przedstawiające budowę i rozwój roślin, wpływ uprawy i nawożenia, zestawienia cen, wreszcie rozmaite przedmioty ogólnie kształcące i t. p. Jak urządzenie to zyskało uznanie włościan, dowodzi tego przezwanie tego muzeum zrozumialszą, ale znaczącą nazwą „skarbiec". I u nas Kółka mogłyby w ten sposób niewielkim kosztem wiele dobrego zdziałać. W tym samym kierunku pożyteczną byłaby większa łączność z towarzystwami rolniczemi. Przykład Bochni, Dębicy, Przemyśla, Jarosławia[1] powinien znaleźć więcej naśladowców. Nie zawadzi dodać, że Tow. krakowskie udzielało w r. 1898 Kółkom 100 egzemplarzy *Tygodnika rolniczego* bezpłatnie.

Za dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli roztrząsnąć, jakie zadania mają Kółka do spełnienia w sprawie podniesienia poszczególnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego. Tutaj dość zaznaczyć, że koniecznem jest współdziałanie z odnośnemi, już istniejącemi organizacyami krajowemi. I tak co do hodowli zwierząt gospodarskich z Towarzystwem rolniczem krakowskiem i ze lwowskiem Towarzystwem gospo-

[1] „Sprawozd. Tow. roln. krak. za r. 1897, str. 27 i *Przew. K. roln.*

darskiem: co do ogrodnictwa, warzywnictwa, sadownictwa i owocarstwa z Tow. ogrodniczem w Krakowie należałoby nawiązać stosunki[1]. Co się tyczy hodowli drobiu[2], wchodzi tu w rachubę jarosławskie Tow. hodowli drobiu i królików. Krajowe zaś Towarzystwo rybackie w Krakowie również poparcia udzieli Kółkom, którym i ta dziedzina nie jest obcą[3]. Podobnie i pszczelnictwo odpowiednio poparte, może się dużo przyczynić do podniesienia dobrobytu włościan. Instytucye powyższe wzywane do pomocy przez Kółka znajdą w tem pobudkę do coraz energiczniejszej pracy.

Na jedną jeszcze sprawę wielkiego dla uprawy roli znaczenia uwagę zwrócić należy: na melioracye gruntów. W sprawozdaniach z lustracyj gospodarskich czyta się często, jak zbyt mokre grunta stanowią zaporę lepszej kultury i hodowli. I tutaj również przykład Kółek poznańskich drogę nam wskazuje. W ostatnich pięciu latach powstały tam liczne włościańskie spółki drenarskie i osuszyły przeszło 50.000 morgów pruskich (około 12.500 ha)!! Istnieje tam ogółem 25 spółek drenarskich w Kółkach[4], które nie mają tam rządowej pomocy, jaką u nas znaleźć mogą Kółka w świeżo zreorganizowanem biurze melioracyjnem Wydziału krajowego. Inicyatywa Kółek w sprawie osuszania czy nawodniania gruntów, jako też odpowiedniego użytkowania torfowisk nieobliczalne może przynieść korzyści dla stanu włościańskiego i całego kraju. A do melioracyj można i zaliczyć sprawę lepszego wykorzystania pastwisk i lasów gminnych, które dziś prawie powszechnie piętę Achilesową gospodarki gminnej stanowią. A przecież choćby usunięcie kamieni i chwastów, przeoranie i za-

[1] Że i u nas na tem polu do pięknych dojść można rezultatów, dowodem kultura moreli w Zaleszczykach. Por. *Ogrodnictwo* (wydawane w Krakowie), zesz. IV., str. 74; oraz Załoźce (pow. brodzki). Por. Spraw. z lustr. gosp. 1895 r., str. 28. Na uwagę zasługuje w tej mierze artykuł d-ra Golińskiego o organizacyi handlu owocami w nr. 41 *Rolnika* z r. 1898.

[2] Znaczenie tejże gospodarcze wyświetliłem w nr. 39 i 40 *Rolnika* z r. 1898.

[3] P. *Przew. K. rol.* z r. 1898, nr. 6, str. 44. Kółko w Targowisku.

[4] XXIV. *Rocznik.* s. XXII. i XXXIII.

sianie lepszemi trawami, trochę porządku w wygonie bydła jużby pastwiskom gminnym na dobre wyszły; bardzo trudnemby to nie było do osiągnięcia.

Memoryał do Wydziału krajowego w sprawie powiększenia funduszu pożyczkowego dla popierania handlowo-przemysłowej działalności Kółek, ogłoszony drukiem przez zarząd główny, podaje ciekawe dane, dotyczące sklepików wiejskich, przez Kółka rolnicze założonych. Liczba ich dochodzi 1.000, co na kilkunastoletnią działalność Towarzystwa jest bardzo pomyślnym plonem, zwłaszcza ze względu na trudne stosunki handlu wiejskiego przed założeniem Towarzystwa, a nawet i dzisiaj. A to tembardziej, że, jak się z lustracyj handlowych przekonano, majątek własny sklepików wynosi przeciętnie po 1.000 złr., tak iż ogółem własny kapitał Kółek, obracany w sklepach, dochodzi do miliona złr. Obroty bywają często wcale znaczne, dochodzą do kilkudziesięciu nieraz tysięcy i obejmują coraz szersze zakresy handlu, już nietylko spożywcze i zwykłe kramarskie towary, ale i łokciowe, żelazne i t. d., jak niemniej i nawozy sztuczne, nasiona, ziemniaki, maszyny rolnicze i t. d. Z osiągniętych zysków wypłaca się odsetki od udziałów, i gratyfikacye kierownikom i sklepikarzom. Nadwyżki zaś przeznacza się na kościoły, szkoły i inne cele użyteczne, lub też na wspólne cele Kółka, jak zakupno własnego domu, sikawek, maszyn i narzędzi rolniczych do wspólnego użytku i t. p.

Oto co mówi memoryał w tej mierze:

„Poważna większość dobrze zorganizowanych Kółek rolniczych, posiadających własne sklepy, a niektóre już w samym zawiązku działalności dążą usilnie do wystawienia własnego domu. Jak tylko dostaną grunt przydatny do tej budowy, przystępują Kółka do jej wykonania, potrzebny materyał zakupują z zaciągniętej pożyczki a członkowie zajmują się bezinteresownie wykonaniem budowy.

„Tak stanęły już w niejednej gminie domy Kółek rolniczych gdzieniegdzie piętrowe, dające pomieszczenie dla sklepu, czytelni, gospody chrześcijańskiej a w kilku miejscowościach i dla zawiązanych przez Kółka rolnicze spółkowych kas oszczę-

dności i pożyczek. Domy wybudowane zespoloną pracą członków Kółek rolniczych staną się niewątpliwie trwałym przybytkiem dla spełnienia ich zadań.

„Główne źródło kapitału zakładowego tworzą udziały członków, przynoszące przy dobrze rozwiniętym interesie dość wysokie oprocentowanie złożonych kwot.

„Składają się na nie w znacznej części drobne oszczędności włościan, którzy, nie zważając na możliwe ryzyko w przedsiębiorstwie, chętnie je wnoszą. W razie strat, które nierzadko się trafiały, włościanie nie zrażali się tem i ponownie wnosili udziały.

„Jest to najwymowniejszym dowodem, jak dalece lud wiejski czuje potrzebę sanacyi stosunków handlu wiejskiego, skoro nie waha się, nawet po stratach, powtórnie angażować grosz, uzbierany mozolnie w pocie czoła, byle tylko utrzymać przedsiębiorstwo, którego celem jest zasłonić włościan od czychającego na nich wyzysku niesumiennych handlarzy.

„Jest to nieobojętny dla rozwoju społecznych stosunków ten objaw samopomocy, dzięki akcyi handlowej Kółek rolniczych po raz pierwszy wyraźnie występujący wśród ludu wiejskiego, który wydobywa się z wiekowej gnuśności, rozbudza naturalną inteligencyę i objawia przedtem niebywałą energię a nadto wytrwałość zazdrości godną nawet w razie niepowodzenia podjętych usiłowań.

„Objaw ten świadczy o budzącem się wśród ludu coraz silniej poczuciu potrzeby zbiorowej działalności ku polepszeniu swej doli; to poczucie należy jak najstaranniej pielęgnować i popierać, jako czynnik społeczny wielce dodatni. A to tem bardziej, że właśnie w tej akcyi lud wiejski chętnie i z uznaniem wielkiem i wdzięcznością przyjmuje pomoc, jakiej doznaje zarówno od duchowieństwa, jak od inteligencyi świeckiej“. Jak wielkie fakt ten ma znaczenie społeczne, dodawać zbyteczna.

Że tak jest, dowodzi choćby to, że każde nowo zawiązane Kółko zabiera się natychmiast do zakładania sklepiku, jak to się z *Przewodnika Kółek* przekonać można. Kółko a skle-

pik u naszego ludu są niemal jednoznaczne. Handel wiejski to punkt, w którym włościanin nasz zaczyna na dobre poznawać, gdzie i co go boli, oraz jak sobie ma radzić. Pod tym względem nieomal, że wyprzedza starszych swoich kolegów po pługu, „obszarników“, którzy na tem polu niedaleko dotąd zaszli.

Z wielką tedy słusznością mówi memoryał, że:

„Sklepy Kółek rolniczych są rozsadnikami zdrowych pojęć ekonomicznych i społecznych, są polem zgodnego współdziałania ludu wiejskiego z inteligencyą miejscową, — są wreszcie dla naszych włościan szkołą oszczędności, zapobiegliwości i praktycznego zaznajomienia się z tym działem zarobkowości, który dotychczas był naszym włościanom nieprzystępny, a w którym oni jednak okazują wiele zdolności i zamiłowania.

„Przedewszystkiem jednak widzą włościanie w zakładaniu sklepów wiejskich obronę przeciw systematycznemu wyzyskowi ze strony handlarzy, który to wyzysk, w miarę jak włościanie nasi coraz lepiej rozumieją doznawane pokrzywdzenie, wywołuje u nich coraz większe rozgoryczenie i nienawiść przeciw wyzyskującym.

„W takich warunkach udzielona sklepom wiejskim pomoc kredytowa (i moralna) jest przez włościan uważana jako prawdziwe dobrodziejstwo, które umieją należycie ocenić, a jeżeli zmniejszy się wyzysk przez utworzenie i zasilanie sklepów wiejskich, zarządzanych przez samych włościan, to zostanie złagodzony powód powszechnego między włościanami niezadowolenia i wskazana będzie droga właściwa do poprawy stosunków“.

Wobec tego nic dziwnego, iż lwia część trosk zarządu głównego poświęconą być musi sprawie tychże sklepików. Bo mają też one dużo braków i trudności. Pomijając już nierzetelne współzawodnictwo kramarzy żydowskich i ociężałość włościan, o ile jeszcze w tym względzie nie są uświadomieni, podnieść wystarczy: niedostateczne fachowe wiadomości kupieckie u kierowników sklepików, brak skle-

pikarzy odpowiednich, brak funduszów umożliwiających szerszą akcyę, wreszcie niedostateczną organizacyę handlu hurtownego, któryby oswobodził sklepiki od wyzysku i zawisłości od żydowskich składów i sklepów większych.

Aby choć w części zaradzić brakowi ludzi fachowo w handlu wykształconych, urządził zarząd główny praktyczne kursa handlowe w Czernichowie już od września 1896, które w r. 1897 ukończyło 16 uczniów. Zapomoga krajowa 1.200 złr. i subwencya krakowskiego Związku handlowego 300 złr. przyczyniły się do pokrycia kosztów tychże, wynoszących 2.223 złr. Nadto uczniom przyznał kurator fundacyi d-ra Towarnickiego 14 stypendyów po 50 złr. na utrzymanie podczas kursów, zarząd zaś główny dodał jeszcze dwa. Lecz owych kilkunastu sklepikarzy, kończących te kursa nie może zaspokoić zapotrzebowania całego kraju, które coraz bardziej w tym kierunku rośnie. Nie mając funduszów na założenie drugich takich kursów, zamierza zarząd główny urządzać wieczorne kursa handlowe po rozmaitych miejscowościach, wzywając do tego pomocy związków powiatowych, które przynajmniej miejscowe przygotowania i utrzymanie uczestników na się wziąć powinny, zarząd główny zaś dostarczy kierowników.

Na gorliwe uwzględnienie zasługuje w tej mierze projekt hr. Reya, przedłożony na walnem zgromadzeniu we Lwowie, aby w seminaryach duchownych, a przedewszystkiem nauczycielskich i w szkołach rolniczych pozaprowadzać kursa handlowe, zwłaszcza rachunkowości i korespondencyi handlowej. Mimo trudności, jakie się w tej mierze piętrzą, nad uskutecznieniem tego popracowaćby należało. Jednak to zawsze tylko półśrodek. A tymczasem stosunki dojrzały już o tyle, aby Wydział krajowy przystąpił do założenia krajowej szkoły dla handlu wiejskiego i drobnego. Wobec braku szkół handlowych w kraju potrzeba jej aż nadto jest uzasadniona, znaczenie jej bez porównania większe, koszta zaś założenia i utrzymania, również bez porównania, mniejsze będą, niż którejkolwiek z niższych szkół rolniczych. Oprócz przygotowania praktycznie wykształconych

kupców i sklepikarzy mogłaby szkoła taka nadto kształcić buchalterów dla zarządów powiatowych Kółek, związków handlowych, kas spółkowych i innych przedsiębiorstw, w których brak fachowo wykształconych ludzi stanowi bardzo dotkliwą zawadę rozwoju. Ludności zaś chrześcijańskiej otwarłaby się nowa dziedzina zarobkowości (i to zyskownej), jakoteż wyjście z dotychczasowej jednostronności rolniczej lub gorszej jeszcze biurokratycznej, jeżeli ją tak nazwać można, objawiającej się powszechnem niemal dobijaniem się do klamki rządowej lub autonomicznej.

Dla zaradzenia temu samemu brakowi ustanowił zarząd główny w połowie r. 1897 lustratorów handlowych, na razie dwóch, którzy w ciągu drugiej połowy tegoż roku zwiedzili 113 sklepików wiejskich w 18 powiatach. Znaczenie lustracyj handlowych przedstawia zarząd główny bardzo dobrze, jak następuje:

„Korzyści wypływające z nich są wprost nieocenione. Lustratorowie handlowi dają bowiem inicyatywę w zakładaniu przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych, zapoznają kierowników z zasadami prawidłowej rachunkowości i administracyi, wykonują kontrolę nad przedsiębiorstwami prowadzonemi pod firmą Kółek rolniczych, dokonują szkontra towarów i kasy, zestawiają bilanse, wskazują źródła nabycia towarów; jednem słowem, wykonują z ramienia zarządu głównego wszechstronną i fachową opiekę nad przedsiębiorstwami Kółek.

„Z zadowoleniem zaznaczamy, że ani jedno Kółko rolnicze nie uchyliło się od zarządzonej lustracyi handlowej; owszem poddają się Kółka bardzo ochotnie lustracyom i z podziękowaniem przyjmują zarządy Kółek uwagi i rady, dążące do poprawy ich gospodarki handlowej“.

Dlatego też okazuje się potrzeba pomnożenia lustratorów, ponieważ każdy z nich zaledwie 100 sklepików w roku zlustrować może. W tym celu też zaniósł zarząd główny prośbę do Wydziału krajowego o powiększenie dotacyi na ten cel wyznaczonej. Koszta lustracyj były w r. 1897 stosunkowo niewielkie (2.080 złr.). Nie można pominąć i tego, że od czasu zaprowadzenia

lustracyj tych zarząd główny uzyskał lepszy wgląd w sprawy sklepików, stał się im więcej potrzebnym i zyskał sobie większą powagę.

Do uzupełnienia kontroli podejmowanej przez lustratorów handlowych przyczyni się pomyślnie stała kontrola, jaką na podstawie nowego statutu (§ 30) wykonywać będą z ramienia zarządów powiatowych ustanowić się mający mężowie zaufania. W ten sposób zapobiegnie się, a przynajmniej zawczasu odkryje i usunie wszelkie możebne nadużycia, przez co fundusze w przedsiębiorstwach Kółkowych umieszczone, tak własne, jak obce, zabezpieczone będą a zdolność kredytowa tychże się powiększy. Piękne to pole do działania dla inteligencyi wiejskiej.

Niedostateczność kapitału zakładowego stawia — nietylko zaczynające — ale i rozwijające się sklepiki w przykrem położeniu, bo zastój lub upadek rozpoczętej akcyi czyni stan rzeczy nieraz gorszym, niż był przed jej rozpoczęciem, osłabiając ufność we własne siły a podniecając wyzysk handlowy. Pożyczki w trudnych warunkach podejmowane, są zgubą raczej, z wekslowego zaś kredytu korzystać sklepiki nie mogąc, ponieważ nie mają firmy zaprotokółowanej.

„Kredyt towarowy, na dogodnych warunkach trzechmiesięczny i dłużej trwający, otrzymany od Związków handlowych Kółek rolniczych i od poważnych firm handlowych, jest przez Zarządy sklepów bardzo ceniony i stanowi niemałe ułatwienie przy prowadzeniu przedsiębiorstwa ze szczupłym własnym funduszem. Niestety u dość jeszcze znacznej liczby sklepów ich zarządcy, nie obznajomieni ze stosunkami handlowemi, stają się nieraz ofiarą narzucających im się handlarzy i krążących po kraju agentów, którzy częstokroć nadużywają dobrej wiary nieświadomych rzeczy i łatwowiernych, uwodzą ich złudnemi ułatwieniami, narzucają im lichy towar za drogie pieniądze, a co gorzej wprowadzają ich w pewną od siebie zależność, która stwarza podatny grunt do wyzysku. Z tego powodu już niejedno Kółko rolnicze drogo opłaciło brak doświadczenia, a jest naszem

zadaniem dążyć przy sposobności lustracyi handlowych do położenia tamy podobnemu wyzyskowi.

„To też pomoc kredytowa, w samych początkach funkcyonowania sklepu udzielona, jest o wiele ważniejszą, niżeli później, kiedy już utrwalone przedsiębiorstwo handlowe może czerpać kapitał obrotowy z własnych zasobów.

„Zamilczeć nie możemy, że są przykłady ofiarności obywatelskiej, pochodzącej od właścicieli większych posiadłości, od duchowieństwa i od osób innych zawodów, które pospieszyły przy założeniu sklepów Kółek rolniczych z pomocą, bądź to przez udzielenie pożyczek bezprocentowych, bądź też przez pożyczki na bardzo nizki procent i na spłatę dogodną, bez oznaczenia terminu zwrotu.

„Tu i owdzie reprezentacye powiatowe i gminne przychodziły Kółkom rolniczym z drobną pomocą przy zakładaniu sklepów. W szczególności niektóre gminy a także niektórzy właściciele obszarów dworskich ofiarowali lokal na sklep bezpłatnie lub za skromnem wynagrodzeniem“. („Memoryał“).

W należytem ocenieniu ważności sprawy ustanowił tedy sejm w r. 1890 fundusz pożyczkowy dla popierania handlowo-przemysłowej działalności Kółek rolniczych, z którego udzielano im pożyczek bezprocentowych za pośrednictwem głównego zarządu, a który stopniowo do 25.000 złr. podwyższono. W ciągu 1897 r. przyznano 24 pożyczek w kwocie 9.700 złr. tak iż z końcem roku stan tego funduszu na pożyczkach wynosił 20.590 złr. Punktualne spłacanie pożyczek ze strony Kółek uznała strona bardzo miarodajna, bo Wydział krajowy. Nad należytem zaś użyciem tychże czuwał zarząd główny. Atoli liczba Kółek i sklepików wzrastała — więc fundusz wnet został wyczerpany.

Jakie są potrzeby kredytowe sklepików, okazuje się poniekąd ze sprawozdań z lustracyj handlowych. W 150 zlustrowanych sklepach majątek własny wynosi 145.377 złr. — zaś najpilniejsze potrzeby kredytowe należycie uzasadnione 49.700 złr. Dla tysiąca zaś istniejących sklepików trzebaby w tym stosunku sumy 300.000 złr., nadto trzebaby wesprzeć związki handlowe

Kółek. Dlatego też zarząd główny wniósł do Wydziału krajowego obszerny a dobrze umotywowany memoryał o podwyższenie tego funduszu do 100.000 złr., przez coby najpilniejsze potrzeby zaspokoić można.

Największe jednak trudności przedstawia sprawa zorganizowania niezbędnych handlów hurtownych, któreby Kółkom dostarczały tanich a dobrych towarów. Związki handlowe w Krakowie i Lwowie nie mogą wystarczyć potrzebom Kółek, za mało są im dostępne z powodu znacznych kosztów przewozu, zwłaszcza przy drobniejszych zamówieniach. Związki zaś powiatowe zbyt mało mają kapitału i brak im odpowiednich kierowników. Że jednak są niezbędne organizacye miejscowe dla handlu hurtownego, dowodzi tego ta okoliczność, iż powstają one coraz liczniej, choć walczą z wszelakiemi trudnościami. W Nowym Sączu i Dębicy powstały spółki okręgowe, w Rzeszowie filia związku krakowskiego, dalej w Sokalu, Tarnowie i t. d. spółki powiatowe.

„Zarząd główny spotyka się wprawdzie dosyć często z żalami na związki handlowe o to, że sprzedają towar drogi i mniej dobry, mniema jednak, że te narzekania tylko w drobnej części są uzasadnione całkiem zresztą naturalnym brakiem rutyny w młodych jeszcze przedsiębiorstwach. W znacznej zaś mierze zdają się te zażalenia stąd pochodzić, że odbiorcy porównują ceny towarów związkowych z cenami towarów konkurencyjnych, nie wchodząc wcale w ich jakość a co ważniejsza w ich wagę lub miarę!“

Prostowanie takich fałszywych lub spaczonych pojęć — jak to np. w świetny a zrozumiały sposób czynił na walnem zgromadzeniu del. Smagała — jest zadaniem inteligencyi wiejskiej i prasy ludowej, świadomej swoich obowiązków, a niezbędnym warunkiem pomyślnego rozkwitu handlu swojskiego.

W Samborskiem i Sanockiem skupiają Kółka swoje zakupna towarów w większe peryodyczne zamówienia na wspólny rachunek, pod kierownictwem zarządu powiatowego, który to proceder i gdzieindziej się odbywa. W sprawie tej odbyła się staraniem głównego zarządu w kwietniu 1897 r. ankieta, która

wyraziła opinię, aby dążyć do skupienia wszystkich tego rodzaju spółek hurtownych w jeden centralny związek z filiami miejscowemi. Do utworzenia takich filij okręgowych (na 3—4 powiaty), z którychby otaczające Kółka w promieniu kilku mil bez znaczniejszych kosztów drogą kołową mniejsze partye towarów otrzymywać mogły, jest nieodzownym warunkiem rozwoju sklepików Kółek. Należałoby im głównie poruczyć handel towarami spożywczemi — pośrednictwo zaś w nabywaniu artykułów potrzeb rolniczych, jak nawozów, nasion, maszyn i t. p. podjąćby mogły towarzystwa rolnicze okręgowe na wzór wielickiego, wadowickiego, rzeszowskiego i innych, które na tem polu już pierwsze a poważne stawiać zaczynają kroki. W ten sposób nabywanie artykułów gospodarskich w należyty załatwione będzie sposób, a do handlu towarami spożywczemi i kramarskiemi łatwiej będzie znaleźć ludzi z odpowiedniemi wiadomościami, bo zakres tegoż będzie już o cały dział rolniczy szczuplejszy — a i obrót kapitałów będzie równomierniejszy nie ulegając fluktuacyom, jakie sprawiać muszą znaczne zakupna nawozów na jesień, oraz nasion i maszyn na wiosnę. W Towarzystwach rolniczych okręgowych, czy oddziałach Tow. gospodarskiego powinny Kółka znaleźć na tem polu gorliwych sojuszników, gdyż w tej ważnej sprawie należy walkę podjąć na całej linii. Z drugiej zaś strony powinny te składy okręgowe, rozmieszczone po znaczniejszych miastach naszego kraju, oprzeć się o ich ludność i zastąpić im spółki spożywcze, u nas dotąd prawie nieznane, a do podniesienia dobrobytu tak klas średnich, jak robotniczych, bardzo przydatne, jak tego rozkwit ich w Anglii, Francyi, Niemczech, Belgii, Włoszech i t. d. najdobitniej dowodzi. Poparcie rozwoju spółek spożywczych, to z każdego względu najlepsze zużytkowanie świeżo podwyższonych płac urzędników, przedewszystkiem z ich własną a trwałą korzyścią [1].

Jak mimo wszystkie braki czują się na siłach Kółka rolnicze i jak odczuwają swoje potrzeby, dowodem podjęcie przez coraz to liczniejsze Kółka organizacyi zbytu płodów

[1] P. *Ruch społecz.* nr. 19, r. 1898, str. 340 oraz „Synd. roln.“. str. 58.

gospodarstwa wiejskiego, przedewszystkiem zaś jaj, które już w wielu sklepach w zamian za towary się przyjmuje. Aby ten wywóz jaj poprzeć skutecznie, wysłał zarząd główny nauczyciela kursów handlowych czernichowskich na własny koszt za granicę w celu obznajomienia się ze stosunkami tego handlu, oraz zamierza zorganizować na próbę skup jaj w jednym powiecie przez jednego z lustratorów handlowych.

Sklepiki przyzwyczajając rolników do spraw handlowych torują drogę dla stowarzyszania się w celu przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych i kredytowych. Tak np. obejmowanie trafik, składów soli, dzierżawienie propinacyi, myt, zakładanie gospód chrześcijańskich coraz częściej stanowi przedmiot zabiegów Kółek, urzeczywistnieniu których tylko brak odpowiednio przygotowanych ludzi stoi na zawadzie. Tę ostatnią praktyczna szkoła handlowa łatwoby mogła usunąć.

Przy pomocy krajowego funduszu dla przemysłu rolniczego i komitetu Towarzystwa rolniczego krakowskiego, założyły Kółka już 14 mleczarni spółkowych, a nagrody jakie one uzyskały niedawno na wystawie mleczarskiej (jubileuszowej) w Wiedniu, stanowić powinny zachętę do dalszej gorliwej pracy nad podniesieniem mleczarstwa. Wydział krajowy, który na tem polu zebrał owoce swej inicyatywy, rozpocznie niezawodnie teraz akcyę na szerszą skalę; spółki zaś mleczarskie powinny się łączyć z sobą w związek dla uregulowania cen i zbytu, oraz kontroli przerobu, które to zadanie przez istnienie krajowego inspektora mleczarstwa znacznie już jest ułatwione. Niewątpliwie zaś wnet doczekają się one i szkoły mleczarskiej, którąby im dostarczyła wykształconych odpowiednio kierowników technicznych, bez czego o postępie trudno marzyć [1].

Nie mniejszą wagę dla podniesienia dobrobytu posiada zaczynający się w ostatnich latach prąd do zakładania piekarń wiejskich. Skutkiem postępującego coraz dalej nowożytnego przeobrażenia gospodarstwa społecznego, skutkiem coraz liczniejszego proletaryatu wiejskiego, nie umiejącego oględnie zaspo-

[1] P. *Przegląd mleczarski* r. 1898, (Lwów) nr. 1—4.

kająć swoich potrzeb, wieś coraz częściej popada w zależność od piekarń miejskich, przeważnie żydowskich, włościanin zaś coraz więcej chleba dokupować chce i musi. Nadto narzekania są tu powszechne, że pieczywo to jest liche i niezdrowe i że piekarze wielce ludność wyzyskują. Aby więc temu zapobiedz i ludności wiejskiej dobrego, zdrowego a taniego dostarczyć pieczywa, podejmują Kółka coraz liczniej zakładanie wiejskich piekarni spółkowych. Akcya ta zgodna jest z ogólnym prądem nowożytnym omijania pośredników zbytecznych między wytwórcami a spożywcami, co przynosi obu stronom korzyści niemałe. Wskazać tu można dotyczący przykład Francyi[1], gdzie ruch ten znaczne poczynił postępy, co do Niemiec zaś zdaje się, żeśmy je wyprzedzili, bo tam dopiero w ostatnich latach zwracać zaczęto na to baczniejszą uwagę — jak tego dowodzi rezolucya zjazdu spółek rolniczych w Dreźnie 27 sierpnia 1897 r. zalecająca gorąco zakładanie spółek piekarnianych. „Tylko — dodaje ona — rozwiną się one pomyślnie pod inteligentnem tak fachowem, jak kupieckiem kierownictwem“[2].

Że i ze względów zdrowotnych na poparcie te piekarnie zasłużyć mogą, chyba zbytecznem tego dowodzić. Łączność piekarni między sobą, kontrola i wogóle zajęcie się tą sprawą są bardzo wskazane. Na uznanie zasługuje powiatowy zarząd myślenicki, który tę sprawę objął w swoje ręce, zaopatrując sklepiki w tanie, a doborowe pieczywo.

Mutatis mutandis tak samo rzecz się ma z próbami podejmowanemi przez Kółka z zakładaniem r z e ź n i, zwłaszcza wieprzy i baranów. Przodują tu Kółka powiatów bialskiego i wadowickiego. Że i ta akcya ma przyszłość przed sobą dowodem Dania[3].

Powoli zaczynają się zajmować Kółka włościańskim p r z e m y s ł e m d o m o w y m, któremu mogą oddać znaczne usługi.

---

[1] „Syndykaty rolnicze“ j. w., str. 46.

[2] *Jahrb. des Allg. Verbandes der landw. Genossch. f. 1897.* Offenbach a. M. 1898. Str. 45.

[3] Por. autora, „Stowarz. rolnicze w Danii“ w nrze 21 *Rolnika* 1898 r., przedrukowany w nrze 15 *Przewodnika Kółek rolniczych*, 1898 r.

Tak np. próbuje Kółko w Krzątce (p. Majdan Kolbuszowski) podjąć pośrednictwo w sprzedaży wyrobów bednarskich i tokarskich, w Bienkówce (p. Maków) zawiązała się spółka gontarska[1]; polecenia godnem byłoby bezpośrednie nabywanie wyrobów ślusarskich ze Świątnik, a wyrobów wełnianych z Tyńca, zalecane w Sprawozdaniu z lustracyj gospodarskich z 1896 i 1897[2]. Na uwagę zasługuje projekt podany na walnem zgromadzeniu we Lwowie przez p. Onyszkiewicza — aby Kółka starały się obejmować sprzedaż książek szkolnych odbywającą się w 467 żydowskich t. zw. „verschleissach“ z ramienia rządu, a która rocznie do 20.000 złr. czyni dochodu. Wogóle zajęcie się księgarstwem ludowem ze strony Kółek, i imby korzyści przyniosło i do oświaty ludu wielceby się przyczyniło.

Co się tyczy spraw asekuracyjnych, — to wiadomo, że Kółka przyczyniły się wiele do rozpowszechnienia ubezpieczeń od ognia między włościanami. Podanie zarządu głównego o przyznanie przewodniczącym Kółek spółudziału przy likwidacyi szkód ogniowych nie zostało przez Tow. wzajemnych ubezp. w Krakowie uwzględnione, na co może i zawcześnie jeszcze było. Natomiast wskazaną byłoby rzeczą, gdyby zarządy powiatowe postarały się o otrzymanie agentur tegoż Towarzystwa na swoje okręgi, przez coby i interesa członków Kółek uwzględnić i z prowizyi ładny dochód na swoje cele uzyskać mogły, podobnie jak to praktykują syndykaty rolnicze we Francyi. Również upowszechnienie ubezpieczeń życiowych a nawet od wypadków w ten sposób łatwiejszeby było[3].

Niemniej ważną sprawą byłoby podjęcie inicyatywy co do ubezpieczenia bydła za pośrednictwem małych miejscowych spółek asekuracyjnych — jak np. w Belgii i we Francyi, o czem na innem miejscu pisałem[4].

W r. 1897 rozpoczął zarząd główny pracę nad rozpowszech-

[1] *Przewodnik Kółek rolniczych* nr. 6 i 16.

[2] Str. 29 oraz nr. 20 *Przewodnika Kółek rolniczych* r. 1898.

[3] „Syndykaty rolnicze“ j. w., str. 72.

[4] P. nr. 28 *Tyg. roln.* z 1898 i „Syndykaty roln.“, por. też ks. Lipke, „Z Ruchu agrarnego w Belgii“. *Przegl. Powsz.*, paźdz. 1898. Bardzo pouczające fakta!

nianiem spółkowych kas oszczędnościowo-pożyczkowych systemu Raiffeisena. Wprawdzie już od r. 1890 zakładano corocznie po parę kas, lecz były one dopiero pionierkami torującemi drogę i zbierającemi doświadczenia na naszym gruncie, dotąd obcym tej myśli. Teraz czas nadszedł do działania — tem bardziej, że sklepiki już przełamały główne trudności i obudziły ducha przedsiębiorczości handlowej — do rozwoju kas niezbędnie niemal potrzebnego. To też ankieta przez zarząd główny urządzona uznała potrzebę rozpoczęcia akcyi w tym kierunku, a zarząd główny wniósł do Wydziału krajowego w tej sprawie świetnie zredagowany memoryał.

Pięknie podnosi on, że kasy Raiffeisena oceniać należy nie jednostronnie ze stanowiska kredytu wiejskiego, który może być przez inne organizacye zaspokojony, lecz przyznać im należy szersze zadania: są one bowiem wiejskiemi kasami oszczędności, wnoszącemi w te sfery wszystkie dobrodziejstwa gospodarcze i wychowawcze tych instytucyj, które u nas prawie w większych tylko miastach się znajdują; następnie są one szkołą ekonomicznej organizacyi i solidarnej działalności, łączącą na gruncie najodpowiedniejszym, bo własnej gminy lub parafii, wszystkie dodatnie żywioły pod światłym kierunkiem obywatelskiej inteligencyi, co podnosi ich doniosłe znaczenie społeczne. Niemniej jednak są one najodpowiedniejszą formą, w jakiej zorganizować można kredyt wiejski, mający swoje odrębne całkiem warunki od kredytu kupieckiego.

Jak dalece zresztą sięga u włościan potrzeba kredytu osobistego, dowodem fakt, że w 130 stowarzyszeniach kredytowych należących do związku stow. gospodarczych i zarobkowych aż 71% jest rolników czyli okrągło blizko 120.000 — zaś w 240 niezwiązkowych (żydowskich) przynajmniej 40.000[1]. A wszakże wiadomo, jak mało mogą mieć włościanie zrozumienia rzeczy w tych towarzystwach, a zatem i wpływu. Towarzystwa zaliczkowe daleko od dłużników, w mieście się znajdujące, łączące

[1] XXIV. Rocznik Stow. zarobkowych i gosp. Lwów 1898. Tab. III.

ludzi nieznanych sobie, mają znaczniejsze koszta zarządu i bardziej skomplikowane formy działalności, nie mogą więc tak dodatnio i wychowawczo działać jak małe spółkowe kasy, łatwo dostępne dla każdego, w swojem działaniu zrozumiałe dla włościan i w dodatku tańsze. Gdy bowiem spółkowe kasy pobierały od pożyczek przeważnie 7%, to prawie połowa towarzystw związkowych brała 8%, a z niezwiązkowych blizko $^4/_5$ ściągały od 8—12%. Zważmy nadto, że w towarzystwach niezwiązkowych — żydowskich — włościanie, jak sprawozdanie związku zaznacza, nie są dopuszczani do zarządu i nie mogą mieć pojęcia o stanie interesów towarzystw urzędujących po niemiecku i usuwających się z pod kontroli publicznej, dalej, że muszą płacić wysokie odsetki i prowizye, a przyjdziemy łatwo do przekonania, że jest to wielkiem i obywatelskiem zadaniem kas spółkowych owe 40.000 włościan wyratować z żydowskich *Vorschuss- und Credit-Verein*'ów. Towarzystwa zaś związkowe, które mają los 120.000 włościan w ręku, zmuszone będą tem samem do obniżenia stopy procentowej, aby się zrównać ze spółkowemi kasami, które tańszego udzielać będą kredytu.

Jest to jedyny środek poskromienia nadużyć żydowskich towarzystw kredytowych, do którego tak dawno już się nawołuje bez skutku — podobnie jak jedynym środkiem zapobieżenia fałszowaniu nawozów sztucznych jest zbiorowe zakupno tychże przez spółki lub towarzystwa rolnicze na podstawie wyników analiz kontrolnych. Szkodliwą działalność społeczną tylko czynnem a dodatniem przeciwdziałaniem ubezwładnić można. Następnie przedstawia memoryał sposoby, któremi sejmy wszystkich prawie krajów koronnych popierają rozwój kas raiffeisenowskich, a które nasz Wydział krajowy również za swoją normę przyjąć zamierza. Jest to droga pośredniego tylko poparcia, usuwania przeszkód i wyjednywania ulg administracyjnych i podatkowych, kontrolowania kas, udzielania im subwencyj na pierwsze koszta założenia, wreszcie utworzenia funduszu pożyczkowego celem udzielania nizko oprocentowanych pożyczek na chwilowe uzupełnienie kapitału obrotowego. Droga ta

przy której pierwszy krok, tj. założenie kasy, wyszukanie odpowiednich ludzi, należy do inicyatywy miejscowej, okazuje się podług poczynionych dotąd doświadczeń najlepszą. Że zaś wybór kas systemu Raiffeisenowskiego jest najodpowiedniejszy, dowodzi tego okoliczność, iż kasy te na gruncie stosunków austryackich tak szybko i pomyślnie się we wszystkich niemal krajach koronnych monarchii rozwijają[1]; dalej rozpowszechnianie się tychże we Francyi i Belgii, w ostatnich czasach coraz szersze przybierające rozmiary[2]; wreszcie fakt, że lud polski nietylko na Ślązku pruskim i austryackim i w Poznańskiem[3], lecz już i w naszym kraju do tej instytucyi okazuje zaufanie, jak o tem świadczy znaczna już liczba (przeszło 20) czynnych kas.

O ich stanie daje nam pojęcie następująca tablica, wyjęta z Memoryału, a uzupełniona podług *Przewodnika Kółek roln.*

Kasy Raiffeisenowskie w Galicyi

Miejscowości	Stan z końcem roku	Liczba członków	Kwota udziałów złr.	Suma wkładek złr.	Stan udzielonych pożyczek złr.	Stopa procentowa od wkładek	Stopa procentowa od pożyczek	Fundusz rezerwowy złr.	Koszta administracyi złr.	Obrót kasowy złr.
Czernichów. . .	1897	713	709	57.808	57.489	4½	6	2.543	555	99.319
Tarnobrzeg. . .	„	765	765	41.126	40.995	6	7½	300	810	84.173
Tyczyn	„	309	309	33.937	33.900	5½	7	280	462	68.548
Gać.	„	413	413	35.334	35.388	6	7	1.043	231	39.928
Iwonicz	1896	280	303	22.510	23.430	5½	7	278	126	41.856
Baranów	1897	306	299	14.901	15.222	5½	7	500	116	32.671
Rudawa.	1896	195	498	7.148	7.077	5	6½	?	78	17.730
Dobra	1897	80	80	4.781	4.572	—	—	184	155	15.224
Gawłuszowice.	„	102	102	6.201	6.215	6	7½	75	156	14.716
Stronie	„	78	77	5.751	5.936	4½	6	96	25	9.913
Radomyśl. . . .	1896	173	59	5.721	5.661	5½	7	?	14	9.796
Folwarki	1897	94	472	3 135	3.613	6	8	117	54	12.042
Wesoła	„	223	223	2.670	2.868	5½	7	123	3	2.791
Grębów	1896	116	116	1.054	1.115	6	7½	?	?	3.947
Maryampol. . .	„	43	58	991	745	4	6	47	23	2.780
Bachórz	„	50	50	869	864	5	6½	18	36	461
Razem 16 kas. .		3.940	4.533	243.937	245.090	4—6	6—8	5.604	2.844	455.895

[1] P. „Memoryał o kasach Raiffeisena“, s. 8—11.

[2] P. „Syndykaty roln.“ str. 59—70 i *Tyg. Roln.* z 1898, nr. 26.

[3] Kółka założyły tam 14 spółek pożyczkowych Raiffeisena, p. XXIV. *Rocznik* j. w. s. XXV i XXXIV.

Pomimo zestawień niejednakowych (z dwóch lat 1896 i 1897), widzimy, iż obrót kasowy dochodzi pół miliona złr. przy kapitale własnym zaledwie 4.533 złr. wynoszącym. Wysokość udzielonych pożyczek nieznacznie tylko przenosi cyfrę wkładek oszczędności, która przedstawia niemal sumę ćwierć miliona. W kilku nawet kasach suma wkładek przenosi wysokość udzielonych pożyczek. Fundusz rezerwowy przedstawia już poważną sumę 5.600 złr. Koszta zaś administracyjne dochodzą zaledwie 2.844 złr. Wynoszą one tedy 0·64% obrotu kasowego (w niemieckich kasach r. 1896 były one 0.23%) lub 72 ct. na jednego członka (podczas gdy w niemieckich wypadało przeciętnie po 4·50 mk. = 2·70 złr.[1].

Z wyjątkiem dwóch kas: w Maryampolu i Folwarkach, opartych na ograniczonej poręce, wszystkie inne przyjęły nieograniczoną, wbrew dawniej wygłaszanemu mniemaniu, iż takowa u nas się nie przyjmie.

Memoryał kończy się prośbą do Wydziału krajowego „o udzielenie zasiłku na wydanie wzorowego statutu, instrukcyi, formularzy i podręcznika, dalej o wyjednanie u Wys. Sejmu kredytu, celem pokrycia kosztów założenia nowych spółek, kontrolowania już istniejących i udzielania pożyczek na pierwsze potrzeby kredytowe, wreszcie o zapewnienie Towarzystwu Kółek rolniczych stałego wpływu przy zakładaniu, kontrolowaniu i patronowaniu takich kas, które korzystać będą z materyalnej pomocy funduszu krajowego".

Ankieta ułożyła również wzorowy statut dla tych kas, który kosztem Towarzystwa został w 2.000 egzemplarzy wydrukowany i rozdany. Przystósowany on jest do wszystkich wymogów, stawianych przez ustawy skarbowe, od których zależne są ulgi stemplowe oraz uwolnienie od ogólnego podatku zarobkowego i rentowego. Zarazem zaś odpowiadają te postanowienia istocie kas raiffeisenowskich i duchowi, jaki je ożywiać powinien. Tylko co się tyczy rozporządzenia, wykluczającego stanowczo użycie weksli — jak tego domagają się ustawy

[1] *Jahrb. des allg. Verbandes d. landw. Genossch.* j. w. s. 122.

skarbowe — należałoby zawczasu rozpocząć starania celem uwolnienia się od tego przepisu; wprawdzie na początek i bez weksli kasy będą dobrze funkcyonowały, jednak w dalszym rozwoju będzie im to przeszkodą, zwłaszcza do rozszerzenia swojej działalności na rzemieślników i kupców wiejskich. Kredyt wekslowy praktykuje się w kasach Raiffeisena tak w Niemczech, jak we Francyi, a nie można wnosić, aby operacye wekslowe miały być tak bardzo zyskowne, iżby wykluczały uwolnienie podatkowe. Bardzo słusznem jest postanowienie, że cel pożyczki ma być rzetelnie podany, w razie zaś użycia jej na inne cele, pożyczka ma być wypowiedzianą. Zresztą wady lub zalety statutu okażą się w praktyce.

Szczególnie ważną formą udzielania pożyczek może być w kasach spółkowych wypłacanie sklepikom Kółkowym należytości za nawozy, nasiona, maszyny oraz większe ilości towarów spożywczych lub innych, na których zapłacenie członek Kółka na razie pieniędzy nie ma, a zamiast których podpisuje skrypt dłużny do kasy, w dogodniejszym dla niego czasie spłacalny. Sklepiki będą przez to wolne od zgubnego a niedopuszczalnego „borgowania“, będą miały gotówkę obrotową, rzecz, jak wiadomo, wielkiej dla nich wagi, a włościanom odpadnie pokusa uciekania się do łatwego niby, a zdradzieckiego żydowskiego kredytu. Kasy zaś będą miały rękojmię, że pożyczka na nieodpowiednie cele użytą nie będzie.

Ważny krok naprzód zrobiło Towarzystwo przez przyjęcie nowego, obszerniejszego statutu, przedłożonego przez zarząd główny na ostatniem walnem zgromadzeniu, po uwzględnieniu życzeń, podniesionych przez walne zgromadzenie w N. Sączu (r. 1897), oraz zarządy poszczególnych Kółek i Związków powiatowych. Statut dawny dopuszczał wiele wątpliwości pod względem prawnym, które stanowiły zawadę pomyślnego rozwoju Kółek i związków tychże, a które statut nowy usuwa zupełnie. Zostawiając poszczególnym Kółkom wcale obszerną samorządność w sprawach własnych, określa on dokładniej sposób działalności i wewnętrzne ich urządzenie, oraz organi-

zacyę związków powiatowych, oraz okręgowych. mających wprowadzić odrębne zarządy, zgromadzenia i zjazdy.

Wskazanemby tu było dodać do organizacyj powiatowych związki okręgowe, które podobnie jak tamte zorganizowane, obejmowaćby mogły kilka (2—5) powiatów. Taka organizacya umożliwiłaby z jednej strony Kółkom bardziej rozwiniętym podjęcie przedsiębiorstw na większe rozmiary, a z drugiej podniosłaby znacznie działalność ich tam, gdzie z powodu szczupłej liczby Kółek lokalnych związki powiatowe słaboby tylko funkcyonować mogły.

Że wobec tego zarząd główny będzie miał wolniejsze ręce do czuwania nad ogólnym biegiem rozwoju całej instytucyi Kółek rolniczych i do inicyatywy w sprawach całość tejże obchodzących, to łatwo zrozumiałe, a bardzo korzystne na przyszłość. Dawne walne zgromadzenie otrzymuje nową nazwę Ogólnej Rady czyli zebrania delegatów; wykluczono z niego członków wspierających Towarzystwa, którym natomiast przyznano głos stanowczy na zgromadzeniach powiatowych, przez co decyzya tego naczelnego organu prawodawczego Towarzystwa zawisłą staje się od samych Kółek, t. j. od delegatów przez nie (po jednym na 5) ze zgromadzeń powiatowych wysyłanych, którzy oczywiście będą mieli większość nad członkami zarządu głównego i członkami założycielami Towarzystwa.

W ten sposób organizacya przyjmuje poniekąd zasadniczo odpowiedniejszy charakter związku poszczególnych Kółek, mających samodzielnie rozporządzać swojemi sprawami w przeciwstawieniu do dawnej organizacyi, noszącej znamiona opieki ludzi dobrej woli nad losami Kółek, która dawniej była bardzo pożyteczną, nawet niezbędną. Dziś, wobec postępu sprawy, należy ją oprzeć na trwalszej podstawie samodzielności, co bynajmniej nie ma znaczyć lekceważenia tejże opieki, która owszem jeszcze intenzywniejszą stać się powinna; tylko jej punkt zaczepienia przenosi się niżej, do podstaw, do Kółek i związków. przez co ona przecież wpływu na kierowanie sprawą nie straci, lecz owszem bardziej go. choć mniej widocznie. ugruntuje.

W tym samym kierunku zmierza też zaprowadzenie rocznych zasiłków do kasy związków powiatowych ze strony przynależnych Kółek, z których każde wysokość tychże na ogólnem swojem zebraniu ma oznaczyć. Jest to zawiązek późniejszych wkładek regularnych, także i do kasy zarządu głównego, które w przyszłości dozwolą całej instytucyi stanąć silniej na własnych nogach.

Równocześnie z zebraniem delegatów odbywać się ma walne zgromadzenie członków Towarzystwa, które będzie właściwie zjazdem, mającym przez wystawy, odczyty i t. p. ożywić wzajemne stosunki między członkami i przyczynić się do poznania różnych okolic kraju.

Wszelkie spory ze spraw niemajątkowych Towarzystwa między członkami wyniknąć mogące rozstrzygać ma nieodwołalnie sąd polubowny z wykluczeniem drogi prawnej. Że wogóle sądy polubowne ważną w Kółkach odegrać mogą rolę, poucza przykład syndykatów rolniczych francuskich, oraz Kółka w Sokalu [1].

Postanowienie, że z rozwiązaniem Towarzystwa rozwiązują się wszystkie jego organa, a więc i poszczególne Kółka, należałoby ograniczyć na sam związek tylko, bo miałoby to zbyt bolesne skutki.

Pamiętajmy zaś, że strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Nawiązując do załączonego zamknięcia rachunków, które wykazuje 22.128 złr. w rozchodach, podnosi sprawozdanie zarządu głównego, „że wspólne potrzeby Towarzystwa pokrywane są prawie wyłącznie ze subwencyj, udzielanych przez państwo, kraj i inne instytucye. Wkładki członków wspierających, a do nich należą Kółka rolnicze, wynoszą zaledwie 416 złr., a więc około 2% całej sumy dochodu!“

Wspierających członków liczą tedy Kółka nie więcej, jak 104, pomiędzy którymi znajduje się wielu członków zarządów głównego i powiatowych. Tak nizka cyfra, (zapewne dlatego, że wkładka wynosi 4 złr.!), bardzo smutne wystawia świadectwo na-

[1] Spraw. z lustr. gosp. 1897 r. Str. 41—42.

szej chęci podniesienia stanu włościańskiego, tak często z naciskiem głoszonej. A nie można się łudzić, że wkładki wpływają wprost do zarządów powiatowych, bo i o nich sprawozdanie mówi, że nie mają prawie żadnych środków działania.

Biuro i Wydział wykonawczy zarządu głównego załatwiały jeszcze dla Kółek wiele spraw administracyjnych, podatkowych, rolniczych, hodowlanych, handlowych i innych. Tu możnaby zwrócić uwagę na doniosłość, jakąby mieć mogło pod względem gospodarczym i społecznym zorganizowanie pomocy prawnej przez Kółka rolnicze.

Nie od rzeczy będzie dla oświetlenia pracy biura zarządu głównego podać, iż weszło doń 2.910 ekshibitów, wyszło zaś przesyłek wszelakich przeszło 8.000, nie licząc wysyłki *Przewodnika* dwa razy na miesiąc po 1.600 egzemplarzy.

Sprawozdanie kończy zarząd główny oświadczeniem, iż spełniał swoje zadanie w miarę sił i możności i że ogółowi pozostawia ocenę jego pracy. Nie może ona inaczej jak najpomyślniej wypaść dla niego, a wtedy wyrazem jej powinno być poparcie pracy Towarzystwa, żywsze niż dotąd, o które zarząd w ostatnich wierszach gorąco uprasza.

Niepłonną jest chyba nadzieja, że rozwój Kółek coraz żywszym postępować będzie krokiem, zwłaszcza przy pomocy zarządów powiatowych z nowego statutu do gorliwej pracy pobudkę czerpiących.

Ale w tym razie byłoby wskazanem, aby w przyszłości sprawozdania Towarzystwa także i czynności, jakoteż i zamknięcia rachunkowe wszystkich zarządów powiatowych, czy okręgowych w przejrzystem, lecz możliwie dokładnem zestawieniu, obejmowały. Kraj i społeczeństwo, które bądź to koszta łożą, bądź współdziałają w tej pracy niech mają dokładny obraz jej wyników i kierunku, niech znają gorliwych i opieszałych, niech widzą dobre przykłady i postępy, niech znają punkty, w których z pomocą pośpieszyć należy, a wtedy współpraca ogółu zapewne energiczniejszą się stanie. Wówczas i Kółka i ich kierownicy, którzy dziś często o doświadczeniach przez się poczynionych wzaje-

mnie nie wiedzą, będą mogli z tej skarbnicy korzystać, tak że zwiększony na obszerniejsze sprawozdania wydatek sowity plon przyniesie.

Że nietylko pożądaną, ale i konieczną jest jak najspieszniejsza statystyka przedsiębiorstw Kółkowych, dla jasnego zdania sobie sprawy ze stanu ich i potrzeb i dla ustrzeżenia ich przed zboczeniami, co wszystko dopiero z wielkiej liczby, z tablic statystycznych widocznem się staje, to powszechnie rzecz uznana.

A tyczy się to spółkowych kas, mleczarni, piekarni, rzeźni i t. d., ale przedewszystkiem sklepików wiejskich.

Gdyby zarząd główny, przy pomocy powiatowych, postarał się o zebranie dat odnośnych, nie można wątpić, iż krajowe biuro statystyczne wzięłoby na się opracowanie tych materyałów, oraz ich publikacyę; wszak to dla dobra ogółu.

Z tego acz pobieżnego przeglądu przekonujemy się, że Kółka rolnicze oddały ludowi naszemu, a zatem i społeczeństwu całemu, poważne już usługi, oraz że w przyszłości powołane są do oddania jeszcze znaczniejszych. Urzeczywistnienie ich zależeć zdaje się od spełnienia następujących warunków ze strony Kółek, społeczeństwa i kraju.

Co się tyczy Kółek samych i ich Towarzystwa wskazane byłyby:

1) Ściślejsza łączność z Kółkami rolniczemi W. Ks. Poznańskiego i wogóle z podobnemi instytucyami na ziemiach polskich się rozwijającemi, dla czerpania ożywczej inicyatywy i rodzimych wzorów działania.

2) Współdziałanie z krajowemi towarzystwami rolniczemi, zwłaszcza dotycznie nabywania nawozów, pasz, nasion, maszyn i t. p., jakoteż z innemi krajowemi stowarzyszeniami o celach szczegółowszych, w odnośnych zakresach działania.

3) Samoistna i energiczna praca zarządów powiatowych i okręgowych we własnych zakresach.

4) Organizacya składów hurtownych okręgowych, któreby zarazem mogły zastąpić spółki spożywcze dla ludności miejskiej.

5) Łączenie się w związki przemysłów wiejskich, jak mleczarń, piekarń, rzeźni i t. d., oraz utrzymywanie ścisłych stosunków z przemysłem domowym i wogóle swojskim.

6) Obejmowanie agentur Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, oraz zakładanie małych miejscowych spółek ubezpieczenia bydła.

7) Dokładne sprawozdania i statystyka, dla należytego zużytkowania doświadczeń i dawania ogółowi jasnego obrazu każdoczesnego stanu sprawy.

Społeczeństwo nasze ma zadanie wspomożenia Kółek czynnego i moralnego: inteligencya wiejska przez współpracę w zarządach i kierownictwo, warstwy miejskie przez poparcie składów okręgowych w dobrze zrozumianym interesie rozwoju spółek spożywczych i zbliżenia wzajemnego wytwórców i spożywców.

Do kraju zaś należy dokonanie zadań, przechodzących siły Kółek i niezasobnego społeczeństwa, a więc:

1) Rozpowszechnienie wykształcenia handlowego między ludnością chrześcijańską, zwłaszcza przez rozwój szkolnictwa handlowego, mianowicie praktycznego.

2) Staranie się, aby użytkowanie monopolów państwowych czy krajowych, jak myt, propinacyj, sprzedaży tytoniu, soli, książek szkolnych i t. d., dokonywało się z jak największą korzyścią dla ludności ponoszącej ciężary, a z pominięciem wszelkiego wyzysku, o tyle więcej nienawistnego, że dokonuje się niejako z poparciem i na korzyść całego jakby społeczeństwa. Nawet na gruncie obowiązujących ustaw dużo można zrobić dobrego w tym kierunku.

3) Energiczne poparcie rozwoju przedsiębiorstw Kółek rolniczych, oraz spółkowych kas oszczędnościowo-pożyczkowych tak finansowe, jak i moralne.

Główne zadanie przypada społeczeństwu sa-

memu. Pomijając już okoliczność, że kraj wtedy coś może zrobić, gdy społeczeństwo uzna tego potrzebę i akcyi zażąda, widzimy, iż zadaniem społeczeństwa jest rzecz najtrudniejsza, a jednak najważniejsza dla powodzenia tej sprawy, a przez to i dla dobra jego własnego. Ono bowiem dostarczyć ma ludzi chcących, ale i umiejących pracować na tem polu, a w tem go nikt zastąpić nie zdoła!

W kraju naszym, przeważnie rolniczym, podniesienie społeczne i kulturne szerokich warstw ludności wiejskiej jest jednym z głównych punktów wyjścia w pracy nad podźwignięciem kraju i społeczeństwa wogóle.

Ludność nasza rolna dziś albo marnotrawi siły swoje w przymusowem lenistwie, albo pracuje na pożytek czy to wyzyskiwaczy pasożytnych, czy też obcych organizmów społecznych wskutek wychodźtwa mniej lub więcej czasowego do Niemiec, Węgier, Ameryki i t. d. To jako producent; zaś jako konsument, jeżeli wchodzi w rachubę, to przeważnie jako odbiorca obcych produktów i przetworów, obcym znowu korzyść przynosi.

Że społeczeństwo w obu wypadkach źle na takim stanie rzeczy wychodzi, to rzecz jasna, a dla przyszłości jego źle wróżąca. Jak więc społeczność nasza wszelkich sił dokładać musi do wydźwignięcia się na wyższy a równomierniejszy stopień kulturnego rozwoju i to we wszystkich dziedzinach życia społecznego, tak i w sprawie podniesienia ludności rolnej wszystkie warstwy społeczne do pracy rękę przyłożyć powinny według swych sił i sposobności do działania, zwłaszcza jednak według korzyści, jakie z ustroju społecznego odnoszą, a więc w miarę swych obowiązków społecznych. A praca ta wszakże im samym na dobre wyjdzie, bo w żywym organizmie ze zdrowych i silnych jego członków wszystkie inne mają swój pożytek.

Droga do tego nie jest trudna, jeżeli tylko chęci są po temu.

Wskazał ją w odpowiedzi na jubileuszowy hołd Kółek, czcigodny Protektor ich, złotousty kaznodzieja, ksiądz arcybiskup Isakowicz:

„Jeśli chcecie, drodzy moi, by ziemia wasza zawsze pozostawała w waszem ręku, pracujcie wzorem ojców waszych w zgodzie, w imię Boże!... Kochajcie swą ziemię, pracujcie na niej z ochotą, wspomagajcie się wzajemnie".

Te złote słowa drogowskazem powinny być nietylko dla Kółek – lecz i dla całego społeczeństwa!

Tadeusz Kudelka.

JERZYK, KRÓL CZECHÓW.

(CHARAKTERYSTYKA).

(Dokończenie).

Chętnego wykonawcę do spełnienia trudnego zadania strącenia Jerzyka z tronu pozyskano w osobie Macieja, dzielnego króla Węgrów. Ażeby nie zrażać Kazimierza dla sprawy ligi, oświadcza w imieniu króla węgierskiego Protazy, biskup ołomuniecki, w Krakowie, iż wystąpienie jego przeciwko Jerzykowi nie ma na celu zaprzeczenia pretensyj polskich do tronu czeskiego, i poddaje równocześnie projekt oddania ręki królewnej królowi Maciejowi. Projekt ten wszelako z niewłaściwem odrzucono w Krakowie oburzeniem. Pomiędzy dwoma chytrymi i pragnącymi się nawzajem do ostateczności wyzyskać politykami stanął energiczny i waleczny Maciej Huniady.

Odwrócenie niebezpieczeństwa za pośrednictwem Polski wymagało już jakiejś większej ofiary. Jerzyk bowiem, zagrożony przez Śląsk, przez ligę i Macieja, byłby z pewnością tron postradał, gdyby tylko Kazimierz zechciał się był przychylić i popierać dążenia węgierskiego króla. Najbardziej upragnioną myślą Jerzyka było, zostawić koronę w spuściźnie swemu synowi. To też teraz przedkłada on w Krakowie, że chętnie postara się, aby w zamian za pośrednictwo króla Kazimierza w sprawie pokoju pomiędzy Czechami a Węgrami, po zgonie jego stany czeskie wybrały królewicza Władysława królem Czech, co więcej,

zgadza się, aby królewicz był koronowany, byle tylko on w dożywocie przynajmniej mógł piastować koronę.

Mniejsza o to, czy propozycya ta była szczerą, czy obłudną, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że gdyby Kazimierz był przyjął podówczas koronę od Jerzyka, byłby równocześnie zrezygnował z pretensyi do dziedzictwa. Są to kwestye podrzędnej wagi, ale faktem istotnie ważnym pozostanie to, że Jerzyk musiał się już rozstać z myślą pozostawienia korony w spadku dzieciom. W dodatku — spotyka jeszcze Jerzyka i to upokorzenie, że Kazimierz, nie chcąc się kompromitować przez zawarcie stałego związku z kacerzem osamotnionym, odrzuca jego propozycye i zaledwie odważa się ofiarować swe pośrednictwo. A było to w chwili, kiedy równocześnie na Morawach, Łużycach, na Ślązku i w Bawaryi wybuchła wojna, która wstrząsnęła posadami tronu Jerzykowego. Co więcej, gdy Maciej w czerwcu posłów polskich z niczem odprawił, odsyłając ich do cesarza i papieża, zwracają się oni do Jerzyka i jakby dla ironii rokują z nim bardziej w sprawie wyboru królewicza Władysława, aniżeli w jego własnej sprawie. Natomiast legaci papiescy, którzy hojnie obsypali Macieja środkami materyalnemi na cele wojny, ofiarowują Jerzykowi pośrednictwo, ale pod warunkiem, że odstąpi Maciejowi w zastaw zamek praski, Karlowy Tyn, Kładzko, Spielberg i Hradisz. Był to tryumf Węgra, ale zarazem i tryumf Kościoła nad Jerzykiem i jego dążeniami. Opuścił go cały świat, a nawet Polska, której królewiczowi on w imię słowiańskiego języka ofiarowywał czeską koronę.

Był to upadek, z którego nie podźwignęły Jerzyka nawet chwilowe zwycięstwa, jak owe pod Willemowem, gdzie obaj królowie zgodzili się na kongres w Ołomuńcu. Igraszkami wielkanocnemi nazwał Jerzyk ten zjazd w kwietniu 1470 r. odbyty; on bowiem z niczem odjechał, podczas gdy panowie z ligi Macieja dnia 4 maja w katedrze ołomunieckiej uroczyście ukoronowali na króla.

Wiedział o tem upokorzony i uginający się pod brzemieniem winy Jerzyk, że cios przez koronacyę ołomuniecką zadany, zarówno dotykał jego, jakoteż i króla Kazimierza. Korzystając

z tego, a zarazem pragnąc zniewolić króla Kazimierza do podania mu pomocnej ręki przeciwko Maciejowi i lidze, poleca sejmowi w Pradze wybrać królewicza polskiego „w imię słowiańskiego języka“ na swego następcę. Kazimierz miał w zamian za to, w myśl projektów Heimburga, pojednać Czechów z papieżem, obronić od Macieja i od ligi, a syna ożenić z córką Jerzyka, Ludmiłą.

Bezskuteczną jednak była apelacya do *linguagium slavonicum*. Nawet ta nowa ofiara została przez Kazimierza odrzuconą, i to w sposób nie pozostawiający Czechowi żadnej wątpliwości o zwycięstwie Kościoła. Ofiarujących synowi koronę czeską posłów odesłał Kazimierz do decyzyi papieża, oświadczając stanowczo, że bez papieskiej woli niczego w sprawie czeskiej nie postanowi. Nawet sejm listopadowy 1470 r. uchwalił wysłać poselstwo do papieża, celem uzyskania prawa dziedzictwa do tronu czeskiego dla królewicza Władysława Jagiellończyka.

Podówczas to po raz ostatni w życiu serce Jerzyka przeniknęła na krótką chwilę skrucha. „Nigdy nie miałem zamiaru obrazić Ojca świętego — pisał do Rzymu — chociaż niesłusznie gniewu jego doświadczałem. Nigdy nie uważałem się za odstępcę od Kościoła katolickiego, w którym jedynie można uzyskać zbawienie. Jeżeli jednak w czem odstąpiłem od wiary świętej, nie uczyniłem tego w złym zamiarze. Dlatego też lubo dzieło zgody z Rzymem poruczyłem królowi Kazimierzowi, to jednakowoż dodatkowo posyłam teraz swego posła“.

Po tej przelotnej chwili skruchy wraca rozpacz do serca opuszczonego przez wszystkich Jerzyka. Zwycięski bowiem Maciej w głąb Czech dociera, zmuszając całą rodzinę Jerzyków: ojca, żonę, Pohannę z Rozmilatu, obydwóch synów, do rozpaczliwej obrony. I gdy Kazimierz, pilnujący sprawy swego syna, spieszy z pośrednictwem w obozie pod Milenowicami, Jerzyk już nie ufa „Słowianinowi“, lecz wraca do dawnych planów i przyjaciół, i usiłuje za pośrednictwem Karola Burgundzkiego, Sasów, Brandenburgii, utrzymać się przy zachwianym tronie. Ale tu zaskoczyła go śmierć. Opuszczony od wszystkich, w przekonaniu, że nie zdoła utrzymać korony w swym rodzie,

w rozpaczy, że jedyny cel życia stał się wprost ułudą bez błogosławieństwa Kościoła — *damnatae memoriae*, jak mówi papież Sykstus IV. — umiera Jerzyk... na żółciową chorobę...

W upadku jego jest pewne stopniowanie. Nasamprzód oparł on dumne zamysły na opozycyi, którą, idąc za poradą d-ra Maira, do swoich celów nagiąć usiłował: następnie, gdy cele swe oprzeć zamyślił na cesarzu, który go w tej mierze daremnie przestrzegał, upada niżej i staje się bawidełkiem awanturnika Mariniego; wreszcie gdy papieża oszukać zamyśla, staje się narzędziem gburowatego rzecznika Heimburga. Z pysznego, jaśniejącego blaskiem, współzawodniczącym z dworem polskim i węgierskim, otoczenia ustąpili katoliccy magnaci czescy, bogate mieszczaństwo niemieckie... ustępując miejsca natomiast ponurym, o groźnej twarzy i posępnem oku, o bezlitosnem sercu i fanatycznym umyśle kondotierom... głośnym żebrakom. Był to widok, zdolny przejąć głęboką świadomością harde serce Jerzyka, że wszystkie jego plany i pomysły rozwiewały się jak obrazy powietrzne za podmuchem mroźnego wichru, że korona jak mgła niknęła z przed oczu, a tron własny załamywał się pod jego stopami.

IV.

Charakterystyka Jerzyka. — Znaczenie jego panowania w Czechach. — Znaczenie panowania w dziejach cywilizacyi.

W końcu zapytajmy się, kim był ów głośny król Jerzyk, o którym największy jego przeciwnik, historyk Długosz wyrzekł, że łączył prostotę gołębicy z roztropnością gadu, jakie jego znaczenie, jakie zasługi wobec Czech, wobec świata i cywilizacyi? Czy ruchliwemu jego życiu, czy tym związkom, dzięki którym urósł w znaczenie, czy tym przymierzom i projektom reform, dzięki którym utrzymywał się przy tronie, czy głośnej owej chwale, jaką się cieszył wśród Czechów, lub sławie wojennej, odpowiadają jakie istotne zasługi o trwałem znaczeniu, jakie dzieła cywilizacyjne?

Gdy zapytamy, kto wśród władców XV. wieku był bardziej troskliwym o skarb państwa, o podniesienie handlu, o przemysł,

to niezawodnie pomiędzy pierwszymi w tym kierunku, wskazać należy na Jerzyka. To pozostanie pewnikiem, że te sprawy jakoteż ustalenie dochodów państwowych, utrwalenie wartości monety zajmowały gruntownie jego umysł, że obradował on nad niemi ze swoimi zaufanymi, z zagranicy sprowadzanymi doradcami. Jerzyk zachwalany przez Długosza jako zdolny kierownik spraw publicznych, należał do panujących, jakbyśmy to dziś powiedzieli, dbałych o realne korzyści... był monarchą zbliżonym do dzisiejszych czasów, do przeciętnego ideału, jaki dzisiaj za taki bywa ogólnie uważany. Wszakże podźwignął się na tron własnym talentem, otaczał się zręcznymi i zdolnymi ludźmi, a co już dzisiaj za idealną poczytują mu cnotę, przyświecał tolerancyą.

Jakaż tedy była przyczyna, że pomiędzy temi zaletami i zasadami a czynami Jerzyka, pomiędzy spełnianiem obowiązków króla i elektora, a dążeniami do najwyższych zaszczytów taka panuje niezgoda? Jest niezawodnie jakaś nierównomierność pomiędzy chęcią a czynem, brak równowagi pomiędzy zamysłem a wolą jego. Pomimo zachwalanych przymiotów realnego i praktycznego Słowianina, są chęci, są zamysły Jerzyka niejasne i mgliste; brak im wyrazu indywidualnego. Znamieniem jego czynów jest ustawiczne wahanie się.

Czyż powodem tego miałyby być jakieś wady w charakterze z powodu wychowania lub też jakieś nieprawidłowości w organizmie Jerzyka? Ta druga wszakże, nadmierną się objawiająca otyłością, prześladowała Jerzyka dopiero w późniejszym okresie jego rządów, a co do wykształcenia, to jakkolwiek nie otrzymał go w kierunku humanitarnym, jakkolwiek oprócz czeskiego żadnego innego nie znał języka, jakkolwiek sam wcale nie pisał i wogóle dla rzeczy pisanych mało zmysłu posiadał, to jednakowoż tak obszernym rozporządzał zasobem wiadomości, że śmiało go można było uważać za stojącego na wysokości ówczesnej nauki męża. Sam Eneasz Sylwiusz oddaje pochwałę bystremu jego umysłowi, a o sztuce rządzenia dają chlubne świadectwa tak pochlebcy, jakoteż i przeciwnicy Jerzyka. Również i przeciwko wychowaniu jego, z jedynym wyjątkiem co

do gminności w obejściu się z legatem Fantynem, nie możnaby podnieść takich zarzutów, żeby aż przypisywać tej wadzie chwiejność i wahanie się Jerzykowe.

A więc gdzież szukać klucza do owej zagadki? Dlaczego to bystry, zdolny, pełen energii król staje się kolejno wykonawcą pomysłów Maira, Mariniego, Heimburga: z jakiej przyczyny bierze fantastyczne pomysły za rzetelną prawdę? Jak fantastycznemi były owe pomysły, tak też w gruncie rzeczy jałowym był rezultat rządów Jerzyka. Bo i cóż w gruncie rzeczy osiągnął on po dłuższym okresie swych rządów? Czy to, że żelazną ręką utrzymywał ład w Czechach, że bojaźnią, grozą, srogością trzymał w odosobnieniu od reszty świata kraj swój o zacofanej cywilizacyi, że rozluźnił związki z Zachodem i pogłębił rozdział z Rzymem?

Zanim wyjaśnimy pytanie, dlaczego to panowanie Jerzyka jest groźnem, choć obfituje w plony opatrznych rządów, okryte blichtrem a nie rzetelną sławą, przypatrzmy się innym jeszcze cechom charakterystycznym jego rządów. Oto posiadają one to znamię, że każdy ich okres uważany sam dla siebie bez związku z innemi, zdaje się świadczyć dodatnio o rezultatach rządów Jerzykowych. Dokładny znawca panowania Jerzyka, opisawszy dokładnie w dziele wielkiem pierwsze trzy lata jego panowania, dochodzi do wniosku, że mistrzowską polityką przedewszystkiem zdobył sobie Jerzyk ten stopień sławy, na jakim w pierwszych latach swego panowania był stanął. Z równą słusznością możnaby do każdego innego okresu jego rządów zastosować takiż sam sąd, jeżeli weźmiemy na uwagę, grę polityczną, przy pomocy której zdołał Jerzyk się utrzymać na tronie aż do samej śmierci, oraz tę okoliczność, że on z wyjątkiem ostatnich lat, w ciągu panowania swego zawsze był szanowany przez swoich i obcych, w końcu i to dodać należy, że i obawiano się go powszechnie.

Skoro atoli na ostateczny cel jego panowania i na skutki przez nie zarówno w Czechach jak i poza niemi wywarte zważać będziemy, zupełnie inaczej nam się rzecz przedstawi. Przeciw komu bowiem wymierzone były te fantastyczne pomysły i plany, przy pomocy których Jerzyk nietylko, że zdołał utrzy-

mać się na tronie i ugruntować swą władzę, ale nawet pozyskać powagę wśród książąt opozycyi, a nawet spotęgować swą sławę i znaczenie? Oto pomysły wędrownych dyplomatów-prawników wygnanych z Niemiec, wymierzone były w gruncie rzeczy przeciwko dwom zwierzchniczym powagom świata: przeciwko najwyższej władzy duchowej i świeckiej w chrystyanizmie. Koncyliaryzm zachwiał był obydwoma powagami i poczynił w nich wielkie szczerby i luki, lecz w końcu upadł; pozostały po nim tylko wykolejone umysły, które nie mogąc znaleźć pola w domu dla skrajnych dążeń, szukały go tam, gdzie już od czasów husyckich w praktyce wolno było burzyć porządek społeczny.

Oparty na pomysłach skrajnych, Jerzyk dąży do obalenia dwóch najwyższych władz: przeciwko cesarskiej używa książąt opozycyi, krewnych cesarza i wrogów Rzeszy Niemieckiej; przeciwko papieżowi ucieka się do pomocy utrakwistów, Rokiczany, do tejże samej opozycyi z Ditrichem z Isenburga na czele, a nawet nie waha się uciekać do pomocy rot zbrojnych w rodzaju braci czeskich, i do pióra rubasznego Heimburga, który po śmierci Jerzyka w pokucie szukał i znalazł przebłaganie u Sykstusa IV. Czyż taka walka otwarcie i skrycie prowadzona, polegająca na podsycaniu nienawiści plemiennej przeciwko Niemcom, zasadzająca się na elementach przewrotu i burzycielach społecznego porządku, czyż owe rozbijanie związku ludów chrześcijańskich i nawoływanie do słowiańskiego języka i odrębności słowiańskiej, mogło przynieść dobre owoce dla narodu, nad którym go postawiła Opatrzność! Oto zły i jednostronny kierunek humanizmu wskrzesił w ówczesnym porządku chrześcijańskim, zarody pogańskiego kultu państwa, jako ostatniego wyrazu prawdziwej cywilizacyi. A król Jerzyk użycza temu kierunkowi najsilniejszego poparcia, podburzając najbardziej cywilizowany naród do walki z własnym królem i papieżem i to jedynie dlatego, aby módz się utrzymać przy czeskiej koronie! Pogański ten porządek w praktyce ustala nadto Jerzyk i przez swą walkę z władzą duchowną, przez sprzyjanie szydercom wiary, przez popieranie heretyków, przez tolerowanie najskrajniejszych nauk wywrotu społecznego, a to celem zyskania apro-

baty duchownej Głowy chrześcijaństwa dla kierunku, jaki wytyczył światu czeski husytyzm!

Takie zamysły przeciwko uznanym powagom świata i porządku chrześcijańskiego, głęboko zakorzenione w społeczeństwie, w którem husytyzm już był osłabił zasady prawdziwego chrystyanizmu, nie mogły upaść z panowaniem Jerzyka, ale przeciwnie zyskując prawo bytu w koronie należącej do związku Rzeszy, rozszerzają się one coraz bardziej po ościennych ludach i państwach. Panowanie Jerzyka dało tym kierunkom prawo obywatelstwa, i odtąd książęta i parlamenty, ludy i narody traktują już publicznie o możliwości oporu przeciwko władzy, usprawiedliwiają i bronią tego prawa przeciwko dotychczas uznanym najwyższym powagom...

Z jakiego to wreszcie, zapytamy, źródła płynie ten uprawniony i ulegalizowany przez króla Czechów opór przeciwko władzy? Wszakże Jerzyk sam, dążąc do ugruntowania swej władzy, tem samem zdawał się wskazywać Czechom jej konieczność, wszakże on sam mocą i przemocą usiłował ustalić swą władzę przez cały przeciąg swych żmudnych i trudnych rządów. Z jakiego źródła to wahanie się jego ustawiczne pomiędzy wolą a czynem, pomiędzy dążeniem a spełnieniem zamiarów? Oto kluczem do odgadnięcia tych zagadek jest niewątpliwie brak wiary u Jerzyka!

Ależ wiara — powiedzą nowsi historycy wielkiego obozu — nie jest czynnikiem w historyi, a tem mniej nie jest czynnikiem rozstrzygającym. Jakżeż rzecz prywatna, osobista, sprawa obchodząca co najwyżej indywiduum w jego domowych stosunkach, mogła wpłynąć na tok wypadków w Czechach? Cóż za związek być może pomiędzy nawoływaniem papieży i delikatnemi przestrogami cesarza, aby Czesi wrócili na łono Kościoła, a biegiem wypadków w Czechach? Jakiż węzeł łączy wielkie na pozór wypadki dziejowe i owe prywatne zaściankowe, że się tak wyrazimy, objawy takich nauk i dążeń, jak Chelčičkiego o nieuznawaniu powag i władz, lub doktryny Krzyżowskiego o zbyteczności księży, królów i papieży, nauki zaprzeczające Bóstwa Chrystusowi! Wszakże te w Czechach pielęgnowane

nauki przez zwolenników husytyzmu, zdają się raczej świadczyć o rozbudzonym krytycyzmie, lub co najwyżej o jakiej aberacyi umysłowej, lecz o związku z wypadkami dziejowemi w Czechach, o ich wpływie na kierunek polityki Jerzyka i na bieg wypadków w Niemczech i krajach sąsiednich — bynajmniej! Bo przypuściwszy nawet pewien związek w Czechach samych pomiędzy brakiem zasad wiary u Jerzyka a losami jego i jego narodu, to jakiż, pytamy, może być związek pomiędzy niemi a tokiem wypadków dalszych, światowych.

Skonstatowano wyżej związek zachodzący pomiędzy brakiem zasad wiary u Jerzyka a temi nieuchwytnemi, niejasnemi planami, których się Jerzyk chwyta jak kotwicy nadziei, do których dąży nie zważając nawet, że pochodzą one z głów wykolejonych awanturników i wędrownych dyplomatów-prawników. Nowszy kierunek historyi zalicza podobne projekty i usiłowania działających jednostek lub grup ludzi co najwyżej do charakterystyki danej epoki, nie mającej zresztą żadnego wpływu na bieg dziejów. Zwolennicy tego kierunku zaprzeczają, żeby idee jakieś stanowić miały fakta wytyczne, owe drogi dziejowe, po których się toczy historya narodów i wielki rydwan dziejowy! Wynalazki, odkrycia, wojny wreszcie — one to są wytycznemi w dziejach, one to posuwają ludzkość naprzód lub cofają ją wstecz, wpływają wybitnie na koleje narodów i stanowią dzieje — wiara i wpływ jej należy co najwyżej do charakterystyki osób, grup pewnych, jest sprawą prywatną!

A jednak jak jednostronnem jest to pojęcie historyi, wykluczające wiarę jako czynnik stanowczy i decydujący o wpływie na cywilizacyę, świadczą chociażby współczesne Jerzykowi dzieje. Wojny, chociażby takie jak husyckie, jak ówczesna trzynastoletnia wojna pruska, jak walki Plantagenetów z Francyą, mijają i zapanowuje w krajach spokój, zniszczone prowincye powracają z wolna do dawnego ładu i porządku, zakwitają dobrobytem. Wynalazki i odkrycia posuwają cywilizacyę, ale one ustawicznie czynią miejsce nowszym, innym, lepszym, doskonalszym wynalazkom, a sama zmienność ich poucza, jak niestałym są czynnikiem cywilizacyjnym, pomijając już ten wzgląd, że

wprowadzenie ich w życie wśród społeczeństw o niższości cywilizacyjnej, zamiast je podnosić na wyższy stopień, rozkłada je i niszczy, podobnie, jak alkohol rodne plemiona murzynów.

Natomiast czynnik ten najpotężniejszy w życiu narodów, którego Jerzyk używał jako narzędzia do swojej polityki samolubnej, gotował przejawy, jakich nigdy przedtem nie spotykano w dziejach cywilizowanej Rzeszy, do której Czechy należały.

Po raz pierwszy w dziejach Niemiec, co więcej, w dziejach świata poważył się sięgnąć po koronę rzymską, mąż powszechnie za kacerza uważany — po raz pierwszy sięga po godność wodza całego chrześcijaństwa ręka, która dotąd była biczem cywilizacyi opartej na chrystyanizmie — po raz pierwszy najwyżsi dostojnicy Rzeszy, książęta rzymskiego imperyum kornie schylają głowy przed otwartym wrogiem Zachodu, wywieszającym sztandar walki przeciwko najwyższym ówczesnego świata potęgom. Naprożno Tomasz Ebendorfer, profesor wiedeńskiego uniwersytetu, wskazuje na siedmdziesiąt i ośm fałszów, podzielanych przez Czechów, wyznawanych przez Jerzyka, na to mętne źródło, z którego wypłynąć miał Kościół nacyonalny i nowe zasady moralności, i nowe podstawy etyki, „etyki osobistego zadowolenia“, na źródło niebezpieczeństw dla cywilizacyi płynących z „herezyi“. Ale daremnie, świat ówczesny nie upamiętał się prędzej, dopóki Jerzyk, dzięki stosunkom z opozycyą, nie wyrósł do tego stopnia znaczenia, że stawał się groźnym nietylko elektorom, ale całej Rzeszy i całej ówczesnej cywilizacyi.

To przecież są fakta dziejowe, nigdy przedtem niesłychane: fakta wymownie świadczące o upadku wiary, bo przecież nie może ulegać wątpieniu, że za czasów Ottonów nic podobnego zajśćby nie mogło w przodującej oświatą Rzeszy Niemieckiej.

W związku z temi faktami stoją i inne, niemniej niesłychane w dziejach świata: oto po raz pierwszy powstają projekty lig już nietylko przeciwko powadze świeckiej, ale i duchownej, skierowane, bo przeciwko papieżowi i cesarzowi — postulaty, aby zarówno cesarz, jak i papież spełniali swą misyę, nie wykraczając poza zakres swych praw i powinności... a to dlatego, że na straży tego porządku stał Jerzyk, król Czechów!

Nie walka to już o niezależność władzy świeckiej, nie walka Welfów z Gibellinami, ale walka przeciwko powadze wszelkiej władzy. Na miejsce powag papieskiej i cesarskiej miał stanąć trybunał świata z królem dążącym do gallikańskiego Kościoła na czele; na miejsce wodza chrystyanizmu miał stanąć król kacerzy... W ciągu dalszym zamiast Kościoła powszechnego dźwigającego z trudem i mozołem na zwaliskach pogaństwa jedną jedyną cywilizacyę chrześcijańską, mają powstać nacyonalne świątynie pod dozorem władz i na służbę państwu... cały kierunek dotychczasowy cywilizacyi ma być z gruntu zmieniony, skierowany w nowe łożysko, wytyczone przez króla Czechów!

I to są fakta, należące nietylko do charakterystyki, ale i do istoty historyi. To jest wielki fakt negacyi całego wytycznego kierunku pracy cywilizacyjnej, piastowanej przez Zachód, przez Rzym, przez cesarzy, mający na oku szerzenie prawdziwego chrystyanizmu i wcielanie go w życie społeczeństw.

Jakiż natomiast ołtarz ofiarny stawia Jerzyk ludzkości, jaki cel jej wskazuje? Wskazywał on siebie jako wodza ludzkości, a parlament międzynarodowy jako sędziego dotychczasowych powag świata i kierownika, wytykającego nowe tory ludzkości. Ale rozbiór i przegląd dziejów Jerzykowych pouczył nas, że te nowe hasła, to tylko środki do wywyższenia się, to wybiegi do usunięcia się z pod odpowiedzialności zarówno władzy duchownej, jakoteż i świeckiej, której król czeski jako elektor Rzeszy Niemieckiej podlegał. W rezultacie więc na miejsce burzonych przez Jerzyka ołtarzy ma stanąć postulat fałszu, fałszu mającego pokrywać egoistyczne zachcianki i cele Jerzykowe! I walna wyprawa na Turków pod egidą króla Czechów, i walny parlament ludów, w którym on ma zasiąść jako sędzia papieża, cesarza i królów chrześcijańskich, to wszystko pozory, któremi Jerzyk pokrywa swe własne uboczne cele, o których nikłości każdy z książąt mógł być przekonany, ale w które wielu wierzyło, a przynajmniej wierzyć chciało dlatego, że były one dogodne do ubocznych celów, wiodących do uchylenia się z pod powagi władz chrześcijańskiego porządku świata...

Pod pokrywką szczytnych dążeń, mających zastąpić dotych-

czasowe dążenia świata cywilizowanego, kryje się fałsz wierutny, o którym wszyscy wiedzą, a który przecież uznać pragną za prawdę... na ołtarzu prawdziwego Boga postawiono bożka, jako przedmiot kultu społeczeństw cywilizowanych. Najwyższy ideał ludzkości, wytyczony przez chrystyanizm, miał być zastąpiony przez wygodę, przez ludzkie aspiracye, które każdy inaczej pojmował i ciasnym egoizmem zaprawiał. Jasnem jest, że przez to spójnia społeczeństw chrześcijańskich, wiążąca ludy i narody w jedną wielką gminę, została z gruntu naruszoną, porządek społeczny podkopany. Osobiste korzyści, nacyonalizm, Kościół nawet nacyonalny, zostały podniesione do wysokości postulatów ludzkości, a wszystko przykryto poważną togą najszlachetniejszych pobudek i celów ludzkości.

A więc kwestya tak osobista, jak wiara, stoi tu w związku z całym szeregiem wypadków, mających poważne znaczenie nietylko w dziejach małego, jak Czechy, narodu, ale i całego ówczesnego świata cywilizowanego.

Czemże bowiem jest znikomy Jerzyk w dziejach, jak małą jego osobistość wobec tylu znakomitych wodzów i bohaterów ludzkości? Również niepotężnym jest naród czeski, a jednak jaki wpływ wywiera on na bieg wypadków sąsiednich narodów a nawet potężnej Rzeszy Niemieckiej. Drobna sprawa osobista Jerzyka, obchodząca, jak sądzili niektórzy, jedną koronę, a co najbardziej kraje korony czeskiej: Morawy, Lużyce, Śląsk, dźwignięte przez niemiecką kulturę na wyższy szczebel cywilizacyjny, to nie sprawa wyłącznie czeska, to kwestya ludów całej Europy, kwestya z jednej strony od Pragi po Dniepr, z drugiej od Weltawy po Sekwanę i Tybr sięgająca. Skutkiem podkopywania wiary i najwyższej powagi świeckiej przez władzę publiczną, kwestya czeska nietylko zajmuje Czechów i pokrewne językiem ludy, ale całą prawie Europę. Węgry, Polska, Austrya i Rzesza Niemiecka żywo zajmują się tem, co się dzieje nad Weltawą, co więcej, prąd ten sięga dalej, on wdziera się w dziedziny myśli i nauki i wstrząsa wszędy zasadami podstaw cywilizacyi chrześcijańskiej... Cała dotychczasowa budowa społeczna, oparta na duchu chrystyanizmu, na Kościele katolickim i na powadze

cesarza, została zachwianą, i to już nie przez teoryę mężów nauki, nie przez doktrynerów bazylejskich, ale przez króla poważnego królestwa, który pomimo danego słowa i przysięgi publicznie złożonej przy koronacyi, pomimo solennego przyrzeczenia połączenia narodu swego z Rzymem, staje się wiarołomcą i krzywoprzysięzcą i daje przykład publicznego zgorszenia wszystkim ludom chrześcijańskim. Był to pierwszy wyłom w ustroju społeczeństwa chrześcijańskiego. Teraz już pierwszy lepszy apostoł fałszywej nauki mógł znaleźć poparcie w Rzeszy najbardziej cywilizowanego państwa, skoro tylko zaapelował do tych dążeń i celów, jakie stanowiły ideał Jerzyka.

Takie jest znaczenie panowania króla Jerzyka, którego historyk Czech [1] wyniósł jako ideał króla, twierdząc, że dzięki jego geniuszowi Czechy stały się pierwszem państwem, które już w owych czasach wstąpiło na drogę, po której dzisiaj kroczą wszystkie państwa europejskie. Postęp kultury tylko wielkiemi ofiarami mógł być okupiony, twierdził słusznie Palacky. Tylko że wielki ten historyk miał Jerzyka za męczennika wielkiej idei, dla której poświęcił swe osobiste i rodzinne szczęście i spokój całego kraju — i w tem pobłądził. Bo Jerzyk, co prawda, poświęcił spokój własnego kraju i ludu, ale właśnie dlatego, że jedynie osobiste cele miał na oku...

Najgłębsi znawcy jego charakteru widzą w działalności jego li tylko roztropność w wyczekiwaniu i w wyzyskaniu każdej sposobności, słowem, w dyplomacyi jego. Natomiast taki G. Voigt [2] znajduje trafnie, że sławiona jego tolerancya była wynikiem konieczności politycznej, albo raczej dwulicowości jego. Zresztą sam kanclerz jego, Jan z Rabsztynu, otwarcie oświadczał w Rzymie, że jego pan musi z obu trzymać stronami. Skutkiem takiej mniemanej tolerancyi, mówi trafnie uczony niemiecki, Kościół czeski był mieszaniną dyktatury i anarchii, a sekciarstwo, zasilane zbiegami z Polski, urosło do olbrzymich rozmiarów. Inny znowu skutek jego wynoszonych rządów, jak trafnie podnosi tenże uczony, to niepomierny wzrost autonomii baro-

[1] Pal., IV., 2, 666. [2] Sybels H. Z., V., 428.

nów z jednej strony, a z drugiej zanik ziemian i władyków, oraz straszny ucisk włościan. To były skutki owego dyplomatyzowania celem uratowania korony dla swojej rodziny. Nie zdziałał więc on nic dobrego dla Czech, dla swego narodu, a wina jego tem większa, że, jak to wyżej wspomniano, była chwila i to niejedna, kiedy to wsparty przez cesarza i papieża potrzebował był tylko wyrzec słów kilka, a cały jego naród byłby porzucił kompaktaty i swój upór. Nie zdziałał nic dobrego dla świata, przeciwnie wiele krzywdy mu wyrządził; gdyż, jak to historycy Turcyi trafnie podnoszą, zatwardziałością swą i uporem oraz walką z papiestwem przyczynił się Jerzyk do wzrostu potęgi półksiężyca.

A swemu słowiańskiemu następcy, którego sobie nie życzył w głębi duszy, jak trudne zgotował był Jerzyk stanowisko! Ten Władysław Jagiellończyk bowiem, lubo syn katolickiego monarchy, lubo oparty o Polskę, musiał zaprzysiądz odrzucone przez Rzym kompaktaty. To także jeden z rezultatów panowania Jerzykowego.

Zastanawiając się nad sukcesami jego polityki, wyznać należy, że Jerzyk nigdy nie byłby odegrał tak wybitnej roli, gdyby nie opozycya, skutkiem idei koncyliaryzmu w teoryi i praktyce nurtująca w społeczeństwach i narodach zachodnich, nie dopomagała mu była do jego wyniesienia. Na nadwątlonym wiekowemi sporami z władzą świecką chrystyanizmie, na zachwianej w Europie idei wspólności narodów, zbudował król Czechów blichtr swej zagranicznej sławy, tak jak ją na wewnątrz budował nie za pomocą sumiennego spełnienia swoich obowiązków, lecz na fanatyzmie Rokiczany z jednej, a na orężu zbrojnych tłumów Braci Czeskich z drugiej strony. W gruncie rzeczy ten groźny Jerzyk, przed którym, z wyjątkiem niektórych katolików magnatów, drżą Czechy, i którego lękają się kraje koronne z wyjątkiem niemieckiego Wrocławia, nie wytrzymuje nawet porównania z elektorami opozycyi, nie mówiąc już o Albrechcie brandenburskim, który o wiele go przewyższał siłą umysłu, zręcznością w rządach i w sztuce dyplomatycznej. Przewyższa go również Huniady, który wysoko podniósł swój naród, przykładami żywemi poświęcenia i ofiarności dla dobra narodu i dla celów

wyższych, bo dla ideałów chrześcijańskich. Z jedynym chyba sprzymierzeńcem swoim, naszym Kazimierzem, wytrzymuje Jerzyk porównanie pod względem uporu i zaciętości, z jaką dążył do wytkniętego sobie celu, pod względem dawania ucha pochlebcom i tolerowania skrajnych pomysłów, a wreszcie i pod względem przepychu, jakim otaczał swój tron i do przesady się upajał. Te same zdolności, takież zalety ducha, taki sam realny na materyalne korzyści wytężony umysł, taż sama gotowość do szybkiej decyzyi obydwóch w równej mierze znamionuje królów. Jeżeli atoli zwrócimy uwagę na cesarza Fryderyka, którego powszechnie mają za bezwładnego i ociężałego w działaniu, jeżeli zastanowimy się nad charakterem jego panowania i porównamy je z rządami Jerzyka, o jakżeż straci na swej mniemanej wielkości wynoszony król Czechów. Cesarz bierny na pozór, w istocie jednak zwolna kruszy niepokonane przeciwności, Jerzyk zaś wymija je lub im ulega; cesarz bezwładny na pozór, a jednak tak spraw dziedzicznej Austryi, jak i Rzeszy Niemieckiej pilnie dogląda, Jerzyk tymczasem wszystko do swojej tylko osoby odnosi. Cesarz i na Jerzyka pilnie zważa i używa go do spraw nie swej własnej osoby, ani Rzeszy dotyczących, ale spraw najwyższego swego obowiązku, bo do kierownictwa ludów się odnoszących. W porównaniu z Fryderykiem Jerzyk gaśnie, jak gaśnie kaganiec przy jasnem świetle pochodni. I oto druga strona tego, cobyśmy nazwać mogli dydaktyczną stroną panowania Jerzykowego. Dzięki bowiem tej wyższości Fryderyka panowanie Jerzyka w pierwszym okresie wywołuje krytyczną niechęć w Niemczech i budzi opozycyę z drzemki, w jaką ją pogrążyły teorye koncyliarzystów, szeroko upowszechnione, dzięki Maierowi i Heimburgowi w Czechach. I tak z bezpłodnej opozycyi przygotowuje się panowanie Maksymilianowe. Drugi okres panowania Jerzyka wpływa korzystnie na dalsze kraje: na Burgundyę, Wenecyę, Francyę, nawracając je do zgody z Rzeszą i z Rzymem; trzeci wreszcie okres wywarł niemały wpływ na Polskę, najbardziej może ze wszystkich państw i ludów oddaną ideom przewrotowym, pochodzącym z Czech. Ale rozczyn kisły, jak trafnie mówił papież Paweł II., wszędy jeszcze pozostaje; da on powód

do wielkich fermentów, ale już nie wierzono na ślepo w siłę, jako jedyną powagę w sprawach świata, już nie uginano się przed powodzeniem. Hasła zniszczenia władzy cesarza i papieża umilkły na długi czas, gdyż zapanowało niezłomne przekonanie, że hasła Jerzykowe, to suggestye takich, jakimi byli: Mair, Marini i Heimburg.

Oto druga strona medalu a zarazem i znaczenia dziejowego panowania Jerzyka. Krytykę działalności swej i znaczenia panowania podaje zresztą sam Jerzyk. Krótko bowiem przed śmiercią Rokiczany, z goryczą przepełnionem sercem zwraca się do swego doradcy ze słowami: Mistrzu dosyć majstrowałeś w kraju; gdybym był nie szedł za twemi radami, byłbym sławnym królem a biedni Czesi nie umieraliby z głodu![1]

Jest to wyrok na samego siebie, na doradców i biedny kraj. O tych nieszczęsnych doradcach wyrażał się wykwintny Celtes[2]:

Hic praesul fuerat, iudaeo sanguine cretus
Qui mihi non potera: verba latina dare.
O dignam, dixi, tam docto praesule gentem
Qui mihi non potuit verba latina loqui,
Sed quia non lingva celebrantur sacra latina,
Quilibet hic praesul rusticus esse potest.

Gdyby nie ci doradcy, o kraju biednym i podupadłym nie śpiewałby z goryczą:

Tot pingit calices Boemorum terra per urbes,
Ut credas Bacchi numina sola coli...

albo na innem miejscu.

Qualia apud veteres tua numina, Bacche,
Testis adhuc nostro tempore Bemus adest,
Qui solus Latias ausus contemnere leges
Ut de sacrato, Bacche, liquore bibat.
. . . . . .
O fortem, dixi, gentem quam nemo domabit
Dum vorabat a prima luce beata Deos...

Dr. Antoni Prochaska.

[1] Richter. Jordan.

[2] Aschbach, *Sitzungsb. der Wiener Akad. phil. hist. Class.* B. LX, 135

LUD WESOŁKÓW W DAWNEJ POLSCE.

Po robocie szukamy odpoczynku,
i gry, i ochłody.
Modrzewski.

Po znojach rycerskich zapasów następowały w wiekach średnich wywczasy u biesiadnego stołu; po praktykach religijnych i gorących modłach, po senatorskich naradach lub innych dla spraw publicznych mozołach następowały, czy to na dworach królewskich, czy książęcych lub możnych paniąt, ucieszne krotochwile, zabawy i gry towarzyskie, podsycane wesołością i humorem błazna i trefnisia.

Tę potrzebę równowagi między pracą i wypoczynkiem, między powagą i natężeniem umysłu a jego rozweseleniem i swobodnem odetchnieniem, odczuwała i odczuwa ludzkość po wszystkie czasy. Zmienia się gust i wymagania, lecz nie ustaje chęć i żądza uciechy. Inaczej też być nie może, ani się to sprzeciwia etyce chrześcijańskiej.

W krótkim poglądzie zamierzamy bez przydłuższych studyów dotknąć i rozświetlić czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* dzieje naszego ludu wesołków, który stanowi w swych zawiązkach instytucyę średniowieczną. Pierwotne jego tło, na którem rozwija się i nabiera barw charakterystycznych, właściwości narodowych polskich, sięga jeszcze głębszej starożytności, bo czasów pogańskich; są to zwyczaje i obyczaje narodowe, typowe rysy sposobu myślenia i widzenia ludu naszego, jego umysłowy kierunek i upodobania.

I.

Przeżytki pogaństwa w obrzędach i zwyczajach i objawy ludowe humoru polskiego.

W miarę przyjmowania organizacyi politycznej zachodniej lub bizantyńskiej przez ludy słowiańskie, wraz z przybyciem światła wiary chrześcijańskiej, zmieniały się nietylko organizacya społeczna, ale i niektóre zwyczaje, a niejednokrotnie obyczaje pogańskiego świata Helady lub Rzymu przyjmowały się dopiero równocześnie z chrześcijaństwem [1].

Chwila Narodzenia Pańskiego to zazwyczaj najpiękniejsze dni naszej zimy polskiej; ziemia wtedy kryje się pod śnieżną powłoką, mróz iskrzy światełkami w pryzmatach śniegowych gwiazdek i maluje cudne na szybach ubogich i bogatych kwiaty. Skoro tedy we wilię zabłyśnie pierwsza gwiazda na niebie, spieszą do izb wieśniacy, a państwo do komnat, by starodawnym obyczajem zasiąść do wspólnej wieczerzy. Tak wśród tej uczty, jak i po niej bywają do dziś dnia przestrzegane powszechnie znane zwyczaje, które swą starożytnością przenoszą nas myślą w bardzo odległą przeszłość.

Otóż rzymskie *Saturnalia*, na cześć boga złotego wieku, kiedy to niewolnicy rzymscy mogli się cieszyć swobodą i weselić bez bojaźni rózgi i kajdan, kiedy panowie wyprawiali im uczty i usługiwali do stołu, obchodzone w starożytnym Rzymie w miesiącu grudniu, odźwierciedlają się w obchodzie naszej pięknej, ciepłem rodzinnego życia owianej wilii Bożego Narodzenia.

Według dawnego zwyczaju podobnie też i u nas sługi z państwem zasiadali do wspólnej wieczerzy, a podwładnym usługiwali ich przełożeni.

Nietylko jednak w rodzinie, ale i między duchowieństwem średniowiecznem tak świeckiem, jak zakonnem obchodzono zwłasz-

[1] Por. Dr. M. Kawczyński, „O początkach poezyi polskiej". *Kwart. historyczny*, t. III. str. 22.

cza w dzień św. Młodzianków zwyczaj, który zdaje się stać w żywym związku z pogańską uroczystością. Wówczas to żacy, owi uczniowie średniowieczni przychodzą w mury klasztorne, a opat czy ksieni oddawali pastorał jednemu z żaków, który mianował z pomiędzy swych towarzyszy kanoników, dygnitarzy klasztornych i t. d. Ci w kościele zasiadali na tronie i w stalach, księża zaś sami na ławkach żakowskich odbierali ukłony i kadzenie, przez cały dzień rządzili w klasztorze, a przy stole księża im usługiwali [1].

W Ogliastra we Włoszech istnieje dotąd zwyczaj spożywania kolacyi w kościele i zabawy tamże w noc Bożego Narodzenia w czasie nabożeństwa. W Kalabryi tłumy ogarnia szalona chęć tańca i zabawy, które trwają noc całą po wszystkich piwiarniach i zajazdach. Są to zabytki dawnych *Saturnaliów* [2].

Jak u Rzymian Saturnalia łączyły się z kalendami styczniowemi, tak i u nas świętowanie przeciągało się i przeciąga się od Bożego Narodzenia do Trzech Króli. Wyraz kolęda pochodzi z łacińskiego *calendae*, chodzić po kolędzie znaczy chodzić z powinszowaniem Nowego Roku, zbierając datki, z których następnie sprawiano biesiadę [3]. Kolędy nasze, w takiej formie, w jakiej istnieją, dochowały w sobie zarazem podobno szczątki starosłowiańskiego kultu słońca [4].

Wspomnieniem niejako ludowem owych zwyczajów jest przysłowie: N a ś w i ę t y S z c z e p a n, k a ż d y s o b i e p a n; a dalej owe wesołości i maszkarady po Bożem Narodzeniu, owe j u c h a n i a wielkopolskie, kiedy to lud po gwiazdkowych godach wychodzi na dwór i jucha charakterystycznym okrzykiem we-

[1] Dr. M. Kawczyński, jak wyżej, str. 31. — Ks. dr. Jan Fijałek, „Średniowieczne ustawodawstwo synodalne“, w Rozprawach wydz. historyczno-filozof. Akad. Umiej., t. XXX, 225, nota 1.

[2] „Wisła“, t. IX, 169.

[3] O. Kolberg, „Lud“, ser. V, 229. — Dr. M. Kawczyński, j. w. str. 32.

[4] W. A. Maciejowski, „Polska aż do pierwszej połowy XVII. wieku pod względem obyczajów i zwyczajów“. Warszawa 1842. T. III, 230. — „Wisła“, IV, 246, recenzya z pracy Sumcasa. — O. Kolberg, „Lud“, Kraków 1871. Ser. V, str. 227.

soło z całej piersi[1]. Podobnie w Małopolsce wieczorem po wilii młodzież wychodzi z chaty i woła: „hola-ha“ albo „hu-hu“, nadsłuchując pilnie, skąd odgłos powróci, by wróżyć o przyszłej miłości. A potem zebrawszy resztki wilijnej biesiady (postniku) dają je spożyć swej gadzinie domowej, psu i kotu, koniowi i krowie i t. p.

Profesor Kawczyński w czasowniku j u c h a ć dopatruje związku ze świętem *Jól*, obchodzonem w tym czasie w pogańskiej Anglii i Skandynawii. Mieszkańcy każdego okręgu „zbierali się wówczas na zwyczajne miejsce roków przy świątyni, tutaj zabijano konia i drobniejsze bydło, którego krew zbierano w czary i skrapiano nią posągi bogów, ściany świątyni i obecnych ludzi, następnie w kotle warzono mięso“, zjadano i spijano czasze miodu na cześć Odyna, Freya, Bragi i t. d.[2].

Opowieść skandynawskiej sagi w wielu szczegółach dziwnie się splata z opowiadaniem Macieja Stryjkowskiego o ś w i ę c i e kozła, obchodzonem w dolnych Prusiech, na Żmudzi i na Litwie. Kilka tam siół, razem zebrawszy się w jedno miejsce, składało pieniądze, chleb lub insze rzeczy. Kupowano za zebraną sumkę kozła lub byka i rozpalano ogień wielki. Kobiety z naniesionej mąki pszenicznej lub tatarczanej robiły wtedy placki, a wieszcz Wurschaitos, mając głowę wieńcem strojną, wiódł ofiarne bydlę do gumna i zabijał, czyniąc ofiarę na zgładzenie gniewu bożków. Uzbieraną w naczynie krew czerpał czarką i kropił nią zebranych, resztę dzielono w garnuszki między zebranych, by pokropili również domowy swój dobytek. Rozpłatawszy następnie zwierzę, warzono w kotle mięso. Mężczyźni obsiadywali w koło ognisko i rzucali przez ogień przyniesione przez niewiasty surowe placki, dopóki te, latając przez płomień, nie upiekły się. Poczem jedli mięso i podpłomyki, popijając i śpiewając, tudzież przygrywając na trąbach długich, i tak weselili się przez noc całą. Skoro świt nastał, szli w uroczystym pochodzie przez wieś niosąc w ręku pszeniczny placek i resztki bie-

[1] Por. Kawczyński, j. w. str. 31, tudzież „Wisła“, VIII, 274.
[2] Dr. M. Kawczyński, j. w. str. 31.

siady owej, a przyszedłszy na rozstajne drogi, zagrzebywano je pilnie w ziemię głęboko [1].

Owe starodawne gody pogańskie łączą się też z obrzędami, a raczej zabawami ludowemi naszych czasów.

W Krakowskiem zjawia się po Bożem Narodzeniu K o z a, przypominająca nazwą opowiedziane poprzednio święto kozła.

Z drzewa wyrzezany łeb kozi, ozdobiony kręconemi rogami i opatrzony ruchomą szczęką dolną, ma wewnątrz paszczę wybitą czerwonem suknem, z której wygląda sukienny ozór. Koza za pociągnięciem sznurka kłapie szczęką zgrzytliwie o żelazne zęby (z gwoździ), na jej szyi zwiesza się na czerwonej wstążce dzwonek. Chłopak wiejski bierze więc osadzony na drążku łeb kozi w lewą rękę, a w prawą laskę, pochyla się, a towarzysze okrywają go szarą derką; przez otwór w rozwartej paszczęce widzi on dobrze drogę i to, co koło niego się dzieje. Otacza go osobliwsza „muzyka kozia“. Dwaj skrzypkowie grają na improwizowanych gęślach. Są to deszczułki z podstawką, przez którą przeciągnięte sznurki, żywicą napuszczone, wydają ton skrzypcowy za pociągnięciem smyka, zrobionego z wygiętego w łuk pręcia i z włósia. Na basach z konewki, w którą wciśnięty patyk z nawiązaną witką wierzbową, stanowiącą wyprężoną strunę, gra basista, ześlizgując palcami zamaszyście, a wtóruje mu bębenista z blaszanką w ręku, w którą uderza w takt śpiewanej przez towarzyszy kolędy.

Śmiech i przestrach szerzy naokół siebie wesoła drużyna, która idąc od strzechy do strzechy, kolęduje i zbiera datki na zabawę [2].

Jest więc wielce prawdopodobne, że tak ta zabawa, jak i słynne konne wyścigi Łasowiaków na pasterkę, lub święcenie koni w Prusach Zachodnich i poprzednio wymienione zwyczaje wilijne pozostają w przyczynowym związku z obrzędem pogańskim, że w nich miesza się zapomniany obrzęd święta kozła i Saturnaliów rzymskich z chrześcijańskiem świętem Bożego

---

[1] Maciejowski, „Polska“, III, 240, według *Kroniki* str. 161, 162.

[2] Wedle opowiadania dziewczyny w Karniowie.

Narodzenia: pierwiastek religijny chrześcijański ma jednakowoż tło historyczne, otoczone aureolą świętości, tymczasem pierwiastki pogańskie, oprócz patryarchalnej, poważnej wieczerzy wilijnej, występują w formie wesołej, smiesznej lub zabobonnej. Wreszcie pierwotna starodawna nazwa święta Bożego Narodzenia, znana dotąd w języku ludowym pod mianem święta godów [1], żywo przypomina owe pogańskie gody, o których mówiliśmy.

Gdy minie Trzech Króli, w te tropy zaczną się zabawy mięsopustne czyli karnawałowe, rozpoczęte wyborem „króla migdałowego“ [2]. Powstały one na tle pogańskich luperkaliów, bachanaliów i t. p. Podstawę ich stanowiły przebieranie się w stroje błazeńskie, w figury zwierzęce, mężczyzn za niewiasty i odwrotnie.

Od niepamiętnych czasów rozpusta i wyuzdanie mięsopustne ściągały na się zakazy duchowne i świeckie [3].

W mięsopusty i zapusty, według świadectw autorów z XVI. w. szalała w Polsce zabawa pod wiechą i na ulicach miasta, gdzie nieraz i szablami rąbała się pijana czereda, a nawet do półhaków rwali się bracia szlachta i mieszczanie. Wrzask i hałas rozlegał się i głuszył głosy przechodniów. W Krakowie przychodzą (dnia 18 lutego 1506 r.) do królewicza Zygmunta żacy przebrani w larwy. To znów w niedzielę zapustną idzie królewicz przyglądać się komedyi, wystawionej przez mistrza kościoła Wszystkich Świętych [4]. Zapusty były bowiem dawniej porą dyalogów, wyprawianych z intermedyami przez żaków szkolnych, a to w teatrach prowizorycznie ku temu celowi wystawionych, lub po domach i bursach; zwano zaś je komedyami [5] lub ba-

[1] O. Kolberg, „Lud“. Kraków 1871. Ser. v, 196.

[2] O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 249. Królem migdałowym zwią pospolicie tego, który przy biesiadzie rozpoczynającej karnawał dostanie placek z ukrytym w nim migdałem.

[3] K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne“, t. 142. — Dr. Čenek Zibrt, *Staroceské výroční obyčeje počtvy* i t. d. Praga 1889. Obszerna recenzya w „Wiśle“, IV, 95.

[4] A. Pawiński, „Młode lata Zygmunta Starego“, str. 256.

[5] Por. w Pracach filolog., t. I, 538 prof. A. Kaliny. „Komedya o mięsopuście z rękopisu z początku XVI. w., jako najstarszy znany dotychczas utwór dramatyczny“.

chanaliami. Tematem ich bywały sceny mitologiczne, jak: Sąd Parysa, grany r. 1522 przez żaków krakowskich w bursie jerozolimskiej, lub na zamku krakowskim grane (1516 r.) Przygody Ulisesa [1], Pożar Troi, a dalej grano sztuki biblijnej treści, jak: Budowa wieży Babel, Podróż Tobiasza [2], wreszcie historyczne, o czem już wzmianki znajdują się w Długoszu, który mówi o widowiskach teatralnych na zamku krakowskim i ludowych dyalogach scenicznych, w czasie których śpiewano pieśni o zwycięstwie Leszka Białego pod Zawichostem w r. 1205 lub o nieszczęsnej Ludgardzie, żonie Przemysława wielkopolskiego. Najwięcej jednak bawiły widzów i rozśmieszały krotofilne intermedya, pełne rubasznej wesołości i figlów [3].

Muzyka i tany były najzwyklejszą rozrywką, pełno też wszędzie słychać było skrzypic i dudów. Pląsają czyli skrzepczą tam pieszego czyli zawodnego (poloneza), albo gonionego, to znów tańczą: cenara, świeczkowego, gniewusa, lipka, dorobuszka, taniec Macieja i Konrata, hajduka, wyrwańca, seyduka, śpiocha i kozaka, lub włoskie padwana, galarda, kapreolę, pasameza i bergamaszkę [4].

Prócz tego goniono za dziewczętami i zaprzęgano je w kłodę za to, iż za mąż w mięsopusty nie wyszły, młodzieniec znów musiał obnosić lagier w kobieli; prowadzono chłopa ubranego w grochowiny [5], jako i dzisiaj po wsiach się dzieje, gdy chłopaka za niedźwiedzia ubranego prowadzi na słomianym powrozie gromada przebranych psotników [6], przypominając żywo niedźwiedników czy skoromochów.

---

[1] Ambr. Grabowski, „Starożytności polskie“, I, 102.

[2] K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne“, I, 149.

[3] Por. ks. dr. Jan Fijałek, „Średniowieczne ustaw. syn.“. Rozprawy wydz. hist. filoz., t. XXX, 217. — Por. również M. Wiszniewski, „Historya lit. polskiej“, t. VII, 226, 257 i n. o komedyach mięsopustnych.

[4] W. A. Maciejowski, „Polska“, III, 143, 228. — „Wisła“, III, 59, 65, 767.— Zbiór wiad. do antrop. kraj. XVII, 98 i t. d.

[5] Maciejowski, III, 222.

[6] „Wisła“ VII, 732, 740; IX, 499. — Zbiór wiad. do antr. kraj. II, 16; XVII, 37.

Ostatnie chwile zapust były najczęściej czasem dawnych kuligów szlacheckich i mieszczańskich, na które starym zwyczajem obsyłano laskę z kulą z wierzchu a potem wyprawiono arlekina, który z swoją trzepaczką w ręku wpadał do domu, gdzie się naprzód zjechać miano i śpiewał skacząc: Ej! kulig! kulig! kulig! poczem znikał [1]. Poetyczny ich opis zostawił nam Malczewski w swej „Maryi". Kolberg daje ich opis obszerny i przedstawia, jako odwzorowane dramatycznie włościańskie wesele krakowskie. Suną tedy pary kuligu: starosta z starościną i państwo młodzi w krakowskim stroju, organista z żoną, młynarz z młynarką, arendarz z arendarką, drużbowie i druchny, górale i góralki, cyganie i wróżki.

Rej w tym wesołym poczcie wiedzie poważny pan starosta, pełen animuszu i jowialności, który swą wierszowaną oracyę poczyna słowami:

Krew nie woda, — choć zła dola
Hejże, hihi, hejże, hola!
Z szczękiem, brzękiem kulig jedzie,
Kulig, kulig, — ptaszek szary i t. d.

Nie brakowało przytem wspomnienia dawnych żaków, których organista, względnie bakałarz, wspominał w spisanej na nieskończenie długiej witce wąziutkiego papieru [2].

Skoro zapusty zbliżają się ku końcowi ku „ostatkom" potęguje się wtedy w niewymowny sposób, a humor rozbawionego tłumu tryska całą pełnią życia i szału. Uczty zapustne u ludu mazurskiego, urządzane za składkowe pieniądze, przybierały niejednokrotnie charakter bachanalij [3]. W tłusty czwartek obchodzono w Polsce comber babski, a szczególniej uroczyście odbywał on się w Krakowie, gdzie pod wodzą przekupek bawiono się swywolnie, ciągnąc starych i młodych, bez względu na stan, w rozochocone koło; tańczono na rynku. Młodzieńców bezżennych stroiły w wieniec grochowy i przywiązywały do kloców, które dotąd ciągnąć po rynku musieli, dopokąd każdy

[1] „Wisła" VII, 382.
[2] Kolberg, j. w. str. 252.
[3] M. Toeppen. „Wierzenia mazurskie". „Wisła" VI, 649.

okupu nie złożył. Na sznurze wreszcie z przedmieścia Piasek wiedziono Bachusa, bałwana słomianego zwanego tutaj combrem (z niem. *zum Bier*), gdzieindziej niesapustem i rozrywano w kawałki. Młode mężatki i panny składały wtedy również okup [1].

Ten sam „zapust“ przedstawiają na przedmieściach krakowskich pod postacią cudackiej osoby z dzwonkiem u toporka i choinką; odzianej wywróconym kożuchem a przepasanej powrósłami, która chodzi po świecie, jak „książe Mantuańskie“, przybyłe z bardzo daleka, z kraju, gdzie psy szczekają ogonami, ludzie gadają łokciami, słońce wschodzi na zachodzie, a deszcz pada z ziemi do nieba. Przechodząc drogą dowiedział się od płaczącej świni, że jej zarznięto synka, pospiesza tedy ochronić nieboszczyka od zguby i t. d. i przedstawia towarzysza przebranego za osła słowami:

Uczony osieł, co mieszka w stodole,
Jest profesorem; uczy dzieci w szkole [2].

U ludu naszego w Ropczyckiem mali i wielcy, chłopcy i dziewczęta, przywdziawszy maski, urządzają sobie także pewien rodzaj jakby kuligu, zwanym bekusami (nazwa pochodzi od Bachusków, jak je w Krakowskiem nazywają [3]). Są tu między nimi Żyd i Turek, baba i panna, śmierć i nieodzowny dyabeł i t. p. Zgrają całą ciągną przez wioskę nagabując ludzi, nawiedzając domy, błaznując i tańcząc [4].

Zapusty kończyła była ucieszna popielcowa krotochwila Bachusowa, jego zakucie w kajdany, ścięcie i pogrzeb [5]. Nie co innego, jak sądzimy, miał też przedstawiać ów comber słomiany, o którym mówiliśmy. W Radomskiem wywożą wśród uciech

---

[1] O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 260, tudzież d-ra J. Karłowicza artykuł w Wielkiej Encykl. ill. pod wyrazem comber.

[2] Kolberg j. w. str. 263. — Szujski, „Dzieła“, tom dod. str. 34.

[3] Kolberg, „Lud“ v, 263.

[4] Zbiór wiad. do antrop. kraj. XIV, 63. — M. Wiszniewski, „Historya lit. polsk.“, VII, 223 o przebieraniu się zapustnem.

[5] K. W. Wójcicki. „Obrazy starodawne“, I, 142. — Kolberg, j. w. str. 269, 270.

i żartów, miasto Bachusa, karczmarza lub muzykanta z kotem a często i z kogutem, w saniach za wieś i podpaliwszy budę krzyczą na umykającego kota: „Leci dusza!“ — poczem sam karczmarz wyskakiwał z sanek [1].

W Jedlińsku dochował się obchód „ścięcia śmierci“, który odbywa się w ostatni wtorek zapustny i daje nam poznać pierwotny jakiś zwyczaj, może jeszcze pogański, przybrany w średniowieczne resztki prawniczych zwyczajów i okraszony humorem i dowcipem wiejskich wesołków. Powtórzymy go za autorem niemal dosłownie: „Śmierć przedstawia mężczyzna dorosły (zwykle nieżonaty). Odziany on jest cały w prześcieradło, przykrywające także i sztucznie zrobioną głowę (na kształt trupiej) przyprawioną na wierzchu prawdziwej. Lud, zawiadomiony przez pachołka, że śmierć ta, upiwszy się w „T o c z n e m“ zgubiła kosę swą i śpi pod „S p a l o n ą - G r o b l ą“, udaje się tam i chwyta ją. Schwytaną prowadzi ze związanemi powrozem rękoma do wrót miejskich przez całe miasto z okrzykiem przed sąd miejski, to jest burmistrza i ławników (a wójt trzyma księgę praw), który, usadowiony pod ratuszem, śmierć ową, jako wielką winowajczynię, zgładzającą wszystkich, skazuje znów na śmierć, nim minie druga godzina. Wójt odczytuje wtedy wyrok, czarnym węglem podpisany, a lud wiedzie w marszu pogrzebowym na środek placu ową śmierć, która zwiesiwszy głowę stęka i toczy z ust pianę. Wtedy pełno wrzawy: czarni niby dyabli biją w kołatki, a krawiec bierze zapłatę za uszycie szaty pogrzebowej. Kat przybrany czerwono i przepasany czarną szarfą, przybywa na plac, a upomniawszy otaczających, aby żyli bogobojnie i pracowicie, by się pod jego miecz nie dostali, ścina klęczącej śmierci głowę; wtedy z głowy tej prószy się popiół i zamiast duszy ucieka z niej kot. Kadłub niby zabitej winowajczyni pada na ziemię, trupa kładą na sanie. Gromada ludzi i dzieci ciągnie go w saniach po mieście z krzykiem i przy odgłosie drewnianych klekotek; muzyka gra; okazują trupa burmistrzowi i k s i ę-

[1] „Wisła“ VI, 689. Podobna zabawa odbywa się u ludu ropczyckiego na Wielkanoc. Zobacz Zbiór wiad. XIV, 58.

dzu (dla spisania niby aktu zejścia), wreszcie sprawiają mu w karczmie wrzekomy pogrzeb, co ma nazwę Kusak“ [1].

W dniu tłustego wtorku odbywają się gdzieindziej zabawy ludowe zawsze wesołe, mniej lub więcej rubaszne, nieraz z podkładem i układem tak scenicznym, że każą się domyślać, że przynieśli te zwyczaje dawni żacy i owi rybałtowie, co byli przedstawicielami początków sztuki dramatycznej w Polsce.

Ciekawą jest zabawa wiejska w Ziemi Czerskiej: licytacya dziewcząt, w której dziewuchy występują jako krówki, kupowane przez parobczaków [2], lub jutrznie u mazurów polskich [3].

Nadejście postu wita krakowiak z humorem i wierszem [4] pozdrawia swoją zupę postną, nobilitując go na szlachcica polskiego:

A jakże się miewasz
Mój panie Żurowski?
Będzie cię zajadał
I sam Pan Krakowski.
A sprawię ja tobie,
Mój Panie Żurowski,
Czerwone pończoszki,
Zieloną kapotę,
Będziesz miał Żurowski
Cały post sobotę.
Stanieć tej roboty
Do wielkiej soboty,
Wstępna środa następuje,
Pani matka żur gotuje,
A pan ojciec siedzi w dziurze,
Jak się miewasz, panie Żurze?
Wiwat! wiwat! wiwat!

W niedzielę białą lub zmarłych *(Dominica laetare)* przezwanej tak od koloru białego, który wedle słowiańskiego zwyczaju jest barwą żałoby lub śmierci, wyprowadzano z granic wsi figurę śmierci i wrzucano do błota [5]. Zwyczaj to starodawny a równoznaczny z opowieścią Długosza, że w niedzielę czwartą postu wynoszą bałwany Dziewanny i Marzanny i topią na pamiątkę wprowadzenia chrześcijaństwa [6].

Pogańskie obrzędy odbywały się w średnich wiekach i na

[1] „Wisła“ r. 1888, II, 439, według anonima *Gaz. Radomsk.* 1888. nr. 13.
[2] „Wisła“ 1888, t. II, 442; III, 168; VI, 1000.
[3] „Wisła“ 1889, t. III, 553.
[4] Kolberg, j. w. V. 270.
[5] Dr. Friedrich Leist, *Urkundenlehre.* Lipsk 1882, str. 201. — A. Brückner w *Bibl. warsz.* z 1891 r., str. 247, tudzież ks. J. Fijałek j. w. str. 224. — Kolberg, j. w. str. 273.
[6] Długosz, „Hist. pol.“, II, 94, 95.

cmentarzu i w kościołach, podczas i po nabożeństwie, w czasie czuwań nocnych i przy udziale kleru [1]. „Dnia 1 marca *(sic)* — mówi Wójcicki [2] — w Polsce, Czechach i Ślązku przed samym świtem zgromadzano się dnia tego na cmentarze z pochodniami i tam na pamiątkę umarłych ofiary i modły czyniono. W Czechach nawet był zwyczaj, że wystawiano widowiska, które cienie zeszłych wyobrażały. U nas ofiary takie czyniąc najmowano żaków, którzy na grobach modlili się i żałobne nucili śpiewy".

Ciekawa rzecz, że Rusini ową cześć umarłym oddają w drugie święto wielkanocne; popołudniu groby wiejskiego cmentarza jarzą się tam światłem a ksiądz idzie od mogiły do mogiły odczytując ewangelię. Zdaje się, że i u nas tak pierwotnie być musiało, ale o tem jeszcze później. Zwyczaj topienia bałwana uzmysławiać ma „pogrzeb zimy, a witanie wiosny w czasie, gdy około uroczystości Zwiastowania Najśw. Panny Maryi słońce wschodzi w znak barana a przyroda budzi się, zrzucając śnieg i lody" [3].

W Krakowskiem obchodzą w wielką środę Judaszki; podobnie i w Warszawie był do roku 1800 zwyczaj, że żacy w wielki piątek ubierali w stare suknie posążek, nazywając go Judaszem. W kieszenie jego kładli worek z kawałkami szkła potłuczonego jakoby 32 srebrników, za które przedał Chrystusa. Tak przystrojonego oprowadzali po ulicach miasta, poczem wciągali na wieżę kościoła Panny Maryi na Nowem Mieście, i z tej on posąg z okrzykiem zrzucali, a zrzuconego za przyprawione włosy targali i w Wiśle topili.

Gdzieindziej na Wniebowstąpienie Pańskie po nabożeństwie „żaki dyabła ze słomy urobiwszy, obszytego w chusty włócząc po ulicach wołali, że dyabła zabijają a kijmi go tłukli i w rzece lub gliniankach topili" [4]. Toż samo donosi z końcem XVI. wieku nuncyusz papieski w Polsce, Hannibal z Kapui, sekretarzowi

[1] Ks. dr. J. Fijałek, j. w. str. 214.

[2] „Obrazy starodawne", t. 142.

[3] O. Kolberg, „Lud", ser. v, 273.

[4] O. Kolberg, j. w. v. 279. — K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne", t. I. 145 i 146. — Zbiór wiad. do antrop. kraj. XIV. 68.

stanu kardynałowi Sfondrato [1]. W wielką sobotę następuje pogrzebanie żuru i popiołu [2].

Obydwa zwyczaje: topienia bałwana i judaszków zdają się być widocznie jednego pochodzenia, a mianowicie ukazują się nam jako przeistoczenie pierwotnego pogańskiego zwyczaju i przeniesienie go na tło już nauki chrześcijańskiej. Z tego przykładu widzimy, jak władza kościelna stara się chrystyanizować zakorzenione obrzędy pogańskie, które stają się zabawą, utracają świętość pogańską i przybierają element komiczny, który je ośmiesza i wzgardliwemi czyni, by je tem łatwiej następnie rugować.

Biskup poznański Andrzej w statutach synodalnych z r. 1420 wymienia dyngus i topienie bałwana śmierci jako *ludi superstitiosi* [3].

Niedziela wielkanocna i dwa następne dnie były, według źródeł kazań średniowiecznych omówionych przez prof. Brücknera [4], pełne nierządnej zabawy, obmierzłego dyngowania i rozmaitych guseł. Mężczyźni i kobiety łupią, dyngują się wzajemnie o podarki, mianowicie jajka, ciągnąc się do wody, przyczem niejednego duszą albo utopią, smagają się rózgą i pięścią.

Oba wyrazy dyngus i śmigus, zdaniem tego uczonego, są pochodzenia germańskiego, mianowicie od *dingnus* (kontrybucya), *dingen* (łupić), śmigus od *Schmeckostern*.

W zwyczajach wielkanocnych miesza się wiele bardzo dawnych wspomnień obrzędowych z nowszemi, które przyniósł obyczaj chrześcijański. Najogólniejszym i najpowszechniejszym jest zwyczaj malowania jaj czyli tak zwanych pisanek i ich tłuczenia jedno o drugie i okupywanie się niemi przez dziewczęta. Zwyczaj to wspólny nietylko całej Słowiańszczyźnie, ale sięga on jeszcze dalej, bo znany i u innych narodów, zachowany dotąd u ludu włoskiego. Uczony Ciro Massaroli wywodzi ten zwyczaj od Rzymian, którzy uważali jajko za symbol świata, zaczynali od niego uczty obrzędowe i ofiary na cześć umarłych.

---

[1] Ks. J. Fijałek, j. w. str. 222, nota 2.
[2] O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 281.
[3] Dr. M. Kawczyński, j. w. str. 33.
[4] *Biblioteka Warsz.* r. 1891, str. 249 i 247.

Szczególniej zaś święcili je Cererze. Młodzież rzymska bawiła się pisankami czerwono barwionemi na pamiątkę Kastora i Poluksa, którzy wykłuć się mieli z jaja [1].

Znaczenie jaja w zabobonnych obyczajach ludowych z całą siłą objawia się dotąd u naszych górali [2].

Wesoła wojna o farbowanie jaja rozpoczyna się w samą wielkanoc, kiedy tłuką jedno o drugie. Na drugi dzień dopiero chłopcy i dorośli mężczyźni oblewają się wodą i biją rózgami [3] po nogach i ręku.

W ziemi Dobrzyńskiej lud już w kwietnią niedzielę, także wierzbną zwaną, wiązkami świeżego pręcia wierzbowego lub brzeziny okrytych koćkami bije dziatwę w łóżku i woła:

Wierzba bije,
Nie zabije.
Wielki dzień
Za tydzień.
Siecze po boku
Raz tylko do roku.

W niektórych zaś okolicach biją dzieci tylko w wielki piątek mówiąc:

Wielki czwartek, wielki piątek,
Cierpiał dla nas Jezus smątek.
Już jedna nocka
Do wielkanocka! [4]

Giovanni Paulo Mucanti, który bawił w r. 1596 na 1597 w Polsce, tak opowiada o dyngusie na Zwierzyńcu pod Krakowem. W poniedziałek wielkanocny poszedłem oglądać kościół, który nazywają Emaus, gdzie zbiega się wielki tłum obojga płci. Kościół ten stał poza bramą wiślną, sporą milę włoską od miasta blizko brzegu rzeki. Były tam 3 kościoły, to jest wielki pod

[1] *Archivio per lo studio delle tradizioni popolari*, t. XIII.

[2] Zbiór wiad. do antrop. kraj. XVIII, 389.

[3] Jeżeli ten zwyczaj jest chrześcijańskiego pochodzenia, w takim razie powstał prawdopodobnie po przybyciu Biczowników w r. 1261 z Czech do Polski. (M. Wiszniewski. „Hist. lit. pol.“, I, 388).

[4] Zbiór wiad. do antrop. kraj. II, 16.

wezwaniem św. Anny, gdzie jest klasztor mniszek reguły św. Augustyna, dość piękny, i dwa inne kościółki na wzgórzu bardzo blizko siebie. Jeden poświęcony Przenajśw. Panience a drugi pod wezwaniem św. Salwatora i tego zowią kaplicą Emaus. Wszystka młodzież i żacy zachowują dawny zwyczaj noszenia dnia tego różdżki wierzbowej, na której rozwinięte są bazie i temi uderzają, idąc drogą na Emaus, dziewczęta brzydsze i mówią do nich: „Czemuż nierychło na Emaus?“ A na tych drogach, które tu prowadzą, nie widzi się też nic innego. Kobiety śmieją się zadowolnione z tych żartów, a niektóre niosą same podobne rózgi i trącają mężczyzn [1].

W drugie święto wielkanocne rozpoczynają się równocześnie zabawy wodą, zazwyczaj nazywane śmigusem.

Polewanie się wodą, ma niezaprzeczenie w sobie stary pierwiastek pogański i przypomina owych Indów, co stojąc nad Gangesem, u brzegów świętej rzeki czerpią z niej wodę, polewają się nią, modlą do niej i kąpią się w jej świętych nurtach. W zwyczaju śmigusowym objawia się bałwochwalcza cześć wody, gdy ta pozbywa się swej powłoki lodowej, by pod działaniem promieni słońca odżyć z żywiołową siłą. Nie bez przyczyny też Kościół wyznaczył właśnie w tym czasie okres święcenia wody; zwyczaj pogański rugował obrzędem religijnym wiary chrześcijańskiej. Bardzo charakterystyczne w tym względzie obrzędy dochowały się u górali polskich na Węgrzech, gdzie wiara zabobonna w moc nadprzyrodzoną wody silniejszym jeszcze, niż wszędzie indziej, odzywa się echem [2].

W Gorlickiem (Gorlice), w Jasielskiem (Kołaczyce, Biecz), w Sądeckiem (Muszyna) z niedzieli wielkiej na poniedziałek wieczorem o zmroku lud wychodzi w pola, niosąc ze sobą z cierni

---

[1] *Itinerario di Giovanni Paulo Mucanti.* Rękopis w archiwum watykańskiem oraz bibl. Barberini w Rzymie. Według użyczonej mi łaskawie kopii przez d-ra F. Koperę. Nie jest wykluczone, że Emaus zwierzyniecki był pierwotnie grywanem misteryum. Por. prof. Creuzenach j. w. 1, 56.

[2] Zbiór wiad. do antrop. kraj. XVIII. 388 i n. — Roman Zawiliński, „Przyczynek do etnografii górali polskich na Węgrzech“.

głogowych, poświęconych w wielki piątek zrobione krzyżyki i święconą wodę. Przy śpiewie każdy obchodzi własne pole i wbija w ziemię co kawałek krzyżyk, oraz kropi wodą. Młodzież strzela wówczas noc całą, a skoro świt nastaje, biegną chłopaki do chałup, by zlewać dziewczęta, zwłaszcza narzeczeni polać pragną swe dziewki [1].

W całości wzięte zwyczaje wielkanocne utworzyły grupę zabaw radosnych, pełną rubasznej wesołości, gdzie kąpiel poniewolna dziewek wiejskich i miejskich łączy się z wesołą krotochwilą, różną według okolic. W jednych stronach topią niedźwiedzia, t. j. wrzucają do rzeki chłopaka, ubranego grochowinami za niedźwiedzia, w innej okolicy parobczaki ze śpiewką na ustach: „My biegamy po dyngusie i śpiewamy o Jezusie", zbierają datki od gospodarzy w pieczywie i groszach, gdzieindziej chłopaki niosą krzyż wysoki z zawieszoną chustką czerwoną, jakby tryumfalną chorągiewkę, i śpiewają pieśń o Męce Pańskiej, kończącą się prośbą o datki, lub idzie kompania wesoła z grajkiem na czele i wiedzie z sobą przebranego za bociana, owego symbolu i zwiastuna wiosny, inny niesie koguta żywego, tamten torbę, ten długi rożen na ramieniu i nucą pieśń Zmartwychwstania Pańskiego. Niekiedy już w pierwsze święto zbierają się chłopacy i składają pocieszny sąd na dziewczęta, z najwyższego budynku wiejskiego wywołują winy dziewuch i wyrokują o ilości kubłów wody, które pewnikiem nazajutrz wyleją na ich głowy, jeśli okup nie wyratuje je od tego. We wtorek wielkanocny przychodzi kolej na dziewczęta, które mszczą się za złośliwości doznane dnia poprzedniego i zlewają więc parobczaków i sieką ich rózgami. W Krakowskiem nadto parobcy przebierają się za cyganów i żołnierzy, gdzieindziej chodzą z kogutkiem czyli kurkiem i gaikiem lub też innemi urozmaicają zwyczajami: hajłek, turczyc, wiośnianek, które uważać można za przeżytki obrzędów dawnych. Dla uczczenia powracającej wiosny, symbolizując je świeżo rozwijającym się gajem, wracającem z cie-

[1] Z opowiadania ustnego.

płych krajów ptactwem, odradzającym się domowym dobytkiem i t. d. [1].

Wyjątkowego znaczenia zdaje się nabierać w tej seryi zwyczajów narodowych Rękawka krakowska, jeden z najstarszych dotąd dochowanych obrzędów pogańskich, kiedy ze spadzistych złomów wapiennych ciska lud krakowski pomiędzy tłumy nędzarzy jaja, bułki, jabłka i t. p., a wyrostki wyprawiają dla uciechy publiczności akrobatyczne sztuczki i staczają drobne utarczki [2]. Nazwa jej pochodzi od mogiły Krakusa, także inaczej, jak i mogiła Wandy, rękawką [3] zwanej, a obchodzona bywa dnia trzeciego po Zmartwychwstaniu Pańskiem, na najstarszych sadybach pierwotnego Krakowa, bo na górze Lasotni. Rozwiązaniem tego dotąd niewyjaśnionego dostatecznie obrzędu zajmuje się, o ile nam wiadomo, prof. Roman Zawiliński. Nie wchodząc w rozbiór tej kwestyi, zauważymy tylko, że wedle opowieści kalendarza Duńczewskiego z r. 1759 miał tu stać rzekomo posąg bożka Śwista, którego znów nazwa łączy się ogniwem swego źródłosłowu z tem, co mówimy następnie o chwiście. Tuż obok miejsca rękawki, nad stokiem góry stoi starożytny kościółek pod wezwaniem św. Benedykta, w którego dawnym obrębie cmentarnym powtarza się co roku zabawa, starożytnością pogańskich sięgająca czasów, w której obok jałmużny dyngowanie (łupienie) odgrywa główną rolę. W dawniejszych czasach, jak wspomina Łukasz Gołębiowski, bywały tutaj zapasy ludu i młodzi szkolnej na palcaty [4].

Najważniejszą może okolicznością, wyjaśniającą w tym obrzędzie będzie może stanowić miejsce, w którem się odbywa, to jest obręb dawnego cmentarza, i przypomnienie dochowanego

[1] Łuk. Gołębiowski, „Gry i zabawy“, str. 290, 293. — O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 288 i n. — Jan Karłowicz, „Dyngus i śmigus“ („Wisła“ v, 278—289). — Otto Knoop, „Podania i opowiadania w W. Ks. Poznańskiem („Wisła“ ix, 502). — Wład. Matlakowski, „Dyngus i śmigus“ („Wisła“ v, 752). Następnie „Wisła“ v, 927, vii, 237. — „Zbiór wiad. do antrop. kraj.“ ii, 16, viii, 70, xvii, 38. — A. W. Maciejowski, „Polska“, iii, 241.

[2] J. Szujski, j. w. str. 36.

[3] Archiwum dla hist. lit. i ośw. ii, 81 i 82 w poezyach Gawińskiego,

[4] „Gry i zabawy“ str. 275. — O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 289.

zwyczaju ruskiego nabożeństwa na cmentarzu w drugie święto wielkanocne, o czem już mówiliśmy.

Sobótki. W noc letnią majową lub następnego miesiąca świecą szeroką łuną rozniecone ognie po wzgórzach i polach. Te ognie dzielą się na ogniki, biegną wzgłuż niw; na płomiennem tle większych ognisk widać jakieś, jakby tajemnicze postacie w pląsach i szalonych podskokach, a po rosie biegnie w dal choralny śpiew pieśni świętojańskich. Zbliż się, a oko twe rozróżni chłopaków wiejskich i dziewcząt roje, zaś ucha doleci piosenka wesoła, w której treści przebrzmiewa przekomarzanie się płci obojga:

Aj sobótka, sobóteczka,
Pójdźże do mnie dziewuszeczka,
A czyś godna, czy nie godna.
Nie uciekajże od ognia,
Nie uciekajże od środka,
Nie spali się twoja cnotka[1].

Pochodzenie sobótek wywodzą tak Łukasz Gołębiowski, jak prof. Maksymilian Kawczyński, od rzymskich p a l i l i ó w. święta pasterzy na cześć bogini Pales. Włosi obchodzą też dotąd swoją sobótkę, zwaną *sabatina*[2].

Tradycyjne igrzyska świętojańskie odbywały się w Rzymie na placu św. Jana, oraz Santa Croce in Gerusalemme. Na placu św. Jana urządzano również wzajemne ablucye.

O ogniach świętojańskich powiada św. Augustyn, że po nieszporach cały Rzym bywa w płomieniach, a trzask i dym tych ogni — istne igrzysko szatanów — mroczy powietrze[3].

Józef Szujski widział pochodzenie sobótki w lidyjskim kulcie Astarty[4]. Do pokrewnego wyniku doszedł uczony rosyjski A. Wesełowski, mianowicie w sobótkach i obrzędach kupalnych widzi on ślady starożytnego heteryzmu, pobratymstwa i ku-

[1] O. Kolberg, „Lud“, ser. v, 296.
[2] L. Gołębiowski, j. w. str. 296. — M. Kawczyński, j. w. str. 32.
[3] „Wisła“, VII, 752.
[4] „Dzieła“, tom dodatkowy str. 37.

mostwa. Wiąże on je przedewszystkiem z greckim kultem Adonisa, który właściwie jest pochodzenia syryjsko-fenickiego.

Święto Adonia poświęcone było pamięci pięknego młodzieńca Adonisa i zakochanej w nim Afrodycie. Adonis zginął od kłów dzika, zaś Afrodyta znalazłszy potem ciało spaliła je, a zarazem wybłagała rozkaz Zeusa, według którego Adonis miał przebywać 6 miesięcy w krainie cieniów u również zakochanej w nim Perzefony, a na drugą połowę roku wracać do Afrodyty.

Kult starożytny łączy się u nas bardzo wyraźnie z porą roku, gdy siły natury budzą się do nowego życia. W świecie starożytnym uroczysty obrzęd połączony jest z pogrzebem i utopieniem lalki w morzu, lub rzucaniem kwiatów do wody, jako symbol krótkotrwałego życia Adonisa, a równocześnie z czcią erotyczną Afrodyty, w świątyniach jej poświęconych, wśród tańców i śpiewów [1].

Postaci Adonisa i Afrodyty przybrały na ziemiach słowiańskich imiona Kupały i Marzanny; kościół wpłynął na dalszą ich zamianę, na przyjęcie w ich miejsce imion św. Jana [2] i Maryi lub św. Agrypiny, który Kupalnicą zwano [3]. Owe święto pogańskie K u p a ł y, święto miłości, odbywać się zwykło w dniach sobotnich, stąd też pochodzi ich nazwa s o b ó t e k.

Na Podhalu i Słowaczyźnie dochował się zwyczaj palenia ogni przez 7 sobót od Wielkanocy [4]. W Krakowskiem palą sobótki przeważnie w Zielone Święta, w innych okolicach kraju na Wielkanoc. Są jeszcze inne wskazówki, przemawiające za okresem siedmiotygodniowym tych zapomnianych obrzędów pogańskich. W Gorlickiem gospodyni wiejska wkłada na Wielkanoc placek serowy do sąsieka, przechowuje aż do Świąt Zielonych, wtedy wyjmuje go ze zboża i obdziela domowników [5].

---

[1] *Żurnał Ministerstwa Narodnago Prosvěščěnija* z r. 1894. Streszczenie w „Wiśle“ x, 828.

[2] W Ougrée topiono niegdyś w południe 24 czerwca statuę św. Jana w Mozie, ażeby poświęcić wodę. („Wisła“, x, 143).

[3] Naruszewicz i, 362. — Gołębiowski, j. w. str. 297.

[4] „Lud“, tom iv, 312.

[5] Według opowiadania ustnego.

We wsi Stradomiu pod Częstochową nietylko dzielą się w Zielone Święta przechowanym płackiem, ale i jajkiem [1].

Wielbione pieśnią Jana Kochanowskiego, a związane zabobonnie z kwieciem paproci, bylicy i innych ziół, z czcią ognia i wody odbywały się sobótki również w wigilię św. Jana Chrzciciela: tak bywało na całym Ślązku i indziej. Ale to przesunięcie pory sobótek będzie wynikiem albo wpływów kościelnych lub też przeżytkiem innego święta pogańskiego.

Góra Sobótka, *mons Sabothus*, oddalona o 5 mil od Wrocławia, tuż nad miasteczkiem Zobten, dawniej Sobótka, uważaną była, według Ditmara, za górę świętą pogan, którzy tutaj swe ognie palili [2]. Podobnie w Krakowie wzgórza zwierzynieckie i Krzemionek [3], uświęcone innemi obrzędami, były miejscem palenia sobótek.

Co do źródeł historycznych, to wspominają następnie o sobótkach warmińskie statuta synodalne biskupa Henryka III. (1373—1401). Przepis statutów poznańskich biskupa Laskarza z XV. wieku zakazuje tańców nocnych w dni sobotnie i w wigilie uroczystości kościelnych, przypadających w lecie, to znaczy w Zielone Świątki i przed świętem Jana Chrzciciela, tudzież św. Piotra i Pawła. Z nich najwspanialszą być musiała w czasie Świąt Zielonych, kiedy, według świadectwa kaznodziei krakowskiego, Jana ze Słupca, tańczą przy odgłosie chóru i lutni niewiasty i śpiewają pieśń pogańską: „Świątki w lecie". Stwierdza ten obyczaj, jako pogański jeszcze, statut synodu krakowskiego z roku 1408 i świadczy, jak długo i uporczywie trwała w Małopolsce ludność przy dawnych pogańskich obrzędach [4].

Według słów Długosza, Polacy jeszcze zawsze około Zie-

[1] Zbiór wiad. do antrop. kraj. XVII, 40.

[2] J. S. Bandtke. „Sobudki. Góra Sobótka" w *Pam. Warsz.* z r. 1819, str. 374. („Wisła" X, 643).

[3] Luk. Gołębiowski, j. w. str. 301.

[4] Ks. prof. Jan Fijałek, „Średniowieczne ustawodawstwo synodalne biskupów polskich" w Rozpr. wydz. histor. filozof. Akad. Um. w Krakowie, t. XXX, 214 i 215.

lonych Świąt, czcząc bożków, większą im cześć oddają, niżeli Bogu, bo dziewczęta, które przez cały rok do kościoła nie przychodzą modlić się Bogu, wówczas idą służyć bożkom. Opowieść Długoszową potwierdza anonim kaznodzieja, rozpowiadając o tych pogańskich zwyczajach [1].

Marcin z Urzędowa powiada w Zielniku (1595): „U nas w wilią św. Jana niewiasty ognie paliły, tańcowały, śpiewały, dyablu cześć i modłę czyniąc; tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki paląc ognie, krzesząc je deskami, aby była prawie świętość dyabelska, śpiewając pieśni, tańcując. Gdzie obcego rodu zagnieździły się i przemogły lutry, tam sobótek odprawiać nie wolno było".

Pewna część też pierwiastków pogańskich ostała się mimo wiekowych przeciwdziałających wpływów kościelnych, w swej pierwotnej postaci, jak okadzanie krów, przepędzanie bydła przez ogień, szukanie o północy paproci i palących się światłem skarbów, majenie zdrojów dla mocy uzdrawiającej wody, palenie mioteł, wróżby z ognia, wiara zabobonna w siłę nadprzyrodzoną profilaktyczną wyjętego z palącego się stosu kawałka ogniem osmolonego drzewa i t. p. [2], ale obrzędy zatraciły swój charakter religijny i stały się przeważnie w zupełności zabawą ludową, chociaż bezwiednie trącą jeszcze pogaństwem.

W e s e l e. Pora jesienna jest złotym czasem wesel u chłopa polskiego. Jeżeli kiedy, to w czasie uroczystości weselnych rozwija się samorodny dowcip bystry i spostrzegawczy. Pośród orszaku weselnego idą na czele drużbowie w pląsach i ze śpiewaniem, a w tych piosnkach przebija obok poważnej refleksyi i bujności, zwięzłość myśli i szybkość akcyi, dostrojona do

---

[1] Prof. A. Brückner, „Źródła do dziejów literatury i oświaty". *Bibl. warsz.* 1891, str. 247.

[2] Por. „Wisła" t. III, 516, IV, 247, 457, V, 32, 41, 436, VI, 231, 444, 652, 683, 923, VII, 179, 391, 599, 752, VIII, 365, 586, IX, 505, X, 233, 643, 679, XI, 135, 141. — „Lud", t. IV, 308.

obrzędu [1]. W jednych stronach widzimy orszaki piesze, w innych konne z chorągiewkami i wstążkami: podobni do rycerskich zastępów wiodą państwa młodych do progów chaty, a przytem rozbrzmiewają na odmianę znów „pieśni żartowne i szydne", jakich gwoli uroczystości lud wiele posiada. Druchny wyśmiewają niemi swachy, drużbów i swatów — i nawzajem, a nikt obrazić się nie może za wolne żarty [2].

U ludu podgórskiego występuje jowialny pisarz weselny, który komiczno-uroczyście spisuje patykiem na arkuszu papieru dary ofiarowane pannie młodej i publikuje dowcipnie ów spis zgromadzonym gościom [3].

A dalej obrzęd czepin urozmaicają figle chłopskie, improwizowana chłopska komedya: starosta i drużba przebrani w jakieś łachmany, okręceni powrósłami, z torbami i workiem czerepów zamiast pieniędzy przez ramię przerzuconym, uczerniwszy twarze węglem, przekręcają z ruska lub cygańska i jako kupcy odgrywają pocieszną scenę targu krówki (panny młodej), z którą tańczą przy muzyce dla doświadczenia jej dorodności i zdrowia, wreszcie płacą za nią skorupami. Odgrywają też i inne komedye, w których zwyczajnie żołnierz, Żyd, dziad i złodziej występują w żywej akcyi [4].

Na śpiew starościny:

O la Boga, co takiego,
Co nie widać kupca mego?

przybywa przebrany za Żyda kupiec z workiem czerepów, prowadząc na linie parobczaka przebranego za niedźwiedzia i pokazuje rozmaite sztuki. Nareszcie ujrzawszy pannę młodą wystawioną na sprzedaż, rozpoczyna targi o nią i tańce pocieszne, w których koniec końców Żyd zostaje oszukany. Lamentującego

[1] Karol Matyas, „Nasze sioło". „Wisła" VII. 97. — H. Biegeleisen, „Ze studyów nad pieśniami". „Wisła" VII. 494.

[2] „Zbiór wiad. do antrop. kraj.", I. 95.

[3] „Zbiór wiad." XII. 233.

[4] Karol Matyas, „Epizod z wesela w Sandeckiem". „Wisła" VII. 299.

Żyda, że „ani bidlęcia, ani pieniędzy niema“, wyrzucają z niedźwiedziem za drzwi [1].

W zwyczajach weselnych przejawia się więcej jak w poprzednich już średniowieczny obyczaj. Drużbowie i starostowie pełnią tu rolę wesołków lub błaznów, bawią weselne grono i rozśmieszają piosnką, łamaną sztuką lub krotochwilą, co średniowieczne przypomina intermedya.

(C. d. n.).

Leonard Lepszy.

[1] Konstanty Rayski, „Zwyczaje w Białej Błotnej“. „Wisła“ VII, 736.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Sztuka lwowska w XVI. i XVII. wieku. Architektura i rzeźba. *Władysław Łoziński.* Z 103 rycinami w tekscie. We Lwowie 1898. (Stron. 228, w 8-ce).

Według definicyi Edisona geniusz ludzki składa się z 2% geniuszu a z 98% pracy. Zdanie mądre i głębokie. W dziele p. Łozińskiego błyszczy on świetnością barw, szlachetnością kolorytu, głębią spostrzeżeń i nadaje rezultatom długiej bardzo i żmudnej a zawsze umiejętnej pracy ten urok niezwykły lekkiego i łatwego określenia rzeczy, który suchą kwestyę ożywia dziwnem ciepłem umiłowania, czyni przedmiot omawiany zrozumiałym i w wysokim stopniu zajmującym. A oprócz tego wieje z tej pracy taka szczerość uczucia i przekonania, tyle trzeźwości sądu, że po przeczytaniu książki budzi się postanowienie, by nieraz jeszcze powrócić do dzieła, które daje tyle rozkoszy umysłowej.

Roku 1572 pożar straszliwy zniszczył miasto Lwów doszczętnie; zniknął z powierzchni ziemi stary gród a natomiast zaczął się wznosić nowy, lecz już według form panującego renesansu.

Epoka gotycka, to okres pracy ślązkich i niemieckich architektów: z chwilą zjawienia się Odrodzenia (r. 1530), a jest ona we Lwowie dość późną, miejsce ich zajmują Włosi. Powstanie cechu murarskiego schodzi się z datą pożaru Lwowa. Cechowym zwyczajem imiona polskie, tak zwane „przeszynki“ lub „przemianki“: Przyjaznych, Szczęśliwych, Uporuych, Nierychłych i t. p. ukrywają przed okiem badacza ich włoskie pochodzenie. Przeważna ich część pochodzi z Lu-

gano, Lombardyi, Ferrary i Bononii, a wśród ich rodzimych nazwisk uderza ucho Quadri v. Quadro, przypominając słynnego twórcę poznańskiego ratusza Jana Baptystę de Quadro et Lugano Lecz rodzin Quadro trudno dopytać się na włoskiej ziemi, milczą o niej włoskie źródła, a więc sz. autor rzuca szczęśliwą myśl rozwiązania tej zagadki, wytłumaczeniem nazwiska utworzonego od miasta Cadro pod Lugano w Tessyńskim kantonie. „Cisalpiński ten kanton, już całkiem włoski, co do typu swojej cywilizacyi lombardzki, ubogi wprawdzie, ale piękny i wesoły, ma prastare tradycye kultury i sztuki", pełen „gotycko-romańskich kościołów, oryginalnych kampanil, ustronnych kaplic pokrytych freskami i starych zamczysk", a Tesseńczycy odgrywają w architekturze XVI. wieku i w całej epoce baroka niemal pierwszorzędną rolę. Stąd to pochodzi lwowski architekt Piotr Szwajcar, przezwany od kamieniołomów podelwowskich Krasowskim, — on to zajęty r. 1570 budową wieży cerkwi wołoskiej a następnie trójkopulistej kaplicy ciosowej Trzech Świątyteli. Krasowskiego dzieło dom Zofii Hanlowej później Anczowskiego z r. 1577 z misterną fasadą z ciosów fasetowanych i z rytmicznie skomponowaną attyką jest najpiękniejszym zabytkiem lwowskiej architektury świeckiej.

Ostatnie lata XVI. i pierwsze XVII. wieku były porą ożywionego ruchu budowlanego, przybywa wtedy Piotr Barbon, zda się niewątpliwie, autor pięknej wieży Korniaktowskiej przy cerkwi wołoskiej (ukończonej r. 1580), która jest jednym z najznakomitszych pomników architektonicznych Lwowa, a kto wie czy nie najpiękniejszą wieżą renesansową na ziemiach podolskich, przypominająca najszlachetniejszą wieżę Odrodzenia przy San Spirito w Rzymie. Ów Paweł Rzymianin zawiera też ciekawą ugodę ze Stauropigią o budowę cerkwi wołoskiej, on prawdopodobnie dawał plany tej szczególnej budowy, ze swoją gigantyczną ścianą ciosową, prześlicznie upatynowaną, pełną szlachetnych linij i powagi, aczkolwiek bez fasady i portalu, i z nieumiejętnie rozwiązanym problemem umieszczenia trzech kopuł na dachu. Budowę prowadzili krewniak jego Kapinos i A. Przychylny.

Kościół Bernardyński jest drugim najwybitniejszym zabytkiem architektury starożytnego Lwowa i jego twórcą artystycznym był, wedle przypuszczenia p. Łozińskiego, Paweł Rzymianin, on budowę rozpoczął (r. 1608) a dalsze jego prowadzenie objął (r. 1613) znów Włoch Ambroży (Przychylny). Cały urok tego monumentalnego gmachu spoczywa w jego przedziwnej malowniczości, bogatem uposażeniu w prawdziwie piękne szczegóły, w oryginalnej i niezwykle urozmaiconej fasa-

dzie tylnej, wobec czego zapomina się o usterkach, które też sz. autor szczegółowo rozważa [1].

Paweł Rzymianin odegrał wogóle w dziejach architektury Lwowa wybitną rolę; wycisnął piętno swego talentu w jego charakterystycznym wyglądzie a rozgłos jego zdolności sprawia, że magnaci polscy używają go do wykonania swych monumentalnych budowli na prowincyi.

Całej dalszej seryi architektów włoskich we Lwowie przeciwstawia sz. autor szereg budowli, które jeszcze przed laty dwudziestu istniały i uległy zagładzie lub jeszcze istniejących. Zachowane dotąd domy dzieli na dwie grupy: pałacową tj. o szerokich frontach i licznych oknach, następnie na szosową czyli trójokienną, z której tylko jeden dom Korniakta się dochował. Za najpiękniejszy z tej spuścizny przeszłości uważa sz. autor zburzony dom Pinozzego, następnie zwraca baczną uwagę na dom nadw. lekarza Zygmunta III. Stanisława Dybowieckiego, odznaczający się swą szlachetną artykulacyą i pełną miary i smaku ornamentyką. Wszystkie mają znamiona włoskiego przekwitającego renesansu z wyjątkiem domu Szolcowskiego, który wykazuje wpływy niemieckie. Wszystkie akcentuje horyzontalny układ form architektonicznych o bogatej dekoracyi fasad i portalów; tylko w niektórych, jakby zwyczajem Wschodu uderza skromność frontonu obok istotnego bogactwa ozdób architektonicznych i rzeźbiarskich podwórza. Wnętrza domów były w sklepionych dolnych izbach zdobne rzeźbionemi zwornikami i kluczami, górne z belkowanemi sufitami okryte były rzeźbą i polichromią: stały w nich misterne kominki alabastrowe lub z innego kamienia.

Około r. 1600 wracają do Lwowa znów Niemcy, lecz więcej między nimi czeladzi, niż mistrzów. Stopień zawodowego wykształcenia budowniczego lwowskiego jest wówczas dosyć nizki, zasoby oryginalnej twórczości małe, ale mimo to posiadają oni wysoce rozwinięty zmysł i miłość formy, wrodzony instynkt, pierwiastek rasowy, który nadawał każdej budowie własny wyraz.

Rzeźba lwowska, która stoi na usługach architektury, bierze nad nią czasami górę. Z wyjątkiem wcześniejszych architektów Włochów.

[1] Uwagę sz. autora (str. 85), że pierwotna wysokość absydy miała sięgać wysokości naw bocznych i że w trakcie budowy dopiero architekt dostrzegł i uznał błąd podwyższając jej mury, — przyjmujemy z tem zastrzeżeniem, iż niezbadany wątek murów, to potwierdzi, bo nam się widzi tylna część, jako fragment pozostawiony z dawnej świątyni, do którego dostosował architekt swoją budowę.

którzy są zarazem rzeźbiarzami, samoistne rzeźbiarstwo spoczywa w rękach Niemców.

Z najdawniej znanych rzeźbiarzy pędzących tutaj swój skrzętny i artystyczny żywot, jest Herman van Hutte albo Czapka (1567—1582), zdaje się Niderlandczyk, który wedle trafnie rozumowanego przypuszczenia sz. autora, rzeźbił pomnik biskupa Andrzeja Czarnkowskiego w katedrze poznańskiej. Ów van Hutte bawi także w Krakowie (1576) i może jest wykonawcą stal w kościele św. Idziego, bo przeziera z nich wiele specyficznie lwowskich sposobów i fortelów techniki rzeźbiarskiej.

Najpiękniejszy z XVI. wieku pomnik bronzowy Lwowa, jaki się znajduje w katedrze łacińskiej, byłby skłonny sz. autor przypisać v. Huttemu, gdyby domysł starczył. Podpisany pozwoli sobie w niniejszej recenzyi uzupełnić w tym względzie omawiane znakomite dzieło. Mianowicie w czasopiśmie naukowem norymberskiem: *Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit* (Rocznik z 1876, str. 143), znajduje się przedrukowany kwit słynnego odlewnika norymberskiego imieniem Pankracego Labenwolfa, według którego odlał on we Lwowie wskutek polecenia Joachima Fraischlicha z Krakowa posąg szlachcica i wielmoża starosty Odnowskiego w ruskim Lwowie z mosiądzu; odlew ten ważył 10 centnarów, za każdy cetnar mosiądzu i pracę zapłacił mu on $24^1/_2$ guld., w sumie 245 guldenów, których odbiór kwitował Labenwolf dnia 3 lipca 1551 r. w Norymberdze. Z Niesieckiego znowu (wyd. lipskie tom IV, 349), dowiadujemy się, że Piotr Herburt przy dziale dóbr rodzinnych r. 1471 przybrał nazwisko Odnowskiego. Syna to jego Mikołaja Herburta-Odnowskiego, najprzód (r. 1536) podkomorzego lwowskiego, następnie kasztelana przemyskiego i starostę lwowskiego (1548), zmarłego, jeżeli mamy ufać Niesieckiemu około 1555 r. na krześle wojewody krakowskiego, widzimy odlanego w bronzie (por. jeszcze Ksaw. Liskego Akta grodzkie, gdzie w tomach II, VI, IX. i n. wiadomości o Odnowskich). Tak więc ów niezdeterminowany posąg rycerza zakutego w zbroję, o uderzających zaletach dłuta, przestaje niniejszem być dla nas bezimiennem dziełem sztuki.

Wśród licznych dalszych rzeźbiarzy wybitniejszym jest Herman Horst, współczynny przy wykonaniu pomników alabastrowych u Dominikanów, jakoteż w Brzeżanach. Zapożycza on form dekoracyjnych z Belgii i Niderlandów a materyałem różnobarwnym nadaje im kolorystyczne utonowanie.

Pomniki kościoła Dominikańskiego nazywa sz. autor tryumfem techniki rzeźbiarskiej w alabastrze; są to niezwykle piękne postaci we

śnie leżących rycerzy, członków rodzin Włodków, Dzieduszyckich, Swoszowskich i Chodorowskich. Są one doskonale modelowane, subtelne w technice, szlachetnie pojęte i czynią wrażenie, jakby z jednej wyszły pracowni. Monogramy dotrwałe H. H. oraz Z. H. mówią o odmiennych dłutach. Wszystkim pomnikom brak architektonicznej oprawy, nie mają też samoistności, nie zdołały się wyswobodzić z więzów sztuki stosowanej — ale są ostatnim jej momentem, tworem mistrzów doskonałych, choć cechowych.

Przybyłych do Lwowa rzeźbiarzy z okresu lat 60 do 70 dzieli p. Łoziński na dwie grupy i omawia z osobna ich dzieje i znaczenie dla sztuki lwowskiej.

W rzeźbie ściśle kościelnej, jak ołtarze, stale i t. p., spoczywają istne skarbce motywów ornamentacyjnych. Kaplica Boimów (1609—1617) z nieumiejętnym podziałem dekorowanych płaszczyzn posiada tak niezliczoną moc rzeźby, że prawie jedna ciśnie się na drugą. Daremnie byś szukał gołej płaszczyzny, istny karnawał motywów i form, przesyt i przeładowanie ozdób a w pośród nich uderzają popiersia mistrzowskiem prawie modelowaniem i charakterystyką. Obok kaplicy Boimów stanęła do rywalizacyi dekoracya kaplicy kampianowskiej (z 1619 r.), którą, jak przypuszcza sz. autor, stawiał Paweł Rzymianin. Kampian uczeń uniwersytetów włoskich szlachetną wstrzemięźliwością ozdób i cennością materyału zwycięża tutaj przesadną rzęsistość rzeźby spanoszonego sukiennika lwowskiego Boima.

Najwybitniejszemu z rzeźbiarzy lwowskich Janowi Pfisterowi wrocławianinowi poświęca p. Ł. osobny rozdział. Opowiada o tym autorze pomników ks. Ostrogskich w Tarnowie a Sieniawskich w Brzeżanach ciekawe a nieznane zupełnie daty z jego życia i ocenia jego dzieła wielkiego talentu i wysokiej doskonałości technicznej krytycznie, wykazując właściwości tej bujnej artystycznej natury zmanierowanej po barokowemu. Porównaniem cech artystycznych dochodzi sz. autor do bardzo cennych wyników w przypisaniu całego szeregu dzieł jego ręce.

Gdy zakończyły się główne roboty lwowskie, rzeźbiarze tutejsi rozeszli się po Polsce, jednani przez panów polskich do wykonania celniejszych robót.

Ostatni rozdział traktuje o snycerstwie, pośród którego najwspanialszym może zabytkiem z XVII. wieku są stale kościoła OO. Bernardynów, odznaczające się bogactwem i subtelnością rzeźby, jak również szlachetnością kompozycyi. Są one niepospolitem dziełem snycer-

stwa klasztornego, które liczyło znamienitych wśród braci zakonnych sztukmistrzów.

Artyści obcy nie pozostawiają we Lwowie po sobie tradycyi, nic — prócz swych dzieł; historya ich działalności nie wiąże się z historyą twórczości rodzimej i zamyka się zdaniem sz. autora, tylko w sobie i dla siebie.

W całem dziele p. Łozińskiego, którego streszczać niepodobna, bo wszystko trafne i doniosłe, piękne i świeże, zachwyca polot określeń i plastyczne obrazowanie. A przytem takie tu mnóstwo materyału archiwalnego z pierwszej ręki, taka dzielna znajomość historyi sztuki i wysokie poczucie piękna, — nietyle długą szkołą nabyte, ale wrodzone, zawsze szczęśliwie odczute i zawsze trzeźwe i krytyczne. Książka ta, jest to jedna z najdonioślejszych prac polskich z ostatnich lat.

Leonard Lepszy.

Nieznane listy Tadeusza Kościuszki w sprawie legionów z czasów Dyrektoryatu i Konsulatu (1798—1800). Wydał *Aleksander Krausharr*. Lwów. 1898. Str. 10.

Listy te wyciągnięte są z księgi 323 *(Pologne)* korespondencyi dyplomatycznej, przechowywanej w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu. Według życzenia ich wydawcy, mają służyć za dopełnienie ogłoszonego w r. 1894 w Krakowie „Życiorysu Kosciuszki“, którego autor, niewiedzący o ich istnieniu, żali się na brak dokumentów, objaśniających stosunek Kościuszki do legionów. Że stosunek ten istnieć musiał, o tem nikt znający charakter Kościuszki, a tem mniej jego zasłużony biograf wątpić nie mógł na chwilę. Dziś dzięki p. Krausharowi, owo przekonanie moralne zmieniło się w pewność. Stwierdzających ją mamy dziewięć listów Kościuszki do Dyrektoryatu, do ministrów, i jeden, obszerny a najważniejszy, do pierwszego konsula. Rozpoczynają się pod datą 20 października 1798 r. radą, ażeby wobec zamiaru powiększenia liczby legionistów polskich, walczących „pod sztandarem wolności“, utworzyć zawiązek nowych legij nad brzegami Renu, gdzie ku nim zbiegną niebawem tysiące dezerterów polskich, służących poniewoli w zgromadzonych tamże wojskach cesarskich. Drugi list, odpowiadający snać na zapytanie, na wiele głów winien być policzony żołd polskich legionów we Włoszech, oznacza liczbę 8.000 ludzi; mówi bowiem, iż w miejsce licznie bardzo w ostatnich bitwach poległych Polaków coraz to nowi oficerowie i żołnierze do legionów się garną. Prosi o przyspieszenie zapłaty i umun-

durowania. Trzeci list zawiera już wymówki i skargi: „Zasadą — mówi — założenia polskich legionów pomocniczych w Rzeczypospolitej cisalpińskiej było, iż zgromadzeni w ten sposób Polacy pracować będą pośrednio nad przywróceniem niepodległości swego kraju, że w razie gdyby poszli do Polski, wolno im będzie zabrać swoją broń, za którą później zapłacą“... Dalej powiada, że ta nadzieja była główną pobudką nietylko napływu Polaków do wojska, ale ich walecznych czynów. „Traktat w Campo Formio jednak zniweczył nagle te najsłodsze nadzieje“. Pomimo to Polacy nie przestali walczyć na korzyść Francyi w czasie rzymskiej i neapolitańskiej kampanii zawsze z tą myślą w sercu, że może znowu kiedyś dla nich szczęśliwa sposobność zaświeci. Teraz atoli przy rozpoczęciu nowej walki z Rosyą rząd wprawdzie postanowił nowy legion polski utworzyć, ale mu nie zagwarantował żadnej z korzyści, jakiemi cieszyły się poprzednie. O te więc Kościuszko w tym i w następnych listach upomina się gorąco, tak w interesie Francyi, jak i Polaków, radzi jeńców wojennych narodowości polskiej nie odmieniać za jeńców francuskich, ale ich wprost do legionów odsyłać, troszczy się reorganizacyą legionów, paszportami dla oficerów, pragnących dostać się do Włoch; w liście do Napoleona, wyliczywszy po krótce oddane Francyi usługi, skarży się gorzko, iż za całą nagrodę rząd francuski zamierza dwa legiony skasować i reformując znacznie ich etat, z trzech jeden tylko utworzyć. Zapytuje, co się stanie z tylu rozpuszczonymi oficerami i szeregowcami, co poczną ci, którzy przez Moskali lub Austryaków pojmani, oczekują od Francyi powinnej im pomocy, a wreszcie, czy widok tego opuszczenia nie pobudzi Polaków, pod wrogim sztandarem służących, do walczenia przeciw Francuzom z równą nienawiścią i siłą, z jaką dziś walczą Moskale i Niemcy?... W jednym z poprzednich listów zaznaczył był, że Polacy całą swą zemstę wywrzećby radzi na Austryi i Rosyi, wyrywając im zabrane sobie kraje: króla pruskiego zaś, jako sprzymierzeńca Francyi, nie mieli zamiaru zaczepiać w nadziei, że kiedyś w sposób zamiany da się odeń choć część polskiej ziemi odzyskać. Deklaracya ta musiała go dużo kosztować. Tem głośniej też następnie wybucha zeń gorycz zawodu. W chwili, gdy gwiazda Napoleona wschodziła na widnokręgu, gdy z nią i w niej rozbudzały się po całej Rzpltej najśmielsze nadzieje — Kościuszko już powątpiewał, już o niewdzięczność oskarżał, co więcej, groził, że z samej rozpaczy zrodzi się przeciw Francyi „zaciekłość równa zaciekłości innych ludów, składających nieprzyjacielskie wojska“...

„Przytoczone tu listy i odezwy — pisze na ostatniej stronie p. Kraushar — określają dokładnie stanowisko Kościuszki jako opiekuna zwierzchniego legionów i narodowego niejako ich przedstawiciela wobec Rzeczypospolitej francuskiej". Dzięki p. Krausharowi, który nam odkrył tę piękną, nową kartę z życia Kościuszki, tem piękniejszego, im się je w żywszem świetle i bardziej z blizka ogląda.

T. W.

Z literatury pamiętnikowej.

Moje wspomnienia. Przez *Leona Dembowskiego.* Petersburg. 1898. Tom I. str. 384, tom II., str. 441.

Autor powołany został w czasach Księstwa Warszawskiego do służby publicznej, której mimo zmian politycznych w kraju naszym nie opuścił aż do śmierci. Wspomnienia swoje pisać zaczął dopiero koło 1860 r., t. j. mając lat 70, i pozostawił materyał tak obszerny, że, jak wydawca (pseudonim Aër) sądzi, starczyłby na 10 tomów druku. Pamiętniki rozpoczynają się dziecięcemi wspomnieniami o ludziach, których poznał, i wypadkach, których był świadkiem, a że rodzice autora, zaprzyjaźnieni z najpierwszemi domami w Polsce, przebywali po większej części w Puławach, Łańcucie i Sieniawie, mamy więc w pierwszych rozdziałach obraz życia w tych trzech ogniskach, skupiających współcześnie najwybitniejszych przedstawicieli życia umysłowego i politycznego. Podane czytelnikowi pamiętniki, w wielu miejscach w formie obrobionej przez wydawcę, uwolnione od obszernych rodowodów i życiorysów nietylko przodków autora, których wyprowadza z XIV. wieku, ale i osobistości z nimi zaprzyjaźnionych, stanowią cenny materyał do epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Wielka szkoda, że w tym okresie czasu zachodzi 5-letnia przerwa (1808—1813), ponieważ pamiętniki, obejmujące te lata, gdzieś zaginęły. To, co posiadamy z pamiętników po Leonie Dembowskim (cztery ogromne wolumina), to nabyte zostało przez ks. Władysława Czartoryskiego, który skrzętnie zbierał źródła do życiorysu ks. Adama, swojego ojca, rozpoczętego przez Bronisława Zaleskiego. O pamiętnikach Dembowskiego w literackich kółkach warszawskich dużo mówiono, a K. Wł. Wójcicki wyrażał się o nich, że będzie to niewyczerpany skarbiec materyałów historycznych, społecznych i literackich do pierwszej połowy XIX. wieku.

Autor urodził się w r. 1789 na dworze puławskim i temu też

dworowi wiele miejsca w swych pamiętnikach poświęca. Zapoznajemy się z osobami, bywającemi tamże, z zabawami i czynnościami ówczesnego świata arystokratycznego i literacko-artystycznego. W czasach porozbiorowych, zwłaszcza w początkach XIX. wieku, spotykamy pomiędzy gośćmi w Puławach: Ignacego Potockiego, Niemcewicza, biskupów Skarszewskiego i Woronicza, Tadeusza Czackiego, ks. Franciszka Zakłockiego, majora Strzyżewskiego, który w kampanii 1809 r. z podjazdem z 4 ułanów zapędził się pod miasto Brzeżany, gdzie stał na kwaterach oddział austryacki, z 4.000 osób złożony. Strzyżewski, nie spotkawszy żadnych placówek, wjechał do miasta i tu dopiero spostrzegł, że dostał się w garść nieprzyjacielowi. Udaje więc parlamentarza, pyta o kwaterę jenerała i wszedłszy zastaje go w łóżku. Nie tracąc chwili mówi: „jesteś w Brzeżanach otoczony, my panami miasta, poddaj się ze swą komendą, albo ci w łeb wypalę". Spisano kapitulacyę i tak w pięć osób wzięto do niewoli 4 tysiące. Z innych gości puławskich należy wymienić: jenerała Kopcia, ks. Piramowicza, panią Krüdener, z domu Wittingraff. Ta ostatnia, pogrążona w mistycyzmie, wróżyła upadek „anioła czarnego" (Napoleona), którego pokona „anioł biały" (Aleksander). Spotkanie jej z cesarzem Aleksandrem nastąpiło w Paryżu 1814 r. i tutaj, aby usunąć przyczyny wojen, podała główne zasady świętego przymierza. Cesarz plany te akceptował i sam główny ich program podług jej teoryi skreślił. Pani Krüdener miała wielki wpływ na umysł Aleksandra I. W końcu wyjechała do Krymu i tam zajęła się nawracaniem Tatarów, zmarła tamże w tym czasie, co cesarz Aleksander, 1825 r. Mało znany szczegół przytacza autor o Niemcewiczu, zaczerpnięty z jego osobistych opowiadań. Gdy po uwolnieniu z niewoli wraz z Kościuszką do Ameryki wyjechał, bez funduszów i opieki, zapadł tam na ciężką tyfoidalną gorączkę. Prawdopodobnie w warunkach takich byłaby go śmierć sprzątnęła, gdyby nie opieka zacnej pani Elżbiety Jew. Po wyzdrowieniu Niemcewicza, ceniąc jego moralne przymioty, połączyła się z nim związkiem małżeńskim. Pani Jew posiadała małą własność wiejską niedaleko od miasta, tam więc przenieśli się oboje. Wojak-poeta razem z murzynką, która pełniła obowiązki kucharki, i murzynem, służącym za parobka, uprawiał ogród, a raz w tydzień sam woził na sprzedaż do miasta jarzyny. Tęsknił jednak za krajem i gdy razu pewnego spotkał na targu w New-Yorku Żyda polskiego w zabrudzonym chałacie, on, który Żydów nie lubił, rzucił mu się na szyję, po kilkakroć uścisnął i dla rozmowy ze sobą na wieś zabrał. Dowiedziawszy się o powstaniu Księ-

stwa Warszawskiego, żonę na czas pewien opuścił i w r. 1808 do kraju przyjechał.

Jenerał ziem podolskich, ks. Adam Czartoryski, złożywszy dowództwo pułku gwardyi litewskiej, przeszedł w służbę austryacką i przez cesarza Józefa II. odznaczony został godnością feldmarszałka. Wykształcony i biegły lingwista (posiadał 14 języków) starał się, aby Puławy zajaśniały nietylko wystawnością dworu i świetnością zabaw, ale stały się siedliskiem oświaty. W tym celu dla młodzieży przebywającej w Puławach trzymał licznych nauczycieli i pedagogów; dla panien utrzymywał pensyę. Bibliotekę miejscową powiększył zakupem wspaniałej książnicy poryckiej Czackiego za 600.000 złp., założył czytelnię i drukarnię, której wydawnictwa należą teraz do rzadkości bibliograficznych.

Książe Adam (ur. 1731 r.), po śmierci Augusta III. był pretendentem do tronu i miał nawet silne poparcie tak w kraju, jako też u niektórych członków dworów zagranicznych, przy forsownem jednak współubieganiu się o koronę stolnika Poniatowskiego, swojego kuzyna, wycofał się z liczby kandydatów. Na sejmie konwokacyjnym 1764 r. objąwszy laskę marszałkowską wyjednał książe Adam uchylenie *liberum veto*, ukrócenie władzy hetmanów i podskarbich i oddanie wojska pod straż komisyom. W dalszym ciągu swojej politycznej działalności był posłem inflanckim, przyłożył się do założenia szkoły kadetów w Warszawie, jej przewodniczył i na uposarzenie łożył, należał do Komisyi edukacyjnej (1775 r.), a w r. 1781 został marszałkiem trybunału litewskiego. Po 3 maja 1791 r. jeździł do Drezna dla uzyskania od elektora saskiego przyjęcia korony polskiej, ofiarowanej mu przez stany. Tam poznał Henryka Dąbrowskiego i namówił go do objęcia obowiązków w szeregach ojczystych. Po przystąpieniu króla do Konfederacyi targowickiej ks. Adam usunął się do Galicyi i zamieszkał w Sieniawie. Tutaj przyjmował często Tadeusza Kościuszkę. Po wybuchu powstania wszystkie dobra jego, położone w kordonie rosyjskim, skonfiskowano.

Gdy w 1809 r. austryacki arcyksiąże Ferdynand wezwał go, aby odezwą do wojsk Księstwa Warszawskiego wydaną zachęcał wojsko i młodzież do łączenia się z Austryą, ks. Adam odpowiedział: „Wprzódy byłem Polakiem, aniżeli feldmarszałkiem i dlatego nigdy podobnej odezwy nie podpiszę". W roku następnym wykonał przysięgę na wierność księciu warszawskiemu, a w r. 1812 stanął na czele konfederacyi, co było jego ostatnią posługą publiczną. Zmarł dnia 29 marca 1829 roku, mając lat 92. Książe był osobistym przyjacielem cesarza Piotra III.; dla od-

zyskania dóbr skonfiskowanych zmuszony był oddać na dwór cesarzowej Katarzyny dwóch synów: ks. Adama, który został przeznaczony do osoby cesarzewicza Aleksandra, i ks. Konstantego, przeznaczonego za adjutanta w. ks. Konstantemu.

Hojność w utrzymaniu dworu puławskiego była zdumiewająca. Największa świetność przypada na lata od 1797—1806 r. Dość powiedzieć, że koszta stołu, piwnicy i światła pochłaniały rocznie z górą 800.000 złp. Folwark Bukaczów na Pokuciu dostarczał tylko kapłonów na kuchnię. Ogół intrat księcia liczono do sześciu milionów złp. Same dobra podolskie przynosiły rocznie 4 miliony złp. dochodu.

Autor pamiętników obszernie wspomina o tak zwanym zamachu na życie ks. Adama, który miał być spełniony przez p. Dogrumoff z namowy partyi królewskiej. Pani D. zeznała wszystko księciu, a ten wysłał świadków, którzy ukryci w mieszkaniu p. Dogrumoff słyszeli o warunkach, stawianych jej. Za tę przysługę obiecywał jej Ryx, starosta piaseczyński, a kamerdyner królewski i jenerał Komarzewski, adjutant królewski, nadanie wsi, roczną pensyę 500 dukatów i jednorazową gratyfikacyę 1.000 dukatów. Rozmowy tej, powtórzonej z małemi zmianami w słowach, wysłuchał 16 stycznia 1785 r. Stanisław Potocki i Taylor, który schwycił wychodzącego Ryxa za kołnierz i aresztował go. Niebawem przybył Mniszech, marszałek wielki koronny i sąd marszałkowski zajął się tą sprawą. Wyrok, wydany 14 marca t. r., uznawał Ryxa i Komarzewskiego za niewinnych, a p. Dogrumoff skazywał za oszczerstwa na wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i wypalenie na piersiach znaku szubienicy. Taylora uniewinniono od zarzutu wspólnictwa, a za samowolne aresztowanie Ryxa skazano go na 6 miesięcy wieży i sześćdziesiąt grzywien. Zręczna bardzo obrona Ryxa polegała głównie na tem, że trzem osobom jedynie do sprawy wchodzącym zaprzeczono możności świadczenia: Pani Dogrumoff dla tego, że była delatorką, Taylorowi, bo był jej spólnikiem, a Stanisławowi Potockiemu, bo był spokrewniony z ks. Adamem. Następnie, kiedy Ryx zaprzeczył treści podawanej rozmowy, sprawa dla braku dowodów umorzoną została. Pani D., skazana na surowe kary, wyjechawszy z granic ówczesnej Rzeczpospolitej pobierała od ks. Czartoryskiego znakomitą pensyę i mieszkała aż do śmierci wraz z małżonkiem w kluczu Jarosławskim.

Mnóstwo drobnych szczegółów z ówczesnej epoki podnosi wartość pamiętników, które są prawdziwą skarbnicą dla badaczy końca zeszłego i początku bieżącego stulecia. Szczegółowy spis rozdziałów i osób,

o których autor wspomina uprzystępniłby to dziełko jako źródło pierwszorzędnej wagi — kopać się bowiem w 800 stronicach, bez najmniejszego spisu jest rzeczą niepodobną, a odszukanie jakiegoś faktu prawie niemożliwem.

Epoka napoleońska, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego traktowana w pamiętnikach dosyć szczegółowo. Tom drugi poświęcony niemal wyłącznie opisowi rewolucyi 1831 r. podaje fakta historyczne, mniej więcej znane, dlatego też nimi zajmować szanownych czytelników nie będę.

Wspomnienia Leona Dembowskiego są książką, która stanowi nietylko cenny materyał dla historyków i badaczy naszej przeszłości, ale przez swoją lekką, powieściową niemal formę i rozmaitość treści stanowi bardzo przyjemną, poważną i pożyteczną lekturę — życzyć więc należy jak najszerszego jej rozpowszechnienia.

Mieczysław Offmański.

Wspomnienia jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Księga II. 1813—1820. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1899.

Powodzenie pierwszego tomu „Pamiętników jenerała Klemensa Kołaczkowskiego nie zacieśniło się wyłącznie w kołach polskich czytelników. Niemieccy oficerowie władający naszym językiem rozrywali sobie te zapiski kapitana inżynieryi z napoleońskich czasów, powtarzając, iż niezrównanych dokładnością dostarczył on szczegółów o obrotach wielkiej armii w pamiętnej kampanii z r. 1812. Dalszy ciąg zapisków jeszcze pełniejsze rzuca światło na następne lata, w których gwiazda zwycięzcy miała niepowrotnie zagasnąć. Kołaczkowski niepowodzenia kampanii z r. 1813 i 1814 nie kładzie na karb jakiegobądź przyćmienia geniuszu wodza, lecz raczej przypisuje ogólnemu znużeniu wojska przesyconego trudami z jednej strony, z drugiej zaś konieczności zastąpienia poległych młodym rekrutem, nie zaprawionym w rycerskiem rzemiośle. „Widok francuskiej jazdy nie był pocieszający. Ubiór, uzbrojenie, a nawet konie, choć cięższe od naszych, niewiele zostawiały do życzenia. Lecz na tych koniach, pod tą zbroją, nie żołnierze, lecz dzieci siedziały, z równą obawą patrząc na swoje konie, jak na nieprzyjaciela". Wobec tego mniej wyczerpane posiłki polskie walnej dostarczały pomocy, niejednokrotnie rozstrzygając o zwycięstwie, żeby tylko wspomnieć bitwę pod Connewitz, po której Napoleon w pochlebnych wyrazach dziękował ks. Poniatowskiemu za dzielność jego podwładnych i mianował go marszałkiem Francyi. Polaków było wtedy

w armii francuskiej do 17.000, nie licząc w to szwoleżerów Krasińskiego oraz batalionu grenadyerów Kurcyusza wcielonych do gwardyi.

Częściej teraz w cięższych potrzebach żołnierz widywał wśród siebie wodza zdolnego dawne wywoływać zapały. I tak raz w pobliżu Bischofswerda, cesarz nagle się ukazał przedniej straży, zakrywającej pozycyę armii. „Na widok krakusów na małych konikach, nie posiadał się od śmiechu. Jenerał Umiński pospieszył dla złożenia raportu. Chcę zlustrować ten pułk — rzekł cesarz. — Jest on dobry, wyborny! Ma się rozumieć, zewsząd podniosły się okrzyki: Niech żyje cesarz! Po zlustrowaniu koni i ludzi, Napoleon kazał jednego konia rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojłokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i obróciwszy się do Caulaincourta, zawołał: Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary. To przecież dzielna jazda i dzielny naród! Do Umińskiego zaś powiedział: Jenerale, muszę mieć takich 3.000 ludzi, a gdy Umiński tłumaczył, że takich koni nie znalazłby w Saksonii, cesarz odparł: Za pieniądze wszystko można dostać. Każę dać panu odpowiednie fundusze i niema co gadać, muszę mieć takie konie! Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powtórzył: Właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską. Muszę mieć 3.000 podobnej".

Bitwa pod Lipskiem opisaną tu została szeroko, w sposób ściśle strategiczny. Lecz raz po raz jakiś rys wymowny dodaje jaskrawości i życia suchemu na pozór wojskowemu raportowi. Dość wspomnieć np. dzielną obronę wsi Probstheida, gdy postrzegając, iż ogień artyleryi francuskiej wolnieć poczyna, ks. Józef spieszy ku bateryom, strofując żywo pułkownika za tę zmianę, a on mu tylko w milczeniu wskazuje pole, gdzie stały jego działa, całe zasłane trupami ludzi i koni, oraz zdemontowanemi armatami. Pomiędzy niemi leżał zabity syn pułkownika, któremu ks. Poniatowski z żalem dłoń uścisnąwszy, odjechał do swej piechoty...

Co dalej za obraz tej starej gwardyi francuskiej, która w alejach Lipska, kiedy już kule armatnie nad jej głową warczały, najspokojniej się pudruje, goli i stroi swoje harcapy, mając zwierciadła do drzew przytwierdzone! Nie zdarzyło nam się spotkać barwniejszego, żywszego i prawdziwszego opisu śmierci ks. Poniatowskiego. Ewakuacya Lipska autorowi pamiętnika bodaj zamięszaniem przypomina Berezynę... Darmo ks. Józefowi broniącemu się na czele garstki tyralierów, towarzysze broni radzą szukać ocalenia: Chcę zginąć śmiercią walecznych! — odpowiada książe, i dopiero w ostateczności wskakuje do rzeki, trzy-

krotnie ranny, zsuwa się z konia i tonie, wraz z kapitanem Bléchamp, który daremnie próbował bohatera ocalić. Żal i rozpacz polskiego żołnierza na wieść o zgonie ukochanego wodza granic nie miała. Kilkudziesięciu oficerów zwróciło się na oślep ku Lipskowi, aby ratować księcia. Ledwo marszałek Mortier zdołał wstrzymać ten zapęd szalony, wskazując na jego nieużyteczność.

Demoralizacya wnet wkradła się w szeregi polskiego żołnierza. Znany z niesfornego umysłu jenerał Krukowiecki, który i później smutne miał złożyć dowody swego ducha intrygi i niekarności, rozprzęgał szeregi, odwodził od posłuszeństwa, potrafił nawet zmienić naczelne dowództwo, podstępem w miejsce Sokolnickiego forytując Sułkowskiego, męża walecznego w boju, lecz pełnego drobiazgowej pychy, oraz nader słabego charakteru, który ulegał wpływom otoczenia. Niesubordynacya, sejmikowanie oficerów, dezercya żołnierzy rośnie z dniem każdym. Sułkowski pod naciskiem Krukowieckiego i innych intrygantów wiąże się słowem, że tylko do Renu odprowadzi korpus polski. Cesarz wtedy mianuje Dąbrowskiego wodzem w miejsce ks. Józefa, nazywając go starym druhem, starym przyjacielem, i naznacza wojsku polskiemu złowrogo dziś brzmiącą miejscowość Sedanu, na zimowe leże.

Zebrane tamże niedobitki polskie, natychmiast zapragnęły uczcić pamięć swego wodza. Ze składek oficerskich urządzono nabożeństwo żałobne za ks. Józefa. Kołaczkowski przyjął na siebie kierunek muzyki! Znalazło się tylu gotowych amatorów, iż z pomocą muzyki gwardyi hiszpańskiej króla Józefa, konsystującej w Sedanie, udało się wykonać *Requiem* Mozarta, oraz marsz Spontini'ego. Ale nad dźwięki muzyki, żywe słowo miało obecnych porwać i wstrząsnąć. „Najwięcej wrażenia jednak zrobiła mowa żałobna pułkownika Morawskiego, która nas wszystkich do łez poruszyła". Mowa ta objętą została w ogólnem wydaniu pism wierwszem i prozą jenerała Franciszka Morawskiego, żołnierza-poety, któremu przypadło w udziale sławić bohatera opłakiwanego przez towarzyszów broni.

Katastrofa końcowa przyspieszonym przybliża się tempem: nie miał już Kołaczkowski uczestniczyć czynnie w ostatnich pod Paryżem walkach. Patrzał atoli później z oburzeniem na lekkomyślne zmienność paryskiego pospólstwa, które teraz ściągało do gemonii co dopiero uwielbianego i oklaskiwanego władcę...

Po 17 miesiącach ciągłego kołatania się po obozach, kwaterach i polach walki przeróżnych, Kołaczkowski pierwsze wiadomości od swoich otrzymuje w Paryżu, w liście pięknej kuzynki, Żanety Grudzińskiej.

Postać tej ostatniej coraz częściej zaczyna się przemykać przez Pamiętnik krewnego, który w uwielbieniu dla trzech kuzynek, bodaj mógł sobie zadawać Mickiewiczowskie pytanie: „Jestże to przyjaźń, czyli też kochanie?“

Snać nie przeczuwał dziwnych przeznaczeń, zgotowanych najstarszej z pięknych córek pani Brońcowej, bo wspomina z jakiem zdumieniem dowiedział się o zawartym 24 maja 1820 r. ślubie w. ks. Konstantego z Joanną Grudzińską. Niewiele wszelako nowych rysów autor Pamiętnika przydaje do znanego nam skądinąd wizerunku księżnej łowickiej oraz jej losów. Początki jej pożycia z w. księciem nie były łatwe. Sama w poufnym liście do siostry pisała: *Cette lune de miel qui devrait plutôt être appelée de fiel!* Po krótkich dniach szczęścia, nastąpiło rozczarowanie, oraz przykry rozstrój nerwowy, spowodowany wymaganiem księcia, aby jego żona widywała i przyjmowała panią Weiss, niegdyś Friederichsową, z którą go dawniej głośny łączył był stosunek. To żądanie do żywego ubodło godność i wyższe uczucia księżnej, która ciężko na zdrowiu zapadła i byłaby może życiem opłaciła owe ciężkie przejścia, gdyby się nie był wdał w tę sprawę cesarz Aleksander, który rozkazał Weissowej opuścić Warszawę, co od razu wróciło małżonkom spokój i szczęście. Tłumaczy to dosadnie egzaltowaną czułość i wdzięczność, z jaką ks. łowicka zawsze miała się wyrażać o cesarzu Aleksandrze, którego rada nazywała „naszym aniołem“. Kołaczkowski świadczy odtąd o „miłości statecznej, uszanowaniu i poświęceniu, których tyle dowodów miał złożyć w. książe w czasie dziesięcioletniego, szczęśliwego z żoną pożycia“. Cnota jej, miłość jego, wbrew przykrym początkom, zdobyły obojgu zachwiane zrazu a kupione tylu ofiarami szczęście.

Pobyt w Krakowie, tameczne życie towarzyskie w r. 1816 i następnych, miłość dla Antoniny Michałowskiej, w której niejeden z naszych czytelników rozpozna pełną cnoty i wdzięku niewieściego późniejszą wojewodzinę Ostrowską, wypełnia końcowe Pamiętnika ustępy. Nie upatrywać nam jako właściwość dnia dzisiejszego względy materyalne, nadmiernie rozstrzygające w sprawach serdecznych. Otóż i młody żołnierzyk, mimo zobopólnej skłonności, zmuszony się widzi pożegnać z najsłodszą nadzieją, gdy obustronni rodzice cyframi zwalczają skłonność wzajemną swych dzieci.

Szkoda, że tak zajmujące wydawnictwo podjętem zostało bez należytej znajomości epoki. Stąd wkradły się tu najhaniebniejsze błędy pisowni, tak w oznaczeniu miejscowości, jak, i to stokroć więcej.

w ortografii nazwisk współczesnych wojowników. Szkaradne omyłki do tego dochodzą stopnia, iż niekiedy trudno rozpoznać francuskie nazwisko, z gruntu przekręcone. Razi i nierówność ortografii, żeby tylko wspomnieć tytuł jenerała Kellermanna, pisany dowolnie naprzemian Walmy czy Valmy, z dodatkiem hrabiowskiej lub książęcej godności,

Atoli mimo tych zewnętrznych usterek, niniejsza książka tyle nam ciekawego przysparza plonu, iż nie zabraknie jej czytelników żądnych doznać coś z dreszczy wielkich wstrząśnień, które nad kolebką dogasającego dziś stulecia się zerwały, uszlachetniając całe pokolenia i wytwarzając rycerską legendę, gotową ozłocić najsuchsze nawet obozowe zapiski.

M.

Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 1831 r. *Karol Różycki.* Z przedmową *Adama Mickiewicza.* Z portretem autora. Kraków. Gebethner i Sp. 1898. Str. 40.

Nie łatwo zaiste jest prostemu śmiertelnikowi wypowiedzieć swój własny sąd o utworze, którego wprzód ocenę napisał Mickiewicz. To bowiem, co obecny wydawca „Pamiętnika jazdy wołyńskiej", p. Karol Baykowski umieścił na wstępie pod nazwą przedmowy, nie jest czem innem, jak oceną czyli recenzyą, wydrukowaną jako artykuł w pierwszym, prospektowym numerze z dnia 4 listopada 1832 r. *Pielgrzyma polskiego,* pisma peryodycznego, wychodzącego w Paryżu. To ocena zaś nie zostawia miejsca krytyce:

„Wczoraj czytałem ‚Pamiętnik Karola Różyckiego' — pisze Mickiewicz — a dziś jeszcze pełen jestem tego pamiętnika: myśli moje nie wróciły jeszcze z podróży na Wołyń, ciągle jeszcze krążą koło obozowych ognisk pułku wołyńskiego, błąkają się po krętych drogach między Cudnowem i Zamościem, w uszach jeszcze mi brzmi jego hasło: Sława Bogu! Bo opisy Różyckiego są tak żyjące, tak malownicze, tak prawdziwe, że czytającemu zdaje się, iż nie na książkę patrzy, ale na kraj wołyński, że z kart wychodzą konie i ludzie, a wypadki toczą się przed oczyma... Po przeczytaniu nikt nie wątpi o prawdzie opisów. Jest to doskonały portret, na który spojrzawszy mówią wszyscy, że musi być podobny, choć nie widzieli nigdy człowieka, którego cień tylko spotykają. Wielki malarz nie może kłamać. Ażeby dzieło zrobiło takie wrażenie, potrzeba, ażeby w to dzieło wcieliła się cała dusza piszącego"...

Czy wolno coś odpowiedzieć na słowa mistrza? Oto że nie zawsze

wystarcza, aby piszący przelał w swój utwór całą swoją duszę — trzeba aby i słuchający swojej nie poskąpił, aby istotnie „w duszy swej dośpiewał“ wszystko, co piszący myślał i czuł, a wypowiedzieć nie zdołał, trzeba, aby oba ich duchy dostroiły się do jednej mocy i jednego tonu.

Pamiętnik jazdy wołyńskiej, choć zaledwie stron 40 zajmuje, może być policzonym do pism źródłowych, odnoszących się do rewolucyi, a raczej wojny r. 1831. Opowiada on dzieje powstańczego oddziału, sformowanego na Wołyniu na wieść o zbliżaniu się wojsk Dwernickiego, a po niespodzianym tegoż odwrocie, przedzierającego się samopas z rozpaczliwą odwagą z Cudnowa aż do Zamościa, aby się tam z korpusem Chrzanowskiego połączyć. Twórcą i wodzem tego oddziału, maleńkiego zrazu, ale wzrastającego w miarę pochodu, był Karol Różycki, właściciel ziemski, który własne życie oddając krajowi, oddawał mu i swoją rodzinę, bo na wsi w niebezpieczeństwie zemsty wroga zostawił żonę i dzieci pięcioro. Wzruszającym jest epizod przejścia oddziału przez Międzyrzecz, gdzie studenci otoczyli jeźdźców, błagając o przyjęcie do pułku, gdzie podczas gdy przyjmowano starszych, młodsi wieszali się u końskich grzyw, lub zabiegłszy drogę, bez wiedzy dowódcy obsiadali jadące w tyle wozy z żywnością i prochem.

Oddział zmuszony do lawirowania między moskiewskiemi hufcami po drodze tylko zarywa niektóre, zdobywa sobie broń, amunicyę, zapasy i konie, topi to, czego spotrzebować nie zdoła; ze schwytanych raportów wodzów nieprzyjacielskich wywiaduje się o ich pozycyach i zamierzonych ruchach i według tych wskazówek kieruje swój marsz. W miasteczku Wojsławicach stacza formalną bitwę ze znacznie wyższemi siłami Moskali, spędza ich i rozprasza, a pułkownika i stu trzynastu jeźdźców konnych bierze w niewolę. Nareszcie po czterotygodniowym pochodzie, po stu trzydziestu dwóch milach krętej drogi wśród obozów wojsk moskiewskich Różycki z hufcem swoim dociera do twierdzy, gdzie dochodząc, o tysiąc kroków spotyka Chrzanowskiego, który posłyszawszy, że są w niebezpieczeństwie, z pomocą ku nim pospieszał. Tu istotnie kończyłyby się samoistne dzieje pułku wołyńskiego, gdyby jenerał Chrzanowski, na którego Różycki wielce się skarży, nie wyznaczył niefortunnie obranego posterunku w Tomaszowie, a sam nie oddalił się bez dalszych rozkazów. Po paru tygodniach zmuszeni do opuszczenia Tomaszowa za zbliżeniem się przemożnych sił wroga Różycki i jego podkomendni odnieśli się do naczelnego wodza Skrzyneckiego, który ich pod nazwą jazdy wołyńskiej do reszty armii przyłączył.

„Pamiętnik Różyckiego — pisze znów Mickiewicz — jako utwór

literacki ma formę nową i oryginalną. Dowódca przypomina towarzyszom broni wspólnie odniesione zwycięstwa i wyjawia im swoich działań wojennych cele i przyczyny"... W istocie forma ta jest oryginalną, dodaje wiele siły i kolorytu prawdy, ale przez to samo, że nie była formą, ale rzeczywistością, ujęła opowiadaniu jasności. Wszakże inaczej opowiada się a raczej przypomina zdarzenie komuś, kto w niem brał udział, niż się je opisuje zupełnie nieświadomemu. Mickiewicz w tym wypadku nieświadomym nie był; i on i reszta uczonych słuchaczy, „pisarzy z profesyi", którym czytany był pamiętnik, mogli go słuchać z oczami pełnemi łez, bo ich serce pełne jeszcze było świeżo przebytych wrażeń, a myśl dopowiadała tysiące rzeczy, drgających w myśli piszącego żołnierza, ale niewylanych na papier. Nam — aż wstyd przyznać — „Pamiętnik jazdy wołyńskiej" czyni raczej wrażenie fachowego, wojskowego raportu, umajonego tu i ówdzie wyrazem patryotycznego uczucia... Czy w nas zamarło uczucie i zapał do rzeczy ojczystych? A jednak płoniemy radosnym zapałem wraz z autorami dzienników z pierwszej kampanii chocimskiej i kampanii cudnowskiej, odczuwamy w całej pełni upokorzenie poselstwa Kisiela, na słowa — nie Sienkiewicza, lecz współczesnych codziennych zapisków — cierpimy wszystkie nędze obrońców Zbaraża, wszystkie rozpacze obrońców Kamieńca. Skąd pochodzi różnica? Czy z chłodnego, żołnierskiego spokoju opisów „Pamiętnika", przechodzącego nad wszelkiem osobistem wrażeniem do porządku dziennego, czy też, broń Boże, z brzydkiej a bardzo ludzkiej przyczyny, gotującej smutny los pamięci każdej nieudanej sprawy?... Przecież ta „nieudana sprawa" to nasze ostatnie słoneczne wspomnienie. Szkoda tylko, że i ona ogólnemu losowi wypadków uległa: że jak w chwilach radosnego tryumfu wszyscy się kochają i chwalą wzajemnie, tak tu jako po każdej klęsce dzieje się przeciwnie. Sprzeczność krzyżujących się zdań, wołających jeden na drugiego: On winien! zamąca sąd potomnych, przytłumia nieco płomień słuszny wdzięczności dla tych, co pracowali, walczyli, cierpieli — choćby na marne. Ale czyż z pewnością na marne? Toż właśnie z owych wysiłków, z owych cichych poświęceń tworzy się skarb ojczysty w opiekę Boga oddany, i żaden nie zaginie i wyda owoce, choćby nam krótkowidzącym się zdało, że tutaj po nim na tej biednej ziemi pozostał tylko

krótki płacz niewieści
I długie nocne rodaków rozmowy.

T. W.

Jana Kilińskiego, szewca warszawskiego, pułkownika XX. pułku liniowego piechoty, drugi pamiętnik nieznany o czasach Stanisława Augusta. Z rękopisu po raz pierwszy wydał A. Kraków. Nakład i druk W. L. Anczyca i Sp. 1899. Str. 294.

Parękroć już wydawano pamiętniki Kilińskiego; snać pisał je kawałkami, przerabiał, uzupełniał, zmieniał. Niestety nie mamy dla porównania egzemplarza, wydanego w r. 1860, o którym obecny wydawca wspomina, ale za to wcześniejsze, niewzmiankowane przezeń wydanie z r. 1830, datowane w „oswobodzonej Warszawie". Z tem najnowszy pamiętnik znacznie się różni, stary bowiem, wydany przez K. Wł. W. (zapewne Wójcickiego), zaczyna się później i treściwiej, jest bez porównania mniej jasnym i mniej poprawnym, natomiast oprócz ogłoszonych w r. 1860 fragmentów o dostaniu się Kilińskiego w niewolę pruską w r. 1794, oraz opisu „Powtórnej niewoli w ten sam tydzień i transportu do Petersburga", zawiera jeszcze „Inkwizycye z Jana Kilińskiego z rewolucyi warszawskiej r. 1795 dnia 12 lutego w Petersburgu miane, w najściślejszem i najniewygodniejszem więzieniu odprawiane", a nadto parę innych pomniejszych fragmentów. Wartoby wszystkie te pamiętniki i fragmenty w jednym tomie zebrać i wydać; wtedy dopiero stanowiłyby do pewnego stopnia materyał historyczny. Tak, jak są, przyznać trzeba, iż odmienność szczegółów w opisie tychże samych faktów odejmuje nieco wiary w ich autentyczność, dając przytem miarę rozbujałej fantazyi autora. O chronologii oczywiście i mowy niema. Z tem zastrzeżeniem atoli jest to rzecz niezmiernie zajmująca i ciekawa, zwłaszcza pod względem psychologicznym. Zazwyczaj widzi się historyę z góry — tu poznajemy, jak była odczuwaną z dołu, widzimy, jaki w arcyszlachetnej duszy warszawskiego majstra pod wpływem wstrząsających wypadków wytworzył się zamęt, złożony z wybuchającej wielką falą miłości ojczyzny, przesądów katowych, poczucia sprawiedliwości i bezwiednie wnikających doń prądów rewolucyi francuskiej. Na ten ostatni zarzut wzdrygnąłby się Kiliński: on sam bowiem tę rewolucyę potępiał i gardził nią. A pomimo to pisząc ani się spostrzega, o ile rola odegrana przezeń pomiędzy oswobodzeniem Warszawy a udaniem się do obozu w niejednem przypomina rolę niektórych — najmniej winnych — członków paryskiej Konwencyi. Jak wiadomo, Kiliński był głównym inicyatorem i wodzem warszawskiego powstania, następnie członkiem tymczasowego rządu, a wreszcie gdy swą ruchliwością zastraszył kolegów, został na ich prośbę wezwany przez Naczelnika do służby wojskowej. Otóż w tym drugim okresie jego

czynności publicznej rożnica pomiędzy nim a rewolucyonistami wydaje się na zewnątrz nie wielka: Kiliński wprawdzie ratuje życie króla od spisku, ale mu czyni despekta; sam pchany strachem przed gniewem pospólstwa zmusza Radę Tymczasową do osądzenia i powieszenia Kosakowskiego, Ankwicza, Zabiełły i Ożarowskiego; pochwala samowolną przez lud dokonaną egzekucyę szpiegów; biskupa Malinowskiego, oskarżonego o wymuszanie od biednej wdowy zbyt wielkiej zapłaty za pogrzeb męża, każe w nocy przywieść do siebie, grozi mu natychmiastową śmiercią i widokiem kata skłania do poprawy i skruchy. Następnie wskutek rzekomo proroczego snu biegnie wstrzymać egzekucyę żołnierza, skazanego za czyn niesubordynacyi; chłopców szkolnych posyła, aby wezwanego na zamek prymasa Poniatowskiego eskortowali z hańbiącemi okrzykami, przed pałacem tegoż prymasa stawia szubienicę i samem podnieceniem ludu zmusza króla do podania bratu trucizny... Między Kilińskim a Jakobinami leży mniej różnica czynu niż przepaść intencyi; to, co oni czynili w podłych, samolubnych celach, było u niego wynikiem tegoż samego zapału, który wygnał wroga z stolicy, wynikiem boleści i oburzenia na zdrajców, które chwilami przechodziło w szał. Wyniesiony własnemi czynami na szczyty popularności, jakiej od niepamiętnych czasów nikt w Polsce nie zaznał, obdarzony udziałem w rządzie, przechodzącym nie jego zdolności, ale doświadczenie i wprawę, po części tracił głowę — i nie dziw. Co dziwniejsza, to że prócz naiwnej radości z ogólnych oznak szacunku lub uwielbienia, nie widać nigdy myśli jego zwróconej ku samemu sobie; nietylko że ze złupionych beczek złota i srebra, z przejętych kosztowności ani z wykonywania urzędu najmniejszej materyalnej nie zyska korzyści, ale ten szewc okazuje się wspanialszym od niejednego zdobywcy, za własne pieniądze uzbraja i ubiera cały przez siebie na rozkaz Kościuszki zwerbowany pułk, poświęca swoje mienie, swoją krew, swoją wolność i nad tem tylko płacze, że ojczyzny uratować nie zdołał. Do tego żalu wprawdzie miesza się gorycz podejrzenia na niewinnych ludzi; taki nawet książe Józef, jako należący do królewskiej rodziny, wydaje mu się niepewnym: obawia się, aby Kościuszki nie zdradził. Na samego Kościuszkę nie mówi nic, ale widocznie ciąży mu subordynacya w obozie i uznawanie dyktatury poza obozem. Jest to zarazem natura mieszczanina, rycerza i ludowego trybuna.

Obecnie wydany pamiętnik rozpoczyna się przed sejmem grodzieńskim, a kończy przy pojmaniu Kilińskiego w niewolę pruską. Styl w nim jest żywy, obrazowy, lecz pomimo swej wyższości nad

stylem wydania z r. 1830, pełen niedokładności i naiwnych błędów. Te jednak dodają jeszcze kolorytu całości. Znać też epokę w prozopopei, z jaką przytoczone jest każde przemówienie; zda się, jakoby ludzie nie mogli jeden drugiemu powiedzieć „dzień dobry“ bez otwarcia dyskursu solennym wstępem, jak: Wielce szanowny obywatelu! i t. d. Wydawca bezimienny, gdyż podpisany tylko literą A, opatrzył pamiętnik dobrą przedmową, a w końcu notatką chronologiczną o kamienicy Kilińskiego w Warszawie, również jak i dobremi, ale niedostatecznemi sprostowaniami mylnych wiadomości przez Kilińskiego podanych. Są niedostateczne, gdyżby ich trzeba zrobić daleko więcej; nie jesteśmy wszakże zdania ich autora, mieniącego je „niepotrzebnemi“. Zawsze to dla nie dość biegłych w historyi wskazówka, że nie na każde twierdzenie pamiętnika spuścić się można. Istotnie historyk, piszący dzieje tych czasów, na wspomnieniach Kilińskiego oprzeć się nie może, ale też bez przeczytania ich o roku 1794 pisać nie powinien.

T. W.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Aesthetik des Tragischen. Von *Joh. Volkelt.* München. 1897. (W 8-ce. str. VI., 445).

Do najtrudniejszych zagadnień z dziedziny estetyki należy obok ustalenia pojęcia piękna bezwątpienia także oznaczenie istoty tragiczności. Z tem słowem spotykamy się często w wykształconym świecie, a jednak mało kto potrafi nam uzasadnić, dlaczego taką właśnie sytuacyę albo taki charakter nazywa tragicznym. Zaglądnijmy tylko do znamienitszych podręczników estetyki, a przekonamy się, że co do tragiczności wielka jest różnica w poglądach, owszem natrafimy tam nieraz na zdania i zasady wręcz sobie przeciwne. Dlatego też z prawdziwą radością chwytamy za każde świeże dzieło w tym przedmiocie. Może ono dostarczy nam nowego światła, nowych poglądów na całą kwestyę, może nawet w zupełności potrafi je rozwiązać. Usiłował to już G. Günther w swem cennem dziele *Grundzüge der tragischen Kunst* (1885 r.); starał on się na podstawie dramatu greckiego odpowiedzieć na główne pytania w tym względzie i w ten sposób utorować sobie drogę do wyczerpującej pracy nad teoryą tragedyi. W zeszłym roku odważył się wreszcie p. Volkelt wystąpić po pierwszy raz z całkowitą estetyką tragiczności. Należy zaznaczyć, że sobie przytem wytknął me-

todę, prowadzącą wcale szczęśliwie do nader bogatych rezultatów. Opiera bowiem swoje badania na tragicznych dziełach rozmaitych narodów i w ten sposób próbuje przedstawić nam tę tragiczność we wszystkich odmianach stopni, rodzajów, form przejściowych i pobocznych. Aby tem skuteczniej dojść do celu, nie wystarczy mu sama tylko tragedya, ale pragnąc, o ile można, wszechstronnie objaśnić istotę tragiczności, wciąga także epopeę i romans w zakres swoich badań. Z zaciekawieniem czyta się taką analizę tragiki, gdzie zarazem należy podziwiać delikatny zmysł autora, jego bystry dar spotrzegawczy i psychologiczne wiadomości. Czytelnik cieszyć się musi, skoro widzi tak jasno, a często także tak trafnie scharakteryzowane różnice, stopnie, rodzaje i formy tragiki, które zwykle dotychczas zdołano raczej odczuć, aniżeli dokładnie pojąć i określić. Nie znaczy to bynajmniej, że wszystkie przykłady są dobrze dobrane; niektóre dadzą się bezwarunkowo inaczej zrozumieć, inne znów objaśnienia, naszem zdaniem, zupełnie chybione. Niniejsza recenzya nie może się zajmować choćby pobieżnie, wykazaniem bogactwa treści tego dzieła. Przekroczylibyśmy w tym wypadku nasze granice. Nie możemy również prostować lub zbijać wszystkich poglądów autora, które nam się wydają fałszywemi albo jednostronnemi. Musimy się przeto ograniczyć do kilku ważniejszych punktów.

Zaraz z początku autor występuje stanoczo przeciwko metafizycznemu pojmowaniu tragiczności takich estetyków, jak Schellinga, Solgera i Fichtego, co istotę tragiczności zasadzają na idei, na absolucie, na stosunku skończoności do absolutu. Występuje również przeciw teoryi Hegla, Duboca, Kleina, Bergera, Camiere'a i t. d. Ci, określając tragiczność, uwzględniają wprawdzie zawikłanie czysto ludzkie, t. j. żywe przedstawienie losów człowieka, ale zawsze nawiązują je do nadludzkiej działalności bóstwa, do idei absolutnej. Oświadczamy się zarówno z autorem przeciw teoryom metafizycznym, które tracą z uwagi rozmaite zawikłania, w życiu ludzkiem zachodzące. Nie zgadzamy się także na teorye Lippsa dlatego, że one całkiem jednostronnie wykluczają wszelkie wyższe poglądy na losy i życie człowieka. Przy tem wszystkiem jednak nie dość uzasadnionem wydaje się nam odrzucenie teoryi Vischera, Duboca i innych, dla tej jedynie racyi, że one do istoty tragiki dołączają właśnie te wyższe na świat i życie ludzkie zapatrywania. Owszem sam autor nieco później obszernie się rozwodzi nad koniecznością związku między tragicznością a wyższym na życie poglądem i udowadnia, że w tragice zachodzić koniecznie

musi stosunek bohatera i jego cierpień do biegu rzeczy ludzkich, do celu człowieka, a więc do czegoś metafizycznego. Skutkiem tego nie możemy się również nakłonić do zdania autora, że jak długo widz zostaje pod wrażeniem estetycznem tragiczności, to powinien odrzucić wszelkie filozoficzne refleksye nad tragiczną budową rzeczy przedstawianej. Nie da się to w żaden sposób uczynić właśnie z powodu tego wewnętrznego, ścisłego związku, za którym przemawiał sam autor z powodu konieczności uwzględnienia w każdej sztuce tragicznej wyższych idei życiowych. Świadomie czy nieświadomie musimy się wznieść nad akcyę, sądzić ją, a sądząc, odczuwać ją. Owszem im bardziej uświadomioną będzie nasza przyjemność artystyczna, tem też będzie ona doskonalsza. Takiem tłumaczeniem rzeczy naraża się autor jeżeli nie na sprzeczność, to przynajmniej na niejasność i jednostronność.

Tutaj nasuwa się inne jeszcze ważniejsze pytanie, jaki charakter ma na sobie mieć każda rzecz tragiczna i jakiego w zasadzie ma być nastroju. Na to pytanie odpowiada autor w szóstym rozdziale, gdzie charakter ten zasadza na działaniu losu i jest za nastrojem pesymistycznym. To prawda, wpływ losu i przeznaczenia wielką odgrywa rolę w tragice; w każdym bohaterze tragicznym upatrujemy gry losów ludzkich, jest on jakby typem i symbolem tego, co się nam jako ludziom przytrafia. Ale bez zaprzeczenia fałszywem jest, jakoby nastrój tragiczny koniecznie musiał być pesymistycznym. Przy każdem tragicznem arcydziele musimy, idąc za zdaniem Volkelta, powiedzieć sobie: „Cóż to za zagadkowy, straszliwy, co za przerażający ten świat, gdzie na każdym kroku zagrażają nam jakieś potęgi bez litości i serca; gdzie właśnie to, co jest nadzwyczajne, wybrane, co pragnie wznieść się ponad poziomy, walczyć musi z wrogiem mu przeznaczeniem i być nieraz przyprawionem o zgubę“ (str. 90). Odnosimy nawet to wrażenie, że cierpienia naprowadzać nas muszą na wątpliwość o dobrym i rozsądnym celu świata (str. 105), że świat jest istotnie nonsensem i niedorzecznością (str. 99). Takie pesymistyczne pojęcie tragiczności byłoby uprawnionem w tem jedynie przypuszczeniu, gdyby tragiczny bohater sam się bynajmniej nie przyczynił do swego upadku, gdyby wielkich swoich przyrodzonych zdolności, swego geniuszu używał jedynie do wyższych, świętych celów, dla prawdziwego dobra ludzkości, a mimo to zginąć musiał. W tym wypadku mogłoby (mówimy, żeby mogło, a niekoniecznie musiało) powstać takie pesymistyczne pojmowanie rzeczy, bo wtenczas mógłby w istocie świat przedstawiać się strasznym, pełnym grozy, bezmyślnym. Skoro jednak wi-

dzimy, jak bohater z własnej winy cierpi i ginie, słusznie budzi się w nas uczucie — stosownie do zdania autora na str. 98 — że trudno jest człowiekowi nadzwyczajnemu dojść do szczęścia, potęgi, do moralnego udoskonalenia się, że są w świecie tajemnicze mocy, co źle życzą człowiekowi i do upadku przywieźć go pragną, ale bynajmniej nie wynika z tego, że całe zapatrywanie nasze na świat i życie ma być pesymistyczne, że człowiek koniecznie musi źle czynić. Tem bardziej fałszywym jest wniosek, że porządek świata, w którym zło z własnej winy popełnione, karze ulega, jest nieznośnym, strasznym, nierozumnym. Przeciwnie zdrowy rozum powiada nam, że upadek w tym razie jest zasłużonym i sprawiedliwym. Prawda, że ogranicza nieco autor to swoje twierdzenie. Zbrodnie jaskrawe, im jaśniej odzwierciedlają istotę złego, tem mniejsze, i jego zdaniem, wywołują wrażenie tragiczne. Dodaje, że w następstwie tacy bohaterzy tylko pod pewnym względem mogą być tragicznymi (str. 157). Cóż, kiedy już kilka wierszy niżej czytamy: „Właśnie w przewinieniu wielkodusznie i szlachetnie usposobionych ludzi przebija jasno i wyraźnie mistyczna natura tragiczności. Ten pesymizm tragiczny doznaje jednak pewnego złagodzenia przez budzące się równocześnie uczucie zadowolenia moralnego. Mniejsza o małą sprzeczność, jaka tu zachodzi, bo jeżeli natura pesymistyczna jest już złagodzona, jakżeż może się ona uwydatniać nadzwyczaj wyraźnie i jaskrawo? Ale pomijając to, zdrowy rozsądek przeciwko takiemu wypowiedzeniu rzeczy musi zaprotestować. Opiera się tu bowiem autor całkiem niespostrzeżenie na błędnej i niedorzecznej nauce o kulcie geniuszu. Według jego zdania geniusz, dlatego, iż jest geniuszem, błądzić nie może, a jeżeli błądzi i ginie, to przyczyny szukać należy w ślepem i przewrotnem panowaniu wyższej potęgi nad światem. Żałować i boleć nad tem, że nadzwyczajne zdolności schodzą na manowce, możemy, ale coś podobnego nazywać pesymizmem potrafi chyba ten tylko, który wszystkie pojęcia miesza i przekręca. Wogóle zdaje się nam, że zbyt wielki nacisk kładzie autor na wielkość człowieka, jako na warunek akcyi tragicznej. Stąd też w rozdziale 9-tym, gdzie omawia tragiczność zbrodni, utrzymuje, że skończony złoczyńca może być pod pewnym względem bohaterem tragicznym, jeżeli tylko w jego życiu i czynach czuć coś wielkiego, olbrzymiego (str. 185). Taką wielkość przedstawia nam np. według Volkelta zbrodniarz, którego zbrodnie noszą na sobie znamię dzielności i nieustraszonej konsekwencyi w złem, lub jeżeli zbrodniarz pokaże genialność w przygotowaniu i przeprowadzeniu złego, w prześla-

dowaniu i gubieniu przeciwnika. Innym razem ta tragiczna wielkość zbrodniarza okazuje się znów przez to, że swej zmysłowości w sposób wyszukany i genialny zadosyćczyni. Macbeth, Goneul i Regan, Ryszard III.. Klitemnestra, Don Juan, Golo, Nero w Hammerlinga „Ahaswerze“ i inni, służą mu tu za przykład. Prawdą jest, że te rysy nadają pewną wielkość zbrodniarzom, lecz jakaż to jest ta wielkość? Czyż ona może wpłynąć na tragiczność działania? Uczucie i serce każdego człowieka najlepszą da nam na to odpowiedź. Taką wielkość znajdujemy nieraz u złoczyńców i zabójców, którzy jeszcze po dziś dzień żyją na ustach ludu; czyż jednak opowiadanie ich życia i śmierci wywołuje u nas jakie uczucie tragicznej litości? Don Juan, ów zwycięzca serc niewieścich, jest wprawdzie ideałem zmysłowości, którą genialnie potrafił zaspokoić, ale czyż mamy dla niego jakie współczucie? Leicester w „Maryi Stuart“ jest niedoścignionym i genialnym w schlebianiu i udawaniu, żelazna konsekwencya cechuje jego czyny; potworny Shylock jest nie mniej genialnym w przygotowaniu i przeprowadzaniu niecnych zamysłów, oprócz tego odznacza on się iście piekielną konsekwencyą w prześladowaniu i niszczeniu przeciwnika, nie mówiąc już o Jagu albo o Franciszku Morze, a czy w sercu widza budzi się choć iskierka tragicznego miłosierdzia i współczucia na widok takiego postępowania? Co się tyczy Macbetha, jego tragiczność nie polega, naszem zdaniem, bynajmniej na wielkości bohaterskiej, na konsekwencyi działania, na jego talencie wodza; z tem wszystkiem bowiem będzie on tylko prostym zbrodniarzem, a jako taki w prawdziwej tragedyi stałby się niemożliwym. Tragiczność leży tu w tej niezmiernej głębi cierpienia, w tym strasznym wzruszającym kontraście między upragnionem i osiągniętem szczęściem, które znów nowych wewnętrznych nieszczęść stało się dlań źródłem. Widzimy tu prawdziwą przepaść cierpień duszy, utraconego spokoju, wewnętrznego wyniszczenia. Z jaką tęsknotą dąży jego dusza do utraconej niewinności! Próżnię życia miała mu dawniej korona wypełnić, a teraz jeszcze straszliwszą próżnię czuje w sobie. To jest prawdziwa, do głębi wzruszająca tragiczność. Przed nami widzimy nie mordercę króla i krewnych, lecz Macbetha, piekielne znoszącego cierpienia, szukającego napróżno szczęścia i spokoju.

Okazuje się więc, że w rozwiązaniu tej najistotniejszej kwestyi, jaki jest charakter tragiczności, popada raczej autor w zagmatwanie, niejasność, sprzeczność i skrajność. Napróżno starać się będzie myślący czytelnik z temi pesymistycznemi pojęciami pogodzić inne nieraz wcale dobre i trafne wywody autora, jak np. o tragicznej winie, o wrogich

potęgach, o momentach łagodzących grozę tragiczności. Również niemało dziwić i pytać się musi, na jakiej to zasadzie potępia autor Schopenhauera i Brahnsena pesymistyczne zapatrywania na tragiczność, kiedy właśnie zadanie tragika polega u nich na żywem i jaskrawem odzwierciedleniu na wskroś nielogicznego, pełnego sprzeczności świata? Przecież i zdaniem samego autora, przedstawiają nam się w tragice losy świata w nieładzie i sprzeczności ze sobą (str. 99, 100, 105). Teorya jego jest w gruncie rzeczy ta sama, tylko pesymizm nie tak bardzo zaostrzony. Różni on się tylko co do stopnia od pesymizmu Schopenhauera i Brahnsena. Jeżeli się wreszcie pod koniec dzieła zapytamy, jakie jest właściwe zdanie autora co do samej istoty tragiczności, łatwą mamy na to odpowiedź z uwag powyższych. Ale mając na oku sprzeczności i niejasności autora, trudno w tym całym chaosie dopatrzyć się zdrowszej jakiej nauki. Nareszcie po wielu kombinacyach i sprostowaniach dochodzimy ostatecznie do przypuszczenia, że chodziło autorowi prawdopodobnie o zajęcie pośredniego stanowiska tj. o pogodzenie w tragice pesymizmu z optymizmem. I w tym wypadku przedewszystkiem w kwestyi wyświecenia stosunku optymizmu do tragicznego pesymizmu, jest autor zbyt jednostronnym. O jeden tylko punkt potrącimy, mianowicie gdzie mówi o wpływie chrześcijańskich wyobrażeń na tragikę. Na wielu miejscach swego dzieła, przedewszystkiem zaś w XVII. rozdziale pisze autor o „transcendentalnem“ i „immanentnem“ fakcie tragicznym i stawia sobie pytanie, który z trzech poglądów jest najbardziej podatnym i posiada najlepsze warunki do rozwoju i przedstawienia tragiczności: pogański czy chrześcijański, czy też nowoczesny ateistyczny. Odpowiedź jest następująca: Szczególnie niekorzystnie dla rozwoju tragiczności przedstawia się teren czysto chrześcijańskich poglądów na świat i życie; korzystniejszemi były przekonania starożytnych o fatum; w całej zaś pełni i mocy rozwijać się może tragiczność jedynie na podstawie wolnych, niczem nie krępowanych poglądów teraźniejszego ateistycznego świata (str. 47, 395 nast.). Oto, jakimi dowodami uzasadnia autor, że teren pojęć chrześcijańskich jest dla tragiczności najmniej podatnym. 1) Zależność od potęg nadprzyrodzonych przyćmiewa winę bohatera tj. z jednej strony przez swoje przestępstwo staje on się winnym, z drugiej strony jednak jest on niewinnym, ponieważ bóstwo go do tego popchnęło. Każde katolickie dziecko mogłoby autora pouczyć, że każdy chrześcijanin ma wolną wolę, że Bóg chrześcijański nikogo do zbrodni nie zmusza, że więc winę należy jedynie samemu bohaterowi przypisać. 2) Cierpienie

bohatera ma również wiele stron ciemnych i trudnych do zrozumienia. Ta transcendentalna potęga bowiem często ciężką i nieproporcyonalną nakłada karę tam, gdzie, po ludzku mówiąc, mała tylko wina zachodzi, a w tym wypadku cierpienie takie drażni nasze uczucie jako nadmierne, niezasłużenie, owszem niesprawiedliwie. Dziwna rzecz! W VIII. rozdziale rozpisuje się autor szeroko, że bohaterem tragedyi może być także człowiek zupełnie niewinny, mimochodem mówiąc, nie byłyby to niewinne bardzo ofiary tacy bohaterzy jak np. Egmont, Goetz v. Berlichingen, Othello, Lear i inni, których jednak autor jako przykład niewinności przytacza — i że chociaż niezasłużenie ciężkie jakie nieszczęście nań spadnie, nie osłabia to bynajmniej tragicznego wrażenia. Na innych znów miejscach dowodzi przekonywująco, że najlepszym, najodpowiedniejszym i najczęściej używanym materyałem tragicznym jest ten, gdzie między winą a karą zupełna znajduje się proporcya. Zestawmy teraz razem te trzy twierdzenia. W drugim wypadku, gdzie pomijamy zupełnie wyobrażenia chrześcijańskie, jest bez wątpienia cierpienie bohatera całkiem niezasłużone i wogóle niesprawiedliwe. W pierwszym wypadku jest ono również niezasłużonem, ale nie tak bardzo niesprawiedliwem, jak w drugim; w trzecim zaś wypadku jest i zasłużonem i sprawiedliwem. W drugim i trzecim wypadku wrażenie cierpienia nie jest, zdaniem autora, ustalone: jest niem zaś w pierwszym. Czemu? Czy przypadkowo, podczas gdy autor szukał dowodów przeciwko chrześcijańskiemu pojmowaniu życia, logika nie spłatała mu figla?

Pomijamy inne dowody przeciwko chrześcijańskiej tragice; są one tak samo słabe, jak i dwa poprzedzające, i zdradzają albo zupełną nieznajomość albo zapoznanie chrześcijańskich zapatrywań na świat i losy człowieka, i chrześcijańskiego bohatera z jego walkami i cierpieniami. — Przypatrzmy się tylko jeszcze najsilniejszej jego argumentacyi i na pozór najbardziej przekonywującej. Los, tak woła autor tryumfująco, ma być „immanentnym“, tj. koniecznym wypływem samodzielnego charakteru bohatera w naturalnym związku, z położeniem w jakiem się on znajduje. To się atoli nie da urzeczywistnić wobec chrześcijańskich zasad i wyobrażeń. *Ergo* autor wytwarzając ten niespożyty argument, miał, zdaje się, przed oczyma jedynie takie chrześcijańskie dzieła, w których od początku do końca dzieją się cuda, w których więc, podobnie jak w starożytnym dramacie, Bóstwo samo w tok akcyi wkracza. W takim razie ma on po części słuszność, o tyle mianowicie, że istotnie taki dramat może być mniej dramatycznym, a zatem i mniej

tragicznym (może nie musi, to zależy od talentu pisarza, bo jeżeli immanentny rozwój bohatera cudowną, bezpośrednią działalność Boga dobrze motywuje i psychologicznie przygotowuje, to ze stanowiska dramatycznego niewiele da się przeciw temu powiedzieć). W razie zaś, gdy autor miał na myśli wszystkie dramata, w których tłem albo główną cechą jest sposób widzenia chrześcijański, działanie Boskiej Opatrzności, to znajduje się on na zupełnie fałszywej drodze. Takie bowiem dramaty mogą nam przedstawić i w istocie przedstawiają nam tak samo jak i najbardziej nowoczesne tragedye „wewnętrzną konieczność działania ludzkiego, z naturalnego obrotu rzeczy". Przecież właśnie chrześcijanin κατ' ἐξ ἰσχήν sam swego szczęścia lub nieszczęścia jest sprawcą, bo go Bóg wolną wolą obdarzył. Możność odtworzenia ludzkich losów jako następstwa wpływowe transcendentalnych w połączeniu z wewnętrzną samodzielnością wynika z samej istoty chrześcijańskiej tragiki. Zatem chrześcijańska tragika posiada to wszystko, co autor przypisuje wyłącznie nowoczesnym poglądom (str. 144). Przyznaje wprawdzie autor, że rozwojowi sztuki tragicznej sprzyjały niezmiernie owe walki wewnętrzne i szamotanie się, np. w Fauscie, Tassie, Hamlecie i innych, które właśnie chrześcijaństwo w świat i ducha wprowadziło, ale te dopiero przerobione i przekształcone, jak twierdzi, przez nowoczesne poglądy, stały się odpowiednim dla tragedyi materyałem. Jakie zaś były te przerabiania i przekształcania, o tem autor nie wspomina wcale. Ostatecznie może nam ktoś mówić chyba o spotęgowaniu w ludziach dzisiejszych tych wewnętrznych walk i rozpaczy, ale wcale nie o jakiemś przekształceniu.

Jeszcze jedna uwaga. Autor wymaga od czytelnika i estetyka szerokiego serca wobec różnorodności dzisiejszych wyobrażeń. Powinniśmy się cieszyć, powiada on, że w sztuce znajdują swój wyraz w całej rozmaitości wszelkie rodzaje i formy walk, przejść i cierpień, pod któremi się losy świata i ludzkości w wielkich duszach odbijają (str. 38). Gdzieindziej znów każe się z tego powodu czytelnikowi dać ogarnąć myślą przewodnią w dziele zawartą, a o swoich własnych na losy człowieka poglądach każe tymczasem zapomnieć, aby w ten sposób czytany utwór mógł nań działać z całą swobodą. Ale jakżeż przeciwnie do tych wymagań zachowuje się sam autor, kiedy chodzi o chrześcijańską tragiczność i chrześcijańskie zapatrywanie!? — Do jakich to wreszcie doszlibyśmy rezultatów, gdyby prawdziwem było zdanie autora, że rozwojowi tragiki sprzyja jedynie duch nowoczesny? W takim razie Aeschylos, Sofokles, Shakespeare i Schiller przynajmniej w części nie

zrozumieli istoty tragiki i nie mogą oni już być jej mistrzami. W końcu największymi tragikami zostać winni Ibsen, Sudermann, Hauptmann tj. wszyscy najskrajniejsi przedstawiciele nowego ducha. Czyż się to nie sprzeciwia ogólnemu sądowi i powszechnemu przekonaniu? Nie sąż to raczej czysto osobiste zapatrywania, których uogólniać w żaden sposób nie można ani też wyłącznej przypisywać im słuszności. Gdybyśmy zresztą nad tem zdaniem autora zastanawiali się nieco głębiej, doszlibyśmy może do wniosku, że te nowe ateistyczne wyobrażenia nie są wcale odpowiedniem polem dla tragiki. Świat nowoczesny taki, jak go autor rozumie, zaprzecza wolności woli, w człowieku upatruje maszynę, poruszającą się automatycznie albo tylko z musu, uniewinnia zbrodnię, tłumacząc ją chorobą i t. d. Tym zaś sposobem upada wszelka działalność osobista, wszelka dramatyczność; w każdym razie dla najważniejszej formy tragiczności, przewinienia, niema miejsca wobec takich poglądów, bo o odpowiedzialności niema mowy tam, gdzie brak wolności. W takiem to świetle przedstawia się nam Ibsen, który cały moralny i społeczny porządek usiłuje wywrócić, a natomiast podaje nam niedoszłe płody wybujałej swej wyobraźni, jako jedyne środki zaradcze, które człowieka z głębokiego upadku mogą podźwignąć. W takiem świetle przedstawiają się nam także dzieła Hauptmanna, Sudermanna i innych, które opisują nam drastycznie choroby społeczeństwa i odkrywają jego rozognione rany. Lecz gdzież tu jest prawdziwa tragika? Czyż przy czytaniu dzieł takich nie wyrywa się z piersi raczej jęk rozpaczy, który przytłumia wszelkie estetyczne wrażenia? Możnaż tu mówić o jakiejś katharsis?

Przykro nam, że autor właśnie na te tak istotne kwestye w przedmiocie tragiki odpowiedział tak niejasno i tak jednostronnie. Lecz na usprawiedliwienie autora musimy jeszcze raz zaznaczyć tę okoliczność, że estetyka jest właśnie działem, gdzie zdania i sądy zawsze są w rozterce. Tak wielką odgrywa tu rolę subjektywne uczucie. Mimo tych braków i opacznych nieraz sądów, każdy myślący znawca literatury czytać będzie to dzieło z pożytkiem i zajęciem a przeczytawszy nie będzie się żalił na stratę czasu.

Maksymilian Kohlsdorfer.

The life of Charles Stewart Parnell. By *B. Barry O'Brien.* London. Smith, Elder and Comp.

Warto w głównych zarysach streścić ten nad wyraz ciekawy i sumienny życiorys. Wiadomo, że największy za dni naszych szermierz

Irlandyi z urodzenia właściwie był Anglikiem; co więcej, nie dzielił on wiary plemienia, któremu służył, nie posiadał tej katolickiej do Rzymu przenależności, będącej do dziś dnia i dźwignią i tarczą i puklerzem mocnym dla ujarzmionych Edynu synów. Rodzina Parnellów pochodziła z Anglii, miała być młodszą odnogą królewskich Tudorów, zachowała czysty typ saksoński, keltycką nienaruszony domieszką. Mimo to przywiązanie do Irlandyi i obrona jej praw zapoznanych były rodzinną tradycyą, w każdem pokoleniu stwierdzaną walką czy ofiarą. Ojciec Karola Parnella walczył w parlamencie przy boku O'Connela, matka jego była córką słynnego z nienawiści do Anglii amerykańskiego admirała Stewarta. Późniejszy *leader* opozycyi irlandzkiej przyszedł na świat w r. 1846 w Avondale.

Acz urodzony na ziemi irlandzkiej, kształcił się w Cambridge, wychowywał w Anglii. Zostało mu stąd piętno niezmazalne, zespolenie sztywności i gładkości w obejściu, dumy i łagodności, cechujące prawdziwego *gentlemanna*. Wróciwszy do Irlandyi, odnalazł tam stare narodowe stronnictwo, uszykowane na gruncie parlamentarnej karności, a zamyślające dobić się autonomii, czyli t. zw. *Home rule*, wyłącznie za pomocą legalnych środków. Po doznanym w Dublinie zawodzie, spowodowanym własnem niedoświadczeniem oratorskiem, młody Parnell w r. 1875 wybrany został posłem z hrabstwa Meath.

Frakcya irlandzka próbowała wówczas wydoskonalonego odtąd i nadużywanego dla złych celów na innym gruncie systematu parlamentarnej obstrukcyi. Parnell niebawem stanął w rzędzie najżarliwszych obstrukcyonistów. Właściwie nie był on urodzonym oratorem, to też w porze obiadowej zwykł się był ćwiczyć wobec opróżnionych ławek, a choć nigdy nie dosięgnął wymowy wielkich spółczesnych mistrzów słowa, nabrał wszelako tak silnej dyalektyki, takiego opanowania przedmiotu, tak zręcznej i gładkiej swady, iż od razu stał się groźnym przywódcą opozycyi.

Taktyka jego była nader prosta: chciał on uczynić rząd angielski całkiem niemożliwym na ziemi irlandzkiej. „Jestem przedstawicielem narodu, który aż nadto doświadczył okrucieństwa i samowładzy ze strony Anglików. Zaczem niewymownej doznaję rozkoszy, niwecząc, utrudniając, udaremniając zamiary rządu, który tyle nam dokuczył". Chłodne, spokojne te wyznania, niezaczepiające nigdy osób, dziwnie drażniły zgromadzenie, zasiadające w Westminsterze. Parnell przemawiał dopóki mu sił starczyło, poczem który z jego przyjaciół politycznych go zastępował, jak np. w onej pamiętnej sesyi z dnia 31 lipca

1877 r., która trwała dwadzieścia sześć godzin z rzędu. W ostatnich latach swej karyery Disraeli uznawał swą przegraną i zaczynał nareszcie wstępować na tory stopniowych ustępstw, gdy wybory z r. 1880 wywróciły jego gabinet, usuwając go niepowrotnie z politycznej areny.

Gladstone zrazu okazał pewne sympatye tak dla osoby, jak i dla programu Parnella, który popierał wyłącznie legalną i konstytucyjną opozycyę. Uchwalono kilka korzystnych reform dla Irlandyi, zaczem obstrukcya od razu ustała i członkowie parlamentu mogli po dawnemu zażywać sennych i spokojnych rozkoszy niczem niezamąconych wczasów. Atoli zwolennicy Parnella nie mieli jego miary, nie posiadali zimnej krwi swego przywódcy, i stąd też zawieszenie broni nie miało potrwać długo.

Samże Gladstone, widząc, jaki obrót bierze w Irlandyi agitacya agrarna, zerwał się do czynu i za powodem swych kolegów, whigów, przeprowadził zawieszenie prawa, *Habeas corpus* w Irlandyi. W jesieni 1884 r., objeżdżający okręgi wyborcze Parnell, najniespodziewaniej został aresztowany i wtrącony do więzienia.

Gwałt ten niesłychany stał się hasłem upowszechnionego w Irlandyi a nieposkromionego teraz ruchu. Bojkotowano właścicieli, podpalano dwory, piętnowano bydło. Rząd angielski odpowiedział na wyzwanie jawną wojną. W kilka miesiący do 17.000 ewikcyj pogrążyło krocie mieszkańców Irlandyi w nędzy. Kwiat irlandzkiej reprezentacyi dostał się do więzienia, zapanował ogólny teroryzm.

Szlachetny w gruncie Gladstone nie miał serca iść dalej w tym kierunku. Nagle wstrzymał represyę, odwołał niemiłego Irlandyi Forstera, naznaczył lorda Fryderyka Cavendisha, pełnego najliberalniejszych zamiarów, aby po nim nastąpił. Wiadomo co za los czekał Cavendisha za przybyciem do Dublina. Zamach szaleńca na długo opóźnił dobę sprawiedliwości. Oburzenie Anglii granic nie znało. Morderstwo dokonane w Phoenix Park wywołało uchwałę t. zw. *Crimes act*, która miała wszystkich bez wyjątku posłów irlandzkich przerzucić w szeregi bezwzględnej opozycyi.

Parnell natenczas się zbliżył do torysów. Upadł Gladstone w r. 1885 zastąpiony przez Salisbury'ego, który jakiś czas rządził z poparciem Parnellistów. Nie wiadomo, jaki byłby wynik tych nowych sojuszów i taktyki, gdyby Gladstone nagle nie był oświadczył w *Timesie* z końcem 1885 r., iż jeśli kiedykolwiek do władzy powróci, gotów w innym duchu podjąć sprawę *Home rule*'u.

Słowa te od razu pomieszały szyki, Parnell przerzucił się w obóz liberalny, i Gladstone mógł raz więcej zasiąść u steru polityki angiel-

skiej. Projekt *Home rule*'u przezeń wniesiony uzyskał całkowite poparcie irlandzkiego przywódcy. Ale nowe wybory wnet obaliły Gladstona, ponownie Salisbury'ego wynosząc na przewodnie stanowisko.

Z kolei konserwatywni spróbowali teraz polityki przymusu i represyi. Na uogólnione ewikcye Irlandya odpowiedziała silnie zorganizowanym „planem kampanii", który miał przymnożyć najcięższych kłopotów rządowi angielskiemu. Spróbowano udaremnić wpływy Parnella. W tym celu *Times* otworzył na oścież swe łamy dla oszczerstw próbujących dowieść, iż Parnell zachęcał do gwałtów i zbrodni i był odpowiedzialnym za ich rozmnożenie w 1884 r. Sprawa zaniesiona przed kratki sądowe niebawem wykazała, iż potężny dziennik, obłudnie dla innych nieraz skrupulatny, sam nie sromał się podrobione drukować dukumenty. Niczego tedy już nie brakło dla chwały Parnella, nawet tej największej, zdaniem Cobdena, aby doczekać się obelg *Timesa*.

Tymczasem koniec był już blizki, i cały ten świetny zawód miał się niebawem rozbić o najpospolitszą, filisterską intrygę z cudzą żoną!

Oczywiście, nie będziemy brudzić wyobraźni naszych czytelników sromotnemi szczegółami tej smutnej historyi. Zaparł się Parnella Gladstone, wyrzekło się go własne stronnictwo, odtrącili samiż wyborcy do żywego w poczuciu uczciwości obrażeni. Bankructwo moralne pociągnęło za sobą nieodwołalny polityczny koniec karyery zapowiadającej się tak bujnie i świetnie. Złamany na duchu i sławie Parnell nie przeżył nawet swego upadku. Umarł nagle, po kilkodniowej chorobie, w jesieni 1891 r., unosząc z sobą w zaświaty niepocieszony żal, iż nie dobił się wymarzonego *Home rule*'u. Ostatnie jego słowa były dla tej Irlandyi, której się sprzeniewierzył, nie sercem, lecz życiem, folgując nizkiej namiętności osobistej, kiedy mu należało za wyższemi tylko zdążać ideałami i czystem rządzić się sumieniem. Stronnictwo jego się rozbiło, zwolennicy powaśnieni między sobą zatracili dawną jedność, sprawa *Home rule*'u na długo została odroczoną. Nie jest prawdopobnem, aby rychło nowy Parnell dla Irlandyi powstał. Tem bardziej żywot jego, tak umiejętnie i bezstronnie spisany przez oddanego przyjaciela, winien być rozpamiętywanym przez wszystkich, którym leży na sercu sprawa wyswobodzenia nieszczęśliwej krainy. A nauki w tej księdze zawarte korzystnie mogą oddziałać i na tych, których losy aż nadto są podobne do przeznaczeń Irlandyi, i którym przypominać warto, iż mąż polityczny winien być wszędzie i zawsze i przedewszystkiem uczciwym człowiekiem w chrześcijańskiem tego słowa znaczeniu.

*M***

Unter jüdischen Proletariern. *S. R. Landau.* Wien 1898.

Dr. Landau jest jednym z przywódców syonistycznego ruchu w Austryi a jednocześnie redaktorem wiedeńskiego czasopisma syonistycznego *Die Welt*, dość chyba powodów, aby go stosunki żydowskich proletaryuszów w ogóle a osiadłych w Polsce w szczególności żywo zajmować musiały. Jeśli skąd podążą tłumy do Syonu, do Palestyny, to z Galicyi, z polskich wiosek, z litewskich miasteczek: paryscy, wiedeńscy bankierzy lub meklerzy niewątpliwie bardzo oględnym krokiem za nimi pospieszą. I polscy, litewscy bogacze bodaj dłużej namyślać się będą. Proletaryusze pójdą z pewnością na pierwszy znak. Dlaczegóżby pójść nie mieli? Co przytrzymywać ich może w kołomyjskich lub stanisławowskich brudnych i ciasnych norach; czy będą może żałować za borysławskiemi kopalniami lub tkackiemi warsztatami w Białymstoku? Zapewne mogliby może żałować, gdyby te kopalnie nie były znane powszechnie pod charakterystyczną nazwą „mordowni“, gdyby tkackie warsztaty zapewnić mogły ciepły choć najskromniejszy kąt na zimę, choć kawałek chleba rano, w południe i na wieczór. Czy zapewniają? W odpowiedzi oprowadza nas dr. Landau za sobą po żydowskich warsztatach; fabrykach, izbach, izdebkach, wszelkiego rodzaju przytułkach i schroniskach w Kołomyi, Stanisławowie, Borysławiu, Częstochowie, Białymstoku, Warszawie, Łodzi. Oprowadza, pokazuje i przytacza jednę po drugiej bezlitośne cyfry, które tak głośno wołają: Może ci ludzie dość mają, aby nie umrzeć, z pewnością nie mają dość, aby żyć.

Autor chodził tylko po żydowskich izbach, fabrykach i przytułkach: żydowskie tylko biedy i stosunki opisuje. Naturalnie nie można mu z tego zrobić najmniejszego zarzutu, jak nie robi się zarzutu malarzowi, któryby wymalował Sukiennice bez kościoła Panny Maryi. Inne pytanie czy obraz lepiejby nie wyszedł, gdyby mu naturalne tło zachować? Ale choć zapewne na szerszem tle obraz byłby przejrzystszy i bardziej pouczający — i tak pouczający jest i bardzo ciekawy. Życie, obyczaje tysięcy i tysięcy Żydów wśród nas od tylu wieków zamieszkałych i tylu nićmi z życiem naszem złączonych, tak mało, śmiesznie mało jest nam znanem, że każdy w tym kierunku przyczynek podwójną ma dla nas wartość.

J. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z FRANCYI.

I dzisiaj znowu na pierwszem miejscu mówić nam wypada o ruchu religijnym we Francyi, bo ruch ten coraz szersze ogarnia koła, coraz poważniejszego nabiera znaczenia. W niższych — to prawda — warstwach ludu francuskiego, przedewszystkiem okolic południowych i środkowych, rozprzestrzenił się szeroko indyferentyzm religijny: Kościoły na wsi świecą pustkami, mężczyzn prawie nigdy w nich nie widać, kobiet mało. Szalona agitacya z góry w kierunku ateistycznym i szkoły bezwyznaniowe do tego stanu doprowadziły. Ale za to teraz w tych wyższych sferach, skąd zło wyszło, powstały, jak gdyby elementarną siłą rzeczy, potężne prądy religijne, które strachem przejmują zaciętych wrogów religii a nadzieją wszystkich katolików.

Stąd w obydwóch obozach wysiłki się mnożą, aby doprowadzić swoją ideę do zwycięstwa. Zwracaliśmy już nieraz uwagę na walkę o wychowanie, toczącą się między katolikami a bezwyznaniowcami. Jedni i drudzy coraz jaśniej pojmują, że na tem polu odegra się bitwa rozstrzygająca, że przyszłość Francyi od szkół zależy. Szykany rządu nie przeszkodziły aż dotąd powstawaniu coraz liczniejszych szkół katolickich. Widząc to ra-

dykali, przyszli do przekonania, że trzeba energiczniejszych środków, aby złemu zaradzić, inaczej katolicyzm zwycięży. Z tego więc powodu radykał Levraud wniósł 22 listopada 1898 ustawę, której pierwszy artykuł tak brzmiał: „Członkowie rozmaitych kongregacyj religijnych i członkowie należący do kleru regularnego nie będą w żadnym wypadku mogli posiadać albo kierować zakładem wychowawczym i naukowym". Dalsze artykuły postanawiają, że pod to prawo podpadają wszystkie jakiegokolwiek rodzaju internaty męskie i żeńskie.

Każdy łatwo pojmie, jak strasznym ciosem taka ustawa byłaby dla Francyi, ale łatwo też zrozumie, że postępy szkół katolickich we Francyi muszą być znaczne, kiedy radykali odważyli się targnąć w tak otwarty sposób na fundamentalną podstawę Rzeczypospolitej: na wolność. Z wyjątkiem skrajnej lewicy projekt ustawy wywołał też, dzięki Bogu, ogólne oburzenie i został odrzucony głosami 293 przeciw 139. Nie lepiej powiodło się drugiemu wnioskowi protestanta Rabier, który żądał monopolu uniwersytetu we wszystkich gałęziach nauki.

Ciekawem było stanowisko zajęte w tej sprawie przez socyalistów. Nie pierwszy raz widzimy, że socyaliści, kiedy chodzi o obronę wolności, występują zgodnie z interesami katolików, i tym razem M. Millerand otwarcie się oświadczył przeciw polityce „niepotrzebnej, a zarazem niebezpiecznej dla samej Rzeczypospolitej". Za to drugi wódz socyalistów, Vaillant, stanął przy wniosku Rabier'a, oświadczając, że z zasady głosować będzie za każdym środkiem walki przeciwko Kościołowi i religii.

Millerand wskazał jako na prawdziwe niebezpieczeństwo na rosnącą posiadłość kongregacyj religijnych, która, jak czarna plama, nad Francyą się rozszerza. Żywe za to otrzymał oklaski ze skrajnej lewicy, ale zwrócono mu też uwagę z prawicy, czemu o posiadłościach Żydów nie mówi. W rzeczywistości nie wzrost majątków kościelnych, ale żydowskich, powinien socyalistów przestraszyć. Rząd sam ocenia wspólny majątek wszystkich kościołów i kongregacyj na 600 milionów franków, gdy tymczasem majątek Żydów wynosi 20 miliardów franków, tj. mniej więcej czwartą część prywatnej własności Francuzów. Mimo to

majątki kościelne, które służą dla utrzymania tysięcy szkół, szpitalów, sierot i ubogich, obarczone są przez rząd podwójnemi podatkami, a nawet ci, co niby tylko przeciwko potędze finansowej a nie przeciw katolicyzmowi walczą, tylko o bogactwach Kościoła wspominają, o żydowskich milczą. Zadał więc sam Millerand kłam swemu twierdzeniu, „że nie jest więcej antikatolikiem jak antisemitą".

KONGRES MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Trzynaście lat temu hr. de Mun założył asocyacyę młodzieży katolickiej, która 17 listopada w Besançon odbyła swój V. walny wiec. Naoczni świadkowie piszą nam, że rzadko kiedy widzieli wiec pożyteczniejszy i bardziej pocieszający dla serca katolickiego, jak ostatni wiec w Besançon. Co najprzód podnieść wypada, to to, iż z młodzieżą katolicką Francyi zebrało się wszystko, co Francya ma najwybitniejszego w katolickich swych obozach. Był tam hr. de Mun, był Harmel, wódz demokratów chrześcijańskich, był Goyau, walczący tak dzielnie znakomitem swem piórem dla sprawy katolickiej, byli posłowie z partyi t. zw. *ralliés* jak Massabuau, byli nareszcie liczni przedstawiciele duchowieństwa, biskupi, księża świeccy, jak ks. Lemire, zakonnicy, między którymi O. Plantier T. J., a mimo to panowała tym razem między wszystkimi przedstawicielami tych partyj najzupełniejsza zgoda; były dyskusye żywe, ale nie było rozdźwięków przykrych w rodzaju tych, któreśmy stwierdzili na wiecu demokratów chrześcijańskich w Lyonie. Przyczyną tej harmonii było niezawodnie to, że wszyscy stanęli na gruncie wiary i miłości ojczyzny; teren, jak hr. de Mun pięknie i trafnie się wyraził, najpewniejszy, na którym potrzebne połączenie serc uskutecznić się może.

Dewizą francuskich asocyacyj młodzieży jest pobożność, praca i akcya zewnętrzna na podstawie zasad katolickich. Miejscowe stowarzyszenia złączone są w związki prowincyonalne, a te znowu w asocyacyę generalną. Do asocyacyi przyjmuje się tylko ludzi z przekonaniami czysto katolickiemi. Nad tym punktem wywiązała się żywa i także dla naszych stosunków pouczająca dyskusya, ponieważ najwybitniejsi i doświadczeni wodzowie

francuscy udział w niej brali. Podnoszono mianowicie myśl, czyby nie dobrze było przyjmować także ludzi, którzy w dobrej wierze w błędach religijnych trwają. Kilku gorąco popierało tę myśl, ale większość kongresu stanowczo ją odrzuciła. P. Harmel wielką swą i niepodejrzaną powagą także młodzież do tego zachęcał, by zbliżała się wprawdzie do wszystkich ludzi dobrej woli, ale do łona swych asocyacyj nie przyjmowała jak tylko katolików z przekonania; czysty bowiem duch katolicyzmu powinien być duchem ożywczym całej akcyi asocyacyi młodzieży.

Uzasadnił to w wspaniałej mowie p. Goyau, kładąc przedewszystkiem nacisk na obowiązek, by stosować wiarę w całem życiu praktycznem i socyalnem. W tym kierunku powinna się młodzież od pierwszych lat kształcić. Aby dojść do tego, konieczne jest z wykształceniem uniwersyteckiem łączyć wyższe wykształcenie w religii. Podniesiono tę kwestyę już na ostatnim wiecu, a krok naprzód uczyniono w tem, że O. Goudeau już w tych dniach rozpocznie tego rodzaju wykłady na instytucie katolickim w Paryżu.

Wszyscy zgadzają się na to, że akcya katolicka młodzieży powinna być zwróconą przedewszystkiem w kierunku socyalnym. W tej myśli przemawiali redaktor *Association catholique* p. Henryk Savatier, p. Harmel, hr. de Mun, ks. Lemire i kilku młodych ludzi. Omawiano szczegółowo potrzebę zbliżenia się młodych ludzi do zawodowych syndykatów robotniczych, podnoszono, że trzeba koniecznie pomódz robotnikom w osiągnięciu słusznych ich wymagań, nie zostawiając przeciwnikom monopolu obrony praw klas pracujących. Pełne głębokiej i praktycznej doniosłości były wskazówki, które p. Harmel co do tego punktu dawał młodzieży: „Tak — mówił — zbliżcie się do ludu, zadzierzgnijcie węzły serdeczne i ścisłe między wami a robotnikami, pozostawajcie w stałych stosunkach z małą liczbą robotników, starajcie się ich głęboko poznać, aby módz wybrać z pomiędzy nich dzielnych przewodników". Może nie od rzeczy będzie przytoczyć także ustęp z mowy hr. de Mun, aby pokazać zgodność zapatrywań między nimi. „Wszelkie debaty — powiedział hr. de

Mun — nad demokracyą chrześcijańską są w tej chwili płonne i zbyteczne. Demokracya jest faktem, przeciwko któremu reagować nie można, faktem, którego źródło sięga o wiele dalej niż rewolucya, ponieważ się znajduje w dawnej organizacyi pracy, w logicznej jej ewolucyi. Dla nikogo, kimkolwiek onby był, żaden dziś powód nie istnieje, aby się nie zbliżyć szczerze do ludu na terenie demokratycznym". W tym duchu powinna pracować i młodzież, aby lud oderwać od tych fałszywych demokratów, którzy Boga i religię z jego serca wydrzeć usiłują.

Stowarzyszenia asocyacyi katolickiej rozszerzyły się już setkami po całej Francyi i ich członkowie noszą się teraz z myślą — zdaje nam się bardzo szczęśliwą — połączenia młodzieży katolickiej ze wszystkich krajów w jeden wielki związek. Bodźcem do szybkiego wykonania tej idei było dla kongresu sprawozdanie posła szwajcarskiego de Montenach o związku chrześcijańskim młodzieży protestanckiej z całego świata, który obecnie liczy 500.000 członków.

O jednym jeszcze szczególe przemilczeć nie możemy, tj. o obecności p. Brunetière, obecnego kierownika *Revue des deux mondes*. P. Brunetière — jak wiadomo — katolikiem jeszcze nie jest, ale w ostatnich latach, ciągle do katolicyzmu się zbliża. Już raz tego roku w tem samem mieście w stowarzyszeniu św. Tomasza z Akwinu miał mowę, która wyrwała profesorowi uniwersytetu w Paryżu, pastorowi Sabatier, bolesne dla niego wyznanie, że we Francyi wszelki zwrot ku idealizmowi dzieje się na korzyść najskrajniejszego klerykalizmu. Widzimy — chwała Bogu — że p. Brunetière przez tych kilka miesięcy znacznie posunął się naprzód ku prawdzie. W obecności jednego arcybiskupa i pięciu biskupów, Brunetière przemówił o potrzebie wierzenia. Śliczny ten odczyt znaleźć można w *Revue des deux mondes* w zeszycie z 1 grudnia 1898 r. Wykazuje autor, że potrzeba wierzenia, potrzeba religii należy do istoty człowieka. Jeżeli A. Comte, choć sam wyznawał tę wyższość religii katolickiej, a przecież jej nie przyjął, to Brunetière to przypisuje herezyi naszych czasów, którą i Comte był zarażony·

dumie. Sam o sobie przyznaje, że tego ostatniego kroku jeszcze nie uczynił, ale wyraża nadzieję, że niezadługo będzie mógł stanowczo i co do tego się oświadczyć.

Jeżeli przy pomocy Bożej zrobi ten ostatni krok, to fakt ten wskaże niejednemu z tych licznych umysłów, trapionych wątpliwością i niepokojem gorzkim, drogę zbawczej prawdy — a takich umysłów jest dziś wiele we Francyi. Nawet w mowach w Akademii paryskiej — przypominam tylko mowę Lotiego — przebija się jęk duszy zbolałej pozostającej bez wiary. Książki treści religijno-apologetycznej i przystępnie dla ogółu pisane, rozchodzą się w lot tysiącami. Tak ostatnia książka Coppée'go *La bonne souffrance*, w której sławny pisarz w prosty sposób swe nawrócenie opisuje, miała w przeciągu kilku tygodni czterdzieści kilka wydań.

W dwóch tych sąsiednich krajach, Francyi i Anglii, ruch religijny prawie gorączkowo wszystkie sfery wykształcone zajmuje: ale powiadają niektórzy, że tylko w Anglii ruch ten bezsprzecznie szybkim krokiem cały naród zbliża ku katolicyzmowi, we Francyi zaś ruch ten przeciwnie ma wyjść na jego niekorzyść. Sąd ten jednak jest najoczywiściej fałszywy, wynikający widocznie tylko z uwzględniania pojedynczych objawów, bez poglądu na całość tego ruchu. Jedynym prawie faktem, na którym się ten sąd opiera, jest odstępstwo kilkudziesięciu — o ile wiemy — może i mniej, księży katolickich, którzy w październiku zeszłego roku założyli swój organ *Le chrétien français*. Powiadają, że książka Sabatiera *La philosophie de la religion* przyczyniła się do pomnożenia tego ruchu wśród kleru francuskiego, ruchu z cechą nie antireligijną, ale tylko protestancką. Już to samo nie rokuje temu ruchowi wielkiej przyszłości, gdyż protestantyzm z swoją połowicznością żadnych w naszych czasach nie posiada danych, aby serca swą próżnię czujące pozyskać. Jednostkom tym przeciwstawić można kler, liczący przeszło 50.000, budzący się do nowego życia, oddający się z gorliwością nauce i kwestyom socyalnym, złączony ze Stolicą św. ściślej, niż kiedykolwiek w ostatnich wiekach. Wśród świeckich zaś niema ani śladu zbliżenia

się ku protestantyzmowi, ale widać tylko albo ateizm, rozpaczliwe szamotanie się, albo stanowcze zbliżenie się ku katolicyzmowi.

Z WŁOCH.

Od czasu ostatnich rozruchów majowych nie pisaliśmy nic o włoskich stosunkach kościelnych. Akcya katolicka była przez ten czas prawie wszędzie siłą przerwana. Rząd korzystając z praw wyjątkowych, zwrócił całą swą surowość głównie przeciw katolikom. Rozwiązano od maja, według dokładniejszych informacyj, które *Civiltà*[1] podaje:

Katol. komitetów prowincyonalnych	4	
„ dyecezalnych	70	
„ parafialnych	2.600	(przeszło połowę)
Stowarzyszeń młodzieży rękodzielniczej	600	
„ uniwersyteckich	5	
„ młodzieży katolickiej	20	
Innych katolickich stowarzyszeń	400	

Katolickich gazet zawieszono przeszło 200, kilku z głównych i najczynniejszych redaktorów zamknięto do więzienia, jak ks. Albertario, który po dziś dzień tam pozostaje.

Po zniesieniu stanu wyjątkowego pozwolono znowu na otwarcie wielu komitetów, gdyż nigdzie nie znaleziono nic, coby świadczyło o usposobieniu buntowniczem u katolików. Sam sąd w Bolonii uznał, że dla braku dowodów nie można ścigać komitetów drogą sądową. Komitety kościelne podjęły z podwojoną energią swe dawne prace koło podniesienia dobrobytu moralnego i materyalnego ludu włoskiego. Tak np. właśnie w tych dniach komitet rzymski powołał do życia instytut agrarny i przemysłowy, który ma dostarczać pracy robotnikom Rzymu i ludności Kampanii, pozostającej w ostatniej nędzy. Wielkie gazety katolickie: *Unitá cattolica* z Florencyi i *Osservatore cattolico* w Milanie, mimo częstych konfiskat, znowu wychodzą, utrzymując ducha i łączność między katolikami półwyspu.

Ta łączność objawiła się w ostatnich czasach w ogromnych

[1] *Civiltà cattolica* z 15 września 1898 r.

manifestacyach przeciw zarzutom o buntowniczości katolików, podniesionych przez rządowych przedstawicieli w parlamencie i na prowincyi. Manifestacye te, powtarzane od północy do południa Włoch, odnoszą się do trzech punktów: 1) Oświadczenie stanowcze, że katolicy nigdy w jakikolwiek sposób przeciwko porządkowi publicznemu i władzom w buntowniczy sposób nie występowali, ani nie wystąpią; że 2) głęboko żałują, iż powaga władzy cywilnej z własnej jej winy została naruszoną; 3) usilne żądanie, by dla utrzymania dobra publicznego obdarzono ogólną amnestyą wszystkich więźniów, skazanych z powodów politycznych w ostatnich rozruchach. — Czytaliśmy opisy wielu z tych manifestacyj katolickich i znaleźliśmy wszędzie tę samą stanowczość, ale i tę samą powagę i spokój.

Inaczej się ma z manifestacyą o uwolnienie więźniów, podniesioną przez partye prawdziwie rewolucyjne. Okrzyk: „chcemy uwolnienia skazanych politycznych“ powtarzają na swych zgromadzeniach uczniowie uniwersytetów, robotnicy i lud; popierają tę dążność władze municypalne miast wielkich i małych. Rząd przeciwko temu tylko jedną ma broń: zakazuje, ile może, bez rozgoryczenia, wszelkie zebrania — ale czy to pomoże?

Poseł Nofri podniósł sprawę tę w parlamencie, zarzucając rządowi najbezprawniejszą samowolę. „Czego chcecie od nas — powiada do prezydenta ministrów — czy mamy przyjść do was ze łzami w oczach, błagać o łaskę, abyśmy w imię miłosierdzia wyżebrali sobie trochę sprawiedliwości! O! tego nie uczynimy! Uzbrojeni w prawo, które wy deptacie, pójdziemy tą drogą dalej pewni, że na końcu będziecie musieli ustąpić, ponieważ nasze petycye bezpośrednio od ludu pochodzą i narzucają się wam i parlamentowi“. I więźniowie solidaryzują się z tym ruchem. O ile wiemy, tylko jeden podpisał prośbę o ułaskawienie do króla i został natychmiast wypuszczony z więzienia; inni żadnych próśb o ułaskawienie podpisać nie chcą. Pelloux oświadczył wprawdzie, że ani on, ani żaden inny rząd w tej mierze ustąpić nie może, ale katolickie pisma, między innemi także *Civiltà*, upominają rząd, by z swego uporu ustąpił, przepowia-

dając, że ten upór może pociągnąć za sobą niebezpieczne następstwa.

Biorąc na uwagę, że przepowiednie katolików przeszłego roku co do joty się spełniły, powinien się rząd we własnym interesie z niemi rachować, tem bardziej, że obecne stanowisko jego wobec ludu jest prawdziwie rozpaczliwe. Według ostatniego sprawozdania ministra finansów rząd potrzebuje na przyszły rok prawie o 60 milionów lirów więcej, a deficyt tegoroczny wynosi 14 milionów. Nałożono więc nowe podatki na zapałki, na gaz, na wino, alkohole i t. d., czem naturalnie uboga ludność została ciężko dotkniętą i na nowo rozgoryczoną.

Bezkarność rządu przebijała się między innemi także w mowie tronowej przy otwarciu parlamentu — mianowicie w ustępie o stosunkach między Kościołem i państwem. Król oddziela widocznie religię od Kościoła, stwierdza, że lud włoski przejęty jest przywiązaniem do religii, i obiecuje, że i rząd te uczucia szanować będzie, ale zaraz dodaje, że dalej trzymać się będzie polityki wolności względem Kościoła, t. j. polityki gnębienia, rozboju, wprost przeciwnej tradycyom ludu. Aby przeciągnąć kler niższy do rządu, obiecywał król „ustawy o polepszeniu materyalnego bytu tej części kleru, która się znajduje w stosunkach bardziej bezpośrednich z ludem i która wykonywać będzie swe funkcye w duchu obowiązków, jakie ma względem religii i względem ojczyzny“. Innemi słowy, rząd, nie mogąc sobie żadną miarą dać rady, chce poświęcić parę milionów, aby pozyskać dla siebie kler niższy, odrywając go od kierownictwa papieża i biskupów. Stanowisko, jakie kler z małemi wyjątkami zajmował prawie już przez lat 30 walki, kiedy tak ogałacano księży, że im nieraz i kawałka chleba brakowało, jest najsilniejszą rękojmią, że widok bogatszych dotacyj nie odwiedzie tego kleru od drogi obowiązków i od wierności dla najwyższego pasterza.

Ks. Wł. Ledóchowski.

List z Egiptu.

Kairo, 15 listopada 1898 r.

Aby zadośćuczynić życzeniom Waszej Redakcyi, przesyłam Wam kilka szczegółów o teraźniejszem położeniu Koptów i o synodzie, który 3 miesiące temu w Kairze się odbył.

Przybyłem tutaj przed laty 18, prawie nazajutrz po wydaniu pamiętnego reskryptu papieskiego, który Towarzystwu Jezusowemu, wracającemu po 150 latach napowrót do Egiptu, wyznaczał misyę sformowania kleru narodowego. Objąłem zaraz na początku kierownictwo seminaryum duchownego i na stanowisku tem pozostaję po dziś dzień; mam więc przed oczyma i w pamięci wszystko, co potrzebnem jest do utworzenia dokładnego obrazu o teraźniejszem położeniu katolicyzmu wśród Koptów. Obecność moja w Kairze w czasie, kiedy się synod odbywał, ułatwiła mi zasięgnięcie dokładnej informacyi o tym synodzie tak, iż jestem w szczęśliwem położeniu, jak sobie tuszę, by odpowiedzieć w zadawalniający sposób na wasze pytania.

W chwili naszego przybycia do Egiptu w roku 1879 dwie gałęzie obrządku koptyjskiego przedstawiały tutaj ideę chrześcijańską: sekta Eutychesa i katolicy. Pierwsza z tych grup — rozporządzająca znacznemi środkami materyalnemi i nierównie liczniejsza, bo liczyła przeszło pół miliona wyznawców, zamieszkujących Egipt od Aleksandryi aż po Kartum — miała na swem czele patryarchę Amba-Cyryla V., dwóch arcybiskupów, Jerozolimy i Aleksandryi, i dwunastu biskupów, z których najbardziej oddalonym był biskup w Kartum, że pominę czterech biskupów, których w r. 1882 patryarcha, na prośbę króla Ati Joannesa miał wysłać do Abisynii[1]. Jeszcze nie było wówczas w łonie tej gałęzi niezgód wewnętrznych, bo formalny bunt wpływowych laików przeciw patryarsze dopiero później wybuchł. Sami tylko amerykańscy protestanccy metodyści, osiedleni w Syuth, i kilka innych

[1] Patryarchą jest jeszcze do dziś dnia Amba-Cyryl, „kopista“, jak go powszechnie nazywają. Liczba jednak biskupów i arcybiskupów wzrosła znacznie. Przywrócenie hierarchii katolickiej mocno zaniepokoiło dyssydenckie żywioły, więc nowe wzięły wrażenie, wywarte przez ten fakt, i do... jego zamiejscowienia w... chrześcijańskich Koptów, wbrew wszelkim... Kościoła... koptyjskiego, zwiększono liczbę tytułów arcybi... Nadano tytuł arcybiskupów czterem biskupom z Beni-Souef. Mi-

sekt angielskich odbierali klerowi koptyjskiemu tu i ówdzie po kilka owieczek; nie robiło to jednak na Koptów żadnego prawie wrażenia, jak o tem świadczy odpowiedź ich nieudolnego patryarchy, który przedemną tak się wyraził: „Protestanci, jak słyszałem, złowili kilka moich rybek; ale morze jest szerokie, zostanie ich zawsze jeszcze dość". Jeśli to wywnętrzenie się patryarchy nie grzeszy zbytnim zapałem apostolskim, to jednak nie zbywa mu na malowniczości.

Partya katolicka nie mogła mieć pod tym względem tych samych zapatrywań. Choćby nawet na chwilę zapomniała o tem, że prawdziwa matka nie może się zgodzić na świętokradzki podział, to już sam instynkt samozachowawczy jej nakazał, by ani jednego ze swych dzieci nie pozwoliła sobie wydrzeć z łona; było to dla niej kwestyą bytu lub śmierci.

Ten biedny, maluczki Kościół, tak straszliwie doświadczony podczas piętnastu stuleci prześladowania, doszedł już do tego stopnia zaniku, że liczył zaledwo 5.000 wyznawców, 25 kapłanów i jednego tylko biskupa. Te 5.000 wiernych dzieliło się na dwie grupy: jedna w Kairze, druga w Tahtah, Girgeh i Akhmin o 400 km. na południe od Kaira. Poza temi grupami istniało jeszcze tu i ówdzie kilka odosobnionych rodzin i kilka gmin drugorzędnych w Kolosahah, Hommos, Nayada i Korogos.

Z 25 księży, o których wspomnieliśmy, wielu chyliło się ku starości i do tego czasu prawie wszyscy leżą już w grobie. Kilku tylko pobierało wyższe wykształcenie w kolegium de Propaganda Fide, największa ich część została wybrana na miejscu z pomiędzy wzorowych krajowców chrześcijańskich i wyświęcona po sumarycznem, zupełnie niewystarczającem przygotowaniu. Trzeba jednak przyznać, że z nielicznym klerem szli ręka w rękę OO. Zakonu św. Franciszka, którzy w ośmiu swych rezydencyach zajmowali się troskliwie małą trzódką katolicką i zaznaczyć wypada, że jeśli katolicy nasi są w rzeczach wiary i moralności dostatecznie pouczeni, to zawdzięczyć to trzeba po największej części OO. Franciszkanom, którzy od 200 lat gorliwie pracują w Egipcie.

---

nieh, Syuth i Auesneh; dalej, co również jest faktem nigdy dotychczas niebywałym, utworzono cztery nowe biskupstwa, jedno dla każdego z trzech najznaczniejszych klasztorów egipskich, a mianowicie deir el Moharag, św. Pawła, św. Antoniego, i jedno dla grupy czterech klasztorów w Nitryi i Icete; wreszcie, co również jest innowacyą, dano sędziwemu biskupowi jerozolimskiemu młodego koadjutora.

Biskup, mgr. Aghabios Beniet, piąty z kolei biskup tytularny od czasu ustanowienia tego episkopatu w XVIII. wieku, odznaczał się głęboką erudycyą i gruntowną znajomością języka Koptów; dobra jego wola spotkała się jednak z tyle trudnościami, że wobec nie chcąc nikogo, i żeby niezgodnym umysłom pozostawić czas do uspokojenia się, udał się do Rzymu, gdzie oddawał się gorliwie dalszym studyom nad ulubionym swym przedmiotem: językiem i literaturą Koptów. Administratorem obrządku był więc zwyczajny ksiądz, mgr. Morcos, który przyjąwszy nazwę wizytatora, rządził tym małym Kościołem.

Oto jakiem było położenie katolickich Koptów. Nieliczni, niezgodni, mając kler ubogi i po większej części płytko wykształcony, zamiast myśleć o rozszerzaniu się i podbojach apostolskich, musieli raczej zająć się zapewnieniem sobie samym bytu. W porównaniu ze swymi heretyckimi braćmi, którzy wprawdzie mieli kapłanów ciemnych i upadłych, ale mimo to jeszcze byli bogaci i wpływowi, Kościół katolicki wydawał się słabym i bez znaczenia, a umysły bystrzejsze, nie wierząc w jego przyszłe zwycięstwa i podboje, skazywały go w najbliższej przyszłości na niechybne wymarcie.

Tymczasem era zwycięstw i zdobyczy zbliżała się szybkim krokiem i obecna chwila już do niej należy. Liczba katolików z 5.000 wzrosła do 25.000; księży mamy blizko 50, a wszyscy posiadają gruntowne wykształcenie, niektórzy nawet są prawdziwymi uczonymi. W jakiż cudowny sposób osiągnięto ten rezultat? Najpierw przez łaskę Bożą: Duch św. tchnął swą łaskę w serca tego narodu, uprzedzonego do katolicyzmu, i nie przestaje go nadal oświecać. Następnie, chociaż właściwie nie wypada mi kłaść nacisk na ten punkt, muszę jednak powiedzieć to, co uważam za zupełnie zgodne z prawdą, a mianowicie, że mówiąc po ludzku, trzy rzeczy przyczyniły się przedewszystkiem do rozwoju katolicyzmu: 1) Seminaryum dla Koptów; 2) otwarcie rezydencyi w Minieh, a najbardziej 3) przywrócenie hierarchii katolickiej.

Młodzi seminaryści koptyjscy, którzy wstępowali do seminaryum po roku 1879, uczęszczali najpierw na kurs języka łacińskiego w kolegium Najśw. Rodziny w Kairze, następnie udawali się do Beyrutu, by słuchać przez [illegible] filozofii i teologii, i największa ich część otrzymała tamże dyplom doktorata z filozofii i teologii.

W przerwie, jaka nastąpiła w roku 1887. Ojcowie mieli czując, że chwila nadeszła, by swe wysiłki nie ograniczać do pracy około seminaryum i nie zadowalniać się porozumieniami w wyższym Egipcie, postanowili założyć rezydencyę w Minieh o 250 klm. od Kairu,

Wśród ludności liczącej 24.000 dusz, znajdowało się tam zaledwie 7 czy 8 rodzin katolickich, których potrzeby duchowne załatwiał sędziwy księżyna, odprawiający Mszę dla braku kościoła i kaplicy — w ubogiej izdebce. Skoro tylko przybyli Ojcowie, zaraz powstał kościół, a następnie szkoła dla chłopców, w której uczono około 200 dzieci różnego pochodzenia. Nieco później szkoła dla dziewcząt, pod kierownictwem sióstr, zwanych Maryankami, stowarzyszenia zawiązanego przez naszych Ojców, uzupełniła pracę naszą i imieniu katolickiemu nadała znaczenie, które ciągle wzrasta i wzrastać będzie coraz szybciej. W dalszym ciągu wybudowano kościół koptyjski, a w końcu Minieh stało się rezydencyą biskupa katolickiego. Praca ta jednak czysto lokalnej natury nie wystarczała niestrudzonej działalności Ojców. Nieustanne apostołowanie i głoszenie słowa Bożego z ambony, zakładanie szkół i budowanie kościołów we wszystkich miejscowościach, gdzie tylko objawiały się znaki sympatyi dla katolicyzmu, — wszystko to było przedmiotem ciągłych zabiegów z ich strony. Jedna jedyna cyfra, prawdziwie nie do uwierzenia, jeśli się zważy środki, jakiemi rozporządzała uboga Misya, da nam pojęcie o gorączkowej działalności rozwiniętej w celach apostolskich: w samym wyższym Egipcie znajduje się 26 szkół, utrzymywanych wyłącznie przez naszą Misyę [1].

Ten rozwój szkół prawdziwie z ludzkiego punktu widzenia niepokojący, jeśli się ma na uwadze tak skromny budżet, jakim rozporządzała Misya w Minieh, tłumaczy się koniecznością stawienia czoła protestanckiej propagandzie Balmuzyanów i metodystów amerykańskich w Syuth. Ci ostatni, którzy pracują na niwie wyższego Egiptu od lat 30 z górą i mają do dyspozycyi znaczne fundusze, mieli w czasie naszego przybycia przeszło 100 szkół, a liczba ich wzrasta od tego czasu bez przerwy.

Ale wszystko to było tylko dziełem obronnem, że się tak wyrażę, dla katolików i przygotowaniem terenu do przyszłego apostolstwa.

[1] Misya utrzymuje w tych szkołach 40 nauczycieli i nauczycielek. Szkoły te dzielą się na dwie grupy; do północnej należy 15 szkół i 20 nauczycieli, a mianowicie w Gizgeh znajduje się szkoła dla dziewcząt, w Menschie, Hammas, Akhmin, Sheik-Zen-edin, Nezlek el Kadi, Mukhalafa, Tema, Berba, Com-Gharik, Ghanaime i Abou-tig szkoły dla chłopców, w Tahtah i dwóch innych miejscowościach dla dziewcząt; południowa grupa liczy 11 szkół i 20 nauczycieli, a mianowicie 9 szkół dla chłopców w Maschul, Bajadisz, Abu-Kerkas, Manhari, Beni-Obeid, Mansofis, Nerlet el Gholos, Busz, Minieh i dwie szkoły dla dziewcząt.

Co przedewszystkiem przyczyniło się do licznych nawróceń, których jesteśmy świadkami, to przywrócenie patryarchatu. Przed 4 laty Ojciec św., chcąc zapewnić dzieciom swym koptyjskim opiekę ojcowską, której Koptowie pozbawieni byli od śmierci mgr. Bchat, wybrał z pomiędzy najwybitniejszych alumnów naszego seminaryum mgr. Cyryla Macaire'a, podniósł go do godności biskupiej i poruczył mu zarząd Kościoła koptyjskiego. Mgr. Cyryl Macaire był wówczas młodym, bo zaledwie 28 lat liczącym kapłanem, ale na energii mu nie zbywało. Publikacye jego w kwestyach spornych, jakoteż historya Kościoła Aleksandryjskiego imię jego rozniosły już były daleko.

Pierwszym jego czynem było energiczne zorganizowanie administracyi patryarchatu i wytyczenie granicznej linii oddzielającej dwie odrębne kategorye spraw, któremi zajmować się musiał jak wszyscy biskupi wschodni, tj. sprawy duchowne i doczesne. Dla spraw doczesnych ustanowił dwie Rady: Wielką, w której skład wchodziło 12 najwybitniejszych katolików narodu, i Radę mniejszą z głosem raczej doradczym, która miała swem doświadczeniem wspierać biskupa we wszystkich kwestyach jego osobiście dotyczących. Co się tyczy spraw czysto kościelnych, pozostawały one poza obrębem kompetencyi osób świeckich i przez to usunięto trudności, które na Wschodzie zbyt często paraliżują administracyę biskupią. Następnie utworzył mgr. Macaire 5 dystryktów kościelnych, a na czele ich stawiał gommos'ów czyli igumenów (coś w rodzaju archiprezbiterów), których wybierał z pomiędzy swych dawnych współuczniów beyruckich, posiadających dyplomy doktorów. Dokonawszy tego przedsięwziął wizytę pasterską wzdłuż całego Egiptu, a wizyta ta stała się w rzeczywistości jednym pochodem tryumfalnym i imię katolickie otoczyła wszędzie aureolą czci i uwielbienia.

Rok później Ojciec św. mianował z pośród dawnych alumnów seminaryów w Kairze i Beyrucie dwóch nowych biskupów: mgra Maksyma Sedfani biskupem tytularnym Hermopolis magna, rezydującym w Minieh i mgra Berzi, biskupem tytularnym Teb, rezydującym w Tahtah. Konsekracya tych biskupów zaznacza definitywnie rozpoczynającą się erę podbojów apostolskich. Od tego dnia biskupi, wspierani czynnie przez Ojców i kler krajowy, otrzymywali mnóstwo próśb o przyjęcie na łono Kościoła katolickiego. Całe wsie i rodziny prosiły, by mogły wrócić do łaski Matki-Kościoła. Trzeba było zakładać dla nich szkoły i kościoły i dziwić się trzeba, w jaki sposób, mimo prawdziwie królewskich darów Jego Świątobliwości i Jego Cesarskiej Apostolskiej Mości, protektora Koptów, Ojcowie mogli tyle wystawić kościołów i tyle

szkół otworzyć. Zasoby nasze są już wyczerpane, a tymczasem potrzeby rosną i stan nasz finansowy żleby rokował o przyszłości, gdyby misyonarz (a większość kleru krajowego spełnia rzeczywiście obowiązki misyonarzy) nie miał za zasadę iść ciągle naprzód, nie oglądając się bardzo za ludzką pomocą. — Oto co dotyczy naszego apostolstwa.

Atoli nowy episkopat miał prócz apostolstwa inne jeszcze, równie ważne zadanie. Trzeba było zaprowadzić i utwierdzić karność wewnętrzną, wykorzenić nadużycia, wyjaśnić należycie dogmaty nasze w oczach dyssydentów, uregulować tak ważne sprawy, dotyczące liturgii, i to właśnie było przyczyną zwołania synodu koptyjskiego, który tak dobrze prowadzono i tak szybko ukończono.

Za zezwoleniem papieża Leona XIII., który raczył wyznaczyć na teologa konsultora mgra Sogaro, swego upełnomocnionego przedstawiciela wśród Koptów, otwarto synod dnia 18 stycznia (święto Trzech Króli u Koptów), pod przewodnictwem delegata apostolskiego dla Egiptu, mgra Gaudenzio Bonfiglio. Synod składał się z pięciu prałatów, do których przyłączył się w dniu zamknięcia synodu mgr. Roveggio, biskup Sudanu. Każdy z prałatów miał przy sobie teologa koptyjskiego; prócz tego wziął sobie synod do pomocy 6 teologów łacińskich, członków zakonów, które się zajmują apostolstwem w Egipcie, a mianowicie: 2 Ojców z zakonu św. Franciszka, 2 Jezuitów i 2 Ojców Misyj afrykańskich. Przewodniczący, mgr. Gaudenzio Bonfiglio miał sekretarza w osobie W. O. Ephrem'a, wikaryusza patryarchatu obrządku syryjskiego, byłego alumna z Ghazir. Wikaryusz jeneralny Koptów w Kairze, O. Józef Tucki był promotorem, a O. Boulos-Ajub notaryuszem synodu.

Synod trwał od 18 stycznia do 3 czerwca, dnia zamknięcia synodu i uroczystego oddania całego narodu w opiekę Serca P. Jezusa.

Przedmioty, nad któremi obradowano, odnoszą się do trzech punktów, dla których ustanowiono tyleż komisyj:

1) Komisya dogmatyczna, pod przewodnictwem mgra Macaire'a, w asystencyi jednego teologa Kopta i dwóch teologów łacińskich; 2) komisya dla sakramentów, pod przewodnictwem mgra Sedfani z takąż samą asystencyą; wreszcie 3) komisya dla dyscypliny i rytu, pod przewodnictwem mgra Ignacego Berzi, również w asystencyi trzech teologów, jednego Kopta i dwóch łacinników.

Każda z poszczególnych komisyi odbywała swe posiedzenia kilka razy w tygodniu, obradowała nad przedstawionemi wnioskami, osta-

trzeba jednak uchwały zapadłe [illegible] gdzie wobec całego zgromadzenia rozprawiano i zastanawiano się nad każdą konkluzyą. Wreszcie zwoływano zgromadzenie powszechne, które tylko zatwierdzały powzięte postanowienia. Tyle co do strony formalnej synodu. Co się tyczy powziętych decyzyj, sami tylko członkowie synodu je znają, i o nich mówić nie mogą, dopóki synod nie zostanie zatwierdzony w Rzymie i ogłoszony w Egipcie.

Zaraz po zamknięciu synodu mgr Macaire i O. Boulos-Ajub, notaryusz synodu, zabrali się do długiej i żmudnej pracy przepisania aktów synodu i dwa miesiące później wysłano do Rzymu kopię aktów, zaopatrzoną w podpisy wszystkich biskupów, do przejrzenia i zatwierdzenia. Na razie więc trzeba cierpliwie czekać na ostateczną aprobatę. To jedynie powiedzieć mogę, że delegat apostolski zakomunikował mgrowi Macaire wiadomość, iż Ojciec św. był bardzo zadowolony *del exito felicissimo* synodu.

Oto w kilku słowach odpowiedź na podwójne Wasze pytanie, dotyczące położenia katolickich Koptów i ostatniego ich synodu. Pisałem o tym przedmiocie — proszę być o tem przekonanym — z wielką przyjemnością, bo sprawa Koptów leży mi bardzo na sercu i chciałbym ją głosić *urbi et orbi*, by jej zjednać sympatyę i pomoc całego świata. Ze wszystkich Kościołów wschodnich, Kościół koptyjski, o ile mi się zdaje, jest najskłonniejszym do unii, i jeśli to marzenie się urzeczywistni, łatwo zrozumieć radość i zadowolenie katolika a zwłaszcza misyonarza, który z tej unii wysnuwa tak zachwycające wnioski jak: nawrócenie Abisynii, córki duchownej Kościoła Aleksandryjskiego i ewangelizacyę Sudanu.

Kończąc niech mi wolno będzie rzec także słówko *pro domo sua* i prosić Was i waszych czytelników, by się interesowali i wspierali naszych seminarzystów; od ich liczby bowiem, po łasce Bożej, najwięcej zależą świetne rezultaty naszej pracy, które już zaczynają wyłamać się z przyszłości, o które każdemu gorliwemu katolikowi powinny leżeć na sercu.

O. Ewa. Nowacki T. J.

dyrektor seminaryum dla Koptów.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Fotografowanie dna morza. — Telegraf bez drutu. — Użycie do tego promieni ultrafioletowych.

Głębiny morskie miały zawsze dla człowieka szczególny jakiś urok. Ciekawość nasza z pewnym niepokojem unosiła się nad tą kipiącą powłoką fal morskich, pragnąc dociec, jakie tam wewnątrz życie, jaki świat roślinny i zwierzęcy ożywia te ciche wąwozy i równiny dna morskiego. Na te pytania wyobraźnia odpowiadała po swojemu, snując cały szereg mętnych obrazów, które ubrane potem w szatę opowiadania lub pieśni, krążyły z ust do ust, pobudzając jeszcze bardziej pragnienie poznania rzeczywistej prawdy; rozum, jak ów król w „Nurku“ Schillera, chciał koniecznie wydrzeć tajemnicę morzu. Usiłowania te nie pozostały bez skutku.

Wielki postęp uczyniono naprzód od czasu wynalezienia dzwonu dla nurków, rozmaite ulepszenia przyrządów nurkowych pozwalają człowiekowi coraz głębiej zapuszczać się w morze. Lecz zawsze głębia, do której człowiek sam dostać się zdoła, jest i będzie bardzo ograniczoną z powodu bardzo wielkiego ciśnienia, jakie w wodzie panuje; mniej więcej o każde 10 metrów powiększa się ono o 1 atmosferę, t. j. 1 kig. na centymetr kwadratowy! A chociaż tej niedogodności po części już zaradzono, to przecież im głębiej nurek się zapuszcza, tem dla niego trudniejsza a zarazem niebezpieczniejsza egzystencya.

Zwrócono się więc i w inną stroną, gdzie, jak się zdaje, większa rzeczywiście jest nadzieja, że tajemnice dna morskiego odkryją się przed nami. Mamy tu na myśli fotografię, która już nieraz oddała nauce znakomite usługi, zwłaszcza tam, gdzie oko badacza za słabe, lub wcale dotrzeć nie może. Dość wspomnieć astronomię lub medycynę, np. promienie Röntgena. Już w r. 1893 Francuz Ludwik Boutan rozpoczął w Arago de Banyuls-sur-Mer doświadczenia z fotografią podmorską. Umieszczał on przyrząd fotograficzny w pewnego rodzaju dzwonie nurkowym i zapuszczał go w wodę. Jednak przyrząd ten był jeszcze niedoskonały, wymagał dłuższego czasu ekspozycyi, t. j. około pół godziny, by otrzymać dokładne fotograficzne zdjęcia. Ponieważ zaś, jak się okazało, pod powierzchnią wody panuje ruch ustawiczny, więc naturalnie obrazy, chociaż były bardzo interesujące, nie mogły być czyste i wyraźne. Doszedł też Boutan wkrótce do przekonania, że ażeby z fotografii podmorskiej praktyczne osiągnąć rezultaty, to jest mieć w niej

środek do badania głębin morskich, potrzeba koniecznie postarać się o przyrząd, któryby pozwalał na zdjęcia natychmiastowe, t. zw. aparat błyskawiczny. Taki aparat skonstruował on rzeczywiście przy pomocy mechanika Davida, i zdjęcia robione tym przyrządem, przedstawił przed dwoma tygodniami Akademii francuskiej.

Rezultaty, do jakich doszedł, były rzeczywiście znaczne. Na kliszach można było widzieć całe gromady ryb morskich, odbitych z taką dokładnością, że za pomocą lunety można było porachować łuski na pojedynczych okazach.

Sądzimy, że bliższe szczegóły doświadczeń, odbytych świeżo, bo dopiero we wrześniu zeszłego roku, będą interesujące dla niejednego czytelnika, dlatego je pokrótce podajemy.

Pracę całą odbywano z małego statku. Ponieważ zdjęć miano dokonywać wyłącznie przy świetle słonecznem, dlatego umieszczono na pokładzie cały system zwierciadeł, ażeby światło od nich odbite padało zupełnie prostopadle na powierzchnię wody. Zdawało się to koniecznem, by ile możności jak najsilniej oświecić głębie. Ażeby nadto powstrzymać falowanie wody, wylewano oliwę na powierzchnię wody w miejscu, w którem zapuszczono aparat fotograficzny. Ostatecznie przekonano się, że tak jedna, jak i druga ostrożność, t. j. użycie zwierciadeł i zlewanie powierzchni wody oliwą, była zupełnie zbyteczną. W pogodny dzień wrześniowy, gdy słońce stało wysoko na horyzoncie, oświetlenie pod powierzchnią wody było zupełnie wystarczające, żeby otrzymać wyraźne i czyste zdjęcia. We wszystkich jednak dokonanych dotąd doświadczeniach nie zapuszczano przyrządu fotograficznego niżej pod powierzchnię wody, jak na trzy metry. Zdjęć gromad ryb, o których wspomnieliśmy wyżej, dokonano właśnie w takiej głębokości, a odległość ryb od objektywu wynosiła mniej więcej 4 metry. Pomimo jednak tak grubej, bo czterometrowej warstwy wody, dzielącej przedmiot od objektywu, obrazy na kliszy były tak wyraźne, jak gdyby zdejmowano je w zwykłych warunkach na powierzchni ziemi. Ażeby zwabić ryby przed objektyw, zapuszczano do wody biały ekran, przed którym umieszczano pomęty.

Tyle tylko zakomunikował Bontan o stanie swych doświadczeń. Lecz już z tego widzimy, że uczyniono naprzód krok olbrzymi. W tych próbach używano wyraźnie wyłącznie światła słonecznego, stąd też zapuścić się można było stosunkowo nie bardzo głęboko i według zdania Bontana, przy świetle słonecznem możnaby jeszcze otrzymać zdjęcia fotograficzne w głębokości najwyżej 7 do 8 metrów. Chodzi teraz

o to, by przyrząd zapuścić można jak najgłębiej. Do tego potrzeba jednak dwóch rzeczy. Najpierw skonstruować odpowiednie lampy elektryczne, któreby zanurzone zarówno z kamerą fotograficzną, oświecały silnie wnętrze morza. Nadto i budowa aparatu fotograficznego musiałaby uledz zmianom, musiałaby ona bowiem wytrzymać te olbrzymie ciśnienia, jakie głęboko pod powierzchnią morza panują. Doświadczenia takie połączoneby były z ogromnemi kosztami, dlatego nie wiadomo, jak prędko Boutan lub kto inny do nich się zabierze. W każdym razie myśl rzucona i droga wskazana, a przyszłość może niedaleka odkryje przed nami niezbadane dotychczas tajniki dna morskiego.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć coś znowu o telegrafie bez drutów, który tak bardzo zajmuje nietylko ludzi fachowych, zwłaszcza inżynierów i wojskowych, lecz każdego wykształconego człowieka. Czytelnicy nasi wiedzą zapewne z gazet codziennych, że doświadczenia z telegrafem bez drutów robił znowu Ducretet w Paryżu z końcem października roku ubiegłego. Przyrząd wysyłający umieszczono na trzeciej platformie wieży Eiffel, a odbierający na Panteonie, tj. w odległości 4 kilometrów. Rzecz sama w sobie nie nowa, bo doświadczenia takie robiono we wszystkich prawie krajach, a największą odległość, na którą dotychczas zdołano przesłać depeszę, była osiągnięta w Spezii we Włoszech, wynosiła ona tam 35 kilometrów. Wogóle przekonano się, że na lądzie trudniej jest w ten sposób telegrafować, niż na morzu. Przyczyna jeszcze nie jest znaną, w każdym razie wilgoć powietrza, kurz, zebranie większej ilości ludzi na jednem miejscu, a wreszcie elektryczność powietrza, przeszkadzają bardzo regularnemu rozszerzaniu się fal elektrycznych, czasem nawet uniemożliwiają zupełnie odbieranie znaków. Ducretet w doświadczeniach swoich ostatnich doszedł do bardzo pomyślnych rezultatów. Jakkolwiek bowiem znaki przesyłał wsród gęstej mgły, a więc gdy powietrze nasycone było wilgocią i to w miejscowości tak gęsto zaludnionej, jak Paryż, dochodziły fale elektryczne tak wyraźnie, że mógł za pomocą przyrządu Morse'a spisywać depesze. Zachęcony temi pomyślnemi wynikami Decretet, wystawił na swej pracowni na Claud Bernard maszt, którego szczyt wznosi się 20 metrów ponad sąsiednie domy, by z jego pomocą robić doświadczenia na większą odległość, z miejscowościami poza Paryżem położonemi.

Lecz oto nowy rodzaj telegrafu bez drutów. W ostatnich czasach fizycy dosyć wiele zajmują się wpływem światła fioletowego na elektryczność. Przekonano się między innemi, że fale światła ultra-

fioletowego mają własność wywoływania wyładowania elektryczności. Na tej zasadzie zbudowano telegraf bez drutów w sposób następujący. Na stacyi wysyłającej umieszczono lampę elektryczną łukową, której promienie, jak wiadomo, obfitują w światło ultra-fioletowe. Promienie te, kierowane przez system soczewek i refraktorów z kwarcu — szkło bowiem zwykłe jest dla światła ultra-fioletowego nie przeźroczyste — dochodzi do stacyi odbiorczej. Tutaj umieszczona jest rurka szklana, napełniona rozrzedzonym gazem i przykryta płytką kwarcu, w której znajdują się dwie elektrody, połączone z drugorzędnym zwojem cewki indukcyjnej. Fale ultra-fioletowe padając na jedną elektrodę wywołują wyładowanie elektryczności, przez co w cewce indukcyjnej powstaje iskra; ta wznieca fale elektryczne, które znowu, podobnie jak w zwykłym telegrafie bez drutów, działają na znaną rurkę Branly'ego i w ten sposób dozwalają odbierać znaki. Za mało dotyczas robiono z tym aparatem doświadczeń, by można orzec o jego wartości w praktycznem zastosowaniu, jednak konstrukcya jego ciekawą jest ze względu teoretyczno-naukowego, dlatego też opisaliśmy ją tutaj.

X. H.

PO KRZYŻU NIEBO.

Podajemy na czele tego numeru ostatnią pracę ś. p. ks. Jana Badeniego. Na śmiertelnem łożu skreślił ten obrazek dla ludowej publikacyi: „Kolenda dla sług“

Redakcya.

Pola wiosną pachniały, wiosenne ranne słońce malowało je w kapryśne a cudowne obrazy.

Wązką ścieżką posuwa się krok za krokiem staruszka na kiju wsparta; co chwila staje, odpoczywa, i stare, zmęczone oko wytęża, czy jeszcze do celu codziennej wędrówki daleko.

Każdego ranka od lat dawnych tę wędrówkę odbywa. Ledwie słońce jeden promyczek pokaże, już Małgorzata spieszy jak może przez pole, przez łączkę błotnistą do małego gaiku, gdzie zielenią sosnową zasłonięty, potężny krzyż do góry ramiona wyciąga.

Na ziemię przed krzyżem padła, usta do jego stóp przyłożyła, z ust popłynęły proste a jak ogień gorące modlitwy. O! zna ona ten krzyż i kocha. Wszystko w jej życiu do niego się odnosiło, wszystko od niego płynęło.

Tu ją matka małem dzieckiem przyprowadziła. Tu za nią powtarzała słowa pacierza. Tu zrozumiała, co znaczy Bogu służyć w szczęściu i na krzyżu.

Raz wieczorem — o jak to dobrze pamięta — szła pod krzyż. Na dróżce coś jej pod okiem błysnęło: gruby pugilares ze zło-

tem, ze srebrem. Mogła wziąść, mogła być bogatą. Ale Chrystus z krzyża patrzył. Chrystus na krzyżu za ludzką chciwość cierpiał. Podniosła kuszące złoto i jego właściciela z niemałym trudem odszukała.

Raz znowu nachyliła się ku jej twarzy, ku sercu pokusa i jak odurzająca róża nęciła do siebie barwą, zapachem, ukrytą słodyczą. Przed krzyżem wtedy klęknęła, w ciernie się wpatrzyła, a róże tak przed chwilą piękne, nęcące, w mgle się rozpłynęły.

A wtedy, gdy niemiłosierni ludzie cisnęli jej w twarz gorzkie słowo: Złodziejka, ladacznica! Piołun miała w ustach, noc w sercu. Lecz Jezus na krzyżu straszniejszych obelg się nasłuchał i nie mścił się. A czyż jej wolno było zemstę chować.

Płakała — krzyż łzy osuszał. Śmiała się — krzyż napominał, że bez bólu życia niema. Patrzyła na krzyż i uczyła się modlić, cierpieć, przebaczać. Patrzyła na krzyż, a on jej w dali pokazywał zmartwychwstanie.

A teraz po życiu i cierpieniu, mówi jej: Ciesz się, już cierpienie przeszło, radość zostaje. Po krzyżu niebo.

J. B.

SIGHELE O PSYCHOLOGII SEKT.

[*Scipio Sighele* (w francuskim przekładzie): PSYCHOLOGIE DES SECTES. — Paris 1898].

Wszechwładna dziś, więcej niż kiedykolwiek, królowa-moda wyszła już dawno poza granice właściwej sobie domeny codziennych potrzeb i stosunków, rozpanoszyła się na prawdę w dziedzinie literatury i sztuki, a w ostatnich czasach skierowała swoje aspiracye zdobywcze ku sferze nauki. Wszystko bowiem, co się dzisiaj pojawi w handlu księgarskim z marką socyologiczną, lub pod znakiem jakiegokolwiek kolektywizmu, uważane jest za rzecz jeżeli już nie senzacyjną, to co najmniej ciekawą, a w każdym razie staje się bardzo poczytnem. Możnaby przytoczyć cały szereg pisarzy, którzy na tej drodze zdobyli sobie niezbyt wielkim trudem rozgłos nadzwyczajny, chociaż nie każdy z nich, może nawet nie większość z pomiędzy nich, może sumiennie powiedzieć o sobie, że na prawdę wzbogaciła przybytek wiedzy. O niejednym z takich rozgłośnych i dziś modnych pisarzy powie może kiedyś historya nauki, że nigdy nie zdołał dotrzeć do wnętrza jej przybytku, lecz do końca — pozostał w przedsionku.

Nie roszcząc sobie pretensyi do wydawania sądów kategorycznych, zastrzegamy się, że ostatnia uwaga nie została wypowiedziana z tą intencyą, żeby miała stanowić aluzyę do Sighelego. Czego się jednak nie wypieramy, to tego, że Sighelego zaliczamy do rzędu pisarzy, którzy z wielkim sprytem umieją

na swoją korzyść wyzyskać modny kierunek naukowy. Przed kilku laty autor ten wystąpił z dziełkiem p. t. „Tłum zbrodniczy", które od razu zjednało mu rozgłos w świecie naukowym, chociaż, jak to staraliśmy się wykazać na innem miejscu (w rozprawce „Tłum"), poza obrębem mniej lub więcej oryginalnych i trafnych uwag obserwacyjnych nie zawierało ani syntetycznej konkluzyi, ani nawet praktycznych wskazówek dla kryminologii co do zawsze jeszcze spornej i rozbieranej kwestyi wymiaru odpowiedzialności i kary za przestępstwa zbiorowe. Z tem wszystkiem rozgłos ów nie był zupełnie nieuzasadniony z tego powodu, że Sighele w powyższem dziełku swojem omówił nie nowe wprawdzie, jakby ze sposobu traktowania rzeczy wnosić należało, lecz stare jak świat zjawisko życia społecznego z jego strony aktualnej, a nawet wobec mnożących się raz w raz objawów rozstroju socyalnego bardzo piekącej.

„Tłumowi" zawdzięcza Sighele wielki swój rozgłos pisarski, więc wraca do niego także w swojej najnowszej książce. Chociaż bowiem z tytułu jej wnosićby należało, że chodzi tylko o sekty, to jednak czytelnik zaraz na pierwszych kartach spostrzedz to musi, że nie samej sekcie, lecz także i tłumowi przypadła główna rola. Zarzutu z tego nie robimy, bo już Schopenhauer odcinając się recenzentom, którzy mu zarzucili częste powracanie do tych samych myśli, odciął się bardzo szczęśliwie i trafnie. Powiedział bowiem, że recenzenci jego snać nigdy nie zdołali się wznieść na wyżynę samodzielności i oryginalności w myśleniu, skoro razi ich ten fakt zupełnie naturalny i psychologicznie uzasadniony, iż kto w samodzielnym procesie myślenia z ciężkim trudem wydobył rzecz nową i oryginalną, z konieczności już potem wraca do niej i czasem nawet nad potrzebę nią się niejako bawi i pieści. Można zatem być pobłażliwym dla takiego powtarzania się, dla takich pieszczot autorskich, ale oczywiście z tem zastrzeżeniem, aby ojciec-autor w pieszczotach swoich, jak to się czasem ojcom w pieszczotach z ukochanymi malcami dzieje, nie posunął się aż do — wywracania koziołków. Jeżeli koziołki uważać będziemy w zakresie prac naukowych za synonim paradoksów, to Sighelemu nie stanie się

krzywda, chociażbyśmy nawet ostatnią uwagę wprost do niego skierowali. Wszakże *volenti non fit iniuria*, a autor we wstępie do książki swojej zdradza pod tym względem najspokojniejszą pod słońcem naukową rezygnacyę temi słowy: „Nie wątpię, że książka ta wywoła wiele krytyki i że niektóre opinie w niej wyrażone traktowane będą jako paradoksy".

Możeby jeszcze najlepiej było dla autora, gdyby krytyka tylko w ten sposób z nim się rozprawiła. Na nieszczęście jego rachunek z krytyką nie będzie tak łatwy. Być paradoksistą błyskotliwym i oryginalnym *à la* Nordau, na którego Sighele często się powołuje, to zawsze jeszcze niezła dola autorska, ale dorabiać konkluzye i horoskopy paradoksalne do spostrzeżeń i uwag, już dawno przez innych pisarzy w innej intencyi poczynionych, to już w każdym razie rzecz fatalna, tem fatalniejsza, jeżeli się przytem, jak to Sighele czyni, o tych pisarzach nie wspomina tam, gdzie to dla uszanowania własności pomysłu koniecznie uczynić wypadało, lecz tam, gdzie to zakrawa na proste popisywanie się cytatami, jeżeli się dalej mimo to wszystko, jakby dla zamylenia pogoni, narzeka, że ten lub ów autor francuski nie zacytował samego narzekającego cytatora!

Zaraz na pierwszym rozdziale książki Sighelego objaśnimy powyższą uwagę. Rozdział ten traktuje o „przestępcach nowoczesnych *(les criminels modernes)* i o dwóch formach przestępności sekciarskiej". Jeżeliby czytelnik żachnął się na recenzenta za to, że wspomina o sekcie w przymiotnikowej formie nie podawszy przedtem kryteryów definicyjnych samej sekty według teoryi Sighelego, to byłby niesprawiedliwy. W takim bowiem porządku rzecz rozwija się właśnie w książce Sighelego. Najpierw idzie przestępność sekciarska a potem dopiero określenie istoty sekty.

Przestępcami nowoczesnymi *(modernes)* nazywa Sighele tych wszystkich oszustów, szalbierzy, krótko mówiąc *Industrieritter*'ów dzisiejszych wszelkiego autoramentu, więc giełdowych, ringowych, kartelowych, politycznych, gazeciarskich i t. d., którzy do celu zdrożnego zdążają przebiegłością i podstępem, a nie gwałtem i brutalizmem, cechującym drugi przeciwległy, atawi-

styczny, typ przestępstwa. Pierwszy typ ogarnia klasy wyższe, posiadające i rządzące, drugi warstwy niższe, robotnicze i rządzone. Między temi dwoma typami przestępności zbiorowej, dwa główne zbiorowiska ludzkie przenikającej, znajduje się jakby między młotem i kowadłem, na zmiażdżenie skazane, główne dzieło cywilizacyi, obecny porządek społeczny. Wyraźnie bowiem mówi Sighele, że wypadkową tych tajemniczych przyczyn i sił społecznych, które wydały takie znamienne zjawiska, takie typy przestępności, będzie koniec rządów burżoazyi *(la fin du regime bourgeois)*, więc ów wielki kataklizm społeczny, do którego wzdychają wszyscy anarchiści. Że pierwszą ofiarą tego kataklizmu musiałoby — według przepowiedni Sighelego — stać się główne prawidło teoryi rozwojowej, to rzecz jasna. Musiałby bowiem w takim razie typ atawistyczny przestępstwa zbiorowego uzyskać przewagę nad typem nowoczesnym, a więc typ pierwotny nad wydoskonalonym, czy wyrafinowanym, w długim procesie rozwojowym.

Dawno przed Sighelem zajmował się Tarde ewolucyjną metamorfozą formy przestępstwa i streścił ją w tych kilku słowach, że z rozwojem cywilizacyi znikł dawny dziki, rozbójniczy brygantyzm, który obdzierał podróżnych po drogach odludnych pod hasłem: życie lub mienie, a rozwinął się natomiast nowy brygantyzm miejski, spokojny i łagodny, nawet przyzwoity w formach, który na giełdach i w innych ogniskach nowoczesnego życia obrotowego pod bokiem organów prawa obdziera swoje ofiary równie bezwzględnie jak dawny brutalny brygantyzm, ale w sposób niebezpieczniejszy z tego powodu, iż wypada na zdobycz ze swojej kryjówki w jasny dzień z nienacka, doskonale zamaskowany i uposażony wielkim sprytem w omijaniu wszelkich barjer prawno-karnych. W obu dziełach, w których sprawa ta jest rozbierana *(La philosophie pénale* i *La criminalité comparée)* Tarde podnosi tę znamienną metamorfozę przestępstwa nie jako podstawę do stawiania horoskopów, jak Sighele, lecz jako jeden ze szczegółów w omówieniu tego głównego zagadnienia, czy w rozwoju cywilizacyjnym zło popada w stopniowe zanikanie. Odpowiedź Tarde'a na to pytanie nie wypada tak

fatalnie, jak w przepowiedni Sighelego, chociaż i ten filozof jest także pesymistycznie nastrojony. Zło z rozwojem cywilizacyi, według Tarde'a, zmienia tylko postać swoją, jak Proteusz, ale nie znika wcale. Odnosi się to przynajmniej do bieżącej fazy życia cywilizacyjnego, w której, jak to autor ten podnosi ze swojego pozytywistycznego stanowiska zgodnie z wybitnym idealistą w poglądach kryminologicznych, Proalem, nieokiełznana chęć używania zapanowała wszechwładnie, ogarnęła wszystkie warstwy społeczne i nie spotyka się w rozpędzie swoim z tak silną zaporą, jaką dawniej stanowiła moralność rygorystycznie pojmowana. Obaj pomienieni filozofowie nie wróżą tedy zagłady ani ludzkości ani jej cywilizacyjnemu rozwojowi, lecz tylko nawołują do wzmocnienia zwątlonych karbów moralności, więc z tych samych przesłanek, na której Sighele oparł fatalną przepowiednię swoją, wysnuwają wniosek trafny i zdrowy. A warunki, wśród których wszyscy trzej pisarze prowadzili obserwacye swoje, są przecież jednakowe. Francuskie społeczeństwo bowiem ze swoją Panamą i z tem wszystkiem, co później nastąpiło, przedstawia taki sam smutny obraz upadku moralnego jak włoskie społeczeństwo z całym tym stekiem zjawisk korupcyi, które objąć można jedną generalną nazwą: Crispiada!

Następuje rozdział z wiele mówiącym i jeszcze więcej obiecującym tytułem: „Ewolucya grup społecznych od tłumu do sekty, do kasty, do klasy, do państwa". Tylko dwadzieścia stronic przeznaczył autor na opracowanie tego tematu a czytelnik posiadający jakie takie wykształcenie socyologiczne nietylko nie dowie się nic nowego, lecz owszem uczuje żal do autora z tego powodu, że zakwestyonowawszy systematyczny podział tych grup według pomysłu Le Bona, sam innego nie podał, lecz wykręciwszy się z próby podjętej w tej mierze — sianem fejletonowego poglądu, pozostawił próżnię właśnie tam, gdzie stanąć była powinna silna podstawa systematyczna dla późniejszych rozdziałów. Kto jednak zadowolni się paradoksami, ten i tutaj nawet nie będzie z Sighelego niezadowolony. Znajdzie bowiem kategoryczne, chociaż oczywiście paradoksalne, rozwiązanie wielkiej kwestyi, nad którą po wszystkie czasy łamali sobie głowy i ła-

mać będą dalej wszyscy filozofowie, kwestyi genezy państwa. O rodzinie, tej głównej komórce organizmu państwowo-społecznego, o gminie i t. d. niema wzmianki w tem rozwiązaniu. Na co się zdały wszystkie te dociekania, skoro wszystko rozjaśnić i wyjaśnić może jednem słowem: tłum! „Dzisiaj — mówi Sighele — tłum i państwo muszą się wydawać dwoma rdzennie odmiennemi agregatami i tak też jest istotnie. Jednakże państwo przy bliższej obserwacyi nie jest niczem innem, jak tylko cudownem rozwinięciem tłumu. Państwo nowoczesne jest istotnie tłumem pierwotnym i dzikim, przekształconym w ciągu wieków całych historycznego rozwoju na społeczeństwo tj. w agregat ludzi połączonych z celem wieczystym, świadomym i ogólnym, kiedy tymczasem tłum ma przed sobą tylko cel efemeryczny, nieświadomy i częściowy. Państwo jest zjednoczeniem indywiduów, dla którego najwyższem i koniecznem prawem jest podział pracy i organizacya, kiedy tymczasem tłum jest tworem nieorganicznym, w którym nikt nie stanowi części zdeterminowanej". Chyba autor ma na myśli hordę pierwotną, jako pierwsze stadyum organizacyi państwowej? Wolno profanowi w potocznej mowie traktować oba te pojęcia jako synonimy, ale autorowi uczonemu, roszczącemu sobie prawo do pierwszorzędnego stanowiska w socyologii, taka *licentia profana* nie powinna ujść płazem. Zresztą Sighele w najświeższej swojej pracy powołuje się ciągle na dawniejszą o tłumie zbrodniczym, a tam tłum jest przecież przedstawiony jako takie zbiorowisko ludzi, które nie tworzy, lecz rozsadza i burzy, które więc jak dzisiaj, tak samo i w pierwotnem państwie, w pierwotnej hordzie, mogło odgrywać równą rolę.

Tylko w tak nieścisłem, zmieniającem się znaczeniu można było użyć tłumu, jak to Sighele istotnie czyni, za punkt wyjścia tak w określeniu istoty państwa jak i sekty. Stanowi ona według tego autora, „pierwszy typ tłumów jednorodnych *(homogènes)*. W skład jej wchodzą jeszcze indywidua, różniące się między sobą urodzeniem, wykształceniem, zawodem i środowiskiem, ale połączone, i powiedziałbym, jakby scementowane ze sobą za pomocą węzła nadzwyczajnie silnego: wiary, ideału

wspólnego. Wiara, w zakresie religii, umiejętności lub polityki, wytwarza nagle wspólność uczuć, nadającą uczestnikom wielką jednolitość i potęgę. Wiemy, czem się stały barbarzyńskie ludy za wpływem chrześcijaństwa i Arabowie zorganizowani przez Mahometa w sektę. Można sobie wyobrazić, czem staną się niezadługo dzisiejsi socyaliści dzięki ich organizacyi w sektę. Sekta jest tłumem dobranym i stałym, a tłum jest sektą przejściową, która członków swoich nie dobierała. Sekta stanowi chroniczną formę tłumu, a tłum zapalną formę sekty. Tłum jest niejako zbiorowiskiem mnóstwa ziarnek piasku bez łączności, sekta zaś stanowi niejako bryłę marmuru z odporną na zamachy siłą. Jeżeli jakie uczucie lub jaka idea, posiadająca w sobie racyę bytu, wciśnie się do tłumu, zaraz przechodzi w stan krystalizacyi i tworzy sektę. Sekta stanowi zatem pierwszą krystalizacyę każdej doktryny. Każda idea ze stanu niejasności i niekształtności, w jakim objawia się tłumowi, musi nabrać precyzyi w ściśle określonej formie sekty, jeżeli ma później stać się treścią stronnictwa, szkoły lub Kościoła w znaczeniu naukowem, religijnem lub politycznem!

Po sekcie w klasyfikacyi Sighelego idzie kasta, jako związek ludzi, którzy nawet w razie różnicy w ideach i aspiracyach połączeni są w całości węzłem wspólności zawodowej; wreszcie klasa, jako związek oparty na wspólności interesów. Po tych dwóch krokach w pochodzie za drogoskazem Sighelego znajdujemy się znowu — w obliczu tłumu. Klasa bowiem, według tego autora, „mniej ściśle w granicach swoich zamknięta, więcej rozluźniona i mniej zbita w całość, aniżeli kasta i sekta, przedstawia dziś prawdziwy tłum w stanie dynamicznym, który każdej chwili może wyruszyć na widownię i stać się tłumem w stanie statycznym... Burżoazya i klasa robotnicza są dziś dwoma wielkiemi tłumami jeszcze rozproszonemi, niejako *in potentia*, lecz w ich łonie rozwija się siła, która je wkrótce zjednoczy i będzie mogła popchnąć jeden tłum przeciw drugiemu, jako dwóch nieprzejednanych przeciwników, żywiących długi czas nienawiść niewygasłą ku sobie".

Nawet po wspięciu się na najwyższy szczebel zbiorowej

organizacyi, jakim jest państwo, nie tracimy, dzięki Sighelemu, tłumu z naszych oczu. Ponad państwem bowiem „stoją już tylko tłumy zdeterminowane rasą, mogące obejmować kilka państw. Są to tak samo, jak państwa i klasy, agregaty ludzkie, które każdej chwili zmienić się mogą w tłumy gwałtowne" pod nazwą armii, popełniających zbrodnię zbiorową w najwyższej formie tj. prowadzących wojny.

Do przedstawienia psychologii wszystkich takich agregatów ludzkich z osobna przywiązuje Sighele wielkie znaczenie naukowe. W ten tylko sposób bowiem, zdaniem jego, wypełnią się wszystkie luki między psychologią indywidualną a socyologią.

Jeżeli tak jest istotnie, to w każdym razie powyższy cel naukowy osiągnięty zostanie tylko wtedy, jeżeli się wszystkie te związki społeczne czy agregaty ludzkie weźmie pod obserwacyę psychologiczną w takim stanie i w takim ustroju, jaki wysnuwa się z poglądu historycznego i aktualnego. A właśnie temu warunkowi nie odpowiada powyższe uszykowanie tych agregatów z tłumem, jako fantastycznym zawiązkiem a zarazem kresem, więc kolebką a zarazem grobem organizacyi państwowej i z sektą, jako normalnem zjawiskiem i niemal koniecznym stopniem przejściowym z jednej organizacyi związkowej w drugą.

Bez sekty w powyższem określeniu Sighelego nie dałby się pomyśleć proces dziejowy, z którego wyłoniła się najdoskonalsza forma społecznej organizacyi, państwo: nie dałby się pomyśleć także i dalszy proces rozwojowy społeczeństwa już po wzniesieniu się na dzisiejszą wyżynę. Sam Sighele porzuca ten wniosek zaraz w następnym rozdziale, bo wspomina tam mimochodem o ważnym szczególe, który nie powinien był wypaść z pierwszej zaraz niejako zasadniczej charakterystyki sekty, t. j. o tym szczególe, że sekta stoi poza sferą grup legalnych. I nie może być inaczej, bo w przeciwnym razie sekta byłaby chyba synonimem klubu lub stronnictwa z uprawnioną sferą działania. Dziś, w okresie ohydnych zbrodni sekty tak typowej, jaką stanowią anarchiści, szczegół powyższy niejako narzuca się każdemu obserwatorowi socyologicznemu, a jeżeli tak jest istotnie, to żaden taki obserwator nie pojmie, jak podobny,

z natury swojej destrukcyjny czynnik, mógł się w dziele socyologicznem głośnego bądź co bądź autora znaleźć w jednym szeregu z legalnemi grupami społecznemi i w takiej roli, jak gdyby w dziejowej formacyi tych grup miał stałą i normalną misyę twórczą. Wolno każdemu stworzyć sobie fantastyczny obraz tych grup w ich kolejnem powstawaniu i wzajemnym stosunku, ale w takim razie trzeba to z góry zaznaczyć, aby czytelnik wiedział, że ma przed sobą fantazyę, a nie pouczające, pozytywne studyum socyologiczne.

Ze stanowiska historycznego i aktualnego podnieść należy jeszcze jeden szczegół w charakterystyce sekty, na który Sighele także należycie nacisku nie położył. Sektę cechuje już nie jednostronność, lecz wprost wyłączność w traktowaniu wytkniętego sobie celu, czy propagowanej przez siebie idei, wyłączność posuwająca się do zaślepienia, w danym razie do fanatyzmu. Jest to rys charakterystyczny, który w przymiotnikowej formie nadaje się wybornie do tego, aby jednem słowem scharakteryzować pewne stronnictwa współczesne. Weźmy np. hakatystów pruskich. Jest to stronnictwo legalnie niestety istniejące, ale sekciarskie *par excellence*, bo w antypolskiej dążności swojej tak sfanatyzowane i zaślepione, że się nie ogląda nawet na plamę, jaką zostawi po sobie w historyi Niemiec pod względem cywilizacyjnym. A u nas czyż niema frakcyj i frakcyjek radykalnych, zorganizowanych i działających po sekciarsku, bo tak zaślepionych jednym partyjnym celem lub interesem, że nie można trafić do ich przekonania nawet refleksyą pod hasłem najżywotniejszych ogólnych interesów społecznych i narodowych.

Ale takie uzupełnianie charakterystyki sekty nie doprowadzi do żadnego rezultatu, gdyż Sighelemu widocznie nie zależało na umiejętnem wyczerpaniu materyału, lecz tylko na zyskaniu punktu oparcia dla swoich paradoksalnych pomysłów o moralności, z któremi później bodaj pobieżnie zapoznać się nam wypadnie. Sekty, niewytykające sobie taktyki wojowniczej, oparte jedynie na wysokiej sile moralnej swojej kierowniczej idei i polegające na tej sile tak, że gotowe nawet znosić ucisk bez uciekania się do gwałtownych środków odporu, wcale nie

obchodzą Sighelego. Widocznie przy kreśleniu swojego obrazu psychologicznego wpatrywał się głównie w takie modele, jak karbonaryusze włoscy, Jakobini francuscy i dzisiejsi anarchiści kosmopolityczni. To też nacisk kładzie na siłę suggestywną szefa czy kierownika sekty, który nie pochodzi z wyboru, jak szef jakiego stronnictwa, lecz z samorzutnej instalacyi (*génération spontanée*) i z tego właśnie powodu posiada powagę nierównie większą, niż kierownicy wybierani. Dalej pada nacisk na podtrzymywaną suggestywnym urokiem kierownika jednomyślność sekty, wśród której wszelka dyskusya jest wykluczona, a ślepe posłuszeństwo stanowi warunek powodzenia. Tacy kierownicy powinni być więcej ludźmi czynu, nie myśli, muszą być wyposażeni więcej w energię woli, aniżeli w inteligencyę, która zazwyczaj wiedzie do tolerancyi, wątpliwości i nieczynności, a więc do następstw zabójczych dla sekty. Między taką sektą a partyą zachodzi, według Sighelego, taki stosunek, jak między dwiema fazami jednej idei lub jednego uczucia. Więc od sekty do stronnictwa jest tylko krok jeden, który wiedzie przez baryerę tajności. Skoro sekta uzyska możność jawnego działania, staje się stronnictwem. Z dalszych, równie niemiłych jak poprzednie, wywodów wypływałoby, że Sighele uważa właściwie mniejszość wogóle, a zwłaszcza w zakresie polityki, za typ sekty, jaki sobie ostatecznie dla swoich pomysłów socyologicznych wytworzyć zamierzał. Wniosek ten wysnuć się daje z następującego, końcowego ustępu książki: „Klasy wyższe w walce używać będą środków coraz więcej cywilizowanych, klasy niższe zaś broni, która przypomina jeszcze okres barbarzyństwa. Jedni będą mieli tę korzyść, że mogą uważać za legalne swoje czyny, chociaż one byłyby prawdziwemi przestępstwami sekciarskiemi, drudzy pozostawią po sobie tę sławę, że przestępstwa ich będą kiedyś nazywane aktami heroizmu. Oba obozy są zarówno potrzebne, tak samo gwałtowność niższych klas dla umożliwienia postępu, jak potęga wyższych dla nałożenia hamulca postępowi, który inaczej zbytby się rozpędził. Lecz najgodniejszymi pobłażliwości będą zawsze przestępcy sekciarscy z klas niższych, gdyż

żywią w sobie pragnienie sprowadzenia lepszego stanu i wielki altruizm, skłaniający ich do poświęcenia się dla potomności".

Ustęp ten stanowi niejako finał poprzedniego rozgrzeszenia, które Sighele w imieniu socyologii daje sektom za przestępstwa, dla osiągnięcia swego celu popełnione. Każda sekta bowiem — oczywiście sekta takiego typu, jaki sobie Sighele ze względu na dzisiejszą walkę klas wybrał — „już w chwili powstania z konieczności mniej lub więcej uciec się musi do środków używanych przez Jakobinów, co znaczy, że wszystkie sekty w działaniu postępować muszą drogą gwałtu, niemoralności i przestępstwa. Dla mniejszości legalność stanowi drogę nadto długą, albo nawet drogę, po której zamiast zbliżać się do celu, oddalałaby się coraz więcej od niego". Zdanie to płynie autorowi z głębi przekonania, gdyż uznaje on formalną misyę społeczną przestępstwa temi słowy: „W naturze istnieje dziwne i tajemnicze prawo kompenzacyi, według którego ze zła często rodzi się dobro, według którego zło często staje się koniecznem, aby powstało dobro. Według teoryi darwinistycznej tylko takie instytucye i organa utrzymują się przy życiu, które w jakiejkolwiek mierze są użyteczne. Jeżeli przestają być użytecznemi, skazane są przez selekcyę na atrofię i zagładę. Owóż przestępstwo ciągle się rozwija, jeżeli nie wzrasta na intenzywności, i otrzymuje nowe formy w miarę postępu cywilizacyi. Trzeba zatem uznać, że nawet i przestępstwo może stworzyć coś pożytecznego... Można to powiedzieć także o przestępstwie sekciarskiem, które chociaż zmniejsza bezpieczeństwo publiczne środowiska, w jakiem się dokonało, zawsze przecież zniewala niewątpliwie klasy posiadające i rządzące do zastanawiania się nad wielu problematami politycznemi i społecznemi, które w innym razie byłyby długo zaniedbywane lub nawet zapomniane".

To dopiero paradoks! Z taką samą racyą możnaby powiedzieć, że dobrze jest, żeby czasem ludzie w bójce zęby wybijali, bo inaczej dentyści zapomnieliby wstawiać zęby sztuczne! Kto w takie paradoksy nie chce wierzyć, ten jest albo naiwny albo — Jezuitą! Trzeba to bowiem tutaj podnieść, że pod jednym względem Sighele jest stały w swojem przekonaniu, jasny i na-

wet logiczny. Przymiotnik „jezuicki" stanowi w jego książce synonim wszystkiego, co najgorsze. Zastępuje on nawet czasem całe rozumowanie, bo kiedy autorowi temu stanie w drodze taki kontrargument, którego milczeniem pominąć niepodobna, a z którym rozprawić się trudno, ma zaraz gotową na to odpowiedź: o tem mówić nie warto, bo to wymysł jezuicki!

Gdyby to przynajmniej kończyło się na takiem rozgrzeszeniu sekt! Sighele idzie jednak w swoim nihilizmie moralnym o wiele dalej. Najpierw bowiem uważa moralność za akcesoryum zawodu lub sytuacyi, w jakiej się człowiek znajduje, więc pozwala każdemu posiadać w rezerwie tyle maksym moralności (czytaj: niemoralności), ile ich w danym razie potrzebuje, a powtóre głosi apodyktycznie, że moralność w związkach społecznych z konieczności musi być wątlejszą, ani w sferze indywidualnej, że zatem szczególnie w polityce o moralności takiej, jaką etyka indywidualna przepisuje, ani mowy niema i nawet być nie powinno.

O rozdźwięku między etyką a polityką, jako jednem z największych nieszczęść dziejowych dla ludzkości, napisał przed dwoma laty piękną książkę (*La criminalité politique*) ten sam L. Proal, na którego Sighele w książce swojej kilkakrotnie się powołuje, ale o którym nie wspomina właśnie w ustępie, moralności politycznej poświęconym, więc tam, gdzie wypadło stoczyć walkę polemiczną, walkę z pewnością bezuadziejną.

Z tych wszystkich paradoksów i naukowych herezyj, któremi przepełnione są rozdziały o wielorakiej moralności, przedstawiającej szereg linij równoległych, które wiecznie obok siebie biegną, ale nigdy ze sobą się nie schodzą, i o rzekomo koniecznym rozdźwięku między moralnością indywidualną a polityczną, sprawy zdawać nie myślimy, bo powstałoby stąd pełne pikanteryi paradoksalnej, ale za to tem niestrawniejsze — *salami* naukowe. Zawsze jednak dla scharakteryzowania poglądów tej włoskiej szkoły socyologicznej, której wybitnym reprezentantem jest Scipio Sighele, pozwolimy sobie przytoczyć wiązankę zdań, nie wyrwanych z całości, spojonej ściśle węzłami logicznego rozumowania, lecz rzucanych przez autora w toku

jego fejletonowych wywodów, w formie aforyzmów, jakby bomby oddzielne. Oto próbka takich bomb czy paradoksów naukowych: „Historya wykazuje, że wiele czynów, uważanych niegdyś za przestępstwa, uchodzi dziś za zupełnie dozwolone, i na odwrót, a nikt nie odważy się zaprzeczyć tego, że aktualnie istnieją różnorodne moralności, stosownie do stopnia długości i szerokości, że zatem w konsekwencyi jest moralność przeszłości i teraźniejszości, jest moralność biegunowa i ekwatoryalna... Z wyjątkiem ignorantów, ludzi naiwnych i Jezuitów, niema zapewne nikogo, ktoby bronił jednolitości pod tym względem. Jest i musi być wiele moralności w jednem i tem samem indywiduum, a człowiek słucha jednej lub drugiej moralności, stosownie do tego, czy przemawia i działa jako obywatel, jako deputowany, jako członek pewnej klasy, pewnego narodu, pewnego stronnictwa politycznego lub naukowego... Jest rzeczywiście moralność prywatna, ścisła, absolutna i niezłomna, ale jest także wiele moralności społecznych, zawsze wątlejszych i lżejszych w miarę, jak się rozszerza związek społeczny, do którego się stosuje. Oto przykład: Moralność prywatna zabrania kradzieży, a przykazanie jej jest kategoryczne i nie zawiera wyjątków. Moralność rodzinna występuje jednak z interwencyą, a kodeks ją sankcyonuje, stanowiąc, że dziecko nie ma być karane za to, że okradło swojego ojca. Czyn ten stanowić będzie grzech, ale nie jest przestępstwem w oczach prawa".

Tutaj przerwać musimy cytowania, bo ostatnie twierdzenie wybornie się nadaje do stwierdzenia paradoksalności autora. Skoro biorąc za podstawę powyższą klasyfikacyę ludzi, nieuznających dogmatu wielorakiej moralności, niepodobna Sighelego nazwać Jezuitą, więc pozostanie mu do wyboru chyba jeden z dwóch dalszych epitetów: ignorancya albo naiwność! Pierwszy epitet może najlepiej odpowiada stanowi rzeczy, bo istotnie trzeba być w prawie karnem ignorantem, żeby utrzymywać, że prawo to, przekazując samo karcenie kradzieży w powyższym wypadku władzy rodzicielskiej, tem samem cofa zasadniczą kwalifikacyę czynu, neguje swoją definicyę kradzieży dla pewnej kategoryi wypadków i ludzi. Trzeba dalej być ignorantem w prawie kar-

nem, żeby nie wiedzieć tego, że ono nie jest podręcznikiem moralności, lecz stanowi tylko *minimum* moralności, wyjęte z jej całości i obwarowane silniej wałem sankcyi karnej dlatego, że tak każe postąpić dobro publiczne w danych warunkach. Jeżeli np. prawo karne raz okłada sankcyą swoją lichwę, potem ją znosi, a po niejakim czasie znowu zaprowadza, jak się to właśnie w naszych czasach stało, to nie wypływa stąd, żeby lichwa uważana była przez prawo raz za czyn zdrożny, a drugi raz za moralny lub przynajmniej obojętny ze stanowiska moralności. Zdrożna moralnie lichwa była, jest i będzie, zawsze i wszędzie, ale stosunki rozstrzygają, czy w danej sytuacyi, w danym stanie społecznej moralności, lichwa znajduje dostateczną represyę już w samej karzącej sile opinii moralnej lub potrzebną jest drastyczniejsza represya paragrafowa.

A teraz uzupełnijmy powyższą wiązankę jeszcze kilku cytatami: „Skoro formy moralności są rozmaite stosownie do środowiska, w którem człowiek działa, skoro każda z tych form stanowi konieczną konsekwencyę zachowawczego instynktu organizmu społecznego (*nota bene* autor wysuwa ten instynkt jako kryteryum swojej wielorakiej moralności), to można pojąć, że to samo indywiduum może być prawem ze stanowiska życia prywatnego, a niegodziwem ze stanowiska życia politycznego, i że ta niegodziwość polityczna wypływa z wymagań stronnictwa, które inaczej byłoby w swoim bycie zagrożone. Zresztą to, co nazywamy niegodziwością polityczną, zasługuje na tę nazwę tylko wtedy, gdy je przeciwstawiamy prawości prywatnej. Sam w sobie czyn taki jest tylko aktem fatalnie koniecznym dla rozwoju danej grupy politycznej, a zatem jak wszystko, co jest konieczne, nie może być niemoralnem z pewnego punktu widzenia. Czy takie twierdzenie wydaje się bardzo paradoksalnem? Posłuchajcie dalszej argumentacyi, a paradoks zniknie". Argumentacya ta tak opiewa, że skoro w wojnie wolno pod osłoną patryotyzmu ludzi zabijać, to dlaczegoż nie miałoby to uchodzić pod osłoną interesów sekciarskich. „W gruncie rzeczy między zabójstwami nakazanemi i aprobowanemi przez patryotyzm, a takiemiż czynami, wypływającemi z ducha sekty, zachodzi

tylko różnica co do stopnia. Z natury swojej oba rodzaje czynów są identyczne. Jeżeli dla moralności patryotycznej Pietro Micca jest bohaterem, czyż nie jest słusznem, żeby moralność sekciarska ze swojego stanowiska uważała Henry'ego lub Vaillanta za bohaterów?... Można deklamować, jak się komu podoba, ale to jest prawdą, że tak samo na świetnem stanowisku ministra lub gubernatora, jak w tajemniczej roli spiskowca lub sekciarza, nie można działać ani myśleć z zupełną i ścisłą świadomością moralną prywatnego człowieka. We wszystkich sprawach, jak mówi Settembrini, potrzebną jest pewna doza kłamstwa, które, jak sól, dodaje smaku w małej, a goryczy w wielkiej ilości. W sprawach politycznych potrzebne jest kłamstwo i niemoralność, a tylko naiwni ludzie lub Jezuici mogą temu przeczyć... W środowisku politycznem powinna być stosowana zasada: cel uświęca środki. Zbawienie ojczyzny np. jest celem, który zupełnie usprawiedliwić może jakiekolwiek przestępstwo jako środek użyte. Ale trzeba dodać zastrzeżenie do tej maksymy, która tchnie jezuityzmem i machiawelizmem. Trzeba ją tak wyrazić, że cel usprawiedliwia środki konieczne do jego osiągnięcia... Mimo naszej cywilizacyi jesteśmy jeszcze w stadyum moralnem dzikich szczepów, które pochwalają i wynagradzają kradzież na wielką skalę, a gardzą nią i karzą za nią, jeżeli ogranicza się do rzeczy drobiazgowych (Sighele wysnuwa tutaj widocznie konsekwencye z całej Crispiady włoskiej)... Pewien filozof, naśladując frazes Rabelaisa, jakoby wiedza bez sumienia była zagładą ducha, powiedział, że polityka bez moralności jest zagładą społeczeństwa. Jest to aksyomat niebezpieczny, gdyż przyjmując go, trzebaby zarazem uznać, że społeczeństwo od chwili powstania pracowało tylko nad swoją zagładą. W polityce bowiem nigdy nie było moralności".

Filozofem, z którym Sighele w ostatniem zdaniu się rozprawia, jest właśnie ów Proal, na którego dzieło o moralności politycznej zwróciliśmy już powyżej uwagę czytelnika. Znane jest ono zresztą nadto z osobnego artykułu, drukowanego przed dwoma laty w tem piśmie p. t. „Demon polityczny". Ten sam pisarz w innem dziele *(Le crime et la peine)* rozbierając powody

szerzącej się w społeczeństwie francuskiem deprawacyi moralnej, przytoczył między innemi także propagandę paradoksów przez szkodliwych pisarzy. Paradoks nęci niezdrową ciekawość i przyjmuje się w chwiejnych umysłach kosztem starych i wypróbowanych w życiu prawd moralnych. Kolekcyą takich paradoksów jest właśnie książka Sighelego.

O paradoksie można to samo powiedzieć, co Tarde mówi o szowinizmie. Jak szowinizm jest symptomem płytkiego patryotyzmu, który brak treści zastępuje hałaśliwością, tak paradoks jest oznaką powierzchowności naukowej, która ukryć się chce pod błyskotliwem światłem frazesów. W tym wypadku wysilanie się na paradoksy możnaby nawet uważać także za maskowanie bankructwa naukowego. Sighele bowiem, uczeń i wielbiciel Lombrozyanizmu, reprezentuje w socyologii najskrajniejszy kierunek, który najgorętsi adepci Lombrosa propagowali najpierw w zakresie prawa karnego. W jednym i drugim zakresie człowiek miał być zupełnie odarty ze swojego majestatu duchowego i moralnego. Dzięki wzrastającej zdrowej reakcyi naukowej dźwiga się on dziś jednak coraz śmielej mimo wszelkich pocisków paradoksalnych w powyższym rodzaju, które obliczone są chyba tylko na teroryzowanie chwiejnych i wątpiących.

Książka Sighelego kończy się rozdziałem, stanowiącym niejako osobny traktat, skierowany przeciw parlamentaryzmowi. W ojczyźnie Crispiego stracić musiał parlamentaryzm dawny swój kredyt więcej, niż w innych krajach. Fakt ten chciałby Sighele wyzyskać na rzecz swojej tezy, według której człowiek w każdem zbiorowisku, nawet w każdem kolegium, staje się pod względem intelektualnym i moralnym niższym, aniżeli jest jako indywiduum. Z tego punktu widzenia niema środka na uleczenie parlamentaryzmu. Można go tylko podźwignąć cokolwiek w sposób niejako mechaniczny przez redukcyę liczby członków np. na 100. Na tej recepcie kończy się cały rozum stanu Sighelego. Jak środek podobny mógłby się przyjąć wbrew przemagającemu prądowi, który zmierza stale ku pomnażaniu liczby wyborców i liczby mandatów, o to się już Sighele wcale nie troszczy. Czytelnik, który do traktatu tego dogrzebał się z tru-

dem po całym szeregu rozdziałów rozwijających dogmat o wielorakiej moralności i wynoszących sekty, jako ważne ogniwa w konsolidacyi związków społecznych a nadto jako zawiązki przyszłych większości, oczekiwać mógł innych wniosków a przedewszystkiem nowych i oryginalnych — paradoksów. Wszakżeż parlamentaryzm, zwłaszcza we Włoszech i we Francyi, doprowadził do perfekcyi właśnie ową ulegalizowaną przez Sighelego zasadę o wielorakiej moralności, a w Austryi i w Węgrzech zagrażają mu najwięcej — sekty. Bo że obstrukcyoniści stanowią sektę w całem tego słowa znaczeniu, to jest widoczne dla każdego, kto kryteryów szuka w rzeczywistości a nie, jak Sighele, w fantasmagoryach socyologicznego pokroju.

Dr. Bronisław Łoziński.

LUD WESOŁKÓW W DAWNEJ POLSCE.

(Ciąg dalszy).

II.

Misterya i intermedya.

Kościelne widowiska, ich nazwa i znaczenie katechizacyjne. — Przewaga intermedyów komicznych. — Zakazy. — Wyparcie misteryów z kościołów na ulicę. — Cykle misteryów polskich w ich dzisiejszych przeżytkach.

Z opowiedzianych przez nas zwyczajów ludowych da się wysnuć ten wniosek czy twierdzenie, że konserwatyzm ludowy upornie trzyma się przedwiekowych wierzeń pogańskich i zwyczajów. Mimo nieustannej, długotrwałej pracy Kościoła nad zniszczeniem pierwiastków pogańskich, te zdołały się jednak utrzymać. Jak w tyglu hutnika, przetapiał się w bogatej wyobraźni ludu długo i powoli szlachetny kruszec nowożytnych pojęć wiary z przymieszką zamarłych wierzeń w jeden spiż, by tem odporniejszym i twardszym stać się na działanie świata zewnętrznego.

Kościoły i klasztory średniowieczne były pierwotną ostoją wszelkich objawów kultury. Księża i osoby świeckie urządzają w Polsce, jak w innych krajach Zachodu, w murach kościelnych widowiska około świąt Narodzenia Pańskiego. Wiadomość o nich przedostaje się do nas już z epoki, kiedy synody i papieże występują przeciwko nim i ze względu na niemoralność karcą, a więc z epoki, kiedy zatraciły już swój pierwotny charakter, jaki niewątpliwie nadać im musiał Kościół, skoro poprzednio zwyczaj ten do siebie przygarnął.

Widowiska kościelne, o ile one obejmowały przedmiot religijny, nazywają się pospolicie misteryami albo dyalogami religijnemi. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że język polski określał widowiska kościelne wyrazem przestarzałym igra, to znaczy krotochwilna zabawa (łać. *ludus*, niem. *Spiel*) [1].

Górnicki powiada w „Dworzaninie“: „Jegomość ks. biskup obierze ku igrze tę grę, która się jemu najlepsza będzie widziała“. Linde przytacza jeszcze inne przykłady, objaśniające znaczenie wyrazu: „Zapowiedziano, aby te igry, które komedye zowią, czynione nie były, gdyż igra już się obróciła w gniew“ (Eraz. Jęz. I. 4 b.), lub: „Przy żadnych igrach komedyach być się im nie godziło“ (Erazma Glicznera: „Książki o wychowaniu dzieci“).

Znaczenie wyrazu było obszerne i obejmuje i inne gry i zabawy towarzyskie, bo jak Łukasz Górnicki objaśnia w „Dziejach“ (47): „bywały i insze zabawki królewskie, jako igry na koniach, ciskanie z koni piłkami“. Naturalnie ze wzmianek, jakie pozostawiła nam historya o tych igrach kościelnych, wynika, że je pojmować należy w rodzaju krotochwil swywolnych, (rosyjskie игривый znaczy swywolny), których żywość charakteryzowałoby najlepiej przysłowie: „Zazwyczaj w igrze, dyabeł oczy wydrze“. Powrócimy w dalszym toku naszego opowiadania jeszcze raz do tej nazwy, tymczasem zaś poprzestajemy na powyższem objaśnieniu.

Każdemu, który czyta o owych średniowiecznych igrzyskach kościelnych w przybytkach Bożych, nasunie się mimowolnie na myśl pytanie: jakim to dzieje się sposobem, że widowiska takie gorszące, tak niemoralne, na których wspomnienie wzdryga się nasze poczucie, wpojone i ustalone w nas dzisiaj etyką chrześcijańską, znalazły tutaj przystęp? Wobec tej kwestyi, po głębszej rozwadze, musimy nabrać niezachwianego niczem przekonania, że musiały istnieć powody i warunki, które igrom żonglerskim ułatwiły wejście do świątyń Pańskich, że musiał istnieć

[1] Por. prof. W. Creizenach, *Geschichte des neueren Dramas*. Halle a. d. Salle. 1893. I, 163.

pomost, po którym przebyły bezpiecznie przepaść, jaka ich dzieli od nauki kościelnej i pojęć jej o moralności.

Przedewszystkiem pasye wielkanocne nastręczały Kościołowi katolickiemu sposobność pouczenia wiernych obrazowo o historyi Męki Pańskiej, uzmysłowienia w żywych obrazach, połączonych z dyalogami, całego poświęcenia Boga-człowieka, który bezmiar cierpień składa na ołtarzu zbawienia. Ten najwznioślejszy z dramatów, jaki odegrał się na wielkiej arenie dziejowej, swą grozą i ogromem poświęcenia, żywością akcyi i dramatycznością nadawał się jak żaden inny do przedstawień scenicznych, a jednak świętość tematu wstrzymywała od tego świat chrześcijański pierwszych stuleci, który w obrządkach kościelnych, w codziennej ofierze u ołtarza z namaszczeniem i świętem przejęciem ujawniał, powtarzał i apoteozował historyę zbawienia. Dopiero wieki średnie użyły środka scenicznego, jako pomocniczego a wielce skutecznego w katechizacyi ciemnego ludu. Widowiska te religijne, przezwane później[1] misteryami, objęły w swój program wnet całą historyę biblijną. Kościół nie wahał się nawet użyć misteryów, jako środka pouczającego zasad wiary przy nawracaniu pogan. Biskup inflancki Albrecht urządził w zimie w roku 1204 w Rydze okazałe misterya z przedstawieniem proroków. Treść przedstawienia opowiedział najprzód zgromadzonym neofitom i poganom obecny tłumacz, poczem nastąpiło widowisko, w czasie którego, w chwili walki na scenie Gedeona z Filistynami, przerażeni poganie uciekać poczęli; sprowadzono ich jednak napowrót[2].

Tworzenie się i wykształcenie misteryów przypada na okres 900 do 1200 roku. Ale już w najstarszych igrach religijnych daje się dostrzegać pierwiastek komiczny, który wnoszą z sobą przywołani do pomocy w przedstawieniach wałęsający się klerycy i goliardzi[3]. Nowy element w dramacie kościelnym zdobywa sobie coraz to poczesniejsze miejsce, ku niemałemu obni-

[1] Jako jeden z pierwszych używa tego wyrazu przywilej króla Karola VI. w roku 1402. (Creizenach, I, 163).

[2] Prof. W. Creizenach, j. w. I, 70.

[3] Prof. W. Creizenach, j. w. I, 100.

żeniu poziomu i ustroju całego widowiska i jego celów, aż z drobnych dodatków tworzą się i wyosabniają w kościelnej igrze świeckie intermedya [1], które już w połowie XII. w. wywołują słowa potępienia bogobojnych kapłanów. Gerhoh z Reichersbergu zowie je dziełem dyabelskiem i pokalaniem domu Bożego, Herrad z Landsbergu mniema, że igry kościelne w pierwotnej postaci były chwalebne i pożyteczne, ale później zwyrodniały i popadły w bezbożność [2].

Papież Innocenty III. wydał dnia 5 stycznia r. 1207 zakaz widowisk kościelnych i przesłał go również Kościołowi polskiemu na ręce arcybiskupa gnieźnieńskiego, Henryka Kietlicza, a to wskutek informacyi, udzielonej osobiście przez tego księcia Kościoła wielkiemu papieżowi. List Stolicy apostolskiej karci gry teatralne w kościołach katedralnych, oraz widowiska w czasie trzech świąt, które następują po Bożem Narodzeniu. Rej w nich wiodło potomstwo księży, wyłamujących się z pod celibatu, a brali w nich udział dyakoni, prezbiterzy i subdyakoni. Były to gry mimiczne, w maskach, nieprzystojne a uświęcone już zwyczajem [3]. Dodajmy, że w XV. stuleciu jest już czynny udział osobisty duchowieństwa w igrzyskach kościelnych zupełnie nieznaną rzeczą [4].

W r. 1230 papież Grzegorz IX. wydał dnia 7 maja brewe wystosowane do opata brzeskiego i przeorów klasztoru żwierzynieckiego i dominikańskiego w Krakowie, w którem zakazuje przybywania na Boże Narodzenie i dnie następne do Tyńca scholarów krakowskich, aby tutaj oddawać się pohulankom i opilstwu, śpiewkom, igrzyskom, bójkom krwawym lub innego rodzaju zdrożnościom, częstokroć plugawym i przejmującym grozą a szkodzącym sławie klasztoru i trwożącym braci klasztor-

[1] Dr. W. Nehring, „Początki poezyi dramatycznej w Polsce". Roczn. Tow. przyj. nauk poznańskiego, tom XV, 203; następnie patrz „Wisła" V, 457; M. Wiszniewski, „Hist. lit. polsk." I, 403, VII, 216 i n.

[2] Prof. W. Creizenach j. w. str. 101.

[3] Ks. prof. Fijałek j. w. str. 221. — J. Szujski, „Dzieła" ser. II, t. VIII, 316. — Dr. W. Nehring, „Początki poezyi dram. w Polsce (Roczn. Tow. przyj. nauk poznańsk. t. XV, 193).

[4] Ks. prof. Fijałek j. w. str. 224.

nych[1]. Z tego przykładu widać, kto objął teraz główny ster widowisk po zakazach papieskich: niemniej jeszcze długo trwała praca Kościoła nad umoralnieniem kleru niższego. Konstytucye synodalne z lat 1285 i 1326 mówią o owych igrzyskach zabobonnych, z dawien dawna uprawianych po kościołach. Duchowieństwo niższe bawiło się wesoło wraz z ludem, zwłaszcza w wigilie i w pierwszych dniach oktawy świąt uroczystych w kościele lub na cmentarzu, a najbardziej w czasie Bożego Narodzenia, bo wtedy i dawne obrzędy pogańskie mieszały się z widowiskiem i igrzyskami scenicznemi[2]. Świeccy i księża występują wówczas w maskach, a nawet wśród nabożeństwa wyprawiają gorszące pochody, zaś po nabożeństwie tańce[3].

Wedle naszego widzenia rzeczy mowa tutaj o intermedyach, w których jeszcze grają wybitną rolę pozostałości pogańskie, owe igrzyska zabobonne, przechowane dotąd w części u ludu, a o których mówiliśmy w poprzednim rozdziale.

Tak więc w intermedyach połączyły się w jedno dwa pierwiastki, które też statut uniejowski z r. 1326[4] wyraźnie rozróżnia, mianowicie igrzysko okraszone czysto żonglerskim dowcipem, to jest owe klątwą obłożone pochody i widowiska maszkarowe, w kościele lub na cmentarzu, pod którym zawsze rozumieć należy dziedziniec, najbliższe sąsiedztwo kościoła: a powtóre jako drugi pierwiastek wyłaniają się ze statutów zabawy zabobonne, urządzane w czasie procesyj kościelnych w ostatnie dni adwentu, we wigilię Bożego Narodzenia i t. p., które znów jako dziedzictwo pogaństwa uważać trzeba.

Pisarz ewangelicki XVI. wieku, Rudolf Hospinian (*De orig. Fest. Christ.*, L. 55) powiada, że w Krakowie w niedzielę palmową kapłani i znaczni panowie przyklękali przed oprowadzanym osłem[5].

Istotnie było to widowisko poważne, Salwator, ubrany

[1] Kodeks dypl. tynieckí. Lwów 1871, str. 20.
[2] Ks. Fijałek j. w. str. 221.
[3] Dr. M. Kawczyński j. w.
[4] Ks. Fijałek j. w. 224.
[5] „Wisła", IV. 704.

w białą szatę, wprowadzony bywał uroczyście, otoczony przebranymi żakami z palmami w ręku, do świątyni i zsadzany tamże. Tłum ludu witał go śpiewem, wyobraźnią przejmował się silnie biblijną opowieścią i zdało się mu być w Jerozolimie i w dniu owym po wieki pamiętnym, więc padał na kolana i z pochyloną głową witał postać Zbawiciela [1]. W prostocie swej musiało to być widowisko podniosłe i szczerze pobożne.

Ale psuły tę powagę chwili, ten nastrój pobożny, żartobliwe żaków intermedya, które po wruszeniach ascetycznych ducha miały rozweselić i ubawić lud, wiecznie żądny zabawy. Ci sami żacy, którzy przed chwilą podejmowali się poważnej igry, sadzali teraz ze śmiesznemi ceremoniami swego biskupa lub papieża na drewnianego osiołka twarzą do ogona lub nawet na krowę z odłamanemi rogami i nakrywszy ją sutym rzędem i nastołką prowadzili również do kościoła i stroili z niego żarty.

Było tu zatem obok poważnego przedstawienia skarykaturyzowanie widowiska: wjazdu Pana Jezusa na osiołku do Jeruzalem. Żywioły nieokiełznane, jakimi byli żacy średniowieczni, nadużywały świętości miejsca i czynili z obchodu świeckie igrzysko, na które wysilali swój dowcip i bawili nim tłumy.

Jan Hus opisuje ten obłożony klątwą arcybiskupa praskiego obchód żaków, w czasie którego, wprowadziwszy swego potwornego biskupa na oślicy do wnętrza kościoła, niosą przed nim wielkie pochodnie, misę zupy i dzban piwa, które on je i pije; chodzą od ołtarza do ołtarza i kadzą. Wreszcie żacy, włożywszy kożuchy na wywrót, pląsy wyprawiali w kościele. Lud patrzył i bawił się [2].

Jeszcze 10 sierpnia 1780 r. wydany został na dyecezyę krakowską zakaz wożenia Pana Jezusa po kościele na osiołku i wysadzanie żaczków w kwietnią niedzielę do mówienia wierszyków [3].

---

[1] K. W. Wójcicki, „Starodawne obrazy“ I. 143.

[2] Dr. Zibrt, *Staročeské výročni obyčeje*, patrz spraw. Bronisława Grabowskiego w „Wiśle“ IV, 704.

[3] „Wisła“ VII, 412.

W zakazach synodalnych polskich [1], jak i obcych [2], nie bywają wspomniane misterya lub dyalogi, gdyż były one dozwolone, ale pomyślenie zdrożnej i swywolnej zabawy jako samoistnej gry bez misteryów w obrębie kościoła uważamy za rzecz wprost niemożliwą. Stąd też, gdy zakaz wymienia: *spectacula theatrica, ludi scenici,* to musimy rozumieć widowiska o charakterze świeckim, ale nie same, lecz obok właściwych misteryów lub dyalogów religijnych, które im wstęp do kościoła otwierały.

Zakazy nie wywołały jednak zamierzonego skutku, bo pośrednio zwracały się przeciw dyalogom, które nie miały w sobie nic przeciwnego nauce katolickiej, ale które obecnie już bez okrasy żonglerskiej [3] mogły wydać się nudnemi dla przywykłego do wesołych intermedyów ludu. Następstwem tego stanu rzeczy było wyniesienie się misteryów z obrębu murów kościelnych na ulicę, na rynki i zamiana łaciny na język pospólstwa.

Kronika pruska kanonika sambijskiego z r. 1352 (mskrp. bibl. królewieckiej) wspomina, iż na rynku w Królewcu w Zielone Świątki r. 1323 odegrano sztukę teatralną o św. Katarzynie, drugi raz grano ją r. 1325 [4].

Równorzędnego niemal znaczenia w rozwoju dramatu religijnego, co gry pasyjne, są cykle misteryów Narodzenia Pańskiego, które swą barwnością i pełnią epizodów żywo ku sobie pociągały widzów, tem więcej, że i pora roku, w której się odbywały, była ku temu celowi sposobniejsza. Nie zastanawiając się bliżej nad ich genezą [5], nadmienimy tylko, że już w XI. stuleciu znane są dyalogi religijne z przedstawieniami Narodzenia Chrystusa. Obok samego faktu przyjścia na świat Zbawiciela

[1] Ks. J. Fijałek j. w. — W. Nehring j. w.

[2] Prof. W. Creizenach j. w. str. 101 i n. Skreśla też nam cały proces powolny wkradnięcia się elementu komicznego do dramatu religijnego.

[3] A. Wiszniewski, „Hist. lit. pol.“ t. VII, 222, 256, 288 o udziale błaznów w intermedyach.

[4] Żegota Pauli, Manuskrypt Bibl. Jag. nr. 5.400. — Prof. W. Creizenach opowiada w t. I. na str. 128 i n. swego dzieła o treści misteryów o św. Katarzynie.

[5] Ciekawy czytelnik znajdzie ją wyczerpująco przedstawioną w dziele prof. Creizenacha, *Geschichte des neueren Dramas* I, 57 i n.

świata pomnażają cykl tych widowisk przedstawienia: Rzezi niewiniątek i Trzech króli [1].

Kościół bardzo żywo zaopiekował się widowiskiem Narodzenia Pańskiego, którego szczególniejszym poplecznikiem miał być św. Franciszek, któremu zazwyczaj przypisują zasługę zaprowadzenia jasełek [2].

Ślad pierwotnych jasełek przetrwał dotąd po naszych kościołach i klasztorach, ale dają one już tylko martwy obraz Narodzenia Pańskiego w rzeźbionych jasełkach, które tu i ówdzie przybrały lokalny charakter, jak w Myszyńcu na Kurpiach, gdzie postaci przedstawione są przebrane w strój miejscowy [3], lub w Tyńcu pod Krakowem, gdzie na jednym z ołtarzy bocznych stoi dotąd oszklona szopka z pysznemi woskowemi figurami, przyodzianemi w strój narodowy XVII. wieku.

Wskutek zakazów kościelnych wraz z innemi misteryami wyszły także jasełka ze świątyń Pańskich na ulice, wsi i miasta. „Szopka“ i „Herody“, „Gwiazdy“ i „Maryjka“, to dramat religijny przemieniony na przenośny teatr miejski lub wiejski, grywany najczęściej w czasie od dnia św. Szczepana do Matki Boskiej Gromnicznej. Z pierwotnego misteryum pozostało zaledwie tło religijne, reszta to intermedya, wytworzone twórczością dawnych igrców, żaków szkolnych [4] i ludu, zastosowane do okoliczności i zdarzeń, więc najczęściej zmienne, uzyskały stanowczą nad treścią religijną przewagę. Ulegają też one ciągłej przemianie i tworzą mozaikę, w której mieszczą się niekiedy zaledwo okruchy początkowej treści. W szopce zjawiają się przedewszystkiem sceny z Herodem, dyabłem i śmiercią, nie rzadko żołnierze, rabi, królowa Rachel, trzej królowie i pasterze jako reminiscencya misteryum. Reszta to już kreacye rodzimego humoru, czy postać obyczajowa ubogiego szlachetki, moralizująca na sposób księdza Baki i zabawiająca się kosztem Żyda,

[1] J. w. str. 59 i 61.

[2] „Wisła“ IV, 384. Jasełka (jasły, jasła) wspomniane już w Kazaniach Gnieźnieńskich (Spraw. kom. jęz., V, 315).

[3] „Wisła“ IX, 113.

[4] M. Wiszniewski w „Hist. lit. polsk.“ t. III, 432 odnosi zwyczaj chodzenia z szopką do połowy XV. wieku.

czy ekonom, wiecznie pragnący ugasić pragnienie, Lejbuś cymbalista z żoną Surą, których dowcip ludowy ośmieszył a zarazem wyraził w nich pogardę dla tchórzliwej, a wiarołomnej i chciwej natury żydowskiej, rubaszna walka chłopów o kozę, lekarz, szarlatan-cudzoziemiec, który po skończonej kuracyi wyrzuca pacyenta za drzwi, lub Żyd cyrulik, a dalej krakowiak i krakowianka, czarnoksiężnik Twardowski lub czarownica z maślnicą, druciarz, kowal lub cygan z niedźwiedziem zamiast dawnego skoromocha, pajac miasto kuglarza, a wreszcie grabarz, kominiarz, lekkomyślna Małgorzatka z tacką lub pospolitszy dziad z torbą i dzwoneczkiem, jako zakończenie szopkowego widowiska [1].

Wiek XVI. i następny zapisują teksty intermedyów w gwarach ludowych, a dzieje się to nie w naukowym celu, bo utwory to pisane przez księży lub rybałtów, mieszczan a nawet chłopów, ale jak prof. Brückner trafnie określa, by brata Mazura ośmieszyć, bo nim to zazwyczaj ostrzy się dowcip, a dalej „układa się pieśni lub bajki i nadaje im ton sielskości, głosownią i słownikiem gwarowym“: pełno w nich dowcipu i gry wyrazów. Wprowadza się w komicznem intermedyum Mazura i każe mu dla większego efektu mazurzyć, zaś Żydowi przemawiać jego żargonem lub z ruska, Litwinowi po białorusku, studentowi z łacińska, Niemcowi kaleczyć polszczyznę. „Z tym samym skutkiem nakoniec pisze się kolędy, hymny, pacierze i przetyka je gęsto wyrazami gwarowemi, wywołując efekt kontrastu między poważną treścią i tonem a słowem nieforemnem, śmiesznem“ [2].

Podobnie jak jasełka i Herody, wyrzucone zostało z kościoła misteryum grywane na Trzech Króli. Lud polski przywiązany widocznie szczerze do tych widowisk, z któremi zżył się i obejść się potem bez nich nie umiał, zachował nam ułomki

[1] Por. O. Kolberg j. w. str. 197 i n. — „Wisła“ II, 108, 325, 729; VI 564, 574, 582, 865; VII, 402, 518; X, 465. — „Zbiór wiad. do antrop. kraj.“ t. X, 169, 216; XIII, 59; XIV, 49. — K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne“ I, 146 i n.

[2] A. Brückner, „Z przeszłości gwar polskich“. „Wisła“ VI, 865; VII, 402

z nich w obchodzie Gwiazdy[1]. Jak gwiazda wiedzie pasterzy i bogobojnych Magów ku betleemskiej dolinie, tak za ulepioną gwiazdą z różnobarwnego papieru i jarzącemi świecami rozświetloną, biegnie wesoły tłum ludu wiejskiego z kolędą na ustach do progów ubogich chat, by przypomnieć oddany przez królów pokłon Boskiemu Dzieciątku.

W kościele pozostały z dawnego cyklu misteryów zimowych kolędy, które mimo swego religijnego charakteru przyjęły nader obficie reminiscencye zabawnych intermedyów; dlatego i im poświęcić należy kilka słów uwagi.

Kolędy, to pieśni radosne towarzyszące Narodzeniu Pańskiemu, w których przeważa wpływ świecki a przegląda twórczość i humor krakowiaka, tak dalece, że niektóre z nich wykluczone zostały ze śpiewu kościelnego. Stanisław hr. Tarnowski, w przepięknej analizie kolęd[2], powiada trafnie, że posiadają one koloryt lokalny polski i żyje w nich cały ten świat wiejski ze swojemi zwyczajami, uczuciami i sposobem mówienia. Każda kolęda robi takie wrażenie jak szopka, gdzie w głębi stoi wprawdzie żłóbek i Najświętsza znajduje się Rodzina, ale na przodzie sceny rozmawiają żołnierze, chłopi, Żydzi, niewiele się troszcząc o to, co w głębi.

W swej formie kolęda przewyższa inne twory poezyi ludowej; raz przedstawia się nam jak idylla jakaś opowiadana i opisująca z epickim pierwiastkiem. Innym razem jest dyalogiem we dwie lub kilka osób, niektóre z nich są dyalogami, tak długiemi i w tyle osób, że stają się sielankową sceną, w której ledwo gdzieś na końcu odezwie się przypomnienie Narodzenia Pańskiego; to znów dyalog jest równy, zupełny, czasem pobożnie idylliczny i humorystyczny a każda strofa naprzemian pytaniem i odpowiedzią.

Jest też w nich nieraz jakiś prosty humor, który przypomina rozmowy w Apophtegmatach Reja i jakiś realizm w tonie i stylu, jakby się słyszało jakieś echo z karczmy i z jarmarku.

---

[1] Por. „Zbiór wiadomości do antrop. kraj.“, XIV, 51.

[2] „O kolędach“. W Krakowie 1894, w 8-ce, str. 52.

Atoli i najwięcej popularna kolęda zdradza autora, który czytywał Stary i Nowy Testament, i z łaciną był obeznany, i znajomość mitologii nie była mu obcą; czuć, że wyszły z religijnej, filozoficznej i literackiej refleksyi. Uderza w nich rozmaitość wiersza (7, 8, 9 i 14 zgłoskowe) i stylu.

Rozmowy sypią się jak z rogu obfitości: narady pasterzy nad darami, rubaszne żarty i kułaki, nawet pół pobożne i pół hulaszcze pieniące się wesołością strofy, to na odmianę znów satyra, charakteryzująca dosadnie właściwości narodów, zamieszkujących dawną Rzeczpospolitę lub obcych krajów, przedrwiwująca makaronicznym językiem świat uczony czy szlachecki[1], wreszcie zjawia się dysputa teologiczna z Żydem.

Są inne, których treść zaczerpnięta z obserwacyi świata przyrody, jedna z nich jakby arystofanesowska lub wergiliusowa onomatopea naśladuje głosy natury:

Kaczka pstra, dzieci ma,
Siedzi sobie na kamieniu,
Trzyma dudki na ramieniu,
Kwa, kwa, kwa — pięknie gra.

Osobliwszego pomysłu jest kolęda ze skargą i zasądzeniem wilka: jakieś tętni w niej podobieństwo z bajką i z legendami św. Franciszka z Assyżu, w których pełno jest zwierząt mówiących poufale i pobożnie, a jest widocznie i alegorya.

Nareszcie są i niesmaczne, sztucznie naiwne albo grubo rubaszne.

Nadzwyczaj ciekawą jest tak zwana „Pastorałka góralska“, która nietylko bywa śpiewaną ale i również grywaną przez chłopców chodzących z szopką: jest w niej prolog, śpiewki, śmieszne intermezza i chóry aniołów[2]; istne misteryum, któremu brak tylko sceny i dekoracyi.

W książce z XVI. wieku pod tytułem: „S o w i z d r z a ł k r o t o f i l n y i ś m i e s z n y“, znajduje się wiadomość, że był u nas po wsiach obyczaj, iż chłopi wespół z żakami na Wielka-

[1] St. hr. Tarnowski j. w. str. 15, 16, 17, 19, 27, 36—38, 41.
[2] St. hr. Tarnowski j. w. str. 33, 39, 45, 46.

noc komedyą jaką stroją. „Takie rozpowszechnienie — powiada prof. Nehring — dyalogów wielkanocnych już w XVI. wieku jest zapewne owocem dawnej tradycyi i długiej praktyki i może starczyć za wskazówkę, że dyalogi pobożne już w XV. wieku, a może i rychlej, były w użyciu“ [1].

Bibliograficzne wykazy dyalogów sięgają u nas wprawdzie tylko pierwszej połowy XVI. wieku, ale znajdują się w nich pierwiastki misteryów średniowiecznych, dalej wpływy niemczyzny w słowach i strojach, okruchy włoskich frazesów. Taki dyalog dominikański z roku 1533 zawierał 103 scen i trwał dni 4, wybierano najprzód do jego przedstawienia sposobne miejsce, budowano teatrum, gotowano się nań rok nieomal cały. Treścią jego była Męka Pańska. Występowały w nim chóry i grupy biskupów, dwunastu sędziów, aniołów i t. p. [2].

Ster w przedstawieniach misteryów kościelnych i intermedyów objął od XVI. wieku zakon OO. Jezuitów, i im zawdzięczamy świeży podmuch w literaturze tego przedmiotu.

W roku 1603 biskup krakowski Bernat Maciejowski wydał zakaz odbywania misteryów w kościołach, jednakże stara tradycya nie dała się znieść od razu, bo jeszcze w następnym wieku odbywały się średniowieczne dyalogi po polskich świątyniach [3].

III.

Żacy i rybałci w roli wesołków.

Życie włóczęgowskie żaków. — Minstrele-rymotwórcy. — Gregoryanki. — Ustawodawcze zabiegi przeciw żakom. — Wpływy ich na zwyczaje ludowe.

„Pierwszym aktorem polskim jest żebrzący student“ [4], a geneza jego sięga w głąb wieków średnich.

„Równocześnie z romańską zakwitła poezya łacińska świecka, którą się zajmowano przedewszystkiem po szkołach katedral-

[1] W. Nehring j. w. str. 207.

[2] M. Wiszniewski j. w. VII, 241 i n.; III, 434. — W. Nehring j. w. str. 221, 223, 206.

[3] W. Nehring j. w. str. 206.

[4] Dr. S. Windakiewicz, „Pierwsze kompanie aktorów w Polsce“, w Rozprawach wydz. filol. Akad. Um. t. XVIII, 386.

nych, klasztorach, później po uniwersytetach. W liczbie młodzieży tych zakładów znajdowało się mnóstwo elementów niestałych, przenoszących się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, lekkomyślnych, wyuzdanych kosterów i bibusów, używających tonzury do wyłudzania datków, plamiących zachowaniem się swojem godność duchowną. To też już w wieku XIII. (1231) synod normandzki nakazuje chwytać ich i golić im głowy [1].

Zdaniem ks. prof. Fijałka: „byli to biedni, mniej zdolni i wykolejeni bakałarze *clerici scholares,* używani do posługi kościelnej, szczególnie do śpiewu w czasie nabożeństwa a zarazem rektorowie szkółek parafialnych, jako tacy nosząc tonzurę, cieszyli się przywilejami stanu duchownego [2], których pozbawił ich papież Bonifacy VIII. w roku 1298.

Owi rybałci goliardzi byli klerykami, dyakonami, z czego d y a k i ż a k [3] pochodzi, zabawiali się histryońskiem, włócząc się po kraju, skąd wagantami zwani byli. Zapewne, że między rzeszą wałęsających się żaków znalazła się spora, jeśli nie większa część takich, którzy z ubóstwa, z potrzeby życia uprawiali swą sztukę histryońską, bo jak powiada Jan Dzwonkowski pisarz XVII. wieku:

> Żak chudzina, nic niema, chudy, blady, nagi,
> W szkole nic niema, jeno łatane biesagi.

był więc „żak szkolny, jak wilk głodny" i szukał tedy sposobu egzystencyi [4]. Dla podsycenia interesu publiczności ku swej muzie stają się też przygodnymi rymotwórcami.

U nas w Polsce noszą oni ten sam charakter, jak zagranicą, wszędzie było ich pełno, wędrowali po Małej i Wielkiej Polsce, Mazowszu, Litwie i Rusi całej. Włóczą się tak jeszcze

[1] Dr. M. Kawczyński j. w. str. 34.

[2] Rozpr. wydz. hist. filoz. XXX, 218.

[3] W pieśni do Wszystkich Świętych z połowy XV. wieku znajdują się te słowa: „vszlysz szwe spyewaky kaplany y szaki". To zestawienie żaków z kapłanami wskazuje, że rzeczownika tego użyto tu w znaczeniu pierwotnem *diaconus;* równie jak w *adagium:* nie z każdego żaka bywa ksiądz. Rys. Ad. 44; Koch. fr. 47. Cz. Ad. 734. (L. Malinowski, „Drobiazgi językowe" w Pracach filologicznych t. v. 134).

[4] K. W. Wójcicki. „Obrazy starodawne" I. 138

w następnych wiekach, w początkach XVI. stulecia odwiedzają królewicza Zygmunta, gdy bawi w Budzyniu, Opawie, Krakowie; w wigilię Bożego Narodzenia z opłatkiem, na Trzech Króli śpiewają mu przyszedłszy po szczodrakach, w poniedziałek zapustny zjawiają się z przedstawieniem cesarza, lub w sierpniu z przedstawieniem króla, w poście zaś śpiewają pieśń pasyjną[1]. Wszędzie też w zwyczajach ludowych pozostał ślad ich długowiecznej roboty, na co już niejednokrotnie zwróciliśmy uwagę w poprzednich rozdziałach. Przywiązani nadewszystko do gospody, więcej schlebiając Bachusowi, niż pieśni cnotliwej, bo według prof. Kawczyńskiego o jej treści mówić można dzisiaj tylko w naukowem czasopiśmie. „Drużyna ich obejmowała zbieraninę z całej Europy, małych i wielkich, starych i młodych, prostych i kulawych, spokojnych i zwadliwych, prawych i podejrzanych“ [2].

Pierwsze zastępy tej sfery ludzi przybywają do nas z Zachodu w XIII. stuleciu[3]. Bawiono się ich żartami, ale i obawiano jak ognia, wyrażając ich zepsucie w przysłowiu: „Gorzej niżeli raka, obawiaj się żaka“, lub: „Strzeż się zawżdy żaka złego, jako djabła karczemnego“.

Za czasów Kazimierza Wielkiego i wieków następnych łacina była wyłącznym językiem Kościoła i państwa, językiem piśmiennych, ale warstwy szerokie ludności nie rozumiały go i dla niej trzeba było przemawiać, rymować i śpiewać językiem ludu.

Niejeden żak z tej wagabundzkiej rzeszy, wykreślony z liczby kleryków, całe życie trawił na kuglarstwie i rymotwórstwie, a biegły w rymowaniu i melodyach, grający częstokroć na jakim instrumencie muzycznym, niemieckiemu mieszczaństwu śpiewał naprzemian po łacinie i po niemiecku, polskiemu polską zanucił piosenkę, a gdy już obszedł miasta i znalazł się we wsi zamożnej, podczas odpustu lub kiermaszu, „gdzie łaciny jego nie ro-

[1] A. Pawiński, „Młode lata Zygmunta Starego“. Warszawa 1893 Str. 261—264.

[2] Dr. M. Kawczyński, j. w. str. 36.

[3] Ks. J. Fijałek j. w. str. 218 i 219.

zumiano, ale kalety pełne groszy obfity obiecywały zarobek", dowcipny szkolarz na sposób minstrelów Zachodu, układał pieśni swoje w języku, treści i formie dla ludu przystępnej [1].

Minstrele nasi to żacy szkolarze wałęsający, którym przydają „rymarzów" miano, później od XV. wieku z włoska rybałtami zowią [2]. Utwory ich poetyczne tworzą ogniwo łączne między poezyą świadomie artystyczną a tak zwaną ludową, która jest w całej Europie późniejszą od poprzedniej. I tak forma naszych krakowiaków, w których rym bardzo często jest doskonały i wiersz miary równej, jest późniejszą od poezyi polskiej wieku piętnastego. Jeżeli ich autorstwo, zanim przeszły w posiadanie ludu, przypiszemy naszym rybałtom, w takim razie przyjęcie się ich u nas i spopularyzowanie, co najwcześniej do wieku XV., jeżeli nie XVI. odnieśćby należało [3].

Dnie świętego Grzegorza, kiedy oddawano dzieci do szkoły i św. Błażeja 3 lutego były świętami żakowskiemi, w czasie których z nauczycielem chodzili po kolędzie od domu do domu, śpiewając okolicznościowe pieśni. W zabawach na św. Grzegorza, stąd Gregoryankami przezwanych, opasywano bakałarza sznurem obwarzanków, które wśród uciech żacy zrywali. Po wesołej uczcie przebierali się żaczkowie dziwacznie i szli gwarnie, przy żartach i śpiewie do domów pańskich, gdzie ich raczono, a oni w zamian dyalogami widzów swych bawili. Gregoryanki lub Gregoły dochowały się jeszcze u ludu naszego w miasteczku Żołyni w Przemyskiem, dotąd grywają tam z maszkaradą połączony, dyalog z osobami: biskupa, księdza i Grzegorza [4].

W jednej z zachowanych w rękopisie chełmińskim Gregoryance tj. komicznem przedstawieniu studenckiem na św. Grzegorza: czterech uczniów obiera swego kolegę na króla klaso-

[1] Por. dr. M. Kawczyński j. w. str. 37.

[2] M. Wiszniewski j. w. VII. 10, 258. — W. Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler*, str. 215.

[3] Dr. W. Kawczyński, j. w. str. 45.

[4] Por. „Wisła" IV. 702 i „Zbiór. wiad. do antrop. kraj." XIII. 64. — K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne" I. 139, 140, 141 i 143.

wego, odbywa się niby elekcya, posłowie zagraniczni zachwalają swoich kandydatów i wśród wiwatów odbywa się następnie koronacya [1].

Również wesoło i uroczyście obchodzili żacy majówki.

Najstarszym zabytkiem ustawodawczym polskim, wymierzonym przeciw rybałtom, oprócz wymienionego już poprzednio brewe papieskiego Grzegorza IX. z 1230 r., jest konstytucya synodu uniejowskiego z roku 1326, która wymienia prócz joculatorów, goliardów i buffonów [2]; następnie zaś uchwała rajców krakowskich przedstawiona królowi i zatwierdzona przez Kazimierza Wielkiego w r. 1336. Ten ostatni dokument wyklucza z wesel pieśniarzy śpiewających i deklamujących, zwanych rymarzami (rymotwórcami) i sprzedających kukle urobione w nieprzystojne kształtem i osobliwsze postacie; — zwyczaj zdający się mieć początek w rzymskich saturnaliach [3].

Powodów wykluczenia rymotwórców z koła gości weselnych szukać należałoby we względach pedagogicznych, z powodu dyscypliny szkolnej, która rozluźniała się, gdy szkolarze zamiast pilnować nauki, zajmowali czas świeckiemi zabawami. Są to te same powody, które w Statutach Herburta (385) znajdują również swe potwierdzenie: „Żaki, wagujące się a po swej woli biegające, z miast i miasteczek rozkazujemy wypędzać“, lub uwidocznione dalej w postanowieniu, że „wagusowie z szkół wypędzani być mają“.

Statuty synodalne, które zakazują bywać duchowieństwu na widowiskach, wspominają zarazem o błąkających się po kraju

---

[1] Dr. St. Windakiewicz w Rozpr. wydz. filol. t. XVIII, 393.

[2] Ks. prof. Fijałek j. w. str. 219.

[3] Por. dr. M. Kawczyński j. w. str. 34. Ciasta przezwane z niemiecka *Unroth*, tłumaczę wyrazem „kukla, kukiełka“, który jest w widocznym związku etymologicznym z kuglarzem (por. Linde, oraz A. Brückner, Średniowieczne słownictwo polskie w Pracach filologicznych t. v, 47). Użycie wyrazu niemieckiego *Unroth* tłumaczę okolicznością, że układem ustawy zajmował się Niemiec mieszczanin. Zresztą zauważyć muszę, że dotąd gospodynie wiejskie wypiekają na dzień Trzech Króli różne figury z ciasta często podobne do postaci ludzkich i nie zawsze przyzwoite i nazywają je szczodrakami. (Por. „Wisła“ II, 439; Zbiór wiad. do antr. kraj. IX, 6 i t. p.).

frantach i rybałtach“ [1]. Synod „pierwszy krakowski Piotra Wysza i współczesny mu płocki Kurdwanowskiego przestrzegają duchownych, ażeby się nie wdawali z kuglarzami i lutnistami, ani też ich nie utrzymywali z dóbr i dochodów kościelnych“. Charakterystyczną dla owej epoki polskiego średniowiecza będzie ilustracyą, że lutnistą i poetą jest Jan z Kępy, biskup poznański (1335—1346), który opiewając „cześć Maryi i Świętych Pańskich, wesołe przytem jako rybałt“ prowadzi życie. Bywało jednak życie rybałtów więcej jak wesołe, bo rozpustne nad wszelką miarę, tak że kaznodzieje XV. wieku Mikołaj z Błonia i Michał z Janowca karcąc ich z kazalnicy, wzywają i upominają kapłanów, by ich nie dopuszczali do sakramentu Eucharystyi [2]. Akademia krakowska wydała też ze swej strony r. 1423 zakaz przeciw żakom, którzy nie bywając na lekcyach przesiadywali po szynkowniach razem z błaznami, goliardami i bufonami [3].

Ciągłe wędrówki po wszystkich dzierżawach Rzeczypospolitej uczyniły z żaków żywioł bardzo pod niejednym względem kulturalnym wpływowy. Rzadko która z dorocznych zwyczajowych piosenek i oracyj ludowych nie posiada choćby drobnej aluzyi do żaków szkolnych. Wszędzie też pozostawili po sobie namacalne ślady swego istnienia i humoru, swej fantazyi i erudycyi. Polskie balady i opowieści lub kolędy [4] i pieśni ludowe, rozprzestrzenione na całym obszarze etnograficznym, zdradzają w przeważnej swej liczbie jedno źródło średniowieczne albo późniejsze. Takie najpowszechniejsze jak: „Jasio konia poił, Kasia wodę brała“ (Izabela i rycerz elf), o Madeju i t. p. przyniesione zostały z Zachodu [5]. Jedne z nich mają temat zapożyczony z historyi biblijnej, jak historya Judyty i Holofernesa, to znów z mitologii, jak ów mit o Tantalu i Syzyfie w powieściach

[1] Ks. J. Fijałek j. w. str. 219.

[2] J. w. str. 220.

[3] M. Wiszniewski j. w. IV, 297.

[4] Już kolęda z połowy XV. wieku wspomina żaczków (por. dr. Władysław Seredyński, „Trzy zabytki języka polskiego“ w Sprawozdaniach Komisyi językowej Ak. Um. I, 156).

[5] „Wisła“ III, 733; IV, 873, 957; VII, 78.

ludu od Myślenic i Lidy [1], lub wreszcie średniowieczne zdarzenia historyczne i wątki dramatów Szekspirowskich [2].

Na pytanie więc, gdzie szukać należy rozsadnika tych pieśni i powiastek, można na razie odpowiedzieć, że obok kazalnic średniowiecznych, skąd słowa kaznodziei naukę moralności w przystępnej formie opowieści podają ludowi, roznosicielem oznak zachodniej kultury będzie lud żaków szkolnych, na poły uczony a na poły hulaszczy, który staje się żywą księgą czy gazetą w owym okresie, kiedy znajomość pisma była sztuką dla niewielu dostępną.

Takiego szkolarskiego pochodzenia będą nietylko teksty dawnych kolęd w gwarze ludowej pisane lub dyalogi, jak ów piękny w Tomaszowie lubelskim grywany w czasie świąt Bożego Narodzenia [3], ale i opowiadania fantastyczno-komiczne w stylu ludowym, w którym ciągłe sprzeczności i język przedrzeźniający wywołują wrażenie nader rubaszne. Taką jest „Peregrinacya Maćkowa z Chodawki Kurpetowego synà á Nawłokowego“ (wyd. r. 1612). A dalej komedye i intermedya czyli sceny śmieszne międzyaktowe, wstawione w dramat szkolny, jak z r. 1612. „Komedya o Wawrzku do szkoły i ze szkoły“, „Chłop, anioł i dyabeł“, „O Bachusie“, „Z chłopa król“, „Mizerya szkolna“, „Rybałt stary wędrowny“ i inne. W XVII. wieku ujęli ster dramatu szkolnego w swe ręce Jezuici i pozostawili po sobie bardzo wydatną spuściznę [4].

W końcu wspomnieć nam należy o słynnych walkach kogutów, jakie wyprawiali żacy krakowscy z umyślnie do walki zaprawionymi kurakami corocznie w dzień św. Gawła. Właściciel zwycięskiego kura zostawał wtedy obwołany królem [5].

---

[1] „Wisła“ III, 531; IV, 393; IV, 340.

[2] „Wisła“ III, 881; V, 62, 396; VIII, 444, 801; IX, 106.

[3] K. Zaleski, „Zabytki widowisk średniowiecznych“. „Wisła“X, 709 i n.

[4] Por. A. Brückner, „Z przeszłości gwar polskich“. „Wisła“ VI, 865; następnie *Archiv für slav. Philol.* t. XIII, 224, 398, streszczenie w „Wiśle“ t. VII, 401; wreszcie *Archiv f. sl. Ph.* t. XVII, gdzie wyd. przez prof. Nehringa 15 intermedyów chełmińskich szkół jezuickich.

[5] K. W. Wójcicki j. w. I, 141. „Wisła“ VI, 875.

Wobec tego, cośmy powiedzieli o żakach, idziemy za zdaniem K. W. Wójcickiego [1] i przypisujemy im w znacznej mierze przechowanie najdawniejszych obrzędów i zabaw do późnego czasu, uratowanie od zagłady starych pieśni, i widzimy w tej wesołej a biednej drużynie młodzieży polskiej rozkrzewicieli między ludem niektórych wpływów kultury zachodniej.

IV.

Wesołkowie z zawodu.

Zawód wesołków za granicą. — Histrio w Polsce w XI. do XIII. wieku. — Powszechne zamiłowanie w histrioństwie i rozdzielenie zawodu wesołków na różne gałęzie.

Najpospoliciej w średnich wiekach używane nazwy na określenie ludzi bawiących publiczność pochodzą jeszcze z rzymskiej i greckiej starożytności, gdzie każda miała znaczenie osobne. *Histriones* byli aktorami scenicznymi, *mimi* tancerzami, *ioculatores* skoczkami i błaznami. *thymelici* zapaśnikami. Można też w nieprzerwanym od starożytności do średnich wieków ciągu czytać o nich wzmianki w historykach, kodeksach prawnych, kronikarzach, zwłaszcza zaś w pisarzach kościelnych, którzy nieustanną z nimi toczą wojnę, wskazując na niezgodną z chrześcijańskiem skupieniem ducha i pogardą świata płochość i ułomność obyczajów, na szkodliwy wpływ ich widowisk pogaństwem tchnących, bo z pogaństwa wyszłych. Był zaś czas na przejściu ze starożytności w średnie wieki, kiedy właściwe teatra upadły, kiedy amfiteatra i cyrki w gruzy się rozsypały. Wtedy *histrio, mimus* i *thymelicus*, chociaż pozbawieni właściwej sobie sceny, nie zniknęli [2]. Rasa tych ludzi nie wygasła; pod dwudziestu różnemi nazwami, a zawsze podobna do siebie, nie zatracając swych obyczajów ani fizyognomii, przetrwała wieków dziesięć bez wielkiej zmiany. Spotykamy ich bowiem niebawem pod nazwą żonglerów — bo jak mówi stare łacińskie głosarium z XI. w.

[1] Jak wyżej I. 156.

[2] Dr. M. Kawczyński w: str. 33. tudzież w „Upominku książce zbiorowej na cześć Elizy Orzeszkowej" (1866—1891). Kraków 1893, str. 287—289. dwie *fabliaux* do charakterystyki jouglerów francuskich, które, dodajmy znane są i naszemu ludowi (por. „Wisła" VII. 764).

histrioni są żonglerami. Widzimy ich czy na dworze królewskim czy też w biesiadnej sali zamkowej, stamtąd schodzą na publiczne place i ulice miejskie, włóczą się od miasta do miasta, szukają miejsc, gdzie ludność najliczniej się zbiera, a więc dają swe przedstawienia przed drzwiami kościołów, gdzie i targi się odbywają. Nastąpiło w ich zawodzie znakomite przeobrażenie, które rozszerzyło, ale równocześnie i obniżyło niezmiernie ich zadanie; połączyli w sobie teraz zdolności dramatyczne z ćwiczeniami akrobatycznemi, w program swoich przedstawień przyjęli kuglarskie sztuki. Gdy pantominy mityczne przestały być zrozumiałemi dla chrześcijańskiej publiczności, ci niezmęczeni facecyoniści ludowi lub pańscy zadziwiali swojemi dowodami siły albo zręczności, bawili grą słów, *quodlibetem*, swoją udaną durnowatością, czy przechwałką bezczelną. Lecz nie koniec na tem, ów średniowieczny żongler trudnił się zazwyczaj wszystkiem, czem mógł publiczność zwabić i zabawić, grosz od niej w nagrodę wyłudzić: chodził po linie, nosił ciężary w zębach, chwytał kule lub noże rzucane w powietrze, oprowadzał niedźwiedzie, małpy lub inne osobliwsze zwierzęta, tańczył, nieprzystojne i bardzo nieprzystojne wyprawiał pantominy, ze starożytnej pochodzące tradycyi [1].

Nie znamy bliżej wyprawianych w r. 1000 przez Bolesława Chrobrego ku uczczeniu cesarza Ottona w Gnieźnie „igrzysk, gonitw z kopijami, pląsów, śpiewów i rozmaitego rodzaju zabawy, wśród której cała stolica brzmiała dzień i noc muzyką i ochoczą rozrywką“, ale jako pewnik przyjąć musimy, że do wykonania tego programu użytym został cały rój średniowiecznych histryonów.

Jan Długosz opowiada następnie, że Polacy dzień koronacyjny króla Kazimierza Odnowiciela (r. 1041) uczcili na widowiskach publicznych *(in theatris)* i wyśpiewywali jego pochwały [2] Ale wiadomość powyższa staje się bardzo wątpliwą, skoro ko-

[1] Le Petit de Julleville, *Les comédiens en France au moyen age.* Paryż 1885, str. 17, tudzież dr. M. Kawczyński j. w. str. 34.

[2] Długosz, Dzieje w przekładzie Mecherzyńskiego“ I, 148, 246.

ronacya Kazimierza nie znajduje należytego w źródłach historycznych współczesnych udowodnienia[1].

Pierworodny lecz z nieprawego łoża syn Władysława Hermana, Zbigniew, szkolarz krakowski, a wychowanek saskiego klasztoru, zda się kwedlinburskiego, roku 1095 stanął na czele buntu przeciw ojcu i opanował Wrocław. Po pogodzeniu się z królem, gdy go powołano na dwór gnieźnieński, przybył tutaj butnie i okazale, jakby w pochodzie tryumfalnym, otoczony doboszami i przy odgłosie surm, z zastępem muzykantów i różnych histryonów[2].

Później, po wzięciu Nakła, kiedy r. 1116 uzyskawszy przebaczenie na dwór Bolesława Krzywoustego zjeżdżał: „niesiono przed nim miecz, a dalej postępowała drużyna śpiewaków i grajków, nucących uroczyste pieśni i przygrywających na surmach, szałamajach (*organis*), kotłach i innych narzędziach muzycznych“[3]. Naruszewicz dodaje, że otaczała go jeszcze rzesza pochlebców, pustaków i trefnisiów[4].

Jan Salisbusbury, biskup z Chartres (1176 - 1180) biadał żywo nad szalonem upodobaniem, jakie ludzie jego czasu okazywali dla popisów żonglerów, mówiąc, że wiek jego pogrążony w najrozmaitsze rodzaje kłamstw i chełpliwości: pragnie zabawą oczu i uszu, pieszczeniem niejako swego lenistwa podniecić lubieżność i dostarczyć karmu swym chuciom. Skarży się dalej nad wprowadzeniem widowisk i uwielbianiem wszelkich rodzajów żonglerów, zacząwszy od ludu aż do możnych. Jest zupełnie pewnem, że ani cenzury koncyliów, ni też upomnienia duchowieństwa nie zdołały ukrócić upodobania francuskiego ludu do tych rozrywek. Królowie nawet najbardziej niechętni żonglerom, uważali sobie za obowiązek przychylnie patrzeć i słuchać ich produkcyi, popierać nie lubiąc ich. Błazeństwa żonglerskie nie zdołały obudzić nawet uśmiechu u Lu-

[1] O. Balzer, „Genealogia Piastów“. W Krakowie 1895. Str. 84.

[2] O. Balzer j. w. str. 114 i n. — *Mon. Pol. hist.* II, 307.

[3] Długosz j. w. I. 467.

[4] A. Naruszewicz, „Hist. nar. polsk.“ Warsz. 1803, t. II, 58 i 154. — Łukasz Gołębiowski j. w. str. 192.

dwika de Débonnaire, a jednakowoż ich płacił; nawet Ludwik Święty, karząc ich wybryki, nie cofnął swoich subsydyów. Cóż więc dziwnego, że lud prosty, szlachta i mieszczaństwo miały dla przedstawień żonglerskich ślepą i głuchą na wszystko namiętność. Jean de Hautville, poeta łaciński XII. wieku i uczeń uniwersytetu paryskiego, uskarżał się gorzko, że bogaci dają sowicie histryonom, a dozwalają umierać z głodu logikom [1].

Z rozszerzeniem programu ich przedstawień, które pod względem rozmaitości porównywa słusznie prof. Wilhelm Creizenach [2] z dzisiejszem *café chantant*, przybierają oni najrozmaitsze nazwy, które może miały oznaczać ich specyalność i stawać się mogły hasłem atrakcyjnem dla publiczności, podnietą rozgłosu.

Oto niektóre z nazw, które znajdują się w średniowiecznej łacinie: *aemiliani, balatrones, choraules, delusores, garciones, gignadii, histriones, ioculatores* lub *ioculares, mimi* albo *mimici, nebulones, palaestritae, prestigiatores, ridiculi homines, salii, saliares, scenici, thymelici* lub *thumelici, travalgiatores* i t. p.

Jedni z tychże byli popularni, inni należą z wszelkiem prawdopodobieństwem do starożytności lub byli efemerycznem zjawiskiem [3]. Trubadur Guiraut Riquier wniósł wprawdzie suplikę do króla Alfonsa kastylskiego, by powagą tronu zaznaczył różnice między chełpiącymi się tak różnem mianem igrcami — ale rymowany przywilej królewski był niewątpliwie fikcyą petenta [4].

Z rozszerzeniem zawodu zrodzić się musiały niewątpliwie pewne odrębne gałęzie, uprawiające jakiś szczególny rodzaj produkcyi. Julleville [5] sądzi, że żonglerzy w swych szlachetniejszych przedstawicielach nie byli zwykłymi akrobatami lub śpiewakami wędrownymi, ich repertoar śpiewacki należał w części do rodzaju więcej podniosłego. Tak naprzykład niektórzy z nich śpiewali monotonnie piosnki heroiczne, gestykulując żywo lub

[1] Julleville j. w. str. 18.
[2] *Geschichte des neueren Dramas.* I. 380.
[3] Julleville j. w. str. 17.
[4] Prof. W. Creizenach j. w.
[5] J. w. str. 18.

przygrywając sobie. Cenzury XIII. w. wznawiane po setne razy przeciw żonglerom, robią wyjątek dla ich poważniejszej części, dla recytatorów żywotów świętych lub czynów bohaterskich rycerzy. Wspomniany pisarz[1] rozróżnia trzy główne rodzaje owych histryonów średniowiecznych.

Jedni z nich zmieniają kształt i postawę swego ciała zapomocą tańców i ruchów nieobyczajnych lub przywdziewają przerażające maski.

Następnie inni histryoni, nie mając stałego miejsca zamieszkania, kolejno obchodzili domy możnych, aby tam naśladować i wydrwiwać, znieważając i hańbiąc wszystkich nieobecnych.

Trzeci rodzaj histryonów zaopatrywał się w instrumenta muzyczne, by zabawiać ludzi: z nich jedni odwiedzali gospody publiczne, aby tam śpiewać piosnki lubieżne, drudzy, właściwi żonglerzy, śpiewali dzieje książąt i żywoty świętych Pańskich, pocieszali ludzi w ich smutkach i ich udręczeniach.

W słownictwie polskiem, tej skarbnicy wspomnień dziejowych, dostrzegamy widoczne ślady różnorodne tego rodzaju ludzi, którzy wieki całe bawili lud swoją wesołością i sztuką. Zanim sprawa ta wyjaśnioną zostanie przez zawodowych lingwistów nasuwa nam się, przygodnemu tej dziedziny badaczowi, na myśl kilka nazw, które mniej lub więcej zdają się mieć prawo przyznania ich średniowiecznym polskim żonglerom, chociaż wogóle znaczenie jednego wyrazu częstokroć spływa się i miesza z drugiem.

(C. d. n.).

Leonard Lepszy.

[1] J. w. str. 20.

Wiersze Mickiewiczowi przypisywane.

Oba niżej podane wiersze pochodzą ze zbiorów biblioteki Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswylu, gdzie w rękopisach się znajdują, a mianowicie w dziale Mickiewiczowskim, którego katalog niedawno opuścił prasę.

Pierwszy z nich dotąd nigdzie nie drukowany — to urywek wiersza Mickiewicza, przepisany przez Seweryna Goszczyńskiego, oznaczony jest w wymienionym wyżej katalogu liczbą 47. Miejsca ani czasu napisania niestety nie znamy, sam ton wszelako i duch wskazuje, że utwór ten pochodzi z lat towianizmu naszego poety. Co się zaś tyczy autentyczności tego wiersza, to ta nie powinna, naszem zdaniem, ulegać najmniejszej wątpliwości, dopóki się bowiem nie udowodni Goszczyńskiemu, iż podsunął prace obcego pióra Mickiewiczowi, dopóty wiersz dany musimy uznać za autentyczny.

Wiersz p. t. „Wygnaniec syberyjski“, drukowany był w wydaniu poznańskiem z 1828 roku, w tomie trzecim, ale ze zmianami. Dla tej różnicy uważamy za stosowne jeszcze raz go polskiej publiczności przypomnieć, a nie mniej i historykom literatury, którzy wobec niego dziwne i niezdecydowane zajęli stanowisko, jakkolwiek utwór wspomniany nasuwa sam przez się wiele wątpliwości ze względu na swoją autentyczność. Naszem bowiem zdaniem, to tylko samo, iż utwór ten został pomieszczony (choć z pewnemi waryantami od tego, który my

tutaj podajemy, w wydaniu pism poety — wcale nie świadczy, by musiał koniecznie wyjść z pod pióra Mickiewicza.

Bo zważyć należy tę okoliczność, iż wydaniem poznańskiem nie zajmował się sam poeta, powierzając je Muczkowskiemu, stąd też nader łatwą jest rzeczą i prawdopodobną, że wiersz wspomniany mógł być wtrącony do ogólnego zbioru pism, jakkolwiek nie był utworem Mickiewicza. A wątpliwość tę, jaką czujemy do „Wygnańca syberyjskiego“, popiera wielce następująca okoliczność, iż w wydaniach, prowadzonych pod okiem samego poety, utwór ten został całkowicie pominięty i nie wszedł w skład żadnej z późniejszych edycyj. Każdy zaś przyzna, iż okoliczność ta, że Mickiewicz wyparł się milczącą protestacyą autorstwa wiersza, świadczy mocno przeciwko jego autentyczności. Sam napis dalej — „Wygnaniec syberyjski“ — budzić musi nieufność, skoro z całej korespondencyi poety nie wiadomo nic a nic, by taki utwór kiedykolwiek pisał. Sam styl różni się nadto pod wielu względami od ówczesnego stylu naszego poety, a rymowanie przeważnie na tę modłę: rzeczownik z rzeczownikiem, czasownik z czasownikiem i t. d., stosowane, zaprzecza również autorstwa Mickiewicza.

Ten zaś szczegół, iż treść „Wygnańca syberyjskiego“ zgadza się w wielu miejscach z wypadkami życia Mickiewicza, bo mowa tu i o miłości z Marylą Wereszczakówną, i o ukazach, podpisywanych na poetę i jego „braci“, naprowadza nas na wniosek, iż wiersz ten wskutek owej zgodności z faktami biograficznemi wydał się Muczkowskiemu autentycznym i dlatego wciągnięty został do edycyi poznańskiej.

Wywody nasze przemawiają przeciw autentyczności „Wygnańca syberyjskiego“, a my, przypominając sprawę tę historykom literatury, bardzo im wdzięczni będziemy, jeśli udowodnią, że pogląd nasz jest mylny.

Stanisław Zdziarski.

1. Urywek.

A jednak krew ta, ból, więzienia ciemne,
Nie poruszyły nas dotąd do głębi;

Ku królom świata zwróciliśmy oczy,
Sypiemy kopce jak krety podziemne,
Krwawo i znojnie, a wciąż rozdzieleni —
Jedności nigdzie — rozum wiarę ziębi.
Piekielna pycha, jak rak serce toczy —
War namiętności wściekłą śliną pieni.

Prawdy, braterstwa, dopytać się rzadko,
Wciąż brzmi nam w ustach wiara, wolność święta,
A dusza w więzach i wolność zagadką;
Każdy o prawie do ojczyzny gada,
O obowiązkach rzadko kto pamięta;
Sprosność i pycha na wyścigi lecą,
Wszędzie rozterki, nienawiść i zwada
A tu tymczasem krwawe łuny świecą
I wróg okrutny, z pod serca ojczyzny
Pije krew polską — i łzy sierót pije —
Do ran zbolałych nasączył trucizny —
Do serca wciska nienawiści żmiję,
I kraj jak trumnę narzucił całunem!

O biada temu, kto nieprawość płodzi,
I spójnie Polski z niebem dziś rozrywa.
Biada kto serca z grzechu nie obmywa,
Czyja bluźnierstwem skalana jest warga.
Biada kto z ducha dziś się nie odrodzi,
I węzły bratnie w narodzie potarga.

Za krew, co lejem, za ziemską odwagę
Mamy dziś sławę i ziemskie oklaski,
Ale Bóg tylko dać może ojczyznę;
Bo on sam jeden zna krwi wierną wagę,
Zna serc skrytości — a zwodnicze blaski
Fałszywej cnoty, co kryją zgniliznę,
Gasi jak świecę — fałsz okrywa sromem,
Bluźnierstwo karci gniewu swego gromem,

I w oczach jego nieraz krwi strumienie
Są mniejszej ceny niż jedno westchnienie;
Niż jedna kropla krwi sprawiedliwego,
Co najprzód siebie zwyciężyć był zdolny,
I co z tą kroplą dał siebie całego,
A umarł święcie — jako człowiek wolny.

Ten z nas owocnie dla kraju pracuje,
Kto służąc jemu własną zbawia duszę;
Kto się podnosi — ten Polskę ratuje;
A kto się zniża — mnoży jej katusze.

2. Wygnaniec syberyjski.

Mamże z ujmą mej dumy, z ludzkości obrazą,
Kiedy mnie katy nie przestaną smagać,
Jak niewolnik bezduszny — jak bezduszny Nazo
Tyranów o litość błagać.

Nie — kto podle nie giął czoła,
Kto umiał losom dotrwać, kto śmiał z więzów swoich szydzić,
Kto śmiał swoich ciemięzców jawnie nienawidzić,
Ten i wzgardzić ich podoła.

Ty, którego zwą prawem te odwieczne lody,
Sercem nad nie zimniejszy, wrogu praw swobody.
Stań w tkliwej ojca postaci,
Którąś czoło swe okrywał,
Gdyś łaskawie podpisywał
Ukazy, potępienia mnie i twoich braci.
Stań potworo przed mem okiem
I natchnij mnie twym widokiem.
Krwi pragniesz, uderz! wytrysną jej zdroje
Nasyć serce krokodyle
Tyle tylko zostaw tyle
Ile mi trzeba jej na rysy twoje.

Ale nie! i ta rozkosz będzie mi wydarta
Nad twojej zemsty krwawe opisy,
Z własnych dziejów jedna karta
Lepsze ciebie poda rysy.
Mojej bezsilnej zemsty nie usłyszysz jęku,
Dojdzie cię tylko głos słaby tułacza
Wygnańca, potępieńca z więzami na ręku
Głos wyższy co ci przebacza.
Ty tylko, której obraz po obrazie Boga
Wiecznie w mej piersi spoczywa —
Ziemio święta! ziemio droga!
Ziemio długo nieszczęśliwa!
Ty, na której słabe dziecko
Miłość ciebie ssałem z mlekiem,
Coś z ubóstwianym człowiekiem
W grób śmiercią tchnięta zdradziecko!
Ty się tylko odródź wolna,
Rozjaśń twe czoło słodkiemi uśmiechy,
A żadna siła nie będzie zdolna
Wydrzeć mi z serca pociechy.
I z pustyń nieprzebytych od zmarzłych potoków
I z ostatnich świata krańców
Usłyszysz głos nie tęsknot, nie stłumionych jęków,
Lecz głos błogosławiący, głos szczęścia wygnańca.
Ach! i ty której niegdyś przychylniejsze dłonie
Czyste pasmo dni złotych, dni szczęśliwych przędły,
Coś wiodła myśli moje przez nadziei błonie
Przybrane w kwiat uroku nigdy nie uwiędły,
Ty co i teraz nadzwykłym powabem
Odciągasz myśl ponurą od obecnej troski
W okrąg luby, w okrąg Boski
Wspomnień wyrytych na tem sercu słabem,
Ty! dla której stracony od ciebie daleki
Dotłoczony ostatnim ciężarem boleści,
Zamknę nie twoją ręką zawarte powieki,
Przyślij z zachodniem słońcem, ze wschodzącą zorzą

O twojem szczęściu donoszące wieści,
A oczy konające jeszcze się otworzą,
Raz jeszcze łez ostatnich obfitemi rzeki
Zaleją się szczęśliwie i usną na wieki.

Zamilkł... a zdumione skały
Wolnych jęków wygnańca odbić nie umiały,
Bo krajom tym przebaczeń słowa nieznajome.
Nigdy się nie obiły o brzegi ich strome,
A echa szpiegujące w milczeniu głębokiem
Ciekawem z głębi puszczy pozierały okiem.

KAZNODZIEJSTWO DRUŻBICKIEGO.

Rzecz oparta na rękopisach.

Jak wielu innych, tak i Drużbicki z całym ogromem dzieł i traktatów teologiczno-ascetycznych zginął na półkach naszych bibliotek. Jeden z najwybitniejszych pisarzy ascetycznych Europy, znany i współcześnie i dziś jeszcze daleko poza granicami Polski, u nas w kraju jest prawie nieznany. Drużbickim, kaznodzieją, jeszczeby się chętniej zajęło, przeczytało, ale o tym niestety wiemy tyle, co i nic. Krótka, pobieżna gdzieniegdzie wzmianka, oparta na tem, co przekazali nam pierwsi jego życiopisarze, lubo bardzo chlubna, zbyt może nęcąca, nie miała w końcu do czego nęcić, gdy jego pism kaznodziejskich zupełnieśmy nie znali.

A przecież ten zapomniany Drużbicki jest wybitną postacią kaznodziejską swojej epoki, już to ze względu na zapatrywania, już sposób kazania i styl sobie właściwy. Wszak w swoim czasie cisnęli się do jego mownicy, najświatlejsi mężowie, znakomita szlachta, obywatelstwo i lud otaczali tłumnie jego ambonę; cieszył się wielką sławą kaznodziejską i tej tradycya w książkach i podręcznikach przedostała się aż do naszych czasów. Nie mając jednak jego pism kaznodziejskich, trudno na tej tradycyi wiele budować.

Wprawdzie zaraz po świątobliwej jego śmierci żywo się nim zajęto i towarzysze jego zakonni, Jezuici, poczęli wydawać pozostałe dzieła, niektóre osobno, inne w zbiorowem wydaniu

kalisko-poznańskiem, ale kazania pozostawiono w rękopisach, odkładając, jak się zdaje, na późniejsze lata. Rozebrali więc między siebie wydawcy spuściznę kaznodziejską Drużbickiego i wraz z nimi rozsypała się ona po całej prowincyi polskiej. Przezorny prowincyał, O. Olszewski, kazał przedtem w obecności swojej zrobić dwom Ojcom, Orżewskiemu i Przeborowskiemu [1], katalog wszystkich rękopisów, w pokoju zmarłego znalezionych, ale i to nie wiele pomogło. Kiedy jeszcze przed kasatą zakonu O. Żułkiewski zabierał się właśnie do wydawania kazań, już o wiele dzieł i dopytać się nie mógł, lubo miał zanotowane, kto i gdzie wziął jaki rękopis. Przy tych zamiarach i staraniach zastała O. Żułkiewskiego kasata zakonu, a z nią życie tułacze. Równocześnie z kasatą zakonu przyszły nieszczęścia narodowe, tak, że prawdziwie tylko szczególnym zbiegiem okoliczności mogło coś ocaleć.

Tymczasem już w ósmym od śmierci Drużbickiego roku wychodzi po łacinie najlepszy jego żywot, napisany przez O. Daniela Pawłowskiego [2]. Pawłowski jest w tej mierze powagą, bo sam był nowicyuszem Drużbickiego, miał pod ręką wszystkie już dziś zaginione, prywatne jego notatki, z których wiele wcielił w swoje dziełko, jak dzienniczek, w którym Drużbicki opisywał cały swój stosunek do Boga i zakonu. Nikt więc nie mógł lepiej zrozumieć i odzwierciedlić nam pięknej duszy zmarłego. Dlatego też żywot napisany przez Pawłowskiego musi być podstawą i pierwszorzędnem źródłem dla wszystkich, co kiedykolwiek zechcą pisać o Drużbickim. Jakoż wszystkie inne żywoty, które mamy pod ręką, niczem innem nie są, jak skróconem opowiadaniem Pawłowskiego. Takim jest np. żywot u Jaroszewicza i na początku dziełka „o przygotowaniu do dobrej śmierci“ wy-

[1] *V. P. Gasparis Drużbicki e Societate Iesu, Poloni, Commentarii concionum apostolicarum in Dominicas totius anni.* Edidit Carolus Zułkiewius e. S. praecisus ramusculus. Pars verna. (Rękopis biblioteki starowiejskiej). Przygotowane kazania do druku pozostały dotąd w rękopisie.

[2] Znakomity ten żywot przetłumaczono nawet r. 1697 w Zamościu na ojczysty język p. t.: „Wierna życia W. X. Caspra Drużbickiego S. I. relacya teraz oyczystym językiem światu polskiemu z łacińskiego przetłómaczona.

dania pelplińskiego. Najmniej jeszcze zależny od Pawłowskiego żywot znajdujemy w herbarzu Niesieckiego.

Ale wszystkie te żywoty mają zupełnie inną cechę, niż ta jakaby nam do literackiego szkicu była potrzebna — bo też i w innym celu były pisane. Nie kreślą one tak działalności męża, czy to społecznej, czy pisarskiej i kaznodziejskiej, ale pisane dla pobożności i budującego przykładu odtwarzają nam raczej wewnętrzne życie Drużbickiego, z lekka i jakby mimochodem o tamte potrącając, tak, że nawet trudno w nich o dokładność ważniejszych szczegółów biograficznych. Jednakże i w tej formie ważne są owe żywoty, ile że kreśląc działalność kaznodziei, niepodobna jej odłączyć od życia osoby, jej charakteru, wykształcenia duszy i rozumu.

Literackiego żywotu Drużbickiego nie mamy i nie prędko go dostaniemy. Co z obowiązku wzmiankowali o nim sporadycznie historycy wymowy w Polsce, jest nader pobieżne i niewystarczające, bo nie opiera się na naukowej krytyce, ale na podaniu. Winować ich o to nie możem, bo nie ich winą, że zaginęły rękopisy Drużbickiego, że o nich dowiedzieć się nie mieli sposobności wśród nieszczęść, kraj i zakon dotykających.

Między innemi czytamy o Drużbickim np. w „Dykcyonarzu bibliograficznym powszechnym“: „Posiadał wszystkie przymioty doskonałego mowcy, 5 lat był kaznodzieją w Lublinie, słynny z cnoty i świątobliwości“ [1]. Historyk naszej wymowy, Mecherzyński, zebrał z Niesieckiego rzeczy odnoszące się do kaznodziejstwa Drużbickiego, i równie piękne wydał zdanie: „Książek — pisze on — mało używał: dlatego styl miał od innych kaznodziejów różny — prosty, szczery, ducha Bożego pełny. Nie krasomówcą, ale dobrym był apostołem“ [2]. W końcu ks. Pelczar w najświeższej historyi kaznodziejstwa równe z poprzednikami podziela o Drużbickim zdanie, z tą tylko różnicą, iż czyni wzmiankę z Browna o niektórych kazaniach [3].

[1] „Dykcyonarz bibliograficzny powszechny“. Warszawa. 1851.

[2] „Historya wymowy w Polsce“. Karol Mecherzyński. Kraków. 1860. T. III, str. 258 i 259.

[3] Ks. dr. Józef Pelczar, „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim“. Część II. Kraków. 1896.

Domniemywano się także, że Drużbicki kazań swoich nigdy nie pisał. Tak Mecherzyński: „Z kazań Drużbickiego żaden nie doszedł nas zabytek; zdaje się, że ich wcale nie układał na piśmie, ale mówił z pamięci, w prostocie i pobożności ducha, nie wiele troszcząc się o słowa“. Dopiero ks. Brown odnalazł w bibliotece kolegium starowiejskiego kilka jego rękopisów, między niemi przemowy ślubne, kilka mów pogrzebowych i cztery kazania pasyjne, o czem też dał znać w swojem dziele: „Biblioteka pisarzów asystencyi polskiej Towarzystwa Jezusowego“ [1]. Mocno zniszczone przez czas i mole, znać, że różnych miały panów i różne przechodziły koleje. Musiały bo oczywiście z Poznania przejść przez Białą Ruś, nim dostały się z wygnanymi Jezuitami z Rosyi do Galicyi. Oprócz tych rękopisów znaleziono w ostatnich czasach w krakowskiem archiwum prowincyi jeszcze inny zeszyt [2], dużo już lepiej zachowany, z krótkiemi naukami, może miewanemi do jakiejś sodalicyi lub bractwa. Mówione być musiały w każdym razie między r. 1623 a 1644, gdyż w nauce na wtórą niedzielę po Wielkiejnocy wspomina Drużbicki „o teraz panującym papieżu Urbanie“. Wspomnieć jeszcze muszę, że z owych kazań, przepisywanych do druku przez O. Żułkiewskiego, znajduje się jeszcze w bibliotece starowiejskiej jeden zeszyt, zawierający część wiosenną kazań. Cały pisany jest po łacinie, gdyż wydawca dla jednostajności wszystkie polskie kazania przełożył na łacinę.

Oto koleje, jakie przechodziła kaznodziejska spuścizna po Drużbickim. Drobna to zaledwie część z owego olbrzymiego materyału kaznodziejskiego, bo 24 tomów rękopiśmiennych obej-

[1] „Biblioteka pisarzów asystencyi polskiej Towarzystwa Jezusoweogo etc.“, napisana we Lwowie od r. 1852 do 1855 przez ks. Józefa Browna. Przekład z łacińskiego ks. Wład. Kiejnowskiego, kapł. Tow. Jez. Poznań. 1862. — Takąż samą wiadomość o kazaniach Drużbickiego zamieścił również ks. Augustyn de Backer w swojem dziele bibliograficznem: *Bibliothèque des écrivains de la Compagnie de Jesus...* Paris MDCCCLIX. t. I,

[2] W zeszycie tym brak karty tytułowej. Na okładce tylko napisano: *Dicuntur hae exhortationes esse scriptae a R. P. Gasp. Drużbicki S. I. manu propria Posnaniae.* Z charakteru pisma łatwo zresztą poznać, że pisał je sam Drużbicki.

mującego, które znajduję wymienione w katalogu znalezionym w jego pismach przez O. Żułkiewskiego. A było tam: *Exhortationum domesticarum* t. 8, *Concionum dominicalium* t. 6, *Concionum de festis, Passione, funebrium* t. 4, *Concionum variarum* t. 2, *Materiarum concionum* t. 3, *Materiae ad exhortationes domesticas* t. 1. Wszakże i z tego, co nas doszło, można już dziś utworzyć sobie jakieś zdanie o kaznodziejstwie Drużbickiego i nie uważamy za bezpożyteczne rzucić promień światła na tę ze wszech miar zajmującą postać XVII. wieku. Tak więc poznać jego osobę, rozpatrzyć się w naszych rękopisach i na ich podstawie wyjaśnić stanowisko Drużbickiego w historyi wymowy, oto zadanie niniejszej pracy [1].

I.

Kolebką rodzinną Drużbickich, herbu „Nałęcz zawiązany“, jest wieś Drużbice w województwie sieradzkiem, dwie mile od Piotrkowa, a sześć od Sieradza oddalona. Tu przodkowie naszego Kaspra fundowali kościół i dwóch plebanów było przy nim z tej rodziny. Urodził się dnia 6 stycznia 1590 r. z Piotra i Elżbiety Obiezierskiej, także herbu „Nałęcz zawiązany“. Czy włość ta była podówczas jeszcze w posiadaniu Drużbickich, nie możnaby stanowczo twierdzić. Pawłowski bowiem, mówiąc o przyjściu na świat Kaspra, powiada, że rodzice jego byli *praenobiles in palatinatu Posnaniensi* [2]. Niesiecki [3] nic wyraźnie nie mówi, ale wspomina, że już za jego czasów przeszła w ręce Trzebickich. Jedyny wreszcie Jaroszewicz [4] napisał jasno, że urodził się w województwie sieradzkiem. Być więc może, iż po sprzedaży rodzinnego majątku przenieśli się rodzice Kaspra w Poznańskie, gdzie zdobyli sobie pewne stanowisko, jak chce Pawłowski.

---

[1] Szczegółów biograficznych udzielił nam do tej pracy życzliwie ks. Jan van Meurs, kustosz jezuickiego generalnego archiwum.

[2] *Vita P. Gasparis Drużbicki, Poloni, Societatis Iesu.* Conscripta per P. Danielem Pawłowski, S. S. I.... Anno 1670. Cracoviae.

[3] Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego. Lipsk. 1839. T. 3.

[4] „Matka świętych Polska i t. d.“. Przez Floryana Jaroszewicza. W Niemieckich Piekarach. 1850. Cz. II, zeszyt IV.

Wychowanie odebrał bardzo staranne. Rodzice niezarażeni grasującemi w całej Polsce nowinkami religijnemi, od pierwszej młodości wychowywali go w prastarych tradycyach narodowych, a w sercu do dobrego skłonnem łacno przyjmowały się pierwsze, poczciwe, katolickie zasady i przestrogi. Gdy podrósł, oddali go rodzice na naukę do szlacheckiego konwiktu Jezuitów w Poznaniu. Kasper z całym zapałem młodzieńczych sił oddał się naukom. Odznaczał się między rówieśnikami przy wielkich zdolnościach wytrwałą pilnością i pewną wyższością umysłu. W 19-tym roku życia, 14 sierpnia 1609 r., wstąpił w Krakowie u św. Macieja do nowicyatu Jezuitów.

Tu pod ojcowskiem okiem mistrza nowicyuszów, O. Andrzeja Gutthaeter Dobrodziejskiego, stawiał pierwsze kroki na drodze doskonałości zakonnej. Sumienny w zachowywaniu przepisów, wierny swoim postanowieniom, które czynił na modlitwie pod wpływem światła Bożego, szybko po niej postępował. Po przepisanej dwuletnej próbie złożył pierwsze śluby zakonne w uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Panny.

Roku 1611 widzimy Drużbickiego w Lublinie między słuchaczami retoryki, którą wykładał O. Seweryn Branscensis. Trzy następne lata oddaje się studyom filozoficznym w Kaliszu, mając za profesorów OO. Jana Roguskiego i Scypiona Kachorowskiego. W Kaliszu datuje się początek zawodu pisarskiego Drużbickiego. Wtenczas bowiem spotykamy się z pierwszemi jego pracami ascetycznemi, które odtąd co roku wzrastają bez przerwy.

Po skończonej filozofii według zwyczaju Towarzystwa przeznaczono go na magisteryum do konwiktów. I tak 1615 roku uczy w Lublinie poetyki, następnego wykłada tamże zasady wymowy i w Toruniu 1617 r. Teologii słucha w Poznaniu w latach od 1618 włącznie do 1622. Spotkał tu znakomitych teologów i profesorów: Zorawskiego, Wolbormsa, Redwickiego, Borszyńskiego, ale pierwsze w tem uczonem gronie miejsce zajmowali: jeden z twórców i pierwszych profesorów późniejszej akademii Jezuitów w Krakowie, Mikołaj Lęczycki, lektor Pisma św. i Jakób Golemowski, lektor teologii dogmatycznej, później również profesor akademii. Z wiosną 1622 roku otrzymał, ile wno-

sić można z Pawłowskiego, święcenia kapłańskie i 2 kwietnia pierwszą mszę odprawił.

Zaraz po skończonych studyach odprawia 1622 r. t. zw. trzecią probacyę w Jarosławiu pod kierownictwem O. Krzysztofa Anioła (Angelus). Grasująca w tym roku na Rusi morowa zaraza daje Drużbickiemu sposobność do heroicznego aktu miłości bliźniego. Ślubem obowiązuje się usługiwać zarażonym, a ten wraz z przysięgą, własną krwią podpisany, składa na ołtarzu Najśw. Sakramentu. Jedyną jego myślą i pragnieniem było ponieść śmierć męczeńską za Chrystusa: „Najsłodszy Panie Jezu Chryste, któryś męki i śmierć za mnie poniósł: z daru łaski Twojej, pragnę i błagam i ofiaruję się cierpieć i umrzeć za Ciebie; o, obyś, obyś mi dał wylać krew i życie za Ciebie położyć, któryś za mnie swoje dał".

Z czasem ukończenia probacyi w Jarosławiu zaczyna się dla Drużbickiego inne życie. Dotychczas, prócz magisteryum w Lublinie i Toruniu cały czas poświęcał własnemu wykształceniu. Z obecną zaś chwilą wychodzi na widownię publiczną i zaczyna się okres pracy, a pracy ciężkiej, do grobowej deski.

Najpierw wykłada w Lublinie przez dwa lata (1623 i 1624) filozofię, przewodnicząc zarazem sodalicyi prawników, *iuris consultorum*. Ważnym był bardzo ten obowiązek, ile że Lublin był miastem sądów trybunalskich wiosennych, a palestra, jeśli gdzie w Polsce nie leżała wówczas odłogiem, to pewno w swoich stolicach, Piotrkowie i Lublinie. Lektorem filozofii był rok jeszcze w Kaliszu, gdzie 3 maja 1626 r. złożył profesyę zakonu. W ciągu tegoż roku powołano go do Krakowa na mistrza nowicyuszów i rektora u św. Szczepana. W 5 lata później zostaje prowincyałem. Rządy prowincyi otrzymał Drużbicki z rąk wizytatora Pompiliusza Lamberteng, który po ostatnim prowincyale Pichercie nią sterował. Czasy były przykre, a pełne niebezpieczeństw, trudne więc czekało zadanie nowego prowincyała.

Za daleko odwiodłoby nas od zamierzonej drogi szczegółowe omawianie rządów Drużbickiego. Nie wspominamy dlatego bliżej o sprawach, tyczących się wewnętrznej administracyi zakonu, ani o dwu ważnych procesach, jeden o zapis Męcińskiego,

drugi o dziesięciny z ks. Grzybowskim. Punktem niejako środkowym, około którego obracały się podówczas interesa prowincyi, była akademia krakowska i kolegium Jezuitów przy kościele św. Piotra i Pawła. Młodziutkim był jeszcze Drużbicki, kiedy rozpoczynały się spory między Jezuitami a krakowską akademią Jagiellonów. Pewno, jeśli coś o nich zasłyszał, nie myślał, że kiedyś będzie się żywo musiał zainteresować tą sprawą. W obecnej chwili zbliżała się już ku końcowi, ale dlatego właśnie bardziej wrzały obustronne zabiegi i troskliwszej wymagały opieki. Drużbicki dla nadania tej sprawie jednostajnego toku cały ów głośny spór pozostawił głównie w rękach rektora akademii, Łęczyckiego. Mimo to nie usunął się od niego. Nie mamy dowodów, ale wnioskować można, że Drużbicki należał do partyi Jezuitów przychylnej otworzeniu akademii. Być może skłaniały go do tego pomyślne dekreta roty rzymskiej, lub może nie chciał tak łatwo odstąpić od przywilejów zakonu, który reprezentował— faktem bądź co bądź zostanie, że przemawiał za otworzeniem jezuickiej akademii. Jakoż 1632 r. wychodzi z druku jedyne jego pióra polemiczne pismo: „Deklaracya memoryału exorbitancyi i processu Akademii krakowskiej, między stany koronne podanego 1632“ [1], w odpowiedzi na „Memoriale eksorbitancyi i processu akademii krakowskiej“, który akademicy byli wnieśli po śmierci Zygmunta III. na sejmie konwokacyjnym. Dlaczego dopiero teraz, pod koniec swego prowincyalatu, zabrał Drużbicki głos w tej sprawie, nie trudno się domyśleć. Póki żył Zygmunt III., lubo Jezuici mieli wielu przeciwników w szlachcie i duchowieństwie, przecież w królu znajdowali zawsze gorącego zwolennika. Po śmierci Zygmunta pomocy znikąd nie można się było spodziewać, trzeba więc było na własną rękę rozwinąć działalność. Koniec tej sprawy znany jest aż nadto dokładnie z historyi.

Tymczasem z końcem 1632 r. Drużbicki oddaje prowincyalstwo następcy swemu, O. Hinczy, sam zaś objął rektorat w Kaliszu, poczem 1634 r. został instruktorem trzeciej probacyi

[1] Jocher Adam, „Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce“. Wilno.

w Jarosławiu. Na rok 1636 i 1637 otrzymał Drużbicki ambonę trybunalską w Lublinie. Aż po rok 1650, w którym powtórnie został prowincyałem, sprawuje Drużbicki rektorstwo w Ostrogu, w Krakowie u św. Szczepana, wreszcie w Poznaniu. W tym czasie aż cztery razy posłował do Rzymu w sprawach prowincyi polskiej i był wyborcą aż trzech generałów zakonu.

Mało bardzo posiadamy wiadomości do jego życia z czasów powtórnego prowincyalstwa. Pod koniec już widzimy go we Lwowie, jak w czasie wizyty kolegium wita w imieniu swego zakonu Stefana Czarnieckiego, który pobiwszy Rakoczego 22 lipca 1657 r., odprawił 7 sierpnia uroczysty wjazd na województwo ruskie i w jezuickim kościele przed cudownym obrazem św. Stanisława Kostki dziękował Bogu za zwycięstwo. — Ostatnie lata życia przepędził Drużbicki na stanowisku rektora poznańskiego od 29 listopada 1657 r. Cenił go sobie wielce król Jan Kazimierz i zapraszał na dworskiego kaznodzieję; ledwo mu się zdołał wymówić Drużbicki starością: „myśleć mi już o śmierci i sądzie Boskim, a nie ubiegać się o zaszczyty kaznodziejskie“, odpisał królowi. Ale nie zaznał spokoju, bo w Poznaniu inne czekały go kłopoty. Od r. 1651 była restauracya kolegium poznańskiego. Postanowiono przerobić z gruntu kolegium, biskup Kazimierz ks. Czartoryski poświęcił kamień węgielny pod nowy kościół. Tymczasem wybuchła za panowania Jana Kazimierza wojna szwedzka, a po niej morowe powietrze i zaburzenia w kraju wstrzymały zupełnie fabrykę, a kolegium przyprowadziły do ruiny. Szwedzi zniewolili zakonników do opuszczenia miasta, i z nienawiści ku Jezuitom pastwili się nad gołemi murami kolegium. Najpiękniejsze sale parterowe zamienili w stajnie, pokoje zaś na piętrach tak ogołocili, że nawet drzwi, okna i podłogi powyrywali. Tak spustoszone kolegium zastał Drużbicki. Jął się pracy szczerze i przy pomocy hojnych datków mógł przyprowadzić kolegium nietylko do dawnego stanu, ale pod rządami jego posuwała się dalej budowa kościoła [1]. Cały ten czas zresztą

[1] Ukończono ją dopiero po śmierci Drużbickiego 1701 roku. Plany do tej budowy podał Jezuita ks. Bartłomiej Wąsowski.

obok obowiązków przełożonego, wypełniała mu aż do ostatniej chwili niezmordowana praca apostolska w konfesyonale i na ambonie, od której nigdy się nie uchylał. Jeszcze w ostatnim roku życia, a 71 ich już liczył, miewał kazania pasyjne w Poznaniu. Ze zwykłą starannością wypracował je sobie piśmiennie — mamy właśnie cztery ich pod ręką.

Z wczesną wiosną 1662 r. zapadł w ostrą febrę. Czując zbliżającą się śmierć, kazał zaopatrzyć się na drogę wieczności Ostatniemi Sakramentami. Do łoża umierającego cisnęli się prałaci i znakomita szlachta, by widzieć, jak święty zgadza się z wolą Bożą, a prosić o modły i błogosławieństwo. Nadszedł wreszcie kres życia 2 kwietnia. Około 7 godziny z wieczora oddał Bogu piękną swoją duszę. Był to właśnie dzień czterdziestej pamiątki pierwszej Mszy św.

Pobożne od pierwszej młodości wychowanie, połączone z pewną uczuciowością charakteru wprowadziło Drużbickiego w serdeczny stosunek z Bogiem, zachowało w niewinności obyczajów i bojaźni Bożej, w szacunku wszystkiego, co święte i wyższe. Dzieckiem już umiłował Boga, niczego nie pragnął, jak żeby Jemu się podobać. Powołanie więc zakonne padło na dobry grunt. Z wielką gorliwością, a razem szacunkiem i stanowczością szedł Drużbicki jasno określoną drogą do wytkniętego celu doskonałości zakonnej. Pod względem wysokiego nastroju ducha i niezwykłej świątobliwości życia był to jeden z wyjątkowych ludzi, jakich Kościół polski niewielu liczy.

Jako pisarz ascetyczny był płodności niezmiernej. Dzieła te nie były wypływem teoretycznego umysłu, ale wypływały wprost z głębi serca i z jakiejś nadnaturalnej intuicyi świętego. Otrzymał w czasie modlitwy silne wewnętrzne oświecenie o jakiejś sprawie, lub po długiej pracy wzbogacił duszę blaskiem jakiej nowej cnoty, — zaraz z tych blasków wewnętrznych i świateł Bożych, jako bezpośrednie odzwierciedlenie duszy, wypływało ascetyczne dzieło. Stąd w dziełach tych owo szlachetne przejęcie, przejrzysta jasność przedmiotu, uderzająca prawda. Styl prosty, ale wdzięczny, miejscami jakby niedbały, częstokroć znowu wznosi się w serdecznem uczuciu. Pisał je często w dro-

dze na popasach, czem właśnie można sobie ową nierówność wypracowania tłumaczyć. Mimo to zajmują poczesne miejsce w literaturze ascetycznej, gdyż obok gruntownej nauki teologicznej, pisane są z wielką znajomością życia i potrzeb dusz. Pisał nietylko prozą, ale i mową wiązaną. Tak wiemy, że będąc jeszcze na studyach, układał hymny łacińskie *De aeterna sapientia;* potem znajdujemy pełen pobożnego uczucia hymn: *Septem gaudia et septem dolores S. Iosephi.* Polskim rytmem przetłumaczył z Jakóba Baldego, „Sen żywota ludzkiego“ [1]. Jak kazania, tak wiele z jego pism zaginęło, ale dokładny spis ich mamy w rękopisie O. Żułkiewskiego.

II.

Kiedy w r. 1636 wstępował Drużbicki na ambonę trybunalską w Lublinie, nie było już ani Wujka, ani Skargi, a pamięć i tradycya ich pięknej, pełnej religijnego namaszczenia wymowy dziwnie prędko przebrzmiała pod wpływem czasu zupełnie innej szkoły. Prawda słowa Bożego zaczęła wyglądać wśród tych ludzkich pomysłów jak piękny zabytek sztuki, przez zaniedbanie a nieumiejętność coraz bardziej zatracający szlachetność pierwotnych konturów. Bo nie tak myślą, jak sposobem jej przedstawienia, wyradzało się kaznodziejstwo. Nie chodzi nam jednak o powtarzanie zbyt już znanych poglądów na epokę panegiryczno-makaroniczną. Znajdziemy je w każdej literaturze, w każdej niemal monografii raz po raz powtarzane. Zaznaczyć tylko musimy, że Drużbicki, lubo wypełnia prawie całe XVII. stulecie, przecież duchem stoi raczej w fazie przełomu między klasycyzmem, a kaznodziejami panegirycznymi.

Pamiętać musimy, że Drużbicki nie żył jeszcze w najgorszych dla kaznodziejskiej literatury czasach; miały one niebawem dopiero nastać, kiedy chylił się już ku wieczorowi swojego

[1] „Sen żywota ludzkiego przez Jakóba Balde S. I. napisany, od jednego zakonnika S. I. rytmem polskim wyrażony“. Poznań 1689. 16-ka. — Cfr. Brown l. c. — Hymn: *Septem gaudia et septem dolores S. Iosephi* — pierwszy raz wydrukowano w Starejwsi dopiero r. 1890. W polskim przekładzie ks. Żułkiewskiego znajduje się w jego rękopisach.

żywota. Pod ten czas zepsucie stylu zdobywało sobie dopiero byt i panowanie w literaturze, nim wystąpiło we wszystkich swoich formach. Owszem nawet u pierwszych kaznodziejów z XVII. wieku nie uderza na pierwszy rzut oka żadna zmiana, lub różnica w pojęciach, czy formie — mowa ich tchnie jeszcze starożytną klasycznością, a język piękny, czysty, sprawia że nie można dojrzeć, gdzie się owe zmiany poczynają i jak się rozwijają. Ale co jest już wydatnem, to jak uważa prof. Tarnowski, mniejszy zasób sił i stopień żywotności. Im później jednak, tem braki coraz wyrazistsze, coraz bardziej stają się określone, upadek coraz widoczniejszy. Występują w nim kaznodzieje wychowani w tradycyach klasycyzmu, lecz nowa moda tak dziwnie im się podoba, tak łacno skłaniają się do wymagań nowej szkoły i one uprawiają z takiem powodzeniem i poklaskiem, że nie potrafią sobie zdać sprawy i znaleźć granicy w tej wolności myśli i formy. Za owym zwyczajem w praktyce powoli musiała wciskać się i do szkół metoda t. zw. niepospolitego mówienia. Ale wszystko to natrafiało jeszcze na mężów w szkole, na ambonie i w piśmiennictwie, którzy usiłowali położyć tamę niedobremu obyczajowi. Obok zwolenników nowego prądu spostrzedz można kaznodziejów o smaku lepszym i zdrowszych poglądach, którzy przesiąknięci duchem mowców epoki Zygmuntowskiej lub pamiętając jeszcze ich żywo, poznawali braki i śmieszności wymowy panegiryczno-makaronicznej. Mimo to były to tylko bezsilne usiłowania, gdyż wbrew zamiarom popadali zwykle sami w błędy, na które powstawali. Najcelniejsi mężowie rozumem i talentem ulegli tej wadzie i wszystkim przypadała do gustu szumna przesada i gadatliwy dowcip. Podobny dysonans między teoryą a praktyką świadczył tylko, jak trudno jest ustrzedz się błędów swojego wieku. W tym rzędzie stał Birkowski, Starowolski i nasz Drużbicki — wszyscy biadali, utyskiwali, takiemu Drużbickiemu wstrętnemi wręcz zdawały się te błędy, a jednak żaden z nich nie zdołał się uchronić od nich całkowicie. Jest to więc czas przejściowy, jakiegoś wahania, ale w którym dawne zasady dogorywają, a nowe mają byt zapewniony.

Drużbicki wziął również czynny udział w tym ruchu pojęć i jasno a dobitnie wypowiedział swoje zdanie szczególnie w odpowiedzi Janowi Kazimierzowi, gdy zapraszał go na dworskiego kaznodzieję. Pisał królowi: ... „zresztą mam zgoła różny sposób kazania od dworskiego, gdzie za nic nie mają prawdy nauki chrześcijańskiej i pobożnego uczucia, radzi jeno konceptom, nowostkom i subtelnościom. Ten zaś rodzaj mowy jest mi zgoła wstrętnym, jako niezgodny nietylko z duchem Kościoła i Ojców św., ale także z obyczajem katolickim, i przeciwny dobru ludu chrześcijańskiego, celowi kazań, a Bogu się nie podoba; za jakim więc obyczajem pójść i sumienie mi nie pozwala i przyzwyczajenie". Tak pisał już pod koniec swojego życia. Kilkadziesiąt lat przedtem poruszył podobną kwestyę w kazaniu na pogrzebie Anny Kostczanki, księżnej Ostrogskiej. Uszy słuchaczy były już snać dobrze wzwyczajone do słuchania pochlebstw po świątyniach Bożych, gdy kaznodzieja niemal tłumaczyć się musi, że opuszcza genealogię zmarłej. „A l e n i e m o j a r z e c z g e n e a l o g i ą w y w o d z i ć, a zwłaszcza u tych, którzy tego daleko są wiadomszy. Niech na tem dosyć będzie: iż się ozywa krew królów polskich i książąt Mazowieckich. Ozywa się krew królów dawnych ruskich, a przy nich i cesarzów carogrodzkich, a z nich wychodzących książąt Ostrogskich. Żywa krew Wielmożnych Odrowążów i Kostków, która nietylko na naszym polskim świecie ozdoby swoje rozsadziła, ale też i w niebie ma swoje, Kościoła powszechnego świadectwem ogłoszone. A t o w s p o m n i a w s z y, n a m o j ą p r o f e s y ą m n i e m a m, i ż d o s y ć, b o ż y w y c h a n i o b e c n y c h z a c n o ś c i p r z y p o m i n a ć, z k t ó r e m i t e n n a s z p r z e j a z n y o k r ę t s p o j o n y b y ł, n i e n a l e ż y m y m z d a n i e m..." Jak publicznie nieraz występował przeciw wkradającym się błędom w kaznodziejstwo, tak często narzekał między swoimi, jak świadczy Pawłowski, że kaznodzieje miasto szukać chwały Bożej i pożytku słuchacza, ubiegają się za swoją własną, chwałą i korzyścią, uciekając się do pochlebnych słów i dziwacznych pomysłów na ambonie. Jezuici również nie byli wolni od błędów stylowych swojego wieku i za czasów Drużbickiego dobrze już musieli w nie zabrnąć, kiedy aż jenerał

zakonu Piccolomini 1650 roku, upomina ich w liście do prowincyała, właśnie Drużbickiego, ażeby zaniechali „stylu, który od dawnej prostoty Ojców odstępuje a w dworaczość powoli się przerabia, obcemi frazesami napstrzony, pełen szumnych tytułów rodowych, i formułek wyszukanych, afektowanych, dziwacznych, a próżnością światową tchnących“ [1]. Zapatrywania swoje na urząd kaznodziejski w ówczesnych stosunkach zamknął Drużbicki w kilkunastu bardzo jeszcze dzisiaj cennych i pożytecznych uwagach. Nie możemy ich nie przytoczyć w całości, ile że dają nam obraz charakteru i pracy naszego kaznodziei. Podaje w nich niektóre wskazówki tyczące się metody kaznodziejskiej, zdobyte własnem doświadczeniem i praktyką; żeby, jak pisze, młodych kaznodziei uchronić od przykrości, jakich sam zaznał w tym urzędzie. Kiedy je pisał, nie wiadomo, w każdym razie w późniejszym już wieku, a więc nie ułożył ich dla uczniów swoich, jako profesor retoryki — przypuszczać wolno, że może właśnie jako prowincyał chciał je podać uczącym się lub młodszym kaznodziejom, jako sposób pozbycia się grasujących błędów. Uwag tych jest 16:

1. Kaznodzieja niech napisze kazanie w właściwym czasie, całkowicie, w ojczystym języku; napisane powtórnie przeczyta i poprawi starannie i już jak gdyby się miał go uczyć na pamięć, niechaj znowu czyta, uważając na związek między pojedynczemi częściami i połączenia, zastosowanie moralne i przejścia z jednej części kazania do drugiej.

2. Nie potrzeba, żeby uczył się kazania dosłownie, jak napisał, wystarczy pochwycić w pamięci samą treść i mieć przed oczyma punkt wyjścia. Uczucia przecież ważniejsze powinien podkreślić i wedle możności dosłownie się ich wyuczyć; żeby zaś w ciągu kazania mógł się do nich odpowiednio wznieść, winien dobrze zrozumieć ich źródło i zadanie i położyć pod nie w nauce odpowiedni grunt. Przejścia do afektów niech się również stara jasno mieć w pamięci — chyba, żeby mu się lepsze w czasie samego kazania nasunęły. Zdarza się bowiem, iż kaznodzieja lubo

[1] Cfr. Ks. St. Załęskiego. „Czy Jezuici zgubili Polskę“ i „OO. Jezuici przy kościele św. Piotra i Pawła w Krakowie“.

dobrze obmyśli i napisze, wypowiada je chłodno, bez wrażenia, ponieważ w nie wpadł w chwili nieodpowiedniej, lub nie dał im należnej podstawy.

3. Pożytek, jaki z kazania chce osiągnąć, i cel niech zawsze ma na oku, i to nietylko jakiś ogólny i nieokreślony obraz. Kiedy się więc zabiera do przygotowania kazania, niechaj sobie przedewszystkiem określi, co chce w kazaniu wyłożyć i jakiego skutku w słuchaczach oczekuje. Dopiero stosownie do tego zastosuje Ewangelię i cały przedmiot, niech zbierze sobie racye, dowody i zdania pisarzy, uczucia, przykłady i tak będzie miał albo materyę do mówienia gotową, albo w każdym razie wytkniętą jasno drogę i nie będzie wertował książek po omacku, lecz zdeterminowany w takich będzie szukał, które traktują o danym przedmiocie.

4. Kazanie powie najpierw przed sobą samym, jakby kazał z pamięci, ćwicząc się w jego wygłoszeniu, mając jednak przed sobą na karcie ogólny jego rys. Jest to bowiem nader pożytecznem, owszem niezbędnem, żeby wypróbował się kaznodzieja, poznał, w której części czuje się słabszym, którą dobrze, a którą mniej dobrze posiadł, czy jasno wykłada, w czem jest bardziej jałowym i t. d.

5. Niechaj nie wyszukuje amplifikacyj polegających w gromadzeniu słów, lecz raczej stara się o rzeczowe. Słuchacz bowiem odnosi z tego większy pożytek i pewniejszy skutek, a kaznodziei łatwo jest zapamiętać. Łacniej jest zapamiętać, jaka byłaby racya, jaki dowód z Pisma św. lub doktorów Kościoła ma się przywieść, jaki przykład lub porównanie, niż jakiego słowa użyć, coby za frazesik złożyć, gdzie przecinek położyć, czy antytezy czy też ekspolicyi użyć. Nie przeczyłbym, że rozmaitość wysłowienia pomaga również pamięci, jak gdy np. najpierw powie się coś prostym oznajmującym trybem, następnie przez którą z figur, pytanie, lub pominięcie czy apostrofę. Kiedy bowiem mamy w pamięci porządek figur, łatwo się pamięta deklamacyę i rzecz jakby sama z siebie przychodzi.

6. Niech dobrze przejrzy i zrozumie, które miejsca w kazaniu są wyrazistsze, piękniejsze, pożyteczniejsze i więcej wy-

magające nacisku, ażeby je lepiej wypracował stylistycznie i w wygłoszeniu, gdy się będzie już uczył.

7. Przewidzieć powinien i zanotować w kazaniu miejsca jakby wspólne, przy których mógłby się dłużej zatrzymać lub łatwo i prędko się do nich uciec, gdyby go przypadkiem pamięć zawiodła i co miał powiedzieć nie zaraz na czasie zdołał sobie przypomnieć.

8. Podzieli kazanie na części, części zaś na odpowiednie punkta. Części kazania traktować będzie na sposób dyskursów, albo, jeśli zechce w formie chryi, aczkolwiek w poszczególnych częściach kazania nie zawsze potrzebuje użyć wszystkich jej działów, lecz jednych w jednej, w innej drugich dla rozmaitości i pokrycia sztuki krasomowczej; pomoże mu to, żeby mógł swobodnie nawiązać dowody z Pisma św., których zamierzył użyć w celu ukształcenia obyczajów, czy pobudzenia woli.

9. Niechaj się stara pouczyć słuchacza w swojem kazaniu o jakiejś cnocie teologicznej w zastosowaniu do powszedniego życia, przedewszystkiem zaś do naśladowania i miłości Chrystusa Pana i niech go zawsze oświeca. Wdzięcznem to bowiem jest dla słuchacza i pożytecznem: przyczyni się do dobrej opinii kaznodziei, a przedewszystkiem obfitego owocu kazania. Często zdarza się widzieć, że lud jest do czegoś zachęcony, a nie wie do czego, i każe mu się coś czynić, a nie uczy się go, co ma czynić, albo dlaczego i jak ma to wykonać. Nieraz wreszcie uczy się go wprawdzie, ale nie widać z tej nauki żadnego pożytku, lub bardzo mały, po wielu nawet długich i gorących kazaniach, bo ta nauka nie wspiera się na gruntownych teologicznych podstawach i prawdach wiary św., jeno motywuje ją kaznodzieja jakąś płytką gadaniną.

10. Uczuciami raczej łagodnemi, niż gwałtownemi, karcącemi, niech się posługuje, tj. słuchacz czuć powinien, że kaznodzieja lituje się nad grzesznikami, — np. tym sposobem nad zausznikami, skąpcami i t. p., iż marnościom służą: na cóż się wam to przyda? co przyniesie? jakiżże macie teraz pożytek z tego, czego wam w obecnej chwili wstyd? Podobne bowiem uczucia nie rozjątrzają ani potwierdzają dusze w uporze, gdy

przeciwnie wszelkie inwektywy pozbawione współczucia, krytyki obyczajów źle zazwyczaj bywają przyjmowane, a kaznodziejów takich zowią satyrykami.

11. Kiedy przybędzie już na miejsce, gdzie ma rozpocząć urząd kaznodziejski, niechaj się postara zbadać charakter owego miejsca, skłonności i poziom wykształcenia ludzi tj. swoich przyszłych słuchaczów. Niech się rozpyta, jaki rodzaj mowy, jakiego kaznodzieję najbardziejby sobie chwalono; co podobało się w jego poprzedniku, co przeciwnie raziło? jakie grzechy zakorzenione są w okolicy? ażeby nie zaraz przeciwko nim występował, lecz wpierw zjednał sobie i podbił umysły nadewszystko swoją pokorą, uprzejmością, miłością i sercem dla każdego otwartem, gorliwością o postępek bliźniego w cnotach, o zbawienie dusz. Dowiedzieć się winien nadto, czyby sama ludność nie widziała, coby powszechnie pragnęła poprawić? czy może jaki prastary, a budujący obyczaj nie poszedł w niepamięć? coby dobrego mógł zdziałać i rozbudzić w okolicy i słuchaczach? Ważną jest również rzeczą dla kaznodziei poznać budowę kościoła i położenie kazalnicy, względnie w którą stronę przeważnie winien się zwracać wśród nauki, czy prosto stać, czyli w bok się zwrócić, lub czy należałoby się naprzód pochylić? Niechaj ma jakiegoś zaufanego człowieka czy to z domowników, czy nawet z obcych, wiernego i doświadczonego, któryby sam albo przez drugich wyrozumiał o nim i jego kazaniach sąd miasta, czegoby sobie w nim życzono i jak są względem niego usposobieni.

12. Niech w kazaniu połączy zawsze naukę z uczuciem tj. uwzględni owo połączenie, jakie zachodzi pomiędzy rozumem a sercem człowieka, tak jednakże, aby wzniecenie uczucia poprzedziła zawsze nauka. Rozsądkowi zaś kaznodziei zostawia się już, na rozum li czy uczucie ma większy położyć nacisk, wedle okoliczności czasu, miejsca, najbardziej słuchacza. Co się zaś tyczy przekonania rozumu, powinien kaznodzieja uważać, żeby prawdę, której dowieść zamierzył, wyprowadził z zasadniczych jej podstaw, lub przynajmniej z wyższych jakichś religijnych prawd i przy tej sposobności jakby mimochcąc w przechodzie

ale stanowczo i użytecznie, z tychże samych zasad wyprowadził słuchaczowi ściśle z rzeczy wypływające albo mające z nią związek zastosowanie moralne. To bowiem nietylko słuchacza poucza i interesuje, ale prócz tego jedna wiarę dowodom, przywiedzionym dla poparcia zamierzonej prawdy. Szczególnie zaś wyższe owe prawdy, o których rzekłem, należałoby czerpać z artykułów wiary św., albo te, których naturalnem światłem rozumu można dojść, lub są powszechnem przekonaniem utrwalone. Ważnem jest, i oto się powinien starać kaznodzieja, ażeby sam przedmiot gruntownie posiadał i jasno zrozumiał siłę dowodów i jasno one wyłożył, by przypadkiem nie zaciemnił raczej, co chciałby objaśnić. Dlatego nie dość jest napisać dowodzenie i wnioski, ale trzeba je nadto doskonale w rozumie i pamięci przetrawić i przejść jeszcze przed kazaniem powtarzając w związku z całością.

13. Kaznodzieja, jeśli chce z pożytkiem głosić słowo Boże i pragnie, żeby dobrze wypadło jego kazanie, powinien być nader skromnym, tj. aby nie wysilał się bardzo dobrze kazać, ale niech pamięta zawsze, że trudno się wszystkim podobać. Dlatego niech się ofiaruje na przygany, o jedno się tylko starając i do tego zmierzając, żeby mówić z pożytkiem. Widziałem wielu, niechcących głosić słowa Bożego z obawy jeno, że im się kazanie nie powiedzie, którzyby skądinąd dobrymi mogli być kaznodziejami, gdyby tylko potrafili zrozumieć, że mogą także mniej dobrze mówić. Chcieć mianowicie za głupiego być poczytanym daje wolność, podczas gdy nic bardziej nie krępuje, jak chcieć być zawsze bez przygany. Trudno bowiem wszystko równie mądrze czynić, o co gdy się niektórzy ubiegają, mnóstwo znajdują trudności i w końcu nic nie czyniąc sami nie widzą, że są najgłupszymi.

14. Niech często w dowodach swoich i zastosowaniach zwraca się do ludu, postanowienia robi dosadne i w właściwem słuchaczowi przedstawi świetle, aby sam mógł osądzić swoje życie, przekonać się o prawdzie i z podanych zasad przyjść do najbliższych wniosków. Tak kaznodzieja osądzi swojego słuchacza własnemi jego usty, potępi, przekona. Najlepszy to z pe-

wnością sposób i metoda nauczania z ambony, zwłaszcza gdy podobne zastosowanie uprzedzą pewne, silne i niezawodne racye.

15. Nieużytecznym zgoła jest ów zwyczaj mówienia oderwany od praktyki życia i jakby tylko deklamatorski, gdy przeciwnie wielkie przynosi owoce, jeśli w kazaniu wchodzimy w szczegóły, osobiste potrzeby słuchacza, przemawiamy i gwarzymy z nim po przyjacielsku, zniżając się doń tak, żeby widział i czuł, że o nim i do niego i o jego właśnie sprawach mówisz i te masz na uwadze.

16. Kaznodzieja winien często błagać Boga, żeby mu dał łaskę rozumienia Pisma św., dał i ducha jakby prorockiego [1].

„Skreśliłem powyższe uwagi, kończy Drużbicki, gdyż i mój sposób kazania był zbyt cięty i surowy. Stąd wielu odstręczyło się od rozmowy ze mną i spowiedzi. Wyobrażali mnie sobie albowiem takim samym w konfesyonale, jakiego widzieli na kazalnicy. Zastanawiałem się więc, czyby nie należało mi chwycić się łagodniejszego sposobu, czy też surowością wstrzymywać moich słuchaczów, żeby nie odważali się grzeszyć, będąc przekonanymi, że mają kaznodzieję, który nie zwykł niczemu przebaczać. Uważam przecież za rzecz roztropną, by pierwsze kazania w miejscu świeżo mi przeznaczonem mówić łagodniej i z pewnem raczej pobłażaniem, dopóki nie pozyskam serca i opinii ludności".

Nie moglibyśmy doprawdy znaleźć nigdzie lepszego, wierniejszego obrazu Drużbickiego jako kaznodziei, jak właśnie w powyższych, własną ręką skreślonych uwagach. Ileż w nich doświadczenia i praktyki kaznodziei, który już patrzył na niejedno, niejedno sam przeszedł i wypróbował. Obok tego rysu osobistego rzucają nam one jakieś światło na ówczesne stosunki kaznodziejskie. A jeżeli przy zestawieniu tych uwag z kazaniami Drużbickiego nie zawsze w nich dojrzymy ich zasto-

[1] Ostatnie wyrażenie nie jest dość trafne i źle mogłoby być zrozumiane. Dlatego ks. Pawłowski objaśnia, że ma się rozumieć pod darem i duchem prorockim nadprzyrodzona zdolność przenikania serca połączona z umiejętnością przemawiania do serca słuchaczy. Uwagi te spisał Drużbicki po łacinie.

sowania, to świadczyć to będzie tylko o sile panującego ducha czasu. W każdym razie ciekawą będzie obserwacya, w jakiej mierze człowiek tak wysoko ponad swoim czasem stojący duchowi czasu ulega.

Drużbicki znalazł silną tarczę ochronną przeciw wpływom panegiryzmu w swej nadzwyczajnej surowości życia i w unikaniu wszystkiego, co świat przypominać mogło. Stąd w mowach jego śladów zepsutego stylu znajdujemy dużo mniej, niż u innych współczesnych kaznodziei. Znaczą się jednak te ślady i u niego, że na nie w tem miejscu mimochodem wskażemy. Najpierw ogromna znajomość i oczytanie w starożytnych pisarzach wyrabia czasem u Drużbickiego wcale nieodpowiednią ambonie erudycyę. Przywodzi przykłady ze starożytnego świata, nieraz śmieszne anegdoty lub zapatrywania z nich zaczerpnięte, to znowu cytuje poetów pogańskich. Znajdziem u niego historyczne reminiscencye z Plutarcha i Liwiusza, o polityce i urządzeniu państw z Arystotelesa, obok poglądów architektonicznych Witruwiusza: opowieści z historyi naturalnej Pliniusza, obok Owidyuszowych dystychów lub cytatów Wergilego. Tego jednakże nie kładziemy i nie możemy poczytać Drużbickiemu za cechę charakterystyczną wspólności z epoką upadku. Wszakże podobne, dziwaczne dzisiaj i śmieszne, bo nienaturalne opowieści i porównania, czerpane z historyi naturalnej Pliniusza, przykłady z historyi i życia nie były obce ani Wujkowi, ani innym kaznodziejom epoki zygmuntowskiej. Zupełnie zaś zbliżonem epoce Drużbickiego jest napotykane u niego cytowanie poetów.

Tak np. w kazaniu o jednym pasterzu wykłada o urządzeniu rzeczypospolitej Arystotelesa i Machiavella, porównując ją z polityką Ekklesiastyka; albo w kazaniu na pogrzebie Kostczanki, Witruwiusza teorye architektoniczne. W nauce na trzecią niedzielę po Wielkiejnocy ozdabia swoje kazanie porównaniami z historyi naturalnej o kruku i niedźwiadku. Niech ten ustęp posłuży za przykład:

„Wielki przyrodzenia stworzonych rzeczy badacz Pliniusz, pisząc o źródłach y krynicach rożnych kroliestw y państw, cu-

downe y do wierzenia rozumowi ludzkiemu niepodobne rzeczy powiada. Pisze *de Colophonio fonte,* że kto się wody z tego źródła napiie, zaraz wieszczkiem zostanie y przyszłe rzeczy opowiadać może. Pisze, isz Eulipses źródło ma takową moc, isz iako kruk skosztuie wody, czarność swoie składa, a białym sie pierzem okrywa. Tenże pisze, że źródło *in Illiriis* takowe iest, isz ieśliby kto szatę rozciągnął nad wodą tego źródła, spali.

„Cudowne to źródła, a tak cudowne, że uczciwszy poważność authora Pliniusza, wierzyć sie nie chce mądremu człowiekowi, żeby kiedy miały mieć takową moc y siełę wody.

„Mogą mieć *qualitates* swoie wody, które płyną przes ziemię, ysz iedna iest gorąca zimie, chłodna lecie: iedna zdrowa, druga choroby s siebie wydawaiąca; iedna słodka, druga gorzka. Ale żeby miały moc odmiany przyrodzenia, nie mogą mieć. Zaczym iako o pomienionych źródłach nie wierzę narratyi, tak y teyże nie daie wiary, co pisze o źródle w Paphlagonii płynącym, s którego źrodła kto sie wody napiie, tak sie ucieszy, iakoby winem się napełniły Letes, zapomiena utrapienia.

„Znayduie ia inne krynice cudownieysze, o których prawdzywą narratią uczynię, isz kto s tych krynic, które namienię, wode czyrpać będzie, zapomni smutków, a napełni sie radością y weseliem serce iego".

Drugą ujemną stroną Drużbickiego jest pewna drobiazgowość homilijna, objawiająca się w długich objaśnieniach jakiegoś słowa lub wyrażenia biblijnego — dochodzenie zamiarów Ducha św. lub przodków, dlaczego takiego właśnie użyli wyrażenia, a nie innego. Jest to wpływ kontrowersyj z protestantami, którym nieraz musiano w dysputach, rozmowach lub naukach odpowiadać na ich filologiczne zarzuty. Najgorsza jednak, że rozprawia tak nietylko w homiliach, ale i w mowach okolicznościowych.

Na ślubie Franciszka Daniłowicza np., wyszedłszy i nawiązawszy je do okoliczności, z tekstu: *Trade filiam tuam: et grande opus feceris et homini sensato da illam,* tak się rozwodzi:

„Niektórzy s tych, co te słowa Ducha św. rozbierają y tłómaczą, są tego miemania, jakoby przes to *grande opus*, przes powaszność ty sprawy nic nie rozumiał, na nic nie resprował

innego, tylko na to. Córkę z domu wydać y onę postanowić iest rzecz s tey miary wielka, że w domu: *Filia est Tinea*, y że to uczynić rossądnie jest to nieleda głowy rozum, nie leda occasiey dzieło, niepospolitego szczęścia sprawa. Wiele albowiem sie na tym zasadza y ozdób y pożytków, y pociech, a tym samym którzy w tę przyjaźń osobami swemi zachodzą, jakotesz rodzicom, y pokrewnym, y przyiaciołom spolnym: a nawet czestokroć domom, familiom, Rzeczompospolitym całym".

W podobną drobiazgowość bawi się czasem Drużbicki, gdy podaje mistyczne tłumaczenia faktów Ewangelii. Tak w nauce na trzecie święto Zmartwychwstania Pańskiego zastanawia się, dlaczego Chrystus stanął w pośrodku uczniów swoich:

„Uważaią Doctorowie Kościelni tę obecność y pytaią sie czemu wpośrodku stanął Zbawiciel nasz uczniów swoich y te przyczyny daią.

„Naprzód dlia tego stanoł, aby nam pokazał prawdzywą drogę do szczęśliwego żywota na tym świecie. Żaden szczęśliwie nie może żyć na tym świecie iako ten, który zawsze środkiem prowadzi swoie rzeczy, ani na te ani na owe stronę wybiera. Nadobnym podobieństwem pokazuie to Chryzostom S., gdy mówi: iako gdy kto na morze się puszcza okrętem, ieśli przeładuie, okręt utonie, ale ieśli w swoi potrzeby y w miarę władowano będzie, wszelkiego niebezpieczeństwa uchroni sie. Tak każdy żyiący na tym świecie póki podług swoi pory y kondycyi żyć będzie, szczęśliwem się znaydzie, iako swoi kondycyi ubliży, zginie.

„Drugą przyczynę daią Doctorowie swięci tego, że sie Zbawiciel nasz w pośrodku uczniów pokazał, dlia tego uczynieł, aby nauczeł nas, gdzie chce mieszkać. Powiadaią physici, że wpośrodku ciała liudzkiego iest serce liudzkie, oto zada liudzi Bóg *Tibi dabo cor tuum* y dlia tego wpośrodku pokazał się uczniom, aby w pośrodku członków, to iest w sercu przemieszkiwał

„Trzecią przyczyną daią tego pokazania w pośrodku, isz dlia tego sie pokazał, aby się prawdzywem kroliem oświadczył. Kroliewska to rzecz iest być w pośrodku poddanych swoich. Albowiem co iest serce w człowieku, to iest król w kroliestwie

swoiem, w pośrodku ciała iest serce, w pośrodku liudu swego iest król"...

Niesmacznie też czasem wyglądają u Drużbickiego rozmowy, jakie wprowadza z Chrystusem Panem, Matką Boską lub świętymi. Nie samo użycie takiej rozmowy jest złem, owszem dobrze użyta urozmaica mowę i nadaje jej jakąś żywość. Ale główna wada leży w sposobie wysłowienia się. A sposób ten jest czasem u Drużbickiego nieudany, zanadto naiwny i poufałący się ze świętością. Tak np. mówiąc o wielkości miłosierdzia Boskiego, używa apostrofy: „Zdziecinniałeś, mój Panie", gdzieindziej mówiąc o śmierci krzyżowej Zbawiciela, odzywa się do Matki Bożej: „Przeczysta Dziewico, przegrałaś we frymarku, za jedynego Syna dostałaś Jana".

Spotyka się w rękopisach, które mamy przed sobą, dłuższe ustępy z Pisma św. lub z Ojców Kościoła wprost po łacinie przytoczone. Tak jest w manuskrypcie, który ostatecznie nie miał być w myśl autora drukowanym, jeno służyć jako notatka, w której przy tylu zajęciach chodziło zapewne o wygodę, nie o doskonałe wypracowanie rzeczy. Domyślać się wolno, że kaznodzieja mówił je na ambonie po polsku. Przemawia za tem okoliczność, że znajdujemy tu i ówdzie, kiedy widocznie na przygotowanie kazania piśmienne więcej mógł poświęcić czasu, ustępy z Ojców i Pisma św. przetłumaczone na ojczysty język.

Wypada teraz zaznajomić się z kazaniami Drużbickiego pod względem formy krasomowczej i treści niektórych się przyglądnąć.

(Dok. nast.).

Jarosław Rejowicz.

NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE

NA KONGRESIE STUTTGARCKIM.

(Dokończenie).

Oprócz kwestyj, odnoszących się do taktyki agitacyjnej i politycznej, potrącono nadto na kongresie sztuttgarckim o kwestyę donioślejszej wagi, bo o same podstawowe zasady teoryi socyalistycznej.

Wiadomo, jaką rolę w ruchu socyalistycznym odgrywa materyalistyczna historyozofia Marksa i Engelsa. Oparta na analizie i krytyce stosunków kapitalistycznych w Anglii, owiana i na wskróś przeniknięta duchem rewolucyjnym, posiada ona wszystkie warunki, żeby stać się systemem filozoficznym i programem partyi, która w pierwszym rzędzie postawiła sobie za zadanie zrewolucyonizować masy. Ale bo też materyalistyczna historyozofia Marksa jest *par excellence* umiejętnością rewolucyjną.

Kwestya Marksa była taka: żeby skruszyć przeżyte formy stosunków własnościowych, które stanęły w poprzek olbrzymio rozwiniętym i rozszalałym siłom produkcyjnym, dążącym z potęgą żywiołową do ustroju kolektywistycznego, żeby wyrzucić z wnętrzności świata cywilizowanego wszystko to, co na proletaryacie tłoczącem zaciążyło brzemieniem, a społeczeństwa raz po raz w konwulsyjne wprawia drgania — potrzeba odpowiednich sił materyalnych, które zawarte są w proletaryacie wszystkich ludów. A zatem należy poruszyć te masy i roztaczając przed

niemi smętne obrazy ich położenia i potworną fizyonomię wieku kapitalistycznego, wykazać im na oko, że zmiana na lepsze wyłącznie od nich zależy, że drogą do jasnej i wielkiej przyszłości jest jedynie całkowity przewrót obecnego ustroju społecznego. „Proletaryat, najniższa dzisiejszego społeczeństwa warstwa ani podnieść, ani rozwinąć się nie może, dopóki nie wyleci w powietrze całe dźwignięte nad nią rusztowanie warstw, stanowiących oficyalne społeczeństwo". W te słowa odzywa się Marks w swoim manifeście komunistycznym, wystosowanym do proletaryatu całego świata cywilizowanego. A więc „proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!... Cel wasz j e d y n i e przez g w a ł t o w n y przewrót całego obecnego porządku społecznego dopięty być może. Klasy panujące niech drżą przed komunistyczną rewolucyą, ale proletaryat nie ma w niej nic do stracenia prócz więzów, a do zdobycia świat cały"[1]. I oto jest rdzeń i treść najistotniejsza, punkt kulminacyjny całej historyozofii Marksa i wszystkich jego pism, począwszy od „Nędzy filozofii" i „Kapitału" aż do najdrobniejszych prac publicystycznych, rozrzuconych po rozmaitych pismach, poświęconych propagandzie rewolucyjnej. Tak, Marks jest mistrzem rewolucyi, i to mistrzem genialnym i głęboko umiejętnym — i w tem tkwi siła jego wpływu i powodzenia, ale też z drugiej strony właśnie ta dzika nuta rewolucyjna, która namiętnie drga na wszystkich kartach jego pism, stała się dzisiaj powodem znaczących zaczepek i ataków ze strony reformistów. Wyż pomieniony Bernstein, obecnie najwybitniejszy bez wątpienia filozof socyalizmu i współpracownik socyalistycznego tygodnika naukowego *Neue Zeit*, stanął po stronie opozycyi. W szeregu artykułów „*Probleme des Socialismus*", umieszczonych w *Neue Zeit*, uderzył on z całą siłą w naukowy gmach Marksa, usiłując obalić to, co uważano dotąd za niewzruszone, i podać w wątpliwość, co miano za nieomylne. Oczywiście śmiałe te ataki, podejmowane przez jednego z najwybitniejszych w najpoważniejszym tygodniku socyalistycznym przeciwko Marksowi, wznieciły burzę niezadowolenia w szere-

[1] Końcowe słowa manifestu komunistycznego.

gach zwolenników czystego Marksyzmu. Liczne głosy domagały się, żeby sprawę tę wytoczono na kongresie. I to dało powód do owej głośnej deklaracyi, którą Bebel na prośbę Bernsteina podał w Stuttgarcie pod rozwagę najwyższej powagi partyjnej. Naprawdę ciekawa to deklaracya! zebranym Marksystom i najwyższym przedstawicielom partyi rzucić w twarz zaprzeczeniem teoryi Marksa, to śmiałość nie lada. A jednak deklaracya owa niczem innem nie jest, jak śmiałym protestem, podniesionym w imię nauki przeciwko wszechwładnej i nieomylnej teoryi mistrza socyalizmu. „Poglądy moje — mówi Bernstein — złożone w szeregu artykułów pod tytułem *Probleme des Socialismus*, stały się przedmiotem żywej dyskusyi na zgromadzeniach i w pismach socyalistycznych, wywołując wielokrotne życzenia, aby kongres partyjny niemieckich socyalistów zajął się tą sprawą. Wobec tego, gdyby kongres przychylił się do ich życzeń, czuję się zniewolonym do złożenia następującej deklaracyi". I tu następuje charakterystyczne zastrzeżenie: „Wotum zgromadzenia — ciągnie rzecz dalej autor deklaracyi — jakkolwiek wysoka byłaby jego powaga, oczywiście nie zdoła mnie zachwiać w poglądach, jakie sobie w tej mierze wyrobiłem na podstawie badań zjawisk społecznych. To, com pisał w *Neue Zeit*, jest tylko wyrazem moich przekonań, od których odstąpić w jakimkolwiek istotnym punkcie nie widzę żadnego powodu". W istocie śmiałe i dumne zarazem zastrzeżenie! Przed dziesięciu laty któż śmiałby tak mówić albo pisać wobec najwyższej powagi partyjnej?

Tezę swoją zamknął Bernstein w następującem rozumowaniu: Pogląd Marksa i Engelsa o niebawem nastąpić mającem przesileniu gwałtownem burżoazyjnego społeczeństwa jest niezgodny z rzeczywistością. A zatem i taktyka partyi (agitacyjna i polityczna) nie może stąd czerpać swej siły i żywotności, czyli innemi słowy, umiejętność rewolucyjna Marksa i Engelsa na kruchych opiera się podstawach i do żadnego nie prowadzi rezultatu, a więc zmienić należy naszą politykę i agitacyę. W jaki sposób, zaraz zobaczymy. Nasamprzód atoli jak uzasadnia Bernstein swoją tezę?

Uzasadnienie to jest niezmiernie charakterystyczne, bo obala z gruntu fundamentalne prawa historyozofii Marksa.

„Rozwój stosunków społecznych — mówi Bernstein — nie objawia się w tak jaskrawych przeciwieństwach, jak to manifest komunistyczny nam przedstawia. Taić tu prawdę byłoby nietylko bezkorzystnem, ale i największym nierozumem. Liczba posiadających nie zmniejsza się, lecz przeciwnie wzrasta coraz więcej. Bogactwa społeczne olbrzymie przybierają rozmiary, ale w ślad za tem nie zmniejsza się liczba potentatów finansowych. Warstwy średnie wprawdzie zmieniają swój charakter, ale nie ustępują z widowni piętrzącego się ustroju społecznego, owszem ilość kapitalistów wszelkich odcieni wzmaga się coraz więcej.

Również koncentracya produkcyi w przemyśle nie dokonuje się z siłą i szybkością, jak to sobie wyobrażano. W wielu wprawdzie gałęziach produkcyi przemysłowej sprawdzają się przepowiednie krytyki społeczno-politycznej; inne atoli i dziś jeszcze są żywym protestem przeciwko teoryi. Wolniej jeszcze dokonuje się proces koncentracyi w dziedzinie rolnictwa. Statystyka przemysłowa wykazuje niezmiernie bogaty rozwój i rozgałęzienie się przedsiębiorstw przemysłowych, a o zanikaniu jakiejkolwiek kategoryi tychże niema śladu żadnego. Głębokie zmiany, jakie ujawniły się w wewnętrznym ustroju przedsiębiorstw oraz wzajemnych stosunkach tychże do siebie, nie są w stanie zmienić rzeczywistości.

Pod względem politycznym we wszystkich krajach postępowych uprzywilejowana burżoazya kapitalistyczna ustępuje krok w krok miejsca urządzeniom demokratycznym. Pod wpływem tychże, tudzież pod parciem coraz potężniej rozwijającego się ruchu robotniczego, wyrobiła się w łonie społeczeństw pewna kontrakcya, skierowana przeciwko wyzyskującym tendencyom kapitału. Akcya ta, prawda, dziś jeszcze występuje nieśmiało i jakby pierwsze stawia kroki, ale przecież już istnieje i coraz większe opanowuje dziedziny życia ekonomicznego. Ustawodawstwo fabryczne, demokratyzacya zarządów gminnych i rozszerzenie ich zakresu działania, wybijanie się ruchu organizacyi zawodowej i wogóle stowarzyszania się z pod oków, nałożonych

przez ustawodawstwa, uwzględnianie organizacyj robotniczych przy rozdawnictwie rozmaitych robót publicznych, wszystko to są znamienne cechy tego rozwoju. Skoro atoli w Niemczech jeszcze o tem myśleć można, by skrępować ruch organizacyi zawodowej, to nie jest oznaką postępu, lecz przeciwnie objawem zacofania politycznego rozwoju.

W miarę zaś, jak instytucye polityczne dzisiejszych społeczeństw ulegają demokratyzacyi, zmniejsza się też konieczność i sposobność wielkich katastrof politycznych. Kto obstaje przy teoryi kataklizmów społecznych, powinien nacechowaną tutaj ewolucyę zwalczać wedle możności lub ją usiłować powstrzymać, jak to zresztą konsekwentni obrońcy tej teoryi dawniej robili. Ale czyż zdobycie władzy politycznej za pomocą proletaryatu znaczy dobrać się do władzy za pomocą politycznego zaburzenia? Znaczy, żeby proletaryat wyłącznie opanował i ujął w swoje ręce ster państwa, przeciwko wszystkim, którzy nie są proletaryuszami".

W dalszym ciągu deklaracyi przywodzi Bernstein na poparcie swej tezy rozmaite ustępy z pism Engelsa, którego zdanie w tej mierze zamknąć się da w następujących słowach: Socyalizm „o wiele lepiej rozwija się na gruncie środków legalnych, aniżeli na gruncie bezprawia i rewolucyi. A zatem najbliższem zadaniem partyi powinna być ‚powolna propaganda parlamentarnej działalności'".

Takie jest rozumowanie Bernsteina. Ażeby należycie ocenić całą doniosłość i wagę jego wywodów, należy sobie przypomnieć, choćby w najogólniejszych i przyćmionych tylko zarysach odnośne ustępy z historyozofii Marksa, przeciwko którym w pierwszym rzędzie wywody Bernsteina są skierowane.

Otóż według teoryi Marksa, kapitalistyczna produkcya, rozrastając się na gruncie nowożytnej cywilizacyi w olbrzymią potęgę i łamiąc się w rozlicznych antagonizmach z siłą elementarną prze ku wytworzeniu nowego ustroju społecznego, w którym siły produkcyjne i stosunki własnościowe ułożą się do nigdy niezamąconej harmonii. Ewolucya ta dokonuje się z żelazną konsekwencyą w sposób mniej więcej następujący:

Robotnicy wskutek własności indywidualistycznej pozbawieni środków produkcyi wytwarzają pracą swoją dzisiejszy kapitał, który powstaje z podrywek wynagrodzenia za pracę, a wzmaga się i potężnieje przez obniżanie ich płacy, nadmierne przedłużanie czasu pracy, spotęgowanie wydajności pracy za pomocą maszyny i t. d. Z drugiej zaś strony postępy techniki czynią pracę ludzką coraz więcej zbyteczną. Coraz to nowe masy robotników rzucane tam i sam po rynkach siły roboczej, wytwarzają coraz to nowe armie robotników, które stoją na usługi i zdane są na łaskę kapitalistów w chwili kwitnącego stanu produkcyi, przymierają zaś z głodu w czasie przesileń przemysłowych. A co najgorsza, rezerwowa ta armia robotników zwróciła się w pierwszym rzędzie siłą rzeczy przeciwko samym robotnikom, ona utrudnia niezmiernie walkę z kapitałem, obniża wynagrodzenie robotnika do *minimum* tego, co niezbędnie potrzebne do utrzymania życia i wywołuje cały szereg nędzy wszelkiego rodzaju. I to pierwsze prawo w ewolucyi kapitalistycznej produkcyi, które, jak mówi Karol Marks, „mocniej przykuwa robotnika do kapitału, aniżeli łańcuchy Wulkana przykuły Prometeusza do skały. Prawo to odpowiednio do nagromadzenia kapitałów wywołuje nagromadzenie nędzy. Tak więc nagromadzenie bogactwa u jednego bieguna jest zarazem nagromadzeniem nędzy, cierpień, ciemnoty, niewoli, zezwierzęcenia i moralnej degradacyi przy drugim biegunie, t. j. wśród klasy, która własną swą pracą wytwarza kapitał“.

Równocześnie z proletaryzacyą mas rośnie i potęguje się koncentracya sił produkcyjnych. Wielki przemysł oparty na zdobyczach nauki i postępie techniki miażdży i ruguje przemysł drobny, ginie rękodzielnictwo, zanika stan średni, własność chłopska rozpływa się zwolna w latyfundyach. Pod osłoną nowożytnego państwa, które niczem innem nie jest jak potężnym aparatem do wyzyskiwania klas pracujących i utrzymania ich w warunkach uległości (niewolnictwie, poddaństwie, najemnictwie) niezbędnych dla istniejącego systemu produkcyi, akumulacya majątków i koncentracya produkcyi rośnie w szalonym tempie

i z nieodpartą koniecznością do niebywałych rozmiarów. Oto drugie prawo kapitalistycznej produkcyi.

Po trzecie olbrzymi wzrost produkcyi potrzebuje olbrzymiego odbytu. A tu krajowe rynki zbytu są zachwiane wskutek nędznego położenia robotników, zagraniczne zaś wskutek międzynarodowego współzawodnictwa ograniczone co do liczby, ciasne co do przestrzeni. I stąd w ślad za wzrostem produkcyi idą przesilenia handlowe i przemysłowe: handel ustaje, towary leżą masami na składach, kredyt i pieniądze stają się rzadkością, robotnicy pozbawieni zarobku przymierają z głodu. Przesilenia takie powtarzają się w mniej więcej stałych odstępach czasu i trwają niekiedy lata całe, zanim stosunki produkcyi i wymiany do zwykłego ułożą się biegu. Wreszcie nastąpi ostatnia faza rozwoju. W miarę jak kapitalistyczna produkcya spycha coraz większe masy ludności do rzędu proletaryuszów, w miarę jak koncentracya produkcyi i majątków olbrzymich dochodząc rozmiarów utoruje drogę przyszłości — niech „drżą klasy panujące przed komunistyczną rewolucyą, w której proletaryat niema nic do stracenia prócz więzów, a do zdobycia świat cały“. I to krańcowa faza rozwoju ekonomicznej ewolucyi, po której następują dni szczęścia i swobody, i wogóle urzeczywistnienie wszystkich ideałów socyalistycznych.

Według teoryi Marksa i Engelsa tedy, prawa tkwiące w wnętrznościach kapitalistycznego ustroju i popychające go z nieuchronnym fatalizmem do nowych formacyj społecznych są: prawo wyzysku i proletaryzacyi mas, prawo akumulacyi majątków i koncentracyi produkcyi oraz peryodyczne przesilenia ekonomiczne kończące się na ogólnej rewolucyi polityczno-społecznej, która na gruzach dawnego porządku zbuduje sobie nowy świat. Równolegle zaś z rozwojem ekonomicznych sprzeczności idzie budzenie się i rozwój rewolucyjnej myśli wśród mas pracujących. Pod wpływem rozwijających się antagonizmów tłoczącem ciążących brzemieniem na warstwach pracujących, budzi się świadomość klasowa, opierająca się na solidarności uciśnionych i wyzyskiwanych. Rewolucya ekonomiczna rewolucyonizuje serca i umysły mas i roznieca wszędzie ognie zmartwych-

wstania. Robotnicy szeregują się w stowarzyszenia, społeczeństwa całe zamieniają się w arenę walk klasowych, które toczą się równolegle na gruncie ekonomicznym i politycznym. Strejki i walki przedwyborcze to nic innego, jak namiętne wybuchy tej walki klasowej, zwiastuny groźnej burzy przyszłości. I tak rośnie ta siła z dnia na dzień, rozwija się i potężnieje, aby kiedyś zaważyć ciężko na szali wypadków, gdy wybije ostatnia godzina starego porządku.

I przeciwko tej rewolucyjnej właśnie stronie albo raczej dla tego ducha rewolucyjnego, którym przeniknięta jest teorya Marksa zwrócił w pierwszym rzędzie Bernstein swoje ataki. Pod jego ciosami upadają fundamentalne prawa, na których Marks oparł swoją naukę o rewolucyjnych tendencyach ustroju kapitalistycznego, rozwiewają się utopijne jego zapędy i obrazy przyszłości. W miejsce umiejętności fatalistyczno-rewolucyjnej stawia on program historyczno-organiczny, który nie zrywając z przeszłością na tle potrzeb codziennych i kierunków rozwojowych produkcyi kapitalistycznej usiłuje przez powolną socyalizacyę produkcyi doprowadzić do urzeczywistnienia ideałów socyalistycznych. „W głębokim przekonaniu — mówi on w swojej deklaracyi — że doniosłe w rozwoju ludów epoki nie dadzą się przeskoczyć, kładę też największą wagę na to, by robotnicy wywalczyli sobie rozszerzenie praw politycznych, aby rozwinęli działalność po miastach i gminach w obronie swoich interesów oraz zorganizowali się na polu ekonomicznem. To są najbliższe zadania socyalizmu, i w tej też myśli wygłosiłem swego czasu owo zdanie, że dla mnie ruch jest wszystkiem, ostateczne zaś cele socyalizmu niczem i w tem znaczeniu piszę się na to i dzisiaj... Nie interesowałem się nigdy więcej przyszłością aniżeli na to pozwalały ogólne zasady, i stąd też nie przeczytałem do końca żadnego dzieła malującego obrazy przyszłości. Moje myśli i usiłowania obracają się wyłącznie około teraźniejszości i najbliższej przyszłości, a dalsze perspektywy zajmują mnie tylko o tyle, o ile mi są drogoskazem do rozumnego działania".

„Zdobycie władzy politycznej przez klasę robotniczą tudzież wywłaszczenie kapitalistów nie są same przez się celem

ostatecznym lecz tylko środkiem do przeprowadzenia pewnego celu i pewnych usiłowań. I tylko jako środki wiodące do celu są one postulatami programu socyalnej demokracyi i przyjęte przez wszystkich. Co się zaś tyczy szczegółów, gdy idzie o ich wcielenie w życie, nic w tej mierze przepowiedzieć nie można — można tylko walczyć o ich urzeczywistnienie. Do zdobycia atoli władzy politycznej potrzeba praw politycznych. To też najważniejszem zadaniem taktyki, jakie na razie socyaliści niemieccy mają do spełnienia, zdaje mi się być odpowiedź na pytanie, jak robotnicy niemieccy mogliby najdogodniej rozszerzyć zakres swoich praw politycznych i ekonomicznych. Bez zadawalniającej odpowiedzi na to pytanie, byłoby ostatecznie wysuwanie naprzód innych kwestyj niczem innem, jak czczą deklamacyą".

Bernstein zatem nie opuszcza stanowiska socyalistycznego. I dla niego jest ostatecznym celem socyalizmu uspołecznienie produkcyi i państwo przyszłości, tylko że te ideały przyszłości wysunięte są w mroczną dal i pozbawione tego różowego tła optymizmu, na którem się roztaczają wszystkie socyalistyczne utopie przyszłości. Różni on się, jak już powyżej wspomnieliśmy, od Marksistów głównie tem, że w miejsce gwałtownych i krwawych wstrząśnień ekonomiczno-społecznych stawia powolny i stopniowy rozwój produkcyi w duchu kolektywistycznym. Zdaniem Bernsteina proletaryat rozwijając wszechstronną działalność na gruncie legalnym za pomocą organizacyi zawodowej, spółek współdzielczych, demokratyzacyi i administracyi gmin i t. d., urośnie niebawem w taką potęgę polityczną i ekonomiczną, że wpływ jego zaznaczy się zwycięsko w rozwoju społeczeństw i powoli zapewni zwycięstwo ideom socyalistycznym. I dlatego też Bernstein nie jest odstępcą od zasad i ideałów socyalistycznych — jest on tylko nieubłaganym wrogiem myśli rewolucyjnej i nieprzyjacielem skostniałego dogmatyzmu Marksystów. I to nam poniekąd tłumaczy, dlaczego deklaracya jego nie wywołała na kongresie stuttgarckim takiej opozycyi, jaką radziby widzieli zwolennicy czystego marksyzmu i jakiej się spodziewać należało po najwyższych przedstawicielach partyi. Ale bo też rzecz dziwna — oświadczenie oficyalne godzące w sam

rdzeń teoryi, która aż dotąd była rodzajem ewangelii i hasłem bojowem dla partyi, odczytane uroczyście przez jednego z najzasłużeńszych przedstawicieli partyi, wśród obrad oficyalnych i publicznych, których z natężoną uwagą słuchał świat cały nietylko socyalistyczny, ale i rządowy, nie znalazło żadnej prawie, choćby sumarycznej tylko odpowiedzi. Przemawiał wprawdzie zaraz po przeczytaniu deklaracyi w tym względzie Bebel, ale na to tylko, by po krótkiej wzmiance o odmiennem stanowisku, jakie osobiście w tej mierze zajmuje, wyrazić Bernsteinowi publiczne podziękowanie, że przez swoją deklaracyę ułatwił znacznie pracę wszystkim tym, co w przyszłości kwestyą tą zajmować się będą, oraz aby zamknąć drogę do dalszej dyskusyi przez odmówienie kongresowi wszelkiej kompetencyi w tej mierze. „O tem kongres nie może rozstrzygać, bo nie idzie tu o zagadnienia taktyczne, ale o całe nasze poglądy podstawowe (żywe uznanie), które nie mogą podlegać decyzyi kongresu".

Drugi z kolei, który wystąpił przeciwko wywodom Bernsteina był główny redaktor tygodnika *Neue Zeit*, Kautsky, znany dotąd jako gorliwy obrońca czystego Marksyzmu. Ale i on aczkolwiek całą mowę swoją poświęcił zbijaniu tez postawionych w deklaracyi, przyznał przecież, że poglądy Bernsteina mają najzupełniejsze zastosowanie w Anglii. „Gdyby Bernstein był pomiędzy nami, pierwszyby zmienił kierunek, jaki sobie wytknął —jestto najgłębsze moje przekonanie". Stanowisko więc, jakie Kautsky w tym względzie zajął, nie jest zasadniczo przeciwne poglądom Bernsteina. To, co w Anglii zgodne jest z podstawowemi zasadami socyalizmu, nie może być w sprzeczności z temiż zasadami na kontynencie. Wcielenie tedy w życie programu Bernsteina jest tylko kwestyą czasu.

Jeden Liebknecht tylko, jak ostatni bohater na wyłomie, broni rozpaczliwie zagrożonego stanowiska rewolucyjnego Marksyzmu. „Gdyby wywody Bernsteina — mówi on — były prawdziwe, to cały socyalizm mógłby się dać pogrzebać z całą swoją przeszłością dziejową i programem — i partya nasza przestałaby być partyą proletaryatu... Z chwilą, gdy zatrze się jaskrawa granica pomiędzy nami a partyami burżoazyj-

nemi, gdy nie będzie można rozeznać, kto proletaryuszem i socyalistą a kto burżoazyjnym liberałem lub demokratą — partya nasza stanie się bezsilną. Tylko tam, gdzie wre walka klasowa proletaryatu, czerpie partya nasza swą siłę i dzielność. Gdy opuścimy ten posterunek, podobni będziemy do siły elektrycznej, która znika, gdy prąd się przerwie. Tak z chwilą, gdy przestaniemy być partyą proletaryatu, gdy ustąpimy z areny walki klasowej — partya nasza istnieć nie będzie".

Takie stanowisko zajął kongres stuttgarcki wobec nowej teoryi Bernsteina. Jak widać dzisiejsi socyaliści w Niemczech już dużo ochłonęli z pierwotnego fanatyzmu dawnych Marksystów — nie płoną już gniewem oburzenia, nie rzucają anatema na tych, co poważają się inaczej myśleć lub mówić, niż Marks i Engels. Prądy postępowe wciskają się zwolna i do zwartych szeregów mimo całego dogmatyzmu rewolucyjnego, którym się otoczyli jakby wałem obronnym. Przed dziesięciu laty wodzowie partyi Liebknecht i Bebel należeli do umiarkowanych i stanęli oporem wobec zapędów rewolucyjnych „młodych„, dzisiaj sam Liebknecht, prawie opuszczony przez swoich, znalazł się na najskrajniejszej lewicy. A przecież Liebknecht nie zmienił swoich poglądów — niespożyty, wiekiem pochylony ten starzec, całą duszą wsłuchany w dziką melodyę pieśni przyszłości, jak ongi, tak dzisiaj, jest tylko wiernym uczniem Marksa. A więc partya uległa znaczącym zmianom. I tu nasuwają się rozmaite pytania: najprzód czy zmiany i przeobrażenia te w poglądach i taktyce politycznej socyalistów oznaczają jakiś postęp w rozwoju partyi, czy też są objawem rozstroju wewnętrznego? Dalej czy zerwanie z Marksyzmem zachwieje partyą, czy też przeciwnie ją wzmocni i przysporzy jej nowych zwolenników i nowe tłumy?

Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania.

W czem tkwi siła socyalizmu?

Socyalizm jest stronnictwem opozycyi i krytyki i w tem tkwi jego siła i znaczenie. Wadliwość ustroju społecznego, który już od wieków całych nie kształtował się według potrzeb ludu i wymagań wieku, zapoznawanie i kompletne zaniedbywanie w życiu społecznem religii i zasad Chrystusa, które jedne sta-

nowią niespożytą podwalinę i czynnik żywotny wszelkiego rozwoju trwałego i zdrowego: oto źródło, z którego płyną wszelkie jaskrawe niedomagania ekonomiczne i choroby społeczne. Dopóki źródło to otwartem będzie, niema co myśleć o skutecznej walce z socyalizmem. Powtóre siła socyalizmu tkwi w konsekwentnej jego polityce. Wobec stronnictw kierujących się polityką oportunistyczną, stronnictwo stojące na stanowisku zasad, aczkolwiek złych i utopijnych, będzie zawsze miało pewną przewagę polityczną. Socyaliści zaś z żelazną konsekwencyą zmierzają do urzeczywistnienia swoich ideałów społeczno-ekonomicznych, korzystając i wyzyskując nieraz bezczelnie każde ustępstwo i słabość lub chwilowe zapomnienie przeciwników. I pod tym względem program Bernsteina żadnego nie wniesie zamieszania do ich obozu. Ostateczne bowiem ideały socyalistyczne pozostały nie tknięte, tylko taktyka polityczna i agitacyjna uległaby znacznej zmianie. Nie wiadomo jaki kierunek w swoim rozwoju polityczno-ekonomicznym obierze sobie partya socyalistyczna w Niemczech, ale w każdym razie gdyby zwolennicy Vollmara i Bernsteina wzięli górę nad dawnymi Marksystami, mniemamy, że zwycięstwo to niezmiernie przyczyniłoby się do wzmocnienia całego stronnictwa.

Z chwilą bowiem, gdy socyalizm stanie na gruncie ekonomicznych ulepszeń i przyniesie rzeczywiste ulgi warstwom pracującym, gdy program socyalistyczny obejmie równomiernie wszystkie uciśnione warstwy społeczne i chłopów i rzemieślników i drobnych przekupniów, stronnictwo to niewątpliwie zapuści głębokie korzenie wśród szerokich mas ludowych. Lud przecież domaga się zawsze konkretnych korzyści i ulg namacalnych i sprzyja temu, kto mu te ulgi przynosi. Ale nietylko lud roboczy i warstwy inteligentne wpłyną licznie, jak się spodziewać godzi, do obozu socyalistów, gdyby liberalniejsze poglądy w łonie partyi wzięły górę. Dzisiejsza biurokracya przecież z roku na rok wytwarza coraz liczniejszy proletaryat inteligentny, który głównie dla teroryzmu umysłowego, jaki wszechwładnie w partyi socyalistycznej panował, nie wstępował w jej

szeregi. Gdy zaś prąd liberalniejszy wionie po szlakach socyalistycznej umysłowości, napływ inteligencyi do partyi prawdopodobnie się zwiększy, zwłaszcza że i socyaliści mają dużo tłustych posad do rozdania. Tak stronnictwo socyalistyczne na podstawie programu Bernsteina tylko wzrosnąć może w siłę — mówił mi jeden z najwybitniejszych socyologów niemieckich — bo ono stało się rozumniejszem i z tej strony grozi nam niebezpieczeństwo niemałe.

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wydawnictwa Towarzystwa Naukowego w Toruniu.

I. Rocznik IV. 1897. (W 8-ce, str. 93).

II. Fontes I.: Visitationes archidiaconatus Pomeraniae Hieronymo Rozrażewski Vladislaviensi et Pomeraniae Episcopo factae. Curavit *Stanislaus Kujot,* Plebanus in Grzybno dioec. Culmensis. Toruni. Typis S. Buszczyński. 1897. (W 8-ce, str. 222).

Dwadzieścia okrągło lat upłynęło od wydania pierwszych trzech Roczników Towarzystwa, podtrzymującego w germanizowanych na zabój przez rząd Prusach Zachodnich naukowe życie polskie. Brak dostatecznego poparcia przez inne prowincye polskie głównym tego powodem, boć kilkunastu polskich obywateli ziemskich, kilkuset księży i inteligentnych ludzi, zamieszkujących Prusy Zachodnie, nie są w stanie artykułami i pieniądzmi regularne wydawnictwo Roczników dostatecznie zasilać. Ocknąć się trzeba z tej nieczułości i Księstwu Poznańskiemu, i Galicyi, i Kongresowej Polsce, i tak zwanym „zabranym“ krajom Litwy i Rusi, i liczną prenumeratą, nadsyłaniem rozpraw uczonych ułatwić Zarządowi Towarzystwa (ks. St. Kujot, dr. L. Szuman, Michał Szczaniecki, dr. M. Jaworowicz) wydawanie Roczników. A zasługują one zaiste na to poparcie, bo obznajamiają nas z ruchem naukowym, w szczególności zaś „z dziejami i etnografią“ Prus Zachodnich, jak tego Rocznik IV., który mamy przed sobą, dowodzi.

Oto jego treść:

1) Spis członków Towarzystwa 1897 r. Jest ich 201, z tych 106 księży, z Księstwa Poznańskiego kilku członków, z Galicyi dwóch; wszyscy inni z Prus Zachodnich. Statystyka wymowna; silniejsze polskością prowincye nie idą w pomoc słabszej, a to przecie ich obowiązek.

2) Bibliografia zachodnio-pruska, zestawiona przez d-ra Nadmorskiego (pseudonim) i ks. Kujota. W dwóch latach od 1895—1897 publikacyj 49, z tych 6 polskich, jedna czeska, a 42 niemieckich. I znowu cyfry wymowne, dowodzące, że życie naukowe Prus Zachodnich zamiera.

3) „Mazury wschodnio-pruscy. Zapiski o języku i stanie religijno-obyczajowym przez ks. Gustawa Pobłockiego". Jest tych Mazurów zachodnio-pruskich na 400.000, a wszystko od lat 350 lutrzy, ale z znaczną jeszcze przymieszką praktyk katolickich i z zachowaniem polskiego języka, pomimo że nietylko nazwy miast i wsi, ale nawet imiona chrzestne zniemczone; zamiast Wojtków i Bartków — Hermany i Adolfy, zamiast Kasi i Marysi — Emmy i Minny. Właściwości tego mazurskiego języka i tego mazurskiego luteranizmu w licznych przykładach przedstawia dr. Nadmorski. Poczucia polskości u nich wiele, świadomości narodowej prawie nic. Literaturą ich: śpiewnik kościelny w pięknej polszczyznie, gdy starodawne pieśni podaje, w opłakanej, gdy tłumaczone z niemieckiego; *Gazetka Lecka*, senniki, ulotne kartki z zabobonnemi modlitwami. Nikt się wykształceniem ich nie zajmuje, szkoła pruska ogłupia i próbuje zniemczyć, znaczniejszej szlachty polskiej niema; Mazur, gdy przejdzie do sfery inteligentnej, robi się Niemcem, a pastor luterski, duchem Niemiec, oprócz polskiego kazania i śpiewu psalmów, bo za to ma płacę, innego pokarmu nie poda. Poczciwym tym Mazurom luteranizm jest za suchy i zimny, więc i wodę święconą, i kolendy, i pielgrzymki odpustowe i inne zwyczaje od katolików pożyczają i do zabobonnych praktyk, cudownych modlitw, zażegnywań są skłonni. Kiedy 1856 r. odbywały się w tych tam stronach misye jezuickie, to Mazury lutry przychodzili tłumnie na nie, kobiety zwłaszcza; te prosiły o wodę św. Ignacego, a nawet o szkaplerze.

4) Wielkiej historycznej wartości, uzupełnieniem niejako cennej pracy Korzona o „wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta" jest artykuł ks. prof. Chotkowskiego pod przydługim tytułem: „Gospodarstwo społeczno-polityczne polskie i traktaty handlowe Rzeczypospolitej z mocarstwami rozbiorowemi r. 1775 w świetle tajnych re-

lacyj dyplomatycznych austryackich". Przy zajęciu Galicyi 1772 r. dewizą cesarskiego rządu było: „jak najmniej wydatków, jak najwięcej korzyści". W pośpiechu wielkim pociągnięto linie demarkacyjne nowej prowincyi Galicyą przezwanej, przekraczano je samowolnie, a już zupełnego nie miano względu na ekonomiczne stosunki, które wskutek oderwania tak znacznych kompleksów ziemi od ciała Rzpltej i nowych granic ważnym zmianom uledz musiały. Dopiero r. 1775, na prośby króla Stanisława, zdobyły się rozbiorowe mocarstwa na traktat handlowy z Polską. Rząd austryacki nie miał pojęcia o stosunkach handlowych w Galicyi, informował się przez jenerała austryackiego, Fabris, przez krajczego Potockiego i gubernatora hr. Pergen, wreszcie przysłał 1774 r. fachowego człowieka do Lwowa radcę gubernialnego Degelmanna, który objechał całą Galicyę, badał rzeczy na miejscu, był też potem przy układaniu traktatu handlowego Austryi z Polską bardzo pomocny posłowi austryackiemu Rewiczkemu w Warszawie 1775 r. Wyniki swoich badań i spostrzeżeń przesłał w czterech memoryałach (1774 i 1775 r.) do kanclerza Kaunitza. Nie wiem, jaką drogą znalazły się one w zbiorze rękopisów biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Ks. prof. Chotkowski, szukając tam dokumentów do historyi kościelnej (józefinizmu) w pierwszych latach rządów austryackich w Galicyi, napotkał i owe degelmanowskie memoryały i na ich tle osnuł powyższy artykuł. Dla mnóstwa szczegółów, rad i projektów niepodobna wszystkiego streścić. Degelmann chciał prawdę poznać i rzetelny stan polskiego handlu w memoryale pierwszym rządowi swemu przedstawić. Znalazł handel polski wcale znaczny, lądem i wodą prowadzony, pomimo najgorszego systemu cłowego; w 12 rozdziałach bardzo szczegółowo go opowiada, zaznaczając, coby z punktu widzenia austryackiego poprawić i zmienić należało, aby i siłę produktywną Galicyi zdwoić, i fabrykom austryackim odbyt w niej otworzyć. W memoryale drugim radził znieść cło spożywcze od wspólnych płodów, bo dlatego głównie domaga się Polska handlowego traktatu, Prusy zaś właśnie tego sobie nie życzą, i motywuje tę swoją radę obszernie. W trzecim i czwartym memoryale rozwija swe poglądy na związek handlowy cesarstwa z Polską, w szczególności zaś na handel solą. Z wszystkiego widać, że Degelmann spełnił misyę swoją uczciwie i rorumnie; „był ekonomistą rzetelnym", więc też pragnąc dla Austryi zysków z handlu galicyjskiego i otwarcia jak najszerszego zbytu dla swoich wyrobów w Galicyi, rozumiał to dobrze i doradzał rządowi podnieść handel i produkcyę Galicyi, uwolnić ten handel od dowol

ności pruskiej w naznaczeniu i wybieraniu ceł granicznych, zniżyć do *minimum* podatki od handlu zbożowego; handel towarowy uwolnić od dokuczliwych rewizyj, a przewozowy od wszelkich ceł, protegować fabryki krajowe, jak garbarnie i t. p.

„Wszystkie te rady puszczono w Wiedniu mimo uszu". Odwieczny fiskalizm rządowy trzymał się najfałszywszej zasady ekonomicznej: „wydać jak najmniej, zyskać jak najwięcej" i po stu latach takiej gospodarki doprowadził Galicyę do tego, iż według słów księcia Adama Sapiehy na sejmie 1892 r. była na każdem polu ekonomicznem „ruderą, ruderą, ruderą".

Ostatnia, 5-ta z rzędu rozprawa d-ra Nadmorskiego p. t.: „Nowsze wydawnictwa, dotyczące ludności i gwary kaszubskiej". Wszystkie one, jak dowodzi autor, popełniają błąd zasadniczy, „że porównują gwarę kaszubską z polskim językiem piśmiennym, a nie z innemi gwarami polskiemi, mianowicie ościennych okolic". Błąd drugi, że niektórzy badacze nie zdają sobie dosyć sprawy z istoty gwar ludowych, które wraz z językiem piśmiennym uległy zmianom, ale szybciej zmieniały swe formy gramatyczne, często jednak zachowały i słowa i formy dawne, których niema już w języku piśmiennym — i dlatego doszli do wniosku, że gwara kaszubska bardziej zbliżona do ruskiego języka, jak do polskiego. Wniosek ten mylny, jak to wykazał autor w swej rozprawce: *Die Sprache der baltischen Slaven.*

Krytykuje następnie niektóre nowsze na tem polu prace: d-ra Tetznera *Die Kaschuben am Labasee;* A. Parczewskiego „Szczątki kaszubskie w prowincyi pomorskiej", o której powiada, że jest „jedyną w polskim języku o Kaszubach obszerniejszą pracą"; Bronischa *Kaschubische Dialektstudien;* Mikkoli *Nieskolko zamietok po kaszubskim gaworam w siewierowostocznoj Pomeranii;* wreszcie Jarosza Derdowskiego zbiorek przysłów: *Nôrcyk Kaszubści.*

Jest to więc Rocznik ze wszech miar naukowy, obznajamiający nas z rzeczami wcale nowemi a ciekawemi; ażali godzi się przez obojętność nie wiedzieć o nim, nie czytać, nie wspierać i tą indolencyą dozwolić upaść tak pożytecznemu wydawnictwu?

Oprócz Rocznika IV. wydawać zamierza Towarzystwo naukowe toruńskie szereg dokumentów, odnoszących się do dziejów Prus Zachodnich. I oto mamy przed sobą pierwszy ich tomik, zatytułowany: *Fontes I.*

Cóż to za źródła w tym pierwszym tomie? Akta biskupiej wi-

zyty dyecezalnej, przeprowadzonej z polecenia biskupa kujawskiego, Hieronima Rozrażewskiego, w 10 dekanatach pomorskich przez kapelana jego, Sebastyana Liwierzki *(sic)* od 19 lipca do 22 sierpnia 1583, zaczętej przez archidyakona Zakrzewskiego 1582, dokończonej przez oficyała Miloniusza 1584 r. Z nich to wyrobić sobie może czytelnik dokładne pojęcie o tem spustoszeniu, jakie w Kościele Bożym, w kulturze umysłu i serca wyrządziły herezye, bo co na Pomorzu, nie lepiej działo się indziej. Stan ten rzeczy przerażał biskupa Rozrażewskiego, męża nietylko w naukach teologii i prawa, ale w znawstwie języków łacińskiego, francuskiego i niemieckiego wielce biegłego, a przytem pobożności i żarliwości o św. wiarę wielkiej. To też ledwo objął rządy kujawskiej dyecezyi 1581 r., rozbijał się za ludźmi, którzyby mu w dźwiganiu dyecezyi dopomogli. Znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie spory foliał (rękopisów nr. 156) listów tego biskupa, w latach 1578—1583 piękną łaciną i dobrą polszczyzną pisanych, a w nim kilkadziesiąt listów do jenerała Jezuitów Akwawiwy, do prowincyałów Campano i Magio, do OO. Skargi, Warszewickiego, Fabrycego, do bł. Kanizego i Possevina, do rektorów w Brunsberdze i Wiedniu i t. d. i t. d., a wszystkich błaga, zaklina, ażeby mu, na miły Bóg, przysłali kapłanów kaznodziei, albo przynajmniej pożyczyli do czasu, bo w dyecezyi jego przeszło 150 parafij bez księdza (do Skargi 2 sierpnia 1582), bo przy katedrze jego zamiast 20 ledwo 5 kanoników rezyduje, a przy kolegiacie kruszwickiej z 27 prałatów i kanoników żaden, iż chór i inne nabożeństwa ustały; kościoły parafialne w ruinie, sprofanowane, bez kapłanów (do Possewina 24 czerwca 1582 r.) Otóż komentarzem tych jeremiaszowych nawoływań są akta wizyty 10 dekanatów pomorskich 1582—1584 r., którą po powrocie z poselstwa do Rudolfa II. i Rzeszy niemieckiej kapelanowi swemu odbyć polecił, bo sam inną część dyecezyi wizytował. Czego się w tych aktach nie doczytasz, a wszystko smutne bardzo. Kościoły jedne się walą, drugie odarte, ani chrzcielnicy, ani *Sanctissimum* w nich niema, ani aparatów w zakrystyi, ani ksiąg chrztów i ślubów; inne jeszcze dobre mają mury i ściany, ale wewnątrz brud, nieład, *intus paulo minus stabulo pecudum cultiores* (str. 164), inne wreszcie nie mają księdza, więc albo zamknięte, albo dojeżdża kilka razy w rok sąsiedni proboszcz, który kilka naraz opatruje parafij. A ci proboszczowie? Jeden, w Gorczynie, staruszek, odprawia mszę św. po polsku; inni, jak w Zblewie, komunię św. rozdają pod dwiema postaciami, inny znowu w Chwaszczynie, okradł kaplicę zamkową w Grudziądzu. To jeszcze najmniejsze.

Przy wielu, bardzo wielu, stoją takie przodomki: *quotidianus helluo, apostata copulatus, homo sceleratissimus, qui quotidie iurgia et caedes exercet* i t. d. Pleban w Kokoszowy, eksmnich, schował się przed wizytatorem w kopie siana, bo ani komendy, ani inwestytury na probostwo nie ma. A nietylko on, miał je ledwo który pleban, przeważna część bez instytucyi kanonicznej, bez misyi biskupiej, samowolnie na życzenie kolatorów lub za umową z nimi obejmowali zarząd parafii, a znalazłszy lepszą lub znudziwszy się, porzucali ją. Były przecie pocieszające wyjątki: w dekanacie np. puckim na 17 kościołów dwóch plebanów znalazło się bez zarzutu, podobnie i w innych dekanatach.

Wizyta kapelana Liwierzkiego była dalszym ciągiem wizyty rozpoczętej 1582 r. przez archidyakona kruszwickiego, kanonika kujawskiego, ks. Tomasza Zakrzewskiego, który tylko 9 kościołów zwizytował i w równie smutnym stanie je znalazł (str. 96—107). Nie wiele więcej pocieszający widok przedstawia dekanat świecki, którego 16 kościołów zwizytował oficyał bydgoski, Sebastyan Paulin z Szamotuł. W samym Swieczu *(sic)* w kościele *omnia foedissima et abiectissima* (str. 131), ale już znać rękę biskupa, bo przysłał tam komendarza *virum bonum* i nauczyciela do szkoły od Jezuitów danego, a w szkole już się uczyło 50 chłopców. Po skończonej zaś wizycie biskup odprawił naradę, jak złe usunąć, i występnych kapłanów jednych usunął, drugich przed sąd swój powołał, innych kanoniczną instytucyę opatrzył, a kościoły przez heretyków zajęte postanowił prawem odebrać, w czem mu potem król Zygmunt III. bardzo dopomógł, iż do r. 1596 31 kościołów z rąk heretyckich wydobył. Wreszcie r. 1584 dokończył wizyty z rozkazu biskupa oficyał gdański ks. Mikołaj Miloniusz, zwiedziwszy trzy dekanaty: gdański (zamiejski), mirkowski i pucki. W Oliwie nie mógł odprawić wizyty kościoła parafialnego św. Jakuba dla oporu *propter immensa odia* Cystersów oliwskich (str. 190). Księży znalazł w onych trzech dekanatach kilku zaledwie porządnych, więcej nierównie występnych, a nawet apostatów od wiary, a krom ośmiu wszystkich bez kanonicznej instytucyi. Wiele kościołów, nawet w dobrach opactwa oliwskiego nie mają dokumentów erekcyjnych, inne znów przez heretyckich kolatorów ze sreber i dochodów odarte.

Zamknął Miloniusz akta swej wizyty „uwagami ogólnemi nad wspólnemi błędami kleru trzech dekanatów". Najważniejsze te: Oprócz proboszcza z Kłodawy wszyscy nie prowadzą ksiąg chrztów i ślubów, ani kanonicznych procesów biskupa lub prowincyała nie mają odpisa-

nych. Oprócz trzech księży, którzy modlą się z rzymskiego brewiarza, inni używają rozmaitych brewiarzy. Moralnie upadłych jest tyle, że przez wzgląd na brak lepszych księży użyć należy do czasu pewnej pobłażliwości. Księża wogóle w nędzy zostają, *misere, squalide, sordide, egentes vitam degunt,* i stąd poszli w pogardę u ludu i szlachty. Wreszcie sakrament Ostatniego Pomazania poszedł w zupełne zaniedbanie, bo nikt z proboszczów nie pouczał ludu o jego ważności (str. 222).

Oto treść rocznika, niewesoła zaiste, ale niech się nią nikt nie gorszy. Zły posiew herezyj wydać musiał złe owoce. Dwudziestolecie prawie (1546—1565) niedbałych rządów trzech biskupów kujawskich: Zebrzydowskiego, Drohojowskiego i Uchańskiego, dozwoliło złemu rozróść się i głębokie zapuścić korzenie. Kiedy zstępował do grobu zacny gorliwy Rozrażewski 1600 r., już i Pomorze, i cała kujawska dyecezya weselszą przybrała postać. Kler młody wychowywała mu akademia wileńska, kler starszy reformował on sam przy pomocy brunsberskich, a potem gdańskich Jezuitów, którym kolegium fundował. Kościoły, których kilkadziesiąt przy pomocy króla i sejmów od heretyków odebrał, odnowiła, obdarowała i ozdobiła pobożność wiernych, wskrzeszona pracą tego kleru i misyami Jezuitów. Resztę zostawił godnym swym następcom, bo Zygmunt III. tylko „mężów iście kościelnych“ na biskupów mianował. To też nierównie weselszy będzie „dalszy ciąg“ aktów wizyt pasterskich w kujawskiej dyecezyi, którego spodziewamy się w następnych rocznikach.

Ks. Stanisław Załęski.

Cudzoziemcy w Galicyi (1787—1841). *Stanisław Schnür-Pepłowski.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1898. (Str. 263).

Powiadają ludzie, choć to może przesąd, że nie dobrze jest podsłuchiwać pod drzwiami, co tam drudzy o nas gadają: rzadko kiedy usłyszy się coś miłego. Trafi się czasem pochwała, częściej jednak dochodzą nas uszczypliwe słowa, lub niedyskretne uwagi; nawet najzwyklejsze wyrazy, dotyczące nieobecnego, przybierają ton dla niego niemiły. Słuchający odchodzi z sercem mniej dla ludzkości czułem, aniżeli przyszedł. Oto uczucia, jakich przeważnie doznać musiał p. Schnür-Pepłowski zbierając materyały do swego dzieła. Podsłuchując cudzoziemców o jednej z dzielnic naszej ziemi prawiących, dosłyszał tu i ówdzie głos sympatyczny, ale obok niego cały chór ostrej krytyki, opryskliwe tony wyniosłości i dąsów. Co prawda, epoka w której się obraca, nie mogła innego obiecywać plonu, ani od pracujących nad nią

robotników nie można się było czegoś lepszego spodziewać. Galicya wówczas była świeżym zaborem, wszelkie stosunki w niej wywrócone do góry nogami, kraj na długie lata wyczerpany z zasobów, ludzie osowieli po utracie przynależności do matki ojczyzny, naginający się z musu tylko pod obcem prawem obcego im rządu. Był to stan nienormalny, wśród którego niepodobna było uchwycić istotnego obrazu społeczeństwa, podobnie jak nie można sądzić o rzetelności portretu zdjętego z człowieka podczas choroby. Do tego jeszcze przyczynia się osobistość malujących artystów: są to wszystko prawie Niemcy, po części urzędnicy pozostający w służbie rządowej w Galicyi, z której radziby do własnych stron powrócić; nie dziw więc, że niektórzy patrzą na kraj przez okulary własnej niechęci do stroniącego od nich społeczeństwa, z którem ani im się zlać, ani zbratać, ani go nawet poznać dokładnie nie było podobna. Ciekawem i pocieszającem jest, że w miarę upływu lat sąd łagodnieje...

Szereg „Cudzoziemców“ o Galicyi piszących, rozpoczyna Henryk Traunpaur, Belgijczyk rodem, ale kapitan w armii cesarskiej przez ośm lat konsystujący we Lwowie, autor licznych dzieł przeważnie beletrystycznej treści po niemiecku lub francusku pisanych, autor również trzydziestu listów o stanie Galicyi, mających stanowić jakoby uzupełnienie znanych Listów Krattera. Utwór Traunpaura zatytułowany jest: *Briefe über Galitzien eines unpartheischen Mannes* — i w istocie autor ich usiłuje być bezstronnym a przynajmniej uwzględnić winy dyrektorów i innych funkcyonaryuszów rządowych, wybranych, jak to w takich wypadkach się dzieje, nie z pomiędzy najlepszych. Nie jest to wielką u autora zasługą: wojskowemu wogóle łatwo przychodzi krytyka urzędników cywilnych — i *vice-versa*. Dla rządzonych też niezbyt łaskaw, gdy zamiast mówić sam odstępuje głos jakiemuś bezimiennemu Włochowi, z pod którego majestatu sąd o cywilizacyi, a zwłaszcza o szlachcie, nader ujemnie wychodzi. Dla poparcia jego i swego zdania Traunpaur przytacza sporo anegdot a kończy wymownym sumarycznym ekstraktem wszystkiego, co zauważył w Galicyi:

Drogi — najgorsze we wszystkich czterech *(sic)* częściach świata.

Szalety — nazwane bez namysłu pałacami.

Lud — którego część trzecia jest nieoświecona, wierzy w strachy i czarownice.

Biesiady, podczas których podają potrawy zimne, twarde i zwykle niestrawne.

Junacy wiejscy z szablami zardzewiałemi w pochwach.

Straszliwe wyziewy myszy zdechłych za papierowem obiciem.

Źle płatni urzędnicy bogacący się starym sposobem.

Wspaniały serwis srebrny podany przez brudną i niewyczesaną służbę.

Wiele pokory, gdy się o coś prosi. Wiele dumy, gdy się otrzyma rzecz żądaną.

Kosztowne obicia tureckie i krzesła połamane.

Wielka ilość nędznych mowców, poetów, polityków i filozofów.

Z Ekstraktu tego czytelnik może wziąść miarę czułości Traunpaura, a przecież jest on o wiele sprawiedliwszym i życzliwszym od następnego autora. Jest nim Ernest Kortum, przez dziesięć lat sekretarz Stanisława Augusta, następnie w służbie cesarskiej referent spraw uniwersyteckich we Lwowie, potem w r. 1809 szef lwowskiego gubernium. Bardzo uczony, ale szorstki i twardy, zachował był uwielbienie dla Poniatowskiego i żal do narodu za rozbrat z tym królem, przedewszystkiem zaś był austryackim biurokratą, co zwłaszcza w tych czasach znaczyło wiele. Gdy w r. 1790 ukazała się polska bezimienna broszura, wykazująca przyczyny upadku prowincyi i przedstawiająca uniżenie rządowi sposoby do zaradzenia złemu — Kortum w odpowiedzi wydał swoją: *Magna Charta für Galitzien,* w której niepodobna nie dostrzedz manewru kasty biurokratycznej przeciw nadaniu Galicyi konstytucyi, nad którą wtedy osobna komisya obradowała w Pradze. Manewr niestety się nie udał.

Kortum po Polakach najbardziej nienawidził Żydów, był jednak kwestyą żydowską mocno zajęty, czego wyrazem jest książka: *Über Judenthum und Juden hauptsächlich in Hinsicht ihres Einflusses auf Bürgerlichen Wohlstand* — napisana dość spokojnie, zawierająca równie słuszne uwagi jak fałszywe konkluzye. Wiele z niej ustępów dziś jeszcze posiada aktualność; w jednym mówi np.: „Nie wszędzie spotkasz Żyda, gdzie włościanin jest biedny, lecz za to nigdzie włościanin nie jest zamożny, gdzie jest wiele Żydów". Aby zaradzić złemu przez zlanie żywiołu żydowskiego z chrześcijańskim, radzi „osłabić w nich przekonanie o boskiem pochodzeniu i o mocy obowiązującej żydowskich ustaw narodowych", a to za pomocą oświaty młodzieży szkolnej oraz wyrobienia wśród dorastającego pokolenia obojętności wobec odziedziczonych po przodkach przesądów. Pan Schnür-Pepłowski odpowiada mu słusznie, iż „w najlepszym razie przyszła generacya żydowska składałaby się z samych indyferentystów. Inaczej mówiąc państwo nicby na tem nie zyskało a straciło bardzo wiele .. Zresztą indyferen-

tyzm graniczy bardzo blizko z nietolerancyą"... Nad rozprawą o Żydach zatrzymuje się p. Pepłowski tak długo, że chyba niema już potrzeby samej książki Kortuma przeczytać.

Po sztywnym, kwaśnym i jednostronnym urzędniku austryackim miłe sprawia wrażenie Gdańszczanin Karol Feyerabend, autor między innemi historyi *des polnischen Staats*, również jak i dzieła zatytułowanego: *Wanderungen durch Preussen, Liefland, Kurland, Lithauen, Wolhynien, Podolien, Galitzien und Schlesien*, które to wszystkie kraje zwiedził za młodu między rokiem 1798 a 1803, jak się zdaje — za chlebem. Podobnego rodzaju wędrówki zazwyczaj nie usposabiają wesoło; u Feyerabenda wszakże nie znać odrobiny żółci. Psychologii również niewiele, ale za to opisy ładne i świeże, ton sympatyczny i szczery. Po drodze zwiedza wszystko, podziwia kraj a w nim rzecz niejedną. Że też niejednemu przygania, dziwić się nie można, przykrzejszą jest, jak pisze p. Pepłowski, „skłonność do dysput oraz patetyczne wywody na temat bezwzględnej tolerancyi (religijnej), równości stanów, zacofania i przesądów szlachty oraz ludu"... Zawsze toż samo: jako prawy Niemiec obejrzał zewnętrzną szatę naszego narodu, ale do jego ducha nie dotarł.

Z Józefem Schultes, doktorem medycyny i dawnym asystentem słynnego profesora Franka, wpadamy znów w kastę urzędniczą, pomimo bowiem, iż ten autor tylko niewinną katedrę botaniki i chemii przy uniwersytecie krakowskim piastował, wszelako zdołał i tutaj zaznaczyć swój charakter najezdczy. Pomiędzy pracą nad przywróceniem do ładu zaniedbanego od pewnego czasu ogrodu botanicznego a luźnemi wycieczkami po Galicyi, umiał sobie zgryźliwością sądów do tego stopnia ludzi narazić, iż mu przyszło w r. 1808 wynosić się do Innsbrucka. Wprawdzie i tu wnet naraził się — tym razem rządowi i został wywieziony do Węgier, skąd dostawszy się do Bawaryi naraził sobie znowu opinię entuzyazmem dla Napoleona i tak obijając się z kąta w kąt, wpadł w melancholię, w której trwał aż do śmierci. Nie dziw przeto, iż jego sądy zabarwione są pesymizmem i nie mogą być bezwarunkowo przyjęte. Wydał on opis kopalni w Bochni dosyć ciekawy, dalej kopalni miedzi w Miedzianej Górze w Królestwie Pol. skiem w przeciwstawieniu jej dobrego stanu z upadkiem górnictwa w Galicyi i wogóle w Austryi. W rok później 1809 poczęły wychodzić *Lettres sur la Galitzie ou Pologne Autrichienne*, ale te z powodu trudności cenzuralnych spotkały niespodziewane zapory tak że dziś, o ile wiadomo, znanem już jest tylko niemieckie streszczenie pierwo-

tnego tekstu, skreślonego drobiazgowo i z taką surowością, że nawet wydawca ówczesny wyrzekł się z nim solidarności. W oskarżeniach naszego ludu o pijaństwo znać rażącą przesadę, mówi bowiem między innemi, że przed każdą karczmą leżą zawsze całe kupy uśpionych pijaków. Winę za to składa na szlachtę ciągnącą zyski z szynków, a odmawiając jej wszelkich zalet, dodaje: „Polak przywykł pić i spać, ale nie walczyć“. W przeciwieństwie do Kortuma rozczula się nad Żydami; pisze, iż warto, że dla nich samych Bóg tak pięknie uposażył Galicyę, twierdzi, że porównanie fizyognomii Żyda i chłopa przypomina zestawienie człowieka z orangutanem“... Duchowieństwo i „gmin szlachecki“ traktowane równie łagodnie, „ziemianom“ przyznana niejaka dążność do oświaty, natomiast kilka rodzin magnackich zaszczycone pochwałą, że prócz arystokracyi węgierskiej, żadna tyle, co polska, nie zrobiła dla kraju. Dość ciekawe są opisy wycieczek w Karpaty, podobnie też listy o stosunkach ekonomicznych, zawierające słuszne, acz dość szablonowe uwagi tak o mieszkańcach kraju, jak i o systemie rządowym. Autor dziwuje się skromnemu pożywieniu górali a zarazem ich sile i wytrwałemu zdrowiu, przedłużającem się „zwyż stu lat“. „Widziałem — pisze — pewnego starca liczącego setny dwunasty rok życia, a mimo to uprawiającego rolę z młodzieńczą rzeźkością. W 111 roku życia został był ten Matuzal ponownie ojcem“... Temu starcowi przynajmniej przyznaje, że używał mało gorących napojów. Dla ucywilizowania Galicyi doradza sprowadzenie kolonistów z Gmunden, skarży o obojętność możniejszych Polaków, posiadających wille w Bardyowie, a zaniedbujących Krynicę. Jedyną dla Galicyi nadzieję pokłada w „dobroczynnym rządzie“, nie szczędząc przytem nagany na łapownictwo sędziów i wyzyskiwanie przez urzędników nietyle polskiej ludności co osadników niemieckich: w tem widzi powód nie rozszerzania się kolonii. Lwów zdaje mu się napełniony Niemcami, lecz i tu na zarząd się krzywi: „Józef II. który mianował wielu z istniejących urzędników, mawiał, że ma w Galicyi najtęższe głowy, ale że szkoda, iż ludzie tak zdolni nie posiadają serca“. Wogóle czasy józefińskie wydają mu się rajem wszelkich rozkoszy, a największym wyrazem dobrobytu tęga policya, nie taka wszakże, jaką widzi we Lwowie, gdzie „naczelnik policyi dba tylko, aby się dowiedzieć, o czem mówią, a nie co się dzieje w mieście. Chwali Lwów za tolerancyę nietylko w rzeczach wiary ale i moralności. Zaznacza, że się widzi tu „żyjących w najlepszej zgodzie arcybiskupa łacińskiego z superintendentem, a grecko-unickiego lub ormiańskiego z rabinem“. Opowiada anegdotę o Józefie II., który naga-

bywany przez księdza katolickiego o pozwolenie ożenienia się, odpowiedział mu: „Jestem wprawdzie mój przyjacielu cesarzem rzymskim, ale nie papieżem, nie mogę przeto pozwalać na to, czego nie zabraniałem. Wiesz co jednak? Jedź do Lwowa. Tam nikogo podobne rzeczy nie obchodzą!“ Ale i ta ujemna pochwała jest oczywiście tylko szyderstwem w ustach rozgoryczonego profesora; w Krakowie krytykuje wszystko — nawet architekturę i ozdoby kościołów, słowem wszystko — prócz kaszy hreczanej i krawców.

Po tych gorzkich pigułkach atoli podają nam i cukierek. Emanuel Kratochwil, Czech, urzędnik w Krakowie, potem *Kreishauptmann* czy *Kreiskomissär* w Tarnowie, Sączu, a wreszcie przydzielony do kancelaryi nadwornej, a przytem i pomimo to zbieracz, malarz, pisarz, słowem artysta o żywem sercu i pięknej fantazyi — oto dziw, na jaki z podziwem i respektem spoglądać należy. Z pod jego pióra i pendzla wyszło dzieło *in folio*, ozdobione dziesięcioma barwnemi widokami z Karpat i Tatr pod tytułem: *Darstellungen aus dem Königreiche Galitzien insbesondere der Karpathen im Sandecer Kreise* (1815), wydane równocześnie po niemiecku i po francusku. O Karpatach pisano już wiele zacząwszy od Fröhlicha w 1615 r., nikt jednak dotąd z takiem ciepłem, jak nasz *Kreiskomissär*. Nie dość mu na entuzyastycznych opisach natury, zwłaszcza w Zakopanem, również jak i na skrzętnem podnoszeniu każdego usiłowania w kierunku cywilizacyjnym (np. o działalności ówczesnych właścicieli Zakopanego Homolacsów), wyszukuje jeszcze po górach ślady dawnego, z czasów Rzeczypospolitej datującego przemysłu. O tem wiemy ze starych szpargałów, że był daleko większy niż dzisiaj [1]; Kratochwil atoli nie w szpargałach szukał, ale w kamieniach i w ziemi. I tak w okolicach Czarnego Stawu oraz w dolinie Jaworzyny, zauważył szczątki szmelcowni żelaza jeszcze z Kazimierzowskich czasów; u stóp Pysznej ślady dawnej sztolni św. Józefa, gdzie znachodzono antymon zawierający srebro, tudzież rudę miedzianą, ciągnącą się warstwowo w pokładach białego kwarcu. Widział również „ślady żył złotych na szczytach Krywania, gdzie je eksploatowano podobno w połowie XI. wieku. W dolinie Kościeliska odbywało się po r. 1812 poszukiwanie srebra, które później zostało zaniechane. Resztki

[1] W Lubomirzu np., części dóbr naówczas Lubomirskich a dzisiaj Wodzickich, obecnie tylko leśną przedstawiających wartość, istniało w XVII. wieku kilka tartaków, huty szkła, fabryka papieru i 1000 morgów pod pługiem.

śladów drogi, prowadzącej do tych kopalni a pochodzącej jeszcze z doby Kazimierzowskiej, zdawałyby się wskazywać, jak wielką ongi wagę przywiązywano do nich"... Zdaniem autora, wartoby, zwłaszcza przy bogactwie pokładów torfu w Nowotarskiej dolinie, wziąść się tu na nowo do pracy, wprowadzając przez to nowy zasób ruchu i zarobku dla miejscowej ludności. Kraj ten cały wydaje mu się rajem, gdyby nie plaga opryszków i pchające do tego rzemiosła zdziczenie — skutek braku opieki duchownej i szkół. — Inne dzieło a raczej rozprawy Kratochwila wydane w *Austryackiem archiwum* p. t.: „Wspomnienia z Galicyi", obciążone życzliwym ale niedokładnym balastem historycznym, zawierają opisy innych części zachodniej Galicyi. Mamy więc Wadowice, Lanckoronę, Kalwaryę Zebrzydowską, Tyniec już wówczas opuszczony przez mnichów. Tu pono rozluźnienie w regule i zła administracya ogromnego opactwa zmusiły w r. 1806 władze duchowne do sprowadzenia zakonników Niemców z klasztoru w Wipplingen, lecz i ci nie mogli długo pozostać. Wtedy z dochodów opactwa uposażono świeżą dyecezyę Tarnowską, a stary monaster obrócono na letnią rezydencyę tarnowskich biskupów — takim jeszcze widział go Kratochwil. Po Tyńcu następują opisy Wieliczki, Wiśnicza, gdzie zamek jeszcze cały był wówczas własnością Walsteinów, dalej Jasła, Dukli, Krosna, Tarnowa, Rzeszowa, Łańcuta, Głogowa i t. p. — wszystkie sympatyczne, choć dość pobieżne (przynajmniej pobieżnie u p. Pepłowskiego podane) i przeplatane bajeczkami powtórzonemi poważnie. — Mówiąc o Galicyi nie mógł Kratochwil przepomnieć o Żydach; to też poświęcił im osobną rozprawę, w której wykazując kontrast między zwykłymi Żydami a wszelkich pochwał godną cząstką Karaitów, osiadłych w Haliczu i Tyśmienicy, dochodzi do konkluzyi, że Żydów należałoby wprzód zreformować na podstawie czystego mozaizmu a potem dopiero pomyśleć o ich emancypacyi. Zdanie to wywołało energiczny protest Wertheimera, na który Kratochwil odpowiedział niemniej sążniście w nowej rozprawie, omawiając ujemną rolę Żydów w Polsce, tak za obecnych jak i za dawnych czasów, a na poparcie przytacza ustępy z Długosza, Kromera i Naruszewicza. Przypomina płonność zarządzeń Józefa II. w sprawie żydowskiej a przedewszystkiem smutny los wielkim kosztem założonej kolonii żydowskiej w Dąbrówce pod Nowym Sączem, której on w roku 1815 nie odnalazł już ani śladu: „Sprowadzano do mnie, pisze autor, setki Żydów zaklinających się na wszystkie świętości na świecie, iż własnoręcznie uprawiają ziemię a jednak co do jednego, jedynego mogłem się o tem naocznie przekonać; zaś co do dwóch in-

nych istniało jakoweś podobieństwo, iż wraz ze swoją rodziną zajmują się uprawą roli. Wszyscy inni byli oszustami"... Do tego możemy ze swojej strony dorzucić, iż w referacie o Żydach, spisanym do Sejmu czteroletniego, Tadeusz Czacki zaznacza, iż w całej Rzeczypospolitej istnieje tylko 14 Żydów trudniących się rolnictwem.

Żydami również trudni się przeważnie Michał Stöger, profesor józefińskiego uniwersytetu we Lwowie na katedrze statystyki i umiejętności politycznych, człowiek lubiany i ceniony ogólnie. Oprócz swoich wykładów zbierał materyały we wszystkich działach ustawodawstwa administracyjnego, współpracował z zakładem Ossolińskich, z komisyą dla handlu i przemysłu i z wielu innemi, słowem, pracował zbyt wiele i zapracował się na śmierć, wzbudzając swym przedwczesnym zgonem istotny żal. Rozprawy jego o Żydach zawierają głównie spis ustaw, wydanych dla nich w Galicyi, tudzież różne, ciekawe daty statystyczne. Mówi np., iż gdy w r. 1776 na 2,480.885 galicyjskiej ludności liczono 147.598 Żydów — to w roku 1826 na 4,317.089 liczba ich wynosiła 238.266. Wzrosła zatem znacznie więcej niż stosunkowo z ilością ogólnej ludności, a to pomimo ustaw, utrudniających im wstęp do żydowskiej gminy we Lwowie i innych miejscowościach. Niektóre miasta bowiem posiadały z dawien dawna przywilej egzempcyjny od Żydów: w Jaśle np. tolerowaną była tylko jedna rodzina żydowska, potrzebna dla goszczenia przejezdnych Żydów. W Sączu i w Tarnowie wolno im było mieszkać tylko na jednej ulicy, w innych miastach zajmowali osobne dzielnice. Za to w Tarnopolu ustanowionym został w r. 1803 dla Izraelitów zakład naukowy, który w r. 1820 za szkołę wyższą uznano; wogóle Żydom nie broniono się doktoryzować, ale w praktyce nie przypuszczano ich do służby publicznej. W sprawie kolonij żydowskich, dotkniętej już przez Kratochwila, Stöger donosi, że gdy różne usiłowania rządu w celu zmuszenia Żydów do rolnictwa całkiem chybiły, wyciągnięto z pyłu niezastosowaną jeszcze józefińską ustawę, mocą której każda gmina izraelicka miała własnym kosztem osadzić na roli jedną rodzinę żydowską. Liczono, że tym sposobem przybędzie 1410 gospodarstw rolnych; tymczasem na razie powstało ich tylko 1332, która to cyfra w r. 1822 zeszła już była do 836, a i w tych przekonano się, iż rzekomi gospodarze pod firmą rolnictwa przeróżne prowadzili rzemiosła. W ślad owych poszczególnych rozpraw wydał Stöger w r. 1833 całe dzieło, zawierające systematyczny wykład ustaw, dotyczących Żydów w Galicyi, podający obok wszelkich wiadomości historycznych, kulturalnych i statystycznych, ciekawy obraz życia ży-

dowskiego, dzieło wogóle bardzo sumienne, jasne i bezstronne. Oprócz kwestyi żydowskiej mamy tegoż samego autora rozprawę o rzekach w Galicyi, o słuchaczach wydziału prawniczego na uniwersytecie lwowskim, ciekawy szkic o napojach, gdzie dowodzi, że przyczyną główną chorób epidemicznych u ludzi i bydląt w Galicyi była (a zapewne i jest po dziś dzień) zła woda, skutkiem niedbalstwa ludności, wolącej nieraz używać wody rzecznej lub czerpanej z bagnistego stawu, niż w odpowiedniem miejscu wykopać studnię. Dla braku miejsca trudno tu za p. Pepłowskim wszystkie rozprawy wyliczać, jednej tylko, choć przykrej, niepodobna pominąć milczeniem. Jest to pod tytułem *Parallele* gołosłowne przeciwstawienie cytatów z Kromera, dotyczących oświaty ludu z podręcznikiem hygieny ludowej, świeżo na rozkaz rządu wydanym; sądząc po tem, możnaby wywnioskować, iż przez trzysta lat cywilizacya u nas nie postąpiła wcale. Na pociechę możemy sobie śmiało powiedzieć, iż gdyby kto tę samą pracę przeciwstawienia starych i nowych świadectw przedsięwziął dziś jeszcze w jakim bądź kraju Europy — wynik wypadłby bardzo podobnie. Wogóle wystawiamy sobie naszych przodków daleko dzikszymi, niż byli w rzeczywistości, a siebie mamy za mędrszych niż w istocie jesteśmy. Zresztą *Parallele* Stögera pisane były w czasie, gdzie para i elektryczność nie były jeszcze przeobraziły stosunków światowych.

Po Stögerze następuje krótsza wzmianka o trzech pisarzach: z tych Sartori, literat a w końcu cenzor wiedeński, w dziele o „Cudach natury w Austryi“ opisał znowu Wieliczkę, a nadto przeróżne legendy i baśnie o niedźwiedziach, służących do stołu w magnackich domach lub porywajacych dzieci dla wychowania ich w lesie, o cudownej górze z płomienistem źródłem, które nie jest czem innem, jak znaną w Iwoniczu Bełkotką i t. p. Drugi, August von Behr, Prusak, opisał podróż przez Ślązk, Galicyę i Podole do Krymu i Konstantynopola skreśloną dość pochlebnie dla kraju, ale dla mieszkańców zjadliwą. Trzeci, również Prusak, Theodor von Mundt, w książce *Völkerschau auf Reisen* poświęcił jeden rozdział Polsce, a mianowicie Rzeczypospolitej krakowskiej (1839). Rzecz to dosyć ciekawa i dość sympatyczna. Jako jedną z osobliwości Krakowa autor zauważa osobę Chłopickiego, kończącego tu z wielkim żalem w sercu, w prozaicznem otoczeniu, między śniadaniem w kawiarni a obiadem w traktyerni swój bohaterski żywot. Cała maszyna Rzeczypospolitej krakowskiej nie podoba się Prusakowi, a wyraz „wolne miasto“ wydaje mu się fikcyą i niemal wyśmianiem wobec kontroli opiekuńczych państw. Mówi oczy-

wiście o Niemcach i o Żydach, których w sposób ciekawy zespala, opierając się na wspólności używanego języka: Cokolwiekby się stało — pisze — Żyd i Niemiec kroczą wspólnie w pochodzie ludzkości i do tego związku w ciągu drogi przebytej tak już przywykli, iż z trudnością jeden bez drugiego obejśćby się potrafił!"

Bardziej znanym od trzech poprzednich jest Jan Jerzy Kohl, rodem z Bremy, literat i podróżnik, autor Podróży po Kurlandyi, Inflantach, Rosyi i Polsce, Danii i Szlezwiku i t. d., nadto dzieła pod tytułem: „Petersburg w obrazach i szkołach". Człowiek i pisarz znakomity Kohl, powłóczywszy się nie mało po świecie, skończył swój żywot na posadzie bibliotekarza miasta Bremy. Opis jego drogi przez Galicyę na Czerniowce, Stanisławów, Kałusz, Stryj do Lwowa, a stąd na Jarosław zwykłym szlakiem aż do Krakowa, świadczy, że wyniósł z niej przeważnie korzystne wrażenia. Opis to podróżnika a nie czynownika. Rzecz wydana w r. 1843, więc czasem do nas zbliżona, a przecież interesująca. Sąd czasem surowy, ale nie złośliwy, czasem też autor czegoś nie rozumie lub powtarza opowiadane mu bajki. O Sobieskim wspomina z dziwnem u Niemca uwielbieniem, żali się nad Wawelem obdartym z królewskiego splendoru. Opisuje, jak wszyscy zresztą, dziwy Wieliczki i podobnie, jak prawie wszyscy, zatrzymuje się nad działalnością księżny marszałkowej Lubomirskiej w Łańcucie. W Białej zwiedza fabryki, gdzie robotnicy skarżą się już na wyzysk ich pracy przez przedsiębiorców: tu również spotyka wielu majstrów zrujnowanych od r. 1825, co jednak było wspólną przyczyną tej klęski żaden powiedzieć nie umie.

Książka p. Pepłowskiego kończy się zapiskiem biograficznym i fragmentem z dziennika p. Tadeusza de Thullie, zgadzającym się z przedmiotem dzieła chyba o tyle, że zawiera opis miasta Lwowa, oraz nomenklaturę różnych istniejących i zniesionych tamże klasztorów. Już w sprawozdaniu o „Cudzoziemcach w Galicyi", zamieszczonem w *Czasie*, zauważono, iż rodzina de Thullie, acz francuskiego pochodzenia, osiedlona jest od kilku pokoleń w Polsce i bynajmniej się do cudzoziemców nie liczy. Dziennik Tadeusza de Thullie, lub raczej to, co nazwał dziennikiem, ciekawy jest zwłaszcza tem, że się autor zabrał do pióra w setnym roku swojego życia, w czerwcu 1841 r. Oczywiście praca nie została skończoną...

Zamykając to sprawozdanie ze sprawozdania p. Pepłowskiego, dodać należy, iż rzecz ułożona jest umiejętnie i zręcznie tak, aby czytelnikowi dać odczuć delikatną gradacyę, przez jaką przechodziły sto-

sunki w Galicyi od chwili zaboru (po austryacku rewindykacyi) aż do r. 1848. Gdyby nie ta gradacya, możnaby się skarżyć na pewną jednostajność w tylekroć powtarzanym opisie tychże samych miejsc, w owej wędrówce lub raczej kręceniu się prawie na miejscu między Wieliczką, Tarnowem, Łańcutem, Lwowem i Jarosławiem. Przy niektórych autorach ma się (zapewne niesłuszne) uczucie, że im p. Pepłowski wielki wyrządza zaszczyt, troszcząc się o ich zdanie. Ale cóż robić? Raz rozpocząwszy robotę, trzeba już było brnąć nawet przez męty, których nie mogło zabraknąć na drodze. A choć przytoczone zdania są różne, choć czasem niesłuszne i przykre, czasem znów niedorzeczne albo banalne, przecież i pomiędzy niemi na spory zasób prawdy się trafia i dzięki tej prawdzie każdy z nas może się czegoś nauczyć od „Cudzoziemców w Galicyi".

T. W.

Popularno-przyrodnicze opowiadania z pobytu w Gujanie francuskiej i po części w Peru (od r. 1865—1870). *Konstanty Jelski.* Kraków. Główny skład w księgarni Gebethnera i Sp. 1898. (Str. 142).

I.

Nie zbyt bogatą jest literatura polska w oryginalne opisy podróży po krajach zwrotnikowych, tak podniecające wyobraźnię młodzieży i chęć do zapoznania się z geografią i historyą naturalną. Możemy wprawdzie poszczycić się niektóremi wspaniałemi wydawnictwami, jakiemi są podróże i polowania hr. Józefa Potockiego, który zerwał ze zwyczajem magnatów polskich podróżników spisywania swych wrażeń w obcym języku. Mamy pełne życia i barw podróże po Azyi księcia Pawła Sapiehy; mamy pyszne opisy przyrody Afryki w listach H. Sienkiewicza; ale brak nam dotąd tak cennej dla młodzieży biblioteki podróżniczej, o cenie przystępnej i w przystępny sposób przedstawiającej wiernie kraje zamorskie, ich florę i faunę, ludność i jej obyczaje. Temu brakowi chciał zapewne zadosyć uczynić Jelski, gdy zachęcony przez Baranieckiego, dyrektora Muzeum przemysłowego w Krakowie, wziął się już w późnym wieku do spisywania z pamięci wrażeń młodzieńczych dla słuchaczek na przyrodniczym kursie w temże muzeum.

Wstęp do tych „Opowiadań" napisał szkolny kolega zmarłego, ks. Józef Sowiński, który w nieboszczyku cenił nietylko uczonego badacza przyrody, ale i duszę czystą chrześcijańską i skromność nadzwyczajną. Szkoda tylko, że autor tego wstępu sam za mało znał działalność naukową Jelskiego, mianowicie w Peru, i nie skorzystał nawet

ze wspomnienia pośmiertnego, jakie Jelskiemu poświęcił w *Wszechświecie* (nr. 1 r. 1897) Jan Sztolcmann, towarzysz jego peruwiańskich wycieczek.

Trzeba nam parę słów poświęcić opisowi tułaczego życia K. Jelskiego, a czynimy to tem chętniej, że zmarłego znaliśmy osobiście jako kustosza zbiorów przyrodniczych komisyi fizyograficznej w akademii krakowskiej. Interesującem jest to życie, choćby dlatego, że pokazuje, z jakiemi trudnościami mają do walczenia nieraz u nas ludzie, czujący nieprzeparty pociąg do naukowego badania, którzyby w każdem innem społeczeństwie znaleźli poparcie rządu lub jakiej instytucyi prywatnej. Urodzony w r. 1837 w mińskiej gubernii, na wsi, z ojca Michała, właściciela dóbr, i matki Klotyldy z Moniuszków, rodzonej siostry twórcy „Halki“, już w szkole gimnazyalnej w Mińsku zajmował się zbieraniem owadów, mięczaków i ziół okolicznych. Po 3 latach medycyny w Moskwie, w których nie zaniedbywał zajmowania się naukami przyrodniczemi, przerzuca się w Kijowie na ich badanie wyłączne, pisze rozprawę: *O małakałogiczeskoj faunie okresnostej Kijewa;* w 1862 r. zostaje kustoszem gabinetu zoologicznego, w r. 1863 magistrem, a zarazem otrzymuje propozycyę wykładania zoologii w charakterze adjunkta w miejsce zmarłego prof. Kesslera. Zamiast przyjąć to miejsce, torujące mu w normalnych warunkach pewną drogę do objęcia profesury, Konstanty Jelski opuszcza nagle stanowisko wygodne i bez paszportu przedostaje się za granicę, do Rumunii i Turcyi, gdzie tylko dzięki opiece rodaka, Rustema Beja (Wolskiego) dostaje stanowisko z lichem wynagrodzeniem i polecenie geologicznego opracowania miejscowości w Azyi Mniejszej. Stamtąd szczęśliwie dostaje się po 2 latach do Paryża, gdzie jednak krótko tylko bawi, pracując pod prof. Deysalle, aby przy pierwszej sposobności wybrać się do Guajany francuskiej. Tam dużo przez te 4 lata biedy zażył, aż się dostał do Peru, gdzie już w dogodniejszych warunkach, bądź to za subwencyę hr. Branickiego, bądź to na stanowisku rządowem mógł pracować skuteczniej. Przez Kordyliery dostał się do sławnej doliny Chancha-mayo i w okolice jeziora Junin, gdzie porobił najważniejsze swe odkrycia. Przyczynił się tem bardzo do poznania fizyografii peruwiańskiej. Podróżował także przez północne okolice nad granicą ekwadorską, a następnie zwiedził kotlinę górnego Maranonu (Amazonki).

W r. 1878 powrócił Jelski do Europy i osiadł w Krakowie, gdzie wkrótce uzyskał nominacyę na kustosza zbiorów akademii. Dawał także lekcye w muzeum Baranieckiego dla panien i u OO. Mi-

syonarzy na Kleparzu, co mu ze względu na terminologią polską niemało sprawiało trudności. Śmierć zaskoczyła go na stanowisku; na godzinę przed nią pracował jeszcze w muzeum.

Z prac jego naukowych przedewszystkiem podnieść należy wielki, przeważny udział jego w dziele *El Peru*, wydawanem w Limie, którego wyszło 6 czy 7 tomów, t. j. zaledwo połowa tego, co wydawać Jelski zamierzał. Jelski pisał nietylko w języku hiszpańskim, ale i we francuskim. W r. 1889 wydał w *Bulletin de la société géologique de France* pracę także po polsku w Krakowie tegoż roku wydaną: „O wzajemnej zależności zjawisk geologicznych", w której zużytkował własne obserwacye z Guajany i Peru.

Wszystkie te ogłoszenia jednak nie dają wyobrażenia dostatecznego o działalności naukowej Jelskiego jako zbieracza kolekcyi, w czem zapewne żaden Polak mu nie dorównał. Okazy przez niego nadsyłane do Warszawy, Paryża, Londynu, Berlina, opracowane zostały przez niemały szereg uczonych całego świata, ci zaś, oddając hołd jego zasługom, ochrzcili jego nazwiskiem mnóstwo opisywanych przez siebie gatunków. Niepodobna mi tych wszystkich autorów tu wymieniać; wymienię tylko Polaków: prof. Władysława Taczanowskiego, ks. Władysława Lubomirskiego, prof. Wrześniowskiego, prof. Kluczyckiego, prof. Rostafińskiego, prof. Janczewskiego i prof. Szyszyłowicza. Dodaję, że i jenerał O. Radoczkowski, którego zbiory hymenopterologiczne dostały się do muzeum Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, cały szereg błonkówek przez Jelskiego nadesłanych do Petersburga, zdeterminował i opisał.

Po polsku pisał Jelski wogóle mało; trudno mu było zapewne, jako nieobeznanemu z polską terminologią, naukowe pisać rozprawy. Tem większą ma dla nas wartość niniejsza publikacya, która do tego musiała być popularną i z tego powodu ma przymioty, ale i niedomagania do tego rodzaju opisów przywiązane.

II.

Pierwsza część tej książki jest całkowicie ukończoną. To opis podróży z Paryża do Guajany[1] francuskiej i przeszło czteroletniego tam pobytu. Nie zważając na niebezpieczeństwo życia, na trudy, na

[1] Wolę hiszpańską nazwę Guajana od francuskiej Guyane albo Guiane. Wprowadzone przez Jelskiego Gujana nie odpowiada nawet całkiem wymowie francuskiej.

które będzie narażonym, na brak zapewnienia jakiejbądź posady, jedzie najniższą klasą na okręcie rządowym, przeznaczonym do przewozu skazańców, do Kajenny, chcąc poznać kraj ten ciekawy, a tak dotąd mało jeszcze zbadany. Nie nęcą go baśnie o skarbach tego kraju i mitologicznem El Doradzie, chodzi mu tylko o poznanie fauny i flory. Aby wyżyć, przyjmuje posady, jakie się przytrafiają, z polecenia osób mu życzliwych, pomocnika w aptece szpitalnej w Kajennie, w szpitalu dla skazańców na jednej z Iles du Salut, zastępcy lekarza w szpitalu trędowatych na Montagne d'Argent, a w Kajennie daje nadto lekcye botaniki i rolnictwa w wyższej szkole. Tylko wolny czas poświęca wycieczkom bliższym i dalszym, to nad morze, to w głąb kraju po rzekach Kaw, Oyapok, Maroni i Uassa. Co zwiedza, to wiernie opisuje, ziemię, roślinność, zwierzęta wodne i lądowe, wreszcie ludzi tam zamieszkałych, ich sposób życia, potrawy, ich rolnictwo i produkta krajowe, ich przeroby na eksport i t. d.

Przedziwnym jest opis samego kraju (przymorza), jak mu kosztem morza ciągle lądu przybywa wskutek napływów rzecznych i rozkrzewiania się drzew wypuszczających w to błoto korzenie z pnia i gałęzi *(Rhizophea)*. Jeszcze piękniejszym jest opis lasów dziewiczych po obu stronach rzek; istne to ściany nieprzebyte wskutek rozrostu ljan o najpiękniejszych i najwonniejszych kwiatach. Co za śliczne opisy palm różnorodnych, drzew mangowych, paproci i innych drzew i roślin! Wszystko to przedstawione wiernie, po prostu; niektóre szczegóły, wyjęte z listów wówczas pisanych, podane są dokładnie, inne więcej z pamięci pisane wiele lat później, mniej mają powabu.

A jak go życie zwierząt interesuje! Nietylko czworożnych małych i wielkich, zwłaszcza zaś ptaków tak różnobarwnych, których upierzenie i zwyczaje opisuje, ale i niższych, węży, żółwi, jaszczurów, żab i ryb. Opis ryb w morzu i rzekach, a zwłaszcza ich połowu jest zajmującym niemniej, jak opisy powtarzanych jego połowów nietoperzy. Owady go także bardzo interesują, chrząszcze, motyle, osy, a zwłaszcza mrówki, których ciekawe zwyczaje podaje. Z morskich zwierząt prócz ptaków i ryb interesują go skorupiaki, mięczaki, mniej już szkarłupnie; o koralach i gąbkach nie wspomina wcale.

Szczegóły o uprawie roli i ogrodnictwie, upadłych wskutek zniesienia niewolnictwa, o owocach i potrawach przeróżnych ludności guajańskiej mają także powab pewien. Interesującemi bardzo są np. szczegóły o storczykach, których wyszukiwaniem po lasach wiele ogrodników zajętych, o ich wytrzymałości przy wysyłkach do Europy, o za-

płodnianiu ich sztucznem, gdy niema owadów tę funkcyę spełniających w ich ojczyźnie. — Są i opisy niektórych fabryk. Są opisy różnych sposobów przyrządzania skórek ptasich, które w ogromnej ilości z tego kraju wysyła się do Europy. A przy tem nęcąca jest prostota, z jaką podaje, że tego lub owego od innych zbieraczy lub od najprostszych ludzi się nauczył. Czytanie takie musi zapalić młodzież do naśladowania autora, bo prawdziwie obudza chęć obserwowania dziwów natury. Nieraz uderzają uwagi o pożyteczności takich nawet stworzeń, którychbyśmy o to z góry nie posądzali, np. nietoperzy lub różnych owadów. Znaczenie nietoperzy w ekonomii świata zwierzęcego zrozumiałem staje się każdemu. Porządek w świecie ożywionym, mądrość Stwórcy w dawaniu najniższym nawet stworzeniom takiej a takiej funkcyi podnosi autor, gdzie tylko może. Czyta się nadto wszystko łatwo, bez zmęczenia, choć nie brak wyrazów obcych zoologicznych lub botanicznych, a co gorsza lokalnych ich nazw francuskich, kreolskich lub indyańskich, które dla nie odbywających podróży w te strony mniej są potrzebne.

I to wysoko cenimy, że pisze o zabójczych chorobach, jakie panują w tym klimacie ciepłym i wilgotnym, w którym temperatura o żadnej porze roku, nawet w nocy, nigdy nie jest niższą, jak 27° C. Chorobom tym przypatrzył się w szpitalu i doznał ich sam na sobie. Dlatego po czterech latach postanowił kraj ten opuścić a przenieść się w niezbadane dotąd naukowo wyżyny boliwiańskie. Tymczasem w drodze w ostatniej chwili zmienił projekt swój i został w Limie, stolicy Peru, za namową rodaków inżynierów.

Opis pobytu w Peru, stanowiący drugą część książki, niestety jest bardzo krótki, urwany w samym początku; a szkoda, bo tam on główne zasługi położył jako kustosz w muzeum w Limie przez d-ra Reimondiego założonem. Dzięki zdolnościom ornitologicznym Jelskiego mógł też Władysław Taczanowski pomnikowe swe dzieło napisać „O ptakach peruwiańskich“. Dzięki jemu tyle muzeów europejskich cały szereg nowych okazów otrzymało z najrozmaitszych rzędów zwierząt. Sądzę jednak, że jak do opisu pobytu w Guajanie posługiwał się Jelski listami stamtąd pisanemi, tak też wydaniem listów z Peru możnaby dalszy ciąg opisu z długiego jego tam pobytu nietylko przeprowadzić, ale podnieść jego znaczenie.

Zanosimy więc prośbę do wydawczyni, wdowy po ś. p. K. Jelskim, by się o ogłoszenie dalsze listów jego z Peru do znajomych pisanych postarała. Tymczasem zaś czytanie dotychczas wydanych „Opo-

wiadań“ szczerze polecamy, ale dodajemy, że czytać je trzeba z kartą geograficzną w ręku i, ile możności, z rysunkami roślin i zwierząt opisanych; inaczej trudno sobie wyobrazić z samego czytania ich piękność i rozmaitość a w pamięci wrażenia z samego czytania prędko się zacierają.

Przy końcu dzieła pomieszczony jest kilkostronny spis pomyłek z wielką pedanteryą przeprowadzony. Niestety korektę prowadził nie naturalista, lecz gramatyk, systematycznie zmieniający pisownię i nad drobiazgami się zastanawiający. Za to uszło mu niejedno, czego nie znał, albo może sam korektor winien jest paru pomyłek i to grubych. Tak np. przy opisywaniu raków (właściwie skorupiaków) Guajany, na str. 36 i 37 kilka razy zachodzi wyraz ślimaczki zamiast ślimoraczki *(chevrettes)* czyli garnele lub krewetki *(palaemon)*.

Samemu autorowi zarzucić możemy tylko jedno, że, chcąc być popularnym, unika tak dalece wszelkiego balastu naukowego, że nie podaje nawet nazw technicznych na pewne pojęcia, które znać przecie warto i trzeba, żeby wszystko rozumieć. Wyliczamy też tu parę usterek, jakie nas uderzyły. Mówiąc o lamantynach czyli krowach morskich (rzecznych) *(Manatus)*, na str. 121—123 objaśnia, że to trawożerne z wielorybami spokrewnione zwierzęta. Lepiej byłby się wyraził: „do wielorybów podobne“, bo pokrewieństwa ich i syren z wielorybami dowieść żadną miarą niepodobna. Należą one do syren.

Na str. 81 opisuje złowienie olbrzymiego robaka wodnego, którego uważa za „stworzenie pośrednie między rybą a wężem“. Jest to określenie całkiem nie zoologiczne. Prawdopodobnie był to gatunek nagoskóra *(Gymnophion)* żyworodnego, ryjącego sobie nory tak jak węże, podobnego zresztą raczej do dżdżownic (glist), ale skąd inąd słusznie do płazów *(amphibia)* zaliczanego. Autor powinien był choć w odsyłaczu poświęcić słów parę klasyfikacyi tego zwierzęcia a nie dopuszczać takiego pomięszania pojęć, jakie z powyższych słów jego wypłynąć muszą.

Poza tem nie mielibyśmy nic do zarzucenia naukowej stronie tych „Opowiadań“. Wspomniane zaś usterki tłumaczą się tem, że wrażenia swe z podróży nie pisał dla naturalistów, ale w listach do przyjaciół, lub dla przygodnych słuchaczek w Muzeum Baranieckiego.

Życzymy tej publikacyi jak największego powodzenia, bo na to zasługuje.

Dr. F. Chłapowski.

O podatkach w Austryi. I. O bezpośrednich podatkach osobistych. *Dr. Rudolf Różycki.* Lwów. Nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. 1898. (Str. 144).

Autor, pisząc swą pracę, chciał, jak dowiadujemy się z przedmowy, dać podręcznik austryackiego prawa skarbowego kandydatom, przystępującym do egzaminu prawno-politycznego. Brak podobnego podręcznika był bardzo dotkliwym, szczególniej od r. 1893, t. j. od czasu, gdy austryacka skarbowość stała się przedmiotem egzaminu, dlatego należy się uznanie autorowi, który wolne chwile od swego zajęcia poświęcił żmudnej pracy streszczenia na podstawach naukowych obowiązujących ustaw skarbowych, i — jak z góry musimy stwierdzić — wywiązał się ze swego zadania nader szczęśliwie.

Część pierwsza, którą mamy przed sobą, dzieli się na trzy działy. Pierwszy poświęcony jest krótkiemu przedstawieniu najważniejszych zasad teoryi skarbowości, drugi historyi ustawodawstwa podatkowego w Austryi i odnośnej literaturze, trzeci streszczeniu i ocenie ustaw z r. 1896, zaprowadzających nowe podatki, t. zw. osobiste. Dział pierwszy (str. 1—30) jest jednym z najlepszych zarysów naczelnych idei skarbowości, z jakim spotkaliśmy się kiedykolwiek, szczególniej jeżeli się uwzględni szczupłość miejsca, które zajmuje; dwa następne również nie wiele pozostawiają do życzenia. Co do historyi literatury austryackiego systemu podatków (str. 49—52), to wypada wytknąć, że autor pominął milczeniem rzeczy polskie, jak monografie prof. Bochenka o podatku gruntowym i prof. Leo o podatku spadkowym, Błońskiego dzieło o podatkach w Austryi i t. p., nie można więc powiedzieć, że „dzieł w języku polskim, prócz cennej pracy prof. Głąbińskiego... niema zupełnie“ (str. 49); co do historyi ustawodawstwa austryackiego należało koniecznie wspomnieć o projekcie ministra Steinbacha z r. 1892.

W części poświęconej przedstawieniu podatków osobistych lepiej było rozpocząć od podatku osobisto-dochodowego, bo właściwie inne podatki są tylko, ze stanowiska teoryi, jego uzupełnieniem, prócz tego zaś podać odnośne paragrafy ustaw, gdyż niejednokrotnie samo streszczenie nie wystarcza i z natury rzeczy wytwarza pewne niejasności, które tylko ustawa wytłumaczyć może. To też niektóre rzeczy nie wyszły dość jasno, lub też autor nie podniósł ich znaczenia, np. kwestye zawarte §§. 2 b), 16—30, 46, 173—174 (str. 68, 69—74, 110). Są

to jednak drobne tylko usterki, nieuwłaczające bynajmniej wartości dzieła, dlatego też z niecierpliwością oczekujemy zapowiedzianej w przedmowie części drugiej.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Zasady ogólne ekonomii społecznej. *Jan Stecki.* (Wydawnictwo popularne). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898. (Mała 8-ka, str. 2 i 212).

Nasza literatura naukowa jest jeszcze nader uboga, lecz nigdzie może braki nie dają się odczuć tak silnie, jak w dziedzinie nauk społecznych. Referent wie z własnego doświadczenia, jak trudno mu przychodzi wskazać jakiś podręcznik ekonomii politycznej, pisany w ojczystym języku, który stojąc na wysokości nauki, byłby zarazem dość przejrzystym i jasnym, a nie przemieniał się w szereg monografij, dostępnych jedynie ludziom fachowym. Szczególnie brak nam dzieł, przeznaczonych dla szerokiego ogółu, popularyzujących różne działy wiedzy, w które obfitują literatury obce, przedewszystkiem francuska i angielska.

Dlatego z prawdziwą radością wzięliśmy do rąk dziełko p. Steckiego, które, jak powiada autor w przedmowie, „podaje wykład zasad przewodnich współczesnego życia ekonomicznego“. Niestety zawód był tem przykrzejszy — i dlatego pospieszamy przestrzedz przed podobnem „popularyzowaniem“.

Książki popularne winny się różnić od dzieł przeznaczonych dla ludzi fachowych, z jednej strony formą przedstawienia, która ma być jasną i dostępną każdemu, z drugiej zaś wyborem materyału, gdyż przy popularyzowaniu należy podać tylko najważniejsze zasady, wskazując bezustannie na myśl przewodnią, łączącą je w jedną całość. Natomiast tak dzieła popularne jak i naukowe muszą się odznaczać równą ścisłością, muszą stać na tej samej wyżynie naukowej. Dziwna to jest popularność, która mylnie przedstawia zjawiska, doktryny i cele popularyzowanej gałęzi wiedzy — o wiele jest korzystniej, jeżeli takiego popularyzowania niema już wcale.

Takiego właśnie sposobu popularyzowania trzyma się p. Stecki. Należy przyznać, że autor zdawał sobie sprawę z warunków, odnoszących się do formy, należy podnieść z uznaniem liczne przykłady, zaczerpnięte ze stosunków gospodarczych Królestwa, lecz z drugiej strony należy potępić stanowczo zupełnie fałszywe wywody i definicye zasadniczych pojęć ekonomicznych, dowolną terminologię, w wielu miej-

scach najzupełniej błędną, wreszcie popularyzowanie nauki ekonomii w r. 1898, według jej stanu z przed kilkudziesięciu laty. Jeżeli autor powiada w przedmowie, „że ludzie biegli w danej nauce, poznają sami, co jest własnością autora“, to możemy mu odpowiedzieć, że jego własnością jest prawie wszystko, bo w nauce mamy zupełnie inne poglądy.

W szczegółowe zbijanie błędów wdawać się nie możemy, bo musielibyśmy przechodzić chyba stronę po stronie, podajemy jednak kilka przykładów, na dowód, że powyższy sąd nie jest za ostry. Tak np. co do samej rzeczy znajdujemy podobne określenia: „Czynności wytwarzania, wymiany, podziału i spożycia zowiemy gospodarstwem, a naukę o gospodarstwie — ekonomią“ (str. 3). Narzędzie jest „wytworem pracy, zaoszczędzonym dla nowego wytwarzania“ (str. 8), a definicya kapitału jest taką samą (str. 9). „Połączenie pracy, kapitału i przyrody, w celu wytwarzania dóbr, nazywa się przedsiębiorstwem“ (str. 30). Przyczyną wartości jest użyteczność... miarą stopień użyteczności (str. 85), źródłem praca (str. 86). I dalej znowu: „miarą wartości jest też ilość pracy“ (str. 87), „wartość... zależy od ilości pracy, niezbędnej w danym czasie i miejscu“ (str. 89), „o wartości towaru stanowi przeciętna ilość pracy“ (str. 91). Konia z rzędem temu, kto to zrozumie, a wszystko nazywa się popularyzowaniem! „Pożyczką zwiemy niezupełny akt wymiany“ (str. 153). „Wypożyczenie kapitału... zwie się kredytem“ (str. 155). „Papiery płatne za okazaniem, noszą miano biletów bankowych... płatne w terminie zwą się obligacyami“ (str. 162) i t. d. Tych przykładów już chyba dosyć, a równą ilość możemy znaleźć i na wynalazki terminologiczne autora. Tak np. nazywa on izby wyrównawcze „domami wymiany“ (str 171), wynagrodzenie „płacą zarobną“ (str. 173), monetę zdawkową „podwartościową“ (str. 107), przedmioty gospodarcze „dobrami“ i na odwrót dobra materyalne z wykluczeniem usług „przedmiotami“ (str. 5). Jednem słowem w dziełku autora nie znajdujemy ani zasad, ani ekonomii społecznej, ani popularności.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Światła i kwiaty. Myśli zebrane z utworów H. Sienkiewicza ułożył *Maryusz*. Nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu. 1899. (W 8-ce, str. X, 140).

Zbiór aforyzmów, myśli świetnych treścią i formą, wyrażonych krótko a treściwie, — rzecz to miła zawsze do czytania a często pożyteczna. Obfitość materyału miał autor wielką; sam wyznaje w przed-

mowie, że „Sienkiewicz rozsypał w utworach swoich rój świetnych, czasem paradoksalnych, zawsze nieomal interesujących myśli i sądów, że otaczał je wonią najoryginalniejszych zwrotów, porównań i kontrastów".

Zadaniu jednak swojemu godnie autor nie odpowiedział. W wyborze aforyzmów przedewszystkiem powinny się znajdować tylko aforyzmy, tymczasem w omawianym zbiorku spotykamy tu i owdzie długie opisy i rozumowania przeciągłe. Te ostatnie czerpie autor głównie z powieści „Bez dogmatu". Z niej wyjął np. zbijanie miłości gatunku w obronie miłości indywidualnej, ciągnące się przez 21 wierszy (str. 20); z niej dwa razy dłuższy dowód na to, że ostatnim i jedynym celem wszystkich ludzkich zabiegów jest miłość płciowa (str. 25). Na stronie 64 poczyna się znów opis stepu na półtorej kartki i tłumaczenie panteizmu wyjęte z „Listów z podróży", z których również zaczerpnięto wrażenia z tumu kolońskiego mało co krótsze (str. 105, 106). Do aforyzmów nie możemy także zaliczyć myśli powszednich, nie odznaczających się ani światłem treści, ani barwnością formy, jakich jest dość spora liczba w zbiorku. Taką np. jest zaraz pierwsza myśl (str. 13): „Nie dlatego powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązek, jaki Bóg wówczas nakłada; szczęście to tylko przypadek" („Rodzina Połanieckich"). Trudno też nazwać aforyzmem zdanie wyjęte z „Krzyżaków": „Duch Święty i niewiastom krzyny rozumu nie poskąpił" (str. 15), lub z „Quo vadis": „Plato powiada, że cnota jest muzyką, a życie mędrca harmonią" (str. 73). Większym jeszcze błędem w wyborze jest brak jedności zapatrywania. Obok zdań zdrowych, rozumnych stoją chorobliwe, nacechowane, pesymizmem lub sceptycyzmem. Znajdują się i one wprawdzie w dziełach Sienkiewicza i są często chwałą talentu, który potrafi się stawić w położenie ludzi różnych kategoryj, ich rozumem myśleć i ich językiem mówić, ale nie są to przekonania samego Sienkiewicza.

Nadto jeżeli te aforyzmy mają być także pouczającemi, to jakżeż można kłaść obok siebie zdania zaprzeczające się nawzajem. Dlatego to winien był autor materyał tak przebrakować, by w jego zbiorze znajdowały się tylko aforyzmy nacechowane pewnem zapatrywaniem się na rzeczy, które znów skądinąd ma być rozumnem. Zdanie więc, jak: „Świat stoi na oszustwie, a życie jest złudzeniem" („Quo vadis"), „Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi" („Quo vadis"), „Zawiedziesz się na wszystkiem... (miłości, cnocie, nauce)" („Hania"),

nie powinny się znajdować w zbiorku, który w większości znamionuje moralność chrześcijańska.

Te dwa błędy w wyborze obniżają najwięcej wartość dziełka, które zresztą mieści w sobie wiele prawdziwych świateł i kwiatów. Zobaczmy teraz ich podział. Oparł go autor „na zasadzie powinowactwa przedmiotowego“ i podzielił zbiorek na siedm rozdziałów, w których omawia „kilkadziesiąt pokrewnych lub przynajmniej zbliżonych przedmiotów“.

Nie wspominając już o trudnościach samego podziału przeprowadzonego na tej zasadzie przez autora, podnosimy tu zamieszanie, jakie panuje w pojedynczych rozdziałach. Dla przykładu przytaczamy rozdział drugi, który według napisu obejmuje myśli o literaturze, poezyi, muzyce, malarstwie, pięknie, artystach, sławie, talencie, naturze. Rozpoczyna go artysta, po którym idą dekadenci, za tymi malarze, następnie muzyka, znowu artysta i esteta, potem (na mocy jakiego pokrewieństwa?) ułuda życia i kościotrup niewłaściwie przedstawiający u chrześcijan śmierć, więc marność bogactw, sławy i władzy, dopiero piękno, za tem konieczność postępu w artyzmie, niebo z „Boskiej komedyi“, życie literackie, najnowsze powieści francuskie, znowu literat i t. d. — aż wreszcie po malarstwie polskiem, oceanie, amatorstwie, Hamlecie, Wagnerze kończą rozdział opisy burzy morskiej, stepu i morza. Zwiększa się jeszcze to zamieszanie przez okoliczność, że autor nie zawsze umiał odnieść aforyzm do odpowiedniej klasy. Dlaczego np. w rozdziale drugim umieścił wspomnianą myśl o marności życia? dał się uwieść porównaniu z teatrem i na nim położył główny nacisk a nie na życiu, o które tam przecież głównie chodzi. Niektóre znów aforyzmy nie występują w swem właściwem znaczeniu lub, co gorsza, mają wprost przeciwne. Tyczy się to głównie ironicznie wypowiedzianych uwag Petroniusza.

Te oto zarzuty czynimy autorowi „Świateł i kwiatów“, a czynimy je jedynie ze względu na aforyzmy przez autora przytoczone, nie wchodząc w to, czy z dzieł Sienkiewicza wybrał najlepsze, czy nie pominął wielu, któreby godniej reprezentowały wielkiego powieściopisarza.

Bogusław Mączka.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Historiographia ecclesiastica, quam historiae seriam solidamque operam navantibus accomodavit *Guil. Stang* s. Theologiae Doctor eiusque in collegio Americano Lovanii professor. Friburgii Brisgoviae. B. Herder. 1897.

Historya każda, tem więcej historya Kościoła św., ma być nauczycielką życia, światłem prawdy; stąd musi czerpać materyał ze źródeł czystych, niezamąconych sekciarską nienawiścią, wolnych od osobistych uprzedzeń, ze źródeł, które są dalekie od tendencyjnych przekręcań. Historya Kościoła traktowana objektywnie, w sposób prawdziwie krytyczny stanie też zawsze w obronie tej Boskiej Instytucyi przeciwko kłamstwom i oszczerstwom miotanym przez jej wrogów, którzy wrzekomo w imię dziejowej prawdy rzucają się na Kościół a zwłaszcza na Stolicę św. „Jeżeli kto — powiada Leon XIII. [1] — z umysłem spokojnym i wolnym od uprzedzeń, bada niesfałszowane pomniki dawnej przeszłości, przekona się, że one same przez się bronią wspaniale Kościoła i papiestwa. W nich i z nich można wyczytać i oglądać prawdziwą naturę i szczytną wielkość chrześcijańskich instytucyi, jaśnieje w tych pomnikach moc i niebiańska siła Kościoła wśród ciężkich walk i świetnych zwycięstw. Na kartach dziejów wyryte są te wielkie dobrodziejstwa, które spłynęły za pośrednictwem papieży na wszystkie ludy, a szczególnie na ten, wśród którego Opatrzność Boża umieściła Stolicę Apostolską". Dlatego to wrogowie papiestwa rzucili się z całą przewrotnością i zaciekłością do fałszowania dziejów kościelnych, do przekręcania minionych wypadków, aby w ten sposób podkopać powagę Pontyfikatu. Na dowód, że Rzym nie lęka się zdobyczy naukowych, że miłuje prawdę i światło, otwarł Leon XIII. bibliotekę watykańską dla tych, którzy miłują i chcą poznać prawdę dziejową. Zyskał też wiele Kościół na tem, bo sumienne badania rozprószyły dużo zakorzenionych błędów i kłamstw wyrafinowanych, które zniknęły z horyzontu, jako znikuje mgła za pojawieniem się słońca.

Stang, którego bibliografię mamy pod ręką, zamierzył swą pracą przyczynić się do ułatwienia postępu w nauce historyi kościelnej tym, którzy ją głębiej poznać pragną.

---

[1] List Leona XIII. do kard. de Luca, Pitry i Hergenroethera z 18 sierpnia 1883 r.

Książka jego obejmuje 267 stronic druku w 8-ce. Autor zaraz w pierwszym paragrafie mówi o źródłach historyi kościelnej, w następnym podaje krótko niektóre wskazówki o krytyce historycznej, w trzecim wylicza 15 źródeł historyografii kościelnej, na samym czele stawia Euzebiusza, którego słusznie nazwano ojcem historyi kościelnej, a wreszcie umieszcza w swem dziele 516 uczonych, którzy zajmowali się studyami historycznemi i pozostawili potomności prace w tym kierunku. Książka ta — niewielkiej wprawdzie objętości — świadczy o żmudnej pracy autora. Pisarzy łacińskich i greckich aż do XII. wieku cytuje według Patrologii J. P. Migne'a. Korzystał również z patrologii Józefa Fesslera z dzieła Potthasta: *Bibliotheca historica medii aevi,* z pracy Hugona Hurtera: *Nomenclator litterarius,* z artykułów „Encyklopedyi kościelnej", wydanej u Herdera we Fryburgu. Przy końcu dzieła dołączył autor list Leona XIII. wydany w sprawie studyów historycznych z r. 1883. Pisarzy wylicza według wieków, w których żyli, od pierwszego aż do naszego stulecia, co ułatwia przegląd.

Ocena wyliczonych historyków i sąd o nich wydany jest sprawiedliwy. Tak np. przyznaje Euzebiuszowi dużo zalet, dla których zwie się ojcem historyi kościelnej, lecz oświadcza, że ten pisarz nie wszędzie zasługuje na wiarę w dziele o życiu Konstantyna W.; był bowiem przyjacielem i powiernikiem tego cesarza i z rozmysłu pomija błędy jego i podnosi jedynie to, co zasługiwało na pochwałę. Przytem Euzebiusz skłaniał się niekiedy ku aryanizmowi i nie zawsze jest wolny od uprzedzeń względem Kościoła katolickiego. Obok licznych zalet dzieło Stanga ma pewne braki. I tak nie uwzględnił należycie autor historyków kościelnych z najnowszych czasów. Wszak wiek nasz, a zwłaszcza ostatnie jego dziesiątki, należą do najruchliwszych pod względem badań historycznych. Badacze na tem polu doszli do świetnych zdobyczy. Należało więc gruntowniej zbadać ten ruch i nie zapominać o tych, którzy się za dni naszych w historyi odznaczyli. Pominięty jest np. Ludwik Pastor, autor znakomitego dzieła: *Geschichte der Päpste im Zeitalter der Renaissance,* którego wyszło dotychczas 3 tomy u Herdera. Tem więcej nie należało pomijać tego historyka, że on wydał z pozostawionych po Janssenie papierów dalsze dwa tomy znanego powszechnie dzieła: *Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgang des Mittelalters.* Na uwagę zasługiwał i Brück, autor krytycznego podręcznika do historyi kościelnej i gruntownej a obszernej pracy: *Geschichte der kath. Kirche in Deutschland im neunzehnten Jahrhundert.* Tem więcej zasługiwał na wzmiankę, jeżeli autor mówi o daleko mniej

znacznych, jak np. Vascottim (str. 213 i nast.). Gdy się wspomina o historyi Holzwartha, należało w historiografii umieścić i Weissa 22-tomową pracę: *Weltgeschichte*, której drugie wydanie opracował ten znakomity uczony katolicki i wydawał w Gracu od 1890—1898 r. Wogóle Historiografia niniejsza potrzebuje dużo uzupełnień. Z naszych polskich uczonych pomieścił autor w swej pracy tylko 7: Bzowskiego Abrachama, Marcina Polaka, Łubieńskiego Stanisława, biskupa płockiego († 1640) autora książki: *Vitae praesulum Plocensium*, dalej Ignacego Kulczyńskiego, Bazylianina († 1741), który napisał: *Specimen ecclesiae Ruthenicae;* Jezuitę Fr. Rzepnickiego († 1780) i jego dzieło: *Vitae praesulum Poloniae et magni Ducatus Lithuaniae,* wreszcie Starowolskiego i Sierakowskiego. Pominął więc wielu, którzy po łacinie pisali np. Gallusa, Długosza i t. d.

O niektórych pisarzach używa ogólników i nic nieznaczących frazesów, które się często powtarzają: np. *opus celeberrimum, opus eximium.* O św. Antoninie florenckim pisze na str. 105: *Adhibuit s. Antoninus artem criticam et multas fabulas luci exposuit, quamvis opus eius a fabulosis non sit immune.* Otóż sąd ten jest zanadto ogólny. Św. Antonin nie miał czasu gruntownie i krytycznie pisać. Jego *Summa historialis* zawiera w sobie wiadomości pewniejsze dopiero z ostatnich wieków (ciągnie się od początku świata ta kronika aż do r. 1457 po Chr.), najbliższych życiu autora, do których należy szczególnie gruntowne opisanie wypadków zaszłych we Włoszech (Cfr. Encykl. Nowodworskiego t. I.). Zresztą wiele rzeczy u św. Antonina nie wytrzyma krytyki. Dzieło to mogłoby służyć ze swojemi obszernemi legendami raczej za budujące czytanie pobożne, niż za dzieło naukowe.

Również sąd o Bernardzie Jungmannie jako historyku i jego: *Dissertationes selectae in historiam eccl.* 7 vol. nie jest dokładny. Pisze za rozwlekle Jungmann, dogmatyzuje za wiele, jest suchy, trzeba długo i cierpliwie w nim czytać, zanim się pozna jakiś mały okruch prawdy historycznej.

Należy również wytknąć i to, że autor nie wylicza wszystkich prac historycznych tych pisarzy, których umieścił w swej Historyografii kościelnej. Pisze wprawdzie we wstępie, że dzieło niniejsze przeznacza głównie dla alumnów, i że braki jego ma uzupełnić ustny wykład profesora i ćwiczenia praktyczne w tak zwanych seminaryach historycznych. Na to odpowiadamy, że niemal w każdym podręczniku historyi kościelnej przeznaczonym dla słuchaczy teologii, znajdują się wyliczeni wybitniejsi uczeni na tem polu, że zatem wyczerpująca hi-

storyografia kościelna potrzebnąby była dla profesorów i tych, którzyby pragnęli gruntownie pracować nad dziejami Kościoła. Stąd koniecznie wynika, że historyograf powinien się starać o możliwie kompletny i wyczerpujący spis historyków kościelnych i ich prac.

Kończymy tę recenzyę słowami Rohrbachera [1], wypowiedzianemi wogóle o bibliografii: „Za dni naszych bibliografia jest umiejętnością bardzo trudną, a zarazem bardzo potrzebną: bardzo trudną dlatego, że liczba książek wydanych jest prawie niezliczoną; z drugiej strony jest bardzo potrzebną, bo uczeni wiele rzeczy zbadali już tak dokładnie, że nie potrzeba już na nowo badać... należy korzystać z owoców ich prac i dalej budować gmach wiedzy. Niestety umiejętność bibliograficzna jest bardzo zaniedbaną; kler zwłaszcza powinien znać te świetlane bogactwa wiedzy, bo on w wielkiej części je stworzył i przechował".

Ks. dr. Jakób Górka.

La role sociale de la femme. *M-me Anna Lampérière.* Paris. Félix Alcan éditeur. 1898. (W 18-ce, str. 174).

Dziełko powyższe jest właściwie zbiorem artykułów, ogłoszonych już poprzednio w *Temps* i *Nouvelle Revue*, a zajmujących się obowiązkami, prawami i wychowaniem kobiet. Autorka występuje przeciwko modnemu feminizmowi, który domaga się, aby kobiety w każdej dziedzinie stanęły do walki — i stara się określić właściwe zadanie społeczne kobiet, zasadniczo różne od sfery działania męzkiej. „Stworzyć z kobiety g o s p o d y n i ę, w podniosłem tego słowa znaczeniu, gospodynię indywidualną i społeczną, zrobić z niej współpracownicę a nie rywalkę mężczyzny, i w tym zakresie uzdolnić ją do zaspokojenia własnych potrzeb, gdy jest samą, do utrzymania dzieci, gdy zabraknie ojca: oto jest właściwe rozwiązanie kwestyi kobiecej" (str. 16). Zadaniem kobiety jest zarząd i rozdział środków i organizacya wspólnego gospodarstwa, która ma o wiele większe znaczenie, aniżeli zwiększenie dochodów, przez stworzenie samoistnego zarobku (str. 14, 33). Przechodząc po kolei zarzuty obozu feministek, przeciw dzisiejszej organizacyi, wykazuje autorka, jak błędne są twierdzenia o t. zw. wiecznej małoletności, zależności ekonomicznej, niższości prawnej, która z żony tworzy pierwszą sługę męża i t. p. Z drugiej znowu strony brak zro-

[1] *Histoire universelle de l'église catholique,* tome I. Luis Vivès. 1898. str. 189.

zumienia roli kobiecej leży zarazem po stronie mężczyzn, bo najczęściej „pragną oni tylko dobrego obiadu, jeżeli są łakomi, pięknych strojów, gdy są próżni, ułatwień dla swej karyery, jeżeli są ambitni (str. 113). Ażeby przeciwdziałać tym sprzecznym, lecz równie szkodliwym prądom, należy, zdaniem autorki, przedewszystkiem zmienić wychowanie i wykształcenie kobiece, które z pominięciem szczegółów, winno rozwinąć zdolność do oceniania rzeczywistych stosunków i logicznego rozumowania, przez podanie nielicznych naczelnych zasad każdej gałęzi nauki, czyli przez skondenzowanie całokształtu wiedzy ludzkiej (str. 110).

Jakkolwiek niejedno byłoby tu do zarzucenia, przedewszystkiem zupełne pominięcie motywów religijnych i ich znaczenia dla określenia właściwej roli kobiety w społeczeństwie, to jednak znajdujemy w omawianej książce tyle myśli zdrowych nader korzystnie odbijających od modnych i u nas „postępowych“ zapatrywań na emancypacyę kobiet, że możemy tylko polecić przeczytanie, a nawet przetłumaczenie dziełka p. Lampérière.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Judith Renaudin, drame en cinq actes, sept tableaux. *Pierre Loti.* Paris. Calmann Levy. 1898. (Str. 100).

Nowy akademik francuski powinien był ten ostatni swój utwór podpisać własnem rodzinnem nazwiskiem a nie swym literackim pseudonimem. Dotąd nazwa: Pierre Loti — nasuwała na myśl palmy, cyprysy, kwiaty lotosu lub chryzantemu, igranie słońca na fali, tajemnicze głębie mgły morskiej, potworne figury Buddy a wkoło nich zapachy, zawsze i wszędzie zapachy: słusznie ktoś mówił, że podczas co inni działają przez koloryt, Loti działa przez powonienie. W sztuce jednak, którą uczcił swój wstęp w grono „Nieśmiertelnych“ niema nic, ale absolutnie nic, coby uderzało zmysły; rzecz dzieje się na wyspie Oleron a więc nad Oceanem, ale mogłaby bez uszczerbku dla treści dziać się równie dobrze nad brzegiem której z francuskich rzek. Cała waga zatem spada na stronę psychologiczną dramatu a ta — jak się spodziewać można było z pod pióra Lotiego — jest słaba, Loti piszący o uczuciach religijnych — to trochę jak ślepy opisujący krajobraz: wie o nim przez doświadczenie drugich i przez to co mu opowiedzieć zechcieli. Trzeba wprawdzie przyznać, że Loti wychowany w typowej rodzinie kalwińskiej, a potem żyjący pomiędzy ogromem nieba i morza, zachował z religii to, coby Niemcy nazwali *ein Nachgeschmack,* przez całe

życie słyszy, że gdzieś w oddali dzwonią, tylko nie wie w jakim kościele. Wybrawszy się na wycieczkę do Ziemi świętej, wyobraził sobie, że wystarczy mu spacerować po księżycu, aby co najmniej spotkać Pana Boga we własnej osobie a zawiedziony udrapował się w togę rozczarowania i jak Achilles skrył się pod swoje namioty. Trzeba aż było palm akademickich, aby go z pod ich cienia wywołać. Równocześnie też ukazał się dramat pod tytułem: *Judith Renaudin*, osnutej na tle walk religijnych francuskich a raczej prześladowania, doznawanego we Francyi przez Hugenotów, których ciż sami gnębiący ich królowie popierali na Węgrzech i w Niemczech. Epizod z sławnych „dragonad" wykonywanych wskutek odwołania nantejskiego edyktu, stanowi główne tło sztuki. Widzimy poważną a sztywną rodzinę kalwińską (Drumont swojego czasu wyśmiał dość słusznie przymiotnik *austère* nieodstępny po francusku od protestantów), pełną wszystkich cnót ewangelicznych, ale po trosze nudną, a wobec niej młodego kapitana dragonów Rajmunda d'Estelau przybywającego na czele swojej kompanii dla wymuszenia na dyssydentach natychmiastowego poddania się dotykającym ich wyrokom. D'Estelau jest szlachetnym człowiekiem, to też okrutny swój obowiązek wykonywa niechętnie, tem niechętniej, że pomiędzy nim a zagrożoną ludnością staje miejscowy katolicki proboszcz przerażony zbrodniami popełnianemi w imię prawdziwej wiary. Oczywiście d'Estelau zakochuje się w pannie Renaudin, pięknej a biblijnie egzaltowanej Judycie, mieszkającej przy babce i owdowiałym bracie. Tak Judyta, jak i ona babka, są typami nieodzownemi w każdej powieści lub sztuce opiewającej dzieje protestantów; takie posągowe babki zwłaszcza zbyt często się spotyka. D'Estelau zwierza się księdzu ze swoich uczuć i prosi go, aby pośredniczył pomiędzy nim a rodziną Renaudin; gdy zaś proboszcz rozwiewa jego nadzieje otrzymania kiedykolwiek ręki Judyty, młody kapitan staje się przez chwilę zajadłym i żal swój w nieubłaganą obleka surowość. Wtedy poczciwy ksiądz ukrywa u siebie ofiary, ale nadaremnie — dragoni chwytają ich w chwili ucieczki, jedno z dzieci upada ugodzone od kuli. W domu Renaudinów rozpacz i oburzenie; jedna Judyta nie pozwala na kapitana złorzeczyć i ją bowiem pomimo uroczystych kalwińskich form ugodził bożek miłości. Próbując ostatniego środka ratunku; decyduje się iść sama do Rajmunda prosić o litość; gdy jednak d'Estelau korzysta ze sposobności, aby jej z największą pokorą wyznać swój afekt, odpowiada mu odmową i zamiast ręki, daje mu na pociechę egzemplarz Biblii. Wtedy już rodzina jej postanawia ucieczkę tem obecnie trudniejszą, że po raz

wtóry zawiedziony w nadziejach a party przez kolegów d'Estelau już na prawdę się sroży. Przy drzwiach zamkniętych w nocy otaczają starą babkę, która im towarzyszyć nie może, gdy naraz słyszą stukanie, za którem odzywa się głos proboszcza, żądającego wstępu. Otwierają mu z pełną ufnością, aż tu za plecami księdza wyłaniają się dwie postacie dragonów. Dotąd wszystko jeszcze było w porządku: tu dopiero poczciwy Loti zaczyna trochę bredzić. Oburzonych i przerażonych rzekomą zdradą ksiądz uspokaja zapewnieniem, że owi dragoni są zaufanymi ludźmi Estelaua, który ich posłał dla bezpiecznego przeprowadzenia uciekających aż do zamówionej łodzi. Co więcej, nie uciekną sami, gdyż on sam, Estelau, nie mogąc ich inaczej ratować, postanowił wraz z nimi uciec do Holandyi opuszczając swój sztandar, swój kraj, swą ojcowiznę i — nawiasem mówiąc — swą wiarę. Wszystko to ma mu wynagrodzić nadzieja pozyskania kiedyś Judyty. Wprawdzie proboszcz, który całej sprawie matkuje, ma niejakie skrupuły i dość naiwnie, choć gorąco błaga Renaudinów, aby zagrzewając Estelaua do cnoty, zostawili mu dawne dogmaty. Że jednak młody kapitan już sam przez się na punkcie religii nie bardzo jest tęgi, więc łatwo przewidzieć, co z niego zrobi wpływ silniejszej wiarą i charakterem kobiety.

Koniec ten nie jest zbyt fortunnym moralnie ani też artystycznie. W ostatniej scenie bowiem prawie wszyscy aktorowie jeden po drugim wychodzą, a przed widzami pozostaje tylko ksiądz, ślepa staruszka i bijący głową o ścianę dziadek — zapomnieliśmy w inwentarzu rodziny o dziadku. — Bohater sztuki, Estelau, nie pokazuje się wcale przy ostatniej odsłonie. Niema wątpliwości, że Loti miał jak najlepsze zamiary pisząc swój dramat; widać to z samego faktu, że prześladowców wystawił jako bardzo chłodnych katolików, a w serce bardzo pobożnego kapłana wlał samo miłosierdzie i tolerancyę posuniętą chyba aż do zbytku. Że proboszcz nie miał prawa wystawiać na szwank duszy Estelaua dla ratowania protestanckiej rodziny, tego nikomu z nas tłumaczyć nie potrzeba, ale też nie byłoby podobnem wytłumaczyć samemu autorowi, który — jak nam to w przedmowie powiada — treść dramatu oparł na wspomnieniach własnej rodziny, na starych listach z Holandyi, na istniejącym jeszcze na wyspie Oleron dworku, z którego niegdyś uciekali jego ojcowie. Judith Renaudin — to pono jego „praciocia". Być bardzo może, iż sztuka na scenie sprawia daleko silniejsze wrażenie, aniżeli w czytaniu; w każdym razie należy się autorowi wdzięczność, że ją napisał czystą francuzczyzną, mową dla prostych śmiertelników przystępną, a budzącą zapewne najgłębszą po-

gardę u nowomodnych pisarzy. Na pociechę może sobie powiedzieć, iż ta prosta mowa przetrwa może wieki, a tamtej za parę lat nie zrozumie nikt, a i teraz mało kto rozumie. Drugą zaletą sztuki Lotiego jest, że ją pisał na czysto nie uciekając się do żadnych drastycznych szczegółów ku podnieceniu nerwów czytelniku lub widza. Najsurowsza mama, nawet najbardziej *austère* z protestantek może na przedstawienie „Judyty Renaudin“ poprowadzić swą córkę, byle jej wytłumaczyła wprzódy, że Loti jest z rzędu ludzi, którym jest obojętnem czy owo dzwonienie, jakie z dala słyszą, pochodzi z kościoła, zboru, meczetu albo bóżnicy, że przeto nie dziw, iż chcąc się tego roku wkupić w łaski swych akademickich współbraci, obu stronom świeczkę zapalił.

T. W.

Dilettanten des Lebens. Roman. *C. Viebig.* Berlin. F. Fontane et Co. 1899. (W 8-ce, str. 328).

Szkic dość udatny z życia towarzyskiego niemieckich miast, które są ogniskami ruchu artystycznego. Na każdej stronicy czuć znajomość serca kobiecego. Lena, któraby pragnęła, aby najmniejszy pyłek się usuwał z pod jej stóp, dobrze reprezentuje typ kobiety niezłej, niegłupiej, ale do przesady wyegzaltowanej. Życie chciałaby znać tylko ze strony idealnej i stąd niechęć do wszystkich i wszystkiego, co nie przypada do miary jej życia wewnętrznego. Więc czuje się opuszczoną, nieszczęśliwą, zapoznaną, przyczyny zaś nie szuka nigdy w sobie samej, ale w innych. I ta eteryczna, rozmarzona dziewczyna spotyka się przypadkowo w podróży z podobnym sobie dyletantem sztuki, który w dodatku próbuje swych sił we wszystkich prawie kierunkach. Geniuszem okrzyczano go w dzieciństwie, podczas gdy w istocie jest on tylko zdenerwowanym próżniakiem. Podobieństwo charakterów i upodobań zbliża ich ku sobie. Jak kruchym był ten węzeł, zawarty jakby pod chwilowem rozdrażnieniem nerwów, przekonują się zaraz po ślubie. Bez środków do życia, z planami nieokreślonemi, ale za to podwójnie wielkiemi, prowadzą życie graniczące niemal z nędzą. Nawet to, co ich do siebie ostatecznie zbliżyło, ta poetyczna wrażliwość i delikatność uczuć, przysparza im tylko męczarni. Urok idealizmu powoli opada, gdy przychodzi z życiem twardem pójść w zapasy. Dlatego też autorka nie mogła znaleźć innego rozwikłania tego dramatu tak zwykłego w życiu, jak śmierć jednego z nich. Ze śmiercią męża dopiero, budzi się w Lenie jakaś śmiała energia, upór nie poddania się zniechęceniu, rozpaczy. Ona ma przecież teraz cel życia, cel szczytny, pochłaniający

całą jej zmęczoną istotę. To dziecko, którego się spodziewa, budzi w niej kobietę i matkę. Taka jest pobieżna osnowa tej książki, w której na każdej karcie czuć ciepłą, serdeczną rękę kobiety.

Nie brak też autorce i humoru. Wuj Herman, ciocia Hanchen, potrafią komizmem swoich postaci, a komizmem szczerym i naturalnym pobudzić nieraz do śmiechu czytelnika.

Maksymilian Kohlsdorfer.

Henny Hurrah! Roman. *Ernst Clausen.* Berlin. F. Fontane et Co. 1899. (W 8-ce. str. 302).

Autor rozwija przed oczyma czytelnika obraz życia arystokracyi wojskowej. Piosnka stara jak świat. Blichtr zewnętrzny pociąga za sobą ustawiczne kłopoty finansowe. Wszystkie myśli i aspiracye ludzi tej sfery zdają się obracać około jednej tylko osi. Jednym biegunem to zadowolenie swych przełożonych, drugim to własny awans. A jednak przy tem życiu pełnem trosk i kłopotów i nieustannej walki o byt, utrudnionej tysiącznemi konwenansami, skąd się bierze u tych ludzi owe lekkie i pogardliwe traktowanie wszystkich, co nie zaciągnęli się pod chorągiew Marsa.

W pewnem przeciwieństwie do rodziny Tressingów, reprezentującej dosadnie wspomniany rodzaj wojskowych, jest pensyonowany major Sternfeld wraz z synem i córką. Sternfeld zmuszony wcześnie uporządkować swe wydatki rodzinne, postarał się, aby dzieci jego obrały jakiś praktyczny zawód. Axel poświęca się malarstwu. Posiada nawet talent, ale studya swe przerwać musi wskutek śmierci ojca. Przyjmuje więc posadę nauczyciela rysunków, nie rozstając się wszakże z myślą o sztuce. Gdy siostra jego, pomimo gwałtownego oporu dalszych krewnych, wychodzi za mąż za zdolnego i dzielnego rzemieślnika, Axel zachęcony przez swą kuzynkę Henny Tressing, wraca napowrót do sztuki. Oto prosta osnowa powieści. Autor przedstawia tu aczkolwiek nieznacznie myśl demokratyczną, która coraz żywiej poczyna nurtować i coraz gwałtowniej wciskać się w sfery, do których do niedawna, przystęp miała zamknięty. W arystokratyczną rodzinę Tressingów wnosi go prawie nieświadomie ich własna córka Henny.

Maksymilian Kohlsdorfer.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KATOLICY A OBSTRUKCYA WĘGIERSKA.

Podawaliśmy na tem miejscu przeszłego roku dwa razy obszerne sprawozdanie o stosunku Kościoła do państwa we Węgrzech i o dążnościach katolików, by się wyswobodzić z pod jarzma liberalizmu, ale już od dawna nie zwracaliśmy uwagi naszych czytelników na nowy ruch, który wśród katolików węgierskich pięć lat temu powstał, w partyi katolicko-ludowej się skupił i wielkie na przyszłość rokuje nadzieje. Wewnętrzne walki, przez które Węgry teraz przechodzą, a mianowicie stanowisko partyi katolicko-ludowej w tych walkach, każe nam zająć się nieco bliżej jej położeniem.

Co do liczby katolicy stanowią przeszło 60% całej ludności, t. j. 11 milionów katolików przypada przeszło na $18^1/_2$ miliona. Nie brak też Kościołowi katolickiemu zasobów materyalnych, owszem niema kraju w całej monarchii austryacko-węgierskiej, gdzieby Kościół rozporządzał tak znacznym majątkiem, jak we Węgrzech. Oprócz licznych, bogato uposażonych opactw i klasztorów, sam dochód biskupów łacińskich przechodzi 8,000.000 koron; najmniej zamożny biskup, dr. Steiner ma 60.000 koron, roczne dochody prymasa wynoszą w okrągłej liczbie 1,000.000 koron. Niestety jednak wkradły się były do duchowieństwa zakonnego

i świeckiego liczne i nieraz i ciężkie nadużycia, tak, że w całych okolicach duchowieństwo nawet się przyczyniało do upadku katolicyzmu. Nawet na stolicach biskupich zasiadali nieraz zdeklarowani masoni.

Nic dziwnego, że w takich warunkach liberali bez przerwy od istnienia parlamentu w Budapeszcie w r. 1867 aż do dnia dzisiejszego dzierżyli władzę w swych rękach. Przecież wiadomo, że partya ta tak wroga religii katolickiej i wśród wyższego duchowieństwa liczyła gorliwych zwolenników. W parlamencie liberali doszli do omnipotencyi, kiedy w r. 1875 centrum lewicy parlamentarnej z kalwinem i masonem hr. Tisza na czele połączyło się z partyą aż dotąd rządzącą Deáka. Opozycya liczyła wtenczas tylko 89 członków (47 lewica, 18 prawica, 24 grupa narodowa) przeciw 329 członkom zjednoczonej partyi liberalnej.

Rządy węgierskie dążyły bezwzględnie do dwóch celów: madyaryzowania całego t. zw. królestwa węgierskiego i uwolnienia go od wszelkich wpływów Kościoła. Nie spieszono się jednak zbytnio z ustawami, któreby wprost zaczepiały religię katolicką, ze względu na potężne i w Wiedniu bardzo wpływowe rody magnatów węgierskich, które też stworzyły znaczną większość w Izbie panów. Dopiero w r. 1893 baron Weckerle wniósł znane prawa antykościelne do parlamentu, parlament ustawy te przyjął, ale Izba panów stawiła niespodziewany opór gdyż wszyscy członkowie rodzin katolickich do głosowania przybyli: ustawa przy głosowaniu upadła. Weckerle chwycił się więc ostatniego środka, zażądał od króla nominacyi wielkiej liczby, o ile pamiętamy, 60 blizko nowych parów, a cesarz na jego prośbę się zgodził: w ten sposób tak niecne prawa przeszły.

Ale właśnie krzyczący ten akt niesprawiedliwości wstrząsnął katolikami całego państwa, powstała nowa partya katolicko-ludowa pod przewodnictwem hr. Ferdynanda Zichy'ego, Mikołaja Esterhazy'ego, Gezy Apponyi'ego i ks. opata Molnara, który obecnie stoi na czele jej klubu parlamentarnego. W parlamencie partya liczy tylko czterdziestu kilku przedstawicieli, ale nie zatarły się jeszcze w pamięci całej Europy wspomnienia niesłychanych gwałtów i wylewów krwi, które rząd węgierski

uważał za koniecznie potrzebne, aby przeszkodzić wyborom większej liczby posłów katolicko-ludowych. Młoda partya, zajmując się żywo i skutecznie dolą ludu, sprawą robotniczą i podźwignięciem Węgier z błota zepsucia żydowskiego, stanęła od pierwszej chwili wejścia do parlamentu w otwartej opozycyi do rządu. Kiedy w ostatnim czasie ciągle się mnożyły dowody moralnego zepsucia całej partyi, 24 lat temu przez Tiszę stworzonej, a mianowicie teraźniejszego jej przedstawiciela, barona Banffy'ego, a partya skrajnej lewicy Kossutha z powodu nowej ugody z Austryą uchwaliła obstrukcyę, partya katolicko-ludowa z tą obstrukcyą się połączyła, wprawdzie nie uchwałą, ale czynem.

Połączenie się partyi katolickiej z lewicą, w której zasiadają najwięksi wrogowie religii, w której zasiada Szilágyi, twórca prawa o cywilnych małżeństwach, połączenie się katolików z rewolucyjną partyą Kossutha może słusznie obudzić pewne zdziwienie. W niektórych sferach katolickich to postępowanie rzeczywiście wywołało surowe sądy potępiające. W liście z 26 grudnia do ks. Molnara hr. Esterhazy wyraził obawy, które połączenie się ze skrajną lewicą w nim budzi, to samo uczynił hr. Geza Apponyi w liście z 24 grudnia i poseł Asboth. Miano nadzieję, że różnica zdań między wybitnymi członkami partyi katolickiej da się złagodzić, ale aż dotąd nadzieje się nie ziściły; przy życzeniach noworocznych hr. Esterhazy się nie zjawił w gronie posłów katolicko-ludowych. Rozdział ten w każdym razie jest smutny, choć się tylko odnosi do taktyki partyjnej, a nie do samych zasad stronnictwa. Cięższe zarzuty podnoszą ci, którzy ks. Molnarowi i jego zwolennikom połączenie się z żywiołami przewrotu poczytują za zasadnicze przewinienie, prawie za zdradę sprawy katolickiej. Powiadają, że partya katolicko-ludowa dopomaga do buntu przeciw prawowitej władzy, przeciw prezydentowi ministrów „jego królewskiej Mości", jak *Vaterland* pisze, że używa złych środków, których nawet dobry cel uświęcićby nie mógł, a to wszystko czyni tylko z nienawiści osobistej przeciw jednemu człowiekowi, t. j. Banffyemu.

Na ostatni zarzut odpowiedział ks. Molnar obszernie w swej

mowie z 22 grudnia w parlamencie węgierskim. Stronnictwo katolickie nie tai się z tem, że nie ma zaufania najmniejszego do człowieka, któremu udowodniono łamanie słowa, mieszanie się w brudne sprawy, gwałcenie konstytucyjnych praw, lecz partya wcale nie podjęła walki z nienawiści przeciw jednostce. Katolikom chodzi o kwestye zasadnicze i o zgładzenie systemu Tiszy, który na Żydach i liberałach się opiera, z korupcyi żyje, Kościół gnębi, gdzie może. Głównem żądaniem stronnictwa ludowego jest zabezpieczenie wolności wyborów do parlamentu, któremi aż dotąd partya liberalna według swej woli kierowała, wynosząc gwałt nad prawo. Jak bardzo liberali się boją wyborów, któreby rzeczywiście były wyrazem woli całego kraju, to się pokazuje z tego, że rząd, usiłując wchodzić w kompromis z opozycyą, wyraźnie się zastrzega, że na żadne zmiany w systemie wyborczym zgodzić się nie może. Partya zaś katolicka oświadcza, że w walce o słuszne prawa konstytucyjne i o zniszczenie liberalizmu, który Węgry do zguby prowadzi, do ostatecznych środków się posunie i nie ustąpi.

Cel tej walki, o tem zdaje nam się wątpić nie można, jest dobry i godny największych wysiłków; pytanie, czy i środki są godziwe.

Podnieść tu najprzód należy, że partya katolicka nie połączyła się formalnie ze skrajną lewicą, ani nawet z narodową partyą Apponyi'ego. Skrajna lewica Kossutha jest partyą antykatolicką zarazem i rewolucyjną, partya narodowa także pod względem katolicyzmu wiele jeszcze zostawia do życzenia, gdyż zasady liberalne niemały jeszcze na nią wpływ wywierają. Katolicy o tem dobrze wiedzą, że przedewszystkiem partya Kossutha z zupełnie innych, aniżeli oni pobudek podjęła walkę z teraźniejszym rządem i wcale się nie solidaryzuje z ich celami — o to ich nawet podejrzywać nie można — sądzili jednak, że wolno im popierać obstrukcyę celem obalenia rządu z gruntu złego, tem bardziej, że mają uzasadnioną nadzieję, iż nowe wybory znacznie wzmocnią partyę katolicką w parlamencie.

Często w życiu parlamentarnem się zdarza, że partye katolickie w pojedynczych wypadkach się łączą z partyami nie-

katolickiemi, jak np. w przeszłym roku *Centrum* niemieckie ze socyalistami przeszkodziło ustawom, ograniczającym prawo koalicyi. Pewne więc współdziałanie z lewicą dla obalenia rządu uważamy za godziwe; zostaje więc tylko pytanie, czy ks. Molnar mógł użyć takiego środka, jak pomaganie w obstrukcyi. Nie przeczymy, że może środki w obstrukcyi użyte były zbyt gwałtowne — trudno sobie nawet wytworzyć jasny o tem sąd, kiedy się nie było naocznym świadkiem wypadków, gdyż wszystkie sprawozdania przy tak namiętnych dyskusyach zbyt silnym są zabarwione subjektywizmem. Zdaje nam się jednak, że słuszność hr. Apponyi przyznać trzeba, kiedy twierdzi, iż przy takiem pogwałceniu najświętszych praw wiary i państwa, przy zamknięciu legalnej drogi do pozyskania sprawiedliwości przez krępowanie wolności wyborów, nadzwyczajnych środków chwycić się wolno — można i trzeba.

Skutkiem obstrukcyi położenie Węgier stało się bardzo krytycznem, rząd nie ma władzy egzekucyi ani do pobierania podatków, ani do zaciągania rekontów, a chociaż podatki aż dotąd obficiej, aniżeli w przeszłym roku o tym czasie, do kas rządowych wpłynęły, to przecież wszystkie partye zgodnie uważają ten stan *ex lex* za nader niebezpieczny dla całego kraju. Ale jak najstarsza gazeta katolicka węgierska *Magyar Allani* słusznie powiada, najgorszą *ex lex* w Węgrzech jest to, że partya kalwińska, która zawsze przeciw Habsburgom wichrzyła, dzisiaj się zasłania powagą korony; a do tego naprawdę partya katolicko-ludowa w niczem się nie przyczyniła. Najmniej zrozumieć możemy zarzut, który przedewszystkiem *Vaterland* podnosi przeciwko partyi katolicko-ludowej, zarzucając jej jako największy błąd, że śmiała wystąpić przeciw ministrowi, któremu Jego król. Mość powierzyła ster rządów. Katolicy węgierscy mają z pewnością więcej przywiązania do korony aniżeli liberali, a to że cesarz, ustępując intrygom liberałów, w ich ręce oddał rządy, to najlepszych poddanych do niczego nie obowiązuje. Obrona interesów Kościoła i zwalczanie rządu, który tylko myśli o ucisku religii, jest zresztą najwyższą powinnością katolików, wobec której wszystkie inne względy ustąpić muszą.

Rozpoczęte od niedawna kompromisy rządu z obstrukcyą napotykają na niezliczone trudności, wynikające już z samej różnolitości partyi obstrukcyjnej. Utrudnił sytuacyę list, który niektórzy z magnatów wystosować zamierzają do króla, prosząc o jego osobistą interwencyę, co także wprost skierowane jest przeciwko rządom Banffy'ego. List podpisany przez hrabiów Szechenyi, Andrassy, Desswffy, Majlath i Gezę Szechenyi, prawdopodobnie przez Izbę magnatów przyjęty nie będzie, gdyż episkopat się pokazuje przeciwny tego rodzaju interwencyi u króla, ale w każdym razie obstrukcya zyskała na sile. Bóg wie, jak się te walki skończą; zdaje nam się, że każdy katolik z partyą katolicko-narodową szczerze pragnąć powinien upadku Banffy'ego i partyi liberalnej, która od ćwierć wieku przeciw większości ludu kraj tyranizuje. Mimo woli przychodzi nam tu na myśl, jak strasznie się teraz oportunizm na Węgrach mści. Kiedy z fanatyzmu narodowego przeszkadzano w sposób nieprawy wyborom posłów słowiańskich do parlamentu nikt nie podniósł głosu w imię pogwałconej sprawiedliwości; środek ów zdawał się na razie być pożytecznym dla rozwoju narodu węgierskiego i dlatego z oportunistycznych względów przynajmniej milczano. Dzisiaj rząd tego samego środka używa przeciw własnym rodakom.

ZJAZDY SOCYALISTÓW POLSKICH.

W ostatnich czasach odbyły się w dwu dzielnicach Polski, gdzie socyaliści otwarcie pracować mogą, walne wiece, które w Sprawach Kościoła milczeniem pominąć nie możemy.

Pierwszy wiec odbył się w Berlinie podczas świąt Bożego Narodzenia. Zebrali się tam przedstawiciele „polskiej socyalnej demokracyi w Niemczech". Przybyli więc delegaci z Hamburga, Halli, Drezna, Lipska, tj. miast, w których setki tysięcy robotników polskich pracują, z Wrocławia, z większych fabrycznych miast Ślązka, z Poznania, Gniezna i t. d. Drugim wiecem był zjazd demokracyi socyalnej Galicyi i Ślązka, który się odbył 6, 7 i 8 stycznia w wielkiej sali hotelu Royal w Krakowie.

Dzieje socyalizmu wogóle najściślej połączone są i zostaną z dziejami Kościoła katolickiego, ponieważ, jak się znakomity

socyolog niemiecki wyraził, socyalizm jest najpotężniejszym wrogiem, który kiedykolwiek przeciw Kościołowi powstał. Powyższe jednak wiece szczególniejszym sposobem budzą zajęcie tych, co sprawy Kościoła katolickiego bacznem okiem śledzą. Podczas gdy na walnym wiecu socyalistów w Stuttgarcie surowo ganiono wszelkie otwarte atakowania religii, na obydwóch wiecach polskich socyalistów podnoszono namiętnie hasło walki przeciwko klerykalizmowi. Delegaci w Berlinie podnieśli liczne i gorzkie skargi na duchowieństwo; delegat górnoślązki, osławiony socyalista Dyląg, narzekał na księży ślązkich, delegat Iwanowski przypisuje brak postępu socyalizmu w Gnieźnieńskiem głównie działalności duchowieństwa, również i towarzysz Urbanowski z Bremy; to samo stwierdzono o Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Skargi były tak liczne, że uchwalono osobną rezolucyę przeciwko księżom katolickim następującego brzmienia: „Zjazd protestuje energicznie przeciw mieszaniu się duchowieństwa w politykę. Przedewszystkiem zjazd gani postępowanie owych księży, którzy nadużywają swego wpływu w kościele, aby szkalować naszą partyę... Zjazd oświadcza, że duchowieństwo dzisiaj jawniej, niż kiedykolwiek pokazuje swą stronniczość dla klas wyzyskujących i że duchowieństwo, które przy dzisiejszej nędzy klas pracujących zwalcza dążności proletaryatu już niema prawa istnienia".

Wiec galicyjski, o ile wiemy, nie powziął osobnej uchwały co do tego punktu, ale myśli poruszone przez posła Daszyńskiego i przyjęte przez partyę z uznaniem, są jeszcze o wiele jaśniejsze i donioślejsze od poprzednich. Stwierdza Daszyński, że w ostatnich czasach stosunki polityczne w Galicyi znacznej uległy zmianie przez wzmożenie się klerykalizmu. Socyaliści czują, że niebezpieczeństwo im grozi; zbyt mądrzy są, żeby nie wiedzieli, iż „klerykali", gdyby się na seryo wzięli do roboty, wkrótceby ich zgnietli i dlatego oświadczają swą gotowość wspierania wszystkich partyj opozycyjnych i nieklerykalnych w walce przeciw temu wrogowi. Hasłem więc, które Daszyński podnosi, jest koncentracya żywiołów antyklerykalnych, wśród których przodować ma socyalna demokracya. „Wszelkie

kroki — powiada Daszyński — w kierunku walki z klerykalizmem będziemy popierać. Wiemy, że opozycya galicyjska jest często chwiejną, zawodną, niewyrobioną, zadaniem naszej partyi będzie dodawać hartu tej opozycyi, krzepić charaktery polityczne". To samo powtarza Kozakiewicz: „Potrafimy klerykałów wyprzeć z ich pozycyi. Nie będziemy zrażać partyj środkowych w walce z szlachtą i klerykałami, i owszem pomożemy im, byleby tylko rozpoczęli tę walkę". Ponieważ taktyką socyalistów aż dotąd było nie wchodzić w kompromisy z żadnemi innemi stronnictwami, dlatego Daszyński uważał za stosowne zabezpieczyć się od zarzutów z tej strony.

„Niema — powiada — obawy, abyśmy stali się płytką oportunistyczną partyą, lub zeszli na manowce. Za wielką mamy tradycyę partyjną, za wielką przeszłość"...

Niema co mówić. Na wiecach socyalistów objawia się siła potężna, zorganizowana i świadoma siebie samej, ale przebija się też obawa przed drugą potęgą, przed jedyną potęgą, której socyaliści z swym praktycznym i bystrym zmysłem nie pogardzają tj. przed katolicyzmem. Idee katolickie zaczynają na nowo we wszystkich krajach górować, i dlatego i nasi socyaliści dla obałamucenia opinii nawoływują, fortelem od dawien dawna przez masonów używanym, do walki przeciwko katolicyzmowi pod hasłem walki przeciw klerykalizmowi. Właściwy klerykalizm jest słusznie potępienia i zwalczania godny. Polega on na mieszaniu się duchowieństwa w sprawy czysto świeckie, czysto doczesne, nie mające żadnego bliższego związku z religią, a to zawsze szkodzi i państwu i religii, bo jest to sprzeniewierzeniem się duchowieństwa swej idealnej misyi, którą od Chrystusa Pana otrzymało. Taki klerykalizm mógł grozić w czasach, kiedy biskupi byli książętami udzielnymi, albo przynajmniej dzierżyli najwyższe władze w państwie; w czasach, gdzie Kościół nawet pozbawiony jest praw jemu się należących, o klerykalizmie takim mowy być nie może.

Klerykalizm, który socyaliści zgnieść chcą, niczem innem nie jest, jak prawdziwym katolicyzmem, który w swem pojęciu zawiera łączne współdziałanie świeckich z duchownymi, owczarni

ze swym pasterzem. Duchowieństwo bezpośrednio z polityką niema nic do czynienia, ale gdzie tylko polityka wkracza w dziedzinę praw Kościoła albo depce etyczne zasady wiary katolickiej, tam duchowieństwo, jak to papieże i liczne synody prowincyonalne w różnych krajach często zaznaczały, nietylko może, ale obowiązane jest zabierać głos i stawać w obronie pogwałconej prawdy. Co więcej, duchowieństwo powinno wogóle brać udział w całem życiu społecznem, ażeby zdążyć do zrealizowania w niem wszechstronnego ideału chrześcijańskiego. Dlatego wykluczenie duchowieństwa z wszelkich praw publicznych, do czego socyaliści tak gorliwie nawołują, jest wprost antykatolickiem.

Mniej jednak tego rodzaju teorye, głoszone przez socyalistów, szkodzą, ponieważ wszystkim wiadomo, iż są wrogami otwartymi Kościoła; na baczności przedewszystkiem trzymać się powinniśmy wobec liberalnych katolików, którzy z takiemi poglądami sympatyzują i przez to samo ogromnie rozwojowi sprawy katolickiej szkodzić mogą.

Nowa ta zmiana w taktyce socyalistów jest jednym dowodem więcej żywotnej siły tej partyi, która przeczuwa niebezpieczeństwo i spiesznie zażywa środków zaradczych. Pod tym względem, przyznać to trzeba, widzimy ogromną różnicę między organizacyą katolicką w naszym kraju a organizacyą socyalistyczną. Grunt dla socyalistów wogóle u nas niewdzięczny, jak to na różnych wiecach sami socyaliści stwierdzili, a przecież postępują oni naprzód, wywierają szeroki wpływ na społeczeństwo nasze, stanowią już czynnik, z którym się każdy rozumny człowiek w kraju liczyć musi. Organizacya katolików pod względem społecznym jest bez porównania słabszą, mimo tego że wszystko im sprzyja. Pochodzi to, zdaje nam się, głównie stąd, iż socyaliści polscy niesłychanie mądrze korzystają z doświadczeń swych braci na Zachodzie, utrzymują, jak to się na wsiach pokazało, ciągłą styczność ze socyalistami niemieckimi, całą organizacyę i taktykę wypróbowaną i doświadczeniem ulepszoną od nich wypożyczają, gdy tymczasem u nas wśród katolików nawet najlepszej woli prawie pojęcia się niema o wspaniałym

ruchu katolicko-socyalnym w innych krajach Europy. Poprzestaje się na powierzchownych wiadomościach tu i ówdzie zaczerpniętych, ale o gruntowniejsze poznanie tego ruchu i zastosowanie środków, które już przeszły przez ogniową próbę życiowej walki na Zachodzie nie myśli się. Prawda, że u nas stosunki są nieco odmienne, tak że nie każda obca instytucya katolicka żywcem przenieśćby się dała do nas, ale główne źródła choroby naszej społecznej są zupełnie te same, co na Zachodzie, i dlatego moglibyśmy niesłychanie dużo z nabytego tam doświadczenia korzystać. Przystosowanie instytucyj i taktyki zachodniej do naszych narodowych i krajowych potrzeb samoby się zrobiło, tak jak nasi socyaliści mimo zupełnej łączności z innymi socyalistami, z każdej narodowej uroczystości, jakeśmy to w tym roku widzieli, korzystają, aby dla siebie jakiś zysk wyciągnąć.

POMNIK HUSSA W PRADZE. Już od dłuższego czasu sprawa wystawienia pomnika Hussa niepokoiła katolików czeskich z tego powodu, że Młodoczesi upatrzyli sobie za najstosowniejsze miejsce, Rynek Starego Miasta, z którego zamierzali usunąć statuę Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, aby postawić na jej miejscu pomnik Hussa. Rada miejska w Pradze uchwaliła jednak, że pomnik Hussa ma stanąć na placu Bethlehema, tak że się zdawało, iż sprawa ta jest już rozstrzygniętą na korzyść katolików. Tymczasem Młodoczesi nie dali za wygranę i zaczęli na nowo agitować, i doprowadzili do tego, iż Rada miejska postanowiła zająć się jeszcze raz ich projektem. Dowiedziawszy się o tem katolicy, wysłali ze swojej strony deputacyę do burmistrza d-ra Podlipnego z hr. Wojciechem Schönbornem na czele. Dr. Podlipny odpowiedział, że nikt nie zamierza drażnić uczuć katolickich i że w każdym razie statua Matki Boskiej nie będzie ruszona z swego miejsca.

16 stycznia odbyło się walne posiedzenie Rady miasta tej sprawie poświęcone. Liczna publika zebrała się w sali, tłumy zaległy ratusz. W imieniu Staroczechów przemawiał dr. Mille za utrzymaniem dawnej uchwały, co galerya przyjęła szyderstwem

i okrzykami: hańba! — w imieniu młodoczeskiej partyi przemówił dr. Chudoba za postawieniem pomnika na Starym Rynku — i jego wniosek został przyjęty 45 głosami przeciw 39. Już na drugi dzień przed otwarciem parlamentu w Wiedniu, wywiązały się żywe dyskusye między posłami, a członkowie klubu polskiego, związku chrześcijańsko-słowiańskiego i niemieckich katolickich partyj, zażądały od d-ra Stojana wytłumaczenia. Poproszono natychmiast burmistrza praskiego do telefonu, ale naturalnie nie otrzymano innej odpowiedzi, jak tę, którą burmistrz dał hr. Schönbornowi, tj. że uchwałą tą nie zamierzano obrazić uczuć katolickich. Obiecał też burmistrz wyjaśnić sprawę w gazetach. Komunikat urzędowy, który tymczasem już wyszedł, nic więcej nie zawiera, jak frazesy podobne do powyższych. Czyż to nie jest szczytem ironii powiedzieć, że się nie zamierza obrazić katolików, stawiając na tym samym placu obok statuy Matki Boskiej pomnik Hussa?

Niestety ruch narodowy w Czechach wyrósł aż dotąd na podstawach wcale niekatolickich. Hussytów w ścisłem tego słowa znaczeniu już wprawdzie niema, ale duch Hussa, ten duch buntu przeciw Rzymowi i lekceważenia powagi kościelnej góruje w partyi młodoczeskiej, jak to ostatnie wypadki namacalnie pokazują. Są podobno tacy Czesi, którzy spodziewając się wielkości narodu tylko w połączeniu z Rosyą, nie wahaliby się nawet przyjąć schizmę dla dobra narodu. Katolicy dopiero od niedawna zaczęli się ruszać w kraju; kto się sprawą katolicką szczerze zajmuje, tego zaraz Młodoczesi okrzykują za klerykała, co znacznie utrudnia rozwój tego ruchu. Większą jednak przeszkodą tego ruchu było to, że katolicy zaraz z początkiem podzielili się na dwie partye: katolicko-narodową i chrześcijańsko-demokratyczną, które sobie nawzajem w pracy przeszkadzały.

Z radością dlatego powitać trzeba pierwsze usiłowania połączenia się obydwóch partyj w walce z wspólnym nieprzyjacielem. 4 stycznia obydwie partye wysłały swych delegowanych do Sadowy celem wspólnego omówienia katolickiej sprawy. Powzięto następującą, bardzo mądrą uchwałę, prawie równobrzmiącą z kompromisem zawartym między partyą chrześcijań-

sko-demokratyczną i konserwatywną w Belgii. Oto tekst uchwały: „Obie partye pozostają na wspólnym gruncie katolickich zasad, choć każda trzymać się będzie własnej taktyki. Wspólne stanowisko wobec bieżących spraw omawiane być ma we wspólnych delegacyach obu komitetów egzekutywy równo uprawnionych. Różnice zdań między delegowanymi mają być przedłożone mężom zaufania obu partyj. Katolickie stowarzyszenia wykonawcze i polityczne są niezależne od obu partyj, pojedynczym jednak członkom wolno przyznawać się do programu jednej lub drugiej...“ Ze strony partyi katolicko-narodowej byli obecni: hr. Wojciech Schönborn, ks. kanonik Burian, dyrektor akademii Trakal i ks. Simon, ze strony partyi chrześcijańsko-demokratycznej: dr. Horsky i Pokorny-Dlouhy. Spodziewać się należy, że im bezwzględniej Młodoczesi będą występować przeciw katolikom, tem prędzej i skuteczniej katolicy wszystkich partyj ściśle i skutecznie się złączą.

KATOLICKA KOLOMBIA.

Mała to, licząca zaledwie $3^1/_2$ miliona mieszkańców, rzeczpospolita kolombijska dała w ostatnim miesiącu publiczny dowód katolickiej swej wiary, godny, by i u nas był znany i podziwiany.

Z inicyatywy włoskich katolików cały świat chrześcijański ma złożyć na zakończenie wieku XIX. uroczysty hołd swemu Zbawicielowi. Rzeczpospolita południowej Ameryki przedłożyła tę sprawę swym Izbom ustawodawczym i powzięła uchwałę celem uroczystego wyznania swej wiary i wdzięczności dla boskiego Zbawcy. Czytamy w pierwszym artykule tej ustawy, iż Kolombia chce przez nią „uznać boską powagę społeczną Jezusa Chrystusa i podziękować Mu za wszystkie dobrodziejstwa, otrzymane w tym wieku, w którym rzeczpospolita Kolombia rozpoczęła życie narodu wolnego i panującego“. Poseł rzeczypospolitej przy Stolicy św., generał Vélez wręczył Ojcu św. odpis ustawy na pergaminie; papież wyraził mu za to swe najżywsze zadowolenie.

Kolombijczycy jednak nie zadawalniają się tem, by tylko słowem swą wiarę wyznawać, wyznawają ją także całem życiem

społecznem. Przy przeszłorocznem przyjęciu delegata apostolskiego, mgr. Vico, prezydent Michał Caro powiedział, że Kolombia szczyci się nieocenionem dobrodziejstwem jedności wiary. Dlatego, aby podtrzymać tę wiarę, rząd oddał wychowanie publiczne we wszystkiem, co się tyczy wiary i moralności pod kierownictwo powagi kościelnej i po wielkiej części powierzył zakłady wychowaweze kongregacyom zakonnym. Oto katolicyzm prawdziwy, który się nie kryje, nie ogranicza do życia domowego, ale całemu państwu wybitny swój charakter nadaje.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Nowiny historyczne.

Metoda historyczna. — Czasy przedhistoryczne. — Historya starożytna i średniowieczna.

Sygnaturą obecnej chwili jest pogoń za oryginalnością, jest żądza wykrycia nowych dróg, nowych kierunków w każdej dziedzinie życia. Uwidacznia się ta dążność zwłaszcza w literaturze, w powieści, w poezyi, w malarstwie, uwidacznia się i w nauce. Tak w nauce historyi od 5 lat głośną się stała w Niemczech nowa metoda historyczna, głoszona z wielką emfazą jako nowe objawienie przez profesora lipskiego Lamprechta, jednego z koryfeuszów hakatyzmu, autora głośnego dzieła *Deutsche Geschichte*. Dzieło powyższe, jak i nowa metoda w niem uwidoczniona, narobiły olbrzymiej wrzawy; od kilku lat toczy się w Niemczech zacięta walka między młodymi a starymi i wypełnia łamy różnych czasopism fachowych i niefachowych. Snać laury Lamprechta i rozgłos spać nie pozwoliły i u nas jednemu z bardzo młodych, albowiem ogłosił niedawno w organie naszych młodych próbę nowej metody, zastosowanej do naszych dziejów. Co wszakże warta ta nowa metoda hakatysty Lamprechta, tak zachwalana przez szowinistyczne organa młodych Niemców, wykazuje dosadnie w ciętym artykule Below[1]. Historykom starej szkoły, zwłaszcza Waitzowi, zarzuca Lamprecht głównie prawnicze pojmowanie rzeczy, gdyż chodziło im o systematyczne przedstawienie faktów, nie zaś genetyczne. Pytali się zawsze, zwłaszcza Ranke, jak było w przeszłości, nie zaś, jak się

[1] *Die neue historische Methode. Hist. Zeitschr.*, t. 81, zesz. 2, str. 193—273.

stało, na co kładzie głównie nacisk Lamprechta metoda. Cóż, kiedy niezbicie Below dowodzi, iż już od czasów Herdera w historyi panuje bezsprzecznie zasada genetyczna ewolucyi, że już romantycy, Hegel, a przedewszystkiem Ranke, tę zasadę coraz jaśniej uwydatnili. Przeciwieństwo, jakie Lamprecht widzi między swojem przedstawieniem dziejów a przedstawieniem szkoły Rankego, istniało na przełomie XVIII. i XIX. wieku, kiedy dogmatyzm racyonalistyczny ustąpić musiał genetycznej metodzie romantyków, Savigny'ego w naukach prawniczych, lingwistycznych i t. d. Wedle Lamprechta dalej hołdował Ranke historycznemu mistycyzmowi, przypuszczając, iż mistyczno-transcendentalne siły duchowe (idee), wnikając w wielkie osobistości, bywają przez nie przyswajane do uzupełnienia wielkich celów. Tymczasem Ranke interpretuje swe idee jako dążności panujące w danem stuleciu. Wcale nie przedstawia wypadków jako objawienia Boga, jak mu to Lamprecht imputuje, gdyż wewnętrzny rozwój duszy ludzkiej jest nam krótkowidzom zakryty. Pomocy i współdziałania Boga w tym rozwoju nie może na pewno nawet ten rozpoznać, który go doznaje, cóż dopiero drugi. Szczególnie zarzuca L. dawnym historykom, iż są indywidualistami, t. j. że przyczyny historycznej ewolucyi głównie i zasadniczo szukają w pewnych konkretnych celach wielkich postaci dziejowych, że nie widzą wcale woli i świadomości zbiorowej socyalnych tworów, że nie rozumieją sił kolektywistycznych; tymczasem o tej zbiorowej działalności, o tych socyalno-psychicznych procesach w łonie narodu na każdej karcie nowożytnej historyografii można się, zdaniem Belowa, aż do przesytu naczytać. Widocznie więc Lamprecht o sto lat za późno wystąpił, zwalczając dziś jeszcze racyonalistów XVIII. w., nad którymi nauka już dawno przeszła do porządku dziennego. Wprawdzie Lamprecht nie lekceważy znaczenia jednostki wybitnej, przyznaje jej atoli wobec znaczenia mas i narodów tak podrzędne znaczenie, iż nieubłaganych praw ogólnego rozwoju nie zdolna jest powstrzymać. Ani Karol W. nie mógł gospodarstwa naturalnego zamienić na kapitalistyczne, ani Bismarck doprowadzić Niemiec do kultury pasterskiej. Tego rodzaju atoli banalne przykłady, zdaniem Belowa, nie rozstrzygają wcale kwestyi wpływu jednostki na tok dziejowy. Kwestya ta winna być sformułowana inaczej, mianowicie: Czy wszystkie jednostki są tak zawisłe od otoczenia i praw ogólnych, że prawidłowy, naturalny przebieg rozwoju da się przewidzieć? Otóż nie: albowiem nietylko wybitne osobistości wywierają wpływ znaczny na rozwój dziejowy, ale każda wogóle w swoim zakresie. Szczególnie pozuje Lamprecht

na empiryka, a jednak, zwłaszcza jego teorya o prawidłowym rozwoju dziejowym wedle pewnych koniecznych praw, wszelkiej empiryi po prostu urąga. Zapatrywanie podobne wygłaszali niejednokrotnie przyrodnicy, filozofowie, ekonomiści, prawnicy i teolodzy; historycy, prawie bez wyjątku, przeciw koniecznemu rozwojowi w historyi wedle stałych pewnych praw występowali zawsze i to tem więcej, im większe postępy metoda historyczna robiła. Obecnie nawet ze sfer ekonomistów, które zwykle hołdowały determinizmowi, w rozwoju ludzkości, coraz częściej głosy przeciwne socyalnym prawom natury się pojawiają, albowiem zjawiska społeczne są zawisłe od woli ludzkiej i dlatego w rozwoju społecznym nie może być mowy o regularności praw natury [1]. Wogóle ostatnie lata zaznaczają się zupełnem zachwianiem wiary w socyologiczne formułki i rzekome prawa natury, których nauki społeczne nadużyły. Cóż się stało np. z teoryami o 3 stopniach kultury, o rozwoju form małżeństwa [2] i t. d.? Mimo to zasada prawidłowego determinizmu w rozwoju dziejowym jest podstawą dla najnowszej szkoły historycznej Lamprechta. Chce on przyrodniczy, materyalistyczny pogląd zastosować w historyi i dlatego to właśnie znalazł w sferach pewnych tak wielki poklask i rozgłos.

Mimo to stałych praw historycznych nie da się udowodnić. „Gdyby historya była umiejętnością ścisłą — mówi historyk Treitschke — musielibyśmy posiadać zdolność przewidywania przyszłości państw. Tej zdolności atoli nie posiadamy, albowiem wszędzie umiejętność historyczna utyka na nierozwiązalnej zagadce osobistości. Osobistości, wielcy ludzie, są właśnie tymi, którzy historyę tworzą. Moment osobisty jest istotą historyi". Niema wyrazu, z którymby historyk ostrożniej się obchodzić potrzebował, jak z wyrazem „konieczność". Liczba praw historycznych, które skonstatować jesteśmy w stanie, jest bardzo ograniczona, a i te są tylko w przybliżeniu słuszne. Tylko filozoficznie niedowarzone głowy chcą na podstawie statystycznych obliczeń ślepo działającą konieczność dla ludzi wydedukować. Tego rodzaju rozumowanie jednak zrobiłoby, gdyby było trafne, z historyków proroków. Na takich też choruje większa część socyologów, że wymieniamy tylko Gumplowicza, który na podstawie socyologicznych obliczeń z matematyczną prawie pewnością przyszłość Europy przepowiada [3]; szkoda tylko, że te socyologiczne obliczenia nie są u wszystkich zgodne i że jeden

[1] Diehl, *Jahrb. für Nationalökonomie*, t. LXII., str. 765.

[2] Grosse Ernst, *Die Formen der Familie und die Formen der Wirtschaft.*

[3] *Sociologie und Politik.* Leipzig. 1892. Str. 120—125.

augur drugiemu kłam zadaje. Widocznie wśród socyologicznych proroków musi być wielu proroków fałszywych. Celem badań historycznych nie jest wypośrodkowanie przyszłości, lecz poznanie przeszłości, i to nie tyle ogólnych prawd i praw, ile raczej szczegółów. Nie da się zaprzeczyć, że kilka ogólnych prawd występuje w rozwoju dziejowym, np. że istnieje pewien związek między konstytucyą a obszarem państwa, t. j. że w małych państewkach panuje skłonność do republiki, w wielkich do monarchii, dalej że wewnętrzny rozwój państw w większej części zawisły jest od stosunku państw pomiędzy sobą, od uniwersalnych międzynarodowych stosunków. Ostatnia prawda atoli, jedna z najdonioślejszych, jaką odkrył Ranke, czyni niemożliwem przyjęcie pewnych historycznych prawd dla rozwoju pojedynczych narodów. Jednem słowem, głównym wynikiem nowoczesnej historyografii jest przedewszystkiem przełamanie dogmatyzmu materyalistyczno-racyonalistycznego. Historycy odrzucili tak samo schemat rozwoju Hegla, jak i materyalistów, i zdaje się, że zadaniem historyków pozostanie zawsze protestować przeciw dowolnym i przedwczesnym konstrukcyom systematyków. Tymczasem Lamprecht chce znowu okuć rozwój dziejowy w pewne ogólne formułki, twierdząc, że jak proces biologiczny jednostki w pojedynczych fazach się odbywa, tak też podobne fazy rozwojowe u narodów da się skonstatować. Fazy te występują z podobną regularnością po sobie aż do zupełnego przeżycia tak jednostki, jak narodu. Otóż cóż to jest, zapytuje się Below, zupełne przeżycie się narodu? Czy mamy naród jaki, który się zupełnie przeżył? Dalej, ponieważ rozwój każdego narodu zawisły jest od stosunków międzynarodowych, czy można mówić o regularnym rozwoju narodowym. Wreszcie wynalezione przez Lamprechta rzekome fazy niemiecko-narodowego rozwoju takie animizmy, symbolizmy, typizmy, konwencyonalizmy i t. p. „izmy“, jakkolwiek na profanie robią wrażenie uczoności, w gruncie rzeczy są to albo formuły jednostronnie pewne fazy charakteryzujące, albo, co gorsza, bezpodstawne frazesy bez treści, o których poeta trafnie mówi: *Wo Begriffe fehlen, da stellt zur rechten Zeit ein Wort sich ein.* Zasada wreszcie Lamprechta, że postęp w rozwoju dziejowym jest zawisły od postępu w rozwoju ekonomicznym, jest zapożyczony od Marksa. Wprawdzie Lamprecht nie wszystko, jak Marksyści, przyczynami ekonomicznemi tłumaczy, z tem wszystkiem nie da się zaprzeczyć, że często tendencyjnie, dowolnie, bez podstaw, ekonomiczne motywa wysuwa na pierwszy plan. Ogółem biorąc to, w czem L. ma słuszność, nie jest nowe, a to, co zawiera coś nowego, jest całkiem do niczego. Uległ on

chorobie modnej naszych czasów tworzenia nowej metody na różnych polach działalności ludzkiej. Tymczasem te nowe metody i młode programy niejednokrotnie tak się skompromitowały, że śmiało możemy dziś stwierdzić, iż kto się całkiem na rzeczy nie rozumie, ten pisze o nowej metodzie. Metoda jest niczem innem, jak pisze lord Akton, profesor w Cambridge [1], jak tylko podwojeniem zdrowego rozumu ludzkiego, sednem całej sprawy jest stworzenie dzieła mistrzowskiego; tego zaś nam ani Lamprecht, ani wszyscy „młodzi" dotąd nie dostarczyli.

Hiperkrytycyzm jest charakterystycznem znamieniem historyografii nowszej niemiecko-protestanckiej. Pokazuje się atoli, że za pewniki otrąbione *urbi et orbi* jej wyniki naukowe nie koniecznie zgodne są z prawdą dziejową, pokazuje się, że potępione w czambuł z pogardą zdania przeciwne nie koniecznie są fałszywe. Tak np. Likurg, prawodawca spartański, ogłoszony został przez cały szereg najgłośniejszych uczonych niemieckich za postać mityczną, za przydomek boga Apollina, tymczasem niedawno temu angielski uczony, Mahaffy [2] uważa go za postać historyczną. Jeszcze w przeszłym wieku Wolf wydał dekret śmierci na Homera, a za nim cała plejada jego następców wykazywała, jak to cały naród heleński wyśpiewał w nadzwyczajny chyba sposób przecudną harmonię boskiej Illiady; dziś z pokorą jednak biednemu Homerowi przyznano jestestwo i przywrócono mu zakwestyonowane prawo do Illiady, jak tego dowodzi między innemi praca francuskiego badacza, Bertrin George [3]. Poklask zupełny uzyskał swego czasu w nauce bezwzględny sposób Mommsena, w jaki się uporał z pierwotnemi dziejami Rzymu. Dziś następuje pewna reakcya w tym względzie, pokazuje się, że przecież tak brutalnie odsądzić od czci i wiary podań najdawniejszych nie można. W ostatniem sprawozdaniu naszem z nowin historycznych [4], powtórzyliśmy za Niesem [5] pogląd Nitscha, jakoby Servius Tullius był najmniej historycznym ze wszystkich królów, najwięcej abstrakcyjnym, właściwie wytworem przypisywanej mu organizacyi wojskowej, albowiem dlatego go wymyślono w trzecim wieku przed Chr., aby mieć twórcę zreformowanych krótko przed

---

[1] *Über das Studium der Geschichte.* Eröffnungsvorlesung in Cambridge am 11 Juni 1895. Übersetzung v. Imelmann. Berlin. 1896.

[2] *A surveg of greck civilization.* Cfr. Schneider. *Kwart. Hist.*, 1898. T. XII., zesz. II, str. 435.

[3] *La question Homérique.*

[4] *Przegl. Pow.*, t. LIX, str. 154.

[5] *Grundriss der römisch. Geschichte.* Str. 15.

drugą wojną punicką *comitia centuriata*. Dziś przyjdzie nam zreferować zdanie wprost przeciwne, przyznające rzekomo szóstemu królowi rzymskiemu istnienie i pochodzenie etruskie. Już w starożytności, jak to wynika z mowy cesarza Klaudyusza, przechowanej na lyońskich bronzowych tablicach (tablica I, wiersz 18). identyfikowano Serviusa Tulliusa z etruskim bohaterem Mastarną. Rzeczony cesarz, powołując się na źródła etruskie, twierdzi, że Mastarna, najwierniejszy towarzysz Caeliusa Vibenny, wodza etruskiego, po wielu przygodach z resztkami wojska Caeliusa przybył do Rzymu i osiedlił się na górze Caelius, którą nazwał na cześć swego wodza, a następnie pod zmienioną nazwą w Rzymie panował. Kwestya tylko, czy identyfikacya Mastarny z Serviusem Tulliusem jest domysłem tylko Klaudyusza, czy też faktem wypływającym ze źródeł etruskich. Już Niebuhr był za tożsamością Serviusa Tulliusa z Mastarną, tak samo Soltau [1] i Gardthausen [2], który pierwszy wykazał znaczenie dla historyi rzymskiej malowideł ściennych grobu etruskiego, odkrytego w Vulci r. 1857. Na interpretacyę jednak Gardthausena nie zgodził się Körte, który zeszłego roku poświęcił malowidłom w Vulci osobne studyum [3]. Dowodzi w niem, że grobowiec Vulci służył rodzinie Saties lat 200, sięga końca V. wieku, a malowidła pochodzą z połowy IV. wieku. Malowidła te składają się z 12 grup, każda po dwie osoby. Pierwsze pięć grup przedstawiają właśnie oswobodzenie uwięzionego Caile Vipinas (Caeliusa Vivennę) przez Mastarnę i jego towarzyszy. Oni to napadli strażników zdaje się we śnie. Naczelnikiem tych ostatnich jest Cneve Tarchu Rumach, t. j. Gn. Tarquinius Romanus, a ginie z ręki jednego z towarzyszy Mastarny. Körte, zestawiając podanie o Serviusu u Klaudyusza z treścią malowideł w Vulci, przychodzi do następujących wyników: Wódz etruski Caelius Vivenna zostaje oswobodzony przez Mastarnę, przyczem miasto szturmem zdobyto, Tarquinius ginie, a Mastarna królem Rzymu zostaje. Któż atoli jest ów Gnaeus Tarquinius Romanus? W każdym razie nie Tarquinius Pyszny, gdyż ten umiera na wygnaniu. Był to zatem Tarquinius Priscus, któremu wprawdzie podanie nadaje *praenomen* „Lucius“, ale tylko przez pomyłkę z tytułu *lucumo*, to znaczy

[1] *Über Entstehung und Zusammensetzung der altrömischen Volksversammlungen.* Berlin. 1880. Str. 449 i nast.

[2] *Mastarna oder Servius Tullius*, Leipzig. 1882.

[3] *Ein Wandgemälde v. Vulci als Document zur römischen Königsgeschichte. Jahrbuch des deutschen archäologischen Instituts.* 1897. XII, str. 1—80. Cfr. Zagórski, *Kwart. Hist*, t. XII, zesz. II, str. 443—4.

król po etrusku, zrobiwszy Lucyusza. Ponieważ naturalnem następstwem zdobycia Rzymu i zabicia dotychczasowego króla jest objęcie rządów przez zwycięzcę, nie ulega wątpliwości, że Mastarna jest identyczny z Serviusem Tulliusem.

Wiemy od dawna, że za Augusta otrzymała Gallia wspólną reprezentacyę *(conventus)*, gromadzącą się w Lugdunie, uprawnioną nawet do wnoszenia petycyj lub uchwalania jakichś ofiar. Z wykrytych papyrusów przez Kenyona w Egipcie dowiadujemy się, że podobne zgromadzenia, konwenty, odbywały się również w Azyi Mniejszej. Zachowała się bowiem na jednym z papyrusów odezwa tryumwira Marka Antoniusa do κοινὸν Ἀσίας, t. j. wiecu wspólnego Małej Azyi. Odezwą tą zajmuje się C. G. Brandis [1] i stara się zarazem wykazać, kiedy ta instytucya wiecu wspólnego powstała i kto ją powołał do życia. Już przed Antoniusem zgromadzali się wysłannicy miast grecko-azyatyckich na wspólne narady w celu powzięcia wspólnych uchwał. Taką uchwałą np. postanowiono obchodzić w Pergamum coroczne igrzyska na cześć Mucyusa Scewoli. Później stał się Efez miastem stołecznem Azyi Mniejszej i siedzibą wiecu, gdyż późniejsi namiestnicy rzymscy edykta dotyczące całej Azyi udzielali ludowi i urzędnikom efeskim, którzy zawiadamiali następnie o nich inne miasta. Ponieważ z edyktu prokonsula Dolabelli cezaryanina i przeciwnika Cassiusa z r. 43 okazuje się, że κοινὸν Ἀσίας jeszcze nie istniało, widocznie powołał je do życia Antonius, a odtąd regularnie się zbierało w Efezie.

Że racyonalistyczna praca nad zniszczeniem chrystyanizmu nie ustaje, dowodem tego świeża praca profesora teologii protestanckiej w Amsterdamie, Brandta, który w duchu Straussa podaje krytykę opisu życia Chrystusa, a zwłaszcza jego męki [2]. Nawet w racyonalistycznem czasopiśmie, jakiem jest *Historische Zeitschrift* [3], spotykamy o pracy Brandta następujący sąd: „Napisana z talentem książka czyta się z wielkiem zajęciem, niektóre krytyczne uwagi, dalej wiele dodatków z literatury żydowskiej mają swą wartość. Jako całość wszelako należy taką książkę odrzucić. Jej wyłącznie destruktywne rezultaty nie

---

[1] *Ein Schreiben des Triumvirn Marcus Antonius an den Landtag Asiens. Hermes*, XXXII, str. 509—522. Cfr. Zagórski, „Przegląd literatury rzymskiej“ *Kwart. Hist.*, XII, zeszyt 2, str. 447.

[2] *Die evangelische Geschichte u. der Ursprung des Christenthums auf Grund einer Kritik der Berichte über das Leiden und die Auferstehung Jesu.* Leipzig 1898, str. XVI, 391.

[3] Tom LXXXI, zeszyt III, str. 543.

są bynajmniej umiejętnie uzasadnione, chociaż noszą przy pobieżnem czytaniu łudzące pozory naukowe. Książka ta jest charakterystyczną dla metody panującej chwilowo w holenderskiej (naturalnie protestanckiej) teologii i krytyce, metody polegającej na tem, by tradycyę przekazaną nagiąć do pewnego schematu ściśle logicznych syllogizmów. Jeżeli np. fakt, jak śmierć Chrystusa Pana, został historycznie uznany, wtedy się konstruuje logicznie wypadki wyprzedzające tę śmierć, bez troszczenia się o historyczną rzeczywistość, która, jak wiadomo, mało się stosuje do takiego logicznego schematyzmu. W dziele Brandta, jak w dziele głośnego Straussa, mamy do czynienia nie z historyą, lecz z filozofią i heglianizmem w szacie krytyki historycznej. Cała tradycya historyczna znajduje się stale na ławce oskarżonego wobec wszechwładnego rozumu krytyka. Jemu wcale nie o to chodzi, co się stało w rzeczywistości, przeciwnie on z góry wie, co się stać musiało. Nie przez pyszałkowate potępianie źródeł, lecz przez serdeczne wnikanie w nie, wydobywa się z nich złoto prawdy". Chyba dosadniej potępić tego rodzaju racyonalistycznych elukubracyj nie można, jak to uczynił anonimowy krytyk, niewątpliwie protestancki racyonalista. W tym wypadku przyklaśnie mu bez wątpienia każdy katolicki badacz i krytyk.

W przeciwieństwie do badań tak stronniczych, jak np. dr. M. Conrata (Cohna!), który usiłuje wykazać, że chrześcijańska nauka nigdy nie była zakazana w państwie rzymskiem [1], mamy do zanotowania wyniki naukowe jednego z najgruntowniejszych badaczy i znawców epoki prachrześcijańskiej tj. Allarda, o położeniu chrześcijan pod względem prawnym w państwie rzymskiem w pierwszych dwóch wiekach [2]. Wedle nich chrześcijanie od czasów Nerona aż do Commodusa w końcu II. w. (180—192) byli zupełnie wyjęci z pod prawa. Commodus pierwszy zniósł ustawicznie jeszcze obowiązujący dekret cesarza Nerona przeciw chrześcijanom i w ten sposób dopiero prawa, przeciw chrześcijaństwu wymierzone, przestały być niezmiennemi. Główną przyczynę prześladowania w tych czasach upatruje Allard w denuncyacyach Żydów, których nienawiść ku Chrystusowi przeniosła się na wyznawców nauki Chrystusowej. Żydzi oskarżali chrześcijan głównie o to, że gardzili prawami cesarskiemi, że uznawali i czcili innego króla niż cesarza.

---

[1] *Die Christenverfolgungen im römisch. Reiche vom Standpunkte des Juristen.* Cfr. Z najnowszych badań historycznych. *Przegl. Powsz.* t. LIX, str. 156/157.

[2] *La situation légale des chrétiens pendant les deux premiers siècles. Revue des questions historiques* 1896, t. LIX, str. 5—43. Cfr. *Hist. Jahrb.* tom XIX, zeszyt 2, str. 391.

Pątnikowi pokazują dziś w Rzymie więzienie mamertyńskie, w którem książęta apostołów św., Piotr i Paweł, mieli być więzieni i gdzie mieli cudów i nawróceń dokonywać. Więzienie to było, jak to wykazuje G. Grisar [1], pierwotnie cysterną, najdawniejsza jego nazwa brzmi Tullianum, późniejsza Mamertinum dopiero w czasach chrześcijańskich się znachodzi. Co zaś do rzekomego pobytu tutaj apostołów, to wieść o nim podaje t. z. *Passio st. Petri* rzekomo papieża Linusa, powstała w VI. wieku, a będąca prawdopodobnie płodem wyobraźni wschodniej. Legenda ta zaciemniła prawdziwą tradycyę. Akta męczeńskie nie zawierają żadnych wskazówek co do więzienia apostołów. Wszystkie późniejsze wzmianki nie dowodzą wcale prawdziwości przyjętej raz wersyi, że Mamertinum jest więzieniem św. Piotra i Pawła. Fantazya i legenda poszukując więzienia św. Piotra, uznały najstraszniejsze więzienie za najodpowiedniejsze. Tradycya, liturgia i topografia Rzymu natomiast każą się domyślać, chociaż nie na pewno, że więzieniem rzeczywistem św. Piotra było miejsce, gdzie dziś stoi kościół św. Piotra w okowach. Więzienie mamertyńskie zatem nie zasługuje na tę cześć, jaką je legenda pobożna otoczyła.

W omówionej przez podpisanego w zeszłym roczniku *Przeglądu Powszechnego* historyi średniowiecznej Niemiec O. Michaela [2], przedstawił autor wiek XIII. jako okres złoty dla chłopów, twierdząc, że pod wpływem chrześcijańskim wieśniak i swobodę i dobrobyt nieznany dotąd osiągnął. Niewątpliwie autor ma racyę pod tym względem, racyę wszakże tylko częściową, jak to wykazuje Grupp w swej pracy [3]. Nie polityka bowiem uczucia spowodowała dziedziców do polepszenia losu chłopów, lecz polityka interesów. Panowie świeccy czy duchowni obliczyli, że lepiej wychodzą, mając na swych gruntach czynszowników wolnych, niż gospodarząc sami za pomocą niechętnych i leniwych poddanych. Korzyść dziedzica schodziła się w tym wypadku z korzyścią chłopa. Naturalnie obok tego i wpływy chrześcijańskie nie były bez znaczenia, działały atoli więcej zapobiegawczo, hamując panów, by nie nadużywali bezwzględnie swej władzy, jak się to działo po t. z. reformacyi. Wprawdzie świadczenia chłopów na rzecz pana

[1] *Der mamertinische Kerker u. die römischen Traditionen vom Gefängniss u. den Ketten Petri. Zeitschrift für kath. Theolog.* 1896, t. XX, str. 102—130. Cfr. *Hist. Jahr.* XII, str. 385.

[2] *Culturzustände des deutschen Volks während des XIII. Jahrhunderts*

[3] *Die Lage der Bauern im XIII. Jahrhundert. Hist. Jahrb.* t. IX, z. II. str. 336—349.

w XIII. wieku, ogółem biorąc, nie są wielkie, nie brak atoli nigdy posług pańszczyźnianych. Już w wieku XIII. mamy zapowiedzi ograniczenia swobody chłopskiej ze strony panów, a jeszcze więcej w wieku XIV., tak że można z czasem mówić o wznowieniu poddaństwa i ponownem przykuciu chłopów do gleby. Pańszczyzna w średnich wiekach nie była wcale tak ciężka i rozległa jak w czasach po reformacyi, kiedy chłop w wielu okolicach, jak np. w Szlezwigu i Holsztynie, musiał przez cały tydzień sam albo przez zastępcę pańszczyznę odrabiać. Z tem wszystkiem O. Michael zbyt różowo na świat średniowieczny patrzy, twierdząc, iż w XIII. wieku tylko niektórzy chłopi służyli 3 dni w tygodniu, inni tylko pewne dni w roku albo nawet jeden tylko dzień w roku. Jest to prawda, lecz nie trzeba zapominać, że one 3 dni pańszczyzny w tygodniu, to reguła nawet w wieku XIII. [1]. Im więcej na własną rękę panowie prowadzili gospodarstwo, tem cięższe warunki dyktowali chłopom. Wśród poddanych w XIII. wieku różne istnieją stopnie; najniższy stopień, poddaństwo osobiste *(Leibeigenschaft)*, właściwie nigdy nie przestało istnieć, choć w tym właśnie wieku znacznie złagodniało i zmniejszyło się — natomiast ku końcowi średnich wieków znowu się wzmaga. Tak samo przy schyłku średnich wieków pogorszył się świetny los w XIII. wieku czynszowników i kolonów, a ponieważ z drugiej strony los poddanych niewolnych XIV. i XV. wieku nieco się polepszył, przyszło do zatarcia się różnic pomiędzy różnemi stanami wieśniaków i do powstania jednolitego upośledzonego stanu chłopskiego tem bardziej, iż wolni pierwotnie drobni rolnicy znikają przez gwałtowne zmuszanie ich do posług i świadczeń na rzecz panów. Jeszcze w XIV. wieku uchodziło powszechnie za awans, jeżeli poddany uzyskał prawa czynszowników, w XV. wieku muszą czynszownicy, zarówno jak poddani, odrabiać pańszczyznę i opłacać dziedzicowi pośmiertne przy dziedziczeniu ojcowizny. W Hanowerze np. jeszcze w XVIII. wieku ściąga się pośmiertne od wolnych wyrobników. Czynszownikom zabierano jeszcze przed wojną chłopską w 1525 r. jako pośmiertne najlepszego konia, wołu lub suknię najlepszą od niewiast. Poddanym niewolnym zabierano połowę spuścizny, chociaż zostawili prawe potomstwo po sobie. Poddani uzyskali wprawdzie w XV. wieku swobodę opuszczania gleby, jak czynszownicy; jedni i drudzy atoli przy przesiedleniu się musieli opłacić się dawnemu panu dziesiątą, ba nawet trzecią częścią swego mienia. Pierwotnie czynszownicy mieli

[1] Weiss, *Verfassungsgeschichte* II, 155.

odrębne sądownictwo od poddanych, z czasem atoli dostali się pod ten sam sąd dominialny. Wprawdzie czynszownicy posiadali grunta dziedziczne, skoro atoli nie uiścili się z czynszu na termin, posiadłość ich już na drugi dzień powracała w posiadanie pana. Chcąc pozbyć się czynszowników, trza było tylko podnieść odpowiednio czynsze, a czynszownicy byli wyzuci z mienia, jak się to praktykowało zwłaszcza w Anglii. Wprawdzie w przywilejach warowano często, by panowie nie podnosili dowolnie czynszów, atoli były to zastrzeżenia tylko na papierze, których panowie nie przestrzegali, zwłaszcza, że znalazło się zawsze pretekstów dosyć, by pośrednio opłaty podnosić. Zwłaszcza byli czynszownicy bezbronni na gruntach książąt panujących, wobec których nie było apelacyi. Od czasów reformacyi znikają różnice prawne wśród warstwy wieśniaczej, natomiast powstają inne różnice zawisłe od ilości uprawianych gruntów, zatem widzimy teraz hubiarzy, kmieci, kosiarzy, chałupników, ogrodników, wyrobników i t. p. Ogółem biorąc, przychodzi Grupp do rezultatu, że w Niemczech los wieśniaków do XIII. wieku się poprawiał, odtąd się stale pogarszał; przyczem widoczną jest tendencya do zniwelowania istniejących wśród nich różnic prawnych i wytworzenia jednolitej upośledzonej masy chłopskiej. Stosunki te niemieckie są i dla nas tem ciekawsze, że tłumaczą niejednokrotnie i nasze stosunki agrarne. Z porównania tych zjawisk ekonomiczno-społecznych wynika, że we wszystkich państwach zachodnio- i środkowo-europejskich stosunki ekonomiczne podobne przechodzą fazy, tylko nie w tym samym czasie; my np. kulejemy o wiek przynajmniej za rozwojem w Niemczech.

Błędnie przypuszczano dotąd, że Wiclif już w r. 1365 i 1366 wystąpił jak rzecznik opozycyi przeciw pretensyom papieża Urbana V. do czynszu lennego z Anglii. Wiclifa polemiczne pisma w tej materyi powstały, zdaniem J. Losertha [1], nie w r. 1365 i 1366, w którym to czasie właśnie parlament angielski zakwestyonował zwierzchnictwo lenne Stolicy Apostolskiej nad Anglią, lecz dopiero po r. 1376. Wrogich kuryi zasad politycznych nie postawił dopiero Wiclif, lecz przeciwieństwo między papiestwem a monarchią angielską wytworzyło się za Edwarda III. Właśnie wśród tych konfliktów z pretensyami kuryi wygłoszono ze strony króla angielskiego zasady, które wprawdzie zupełną

[1] *Studien zur Kirchenpolitik Englands im XIV. Jahrh.* Sitzungsberichte der kais. Akademie der Wissenschaften in Wien. Philol.-hist. kl. t. CXXXVI, 1897. Cfr. *S. H. Z.* t. LXXXI, zeszyt I, str. 174.

wolność angielskiego kościoła ogłosiły, w rzeczy samej jednak starały się ten kościół uczynić całkiem zawisły od rządu. Te to właśnie zasady wyhodowane na dworze królewskim przejął, zdaniem Losertha, Wiclif i dalej rozwinął. One to głównie dały podstawę do jego głośnych antykościelnych i antykatolickich dzieł, jak: *De civili imperio, De ecclesia, De potestate regis* i t. d. Z drugiej strony objawia się w nich i przyczynia do popularności narodowa opozycya przeciw hierarchicznym pretensyom kuryi. Napaści te Wiclifa na istniejący porządek kościelny po roku 1376 wywołały oczywiście żywą polemikę i dopiero w ciągu tejże zerwał Wiclif z nauką Kościoła i zeszedł na tory herezyi.

W często wentylowanej sprawie naruszenia listu bezpieczeństwa, wydanego przez cesarza Zygmunta dla Hussa, zabierał niedawno głos K. Müller i w swej bystrej bardzo rozprawce[1] dowodzi, iż nie list żelazny, będący tylko prostą formalnością, lecz ustne zapewnienie cesarza Zygmunta zachęciło Hussa do zjawienia się na soborze kostancyeńskim? Cesarz przyrzekł mu bezpieczeństwo przed procesem inkwizycyjnym. Formalnie Zygmunt o tyle dotrzymał słowa, że oskarżonemu o herezyę wyrobił wolne posłuchanie przed całym soborem, co się z procedurą prawną względem kacerza nie zgadzało. Zygmunt widocznie, jak to Müller dowodzi, Hussa z początku uważał za prawowiernego i dopiero wtedy go poświęcił gdy się przekonał w Konstancyi, iż jest heretykiem. Motyw imputowany soborowi, że kacerzowi nie potrzeba słowa dotrzymać, odpiera autor jako wymysł.

Dr. K. Krotoski.

Jak można wiele dobrego małemi zdziałać środkami?

Znany i poważny przegląd katolickich praw i instytucyj we Francyi zamieszcza niniejszą, pouczającą, a prawdziwą opowieść:

„Przyjaciel nasz, p. W., jest sobie niepozornym człowieczkiem, mało znanym, o mniejszych jeszcze wpływach. Atoli kocha Boga, miłuje ubogich i dla nich nie szczędzi ni sił, ni czasu swego.

Zamieszkuje on wielkie ognisko przemysłowe, zadymione i rojne od mnóstwa robotników i rzemieślników.

Przytrafiło mu się w jesieni minionego roku, iż miał do rozpo-

[1] *Das Geleit für Joh. Huss. Deutsche Vierteljahrschrift* t. III, zeszyt I. Cfr. *S. H. Z.* t. LXXXI, zeszyt II, str. 363.

rządzenia drobną lecz okrągłą kwotę, którą dla ubóstwa przeznaczył, rozmyślając tylko, jakby jej użyć, aby najwięcej korzyści z tej jałmużny wyciągnąć, i oto co ostatecznie wymyślił:

Pod miastem, opodal od jego własnego mieszkania widniały wzgórza kamieniste, w części pokryte jałowemi i wysychającemi w lecie trawami.

Pan W. zadzierżawił za mniej więcej 120 marek dwa hektary owego pustkowia, a wywiedziawszy się, ileby trzeba gruntu na dostarczenie warzywa pojedynczej rodzinie z 6 do 8 osób złożonej, podzielił swą dzierżawę na 40 części, po 500 metrów każda. Następnie jął obiegać w pobliżu osiadłe rodziny górników, biegłych w posługiwaniu się kilofem, a wszakże od kilofa do łopaty blizko!

Pokazało się jednak, że nikt nie posiadał rydla ni gracy. Pan W. kupił tedy motyki i łopaty, kupił kilka worów kartofli do sadzenia, coś nasion jarzynnych, po trochu nawozu, i poszczególne rodziny zabrały się do oczyszczenia gruntu z kamieni i pierwszej uprawy dotychczasowych nieużytków.

Rozeszła się wieść o rozpoczętej pracy, a że coraz więcej rodzin dopraszało się kawałka ziemi, właściciel kopalni kamienia w pobliżu odstąpił bezpłatnie p. W. około 2 hektarów podobnego gruntu, bodaj gorszego jeszcze. Ale darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Podzielono przestrzeń na nieco większe udziały dla zrównania spodziewanych korzyści. Nareszcie p. W. jeszcze kawałek lepszej ziemi zadzierżawił i ostatecznie 101 udziałów rozdzielił między tyleż rodzin, zawarowawszy wpierw następne obowiązujące warunki, pod karą wypędzenia: 1) Każda rodzina z największą starannością chodzić będzie koło swego udziału. 2) Nikt w niedzielę pracować nie będzie. 3) Nie wolno swego udziału nikomu poddzierżawiać. 4) Uczestnicy przyrzekają unikać wszelkich zatargów z sąsiadami.

Wszystkie te warunki ściśle ustrzeżone zostały, okrom może ostatniego, gdy przy podziale nawozu nie brakło kłótni i wyzywania się nawzajem. Pan W. zamknął uszy i oczy, wykazując we wszystkiem rzadką szerokość poglądów. Zapewne niejedno podanie odrzucić mu przyszło, co nie przeszkadza, że między innemi przyjął prośbę głośnego socyalisty, którego zawziętość ostygła w miarę, jak zasadzone przezeń kartofle jęły kiełkować. Dwie czy trzy rodziny protestanckie znalazły się w poczcie uczestników.

Gdy z wiosną b. r. jałowe dotąd grunta zazieleniły się od kartofli, kapusty i rzepy, uczestnicy słusznie zauważyli, iż należałoby otoczyć płotem z cierni całość przedsiębiorstwa. Obliczywszy zaś koszta

dzierżawne, zasiewów, nawozów, narzędzi rolniczych, wydatek nie przeszedł dwóch tysięcy franków. Otóż niepodobna ocenić niżej jak 60 fr. (około 50 marek) wartość wyhodowanych na każdym udziale warzyw. Że zaś ubodzy po trochu codziennie takowe zakupują, byliby wydali około 80 fr. i więcej na jarzyny. Rachunek stąd łatwy.

W czerwcu b. r. odwiedziwszy p. W., prosiłem, aby mi całe swe przedsiębiorstwo pokazał. Była to niedziela po południu. Wielu z uczestników przyszło obejrzeć stan swych udziałów, rozsiadając się z obliczem rozpromienionem prawdziwych właścicieli. Niejeden przywiódł z sobą przyjaciół; wszyscy ci ludzie byliby niezawodnie spędzili czas ten w szynku, gdyby nie urok rosnących zewsząd kartofli i kapusty. Każdy z dumą swój zagon wskazywał, chełpiąc się różnemi jeszcze zamiarami, wiodącemi do ulepszenia powierzonego sobie udziału. Oczywiście nic się nie robi bez upoważnienia pana W., nawet gdy chodzi o wzniesienie altanki. Długa ścieżka rozdziela poszczególne udziały. Tu i ówdzie gorliwszy uczestnik interesu postarał się o dodatkowy zapas nawozu, obiecujący lepsze plony. Dalej słyszymy skargi na niegodziwego królika, który zniszczył cały szereg główek kapusty. Zwiedziłem pilnie całą przestrzeń, zawierającą 101 udziałów, i wyznaję, że rzadko kiedy przyjemniejsze spędziłem chwile. Może przewaga kartofli jest zbyt widoczną, na przyszły rok większa rozmaitość się znajdzie.

Po drodze zaczepia nas robotnik, dopraszający się udziału. Ale nie jest on górnikiem, a co więcej, już trzydzieści podań wyprzedziło jego prośbę.

Niejeden z tych, co dziś spokojnie tę cząstkę gruntu uprawiają, do niedawna byłby nas wytykał jako niegodziwych arystokratów, podłych właścicieli. Ziemia ich ugłaskała i złagodziła uliczne, brukowe namiętności. A nietylko widokiem pożytku i pracy cieszy się p. W. Nie brak mu i wyższych pociech. Pięciu już z kolei uczestników przyszło do niego z miną zakłopotaną. Opowiadali, że mają w domu babę, dobrą matkę, pracowitą gospodynią, ale... która nie jest prawowitą żoną. Pan W. wiedział o tem dobrze i chciał powoli na nich wpłynąć, gdy sami się do niego zgłosili. Już cztery takie dzikie małżeństwa otrzymały zatwierdzenie i błogosławieństwo Kościoła.

Fakta tu dość wymownie przemawiają. Dobry to środek odrodzenia pracą, godzien polecenia w sąsiedztwie miast i wielkich ognisk roboczych, praktycznie zastosowane miłosierdzie, które zaiste lepszy owoc przynosi od odręcznej i doraźnej jałmużny. *M.*

Goyau o zmyśle socyalnym.

W jednym z ostatnich zeszytów *La Quinzaine*, dwutygodnika nie dość u nas czytanego, znajdujemy niepospolity artykuł znakomitego pisarza Goyau o młodzieży i studyach społecznych. Oto zakończenie tego nad wyraz pouczającego sprawozdania z dokonanych już lub rozpoczętych w kierunku zszeregowania młodych sił ku wspólnej robocie przedsięwzięć:

„Częstem zetknięciem się z nieszczęśliwymi, zbliżeniem się do nich w powszednich życia okolicznościach, studya socyalne nabierają dopiero pożądanego ożywienia i skuteczności. Pamiętać bowiem nam trzeba, iż owe studya, w właściwem pojęciu, nie są zajęciem zbytkownem i zbytecznem, celem wzbogacenia umysłu, czy pamięci, lecz winny bezpośrednio i stale oddziaływać na wewnętrzne życie tych, co się im poświęcają, winny nietylko myśl ich, lecz całe jestestwo i życie kształtować wedle ideału socyalno-chrześcijańskiego. Konferencye nawet najświetniejsze, uczone ekonomistów zebrania, nie zdołają wyczerpnąć właściwego młodzieży chrześcijańskiej zadania. W ciągu lat przejściowych, wiodących ze szkolnej ławy w właściwe, swobodne życie, przedewszystkiem młodzi ludzie szukać powinni, nie sławy mówców lub wytrawnych ekonomistów, lecz czegoś tajniejszego a droższego, ogólniejszego i mniej określonego: oto wydelikacenia własnego sumienia uprawianiem w sobie zmysłu socyalnego.

„Na czemże zaś właściwie polega zmysł socyalny? Łatwiej określić onego postulaty, aniżeli samąż istotę. Wskutek zmysłu socyalnego głowa domu i rodziny co niedziela odkłada do pojutrza rozkład dalszej pracy i obstalunków, z obawy aby nie mobilizować rąk lub mózgów, dla których Pan naznaczył cotygodniowy dzień wyswobodzenia i spoczynku. Pod natchnieniem tegoż zmysłu przemysł katolicki szuka sposobu urządzenia wypłat piątkowych, dla ułatwienia rodzinom chrześcijańskim zakupu w sobotę, zbyt często uskutecznianego dotąd w dni świąteczne. Na mocy zmysłu socyalnego oficer w koszarach może regulować urlopy w sposób, zabezpieczający uczciwe i moralne użycie wolnego czasu. W dziedzinie estetyki, zmysł socyalny nas osłania przed urokiem sztuki dla sztuki, gry słów i myśli, przed wszystkiemi sztuczkami zręczności, poniżającemi dzieła literackie, *humaniora*, jak je niegdyś nazywano, do poziomu chorobliwego wylewania na zewnątrz własnego tylko ja, przed tym ślepym egoizmem, co sobie lekceważy skutki wszystkiego, co się pisze lub myśli.

„Posiadać zmysł socyalny, jest to być do szpiku kości przejętym tą zasadą, iż czyny nasze oddziałują na innych, jest to umartwiać w sobie absolutyzm indywidualnej woli na rzecz drugich, dla ich korzyści, przez pamięć na nich. Zmysł socyalny jest bo przedewszystkiem umartwieniem: zdolność do owego umartwienia jest cnotą nabytą, a rozwijającą się kulturą. Gdy raz wyrośnie w nas i zakwitnie, staje się instynktem duszy chrześcijańskiej, najprzód aby szukać i znaleźć, potem nawet bez szukania znajdować, w toku powszednich okoliczności, skromne środki spółpracowania w przybliżeniu królestwa Bożego na ziemi. W epoce kiedy tylu ludzi bywa wykorzenionych i wykolejonych, zmysł socyalny stanowi rodzaj zakorzenienia: tkwi w nim bowiem jasna i jawna, a wymagająca i rozkazująca świadomość węzła łączącego człowieka z społecznością chrześcijańską, oraz zobowiązań, wypływających z tego podwójnego węzła.

„Zadaniem konferencyi i studyów socyalnych ma tedy być rozwijanie w duszach młodzieży takiej właśnie atmosfery, w którą wiara sama z siebie zamieszkiwać przychodzi: tak zrozumiane, muszą one wydoskonalać swych uczestników; gdy zaś opanowawszy młodego intelektualistę, porwą go w zaklęte koło badań i zagadnień społecznych, trzeba nam pamiętać, iż za jednym zamachem uczą go schodzić do ludzi i wznosić się do Boga“.

Druk ukończono 31 stycznia 1899 r.

†

Ś. p. ks. JAN BADENI T. J. [1]

Wiele pięknych i głęboko odczutych rzeczy napisano w nekrologach o ks. Badenim, wiele ich nam ustnie wyrażono lub udzielono przez listy. Kraj czuje, że uleciała z niego wielka siła.

Istotnie była to siła — którą spróbuję bliżej określić. Danych mi do tego nie brak: bo jakoś Pan Bóg tak zrządził, że od jego wstąpienia do zakonu byliśmy wszędzie razem: w Starejwsi, w Tarnopolu, w Krakowie wreszcie od r. 1883.

Źle wróży młodość bez porywów. W młodości ks. Jana porywów nie brakło — ale nie były to porywy marzycielskie, jeno zwrócone do czynu, zwiastujące charakter, który się miał w nim coraz więcej

[1] Zaraz przy założeniu *Przeglądu Powszechnego* postanowiliśmy żadnych w nim nie umieszczać nekrologów — z wyjątkiem tylko, gdy którego z członków Redakcyi Pan Bóg do siebie powoła. Otóż w r. 1890 przyszło nam napisać wspomnienie pośmiertne o ks. Zdzisławie Bartkiewiczu; dziś drugie piszemy.

zatwierdzać. Rwał się do nauki, nie tyle z miłości nauki samej, ile, by się uzdolnić do jak najszerszej pracy w zakresie zakonnego powołania. Aż strach pomyśleć, jaką masę rzeczy w młodych latach przeczytał! A czytał porządnie, zapisując każdą książkę czy artykuł przeczytany. Zabierał się, klerykiem będąc, do napisania literatury powszechnej, spisał sobie całe stosy notatek; później oczywiście odstąpił od tego zamiaru; ale sam ten zamach świadczy, jak rozległe było jego oczytanie. Mnóstwa języków nauczył się sam bez żadnej pomocy, o tyle, że mógł z nich korzystać: po angielsku, po włosku, po hiszpańsku, po rosyjsku, także po czesku i kroacku czytał bez trudności; po francusku, choć nigdy dobrze nie mówił, rozumiał jednak doskonale najdelikatniejsze języka odcienia. Jedynie przez wytrwałe czytanie do tego doszedł. Nie potrzebuję dodawać, że wszystkie te języki, które wchłonął w latach studyów, przydały mu się w pracy, jaka go w życiu czekała.

Zdolności miał niepospolite, ale idące więcej w szerz niż w głąb; łatwość uczenia się i łatwość pisania ogromną; styl nie bardzo utoczony, jednak naturalny i jasny. Pisał prawie bez przekreśleń, bez poprawek; chętnie jednak drugiemu poprawiać pozwalał. Tyle miał przytem rozumu, że nie sadził się na to, co przechodziło zakres jego talentu, owszem sam chętnie żartował z tego, co mu brakowało; a umiał znowu wyzyskać stronę dodatnią swego umysłu, podobnie jak spożytkować umiał dodatnie siły swego charakteru. Nawet czytania jego tak rozległe, nie były na wszystkie pola rozrzucone. Czytał tylko to, co instynktem czuł, że spożytkuje.

Od samego założenia *Przeglądu*, jeszcze przed

wyświęceniem na kapłana, przy nim pracował. Najprzód szukał swojej drogi: próbował, na moje życzenie, studyów historyczno-dogmatycznych: na tle wybitnych postaci pierwszych wieków Kościoła: Justyna, Cypryana, Cyrylla Aleksandryjskiego, omawiał dogmaty, które za ich czasów dojrzewały. Razu jednego dużo się napracował nad napisaniem obszernego studyum o Goethem. Kiedy mu powiedziałem, że rzecz ta w *Przeglądzie* drukowana nie będzie, przyjął to z prostotą i bez żalu. Pisał też poglądowe sprawozdania z współczesnej literatury niemieckiej, włoskiej, prowansalskiej, rosyjskiej, amerykańskiej: szerokie jego czytania na to pozwalały. Nawet w ostatnich kilku latach, mimo coraz większego natłoku zajęć, czytał i recenzyował krótko wszystkie, jakie się pojawiały, powieści polskie, nie z pociągu oczywiście do tych po większej części lichych płodów, ale z poczucia potrzeby, żeby publiczność wiedziała zdanie *Przeglądu* o nich. Oprócz kilku Żywotów Świętych, skreślonych na żądanie naszego Wydawnictwa Apostolstwa, dwa większe życiorysy napisał; i te znów nie z własnego upodobania, ale dla tego, że zbiór rękopisów ks. Chołoniewskiego i ks. Antoniewicza dostały się do naszych rąk, i zdawało nam się, że mamy pewien obowiązek je spożytkować. W tych życiorysach już się zarysowuje właściwy typ pisarski ks. Jana. Nie opisuje on na własną rękę tych postaci, nie kreśli ich charakterystycznych rysów — na toby potrzeba stanąć w pewnem oddaleniu od dokumentów, listów, faktów — a to jest ks. Janowi przeciwne; jego interesuje przedewszystkiem dokument sam, *le document humain*, i chce, żeby czytelnik się nim interesował i sam sobie na nim wyrobił sąd; to też daje on mu tego dokumentu

jak najwięcej. Książce o ks. Antoniewiczu w szczególności niemało brakuje jako biografii, ale ma ona tę oryginalną zaletę, że jest poniekąd autobiografią, własnym stylem Antoniewicza i własnemi jego zdaniami napisaną — i z tego względu wiele, jak słyszymy, dobrego robi. Wydania dwóch tomów Kazań Chołoniewskiego, czterech tomów Kazań Antoniewicza i dwóch tomów jego wierszy, zrobiły się mimochodem, przy życiorysach.

Ale najwięcej indywidualność autorska ks. Jana się uwydatniła, gdy zaczął trochę jeździć, i podróże swe opisywać. Narzekaliśmy od dawna w Redakcyi naszej na brak stosunków ze Słowiańszczyzną po Austryi rozrzuconą; mówiliśmy, że nawet grawitacya ku Rosyi, jaka się nieraz u nich pojawia, stąd w części pochodzi, że my o nich wiedzieć nie chcemy — co jest wielkim pod względem politycznym i religijnym błędem. Otóż ks. Jan od r. 1891 zaczął w chwilach wypoczynku objeżdżać rozmaite kraje i nawet zakątki tej Słowiańszczyzny; zwiedził Kroatów, Serbów, Słoweńców, Słowaków, Ślązk, Dalmacyę, Czarnogórę; nawet do Łużyczan zajrzał i do gór Huculskich; w Pradze bawił w czasie wystawy etnograficznej, a w Bernie podczas katolickiego zjazdu, żeby o Czechach i Morawie, które z pism znał już nieźle, choć sumaryczne z widzenia powziąść wyobrażenie. Inni w podróżach patrzą na piękności natury, na dzieła sztuki lub pamiątki przeszłości — on tylko szukał ludzi, i umiał do nich trafić. Czasem miał z góry pozbierane instrukcye, listy rekomendacyjne, ale i bez nich doskonale obejść się umiał. Gdy gdzie przyjechał, pytał jakie tam są redakcye — i wszystkie bez wyjątku obszedł, z redaktorami się zapoznał, przez nich wywiedział się

o wpływowych ludziach miejscowych, o stowarzyszeniach narodowych lub robotniczych; ludzi odwiedzał, dawał się zaprosić, tu na herbatę, tam na piwo, na każde zebranie stowarzyszeń chodził; a równocześnie wrażenia swe i spostrzeżenia spisywał. W sposobie opowiadania tych podróży, lekkim, barwnym, często żartobliwym, przeskakującym bez nacisku z jednej rzeczy do drugiej, z opisu do rozmowy i na odwrót — można powiedzieć, że ks. Jan stworzył własny, sobie odpowiedni *genre* literacki — którego też później użył przy opisywaniu bied naszego kraju, z tą różnicą, że tam pod lekką ironią czuć nieraz w głębi ból i tragizm. Co do treści, podróże te po Słowiańszczyźnie nie zawierają żadnych studyów etnograficznych, ale kreślą schwytany na gorąco nastrój umysłów i serc tych społeczeństw, blizkich a tak mało nam znanych. Przytem to osobiste zetknięcie się ks. Jana z tymi ludźmi najrozmaitszych odcieni, z tą szczerą, prawdziwie polską, wesołością i swobodą, otwierało mu serca, zbliżało je do wszystkiego, co przedstawia Polak kapłan i zakonnik. Można powiedzieć, że tylu miał ks. Jan po tych różnych krajach przyjaciół, ile ludzi odwiedził [1].

---

[1] Oto spis prac drukowanych ks. Badeniego:

1. Historya koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej Starowiejskiej. Pelplin. 1878. 8⁰, str. 64.
2. Św. Stanisław Kostka. Kraków. 1886 (2 wyd.) i 1890. 16⁰.
3. Nabożeństwo dziesięcioniedzielne i Nowenna do św. Stanisława Kostki. Kraków. 1887. 16⁰, str. 53.
4. Bł. Męczennicy angielscy Tow. Jez.: Edmund Campion, Aleksander Briant, Tomasz Cottam. Kraków. 1888. 16⁰, str. 159.
5. Ks. Stanisław Chołoniewski. Kraków. 1889. 8⁰, str. 380.
6. Emigracya ludu polskiego do Niemiec. Kraków. 1889. 8⁰, str. 37.

Ale jeszcze ważniejsze czekało ks. Jana zadanie: zbadanie ludności własnego kraju w chwili ważnego przełomu. Przygotowany był do społecznych studyów przez to, że pisząc w *Przeglądzie Powszechnym* od samego niemal początku t. zw. „Sprawy Kościoła“ nauczył się czytać gazety. Czytał — aż się nieraz zdumiewałem — wszystkie gazety krajowe, nietylko większe, ale i najmniejsze i socyalistyczne i ludowe, a nadto jeszcze kilka gazet zagranicznych. Zabierał się do tego regularnie po obiedzie, około godz. 2, a już zwyczajnie o 3, najdalej o $3^1/_2$ uporał się z tym ogromnym stosem. Nie zdarzało się, żeby jaki artykuł znaczący uszedł jego uwagi; o każdym wypadku wiedział od razu zdania wszystkich stron. Dbał nawet o to, żeby

---

7. Walka przeciw niewolnictwu. Lwów. 1889. 16^0, str. 30.
8. Z wycieczki na Górny Ślązk. Kraków. 1889. 16^0, str. 31.
9. Robotnicy polscy w Saksonii. Kraków. 1890. 8^0, str. 16.
10. Polacy w Anglii. Kraków. 1890. 8^0, str. 67.
11. Prawdziwy Syn Maryi, św. Aloizy Gonzaga. Kraków. 1891. 16^0, str. 47.
12. Maria-Zell. Wrażenia z podróży. Kraków. 1891. 8^0, str. 20.
13. Mowa żałobna o ś. p. Emilii z Sołtyków Popielowej. Kraków. 1891. 8^0, str. 11.
14. Zasady życia doskonałego z listów św. Ignacego Loyoli. Kraków. 1892. 16^0, str. 147.
15. W Czerniowcach. Wrażeniach z kilkudniowej podróży. Kraków. 1892. 16^0, str. 32.
16. Marya. Upominek majowy. Kraków. 1892. 32^0, str. 94.
17. Niedziela w Krakowie. Kraków. 1893. 8^0, str. 76.
18. Welehradzkie Zjazdy. Kraków. 1893. 8^0, str. 16.
19. Między Słowianami. Zeszyt I. Kraków. 1893. 8^0, str. IV. 153.
„ II. 1896. 8^0, str. 171.
20. Życie św. Ignacego Loyoli, założyciela Zakonu Tow. Jez. Kraków. 1893. 16^0, str. 320.
Toż samo. Wydanie powiększone. 16^0, str. 506.
21. Ruch ludowy w Galicyi. Kraków. 1895. 8^0, str. 38.
22. Radykali ruscy. Kraków. 1896. 8^0, str. 63.

te wszystkie gazety były w porządku chowane, aby módz w nich łatwo odszukać co chciał. Oprócz tego wszechstronnego czytania, czuł jeszcze potrzebę osobistego zetknięcia się z najrozmaitszymi ludźmi. Takie „Obrazki z krakowskiej nędzy“ albo „Niedziela w Krakowie“, które się tak lekko czytają, nie lekkiej pracy były owocem. Przez półtora roku chodził ks. Jan po wszystkich zaułkach miasta, interwiewował po swojemu wszelkiego rodzaju robotników, posługaczy, żebraków i t. d.; miał zawsze przy sobie notesiki, na których ołówkiem skreślał w lot, co widział i słyszał, *le document humain;* całe dwie szuflady zostawił zapchane takiemi notesikami ołówkiem zamazanemi. Podobnie przed napisaniem artykułów: „Ruch ludowy

---

23. Ks. Karol Antoniewicz T. J. Kraków. 1896. 8⁰, str. 417.
24. Obrazki z krakowskiej nędzy. Kraków. 1897. 8⁰, str. 134.
25. Studya i szkice. Kraków. 1898. 3 tomy. 8⁰, str. 370, 390, 289.

Oprócz prac, które w osobnej odbitce wyszły, oraz 27 prac ponownie przedrukowanych w „Studyach i Szkicach“, pomieścił w *Przeglądzie Powszechnym:* Sprawy Kościoła co miesiąc od sierpnia r. 1886 do końca października 1890, od września 1891 do końca grudnia 1892 i od czerwca 1893 do końca lipca 1896 włącznie, oraz 55 artykułów większych lub mniejszych rozmaitej treści. W rozmaitych zaś pismach krajowych i zagranicznych około 100 prac.

Wreszcie następujące dzieła wydał:

1. Kazania ks. Stanisława Chołoniewskiego, w 2 tomach. Kraków. 1888.
2. Tegoż: Obrazy z galeryi życia mego. Lwów. 1890.
3. Kazania ks. Karola Antoniewicza, najprzód w Krakowie r. 1890 w 2 tomach, a następnie w r. 1893 materyałem z świeżo odszukanych rękopisów pomnożone w 4 tomach.
4. Żywot św. Jana Berchmansa T. J. Przez ks. Iwona Czeżowskiego, przerobiony przez wydawcę. Kraków. 1893.
5. Poezye ks. Karola Antoniewicza T. J. 2 tomy. Kraków. 1895, 1898 i 1899.

w Galicyi“ (1895) i „Radykali ruscy“ (1896), jeździł po kraju, poznawał osobiście wszystkich przywódców tych ruchów; zjawiał się często najniespodzianiej na zebraniach socyalistów, radykałów polskich lub ruskich; przysłuchiwał się pilnie, a gdzie było można, przemawiał, agitatorów zawstydzał, otwierał oczy wielu słuchaczom dobrej woli. Wreszcie rzucił w świat te artykuły, które pamiętne w całym kraju zrobiły wrażenie. Dziś o ruchu ludowym w Galicyi wie każde dziecko, wiedzą nawet o nim zagranicą, dzięki przeszłorocznym burdom; ale zanim ks. Badeni pisać o nim zaczął, przed czterema laty, ogół naszego społeczeństwa go ignorował, wybitni nawet publicyści przeczyli jego egzystencyi, a nie wiem czy kto miał jasne o jego sile i rozmiarach wyobrażenie. To też artykuły te, brzemienne faktami, wstrząsnęły całem społeczeństwem, w sposób jakiego publicystyka nasza nie pamięta.

Z początku ks. Jan uważał za jedyne swe zadanie zbadać prawdziwy stan rzeczy, poinformować społeczeństwo, ocucić je z uśpienia. Sam żadnych sposobów reagowania przeciw złemu nie podawał w swych artykułach. *Videant consules,* mawiał, ja już swoje robię przez to, że zwracam uwagę na niebezpieczeństwo. Ale w ostatnich latach, pod wpływem coraz większego doświadczenia, coraz więcej wyrabiało się w nim przekonanie, że chcąc zwalczyć w ludzie ów ruch radykalny, niema innego sposobu, jak przeciwstawić mu ruch katolicki; chcąc wytrącić robotnikom gazetki socyalistyczne, trzeba im włożyć do ręki gazetki robotniczo-katolickie; chcąc ich oderwać od stowarzyszeń, gdzie tylko rozprawiają o walce klas, trzeba im stworzyć stowarzyszenia, w których czuliby

się równie u siebie, a rozprawiali o swoich rzetelnych interesach; chcąc żeby na posłów nie wybierali przewrotnych demagogów, trzeba im takich przygotować posłów, którychby mogli za swoich uważać.

Kiedy przed dwoma laty starsi zakonu, uznając wybitne jego zdolności do rządzenia, zrobili go prowincyałem, ks. Jan popierał, w granicach zakonności właściwych to wszystko, w czem dobro społeczeństwa upatrywał. Popierał szerzenie się stowarzyszeń „Przyjaźni", które już były przedtem nie bez jego wpływu powstały; popierał założenie gazetki robotniczej, najprzód we Lwowie, potem w Krakowie; popierał założenie gazety *Ruchu Katolickiego*, powstającej pod hasłem, że będzie broniła interesów katolickich ponad interesami wszelkich partyj. Ale popierania te ograniczały się na moralnej inicyatywie: pozwolił jednemu z naszych księży zbierać pieniądze na założenie *Ruchu;* posyłał to jednego to drugiego księdza, żeby brali udział w założeniu „Przyjaźni", gdzie większą upatrywał potrzebę; pisywał i pisywać dawał do powstających gazetek. Ale zawsze do tego dążył, żeby te wszystkie dzieła mogły stać na własnych nogach i skoro tylko czuł, że to jest możliwe, usuwał się, usuwał swoich. O redagowaniu lub stałem kierowaniu dziennika nigdy nie myślał — jakkolwiek miał z natury temperament dziennikarza, i czasem wyrywał mu się okrzyk: Ha! gdybym miał gazetę! — rozumiał jednak zawsze i mówił mi nieraz, że to ze stanowiskiem zakonnika pogodzić się nie da.

A nie trzeba myśleć, że pilnowanie tego ludowego ruchu w kraju absorbowało go wyłącznie[1]. Obok

[1] Obok wszystkich innych swych zatrudnień, ks. Jan nie

tysiącznych obowiązków, trosk, korespondencyj, podróży, które ciężą na każdym u nas prowincyale, miał on szczególnie na oku i na sercu nasze misye w kraju i zagranicą. Znając, z długiego czytania gazet amerykańskich, opłakane położenie Polonii w Stanach Zjednoczonych, powziął on i już w pierwszym roku swego urzędowania wykonał zamiar założenia tam stałej polskiej misyi. Czterech na to młodych księży z naszej prowincyi zakonnej znalazł i wysłał. Do większych aglomeratów robotniczych polskich, pracujących w różnych stronach Europy, słał też pilnie duchowną pomoc. W Peszcie, gdzie mnóstwo biednych Polaków zarabia na twardy chleb bez żadnej duchownej pociechy, urządził w zeszłym roku misyę, z której 30.000 dusz błogie odniosło skutki.

Jeszcze, gdy go choroba na łoże, z którego powstać nie miał, złożyła, przez trzy miesiące obowiązki swego urzędu pełnił, swoich braci i świeckich przyjmował, z łóżka pisał lub dyktował niezmordowanie. Nareszcie, w tydzień przed końcem, charakter nieubłaganej choroby się zdeklarował. Skorośmy się dowiedzieli od lekarzy, że o ratunku już mowy być nie może, uważaliśmy za obowiązek prawdziwej i chrześcijańskiej przyjaźni powiedzieć to choremu bez ogródki. Wiadomość tę, która przerywała jego życie i zamiary i rozpoczęte prace w połowie biegu, przyjął ks. Jan z prostotą i pogodą sobie właściwą.

W stosunku do Boga miał on przez całe życie tę samą szczerość i prostotę, którą ludziom okazywał,

---

przestawał pracować w kościele. Z ambony odznaczał się płynną wymową przy sile logiki i przekonania. Jako spowiednik był ceniony dla wielkiej jasności, rozsądku i stanowczości, z jaką sumienia kierował.

przy niemałej sile woli. Dusza to była czysta i hartowna, na której wszystkie brudy ludzkie, jakie się o nią ocierały, nie zostawiały śladu. Nie był uczuciowy, ale był bardzo wobec Boga sumienny, jasno w swem sumieniu widział i silnie od siebie wymagać umiał. Mam przed oczyma rodzaj dyaryusza duszy, który pisał od początku nowicyatu aż do ostatnich rekolekcyj, przed rokiem zrobionych. Wiele w nim jest pięknych i podniosłych rzeczy; piękne między innemi pojęcie o strasznej odpowiedzialności przełożeństwa, i o sposobie, jakim przełożony ma się brać do ludzi; niema zaś wcale tego, co się tak często ludziom zdarza, zwracania uwagi na fikcyjne braki, a prześlepiania prawdziwych wad; ale wszystko jest pełne szczerości i pokory przed Bogiem. Kończą się zapiski z ostatnich rekolekcyj temi słowy, jakby z przeczuciem skreślonemi: „Jeżeli Pan Bóg da, że za rok żyć będę i rekolekcye robić, z jakiemi wtedy owocami przed Sędzią mym stanę?“

W czasie długiej, trzymiesięcznej choroby, budował nas i lekarzy cierpliwością i nietroszczeniem się o swoje zdrowie; nigdy się nie skarżył, niczego nie żądał i niczego nie odmawiał z tego, co mu lekarze przepisywali. Gdy się zaś dowiedział, że koniec nadchodzi, zażądał tego samego dnia Ostatnich Sakramentów, i odtąd zajął się wyłącznie Bogiem, a nikogo już oprócz swych braci zakonnych widzieć nie chciał. Dziękował czule za najmniejsze usługi, ale najwięcej za to, gdy mu się pomagało w modlitwie. Kiedy przyjechał jego zastępca na prowincyalstwie, powiedział mu pięknie: „Jest to najmniejsza ze strat naszej prowincyi“. Drugiemu mówił, że bardzo nam zaleca, byśmy się dalej sprawą ludową zajmowali.

Na parę dni przed śmiercią, niewychodząc wcale z swej pogodnej rezygnacyi, tracił po trochu wzrok, potem pamięć o sobie. Ale brał jeszcze udział w modlitwach strzelistych, które mu poddawano. Tylko przez ostatnich kilka godzin był całkiem nieprzytomnym... Modliliśmy się długo, księża i bracia, przy jego łożu, czując, że Pan wzywa wiernego sługę, po krótkim lecz dobrze wypełnionym dniu roboczym, na zasłużony spoczynek — ale nam zabiera dzielnego towarzysza pracy i przyjaciela drogiego.

Ks. Maryan Morawski.

KSIĄŻKA KLACZKI O RENESANSIE.

(Rome et la Renaissance. Essais et Esquisses. Jules II. Par *Julian Klaczko.* Paris. Librairie Plon. 1898. W 8-ce, str. 451).

Rozpoczynając ocenę dzieła takiego autora, jak Klaczko, ma się przedewszystkiem ochotę powtórzyć własne jego słowa, dotyczące oceny prac Michała-Anioła: Kimże jesteśmy, aby śmieć pytać mistrza o sprawę z dzieł jego? — A jednak przeczytawszy taką książkę, niepodobna zamilczeć, niepodobna nie podzielić się z drugimi swoim podziwem i choć cząstką tysiąca wrażeń, które w nas wzbudziło czytanie. Jedną z cech, jednym z darów znakomitych umysłów jest, że przy zetknięciu z innemi umysłami podnoszą je ku sobie, wydobywają z nich nieświadomie nieraz drzemiący na dnie rój uczuć i myśli, własną iskrą wykrzesują ogień w zimnym krzemieniu uśpiony. Jednym z takich, od Boga uprzywilejowanych umysłów jest Julian Klaczko; nie jeden uczuł się mądrzejszym, a bodaj nie lepszym po dłuższej z nim rozmowie lub po przeczytaniu dzieł jego. Raz już zstąpiwszy z areny politycznej na wdzięczniejsze pole dziejów sztuki, dał nam swe śliczne „Rozmowy florenckie“; dziś mamy przed sobą pierwszą część obszernego dzieła o Odrodzeniu, obejmującą nie jego dzieje, gdyż te daleko wcześniejszych sięgają czasów, ale epokę najwyższego jego rozkwitu. Dziwna rzecz — i mogąca dać do myślenia ludziom, oskarżającym władzę duchowną o szerzenie obskurantyzmu — jest, że ten rozkwit ludz-

kiego umysłu schodzi się z chwilą odrestaurowania państwa kościelnego; Niemcy, jak np. Ludwik Geiger, zwą Juliusza II.: *der Begründer des Kirchenstaats.*

Temu jakie lat dziesięć jeden z naszych pisarzy powiedział, iż czasy, w których żyjemy, możnaby nazwać Odrodzeniem Odrodzenia. Odtąd wiele się zmieniło — dziś bowiem nawet prądy społeczne jeżdżą błyskawicznym pociągiem — wówczas jednak nie we wszystkiem się mylił. Było wiele i po dziś dzień pozostało nieco cech wspólnych: cześć dla starożytności, a zarazem pewien wandalizm wobec dzieł wieków, które od tej starożytności nas dzielą, namiętność do gromadzenia prywatnych i publicznych zbiorów, mania obchodów, pochodów i wszelakich objawów wzajemnej admiracyi obok obfitej siejby oszczerstw, obelg i zobopólnego podkopywania, owładnięcie rynków handlowych i finansowych przez kilka olbrzymich firm, ubóstwianie ducha ludzkiego i wszelkich dzieł jego kosztem czci dla dzieł Stworzyciela, wreszcie używanie nie sztuki dla służby Bożej, ale służby Bożej dla sztuki... Podobieństwo na pozór wielkie, ale obok niego i różnice ogromne: ówczesny wysiłek ludzkiego ducha miał za cel zaspokojenie potrzeb umysłu, najszlachetniejszej warstwy z pomiędzy czysto ziemskich aspiracyj, dziś chodzi o zaspokojenie kieszeni, to też wznosimy nie już pałace i bazyliki, ale żelazne mosty i dworce kolei. Budowle nasze wobec budowli z czasów Odrodzenia stoją w tym samym stosunku, co ceglane gmachy asyryjskie do kamiennych pomników egipskich: Niniwa była długa aż na trzy dni drogi, Babilon zajmował pono 576 klm. kwadr., a pomimo to obróciły się w proch tak, jak się kiedyś obrócą nowoczesne, rozległe stolic naszych dzielnice. Jest jeszcze inna, stokroć bardziej zasadnicza różnica i to w dziedzinie wiary, jak słusznie mówił czy pisał kiedyś p. Klaczko: Dawniej bywały w ą t p l i w o ś c i, dziś mamy z w ą t p i e n i e.

Nikt chyba trafniej od niego nie sądzi Renesansu, ani go żywiej odczuwa; sądzi go bowiem sercem chrześcijanina, a odczuwa duchem artysty. Tam, gdzie jednych olśniewa piękność klasycznych form, a drugich smutny widok spogańszczenia dusz na piękność tę zaślepia, on widzi wszystko i wszystko ogarnia,

a „oddając Bogu, co Boskie“, oddaje też starej Romie Cezarów to, co cesarskie. Żal nam trochę, iż dzieła nie rozpoczął nieco wcześniej, od pierwszych blasków jutrzenki Odrodzenia; prawda, że śledząc za niemi, możnaby dojść w tył bardzo daleko, w dziedziny, kędy dzisiejsi pół-mędrcy upatrują tylko „ciemnotę średniowiecza“. Z książką o Juliuszu II. wchodzimy od razu w samo południe i musimy uprzedzić, że choć się z niej bardzo wiele nauczyć można, to przecież należy już znać grunt Renesansu, aby módz na niej w całej pełni używać. Oczywiście im lepiej kto zna Rzym, ten więcej użyje, ale i dla takiego, któremu danem było tylko oczami drugich poznać wieczne miasto, znajdzie się w tem dziele źródło wzniosłych a zdrowych rozkoszy. Nie jest to monografia, ale szereg luźnych szkiców; z tych prócz kilku przeważnie historycznych rozdziałów, każdy nosi tytuł jednego z arcydzieł sztuki, wyrosłych pod berłem papieża-humanisty, i na tem arcydziele oparty wkoło promienie myśli rozstrzela. Nie przedstawiają one istotnego ciągu, a przecież wszystkie razem tworzą organiczną całość, na której tle barwnem a ciepłem rysują się wyraźnie trzy główne postacie: Juliusz II., Michał-Anioł i Rafael. Nie występują wszakże osobno; widzi się je w naturalnem ich otoczeniu rzeczy i ludzi, a choć wszystkiego autor dotyka się lekko, nikt skarżyć się nie może, że go zepchnął w cień lub zaniedbał.

Cykl rozpoczyna się od znanego ogólnie malowidła *al fresco* Melozza da Forli, niegdyś zdobiącego jedną ze ścian papieskiego pałacu, a dziś uszkodzonego znacznie i przeniesionego na płótno; można je w sali III. Pinakoteki watykańskiej oglądać. Obraz ten przedstawia założenie czyli ponowne[1] otworzenie biblioteki Watykanu przez pierwszego papieża z rodu della Rovere, Sykstusa IV., a raczej nadanie uczonemu Bartolommeo Sacchi z przezwiskiem Platina, urzędu bibliotekarza, oraz historyografa papiestwa. „Mamy tu — pisze p. Klaczko — wielką kartę dziejową, z której możemy uchwycić i objąć myślą wyraźny typ papieży

[1] Pierwotnym założycielem był istotnie Mikołaj V., za którego życia biblioteka już 5.000 tomów liczyła, te jednak później, głównie za Kaliksta III. po większej części rozproszone zostały.

Odrodzenia, a w nim streszczenie ich zalet i wad: ich zmysł polityczny raczej daleko więcej, niż religijny, ich zamiłowania humanistyczne, ich namiętność do budowania i upiększania Rzymu i ich nepotyzm". Pozwolimy sobie uwagę, że p. Klaczko chciał zapewne powiedzieć: „typ jednego" lub „niektórych z papieży Odrodzenia". Sam bowiem Juliusz II., jak go w swem dziele przedstawił, występuje zeń bez porównania szlachetniej; powyższa charakterystyka dotyczyła głównie Sykstusa IV. Ale wróćmy do obrazu Melozza. Z pięciu figur, otaczających siedzącego papieża, widzimy na pierwszym planie klęczącą u stóp Sykstusa IV. postać Platiny „o twarzy plebejuszowskiej, kwadratowej, pomarszczonej, zmysłowej i nieco chytrej (gdyby nie to surowe określenie, dodalibyśmy: „w rysach słowiańskiej"), przedstawiciela owego pokolenia skrybów, którzy trzęśli światem w XV. w., podobnie jak w XIX. trzęsą gazeciarze, przepełniali akademie i kancelarye, tłoczyli się po mnogich italskich dworach. Mikołaj V., otaczający się uczonymi wszelkiego autoramentu, wpuścił ich był również na dwór papieski, gdzie w r. 1464 do siedmdziesięciu owych *abbreviatorów*, noszących się wysoko i jeszcze wyżej płatnych, liczono. To też, gdy Paweł II. usiłował zmniejszyć tę groźną falangę, powstała wrzawa bez miary. Na wielu z nich wszakże ciężyły srogie oskarżenia o pogańskie i niemoralne praktyki, a choć być może, iż nadanie utworzonej przez nich „akademii" hierarchii o nazwach duchownych (np. *pontifex maximus* lub *pater sanctissimus*) nie pochodziło z wręcz antyklerykalnych zamiarów, przecież, jak mówi Klaczko, „niepodobna zaprzeczyć, iż koryfeusze owej ‚akademii', Pomponio Leto, Platina, Buonacorsi i t. p. byli epikurejczykami i wolnomyślnymi w całem tego słowa znaczeniu. Jedyną, przez nich wyznawaną religią była cześć starożytności, cześć d u c h a R o m y *(le génie de Rome)*: tworzyli między sobą, jak słusznie powiedziano, rodzaj masoneryi k l a s y c z n e j, wrogiej nietylko wierze chrześcijańskiej, ale wszelkiej objawionej religii". Sam Platina przyznał raz, że jako głowa Kościoła, Paweł II. nie mógł ich machinacyom przepuścić: pomimo to zemścił się za rok przebytego więzienia, czerniąc straszliwie w oczach potomnych pamięć

papieża. Paweł II., reformator rzymskiego uniwersytetu, niezmordowany zbieracz numizmatów i innych ciekawości, odnowiciel łuków Tytusa i Septyma Sewera, papież, za którego rządów druk został wprowadzony do wiecznego miasta, napiętnowanym jest jako wróg oświaty, nazwisko jego Barbo zmienione na *barbaro*...

Podobnej zemsty nie miał się czego lękać następca Pawła. Sykstus IV. liczbę nadwornych abbrewiatorów przy Watykanie oznaczył na 72, kazał napowrót otworzyć ich „akademię"; słynnemu Pomponiusowi oddał zabraną katedrę, Platinę zaś mianował równocześnie bibliotekarzem Watykanu i urzędowym historyografem papieży. „Serdeczna łączność papiestwa i humanizmu, na chwilę zachwiana *per il barbaro Barbo*, stanęła na nowo, wzmocniona przez ex-generała Franciszkanów: miała dotrwać aż do trydenckiego soboru".

Tuż poza Platiną na obrazie Melozza stoi postać inna, więcej przyciągająca jeszcze uwagę, niż bibliotekarz, a nawet sam Sykstus IV. Jest to młody jeszcze kardynał di San Pietro in Vincoli, synowiec papieża, Giuliano della Rovere, przyszły Juliusz II. „Na postaci tej malarz skoncentrował całą potęgę swego pendzla: rzekłbyś, iż przeczuł, jak wiele miejsca model portretu zajmie kiedyś w historyi. Co za energia w tej twarzy i jak głębokie już ślady wyryła na niej ambicya! Jaki żar w oczach! A obok tego jakaś niewypowiedziana smętność, owo coś niedokończonego, właściwe twarzom wybrańców losu, oczekujących na wejście ich gwiazdy". Kardynał Giuliano ma więcej prawa od innych nepotów stać tu obok papieża; toć biblioteka watykańska po większej części jemu zawdzięcza istnienie. Odsunięty od polityki przez zazdrosny a zgubny wpływ innego siostrzeńca, Girolama Riario, wyniesionego z kancelaryi celnej na hrabstwo Imola i Forli, Giuliano zmuszonym był poprzestać na roli doradcy i inspiratora swego stryja we wszystkich tegoż dziełach pomnikowych czy artystycznych. Wpływ jego miał jeszcze urość za Innocentego VIII. tak, iż ambasadorowie skarżyli się, że mają do czynienia z dwoma papieżami. W r. 1492 był on z ramienia Francyi kandydatem do tyary. Aleksander VI.

zwyciężył — a wtedy rozpoczęła się między Borgiami i synowcem Sykstusa IV. walka dziesięcioletnia, namiętna. Kardynał zmuszony schronić się we Francyi, namówił Karola VIII. do najechania Włoch i wkroczył wraz z nim do Rzymu, pewien już, że dotarł do celu — upadku Aleksandra VI. Omylony w nadziejach oddalił się znowu i czekał nieustannym niepokojem i ruchliwością trawiony. Nareszcie po zgonie Borgii, a za nim Piusa III., wybiła i jego godzina: dnia 1 listopada 1503 r. Giuliano della Rovere wstąpił na Stolicę Piotrową pod imieniem Juliusza II.; liczył wtedy lat pięćdziesiąt dziewięć.

Drugi rozdział dzieła Klaczki nosi nazwę „Dziejów grobowca". Zaczyna się przez żale na Macchiawela, który w raportach swojej legacyi na *conclave* r. 1503 tak jest jeszcze zajęty swoim Cezarem Borgią, że mało co zwraca uwagi na nowoobranego papieża. Jest to przecież osobistość dość znaczna ów mąż, którego wkrótce Włochy zwać będą *il pontefice terribile*. Wyraz *terribile* zaś nie oznaczał w XVI. w. tego samego, co dzisiaj, ale raczej pewną gwałtowność charakteru przy wielkiej wzniosłości ducha. *E un uomo terribile* — mówił o Michale-Aniele papież Leon X. Pomiędzy tymi dwoma *uomini terribili* zachodziło niejakie pokrewieństwo duchowe; nie dziw więc, że Buonarroti, choć tylko artysta, lepiej przeczuł i lepiej zrozumiał Juliusza II. od najchytrzejszego z politycznych doradców. Della Rovere nic jeszcze nie był zbudował, ani nikogo zwyciężył, a już na szkicu pomnika, jaki Michał-Anioł miał na cześć jego wystawić, „okazuje się takim, jakim po wszystkie wieki zostanie w historyi: szczęśliwym zdobywcą krain i wspaniałym opiekunem sztuki — prawdziwym *pontifex maximus* Odrodzenia. W szkicu nic nam nie mówi o chrześcijaninie, o kapłanie, o pasterzu dusz".

Ów pomnik, obstalowany w dwa lata po wstąpieniu na tron — to grób, grób wspaniały, olbrzymi, mający tak w myśli „ukoronowanego mnicha", jak i „nieśmiertelnego artysty" służyć nie za pokorne *memento, quia pulvis es*, ale za wiekopomną apoteozę monarchy: „jedyną ich pobudką, jednego jak i drugiego, to prąd ogólny epoki, *primum mobile* humanizmu: owo bałwochwalstwo jednostki *(culte de la personnalité)*, owe odwo-

łanie się do potomności, które Dante już nazwał *lo gran disio dell' eccelenza*. Rzekłbyś, pycha Faraona, której zachcianki spełnia śmiała ręka Tytana, a widząc dzieło pozostałe szczątkiem, przypomną ci się może słowa Pisma św. o mocarzach ziemskich na cześć swoją budujących gruzy... Ale ostrożnie! Gdyż nie mniej związek tych dwóch dusz ognistych, Rovery i Buonarrotiego, stanowi jedną z najpiękniejszych dat w dziejach ideału; w nim streszcza się cały blask i fatalność Odrodzenia, doszłego do swego zenitu".

Tu autor zatrzymuje się chwilę, aby w myśli, za pomocą współczesnych opisów, oraz małego, piórem nakreślonego rysunku, przechowanego we florenckich Uffizi, odbudować grobowiec Juliusza II. taki, jakim był w myśli Michała-Anioła, a jakim nie miał nigdy stać się w rzeczywistości. Miał on stanowić budowę osobną, ze wszech stron dostępną, liczącą 24 stóp szerokości na 36 głębokości, a przeszło na 30 stóp wysoką, zdobną w siedmdziesiąt ośm posągów wielkich, jak posąg Mojżesza w kościele San Pietro in Vincoli! U dołu rząd spętanych olbrzymów miał wyobrażać sztuki wyzwolone, konające w rozpaczy po zgonie swego wspaniałomyślnego opiekuna, powyżej w nyżach posągi zwycięstwa deptały ujarzmione prowincye; jeszcze wyżej siedzące statuy Mojżesza, św. Pawła i różne alegoryczne cnoty. U samej góry wreszcie, ponad sarkofagiem, figura Juliusza II., trzymana w powietrzu między dwoma aniołami: jeden smutny, to geniusz ziemi, która takiego straciła mieszkańca,— drugi zaś, anioł niebios, dumny i szczęśliwy, że go do wrót rajskich wprowadzi... Wprawdzie już grobowce XIV. w. coraz to więcej rozmiarami i bogactwem ozdób różniły się od skromnych mogił dawniejszych papieży; na to jednak, aby uchwycić filiacyę kolosalnego planu tego grobowego gmachu, potrzeba wrócić myślą aż do czasu Cezarów, do mauzoleum Augusta, na którym za dni naszych cały cyrk się mieścił, do owych *Moles Hadriani*, wśród których swobodnie osiadła forteca.

Dziwnym, proroczym zaiste był ten pomysł grobowca z posągami zwycięstw i jeńców przed wszelkiem wypowiedzeniem walki; chyba, że za takie Michał-Anioł poczytał świeżo, bo

w styczniu 1504 r., wyszłą bullę, stwierdzającą niezłomne prawa Stolicy św. naprzeciw uzurpatorom, przywłaszczającym sobie jej ziemie. Ale czemuż na planie artysty te odzyskane dzielnice leżą takie zgnębione, zdeptane? Czemuż wśród godeł potęgi i chwały niemasz godła pokory, pobożności, miłosierdzia? „Ten brak wszelkiego uczucia religijnego, wszelkiej chrześcijańskiej myśli, wszelkiego katolickiego godła na grobowcu, przeznaczonym dla kapłana, jest zaprawdę jednym z najciekawszych objawów Odrodzenia". Figury Mojżesza ani św. Pawła nie mają nic biblijnego, a oprócz nich niema nic: „tak w opisie Condiviego, jak i w rysunku z Uffizi nie widać ani śladu krzyża!" Później dopiero, w nowych planach grobowca powstała myśl umieszczenia na nim wizerunku Najśw. Panny...

Ukończywszy plan w porozumieniu z papieżem, Buonarroti rzucił się w głębie kamieniołomów Karrary i pozostał w nich ośm miesięcy, wydobywając na powierzchnię ziemi głazy, w których, jak mówi, leżały ukryte posągi. Zanim jednak wyjechał z Rzymu, nieraz już z Juliuszem II. roztrząsał kwestyę pomieszczenia grobowca. A kwestya była trudna, gdyż stara katedra św. Piotra była zbyt szczupłą na przyjęcie takowego gmachu. Wtedy to w głowie papieża powstała myśl zastąpienia starej bazyliki przez nową, „piękniejszą i wspanialszą", jak pisze Condivi. Mistrz Donato da Urbino, przezwany il Bramante, obiecywał stworzyć istny cud... Ale cóż! Zburzyć bazylikę, wzniesioną przez wielkiego Konstantyna, uświęconą najdroższemi tradycyami dziesięciu wieków, naruszyć groby Leona W. i Grzegorza W., Mikołaja I. i tylu innych bohaterów wiary, tknąć się grobu książęcia apostołów! „Pomimo przeświadczenia humanizmu o własnej wartości, o swojej *virtù*, pomimo jego lekceważenia dla dzieł epok poprzednich — jeśli nie były klasyczne i pogańskie — zamiar papieża głęboko poruszył umysły. Całe święte kolegium oświadczyło się naprzeciw. Wśród publiczności wzruszenie w pierwszej chwili tak było gwałtowne, że papież ujrzał się zmuszonym ogłosić, że plany swoje na później odkłada".

Niektórzy tegoczesni pisarze, mówi dalej autor, usiłowali teraz, ale teraz dopiero nam wmówić, że zburzenie starej ba-

zyliki było koniecznem, bo gmach sędziwy się walił... Być może, iż tu i ówdzie potrzebował naprawy, ale że się nie walił, świadczy sam fakt, że tylko kamień po kamieniu zdołano siłą kilofa z murów jego odczepiać i że sto lat ubiegło, zanim go z powierzchni ziemi zgładzono. Nawet belki z dachu okazały się tak zdrowemi, że je użyto do budowy nowego gmachu, wielkiego pałacu Farnese!

Opór ludu rzymskiego nie zachwiał postanowień papieża. Tylko myśl o stworzeniu olbrzymiej bazyliki wyparła z jego głowy myśl o grobowcu. „Jakikolwiek sąd ludzie wydadzą o Juliuszu II., nikt nie będzie mógł zaprzeczyć mu wielkiej wzniosłości ducha; w rzeczach sztuki, równie jak w sprawach politycznych, dobro Kościoła takie, jak je rozumiał, zawsze u niego brało górę nad kwestyami osobistej dogodności lub wyniesienia. Raz zapaliwszy się myślą zbudowania światu katolickiemu świątyni, jakiej nigdy jeszcze nie było (sam to mówi w bulli z 19 lutego 1513 r.), nic dziwnego, że zwolna ochłódł dla planów pomnika samolubnego, przeznaczonego jedynie dla jego własnej chwały, że doznał nieco wyrzutów sumienia, a może i wstydu. Michał-Anioł miał to spostrzedz niebawem". Gdy powrócił z Karrary i założył swoją pracownię na placu św. Piotra, obok kościoła św. Katarzyny wśród sprowadzonych z wielkim trudem głazów, Juliusz II. wprawdzie przychodził prace jego oglądać, o grobowcu jednak wspominał coraz rzadziej, a natomiast proponował jemu, słynnemu już rzeźbiarzowi, pracę malarską, ozdobienie freskami sklepienia kaplicy Sykstyńskiej.

Zmartwiony mistrz przypisał winę budowniczemu Bramante i powziął doń dozgonną nienawiść. Co prawda, Donato nie cieszył się popularnością ogólną. Jako prawy humanista nie umiał poszanować nieklasycznej przeszłości, więc ludzie patrząc raczej na to, co burzył, niż na to, co stawiał, zwali go *il Rovinante*. P. Klaczko jeszcze surowiej zwie go „Haussmanem Rzymu"... A niedość było samego burzenia; w gorączkowym pośpiechu do nowych budowli ciskano na wiatr prawdziwe skarby w dawnych gmachach zawarte. Toż ze starej bazyliki św. Piotra wyjęte przepyszne kolumny i rzeźby poniewierały się w prochu

i dopiero za Sykstusa V., gdy już i artyści znacznie oprzytomnieli, przyszło im na myśl, że przecież warto te piękne szczątki zachować starannie i użyć.

Przed silną wolą Juliusza II. musiała *vox populi* zamilknąć. W sobotę *in albis* 1506 r., po mszy o Duchu św., papież, otoczony 35 kardynałami, przyszedł sam pobłogosławić kamień węgielny nowej świątyni. W wilię tego dnia Michał-Anioł, zniecierpliwiony, zrozpaczony i dziwnemi przywidzeniami miotany, uciekł był z Rzymu, porzucając swoją pracownię, swoje marmury, swój rozpoczęty grobowiec, który, jak sam mówił, miał się stać tragedyą jego życia. „Był on może również tragedyą Odrodzenia i katolicyzmu".

Trzeci rozdział zaczyna się od żalu za pięknym portykiem, łączącym niegdyś Watykan z mostem św. Anioła, olbrzymią kolumnadą, zburzoną przez wkraczającego do Rzymu cesarza Henryka IV., której odbudowaniem chciał zająć się Napoleon, gdy go kampania moskiewska złamała. Rozdział zatytułowany jest: „Stara Bazylika"; opisuje nam puste długo wzgórze Watykanu, zajęte chwilę przez rolę Cyncynatusa, potem przez ogrody Nerona, sławne jedynie swemi niezdrowemi wyziewami, a uświetnione raz tylko żywemi pochodniami cezara. Tu jednak chrześcijanie złożyli umęczone zwłoki księcia apostołów, wkoło których wnet inne drogie wzniosły się mogiły; tu wreszcie za pierwszych dni tryumfu wiary, dzięki Sylwestrowi I. i Konstantemu, stanęła świątynia. Nie stanęła sama, gdyż już w kilka wieków później cały plac watykański zajęty był budowlami; widziano tam zakrystye, plebanie, klasztory, szpitale, kaplice, kościoły, mauzolea i cmentarze. Wśród nich jednak bazylika papieża Sylwestra zachowała swój kształt pierwotny, nietknięty w majestacie swych wielkich linij architektonicznych. Trzydzieści pięć stopni z marmuru i porfiru wiodło na wielką terasę, z ponad której wznosił się kościół: tu odbywały się przyjęcia monarchów, koronowania cesarzy, błogosławieństwo *urbi et orbi*. Tu Hadryan I. powitał Karola W., który na klęczkach wszedł był na schody, każdy stopień pokornie całując. Poza terasą wielkie *atrium* poprzedzało bazylikę właściwą, otoczone

kolumnadą korynecką i obsadzone symbolicznemi drzewami, jak palmy, cyprysy, róże i drzewa oliwne, wśród których olbrzymi *cantharus* czyli fontanna oczyszczenia jeszcze u wstępu XVI. w. ogólny podziw budziła. Ośm porfirowych kolumn pokrytych dachem złoconym, strojnym w delfiny, smoki i pawie, otaczało kolosalną szyszkę z bronzu, pono z mauzoleum cesarza Hadryana zabraną, z pod której łusek tryskała woda fontanny. Szyszka ta — po dziś dzień przedmiot sporów archeologów — przechowywaną jest na Watykanie. Niestety trzeba nam wraz z katechumenami pozostać w *atrium*, u progu kościoła; opis wnętrza zbyt dla nas jest długi i budzi tylko żal, że owe rzędy krętych kolumn z alabastru, liściem winnym owitych [1], owe architrawy srebrne, zdobne w kielichy i lampy świetlane, owe malowidła, pokrywające ściany, nie zostały do przystrojenia nowej świątyni użyte, że i w świętych, podziemnych grotach zniszczono tak wiele. „Z tylu kapliczek, grobowców, malowideł, rzeźb i napisów pozostały nam dziś nędzne tylko szczątki, otłuczne i rozrzucone odłamy“... A przecież wszystko tutaj tchnęło pamięcią wielkiej i świętej przeszłości, każda płyta, każde *ex voto* nosiło imię sławne lub czczone w ludzkości: „Każdy wiek, każdy bohater chrześcijaństwa zostawił był swe ślady w obrębie tych murów; z każdego kamienia przemawiał wielki głos dziejów, *mirum spargens sonum per sepulcra regionum*“...

Niepodobna nie zwrócić uwagi czytelnika na piękne wyrażenie „bohater chrześcijaństwa“, kilkakroć w ciągu dzieła użyte, a tak niestety umysłom światowym nieznane. Zda się, jakoby je autor z anielskiego słownika zaczerpnął, w niem bowiem słychać już oddźwięk wiekuistej chwały, która w niebiosach „ciche i pokorne serca“ świętych Pańskich otacza. Jak mówiliśmy, stary kościół nie został od razu zburzonym. Przez długie lata nabożeństwa i uroczystości odbywały się na dawnem miejscu, podczas gdy powoli jeden kawał muru po drugim upadał, a wielki gmach rozpoczęty przez Juliusza II. stopniowo, niemal niepo-

[1] Dawna bazylika miała pono mieć pewne podobieństwo z dzisiejszym kościołem San Paolo fuor di muri.

strzeżenie potężnemi filarami swemi otaczał świątynię Sylwestra I. W r. 1585 już kaplice i przyległe zabudowania dawno były istnieć przestały. W r. 1609 miał paść cios ostatni: atrium jedyne dotąd stojące zwaliło się pod kilofem Maderny.

Po tem tęsknem wejrzeniu rzuconem wstecz, mamy opis pierwszej „krucyaty“ Juliusza II., mianowicie zdobycia czy odzyskania Perugii i Bolonii. Trzeba mieć pióro Klaczki, aby módz w sposób nowy opowiedzieć tę ogólnie znaną kartę dziejową. Nie wchodząc w szczegóły operacyj wojennych, zaznacza on głównie niebywały fakt armii prowadzonej przez sędziwego papieża. O ile jednak dziś sądzić możemy, Rovere nie zdawał sobie sprawy z dziwactwa. Podczas gdy tak wojował i zarazem zwyciężał, Michał-Anioł miotał się w wielkiej ducha rozterce i wybierał do Carogrodu, w służbę Mahometa II. Projekt był fantastyczny — toż pół wieku dopiero minęło, odkąd Padyszach zastąpił greckich cesarzy, a półksiężyc miał długo jeszcze być Europy postrachem. Buonarroti wszakże nie był pierwszym artystą wybierającym się nad Bosfor: już Gentile Bellini był malarzem nadwornym sułtana, od którego powrócił syt dostojeństw i darów; zda się, że i Carpaccio czas jakiś na Wschodzie przepędził. Z rzadkich, pozostałych utworów mistrza Michała-Anioła, rzeźbiarza Bertoldo, istnieje medal wyryty na cześć Mahometa II.; „boski“ Leonardo da Vinci „najuniwersalniejszy geniusz tej wielkiej epoki, kilkakroć zamyślał wejść w służbę Padyszacha i jemu ofiarować swe mądre wynalazki w dziedzinie mechaniki i balistyki“. Nie dziw więc, że Michał-Anioł chciał iść budować most w Pera: „jak widzimy, owe wykwintne umysły Renesansu, dalekiemi były od uczuwania względem pohańca, względem ikonoklasty wrażenia wstrętu, jakibyśmy im dziś radzi przypisać“.

Michał-Anioł nie pojechał do Turcyi wstrzymany po części własnem wahaniem, a głównie naleganiem Gonfaloniera Florencyi Soderiniego, za którego pośrednictwem papież starał się o powrót rzeźbiarza. Ucieczka tegoż była ze wszech miar nieprzystojną — inny monarcha nie byłby jej z pewnością przebaczył. Ale Juliusz II. gniewał się srodze, ale nigdy nie mścił, to też jak słusznie mówi Niemiec Springer, „nie wzniecał nienawiści,

tylko strach". Zda się że i *uomo terribile*, Michał-Anioł, miał duszę obecnie na ramieniu; gdy jednak Soderini oświadczył mu wręcz, iż Rzplta nie myśli z jego powodu narażać się na wojnę z papieżem — musiał się zdecydować i jak sam pisał „z powrozem u szyi" pojechać. Droga tym razem wiodła go nie do Rzymu ale do Bolonii, gdzie Juliusz II. przyjąwszy go łaskawie, kazał mu odlać z bronzu swój posąg, aby na znak wzięcia w posiadanie górował odtąd nad miastem. Posąg miał trzykroć przewyższać naturalne rozmiary; mistrz pracował nad nim przez kilka miesięcy po odjeździe papieża, wciąż nastroszony i gniewny, przyjmując to wyganiając pomocników, dziwnym brakiem taktu obrażając poczciwego malarza Francesco Francia [1], równie jak i Leonarda da Vinci. Widać, że i pobyt i praca złe mu zostawiły wspomnienie, gdy bowiem w trzy lata potem Bolonia zrzuciła rządy papieża a posąg jego, w kawały rozbity, posłała Alfonsowi d'Este księciu Ferrary, który go na armaty przetopił, Buonarroti ani słowem o niej nie wspomniał, zdał się o niej zapomnieć zupełnie. Byłże to gniew na dzieło, na Bolonię czy na Juliusza II.? Pan Klaczko sądzi, iż mu sprawy grobowca nie przebaczył nigdy. Pomimo to papież wywierał nań wpływ przemożny; gdy zaledwie z Bolonii powróciwszy do Florencyi otrzymał wezwanie do natychmiastowego przybycia do Rzymu, usłuchał w milczeniu, choć bardzo niechętnie. Wiedział już bowiem, co go w Rzymie czekało: całym „departamentem" sztuk pięknych, równie jak i budową św. Piotra, kierował znienawidzony przezeń Bramante, roboty rzeźbiarskie miał sobie oddane Andrea Contucci Sansovino, a jemu, rzeźbiarzowi *par excellence*, twórcy florenckiego *Dawida*, cudownej *Pietà* i obecnie posągu w Bolonii, kazano malować sklepienie Sykstyńskiej kaplicy.

---

[1] Pan Klaczko pisze: *il rudoie sans pitié ce pauvre Francesco Francia.* Według Pamiętników Benvenuta Celliniego, bardzo zresztą przyjaznego dla Michała-Anioła, zdawałoby się, że się Francia niewinnym żartem obraził. Mianowicie, gdy raz syn Francii, chłopiec ślicznej urody, przyszedł do pracowni rzeźbiarza, ten miał mu powiedzieć na pożegnanie: „Powiedz twemu ojcu, że jesteś jego najpiękniejszem dziełem!" Że Francia się obraził świadczy, że albo chłopak niedokładnie wyrazy powtórzył albo że malarz więcej dbał o swoje obrazy niż o syna.

Daremnie wymawiał się, iż nie jest malarzem. Juliusz II. nie zapominał wspaniałego kartonu „Kąpiących się żołnierzy“, dokonanego przez Michała-Anioła w konkurencyi z Leonardem da Vinci na podany im temat z wojny pizańskiej. Rysunek ten był obecnie wzorem, na którym ćwiczył się we Florencyi cały rój młodych malarzy. To też Rovere uparł się i zwyciężył: Buonarroti rad nie rad wziął się do pendzla. Praca, licząc sześć miesięcy przygotowań, miała trwać od wiosny 1508 do października 1512 r. Zrazu mistrz miał polecenie nakreślenia postaci dwunastu apostołów; gdy jednak oświadczył papieżowi, że to będzie *una povera cosa*, a zapytany czemu, odpowiedział: „Bo apostołowie sami byli ubodzy“, Juliusz II. zmienił postanowienie i kazał mu namalować, co mu się żywnie podoba. Nawymyślawszy jeszcze na Bramanta za rzekomo umyślnie niedogodnie zbudowane rusztowanie, Michał-Anioł wystawił sobie nowe, na którem miał kilka lat bardzo ciężkich przepędzić. Zmęczony, chory, zmuszony malować z głową przegiętą w tył i farbami kapiącemi mu po twarzy, pracował gorączkowo, z namiętnym pod koniec pośpiechem, chcąc jak najprędzej pozbyć się przykrej roboty. Papież odwiedzał go często, wspinając się mimo wieku po rusztowabinach i schodkach. I jemu pilno było widzieć dzieło skończone, gdy jednak o to pytał artysty, odbierał gburowatą odpowiedź, po której wpadał w gniew i klął po swojemu, a potem posyłał przeprosić mistrza za wyrządzoną mu urazę. Biografie Michała-Anioła przepełnione są skargami na skąpstwo Juliusza II. a przynajmniej na nieakuratność w wypłacaniu mu należytości; idą w tem za listami mistrza zaprawnemi wieczną troską i żalem. Pan Klaczko czyniąc o tem wzmiankę zauważa, iż żaden z innych artystów, a Bóg widzi, że Rovere używał ich wielu, żaden nie czyni mu zarzutów w kwestyach pieniężnych. Stąd wniosek, że Buonarroti sam sobie po części był winien, że podczas gdy tamci uznając w papieżu protektora i spuszczając się na jego szczodrość opływali w dostatki, Michał-Anioł mieniący się daleko wyżej urodzonym od wszystkich członków rodziny Rovere nie chciał żadnej łaski przyjąć z rąk Juliusza II., ale natomiast o kontraktem zawarowaną zapłatę upominał się natarczywie, nie

darując ani szeląga. A upominał się nieraz bardzo nie w porę, jak np. gdy pojechał papieżowi naprzykrzać się w obozie, w czasie gdzie każda chwila i każdy grosz był drogim. Stał się dziw, że *il pontefice terribile* nie wyrzucił go za drzwi, co byłby każdy niemal wódz na miejscu jego uczynił.

Michał-Anioł miał lat 32 rozpoczynając pracę w kaplicy Sykstyńskiej. Upośledzony na ciele z natury a nadto oszpecony kułakiem Torrigianiego w młodości, do tego jeszcze wyzyskiwany bezustannie przez własną rodzinę, stał się był ponurym, dzikim, obraźliwym i zaczepiającym. Piękny jego rywal, Rafael Santi, pomimo swej łagodności i olimpijskiego uśmiechu musiał odeń dużo wycierpieć — nawet oskarżenie niesłuszne o oszukaństwo w rachunkach podawanych do skarbu papieża. Podobnie cierpieć musiało i wielu innych kolegów. A jednak biedny mistrz nie był zły, tylko zgorzkniały, miał serce kochające gorąco, charakter nawskroś uczciwy, niemal kobiecą delikatność w uczuciu. „Ci, którzy Michelangela znają tylko z dzieł jego – mawiała później Vittoria Colonna — mogą oceniać jedynie to, co w nim jest najmniej doskonałem". Miłosierdzie jego było wielkie a zawsze ukryte; poczucie arystokratyczne czułe nad miarę. Zaledwie zebrał coś grosza, pospieszył zakupić nieco ziemi dla ojca, „aby mógł żyć, jak na szlachcica przystało"; sam zarzekał się, iż nie był nigdy malarzem lub rzeźbiarzem, jak inni, którzy handel ze swej sztuki prowadzą. Nawet u dworu papieskiego stanowisko nieco zależne, jakie zajmował, sprawiało mu przykrość. A przecież naówczas setki artystów wisiało przy książęcych i pańskich dworach, przechodząc z jednego na drugi, sprzedając swój talent, jak niedawno jeszcze Condottierowie sprzedawali swe usługi wojenne. „Leonardo da Vinci nie gorsząc nikogo przechodzi ze służby Ludwika il Moro do Cezara Borgii a następnie do króla francuskiego, najezdcy Medyolanu. Ludzie ci stają się obojętnymi wobec ojczyzny, wobec rodzinnego miasta, obojętnymi wobec wolności. Węzły rodzinne rozluźniają się, obyczaje rozpuszczają, wszelka pobożność się zaciera. Malarz obrazów najbardziej religijnych swojego czasu, mistrz Rafaela, Perugino uchodzi za ateusza. Przez chwilę, kazania Savonaroli

poruszają jeszcze umysły gwałtowne sprawiając wstrząśnienie: paru rzadkich artystów, jak Baccio della Porta, Lorenzo di Credi, jak Boticelli odnoszą głębokie i trwałe wrażenie. Ale jeżeli spytasz, który był prawdziwym, wybranym uczniem, na którego wielki Dominikanin płaszcz swój zarzucił znikając w płomieniach, jedna jest tylko odpowiedź — Buonarroti".

Młody jeszcze — żadnego niema udziału w lekkich obyczajach swojego czasu; zeszpecony i jak sam się żali *privo piangendo d'un bel volto umano,* nie zna młodzieńczej miłości; nadto co Klaczkę najbardziej uderza, to „że w jego korespondencyi, w jego poezyach, w całem jego twórczem dziele niemasz śladu ani odblasku wesołych, figlarnych autorów tak wielce wówczas lubianych jak Pulci, Ariosto, Boccacio. Jego najmilsze czytanie to kazania Savonaroli, *poema sacro* Dantego, Biblia, zwłaszcza Stary Testament, którego postaci wyniosłe a ponure czarują jego wyobraźnię". Wszystko u niego przybiera nastrój poważny; wyrazy: rodzina, ojczyzna, wolność, honor nie są dlań pustem brzmieniem, ale wstrząsają całem jego jestestwem, a w miarę wikłania się kolei życia, dźwięk ich staje się tragicznym". Nawskroś religijny, cierpi on owo pragnienie nieskończoności, które jest męczarnią a zarazem chlubą wybranych dusz. Wielkie zagadnienia życia: stworzenie, sprawiedliwość, zbawienie zaprzątają go bardziej, niż któregokolwiek z jego spółzawodników, bardziej, rzec można, niż kogokolwiek w ówczesnej Italii. Michał-Aniol jest prawdziwym *Pensieroso* Odrodzenia".

Równie poważnie traktuje on swoją sztukę; nie dość mu naturalizmu Donatella, Uccella, Pollajuola i innych artystów XV. wieku. On chce zgłębić naturę w jej wszystkich tajnikach, bada ją w życiu i w śmierci na trupach, których sekcyę przez lata całe robi w szpitalu San Spirito. Podobnie ze starożytnością; nie dość mu naśladować; bada ją i za pierwszem wejrzeniem odkrywa to, czego ani Donatello, ani nawet Mantegna nie odgadł: to jest, że wyraz głowy nie jest najważniejszym punktem sztuki rzeźbiarskiej, ale że toż samo tchnienie życia powinno zarówno przenikać i ożywiać wszystkie części ciała ludzkiego. Dlatego może stroni od mistycyzmu w chrześcijańskiej

sztuce, bo czuje w tym żywiole zbytnie przeciwieństwo do świata formy i zmysłów. Nie przemówi on nigdy językiem symbolów, drogim mistrzom XIV. wieku, ani się wzniesie do nadpowietrznych sfer Orcagni i Fra Angelica: rzeźbiarz w nim i artysta plastyczny, zwyciężą tu ucznia Savonaroli... Mniej daleko mu wszakże, niż wogóle sądzą, do Giotta i Giovanniego Pisano: zbliża się do nich nawet bardzo instynktowem dążeniem do sztuki idealniejszej a większej, silniejszej i bardziej namiętnej od sztuki końca XV. wieku. Instynkt ten już był w nim rozbudzony, gdy jako 21-letni młodzian przybył do wiecznego miasta oglądać jego wspaniałe ruiny i jego cudne posągi.

Działo się to w r. 1496 a wtedy już odkopywanie ruin, gromadzenie zabytków klasycznych dokonywało się na wielką skalę; rozgrzebywano powierzchnię całego miasta i całej Kampanii, pałace zamieniały się w muzea. Michał-Anioł był już widział dużo pięknych rzeczy we Florencyi, ale takich, jak tutaj, nigdy, a te, dodane do wrażenia, jakie sam Rzym ze swemi pomnikami i swojemi gruzy, ze swemi horyzontami pełnemi wielkich wspomnień wywiera na każdym szlachetnym umyśle — sprawiły przeobrażenie ogromne w duchu młodego artysty. Wbrew wielu innym twierdzącym, że Buonarroti wydoskonalenie swoje zawdzięcza wpływowi starych mistrzów toskańskich, p. Klaczko twierdzi śmiało, iż „dla geniuszu Michała-Anioła, równie jak i dla Bramanta i Rafaela, Roma była najwyższą mistrzynią, objawicielką, prawdziwą *alma parens*“.

Dwa wpływy zatem: religijny Savonaroli i artystyczny starego Rzymu parły duszę młodego mistrza i zrazu nie wypierając się wzajem, zlały się w harmonijną całość. Główne jego dzieła owego czasu: Madonna z Bruges, płaskorzeźby z Bargello, Najśw. Panna, Dziecię Jezus i św. Jan z National Gallery, a wreszcie niezrównana Pietà (wykonana dla kardynała Rafaela Riario, siostrzeńca Sykstusa IV.), stanowią osobny typ łączący spokojną głębię uczucia chrześcijańskiego z doskonałością i wykończeniem klasycznem form. Zwłaszcza Pietà, gdzie postać złożonego z krzyża Zbawiciela, piękną na wzór świeżo odkrytej statuy Apollina, opromienia nie już aureola nad głową, ale

rzekłbyś jakieś światło nadziemskie na wszystkich boskich członkach rozlane! A w tej młodzieńczej postaci taka jest słodycz, tyle spokoju, że w nich i ślady męczarni zniknęły. „W języku Sofoklesa opowiedział tu Mękę Pańską — pisze Klaczko — słusznie też powiedziano, iż chrześcijanie pierwszych wieków, chrześcijanie jeszcze owiani tchnieniem klasycyzmu, nie byliby jej wyobrazili inaczej. Istotnie patrząc na to dzieło Michała-Anioła myśl zwraca się mimowolnie ku niektórym rzewnym malowidłom katakumb, ku mozaice wyobrażającej Dobrego Pasterza na mauzoleum Galli Placydii w Rawennie".

Była to faza w dziejach sztuki Michała-Anioła, niestety bardzo przelotna. Wkrótce z nauk Savonaroli pozostała już tylko zacierająca stronę ewangeliczną strona biblijna, wzniosła ale gwałtowna i ponura[1], z klasycyzmu kolosalność rozmiarów, nadludzka namiętność ruchów, tytaniczna siła, *das Ungeheuere*. Z odgrzebanych dotąd posągów wyciągnął wniosek, że starożytni mistrze tworzyli wszystko w nadnaturalnej wielkości, że sztuka rzeźbiarska miała swój „koturn", podobnie jak sztuka dramatyczna, że owe „kolossy" jak Dioskury, Apollo, Nil i t. p. należały widocznie do ludzkości innej niż nasza, ludzkości idealnej, olbrzymiej, przewyższającej nietylko wspaniałością ale i wzrostem otaczającą nas rzeczywistość. Dostrzegł też, iż tej ludzkości tak kolosalnie pojętej, starzy usiłowali nadać równie nadnaturalną żywotność szaloną, energię, wyraz dramatyczny, namiętny... Więc zaczął sam stwarzać podobne kolosy, nie odstępując już nigdy od raz przyjętego typu.

Jakie jest o tym typie zdanie autora? Słuchajmy. W rozdziale VII. zatytułowanym: *Une vue sur la Renaissance* widzimy go w kaplicy Sykstyńskiej na wązkim balkonie biegnącym wzdłuż sklepienia. Tu wśród apokaliptycznych z muru wyglądających postaci, którym promienie słońca igrające po warstwach

[1] Niemcy a przedewszystkiem Grimm w swojem *Michel-Angelo* nazywa Savonarolę zwiastunem Lutra, czyż, nie przymierzając, nie byłoby słuszniej powiedzieć — Kalwina? Oczywiście nie co do herezyi; ale czyż to nie ta sama duchowa rodzina? Michel-Angelo też bardziej wygląda na purytanina (jeżeli nie Jansenistę) niż na katolika.

kurzu i pajęczyn, mglistą a złotem przetykaną tworzą atmosferę — patrzy, duma i wpada w marzenie. Wystawia sobie, że jest nie na balkonie ale na rusztowaniu Michel-Angela, że tuż opodal stoi mistrz zaznaczając rysunek swego kartonu na ścianie wilgotnem wapnem zasnutej. Przez chwilę obaj milczą, aż naraz cień jakiś ukazuje się za artystą, dotyka mu ramienia i mówi:

„Mylisz się Buonarroti i wielu innych pomyli się za tobą. To, co mienisz być najwyższym rozkwitem, zenitem wielkiej sztuki — było już jej zachodem. Wasze „cuda“ w Belwederze — Laokoon, Torso, Apollo, nie mają nic wspólnego ze złotym wiekiem rzeźbiarstwa, z wiekiem Periklesa, o którym wam prawią Poliziano, Bembo, Castiglione na mocy swoich autorów. Macie przed sobą dzieła epigonów ze szkoły w Rodos i w Pergamie, z czasów, gdzie Boska iskra natchnienia od dawna była zagasła... Prawdziwa sztuka przecież jeszcze istnieje na ziemi; wiek Periklesa żyje w swym najwspanialszym utworze. Tam, o dwa dni drogi od cieśniny Messyńskiej, na gołej, słońcem spalonej skale Partenon wznosi się jeszcze prawie nie tknięty! Dzisiaj strzeże go Turek, ale przed pół wiekiem nad Atenami panowali chrześcijanie, Włosi; stosunki między Toskanią a Grecyą były ożywione, zamiłowanie starożytności w całej pełni, a przecież — czemu do dnia ostatniego świat dziwić się będzie — nikt z pomiędzy tylu zwiedzających Akropolę za rządów rodziny Acciajuoli, nikt nie dostrzegł niezrównanej piękności rzeźb Fidyaszowych, nikt z wieścią o nich nie pospieszył nad Arno... Długie lata jeszcze upłyną, w czasie których marmury Aten i Posidonii napróżno czekać będą na spojrzenie waszych artystów, choćby na ciekawość waszych humanistów. Przyjdzie nawet dzień, gdzie kula admirała weneckiego uderzy w Partenon burząc najwspanialszy pomnik starożytności a klęska ta przejdzie niepostrzeżona, nie wzbudzi ani jednego odgłosu boleści w tym wieku najklasyczniejszym ze wszystkich, dumnym ze swojej czci dla Grecyi i Rzymu...

„Omyliłeś się, jak się omyliło tysiące innych, którzy cię poprzedzili. Ich entuzyazm dla starego ideału sztuki był zrazu porywczy, niejasny, nie umiano rozróżniać ani między dziełami

ani między fazami rozwoju, czepiano się utworów ostatniej pory, z epoki aleksandryjskiej lub rzymskiej, bo ich było więcej, bo łatwiej było dosięgnąć je i zrozumieć. Tak Wergiliusz, którego wasz Dante wziął za przewodnika, będzie długo przed Homerem przodował, Horacy przed Pindarem, Seneka przed wielkimi tragikami Aten"...

Dalej duch przepowiada, jaką drogą — przez powrót do tradycyi i legendy ludowej ludzkość dojdzie po trochu do ocenienia mistrzowskiej, wiosennej prostoty epoki jońskiej, a stąd do Sofoklesa, Eschylesa, do odkrycia cudów architektury greckiej, cudów geniuszu greckiego:

„A potem nadejdzie wiek ponad inne gorliwy w badaniu a w zrozumieniu bystry. Ten wiek będzie zgłębiał mowę, wiarę i sztukę wszelkich ludów aż do najodleglejszej przeszłości. Odbuduje ideał klasyczny we wszystkich jego epopeach, dramatach, świątyniach i posągach. Będzie badał zawzięcie wszystkie ruiny, wszystkie szczątki Grecyi, Azyi i Rzymu; na każdym odłamku zapisze jego datę i szkołę z przenikliwością cudowną... Ale ot, rzeczy ziemskich ironia wieczysta! Ów wiek odnajdujący wszystko i rozumiejący wszystko nie potrafi nic stworzyć, nic wydać, i sama nawet jego wszechświatowa ciekawość będzie fatalnem piętnem nieuleczalnej jego niepłodności! Przeto raz jeszcze biedna ta ludzkość przekona się o prawdzie, której już nieraz doznała, a której doświadczył pierwszy człowiek w pierwszych dniach stworzenia — że drzewo wiedzy nie jest drzewem żywota...

„I tak z wyżyn tego sklepienia, po tylu ubiegłych latach, będziesz mógł zawsze, o Buonarroti! podobnie jak ten Jehowa, którego typ niezrównany, nieśmiertelny typ tutaj właśnie stworzyłeś — oglądać twoje dzieło i uznać, że było dobrem, i śmiało wyzywać nowe pokolenia, aby coś lepszego lub choć równie dobrego stworzyły"...

„*Signore! si chiude!* — zawołał z dołu *custode* czekający niecierpliwie na koniec codziennej służby i na spodziewaną zapłatę".

Nie Michał-Anioł zatem był winien, że rozmiłowany w jedynie znanych sobie zabytkach zamiast Olimpijczykiem stał się

Tytanem. Upojony niewytrawnem a mocnem winem humanizmu, wydobywał na zewnątrz nadmiar swojej siły podobny w tem do namalowanych przez siebie na sklepieniu atletów, wytężających wszystkie muszkuły, aby unieść — girlandę róż. Nie na niego jednego zresztę tak wino owo działało: toż samo, co z nim, stało się i z Bramantem, którego osobie i dziełom p. Klaczko piękny rodział poświęca.

(Dok. nast.).

T. W.

SAVONAROLA W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

U progu historyi nowożytnej napotykamy na jedną z tych zagadkowych postaci dziejowych, które niepospolitemi przymiotami ducha, niezwykłą działalnością swą, na współczesnych wywierają olbrzymi wpływ, jednając sobie największe uznanie, miłość, cześć i uwielbienie z jednej strony; ściągając na się wściekłą nienawiść, pogardę i potępienie z drugiej strony, które też z tego powodu pozostają zagadką dla potomnych, albowiem tajników ich subtelnych dusz najdokładniejsza analiza badawcza przeniknąć nie zdoła, a umysł ludzki nie potrafi pogodzić sprzecznych zdań, opisów i sądów o nich. Postacią taką jest bez wątpienia osobistość Dominikanina, Hieronima Savonaroli, czczonego przez wielu współczesnych i późniejszych jako reformatora, proroka i świętego, a skazanego mimo to przez przeciwników swych florenckich, za zgodą Aleksandra VI., na stos za herezyę i bunt przeciw Kościołowi, któremu duszą i ciałem był oddany, a którego reformy najżarliwiej pragnął. O Savonaroli istnieje cała literatura[1]. Jedni przedstawiają go jako świętego

[1] Rudelbach, *Hieronymus Savonarola und seine Zeit.* Hamburg 1835. — Meier F. K., *Girolamo Savonarola.* Berlin 1836. — Perrens F. T., *Hieronymus Savonarola. Nach Original-Urkunden und ungedruckten Schriften.* Übers. v. J. F. Schröder. Braunschweig 1858. — Villari P., *Geschichte Girolamo Savonarolas u. seiner Zeit.* Übers. v. Berduscheb. 2 tomy. Leipzig 1868. Drugie wydanie we włoskim języku. 2 tomy. Firenze 1887—1888. — Ranke, *Hist.-biographische Studien.* Leipzig 1877. — Hase K., *Savonarola.* 2 Aufl. *(Neue Propheten)* 2 Heft. Leipzig 1861. — Bayonne, *Étude sur J. Savonarole d'après*

i męczennika, drudzy jako republikańskiego rewolucyonistę w rodzaju Arnolda z Brescyi, inni znowu jako fanatyka egzaltowanego lub fantastycznego potwora [1]. Wszechstronna działalność tego męża i dziwne koleje, jakie przechodził z jednej strony, a z drugiej subjektywizm autorów i różny ich kąt widzenia, na te kontrasty w sądach się złożyły. Jak przy każdej wybitnej a zagadkowej postaci, nie obyło się i przy Savonaroli bez legendy i mitu, które prawdziwy obraz bohatera upiększyły i wyidealizowały, jak to dowodzi Ranke. W Niemczech protestanckich, chcąc reformatora florenckiego zaanektować dla protestantyzmu, zrobiono go przedsłannikiem reformatora witenberskiego i umieszczono go na pomniku Lutra we Wormacyi. Dziś sami protestanci przyznają, że Dominikanin florencki, który w swym „Tryumfie krzyża“ odstępstwo od Kościoła kładzie na równi z odstępstwem od Chrystusa, tylko dzięki fatalnej pomyłce uwieczniony został na protestanckim pomniku. Więcej usprawiedliwione były usiłowania katolików, aby go wydrzeć z rąk protestantów i wolnomularzy i przedstawić jako przedsłannika odrodzenia katolicyzmu, jako męczennika prawdziwej reformy katolickiej. Wszak taki św. Filip Nereusz lub Katarzyna Ricci otaczali pamięć swego nieszczęśliwego ziomka czcią i sympatyą, wszak papież Benedykt XIV. wydaje o nim piękne świadectwo, że zapewne osiągnął wieczne zbawienie, albowiem po otrzymaniu św. sakramentów i błogosławieństwa papieża Aleksandra VI. poniósł swą pożałowania godną śmierć [2]. Wszak genialny Michał-

---

des nouveaux documents. Paris 1879. — Gherardi A., *Nuovi documenti e studi intorno a Girolamo Savonarola.* 2 wydanie. Firenze 1885. — Baccini G., *Fra Savonarola prediche.* Firenze 1889. — Berg, *Voorloper der hervorming: Fra Girol. Savonarola.* Utrecht 1894. — Grisar, *Zu den neuen Publicationen über Savonarola. Zeitschr. für kath. Theol.* IV, 390. Innsbruck 1880. — Cosci A., *Gir. Savonarola e i nuovi documenti intorno al medesimo. Archivio storico italiano,* IV, 282—306, 429—468. Firenze 1879. — Sommerfeld, *Savonarola, hans liv, gjerning og vidru doed.* 2 tomy. Kristiania 1894—1895. — Marchese, *Archivio storico Italiano. Appendice,* t VIII.

[1] Villari l. c. II, 260. — Schwab, *Bonner theol. Literaturblatt,* IV, 902.— Goethe wyd. Hempla XXX, 438.

[2] *Opera Benedicti XIV.* ed. Romae 1751. VIII, 360. — *Elenchus sanctorum, beatorum, servorum Dei, virorumque aliorum sanctitate venerabilium et il-*

Anioł zwie go w swych listach „serafickim nauczycielem“. Wobec tego nie dziw, iż Dominikanin C. Bayonne przed 20 laty napisał apologię Savonaroli, mającą na celu ułatwienie jego kanonizacyi. Oczywiście usiłowania te idą za daleko. Ogółem biorąc przeważa zdanie, że Savonarola był mężem niepospolitych zdolności, nieposzlakowanej prawości, lecz fantastą zarazem i pełnym przesady; jego największym błędem było wmieszanie się do spraw politycznych i nieposłuszeństwo wobec papieża. Zamiary jego przynajmniej w pierwszych latach publicznej działalności były uczciwe i czyste, później dał się swej nieokiełznanej fantazyi porwać daleko poza granice obowiązków zakonnika i kapłana. Stał się przywódcą frakcyi politycznej i politycznym fanatykiem, żądającym publicznie wyroku śmierci na wszystkich nieprzyjaciół rzeczypospolitej; to musiało sprowadzić jego upadek. Pod względem dogmatycznym Savonarola w teoryi przynajmniej pozostał zawsze wiernym[1] Kościołowi, w praktyce wszakże reprezentował antykościelne dążności, zaprzeczając Stolicy apostolskiej władzy karania i nosząc się z planami soboru, które w razie udania się, koniecznie do nowej schizmy doprowadzić musiały. Niezawodnie na usprawiedliwienie go służy fakt, że we Florencyi i w Rzymie, ba nawet we Włoszech, panowały fatalne stosunki moralne, że sponiewieranie godności papieskiej w osobie Aleksandra VI. dosięgło swego szczytu. Z tem wszystkiem Savonarola w swej żarliwości i gorliwości w naprawianiu obyczajów nietylko posunął się do najbezwzględniejszych wycieczek przeciwko małym i wielkim, ale zapomniał zupełnie o nauce Kościoła, że grzeszne, zbrodnicze życie przełożonych, nawet i papieża, jego władzy w zasadzie nie nadwereża. Był głęboko przekonany o swem posłannictwie i duchu proroczym,

---

lustrium. — Papież ten jednak uważa wyrok za słuszny, albowiem dowodami i zeznaniami oskarżonego Savonaroli wykazano, iż rozkazom papieskim odmawiał posłuszeństwa i innych przestępstw się dopuścił, o których Raynaldus pisze. — Grisar, *Zeitschr. für kath. Theol.*, IV, B. 92.

Dowodzi tego między innemi najnowsza praca Glossnera M. p. t.: *Savonarola als Apologet und Philosoph.* (Eine philosophiegeschichtliche Studie. Paderborn 1898.

dowiódł wszakże niebawem, że duch, który go porywał, nie pochodził z nieba, albowiem probierzem boskiego posłannictwa jest przedewszystkiem pokorne posłuszeństwo wobec władzy najwyższej przez Boga ustanowionej; tej pokory Savonarola nie posiadał. „Przeceniał siebie – twierdzi kardynał Newman[1] — i podniósł się przeciw władzy, której nikt zaczepić nie może bez szkodzenia sobie. Nieposłuszeństwem nie przeprowadza się pożytecznych reform; to nie była droga do nawrócenia Rzymu lub Florencyi".

Taki sąd ostateczny wydał o reformatorze florenckim na podstawie rozległej literatury historycznej znany autor „Dziejów papieży przy końcu średnich wieków", L. Pastor[2]. Sąd ten nawet wielbicielom insbruckiego profesora wydaje się za surowy i przesadny[3]; obraz mnicha florenckiego, jaki nam przedstawił Pastor na 58 stronicach swej „Historyi papieży", skreślony jest tak ponuremi barwy, iż wywołał nietylko energiczny protest w obozie wielbicieli Savonaroli, ale wzniecił wogóle żywą polemikę naukową, tem bardziej budzącą zainteresowanie powszechne, o ile w zeszłym roku właśnie obchodzono we Florencyi 400-letnią rocznicę śmierci nieszczęśliwego reformatora. Chcąc więc czytelnika zaznajomić z wynikiem tego ciekawego sporu naukowego, musimy najpierw podać w streszczeniu sprawę Savonaroli w oświetleniu Pastora, następnie przedstawić główne zarzuty jego przeciwników i zbadać, o ile są uzasadnione, by wreszcie na tej podstawie zebrać ostateczne rezultaty naukowe w tej sprawie i wydać jakiś sąd o zagadkowym reformatorze XV. wieku.

Hieronim Savonarola, urodzony w Ferrarze 1452 r., poświęcił się zrazu naukom przyrodniczym, by jak ojciec zostać lekarzem. W 22 roku życia, dzięki kazaniu jakiegoś Augustyanina, zbrzydziwszy sobie świat, wstępuje do klasztoru Dominikanów we Florencyi. Wśród pism młodzieńczych po nim pozo-

[1] Weiss, *Weltgeschichte* IV, 246 (VII[3], 532).

[2] *Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters.* III t. Freiburg im Br. 1895. Str. 410—412.

[3] *Civiltà cattolica*, ser. XVI, vol. XII, mówi o *alcune esagerazioni di giudizio,* w którą popadł Pastor.

stałych znaleźli rodzice jego traktat „O pogardzie świata“. Straszliwy obraz upadku moralnego swego czasu kreśli tu młodzieniec, który nie mógł znać jeszcze dokładnie świata. Widział on tylko złe, zapoznawał zaś zupełnie istniejące dobre. Ta sama jednostronność poglądu objawia się także w słynnym poemacie Savonaroli „O upadku Kościoła“, gdzie tylko ciemne strony są przedstawione. To też wysłany w r. 1482 do Florencyi, zdemoralizowanej stolicy Wawrzyńca Wspaniałego, namiętnie występuje przeciw zepsuciu i tą gwałtownością zraża sobie zrazu jej wykwintnych mieszkańców. Dopiero kiedy w r. 1486 wystąpił ze swym proroczym programem, zawartym w trzech sławnych zdaniach: Kościół będzie ukarany, potem zreformowany, i to wszystko stanie się wkrótce, zdobywa sobie serca słuchaczów, a już w r. 1491 godzinami czekają tłumy kilkotysięczne w katedrze florenckiej na małego mnicha z wybladłem licem, orlim nosem, ognistem okiem, a piorunującą wymową. Podobny urok chyba wywierali prorocy w Starym Testamencie na lud; bez ozdób retorycznych, bez frazesów prawił Savonarola temu ludowi, z artystów, z miłośników sztuki i sybarytów złożonemu, bezwzględnie gorzką prawdę. Straszliwe obrazy i groźby kar Bożych przerażały tłumy, w porywających słowach głoszona pokuta poruszała do łez grzeszników, pobudzała do naprawy i wzmagała wpływ przeora ze St. Marco. Daremnie stara się pan Florencyi, Lorenzo de Medici pozyskać głośnego mnicha; jako mądry dyplomata znosi namiętne jego wycieczki, ba, na łożu śmierci żąda od niego ostatniej pociechy duchownej. Gdyby Savonarola był posiadał jakie takie umiarkowanie, wpływ jego na Wawrzyńca mógłby być nieobliczalnej doniosłości. Niestety gwałtowność i zagorzałość przeora w reformowaniu nie szła w parze z roztropnością i ostrożnością. — Wpływ jego wzrósł jeszcze bardziej, gdy od Aleksandra VI. uzyskał oddzielenie toskańskiej kongregacyi zakonu swego od lombardzkiej i w niej surową reformę przeprowadził. Całkiem bez umiarkowania występuje Savonarola w kazaniach swych adwentowych z r. 1493 przeciw klerowi i książętom. „Duchowni popisują się Arystotelesem, Platonem, Wergilim i Petrarką, nie troszczą się jednak

o zbawienie dusz, zapominając o najważniejszej księdze, tj. ewangelii i jej duchu. Głupi są ci, którzy obwieszają szyję cedułkami odpustowemi tak, iż wyglądają jakby kramarze ciągnący na jarmark. Miłość chrześcijańska nie mieszka w księgach. Prawdziwe księgi Chrystusa to apostołowie i święci. Ale dziś ludzie stali się księgami szatana. Mówią przeciw pysze i ambicyi, a siedzą po same uszy w niej. Głoszą czystość, a trzymają sobie nałożnice. Każą posty zachowywać, a żyją sami w zbytkach. Prałaci chełpią się swemi godnościami i pogardzają drugimi... W pierwszych czasach Kościoła były kielichy z drzewa, a prałaci ze złota, dziś Kościół posiada kielichy ze złota, a prałatów z drzewa“ [1]. Większe wrażenie jeszcze zrobiły kazania postne w r. 1494; prorokuje w nich Savonarola o przybyciu do Włoch nowego Cyrusa, a kiedy 21 września rozpoczął kazanie swe w tumie od słów Pisma św.: „Oto przywiodę wodę na ziemię“ [2], tedy padł taki strach i takie przerażenie na słuchaczy, że z jęku i płaczu byli na pół żywi, a włosy im na głowie dębem stawały. Kilka tygodni później Medyceusze byli wypędzeni, a król francuski, Karol VIII., urządził świetny wjazd do Florencyi. Ziszczenie się rychłe przepowiedni Savonaroli, jego skuteczne zabiegi około utrzymania pokoju podczas pobytu Francuzów w mieście uczyniły go panem sytuacyi. Tak więc zakonnik ze św. Marka, dzięki stosunkom, dostawał się na obcy mu, niebezpieczny i ślizki teren polityki. Usprawiedliwiał wmieszanie się do spraw politycznych troską o zbawienie dusz. W kazaniach swych o reformie ustroju politycznego we Florencyi domaga się od swych ziomków naprawy serc własnych, a wtedy nietylko podniosą sławę miasta swego, ale dadzą początek reformie całych Włoch i rozpowszechnią ją wśród wszystkich narodów. Reforma ta musi się rozpocząć od spraw duchownych, a ziemskie dobro musi służyć moralnemu i religijnemu; jeżeli zaś Kuźma Medici powiedział, że państwa nie dadzą się rządzić za pomocą „Ojcze nasz“, to jest to orzeczenie tyrana; jeżeli się chce stworzyć dobrą kon-

[1] Villari, *Savonarola* (niem. wyd. I, 128—129, 132.

[2] *Ecce ego adducam aquas super terram.*

stytucyę, trzeba ją ugruntować na Bogu. Cztery rzeczy szczególnie poleca dla tej nowej konstytucyi: *a)* bojaźń Bożą i reformę obyczajów; *b)* przywiązanie do demokratycznego ustroju i dobra publicznego z usunięciem wszelkiej prywaty; *c)* ogólną amnestyę dla zwolenników dawnych rządów i pobłażliwość wobec dłużników państwa; wreszcie *d)* wprowadzenie rządów demokratycznych. - Jak wielu innych, uległ i Savonarola wielkiemu złudzeniu nowożytnemu, jakoby konstytucyę na poczekaniu zrobić można. Mimo to jego idee weszły w życie; zatem wielka rada, reforma podatków, wytępienie lichwy przez założenie banku miłosierdzia, tumultuarne zaś zgromadzenia, t. zw. parlamenty, wyzyskiwane przez Medyceuszów, zostały zakazane. Polityczne te reformy były początkiem reformy w każdym kierunku socyalnym, naukowym, literackim i artystycznym. W przeciwieństwie do pogaństwa fałszywego odrodzenia chrześcijaństwo ma wrócić do swych praw, a ewangelia miała być najwyższą normą politycznego, społecznego, naukowego i artystycznego życia. Chrystus został ogłoszony królem Florencyi i patronem jej wolności. Miało to wyniesienie Chrystusa na tron florencki i inne znaczenie, albowiem Savonarola uważał siebie za organ specyalnego Bożego objawienia. Jego poetyczny i rozmarzony umysł, jego fantazya ognista i zatopienie się w prorockich i apokaliptycznych księgach Pisma św., w przepowiedniach jakiegoś Joachima i Telesfora, wyrobiły w nim silną wiarę w bezpośrednie obcowanie z Bogiem i aniołami. Wszelkie wątpliwości w tej mierze gwałtem sobie wyperswadować umiał. Do tego przyczynił się fakt, że w klasztorze św. Marka był mnich lunatyk, nazwiskiem Sylwester Maruffi, który częste miewał wizye. Mężowi temu Savonarola ślepo wierzył tak, iż raz nawet wizyę Maruffiego jak własną podawał. Wobec wizyj i przeczuć innych wykonywał surową krytykę, wobec własnych żadnej. „Znam czystość moich zamiarów — mawiał — usiłuję iść śladem Chrystusa, poświęciłem i zdrowie i życie dla dobra bliźnich, niemożliwem jest, by Pan mię oszukał“. W żarliwości swej i walce przeciw zepsuciu humanizmu posuwał się nieraz do twierdzeń przesadnych tak, iż pomawiano go niesłusznie o obskurantyzm i nienawiść

do nauk i poezyi. Sam wszakże otaczał pilną opieką nauki w klasztorze swoim, uratował sławną bibliotekę medycyjską dla Florencyi. Nie przeciw poezyi występował, lecz przeciw ślepym naśladowcom pogańskiej poezyi. Podobnie w sztuce występuje przeciw pogańskiemu kultowi zmysłowości i nagości i wywołał zbawienną reakcyę na tem polu [1], której najwznioślejszym wyrazem jest Pietà Michel-Angela w bazylice św. Piotra w Rzymie. Pomimo że jego działalność reformatorska była zbyt nagła, za gwałtowna i przesadna, rezultaty jego kazań moralnych były, zwłaszcza od r. 1495, niebywałe. Wygląd miasta zmienił się do niepoznania. Znikły bogate stroje kobiet, swywola młodych ludzi. Wrogowie przebaczają sobie urazy, bankierzy i kupcy zwracają dobrowolnie bezprawne zyski, sprosne piosnki karnawałowe ustępują pobożnym pieśniom, kościoły są przepełnione, liczba zakonników u św. Marka wzrosła z 58 na 238, jednem słowem, nowe życie rozpoczęło się dla Florencyi. Chodziło tylko, aby ten zwrot był trwałym. Utrwaleniu się go wszakże stanęła na przeszkodzie przesada reformatora. Rygorysta i duchem pokrewny Tertulianowi nie umiał nigdy zachować miary. Swe klasztorne poglądy chciał narzucić swym ziomkom i, jak mu zarzucają przeciwnicy, całą Florencyę zamienić w klasztor. Rady Kościoła dla osiągnięcia doskonałości głosił często jako przepisy, obowiązujące wszystkich. „Savonarola — pisze poseł mantuański — tak przeraził ludność, że poszczą 3 dni w tygodniu o chlebie i wodzie, a 2 dni o chlebie i winie; dziewczęta a nawet mężatki uciekały do klasztorów tak, iż w mieście widać tylko chłopaków, mężczyzn i stare baby. Z powodu postów trzeba było zniżyć taksę rzeźnikom. Pozwalał wbrew wyraźnym przepisom Kościoła mężatki przyjmować do klasztorów bez zezwolenia ich mężów. Przesada religijności we Florencyi wywołała drwiny w całych Włoszech. Surowość jego kar nie miała granic. Gra hazardowa miała być torturą, bluźnierstwo przekłuciem ję-

[1] Bode, *Gruppe der Beweinung Christi von Giovanni della Robbia und der Einfluss des Savonarola auf die Entwickelung der Kunst in Florenz. Jahrbuch der k. preuss. Kunstsammlungen* VIII, 224. Cfr. Pastor III, str. 147.

zyka karane. Najgorsze środki przymusu, jak denuncyacya i szpiegostwo, miały dopomódz do osiągnięcia takiej doskonałości u wszystkich obywateli, jaką tylko jednostki osiągnąć są zdolne. Że Savonarola przy swej jednostronności i ciasnocie poglądów był najmniej zdolny do utrwalenia naprawy obyczajów, dowodzi najlepiej fakt, że tyrańską policyę swą złożył w ręce dzieci. Chłopaki mieli ścigać podejrzane kobiety, ścigać graczy, i niejednokrotnie wdzierali się wyrostki do domów prywatnych, wydzierając graczom karty, kostki i pieniądze i t. p. We wszystkich rodzinach wzniecił Savonarola rozsterkę, mąż, żona, ojciec, dzieci, teściowa i synowa żyły w niezgodzie. Żony tajemnie donosiły Savonaroli o spiskach swych mężów przeciwko niemu, rodzice opuszczali swe dzieci, by wstąpić do klasztoru, a na pół zwaryowane kobiety o północy biegały już do katedry, by spierać się z przeciwnikami proroka, twierdząc, że kto mu nie wierzy, jest heretykiem. A jednak w jaskrawym przeciwieństwie do posłannictwa Bożego, jakiem się zasłaniał, stoi i trywialność jego kazań i śmieszność jego pochodów i tańców religijnych, po których musiała przyjść reakcya. Ta sama przesada cechuje i jego działalność polityczną. W swej bezgranicznej zarozumiałości występuje i na tem polu jako prorok; każe Bogu ze stanowiska florenckiego przemawiać o królu francuskim, o przyszłej potędze Florencyi, o zdobyciu Pizy tak, iż słusznie ściągnął na się zarzut bluźnierstwa. Działalnością swą nietylko wywołał polityczne namiętności, ale sam się do politycznego fanatyzmu posuwał. Na kazalnicy występując np. przeciw t. zw. parlamentom, tj. tumultuarnym zgromadzeniom ludu, żądał śmierci każdego, ktoby taki parlament zwołał, podobnie domagał się po nieudałym zamachu Medyceuszów w październiku 1495, kary śmierci na wszystkich, którzyby chcieli powrotu tyranii. Jego celem było stworzenie we Florencyi teokracyi, jaka panowała u Żydów za czasów sędziów, on sam, niby nowy Daniel, miał być pośrednikiem między ludem florenckim a Bogiem, a jako taki uzurpował sobie nieomylność w sprawach politycznych, jaką jedynie głowa Kościoła otrzymała tylko w sprawach dogmatów i moralności. Czasy minęły, kiedy wola Boża objawiała się ludowi przez usta proro-

ków i sędziów, odkąd w Chrystusie pełność prawdy się objawiła i w Kościele przez nieomylność papieską zabezpieczona, ma po wsze czasy stanowić źródło zbawienia. Ta uzurpowana rola proroka głównie się też do upadku jego przyczyniła, bo lud, skoro jego nadzieje zawiedzione zostały, dał się przekonać z tą samą łatwością, iż jest fałszywym prorokiem, z jaką uznał poprzednio Boskie jego posłannictwo. Wzniecił religijny entuzyazm i moralne odrodzenie, ale tylko na chwilę. Jego program reformy rozbił się głównie dlatego, iż pokładał nadzieje w tak lekkomyślnym i zepsutym monarsze, jakim był Karol VIII. Skoro plany francuskiej polityki zrobiły fiasko we Włoszech, rozchwiały się i fantastyczne plany florenckiego proroka. Hołdując zaś fałszywej zasadzie o wyższości soboru nad papieżem, wstąpił na drogę opozycyi przeciw papieżowi i zaszkodził tem samem prawdziwej reformie, która przez rewolucyę nie da się osiągnąć. Św. Katarzyna Seneńska pisała niegdyś do rządu florenckiego, iż choćby papież był wcielonym szatanem, trzeba go słuchać, nie dla niego samego, lecz jako namiestnika Pańskiego, z posłuszeństwa ku Bogu. Savonarola lekceważył sobie klątwę Aleksandra VI., groził mu soborem i tem samem zaczepił podstaw porządku kościelnego [1].

Aczkolwiek konieczność reformy Rzymu, papieża i kury Savonarola z coraz większą gwałtownością głosił, Aleksander VI. zrazu obojętnie to przyjmował i gdyby Savonarola w granicach zakonnika i kapłana był się trzymał, nie byłby nigdy popadł w konflikt z papieżem; wkraczając atoli w dziedzinę polityki, dał nieprzyjaciołom swoim pretekst do wezwania interwencyi papieża przeciw sobie. Nieprzyjaciół zaś Savonarola, jako kierownik Florencyi, miał wielu i to bardzo potężnych. Był nim wypędzony Piotr Medici i jego stronnicy, dalej przeciwnicy demokracyi i surowej reformy obyczajów t. z. Arrabiati, dalej wszystkie miasta włoskie przeciwne francuskiej polityce Florencyi, której duszą był reformator. Upatrywał on w zepsutym Karolu VIII. wybrane narzędzie Boże do reformy Kościoła. Po-

[1] Pastor III, str. 154.

nieważ zaś Karol VIII. groził papieżowi soborem i detronizacyą, nie dziw, że w Rzymie zaczęto zwracać uwagę na ekscentryczne postępowanie mnicha, tem bardziej, iż był najbardziej stanowczym przeciwnikiem ligi antyfrancuskiej, do jakiej papież Florencyę nakłaniał. Ze względu na terroryzm polityczny, jaki głosił Savonarola przeciw nieprzyjaciołom demokracyi florenckiej, musiał Aleksander VI. zdecydować się na interwencyę, żądając dnia 25 lipca 1495 r. w sposób bardzo łagodny od Savonaroli, by przybył do Rzymu i zdał sprawę ze swych proroctw, głoszonych jako Boże objawienie. Zakonnik odmówił ze względu na słabe zdrowie, na zasadzki nieprzyjaciół i szkodę miastu grożącą z powodu jego nieobecności. Wskutek tego papież dnia 8 września wysyła drugie brewe do konwentu Franciszkanów od św. Krzyża, przeciwników konwentu św. Marka, w którem zarzuca niejakiemuś Savonaroli uzurpowanie daru proroctwa bez udowodnienia go cudami, zakazuje mu miewać kazania i przyłącza klasztor napowrót do kongregacyi lombardzkiej. Superyor tejże ma wyznaczyć, dokąd Savonarola ma się udać, a w razie nieposłuszeństwa ma tenże popaść w klątwę. W życiu Savonaroli jest to chwila stanowcza. Jako kapłan i zakonnik był zobowiązany do posłuszeństwa Głowie Kościoła, chociaż nią był Aleksander VI., chociaż także polityczne motywa na postanowienie papieskie wpłynęły. Wiedział o tem Savonarola i gotów był do posłuszeństwa. W liście do Aleksandra VI. z dnia 29 września broni się przed zarzutami mu czynionemi, wykazuje, że nauka jego zgadza się z nauką Kościoła i oświadcza, że z lombardzką prowincyą połączyć się nie może, gdyż takie połączenie wywołać może spory i zgorszenie. Wobec tego papież cofnął w brewe z d. 16 października nakaz połączenia się z prowincyą lombardzką, byleby tylko przeor zaniechał kazań. Nim jeszcze to brewe nadeszło, z powodu grożącego zamachu ze strony Piotra de Medici, wbrew obietnicy swej z dnia 15 września, wstąpił na kazalnicę i udaremnił przedsięwzięcie Medyceusza. Po odczytaniu nowego nakazu papieskiego mógł osiągnąwszy cel swoich kazań, powstrzymać się z łatwością od kazalnicy. O trwałem i lojalnem poddaniu się niema atoli u niego

mowy i wszystkie sprężyny porusza, by u papieża uzyskać zniesienie zakazu głoszenia kazań. W tym duchu działa i rząd florencki, a za pośrednictwem Caraffy kardynała miał ustne uzyskać na to pozwolenie, byleby się Savonarola ograniczył na pole religijne. Jednakże nawet Savonarola sam nigdzie nie twierdził, by to pozwolenie uzyskał, a że go nie uzyskał, dowodzi fakt, iż rząd florencki dnia 11 lutego pod karą indygnacyi nakazuje przeorowi swe kazania w katedrze znowu rozpocząć. I zakonnik, który tysiące ma zastrzeżeń przeciw nakazom swych przełożonych, od razu uczynił zadość rozkazom świeckiej władzy. Już w pierwszem kazaniu dnia 17 lutego pokazało się, jak dalece ten fantastyczny człowiek zeszedł na bezdroża. Jak niegdyś Hus, nie wahał się swe przekonanie subjektywne uczynić probierzem subordynacyi kościelnej. „Papież nie może mi nic — oświadcza — nakazać, co się sprzeciwia miłości chrześcijańskiej lub Ewangelii. Jeżeli nie ma wątpliwości, że rozkaz przełożonego sprzeciwia się rozkazom Bożym, a zwłaszcza przykazaniom chrześcijańskiej miłości, nikt nawet nie powinien takiego rozkazu słuchać. Jeżeli atoli istnieje najmniejsza wątpliwość w tej mierze, rozkaz powinien być spełniony". Chociaż jest przekonany, że brewa rzymskie są nieprawne, ponieważ polegają na wiadomościach kłamliwych, chce z wszelką ostrożnością działać. Mimo to w piorunujących słowach zwraca się przeciwko zepsuciu w Rzymie, zwłaszcza w kazaniu na temat: „Słuchajcie słowa tego krowy tłuste, które jesteście na górze Samaryjskiej" (Amos IV) i wygłasza swe teorye o posłuszeństwie kościelnem, które wszelki porządek w kościele musiałyby obalić. Pół roku papież zachował się wobec tych zaczepek cierpliwie, w końcu polityczne jak kościelne względy wymagały położenia kresu tej niesubordynacyi, tym wyzywającym kazaniom i temu prorokowaniu. Nie potrzeba było nawet podżegań ze strony ligi i kardynała Askaniusza Sforzy, by papieża nakłonić do stanowczego kroku. Aby tę swawolę raz poskromić i to w najłagodniejszej dla sprawcy postaci, wydaje Borgia 7 listopada 1496 brewe, mocą którego tworzy nową kongregacyę toskańsko-rzymską, na czele której w pierwszych dwóch latach miał sta-

nąć kardynał Caraffa, wierny przyjaciel Savonaroli. Prorok florencki odmówił i temu żądaniu bezwzględnie posłuszeństwa, ponieważ zarządzenie papieskie jest niemożliwe, nierozumne i szkodliwe. Odmowa ta szorstka oraz intrygi wrogów i dalsze wycieczki w kazaniach postnych r. 1497 przeciw zepsuciu kościelnemu odwróciły od niego umysły nawet jego przyjaciół w Rzymie; a Aleksander VI. jeżeli nie chciał swej powagi na szwank narazić, musiał się chwycić ostatecznego środka, to jest ekskomuniki, podpisanej 12 maja 1497 r. Wprawdzie w całej tej sprawie czynne były polityczne motywa, mianowicie chodziło papieżowi o odciągnięcie Florencyi od sojuszu z Francyą, za czem obstawał Savonarola, atoli decydującym momentem była niesubordynacya jego wobec Stolicy apostolskiej. Proroczego urzędu ponad hierarchią nawet Aleksander VI. nie mógł uznać. Pomimo ogłoszenia klątwy papież wskutek pisma Savonaroli był łagodniej dla niego usposobiony i mimo zabiegów nieprzyjaciół reformatora, zniesienie klątwy było możliwe, nawet osobnej komisyi kardynalskiej sprawa Savonaroli była przekazana do nowego zbadania. W tej krytycznej chwili znowu gwałtowny i zapalczywy mnich zgodę udaremnił swoim otwartym listem z d. 19 czerwca przeciw podstępnie wyłudzonej ekskomunice. Klątwa ta jest, zdaniem jego, nieważna, gdyż polega na fałszywych oskarżeniach jego wrogów. Poddaje się we wszystkiem Kościołowi, rozkazu wszakże przeciwnego chrześcijańskiej miłości i prawu Pańskiemu nie wolno słuchać, albowiem wtedy nasi przełożeni nie są zastępcami Boga. Teorya ta sprzeciwiająca się wprost nauce Kościoła, że i niesprawiedliwą ekskomunikę należy respektować, musiałaby podkopać podstawy wszelkiej karności kościelnej. Nie dziw, że Aleksander VI. przyjął to jako wypowiedzenie wojny. Zrazu Savonarola wstrzymywał się od wszelkich duchownych czynności nawet podczas wybuchłej zarazy, wiedząc dobrze, że takie czynności uroczyście ekskomunikowanego są świętokradztwem. W końcu r. 1497 jednak zmienił postępowanie, w Boże Narodzenie odprawił trzy Msze św. i udzielił wielu zakonnikom i świeckim Komunii, budząc nawet wśród zwolenników swoich zgorszenie. Mimo ekskomuniki za-

grożonej wszystkim, którzy go słuchają, teraz dopiero wystąpił w kazaniach d. 11 lutego 1498 r. z najostrzejszemi zarzutami przeciw Aleksandrowi VI., nazwał go nie narzędziem Bożem, lecz złamanem żelaziwem, którego słuchać nie potrzeba. „Mój Panie i Boże — oświadczył — jeżeli pragnę absolucyi od tej klątwy, wtrąć mnie do piekła". Do takich twierdzeń porwało nieszczęsnego przekonanie, utwierdzone wizyami o swem Boskiem posłannictwie. W najstraszliwszych barwach malując zepsucie kleru rzymskiego i włoskiego i papieża, wchodzi z Przenajświętszym Sakramentem na ambonę i wypowiada bluźniercze słowa, że „jeżeli nie postępuje z zupełnego przekonania, jeżeli słowa jego nie pochodzą od Boga, Bóg ma go od razu pozbawić życia". Postępowanie takie napawało największą otuchą jego nieprzyjaciół, a sprawiało kłopoty jego przyjaciołom i pośrednikom u kuryi. „Sami Turcy nie ścierpieliby podobnego buntu przeciw władzy" — oświadczył posłowi florenckiemu papież d. 25 lutego 1498 r. i domagał się wydania zuchwałego mnicha, inaczej spadnie na miasto interdykt. Prawdą jest, że w całem postępowaniu Aleksandra VI. polityczne motywa były w grze, lecz przesadą jest, że one wyłącznie do potępienia Savonaroli się przyczyniły, a nie jego kościelne przestępstwa. „Jeżeli tylko czas pewien mnich ten okaże się posłusznym i zaniecha kazań, uwolnię go wkrótce od cenzur kościelnych — oświadczył 27 lutego posłowi florenckiemu papież. — „Nie potępiam go dla jego nauk głoszonych, lecz że nie chce prosić o uwolnienie od klątwy, uważając ją za nieważną, że wbrew naszej wyraźnej woli głosi kazania i że otwarcie gardzi naszą i Stolicy apostolskiej powagą, dając przez to niebezpieczny przykład dla drugich". „Zuchwalec mniema, że on jedynie jest wyjęty z pod władzy Piotrowej. Mój obowiązek pasterski nie pozwala mi dłużej ścierpieć zuchwalstwa nieposłusznego mnicha" — oświadcza papież w brewe z dnia 9 marca, w którem żąda wydania albo uwięzienia Savonaroli, i grozi w razie odmowy interdyktem miastu.

Jak łagodnym okazał się papież wobec Savonaroli, dowodzi fakt, że mimo intryg jego nieprzyjaciół, jeszcze 23 marca gotów mu dać absolucyę, byleby się tylko czas pewien ukorzył

i prosił o przebaczenie, gotów mu nawet przywrócić licencyę głoszenia kazań, byleby tylko zaniechał wycieczek przeciw Stolicy apostolskiej i kardynałom. Gdyby więc Dominikanin i wtedy jeszcze był się upokorzył, może byłby uniknął katastrofy, jaka była już blizka. Lecz nieszczęsny nie myślał o kapitulacyi; hołdując fałszywej teoryi o wyższości soboru nad papieżem, doprowadził konflikt do ostateczności, wzywając monarchów chrześcijańskich do zwołania soboru, na którym papież jako „symonista, kacerz i niewierny“ miał być detronizowany. Ponieważ wobec powszechnego niezadowolenia zamysły takie mogły być rzeczywiście zgubne dla Aleksandra, ponieważ rzeczywiście Karol VIII. nosił się z planami soboru, a nawet uzyskał na to *placet* Sorbony, nie dziw, że teraz skończyła się pobłażliwość papieża. Katastrofę jednak nie Aleksander sprowadził, lecz rewolucya we Florencyi. Przyspieszyła ją głośna próba ogniowa, za pomocą której miało Boskie posłannictwo Savonaroli być stwierdzone. Domagali się jej Franciszkanie i byli gotowi dnia 7 kwietnia 1498 r., jej się podjąć pod każdym warunkiem, podczas gdy Dominikanie robili trudności, chcąc z krzyżem, później z Przenajświętszym Sakramentem wejść do ognia. A przecież przeor powinien był wiedzieć, że prawo kanoniczne zabrania najsurowiej użycia Przenajświętszego Sakramentu do osobistych eksperymentów. To zachowanie niezgodne i niedozwolone rozchwiało aureolę Savonaroli jako proroka w oczach ludu. Wśród powstałych zaburzeń przeciwnicy jego dochodzą do steru, Savonarola zostaje uwięziony. Za pomocą tortur wymuszono na nim zeznanie różnych zbrodni, nie gardzono i fałszowaniem świadectw. W porozumieniu z delegatami papieskiemi wydano na niego wyrok śmierci, jako kacerza, schizmatyka i buntownika przeciw Stolicy apostolskiej, i skazano na śmierć przez powieszenie. Aleksander VI. domagał się zrazu jego wydania, gdy mu tego odmówiono, dążył wszelkiemi siłami do zgubienia swego przeciwnika, który mu groził detronizacyą, z tem wszystkiem odpowiedzialność za surowość wyroku spada na rząd florencki. — Tyle Pastor[1].

[1] Pastor III, 347—412 w rozdz. VI, p. t. *Savonarola u. Alexander VI.*

Przeciw takiemu przedstawieniu wystąpiło prócz wielu innych, zwłaszcza wrocławski profesor teologii, dr. Commer[1] i Luotto, prof. król. liceum w Faenza[2]. Między innemi mniej fortunnemi zarzutami podnosi Commer i ten, że Pastor nie zajął się wcale kwestyą, czy Aleksander VI. był papieżem legalnym. Faktem jest, że Borgia zawdzięcza tyarę notorycznej symonii, był więc uzurpatorem, a w takim razie nie można mówić o buncie Savonaroli przeciw legalnej władzy, co przecież jest głównym zarzutem Savonaroli czynionym. Pastor, który swoim krytykom dał ciętą odprawę w osobnej broszurze[3], uważa symonistyczny obiór Aleksandra VI. w r. 1492 za niewątpliwie legalny, albowiem dopiero Juliusz II., aby zapobiedz na przyszłość podobnej szacherce, jaka miała miejsce przy wyborze Borgii, bullą z d. 14 stycznia 1505 r. ustanowił, że odtąd symonistyczną elekcyę papieską uważać należy za nieważną, a kardynałowie winni symonii mają podpadać najcięższym karom kościelnym. Ponieważ ustawa ta nie mogła oddziaływać wstecz, zatem pomimo przekupstwa użytego przy obiorze swym Aleksander był prawowitym papieżem, a więc zarzut nieposłuszeństwa wobec legalnej władzy czyniony Savonaroli jest całkiem uzasadniony[4]. Powołuje się dalej Commer na papieża Benedykta XIV., który Savonarolę w swym katalogu świętych pomieścił[5], całkiem słusznie jednak wskazuje Pastor, że w tym rejestrze do papieskiego dzieła *De beatificatione* został nawet Abelard umieszczony przygodnie, z czego nie wynika, by i jego Benedykt XIV. uważał za świętego.

Głównym wszakże przeciwnikiem Pastorowskiego przedstawienia jest wspomniany Luotto, profesor w Faenza, bardzo gorliwy katolik, który dawniej sam przeciw Savonaroli występował, wskutek 22-letniego studyum jego pism i odnośnych źró-

---

[1] *Jahrbuch für Philos. u. speculative Theol.*, rocz. XII, 1897.

[2] Paolo Luotto, *Il vero S. ed il S. di L. Pastor.* Firenze 1897.

[3] *Zur Beurtheilung Savonarolas. Kritische Streifzüge.* Freib. i. Br. 1898.

[4] L. c. str. 15—16.

[5] *Elenchus sanctorum, beatorum, servorum Dei, virorumque, aliorum sanctitate venerabilium et illustrium.* VIII, str. 360.

del zmienił swoje zdanie i stał się jego wielbicielem. W książce liczącej 630 stron, zawierającej nietyle biografię, jak raczej apologię Savonaroli, zarzuca Pastorowi plagiat, zarzuca mu, że na podstawie antykatolickich i racyonalistycznych pisarzy wydał wyrok potępienia na Savonarolę, nie przestudyowawszy pism potępionego, usiłuje zbić wszelkie zarzuty przeciw Savonaroli i wogóle stworzył w swej rozwlekłej, nudnej pracy kompletny panegiryk na cześć swego bohatera. Jak Commer także i Luotto powołuje na sądy świętych o Savonaroli, a nawet twierdzi, że święty, jak Savonarola, tylko przez świętych może być zrozumiany. Na to całkiem słusznie odpowiada Pastor[1], że wobec tego musiałaby ustać wszelka dyskusya, bo sam niema pretensyi do świętości. Katolicki historyk wszakże, jakkolwiek sądów świętych nie będzie lekceważył, to jednak w sprawach historycznych, o tyle się z niemi liczyć może, o ile są słuszne. Również stara się Luotto wyzyskać dla swojej apologii różne orzeczenia Leona XIII., a czyni to w sposób tak naciągany[2], iż słusznym jest zarzut, że stara się raczej czytelnikowi swoje zdanie wmówić, niż go przekonać, stąd też dzieło jego nie zasługuje na miano dzieła naukowego. Niezręcznie broni Luotto Savonaroli przed zarzutem nieposłuszeństwa papieżowi i lekceważenia sobie ekskomuniki papieskiej. Jakkolwiek zakazy papieskie i klątwa mogły być niesprawiedliwe, nie powinien był zakonnik przez swe głośne nieposłuszeństwo Głowie Kościoła dawać publicznego zgorszenia, nie powinien był głosić, że woli raczej być potępionym, niż prosić o absolucyę. Zresztą Savonarola sam przed śmiercią uznał, że klątwę winien był uszanować i żałował zgorszenia, jakie dał ludowi.

Jeżeli tedy nie udało się obrońcy reformatora florenckiego obmyć go całkiem z winy, to z drugiej strony miał racyę, że ponury obraz, jaki przedstawił Pastor, nie jest wizerunkiem prawdziwego Savonaroli. Że zarzuty gwałtowności, jednostronności, nietaktu, przesady, rygoryzmu, bezwzględności i fanaty-

[1] *Zur Beurtheilung Savonarolas.* str 33.
[2] L. c. str. 34.

zmu, śmieszności, ustawicznie przez Pastora przeciw Savonaroli wytaczane, nie zawsze są uzasadnione, to już Luotto dowiódł licznemi świadectwami, których Pastor w rzeczonej odpowiedzi swej osłabić nie zdołał; że zaś należy nieszczęśliwego Dominikanina znacznie łagodniej ocenić, to wykazuje w obszernym artykule dr. J. Schnitzer[1], któremu teraz głos oddajemy.

Błędne jest twierdzenie, jakoby Savonarola wszystko w czarnych kolorach widział; że nie był ślepym na dobre objawy w kościele i duchowieństwie, tego dowodem słowa z jego listu: „W niebie wszyscy dobrzy, w piekle wszyscy źli, w tym świecie zaś dobrzy i źli się znachodzą, w nim też nigdy samych dobrych bez złych znaleźć nie można“. Niejednokrotnie zastrzegał się w swych kazaniach, że tylko przeciwko złym księżom występuje; dobrych zaś wyraźnie bierze w obronę. Przesadą jest, jakoby Savonarola chciał całą Florencyę w jeden klasztor zamienić, a świadectwo mantuańskiego posła, cytowane przez Pastora, jakoby w mieście tylko młokosów, mężczyzn i stare baby można widzieć, potwornością swą samo się zbija. Fałszem jest, że posuwał surowość do okrucieństwa i hołdował tertuliańskiemu rygoryzmowi. Jeżeli zaś Pastor jako dowód cytuje fakt, że Savonarola żądał tortury na graczy, a przekłócia języka na bluźnierców, to nie trzeba zapominać, że się te kary odnoszą do publicznych i notorycznych gorszycieli i że na takich nie Savonarola, lecz ówczesne prawa kościelne i świeckie te a nie inne kary wyznaczyły. Niewątpliwie razi nas dziś miejscami trywialność i bezwzględność w jego kazaniach; nie trzeba wszakże zapominać, że podobne i jeszcze silniejsze ustępy znachodzą się i w Piśmie św., u Ojców Kościoła, a zwłaszcza u średniowiecznych, a nawet i późniejszych kaznodziei, że wymienimy tylko takiego Abrahama od św. Klary. Zarzuty zaś, że używał wyrostków jako policyantów i szpiegów, że zdradzał zboczenie umysłowe, urządzając tańce religijne, upadają, jeżeli się zbada działalność Savonaroli wszechstronnie, a nadto uwzględni czas

[1] *Savonarola im Lichte der neusten Literatur. Historisch-politische Blätter* 1898. 121, 7—11.

ludzi i stosunki, wśród których żył. Najsilniejszym zarzutem przeciw Savonaroli jest ten, iż jako zakonnik mieszał się do spraw politycznych. Ale w takim razie należałoby potępić także wszystkich papieży, biskupów, zakonników, którzy w średnich wiekach w polityce tak wybitną odgrywają rolę. Całkiem słusznie powoływał się Savonarola na św. Katarzynę Seneńską, św. Antoniego i kazał sobie pokazać ustęp w Piśmie św., któryby zakazywał popierać demokracyę w tym celu, aby dopomódz religijności i moralności do zwycięstwa. Cała zaś działalność polityczna Savonaroli właśnie miała na celu reformę Florencyi, Rzymu i całego chrześcijaństwa. W tym celu działał zupełnie wolny od ambicyi i egoizmu, a także od fanatyzmu politycznego. Wszak on to po upadku Medyceuszów i zaprowadzeniu demokracyi domagał się zupełnej amnestyi nawet dla stronników Medyceuszów i takowy przeprowadził, choć właśnie ci ułaskawieni przezeń później na stos go zawiedli. Wcale nie hołdował błędnej teoryi o wyższości soboru nad papieżem, jak twierdzą Pastor i Hergenröther, przeciwnie wyraźnie w jednem ze swych kazań powiada, że jeżeli ziemski papież nie pełni obowiązku, tedy nie do soboru trzeba się uciekać, lecz do niebieskiego papieża, tj. Jezusa Chrystusa. Natomiast to prawdą jest, iż dążył do zwołania soboru i do tego książąt chrześcijańskich zachęcał, ale tego soboru pragnęli i detronizacyi Borgii nie mniej jak 18 kardynałów, na których czele stał Juliusz della Rovere, późniejszy Juliusz II. Najzawilszą kwestyą w życiu Savonaroli jest jego dar proroczy, rzekomo symulowany, by ziomków swych tumanić. Faktem jest, że przepowiedział rychłą śmierć Innocentego VIII., Wawrzyńca Medyceusza, ks. Galeazzo Mirandoli i szereg wypadków politycznych, co bynajmniej nie jest pewnym dowodem, jak chce Pastor, przeciw boskiemu pochodzeniu proroctwa Savonaroli, bo w takim razie i Joanna d'Arc, której kanonizacya jest w toku, musiałaby być uznana za oszustkę. Faktem jest, że miał dziwny dar przenikania dusz, tak iż nieprzyjaciele jego posądzali go, iż grzechy ludzkie zna wskutek zdradzenia spowiedzi przez oddanych mu zakonników. Świadczy to, że sami nieprzyjaciele uznają, iż głosił rzeczy, których w zwy-

czajny sposób wiedzieć nie mógł. Czy miał ducha proroczego w rzeczywistości, trudno dociec; to fakt, że był silnie przekonany o tem, że go posiadał i że jest narzędziem Bożem do nawrócenia Florencyi i Kościoła. Tem się tłumaczy też jego zachowanie wobec Aleksandra VI. — Może nie było większego kontrastu, jak między tymi dwoma ludźmi. Z jednej strony papież, który w drodze symonii uzyskał swą godność, zepsuty do szpiku, oddany wyłącznie sprawom świeckim, choć Kościół potrzebował koniecznie reformy; z drugiej strony prosty zakonnik trawiony miłością ku Bogu i bliźnim, przejęty oburzeniem na upadek obyczajów, z zapałem dążący do wskrzeszenia ducha starokościelnego, gardzący dobrami i rozkoszami świata, a jednak zmuszony do użycia świecko-politycznych środków, aby osiągnąć idealne swe cele, podczas gdy papież posługuje się kościelnemi środkami karności, aby dopiąć swych politycznych celów. Tacy dwaj ludzie nie mogli się ze sobą porozumieć, między nimi musiało przyjść do konfliktu. — Konflikt ten zaś nie wybuchł z religijnych motywów ani nie z powodu piorunujących kazań na nadużycia rzymskie, ani nawet z powodu reformy politycznej we Florencyi, dokonanej przez Savonarolę, lecz z powodu polityki florenckiej, sympatyzującej z Francyą. Właśnie w r. 1495, roku pierwszych nieporozumień między Aleksandrem VI. a Savonarolą, chodziło papieżowi o wypędzenie Francuzów z Włoch za pomocą ligi, do której Rzeczpospolita florencka przystąpić nie chciała głównie za sprawę Savonaroli. Usunąć więc niewygodnego mnicha stało się celem polityki Borgiów, jak i Medyceuszów i wogóle wszystkich włoskich przeciwników demokracyi florenckiej i Karola VIII. W tym celu woła się zakonnika do Rzymu, dalej poddaje się klasztor św. Marka prowincyi zakonnej lombardzkiej, później rzymskiej. Że Savonarola przeciw tym aż nadto przejrzystym rozkazom papieża broni się wszelkiemi sposobami, łatwo wyrozumieć. Wszak za tymi rozkazami stoi cała kamaryla jego florenckich wrogów, wszak z zadośćuczynieniem tym rozkazom szedł ręka w rękę upadek demokracyi florenckiej, odwet tryumfujących przeciwników tej demokracyi i reformacyi! Stąd dalsze cenzury kościelne, za-

kaz kazania i wreszcie klątwa. Mimo wszystko wszakże opozycya Savonaroli nie była tak nielegalna, jak się np. Pastorowi wydaje. Jeżeli nie przybył Savonarola do Rzymu, to słusznie zasłaniał się niebezpieczeństwem, grożącem mu od jego nieprzyjaciół, jeżeli nie chciał uznać przynależności Toskanii do prowincyi zakonnej lombardzkiej lub rzymskiej, to kanoniczną miał do tego podstawę, gdyż reguła w klasztorze św. Marka była daleko surowsza, niż w Lombardyi lub Rzymie. Że wreszcie wbrew zakazowi papieskiemu rozpoczął znowu swe kazania w r. 1496, tłumaczy się tem, iż rzeczywiście ustne uzyskał na to pozwolenie, za pośrednictwem kardynała Neapolu i „mojem", jak twierdzi poseł florencki Becchi[1]. Jak papież na przestępstwo Savonaroli się zapatrywał, świadczy najlepiej fakt, iż właśnie w r. 1496 ofiarował mu kapelusz kardynalski, którego pokorny zakonnik nie przyjął. A chociaż 13 maja 1497 r. rzucono na niego ekskomunikę, to w lipcu tegoż roku kardynał Piccolomini, późniejszy Pius III., ofiarował się za 5.000 skudów uzyskać dla Savonaroli absolucyę, co tenże z oburzeniem odrzucił. Polityczne też głównie względy, nie kościelne, jak chce Pastor, sprowadziły wreszcie katastrofę śmiałego mnicha, albowiem interes polityczny papieża, jako naczelnika ligi antyfrancuskiej, domagał się zguby człowieka, ze strony którego, dopóki żył, groziło niebezpieczeństwo nowego napadu francuskiego, a z niem i zwołanie soboru i ewentualnej detronizacyi papieża. Dlatego też po upadku stronnictwa demokratycznego we Florencyi tak pohopnie uprzątnięto się głównie za sprawą papieską z przeorem dominikańskim, nie gardząc wymuszonemi za pomocą tortur zeznaniami ofiary, nie gardząc fałszywem oskarżeniem go o herezyę, chociaż rewizya procesu Savonaroli, przeprowadzona później przez Pawła IV., ani źdźbła herezyi w postępowaniu nieszczęśliwego zakonnika nie znalazła. Aleksander VI. później winę śmierci Savonaroli zwalił na Florentyńczyków, a miał nawet oświadczyć, że chętnie go nawet kanonizować będzie. Sprawa jego nieposłuszeństwa wobec papieża, a zatem winy, nie cał-

[1] Gherardi, str. 135. Cfr. *Historisch-politische Blätter* 121, str. 644.

kiem jeszcze jest wyjaśniona, albowiem chodziło nietylko o niesprawiedliwą, ale wogóle nieprawną ekskomunikę. Wszak nie kto inny, jak papież Innocenty IV. uczy: „Jeżeli papież komuś z zakonników czy duchownych coś rozkaże, trzeba tego przestrzegać, choćby było niesprawiedliwe, chybaby rozkaz zawierał herezyę, lub gdyby z rozkazu niesprawiedliwego należało przypuszczać, że stan Kościoła na szwank jest narażony, lub inne klęski spadną, ponieważ wtedy grzeszyłoby się posłuszeństwem, gdyż należy zapobiegać grożącym klęskom a nie przykładać do nich rąk“ [1]. Czy przez posłuszeństwo papieżowi byłby Savonarola sprowadził na stronnictwo swe to samo prześladowanie, jakie ściągnął jego upadek, trudno orzec; że był przekonany o swojem posłannictwie z nieba i o słuszności swego postępowania, nie ulega żadnej wątpliwości. Dlatego też zarzuty świętokradztwa i bluźnierstwa są bezpodstawne. Także i przy owej próbie ogniowej, która katastrofę sprowadziła, postępowanie jego bynajmniej nie było także niegodne i niesłuszne, jak Pastor przedstawia. Aczkolwiek autor „Dziejów papieży“ twierdzi na podstawie źródeł, że wybiegi Dominikanów udaremniły oczekiwany sąd Boży, to daleko poważniejsze źródła wykazują, że to Franciszkanie właśnie udaremnili całe inscenizowane przez siebie widowisko, że cała ta próba ogniowa była przez wrogów przeora z góry ukartowaną komedyą, aby znienawidzonego przeciwnika skompromitować i zgubić. Nie darmo przecież z przeciwników Savonaroli złożona signoria uchwala przez 25 lat każdego 7 kwietnia tj. w rocznicę próby ogniowej płacić Franciszkanom florenckim 10 skudów. Florentyńczycy chyba musieli wiedzieć, za co płacili te pieniądze [2]. Wprawdzie rząd florencki wykonał na Savonaroli straszny wyrok, lecz nie trzeba zapominać, że za

[1] „Si papa de spiritualibus vel ecclesiasticis personis praecipit aliquid etiam iniustum, illud servandum est, nisi mandatum heresim contineret, vel nisi ex praecepto iniusto vehementer praesumeretur statum ecclesiae turbari vel etiam forte alia mala ventura esse, quia tunc peccat obediendo, cum debeat futura mala praecavere non iuvare“. *Corpus iuris canon. inquisitioni.* 44. x, 5, 39 n. 3. *Hist.-polit. Blätter.* 121, str. 784.

[2] L. c. str. 800.

kościelne głównie przestępstwa skazali go na śmierć papiescy sędziowie, z wyrokiem śmierci w kieszeni do Florencyi wysłani. Gdyby tylko kościelne interesa, nie polityczne były w grze, ani na Savonarolę samego, ani na jego dwóch towarzyszy nie mógłby zapaść wyrok śmierci[1].

Płomienie stosu, płonącego dnia 23 maja r. 1498 na Piazza della Signoria we Florencyi, rzucały ponure światło na społeczeństwo, które w sztuce, nauce i obyczajach pod zwodniczą nazwą Odrodzenia stawało się pogańskiem. Były to czasy, kiedy kardynał się obawiał przez lekturę Pisma św. popsuć sobie lekkość stylu, były to czasy, kiedy w sztuce ceniono nagości, w poezyi swywolę, w nauce fantastyczność, w polityce despotyzm, rozwiązłość w obyczajach. W walce z temi pierwiastkami zginął wielki Dominikanin, mąż nieposzlakowanej prawowierności, pełen szlachetnego zapału, nienagannych obyczajów[2]. Nie był bez winy. Aczkolwiek papieżem był Aleksander VI., zakonnik-kapłan winien mu był posłuszeństwo. Jeżeli uważał siebie za narzędzie Boże do zreformowania Kościoła, to zdziaławszy tyle we Florencyi, powinien był usłuchać głosu swego przełożonego i udać się na wezwanie jego do Rzymu, a odrzuciwszy ludzkie obawy i względy, zaufać tej Opatrzności, której narzędziem być się mienił. Kto wie, czy stanąwszy posłusznie w Rzymie przed Aleksandrem VI., nie byłby urokiem swej osobistości, cnoty i zapału wywarł wrażenia nawet na Borgii, który na wpływy otoczenia przecież obojętnym nie był. Nawet gdyby usunięcia z Florencyi był pewien, mógł to uczynić ze spokojem, gdyż nikt nie jest zobowiązany czynić więcej nad obowiązek. A obowiązkiem było dla niego posłuszeństwo dla przełożonego. Na tegoż, w razie upadku reformy we Florencyi, spadała w takim razie odpowiedzialność. Savonarola zaś, zachowany dla lepszych czasów, mógł przetrwać panowanie Borgii i sam, mając ku temu tyle danych, przyłożyć rękę do trwałej reformy, którą przewidywał

---

[1] L. c. str. 729.

[2] *Monatrosen.* Basel. 1897, n. 7. *Moine et Patriot.* Str. 352—353. Cfr. Glossner, l. c. str. 1—2.

i której tak pragnął. Wskutek swego nieposłuszeństwa zaszkodził nietylko swej reputacyi i popełnił winę, za którą sam przy śmierci żałował, ale przyspieszył niewątpliwie upadek swych reform, które oporem względem rozkazów papieskich zachować usiłował. Użył reformator florencki złych środków do celu dobrego i przypłacił to życiem. Że tak postąpił, a nie inaczej, na to się złożyło nietylko jego „fantastyczne, wizyonerskie usposobienie", jak twierdzi kardynał Hergenröther, ale i niezwykłe okoliczności i fatalne stosunki, wśród których działał. Te to okoliczności sprawiają, że postępowanie Savonaroli nietylko w myśl znanego *comprendre c'est pardonner*, ale i wobec prawa kanonicznego znajduje wytłumaczenie, a w niejednym wypadku także i usprawiedliwienie. Bez znajomości też gruntownej prawa kanonicznego nie można po prostu zrozumieć, a i ocenić sprawiedliwie Savonaroli działalności i charakteru. Brak też znajomości tego prawa u wielu autorów jest przyczyną ich przesadnego i niesprawiedliwego sądu o przeorze dominikańskim. W naszem sprawozdaniu staraliśmy się najnowsze opinie i wyniki naukowe o Savonaroli w najogólniejszym zarysie przedstawić, tuszymy atoli, że na ostatnie słowo w tej sprawie nauka chyba nie rychło się zdobędzie. Jakikolwiek atoli sąd o nim wypadnie, to nie ulega wątpliwości, że pomimo upadku reformatora sprawa jego ostatecznie zwyciężyła. Reforma Kościoła, o jakiej marzył, do jakiej dążył i jaką przewidywał, weszła ostatecznie w życie pół wieku później na soborze trydenckim. Wcześniej już, po strasznem *sacco di Roma* z r. 1527, przeniknęła ona na wskróś odwieczne miasto i Włochy tak, iż Borgia na tronie papieskim stał się chyba na zawsze niemożliwy.

Dr. K. Krotoski.

ETYKA SOŁOWIEWA.

(„Оправданіе добра". Нравственная философія Владиміра Соловьева. С. Петербургъ 1897. W 8-ce wielkiej, str. XXXI. i 681).

Czy życie nasze przedstawia jaką myśl?...

Może jaka myśl etyczna przeziera z naszego żywota?...

Na czem polegałaby ta myśl etyczna? jakby ją określić?

Temi pytaniami rozpoczyna znany i ceniony pisarz rosyjski, Wł. Sołowiew, pokaźną księgę, w której pomieścił swój układ pojęć etycznych, poglądów i zasad, objętych przez niego nazwą: filozofii obyczajów.

Wielu z czytelników *Przeglądu Powszechnego* zna już dosyć pióro myśliciela, który poruszał sprawy najbliższe naszemu sercu; z pod jego pióra nikt nie oczekuje suchej rozprawy nad zagadkami filozofii. Myśliciel ten zawodowym pracownikom na polu nauki ścisłej zostawia książki, przydatne do wykładów po wszechnicach, i szkolne podręczniki; sam swobodnem okiem wodzi po królestwie prawdy, zdobywa w niem to i owo, jak kiedy do czego czuje pociąg; a co posiadł, to podaje bez troski, czy głowa profesorska w tem znalazłaby wszystko w porządku czy bez związku ze sobą, nie wzywa na wykład filozofii obrobiony naukowo, zaprasza na ucztę dla ducha, przy której swoboda musi panować.

Więc bez żadnych wstępów rzuca pytanie o myśli etycznej naszego życia; bez przyboru naukowych wywodów za pytaniami daje odpowiedzi w świetle takiem, w jakiem czuje prawdę. Czy ją odczuł całą, czy nie odczuł jej dużo: to już podpada pod sąd czytelnika.

Czy dla ciebie, czytelniku, życie twoje przedstawia jaką myśl? Jeżeli nie, to miej się na baczności. Kto tak twierdzi, że życie ludzkie nie przedstawia żadnej myśli, tego usuwa sobie p. Sołowiew bardzo krótką drogą z przed oczu... mówi wręcz: odbierz sobie życie, i już z tobą sprawa skończona.

Zostali więc przed p. Sołowiewem sami zwolennicy zasady, że życie ludzkie przedstawia jakąś myśl, i to etyczną myśl. Zapytani na czem polegałaby ta myśl etyczna, próbują oni powtarzać naukę „modnej“ filozofii Nitschego, że tę myśl stanowią Potęga i Piękno. Ale zaraz staje przed nimi obraz z ksiąg Machabejskich: Aleksander Wielki, przedstawiciel potęgi i piękna w starożytnym świecie, rozciągnięty na marach. A świat nowożytny pokazuje im palcem samego twórcę tej filozofii pod koniec życia w stanie obłąkania. Zgon Aleksandra i koniec Nitschego odbierają wiarę w Potęgę i Piękno, które ze śmiercią każdego człowieka zapadają z nim w grób. Pozostało więc tylko Dobro, i w niem jedynie szukać mamy myśli etycznej życia naszego.

A w jakiem w szczególności zjawisku Dobra znajdziemy podstawę etyki? Czyż nie w tem, że nieskończone Dobro przez głos Kościoła objawia nam zasady wiary i obyczajów? Niech tylko każdy zasięgnie rady duchownego, a usłyszy przez niego odpowiedź Kościoła o tem, co dla niego dobre, co zaspokoi jego sumienie.

Na taką podstawę etyki przystałby p. Sołowiew, gdyby słyszał, że wszyscy duchowni odpowiadają to samo. Póki zaś takiej zgody niema, szuka on gdzie indziej stałej i bezpiecznej dla sumienia podstawy. Dolatuje go przy tem szukaniu głos apostoła: „Nie wiecie, że i aniołów sądzić będziemy!“ Jeżeli pod sąd człowieka stają jestestwa niebieskie, to tem bardziej wszystko ziemskie: człowiek sam ma osądzić i orzec, jaka myśl etyczna spoczywa w Dobrem. Pomocnicą człowieka w tej sprawie ma być filozofia obyczajna. Twórca jej, jako umiejętności, Kant *(sic!)*, oparł ją na samorządzie woli. Sołowiew nie powtarza tego, co Kant pięknie rozwinął, obraca myśl w inną stronę Dobra i bada jego „wszechjednię“.

Do wszystkich istot rozciąga się jedno prawo Dobra, które

każdemu żyjątku powtarza rozkaz swój zawsze jeden i ten sam, a wszelakie jestestwo spełnia ten rozkaz bez oporu, każde podług sił swoich. Protozoa ślepo lgną ku temu albo owemu ustrojowi żywotnemu, tamtego albo owego unikają: w jednych posiadają swoje dobro, od drugich im grozi zło. Wyższe odmiany zwierząt widzą, słyszą, czują; już więc nie na oślep pędzą swój żywot, przeto tem wyraźniej wybierają dla siebie między tworami różnorodnemi te, w których znaleźć mogą swe dobro, odtrącają owe, które im grożą złem. Człowiek wreszcie w tej ocenie dobra i zła przechodzi poza okresy chwilowych uczuć i miejscowych wrażeń: wstępuje wyżej aż do ogólnego pojęcia, do rozumnej świadomości o dobrem i złem.

Człowiek tedy tworzy etykę, to znaczy: rozwija pojęcie Dobra, nabyte pracą na doświadczalnem polu i wznosi z niego budowlę, do której kamieni dobiera z zapasów, zgromadzonych w nim samym, we wnętrzu własnej istoty, nie szukając ich poza swojem jestestwem; słowem, mówiąc językiem szkoły, buduje etykę aktem imanentnym, do którego nie potrzebuje znać jestestw postronnych ani rozwiązywać o nich zagadek filozofii przestępnej. Czy poza nim co istnieje, czy tylko jego własny odblask rozpostarty na mgle nicestwa wygląda na jakieś „nie ja?“ Czy działa człowiek samowładnie, jako pan własnej woli, czy spełnia czyn wszelki jak bezwładne kółko w machinie wszechświata, w której jedynie siły konieczne występują i wydają skutki matematycznie obliczalne? Te i tym podobne rozprawy bynajmniej nie obchodzą człowieka, który tworzy swój układ pojęć etycznych. Powiada on sobie: czy istnieje jaki mój bliźni, czy też może ja sam jeden stanowię świat cały; w każdym razie należy mi bliźniego miłować, a nie należy czyhać na jego życie, bo sama w sobie miłość, to uczucie dobre; sama w sobie chęć czyjegoś zabójstwa stanowi sprawę złą: więc choćbym miłował mrzonkę, przecie pielęgnować dobrego uczucia miłości nie przestanę w sercu; choć zabójczy cios z mojej ręki paśćby miał nieszkodliwie na martwy wytwór mojej wyobraźni, mimo to jednak nie przyzwolę na myśl o zabójstwie, by nie popełnić czynu złego, chociażby on był pozbawionym treści.

Podobnie rozstrzyga sobie spór o wolę; czy mogę, czy nie mogę sam z własnego wyboru bez zewnętrznego przymusu równie dobry spełnić czyn, jak go zaniechać: to mnie nic nie obchodzi; twierdzę tylko (wyraźnie to p. Sołowiew wyznaje na str. 28), że przy działaniu moralnem niema takiej swobody, którąby mi pozwalała zależeć wyłącznie od własnej woli i z jej tylko wyboru przystać na czyn, albo go w danym razie zaniechać. W działaniach moralnych wola jest tylko pchniętą i skłonioną do czynu. A cóż ją pcha i skłania? Samo pojęcie dobra, sam zakon obyczajności, który bynajmniej nie od woli zależy, lecz od którego na odwrót zależy wola. Darmo rozumować, że jedno i to samo pojęcie, jedną wolę popchnie do czynu, drugiej nie ruszy: więc wola sama rozstrzyga o czynie. Jeśli na inną dziedzinę myśli przeniesiemy ten zarzut, wnet odkryjemy w nim błahy tylko sofizmat: jeden i tenże sam kij, uderzając w kulę na bilardzie ruszy ją z miejsca, a na promieniu słonecznym nie wywrze żadnego skutku: więc czyż ruchome samo rozstrzyga o ruchu?

Aby jednak pojęcie dobra wywarło skutek na woli, potrzeba nadto, prócz jasnego pojęcia, także woli zapalnej. Rzecz jasna, wbrew mniemaniom jednostronnych szkół etyki, że w braku jednego z tych dwóch czynników, drugi nie wystarczy do czynu obyczajnego.

Kiedy moralna podnieta staje z pojęciem jasnem przed wolą zapalną, tedy działa tak niezawodnie, jak każda inna przyczyna. Przypuszczam, że przyjmuję zakon moralny z całej duszy: taka ochota do dobrego, to już mój przymiot, a nie przelotna zachcianka; czyn dobry nastąpi wówczas nie z nieobliczalnej swawoli, ale niezbędnie. Lecz czyż nie można znaleźć jestestwa, któreby przy najjaśniejszem pojęciu dobra zdołało uledz wręcz przeciwnej zachciance obierając zło? To pytanie należy do najciemniejszych głębin metafizyki. Nim odpowiemy na nie, wypada nam zbadać, co w sobie zawiera pojęcie dobra i co z niego wypływa.

Pojęcie dobra przybrać może rozmiary wszelakie: może ono ogarnąć w sobie całą dziedzinę czynów bohaterskiej cnoty,

może poprzestać na kilku najistotniejszych pierwiastkach, aby z nich wzrost czerpać, nakoniec wzbogacić może swoją treść wszelkiemi odcieniami całkowitego pojęcia.

Cóż jednak stanowi początkową treść i najistotniejszy pierwiastek w pojęciu dobra?

W dziedzinie fizyologii etyka dotychczas nie szła w zawody z medycyną, ani też za przedmiot swych badań nie poczytywała takich aktów fizyologicznych, o jakich przyszły lekarz musi słuchać wykładu w prosektoryum albo klinice, którego jednak nie powtórzy w bawialnym pokoju przed gośćmi z dobrego towarzystwa. Również nie na każdą rozprawę sądową stoją dla wszystkich otworem podwoje. W takich to aktach fizyologicznych etyka według p. Sołowiewa spotyka swój pierwszy objaw, nie szukając dla nich miejsca zasłoniętego. Ten jest początkowy pierwiastek w pojęciu dobra.

Słowem: uczucie wstydu walczy z przyrodą fizyologiczną i jej prawem brutalnem; w chwili tej człowiek spostrzega, że ze stanowiska wysokiego spadł, ale na tym poziomie najmniej wzniosłych obowiązków podnosi w górę czoło: dosięga wyżyn moralnej samowiedzy.

Na żaden inny pożytek nie służy to poczucie wstydu, tylko do tego zmierza, aby wykrzesać pierwszą iskrę moralnego światła. Wstyd najjawniej i najgłośniej mówi *virginibus puerisque;* gdyby głos jego miał służyć na co innego i inny wydać skutek, byłby bez pożytku, i owszem, szkodliwy, tak dla osoby, jak dla rodu ludzkiego. Kiedy zabiera głos, jeszcze nie czas mówić o niczem; po wszystkiem, już nie czas mówić o wstydzie: więc jakiż z niego pożytek inny, jak nie ten, aby rozniecić samowiedzę moralną?

Ten to pierwszy początek pojęcia o dobrem do swojego wzrostu potrzebuje przybrać jeszcze dwa inne pierwiastki: litość i religijność. Te ostatnie pierwiastki etyki nie stanowią jej żywiołów równie zasadniczych, jak wstydliwość. Jedna tylko wstydliwość wyróżnia człowieka od zwierząt: jeśliby kto pokazał zwierzę wstydliwe, widzielibyśmy początek przedmowy do ludzkiej istoty; a chociaż znamy zwierzęta litościwe i religijne (tak

je nazywa autor), to mimo wszystko, nie przestajemy w nich widzieć nic więcej, jak tylko zwierzęta. I nie zmieniamy tego sądu, nawet mimo zdumiewających niekiedy czynów, jakie spotykamy u psa i małpy, a także i lwa.

Ta trójjednia uczuć wyczerpuje dziedzinę stosunków człowieka do wszystkiego, co pod nim, co jemu równe, co nad nim istnieje. W ł a d z a nad materyalną wrażliwością, s o l i d a r n o ś ć z żywemi jestestwami, p o d d a n i e s i ę pod istniejącą ponad człowiekiem istotę — oto wieczne, niezatarte podstawy obyczajnego żywota w człowieczeństwie.

Każdy z tych trzech pierwiastków potrzebuje bliższego rozbioru, jeżeli ma tworzyć jasny czynnik w świetle etycznem.

Wstydliwość tworzy zasadę ascetyczną, a dochodzi do niej po stopniach nowej trójjedni: przez wnętrzne odróżnienie się ducha od ciała, przez rzeczywiste odgraniczenie się ducha w swojej od ciała niezależności, przez zdobycie władzy ducha nad ciałem. Najprzód duch powie: nie jestem tem, co oddycha i co śpi. Zatem mówi człowiek: nie działam rozumnie, jeżeli oddycham mimowolnie i śpię, gdy czuję tego potrzebę; niech oddech słucha moich rozkazów, a sen niech zależy od mojej woli. I wychodzą rozkazy, po pierwsze: ustom nie wolno służyć do oddechu; powtóre: wciągać oddech powinien nos; po trzecie: na oznaczony przeciąg czasu trzeba wstrzymywać oddech. Także nad snem człowiek silną wolą zdobywa trzy stopnie władzy: po pierwsze: nie dopuszcza samowolnego początku snu, powtóre: umie przebudzić się w chwili postanowionej; tych dwóch stopni niezbędnie wymaga duchowna hygiena; po trzecie: osiąga siłę ducha, którą objawiają sny prorockie.

Przykład świni i gąsienicy naocznie pokazuje nam, że przewaga materyi nad formą pochodzi ze zbytku pokarmu. Tym przykładem pouczeni asceci zadają sobie post, tak co do ilości pokarmu, jak co do jego jakości. Względem ilości nie można stawiać prawideł ogólnych, tylko względem jakości weszła w zwyczaj zasada, że naruszają post mięsne potrawy, bo mięso, jako strawniejsze, więcej zasila krew i wzmacnia żywotne soki ciała z uszczerbkiem dla władz ducha. Drugi jeszcze powód wstrzy-

muje ascetów od pokarmu mięsnego, powód altruistyczny, mianowicie: litość nad zwierzętami.

Prócz pokarmu, gorący napój znajduje przeciwnika w ascezie; ale jednostronnie potępiać go nie należy. Wogóle napój podnieca nerwy, więc na złe wychodzi tam, gdzie znajduje nizki stopień duchowego rozwoju, bo tam przewaga władz zmysłowych nad umysłem korzysta z podnieconych nerwów, aby w niewoli jeszcze srożej więzić ducha; ale gdzie duch zdołał przemódz zmysły, tam stan nerwów podnieconych napojem nie wychodzi na szkodę, owszem, może w niektórych razach wyjątkowo służyć na pożytek duchowi. Więc za ogólną zasadę wypada przyjąć prawidło: zachować duchową trzeźwość i jasność poznania.

Tu następuje po raz wtóry rozprawa fizyologiczna, mająca na celu doprowadzić do surowego wniosku, że głosowi wstydliwości wtóruje sumienie jak najzgodniej zabraniając zarazem i to bez żadnych wyjątków wszystkiego, o czem czysty duch sam nic nie wie. Wszystko to, choćby służyło nawet dla postronnych zamiarów ku pożytkowi człowieczeństwa, przecie, w swojej istocie uważane, wykracza przeciw pojęciu dobra, jak trucizna, co mimo że niezbędna jest jako lekarstwo dla chorego, zawsze jednak zostanie w złym stosunku z hygieną.

Jeżeli najwyższa Wszechmądrość umie nawet ze złego wyprowadzić dobre: to zrządzenie takowe płynie z mądrości Boga i Jemu w danym wypadku obraca się na chwałę, nas jednak chociaż cieszy, ale nie usprawiedliwia bynajmniej. Jak tu, tak wszędzie złe powinno wyjść na dobre: nie przestaje jednak przez to nigdy różnić się od dobra.

Nie należy do rzeczy stadło małżeńskie ze swoją myślą wyższą, ów związek bezdzietny, który wkracza w dziedzinę tajemnic wiary: etyka poprzestaje na wyroku o tem, co rozum potępia jako złe.

Przepisy o oddechu i śnie służą za początek ascezy, aby wyćwiczyć wolę i wyrobić jej moc nad ciałem; dalsze przepisy o jadle, napoju i t. d. służą już, według Sołowiewa, dla ascetów lepiej zaprawionych do walki duchowej; na trzeci wreszcie sto-

pień wchodzą mocarze ducha, którzy nabytej wprawy i mocy używają do czynu. Ci dopiero toczą bój ze wszystkiemi zastępami zła: więc z najazdami zazdrości, z porywami zemsty, z wybuchami gniewu, z zapędami wszelakiego zła, sprzecznego z równowagą wewnętrzną.

Ascetyczny duch, który pokonał ciało, nie wystarcza w etyce. Tworzy wolę nieugiętą, ale taka moc woli może zarówno wystąpić w czynach złych jak dobrych, zarówno przerażać w Katylinie, jak zachwycać w Męczenniku. Chcąc przeto wydawać ludzi moralnych, a nie rozbójników, potrzebuje ona podać rękę drugiemu pierwiastkowi dobra: litości.

Aby sobie zdać należycie sprawę z tego, czem jest litość, należy ją zestawić z innemi uczuciami, poczytywanemi często niewłaściwie za litość, a przecież zupełnie różnemi od niej.

Współczujący przyjaciel dzieli smutek przyjaciela i wspólnie z nim doznaje goryczy w dzień jego nieszczęścia, kiedy zaświta dzień ziszczonych nadziei, obaj przyjaciele czują jednakową słodycz: dla jednego wybiła godzina wesela, ale i dla drugiego jest ona godziną szczęścia i oba serca jednako weselem biją. Jednakowy uśmiech wypogadza twarze obu przyjaciół i trudno poznać, który z dwóch dożył dnia swego szczęścia, który z dwóch opływa w pociechę z powodu szczęścia cudzego. Słowem, kto współczuje ze szczęśliwym, ten sam spędza słodkie godziny.

A spędzić słodką godzinę, to jeszcze dla etyki nic samo przez się nie znaczy; gorzką spędzić godzinę z powodu cudzego smutku, współcierpieć z sercem rozszarpanem z bolu i omdlałem w upadku ducha: to sprawa dla etyki nie tak obojętnej treści, jak udział w cudzem weselu. Współboleć ze smutnym ciężko dla samoluba; przykro zapominać o najświeższej miłej nowinie, dostroić struny serca do cudzych łez, oblec twarz wyrazem szczerego żalu, serdeczną okazać litość nad cudzym upadkiem moralnym albo nieszczęśliwą przygodą w kolejach życia. Więc kto zdolny do objawów litości, ten okazuje stan duszy czysto altruistyczny, a więc zawsze moralny i tylko moralny.

Nadto miłe współczucie ze szczęśliwym stanowi samo dla

siebie początek i koniec. Przeciwnie wygląda bolesna litość nad upadłym moralnie albo dotkniętym niedolą. Uczucie litościwego bolu rwie naprzód, wyciąga rękę z pomocą, szarpie grot w cudzem sercu i siły wytęża, aby wydobyć stamtąd raniące ostrze pocisku: słowem, wprawia w wir walki, wprowadza wolę w czyn, uszlachetnia wyobraźnię, rozpala serce ogniem, który, gdy raz zapłonie i przetrawi jądro samolubstwa, wówczas już daje rękojmię najbezpieczniejszą, że człowiek litościwy nie zstępuje z drogi właściwej w stosunkach swoich z drugimi. Postępuje względem innych etycznie, chociażby nawet w zasadzie wątpił, czy kto prócz niego istnieje na świecie.

Ale nie na litości koniec: z nią w parze asceza prowadzi człowieka po drodze etycznej, jednakowoż nie doprowadzi do kresu, ani nawet nie doprowadzi daleko bez trzeciego pierwiastka etyki: bez religijności.

Więc o religijności mowa. A cóż o niej powie nowego p. Sołowiew? Na każdym kroku pochód jego myśli obiera nowe, nieznane pola, pełne wybujałej wyobraźni i wschodniego mistycyzmu.

Którędyż poprowadzi myśl, aby zbadać dziedzinę religijności?

Oto wprowadza do rodzinnego zacisza, gdzie matka poczyna zaprawiać kilkoletniego swojego chłopaka do zwykłej, najłatwiejszej domowej pracy. Malec oczyma śledzi każdy ruch matki, aby nie uronić żadnej wskazówki: na pogodnej jego twarzyczce jaśnieje ochota do roboty, do której ma po raz pierwszy dopomódz; oko jego, kiedy pada na rękę matki, zdradza wysiłek myśli, aby zrozumieć, jak ma za jej przykładem równie zręcznie jak ona przebierać drobnemi dziecięcemi paluszkami; kiedy czasem dziecko główkę od roboty podniesie, a oko jego spotka twarz matki, to już jakby nie mogło od niej wzroku oderwać, śledzi jej wyraz, i czyta na niej miłość serdeczną, i mimowoli twarzyczka jego przybiera wyraz czci i miłości gorącej, i daje po sobie poznać, że całą siłą uczucia przywiązało swoją duszę do tej, w której widzi swe wszystko, w której widzi, jak mówi p. Sołowiew, swoją opatrzność na ziemi.

Ten obraz dziecka, zapatrzonego w matkę, jako w opatrzność swoją, służy p. Sołowiewowi do wywodu, że religijność polega na uczuciu czci i miłości ku Opatrzności Najwyższej, co rządzi światem. Uczucie to w pierwiastkowym stopniu, przeziera już z oczu zwierzęcia domowego: pies je okazuje, kiedy wzrokiem szuka ręki pana, z której dostaje pożywienie. Na wyższy stopień wyrasta to uczucie w sercu dziecka, które widzi opatrzność wcieloną w matce. Przy braku ładu, jaki panuje w stadle małżeńskiem na niższym stopniu rozwoju społecznego, dziecko poza matką niema innej opatrzności: żyje w dobie stosunków matryarchalnych czyli ginekokratycznych. Później dopiero następuje doba patryarchalna: tylko niemowlę w kołysce przelewa całe uczucie religijne na matkę; kiedy już dojdzie do wieku, w którym się samowiedza poczyna budzić, natenczas spostrzega, że i jego matka zależy od rządów wyższej opatrzności, od ojca, karmiciela i podpory całego ogniska domowego: na ojca tedy w tym wieku dziecko przenosi cześć i miłość ku opatrzności wcielonej, ku ojcu zwraca religijne uczucie.

Lecz lata płyną a płyną, wiek za wiekiem prowadzi uczucia ludzkie na coraz wyższy stopień rozwoju. Zwolna dziecię coraz jaśniej uświadomione o kolejach żywota ludzkiego, poznaje śmierć, która mu zabiera ojca i matkę. Religijne uczucie obleka się w nową postać: sięga za bramy śmierci i na innym świecie szuka duchów ..odzicielskich, z któremi mimo rozłąki żyje złączone uczuciem religijnem. W tych warunkach poczyna to uczucie przybierać barwę właściwą: póki spoczywało na osobach widzialnych, póty nie podnosiło serca ponad widnokrąg stosunków codziennych, w krainę nadziemską; dopiero zwrócone ku duchom niewidzialnym zaczyna czcić istoty wyższe od siebie, odziane urokiem tajemnicy, silne potęgą nadludzką. Teraz dopiero wzrosło to uczucie do rozmiarów, w których stanowi czysto religijną cześć duchów opatrznych i dalszy rozwój jego polega już tylko na tem, że pomału z pomiędzy wielu duchów wyszczególni niektóre potężniejsze i wyższe nad inne, między temi wybierze znów takie, które uznaje za najgodniejsze czci, aż nakoniec całą religijność zwraca ku Opatrzności jednej Istoty

Najwyższej. W ten sposób staje człowiek na najdoskonalszym stopniu, urabia sobie pojęcie jedynobóstwa.

I gdzież rozumna przyczyna, aby inaczej wykładać religijną cześć dla ojca Zeusa albo dziada Perkuna? Następnie zadaniem jest teologii rozwinięcie takowych pojęć stosownie do stopnia oświaty w społeczeństwie.

Stanęła więc już budowla etyki na trzech filarach: wstydliwości, litości i religijności, albo na ascezie, altruizmie i pobożności. Należy teraz tę budowlę wykończyć, ozdobić, zastosować do użytku i oddać w ręce społeczeństwa. Nad tem pracuje p. Sołowiew w dalszych rozdziałach swojego dzieła.

Myśli świetne, rzucone na prawo i na lewo bez wielkiego namysłu, mają to do siebie, że zwracają łatwo uwagę. I nie żal nam i nie czuć nudów, kiedy wypadnie czytać książkę, pełną tych myśli świetnych, rzucanych jakby od niechcenia, jakby na los szczęścia. Padnie myśl taka szczęśliwie i stanie na własnych nogach? Czytelnik widzi to z uciechą i przyklaskuje pomysłowi, którego prawdę odczuwa, chociaż nie widzi dowodu. Padnie myśl taka nieszczęśliwie do góry nogami? Wówczas wygląda śmiesznie, rozweseli czytelnika, ale nie znudzi. Każdy rozdział książki, nawet dość niepocześnie ułożonej, zająć może, póki błyska nowemi myślami, choćby te myśli rzucane były na chybił-trafił. Czy na zgodnego czytelnika natrafi, czy też w nim przeciwnika znajdzie, w każdym razie nie znuży jego uwagi, nie każe wzdychać: ach, żeby to już koniec tej gadaniny!

Ale niech kto w rozmowie czy w książce zacznie drobiazgowo rozwijać każdy szczegół pomysłu, niepopartego dowodem, niech każe nań spoglądać i z góry, i z dołu, i z tyłu, i z przodu, i pod kątem prostym, i pod rozwartym, i pod ostrym, i pod każdym stopniem, o, to wówczas musi wykładać prawdę bardzo ważną i bardzo ściśle dowiedzioną, i bardzo doniosłą w każdem swojem następstwie, jeżeli przypuszcza, że słuchacz albo czytelnik nie podziękuje za dalszy wykład i nie zwróci uwagi na inny przedmiot, rzeczywistszy od pomysłów wiatrem podszytych.

Treść rozdziałów o trójjedni pierwiastków etycznych może utrzymać uwagę czytelnika widokiem krajobrazu nieznanego

zupełnie, na tle którego autor wywołuje postaci wielkich poglądów na istotę życia moralnego. Nie każda z tych postaci wyjaśnia należycie, skąd przybyła, ale nagłe zmiany w ich grze urozmaicają widownię, wcale nie nużą. Dopiero dalsze rozdziały zaczynają powolnym krokiem rozwlekły pochód myśli, opisując drobiazgowo, w jaki sposób każda z cnót obyczajnych albo Boskich wchodzi w zakres, objęty pojęciami pierwotnemi ascezy, altruizmu i religijności. Tak tedy nużą już uwagę rozbiory, nagromadzone w rozdziale o cnotach. Na każdym kroku czytelnik zarzuca mimowolnie nowej etyce dylemat: albo poważnie rozumie swój obowiązek, tedy powinna była na silnych podstawach opierać swoje filary i nie z wiotkiego eteru je tworzyć; albo ta etyka nie rości sobie praw do pracy umiejętnej, tedy wypadało ją dalej prowadzić po szlakach umajonych wyobraźnią. Niechby już tak do końca tej etyki marzyła słodko płodna wyobraźnia: nie raziłoby takie przeciwieństwo między rozdziałami o polotnym nastroju a drobiazgowemi rozprawami nad sprawą np. kłamstwa, popełnionego dla obrony niewinnych przed prześladowcą.

W rozprawie o mylnie podanych podstawach żywota obyczajnego razi brak ścisłych pojęć. Mowa tu głównie o dwóch zasadach, na których etykę opierają różne szkoły; jedni za miarę czynów obyczajnych podają ich pożytek dla społeczeństwa: to utylitaryści; inni rozpatrują w człowieku jego żądzę szczęścia wrodzoną i z niej wywodzą podział ludzkich czynów na obyczajne i nieobyczajne: tych nazywa p. Sołowiew bez różnicy eudemonistami albo epikurejczykami. Nazwa ma odpowiadać istocie rzeczy nazwanej, choć nie tak wyczerpująco, jak określenie, przecież na tyle dokładnie, aby z nazwy systemu filozoficznego można było wiedzieć, o jakim systemie mowa. Kiedy p. Sołowiew miesza nazwy eudemonizmu i epikureizmu, to tem samem nie pozwala odgadnąć, co myśli właściwie o takiej etyce, jak np. perypatetyczna, która, oparta na wrodzonej człowiekowi żądzy szczęścia, na daleko wyższy szczebel moralności zwraca oczy ludzkie, niż to zdołał sprawić Epikur swoim hedonizmem. Czy odróżnia p. Sołowiew Arystotelesa od Epikura? Czemuż jednym zamachem szabli chce obciąć głowy

obu filozofom, chociaż raz wymierzony na Epikura nie dotyka Stagiryty? Czyżby nie odróżniał obu szkół? W takim razie nie dziw, że z obu systemów etyki wybrał jakieś mgliste rysy wspólne i przeciw nim wymierza ostrze swoich strzał. Ale te rysy, jak widmo we mgle, nie okazują strachu przed pociskami i przeszywane niemi stoją jakoś dalej tak samo, jak stały przedtem. Walka przeciw kilku ogólnikom nie wyczerpuje sprawy. Rzuconemu pospiesznie szkicowi łatwo zarzucić luki, a przedewszystkiem wytknąć brak cieni; ale potępiony za te braki szkic może się stać arcydziełem, jeśli go wprawny pendzel wykończy. Perypatetyczne zasady etyki dawały najgłębszym umysłom Zachodu odpowiedź na najzawilsze pytania, ich następcom dzisiaj wskazują, gdzie leży prawda, podczas gdy inne systematy etyki stoją bezradne wobec najżywotniejszych kwestyj chwili obecnej; przeciw takim zasadom oczywiście może każdy, kto chce, podnosić zarzuty, bo i najoczywistsze, najświętsze prawdy znajdują przeciwników; ale nie może nikt uchodzić, nawet i w swoich oczach, za pogromcę całej etyki perypatetycznej przez to, iż wymierzył kilka pocisków na ogólnikowy zarys eudemonizmu.

Następny rozdział pod napisem: „Bezwarunkowy początek obyczajności“ odbija bardzo dodatnio od poprzednich. Tamte wlokły się ciężko, i tak ciężko, że zmuszały czytelnika spozierać na pierwszą stronnicę książki, by się przekonać, czy w samej rzeczy autorem tych rozpraw jest tenże sam Włodzimierz Sergiejewicz Sołowiew, który się tak wysoko umie wznosić ku prawdzie. Nowy rozdział natomiast napisany w ten sposób, iż pozwala od razu poznać lwa po pazurach. Nuży jeszcze wprawdzie ulubiony podział wywodów na trzy kategorye: na pierwotną prawdę, na jej przeciwieństwo, na zgodę prawdy z przeciwieństwem; mimo to jednak każe uwagę skupić tok myśli, godnych najdzielniejszego pióra. Kto wszakże zastał już te same myśli w poprzednich dziełach p. Sołowiewa, ten znajdzie niechybnie, że zbladły już one w obecnej formie i straciły na polocie przez balast darwinistyczny, przez odcień materyalizmu i przymieszkę transformizmu. Z tym bowiem prądem zgodnie płynąć zamierza teraz p. Sołowiew i bez oporu przyjmuje nawet zasadę, że „początki samo-

wiedzy i woli niewątpliwie istnieją we wszystkich żywych jestestwach". Taką siecią oplątawszy swoją myśl, mimo to jednak zajmuje ją jeszcze obrazami królestwa Bożego na ziemi, rozważając dziejowy pochód człowieczeństwa ku bramom, za któremi znajdzie to królestwo, i stawiając nakoniec bezwarunkową zasadę obyczajności w następnem prawidle:

Jedne istoty przyznają w drugich bezwarunkową wartość o ile 1) w nich widzą obraz Boży, i 2) zgodnie z wolą Bożą, przyjmują możebnie największy udział w dziele swojego i powszechnego udoskonalenia, aby ostatecznie odkryć królestwo Boże w świecie.

Po tych słowach, niby po zbytnim wysiłku pracy, następuje odpoczynek i znowu długi ciąg drobniutkich kroków na ścieżce rozbioru i śledztwa, o ile powyższa zasada idzie w parze z ową trójjednią pierwiastków, wynalezionych na początku. Spinoza i Ksenofont, przyrodoznawstwo i filologiczne uwagi, Szyler i Filo Żyd... pstrokato wprawdzie wygląda wszystko razem w gromadzie, ale ze wszystkich stron, wieków i przetworów myśli spieszy z pomocą, by podtrzymywać bezwarunkową zasadę etyczną. W potrzebie przyłączają się do nich sprowadzeni jednym pozwem: Mahomet, Savonarola, Luter, Kalwin, Ignacy Lojola, Foks, Swedenborg: „wszystkie potężne objawy ludzkiej przyrody".

W ten sposób dzieło dojeżdża do połowy swej drogi. Ogólna etyka zakończona wymaga teraz etyki szczegółowej. Objęły jej treść rozdziały pod nagłówkami: „Jednostka i społeczeństwo", „Obyczajna podmiotowość", „Obyczajna podwalina społeczeństwa", „Narodowościowa sprawa z obyczajnego punktu widzenia", „Osobowość z obyczajnego punktu widzenia", „Ekonomiczna sprawa z obyczajnego punktu widzenia", „Obyczajność i prawo", „Myśl wojny", „Obyczajny ustrój człowieczeństwa".

Ze samych nagłówków widać, że druga część dzieła licuje z pierwszą: obie jednakowo wybierają ze skarbca prawd etycznych po garstce zasad najprzydatniejszych autorowi na tło do obrazu, w którym ułożył własne poglądy. Tak powstał zrąb etyki ogólnej, na którym stanęło piąterko, niby wieżyczka z cho-

rągiewką i napisem na niej: etyka szczegółowa. Poglądy na jednostkę i społeczeństwo rozpatrują człowieka w jego stosunkach rodzinnych, państwowych i wszechświatowych, by mu zagrodzić drogę do samolubnego szczęścia, a popchnąć siły do pracy obywatelskiej. Nie przychodzą tu szczegółowe przepisy, w jaki sposób ma człowiek spełnić swoje posłannictwo społeczne; idzie o to jedynie, aby wykazać, że do takowej pracy etyka człowieka obowiązuje. Następnie obyczajna podmiotowość słyszy wyrok, że nic jej usprawiedliwić nie zdoła. Ale za tem nie idzie, aby człowiek miał być pochłoniętym przez społeczeństwo, jako jednostka tracić swoje prawa, karmiąc niemi państwowego Molocha. Państwo nie ma pożerać jednostki, ono oprzeć swoją budowlę powinno na zasadzie, że osobistość jednostki posiada znaczenie bezwarunkowe, więc nikogo nie wolno odzierać z dostojeństwa człowieczego; wyrazem tej zasady ma być wewnętrzna a swobodna zgoda między wszystkiemi — oto jedyna obyczajna podwalina społeczeństwa.

Narodowościowa sprawa z obyczajnego punktu widzenia znalazła tę samą odpowiedź teraz, jak w dawniejszych utworach pana Sołowiewa. Narody powinny jak najbardziej rozszerzyć swojego ducha i po to wydawać ze siebie perły, aby wspólnemi siłami urobić najozdobniejszy wieniec na czoło człowieczeństwa. Tę myśl zdradzają dzieje każdego narodu, a niektóre z nich nawet świetnie ją okazują. „Szeroki idealizm polskiego ducha, wrażliwego na cudze wpływy aż do zachwytu i entuzyazmu, stanowi charakterystyczne znamię, zbyt oczywiste. Uniwersalizm Polaków zasłużył im ze strony ograniczonych nacyonalistów na zarzut ‚zdrady Słowiańszczyzny'. Ale kto zna koryfeuszów polskiej myśli — Mickiewicza, Krasińskiego, Towiańskiego, Słowackiego, ten wie, jak wielka siła narodowego geniusza wystąpiła na jaw w ich uniwersalizmie. Co dotyczy naszej ojczyzny — ciągnie rosyjski pisarz — to w kimże dotychczas wcielił się świetniej i silniej ruski narodowy duch, jak nie w tym carze, który własną ręką na zawsze rozbił naszą narodową wyłączność, i nie w tym poecie, który władał osobliwym darem ‚wcielania się' we wszystkie postronne geniusze, zostając całkowicie ruskim?

Piotr Wielki i Puszkin — dość tych dwóch imion, aby przyznać, że nasz narodowy duch rzeczywiście wstępuje na dostojne stanowisko jedynie przez udzielanie się wszystkiemu, co ludzkie, a nie przez zasklepianie się w sobie".

Między poglądami p. Sołowiewa znalazły także miejsce ekonomiczne stosunki, którym za podstawę służy zasada, że materya ma prawa do swojego uduchownienia. Ekonomiczna sprawa w krajach przemysłowych stanęła na drodze niebezpiecznej. Groźnym stosunkom zaradzić zdoła etyka, bo z jej punktu widzenia „praca jest współdziałaniem ludzi w zakresie materyalnym, a współdziałanie takowe, zgodnie z wymogami etyki, powinno zabezpieczyć wszystkim i każdemu niezbędne środki do życia według stanu i do wszechstronnego udoskonalenia się, a za ostateczne zadanie ma: przeobrazić i uduchownić materyalną przyrodę". Szczegółowe wskazówki w tej mierze należą do ekonomii, nie do etyki.

Jeszcze jeden i drugi rozdział, niezawierający nic nowego, np. o wojnie, o której każdy zna zasady autora.

Więc dobiegła do końca księga poważna. Kto ją przeczyta całą, może zapyta, czy autor przyspieszy druk dalszych dzieł z zakresu filozofii, zapowiedzianych na okładce, i czy te dzieła zwrócą na siebie uwagę tak, jak początkowe występy dawnego profesora Sołowiewa?

Ks. Konstanty Czaykowski.

LUD WESOŁKÓW W DAWNEJ POLSCE.

(Ciąg dalszy).

V.

Rozmaitość zawodów polskiego wesołka.

Wesołki. — Kuglarze i wzmianki o nich historyczne z XIV. i XV. wieku. — Wiła, szaławiła, szałaput, sowizdrzał, czarnoksiężnicy, Twardowski i skoromochy czyli niedźwiednicy.

Najpospolitszym wyrazem, posiadającym najobszerniejsze znaczenie, jest wesołek, wesołko, wesołuch, który po wielu stronach, w czasie obrzędów weselnych, z wiechą w ręku, dziwacznie przebrany skacze i śpiewa przed drużyną gości [1]. Gdzieindziej jest nim „pierwszy grajek weselny, wysokie stanowisko i szacunek w hierarchii godowej posiadający. W Sandomierskiem — powiada Kolberg — wesołuchowi cześć prawie oddają“ [2].

W języku piśmiennym wesołek lub z ruska wiesiołek jest również dobrze znany. Linde określa jego znaczenie przez niemieckie *Lustigmacher*, *Spassmacher*, *lustiger Bruder*. W pokrewnych językach słowiańskich powtarza się wesołek w mniej lub więcej podobnych formach, co polski wesołek, w słoweńskim występuje obok *veselnik*, *naśladnik;* Mikołaj Rej w „Wizerunku żywota człowieka poczciwego“ tak ich wspomina:

[1] K. W. Wójcicki, „Obrazy starodawne“, I, 155. — W. A. Maciejowski, „Polska“. III, 251.

[2] Zbiór wiadomości do antrop. kraj. I, 94. — P. Parylak, „Prowincyonalizmy“.

Oni wesiołkowie, co skakali z niemi,
Idą też gonionego nadobnie za niemi.

„Wesołek — jak mówi Maciejowski [1] — był duszą kiermaszowych zabaw: zewnątrz karczmy bawił on lud lazami (łażąc po linie i sztuki na niej pokazując), tudzież snując się wśród tłumu wiejskiej gawiedzi, przy odgłosie bębnów i fletów. W karczmie bawił skakaniem i śpiewem, do którego łączył niekiedy muzykę".

Inna nazwa „kuglarz" wywodzi się pośrednio od niemieckiego *Gaukler*, a w dalszem pochodzeniu od francuskiego *jongleur* i średniowiecznego łacińskiego wyrazu *ioculator*.

W słowniku łacińskim Knapskiego zowie się kuglarz, *histrio*, tak jak francuski glosaryusz z XI. stulecia histryona tłumaczy żonglerem [2], ioculatora tłumaczy Knapski (Thesaurus) wyrazem żartownik. W zabytkach językowych średniowiecznych polskich z roku około 1450 wyraz łaciński *magus* tłumaczony bywa na kuglarz [3]. Dopełniają tego objaśnienia słowa kaznodziei polskiego z r. 1462: „nie masz wierzyć w leki, w żegnanie, czary, w mierzenie, w kuglarstwa, czarnoksięstwa", lub jeszcze obszerniej w kazaniu z r. 1476: „Przeciwstawiają gody w Kanie, na których był Chrystus i Marya, naszym, na które zapraszają, ba gwałtem zaciągają lutnistów i kuglarzy, którzy umieją klaskać, tańczyć, nieprzystojne żarty stroić, brzydkie pieśni napiewać, bo gdzież brzydsze śpiewają niż tam, a Chrystus, a Marya i uczniowie stoją z daleka i patrzą na próżne półmiski; niema rządcy stołu, któryby młodych o ich obowiązkach nauczał" [4].

Husyta polski w kazaniu z przed połowy XV. wieku określa „hystryones, spylmany, *globorum uel aliorum* pylky *ludorum*, poszeszcze swǫtocraccze dluszniczy" [5].

---

[1] „Polska", III, 252.

[2] Julleville j. w. str. 17.

[3] A. Brückner, *Archiv für slav. Philologie*, XIV, 487.

[4] A. Brückner, „Kazania średniowieczne", w *Bibliotece warszawskiej* z r. 1891, I, 251, 252.

[5] A. Brückner, „Kazania husyty polskiego" w Pracach filologicznych t. IV, 572.

Z biegiem czasu miano kuglarza oznaczać nam zaczyna wyłącznie człowieka, przedstawiającego jedynie sztuki mamiące oczy swą nadzwyczajnością, wywołującego zręcznością zabobonną wiarę w nadprzyrodzone siły; jednak w słowie kuglować dochowało się nam do dziś dnia pierwotne jego znaczenie. Kuglować znaczy bowiem kuglarstwa stroić, błaznować, przedrwiwać, szydzić z kogo, krotofilić, pląsać i t. p. (Linde).

„Począł kuglować, plęsy stroić z szyderstwy wespół“, powiada Birkowski w „Żywocie św. Dominika“ [1]; lub toż samo Mikołaj Rej w „Wizerunku żywota człowieka poczciwego“ [2]:

Gdy Kupido dzieciątko swą strzałką rozdrażni,
Alić wszyscy kuglują, alić wszyscy błaźni.

Jakób Górski w „Radzie pańskiej“ [3] tak mówi: „jeśli też pan rad żartów, kuglów rad słucha, każdy o tym myśleć, w tym się ćwiczyć będzie, aby żartował i kuglować dobrze umiał“.

Przykłady te piętnastowieczne, jakoteż następnych stuleci wykazują, że w Polsce kuglarze byli nie czem innem, jak rodzonymi braćmi żonglerów francuskich.

Do poprzednio już wymienionych wcześniejszych wzmianek historycznych dodajmy teraz z XIV. wieku i późniejsze o żonglerach wspomnienia.

Już Kazimierz Wielki, którego miał był zabawiać sowizdrzał niemiecki Dyl [4], chować miał, według ludowych podań, błazna kmiecia, nazwiskiem Kura [5]. Niestwierdzoną historycznie opowieść ludową czynią prawdopodobną zwyczaje, zachowywane na dworze królewskim, podążającym za wzorami Zachodu. Ze źródeł dziejowych znane jest upodobanie królowej Aldony († 1339), żony Kazimierza Wielkiego, a córki Gedymina, w tańcach, zabawach i uciechach światowych. Gdy konno lub w kolasie ru-

[1] Kraków 1626, str. 88. — Toż samo Knapski Thesaurus, Kuglarz figlarz, skoczek; kuglowanie = plęsy, skoki.

[2] Kraków 1564, str. 29 b.

[3] „Biblioteka pisarzów polskich“, wyd. Akad. umiej. t. XXI, str. 133.

[4] W. A. Maciejowski, „Polska“ IV, 380.

[5] Wójcicki, j. w. I. 164.

szała z dworem w drogę, poprzedzał ją odgłos bębnów, muzyka harf i skrzypków, rozmaitego rodzaju granie i śpiewanie [1].

Wesoło i hucznie odbywały się za tegoż króla gody weselne u mieszczan krakowskich, to też gdy król ukraca r. 1336 zbytek, przy tej sposobności rozwijany, powiada:

In super volumus, quod in ipsis nupcijs octo Ioculatores habeantur et non plures cantantibus et loquentibus canciones qui Rymarij dicuntur necnon vendentibus Unroth ab ipsis exclusis penitus et eiectis“ [1].

Tak ustawodawstwo świeckie, jak i kościelne żywo powstawały przeciw rozwielmożnieniu się zamiłowania w żonglerskich zabawach.

Konstytucya uniejowska z roku 1326 poleca gorąco duchownym, by nie oddawali się takim zajęciom, „które nie przystoją godności i powadze ich stanu, w szczególności histryoństwu i kuglarstwu. Przykazuje nadto, by duchowni żadnego nie brali udziału w widowiskach i zabawach „publicznych“ i „co za tem idzie, pod karą klątwy nie dawali datków“: kuglarzom *(ioculatoribus)*, histryonom, goliardom i bufonom.

Również i synod kaliski z roku 1420, zakazując udziału duchowieństwa w tańcach lub widowiskach publicznych, wzbrania mu zajmowania się nieprzystojnem drugich zabawianiem, a więc igrą [3].

Lubił się namiętnie zabawiać grą lutnistów i kuglarzy król Władysław Jagiełło i tę namiętność przyganiał mu wprawdzie kardynał Zbigniew Oleśnicki [4], ale i znakomity dostojnik Kościoła hołdował przyzwyczajeniom i modzie swego wieku i chętnie, może nawet więcej, jak dostojeństwu jego przystało, cieszył się

---

[1] *Mon. Pol. hist.*, II, 860. — Długosz, „Dzieje“ II, 181.

[2] Dr. Fr. Piekosiński, „Kod dypl. m. Krak. I, 371, por. rozdz. poprzedni o żakach.

[3] Por. ks. J. Fijałek j. w. str. 214.

[4] Maciejowski j. w. IV, 380. — M. Wiszniewski, „Hist. lit. polsk.“, III, 435, słowa Kallimacha: „Histrionis et ridiculis hominibus plusquam pro professione liceret delectabatur“.

sam widokiem histryonów i śmieszków. W wydatkach miasta Kazimierza (przy Krakowie) z r. 1388 z okazyi, zdaje się, uczty danej na przyjęcie Władysława Jagiełły, wracającego z Litwy, znajduje się zapiska:

Ioculatoribus Venceslao cum socio ad honorationem Domini Regis dedimus 1 marcam [1].

Ciekawa notatka, bo ów kuglarz Wacław ma przy sobie towarzysza czyli jakbyśmy go dzisiaj nazwali, czeladnika; jeżeli więc się nie mylimy, w tem znaczeniu go pojmując, to on jest mistrzem swego cechu [2], kształci młodych adeptów swego kunsztu. Nagroda zaś mistrza niezwykle wysoka, bo grzywnę całą ówczesnych pieniędzy wynosi.

Zapiska zaś krakowska z r. 1441 daje nam inną, nie mniej charakterystyczną wiadomość o krakowskim kuglarzu:

Raphael Taraschko, Rutenus, ioculator D-ni supparii ius habet, sed non literam neque pecuniam dedit [3].

Owóż ten kuglarz, zda się, nadworny pana żupnika krakowskiego, Mikołaja Serafina z Barwałdu [4], to Rusin, jak Rusinami byli lutniści nadworni Jagiełły, a jakiś wywłoka, Bóg wie skąd, boć wylegitymować mu swój ród niepodobna, a hołysz, bo i pieniędzy nie ma, by prawo miejskie opłacić.

W sąsiadujących z Polską dzierżawach Zakonu niemieckiego każdy komtur chował przy sobie kuglarza, dopiero po pokoju toruńskim w r. 1466 już tylko jeden wielki mistrz trzyma go na swoim dworze.

Wielki mistrz krzyżacki Russdorf ma błazna, nazwiskiem Hennego, którego pożycza wielkiemu księciu litewskiemu Witołdowi w r. 1426 na wyprawę pskowską. Henne, odbierając policzek za zbyt zuchwały dowcip od Witołda, chełpi się nim

---

[1] A. Grabowski, „Skarbniczka naszej archeologii", str. 202.

[2] Podobnie zatem jak francuscy żonglerzy i minstrelowie, którzy w 1321 r. tworzyli w Paryżu korporacyę regularną, podzieleni na mistrzów i uczniów, ze swą gospodą przy rue des Jongleurs później rue des Ménétriers i swoim kościołem. (Julleville j. w. str. 27).

[3] A. Grabowski j. w. str. 202.

[4] Dr. Kazimierz Federowicz. „Dostojnicy i urzędnicy świeccy województwa krak." w Archiwum kom. hist. t. VIII, 155.

i twierdzi, że na rycerza został pasowany. Pełni też a raczej gra w następnej księcia wojennej wyprawie rolę rycerza; mianowicie przez pierwszą dnia każdego połowę przywdziewa zbroję, a drugie półdnia poświęca służbie błazeńskiej — a prócz tego pełni on jeszcze inną służbę, ale nie dla księcia, lecz służbę szpiega zdradzieckiego Zakonu, któremu szle dokładne relacye o stosunkach na Litwie. Tymczasem cieszą się na dworze litewskim z kuglarskich jego sztuczek, suto go darzą, to Witołd szubą kunami podbitą, to znów książe Zygmunt sztuką jedwabiu zyskuje jego względy, lub Świdrygiełło, gdy mu ofiaruje futro moskiewskie z kun pięknych [1].

Wiła zatracił już w początku wieku XVI. swoje, jakie mógł mieć pierwotnie, osobliwsze znaczenie. Nazwa ta z okresu między 1513 a 1523 r. obejmuje już ogólnie wszystkich zawodowych wesołków. W przepisach bractwa św. Franciszka powiedziane jest, że „nie mają też nic dawać kuglarzom albo też inszym wiłom, ani też mają przepuścić, aby kto z ich czeladzi co im dawał“ [2].

Z brzmienia słowa „wić się“ możnaby wnioskować łamane sztuki, jako pierwotne zajęcie wiły. Wiły robić znaczy szaleć, więc domyślać się nam wolno, iż mogły to być akrobatyczne ćwiczenia, zadziwiające swą szybkością. Może należał on do owych histryonów, wiszących u dworów książęcych: „Wiła w odzieniu strojnym i wielkiej wadze u pana, iż błaznował“ [3].

Oto jeszcze jeden przykład dla determinacyi wiły: „Przyszedł jeden wiła w nowe lato do biskupa łakomego, prosząc, aby mu dał złoty za kolędę; ten mu rzekł: iż szkoda złotego błaznowi. Potem on rzekł: więc mi daj grosz; rzekł biskup: a coś mi zrobił? Zatem wiła: dajże mi pieniądz; rzekł biskup: sromota biskupowi pieniądz dać. Tedy błazen: dajże mi księże miłościwy swoje przeżegnanie za kolędę“ [4].

---

[1] A. Prochaska, „Szkice historyczne z XV. wieku“. Kraków 1884, str. 254 i n.

Dr. Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler*. Berlin 1887, str. 127, 215.

[3] Linde, Ezop. 117.

[4] U Lindego cyt. Ezop 113.

Piotr Zbylitowski w „Rozmowie ślachcica polskiego z cudzoziemcem“ (Kraków 1600) mówi, że wiła chodzi w sajanie, to jest krótkiej sukni z przedu rozwartej [1].

Niedaleko pod względem znaczenia należy przy wile położyć szaławiłę [2], a następnie szałaputę.

Pod wpływem niemieckiej kultury zrodził się na ziemiach polskich Sowiźrał czy Sowizdrzał polski, jako przetłumaczenie niemieckiego Dila Eulenspiegla. Niewyczerpany w pomysłach krotochwilnik, popisujący się to płaskością żartu, to znów mądrością odpowiedzi, bawi gmin i panów i ma za swe godło zwierciadło, z którego przeglądają słabostki ludzie, i sowę, symbol wiedzy i mądrości, do jego też zawodu należała sztuka czarnoksięska i lecznicza. W XVI. wieku wychodzą z pod prasy drukarskiej wydania polskie: „Sowizrzała krotofilnego śmiesznego“ [3], a pamięć „Sowiźrała“ żyje dotąd w opowieści ludu [4].

Żonglerzy, a raczej nasi kuglarze, uprawiający sztuki magiczne, utworzyli z czasem odrębny zawód: czarodziejów lub czarnoksięzców. Bardzo on już blizko spokrewniony z ciemnym i tajemniczym światem ludowych wierzeń w czary [5], figle złego ducha, moce i zabawy wiedźm, czarownic i guślarzy wiejskich, których istnienie zapewno znacznie głębszej sięga starożytności.

W tym świecie kuglarskich czarodziejów żyje dotąd „w pamięci gminu unieśmiertelniony klechdami“ Twardowski. Człek, co nie błaznował, nie gburował, lecz jak mędrzec wschodni popisywał się zdobytą wiedzą, nauką zjawisk fizycznych, olśniewał prostaczków, a każdym krokiem okazywał, że jest człowiekiem z waszecia, u którego słowo nad wszystko stoi: szlachcicem. Na Krzemionkach krakowskich jest on zatopiony w swych księgach i optycznych doświadczeniach; w ludowej zaś opowieści

[1] W. A. Maciejowski, „Polska“, III, 51.

[2] Por. Linde.

[3] Maciejowski, „Polska“, IV, 376.

[4] Zbiór wiadomości do antrop. kraj. XI, 61.

[5] „Wisła“ VI, 398. Na Mazurach lud uważa komedyantów (linoskoków) za czarnoksiężników, którzy sprawiają omamienie.

„nie chciało mu się umrzeć, nie dlatego, ażeby chciał wiecznie używać rozkoszy, jak Faust niemiecki, lecz ażeby bujał sobie wesoło po świecie wolny i niczyją nie krępowany wolą, jako szlachcic polski, swobodne prowadzący życie. Twardowski umierał i zmartwychwstawał, starzał się i odmładniał wiecznie“ [1].

Kuglarze czyli żonglerzy nasi byli według wszelkiego prawdopodobieństwa, ludem przeważnie obcej narodowości. Jeden tylko rodzaj tych wałęsających się po całym świecie kuglarzy, przezwany niedźwiednikami, zdaje się być tutejszego pochodzenia.

Reja w „Zwierzyńcu“ [2] wyrażenie: „To już jako niedźwiedziem sobie im kuglują“, pozwala nam przekonać się, że zajęcie niedźwiedników w XVI. jeszcze wieku kuglowaniem się zowie.

Niedźwiednik nazywał się również skoromochem, lub później smorgończykiem (por. Linde), a zadaniem jego było wyuczyć niedźwiedzia tańców i sztuczek, które przy odgłosie muzyki produkował, wodząc go na pierścieniu czyli kolcu, zadziergniętym przez nos zwierza.

O używanym przez niedźwiedników instrumencie muzycznym poucza nas Sebastyn Klonowicz w słowach: „gdzie trąbią niedźwiednicy, tańcują niedźwiedzie“ [3], a następnie z XVII. w. przysłowie: „Zdechł niedźwiedź, więc o ziemię dudy i multanki“ [4].

Sebastyan Klonowicz opowiada w „Roxolanii“, jak Rusin z nienacka chwyta małe niedźwiadki, hoduje i sztuk rozmaitych uczy:

Kiedy mu trąbka zagrzmoce do ucha,
Zwierz się wypręża, i skokiem się chwali.
. . . . . .

[1] A. W. Maciejowski, „Polska“ IV, 385 i n.; stąd z ładnej monografii wzięliśmy cudzysłowem zakreślony ustęp o Twardowskim; porów. także O. Kolberg, „Lud“, ser. V, 21 i n., 24, 209, 213, gdzie obfity materyał etnologiczny o Twardowskim.

[2] Biblioteka pisarzów polskich, wyd. Akad. Um. t. XXX, str. 248.

[3] „Worek Judaszów“. Kraków 1600, str. 43.

[4] S. Adalberg, „Księga przysłów“, str. 334.

Posłuszny trąbie i skinieniom pana.
Już jako człowiek niby twarz umywa,
Już dziko pląsa jako gawiedź pijana.
. . . . . .
Tak po ulicach na pręcie łańcucha
Wiodą niedźwiedzia Rusinom na dziwo,
Tu fletnia jęczy, tu grzechotka grucha,
Trąbka uderza silnie a grzmotliwo [1].

Zimorowicz w sielankach wspomina, że „najwięcej u kozaków było skoromosów". Te przykłady wskazują nam właściwą ojczyznę niedźwiedników, o których Gwagnin powiada, iż ich w Moskwie skomorochami zowią [2]. Idą oni w świat daleki, szukając zarobku; roku 1502 ruscy niedźwiednicy zabawiają królewicza Zygmunta za jego pobytu w Głogowie [3].

Skomorochów zupełnie słusznie nazywa Linde śmieszkami i kuglarzami. Nie znam dzieła A. Famincyna: „Skomorohi na Rusi" (Petersburg, 1889), ale ze sprawozdania o niem w „Wiśle" [4] poznajemy jego treść, która daje nam pojęcie o zatrudnieniu skoromochów; grają oni i śpiewają po domach, szczególnie na biesiadach i weselach występują jako tancerze, rozweselają gawiedź, grając na ulicach i rynkach miast, po wsiach, na cmentarzach i polach. Co i u nas bywa, gdy nasze *Volumina legum* (p. 2996) przepisują, że „dudarze skoromoszy płacą każdy od siebie po 20 groszy". Następnie skomorochy ruscy przebierają się, występują jako śmieszki i żartownisie, chodzą z lalkami. Potwierdza ten szczegół nasz Falibogowski w „Dyskursie o marnotrawstwie i zbytku" (r. 1626) słowami: „Wasze to okazowanie równać można owym lalkom, co je zwykli skomorochowie ludziom na śmiechowisko ukazywać, a potym z niemi w pudło". Zaś Piotr Mohiła, metropolita kijowski w wydanem r. 1644 dziełku pod pseudonimem Pimina: „Litos albo kamień z procy prawdy cerkwie świętej prawosławnej ruskiej" rozsze-

[1] W tłumaczeniu Władysława Syrokomli, patrz „Przekładów poetów polsko-łacińskich" t. III, str. 54, rozd. XVIII.

[2] Por. Linde pod temiż wyrazami.

[3] A. Pawiński, „Młode lata Zygmunta Starego", str. 253.

[4] Tom IV, 236.

rza nam ową wiadomość w zdaniu: „znać, żeś nietylko djakiem ale i skomorochem bywał, ponieważ i kolendować umiesz“. Widocznie więc chodzili skomorochy również z szopkami.

Famincyn opisuje ich następnie jako figlarzy, niedźwiedników i przewodników innych zwierząt, jako linochodów, kuglarzy wróżbitów i znachorów. Wreszcie pisze o ich upadku, lekceważeniu i zaginięciu.

Skoromochy, jak z powyższego widzimy, nie byli niczem innem, jak żonglerami. Pochodzenie ich nazwy wyprowadza prof. Kirpiczników z greckiego języka, a wyobrażenie obrazowe skoromocha odnajduje we freskach kijowskich [1].

VI.

Igrcy i gędziebni.

Uwagi etymologiczne. — Igrzec a Spielmann, wiadomość o nich historyczna, udział w dramacie średniowiecznym. — Dziady-lirnicy, narzędzia gędziebne, dudarze i cymbaliści, serbowie oraz inni muzykanci.

Do zapomnianych już przezwisk średniowiecznych histryonów należy nazwa igrca, gygrzec, plur. gygrcy (łac. *ioculator* lub *histrio*) późniejsza zaś igracz (niem. *Spielmann).*

W wyrazie igrać w dzisiejszem znaczeniu mieści się znaczenie pustoty i zabawy swywolnej, wesołej i pełnej śmiechu. Linde wyraz igracz tłumaczy przez równoznaczną przezwę krotochwilnik, następnie idąc za dykcyonarzem Troca nadaje mu znaczenie teatralnego aktora. Oprócz tego w językach innych słowiańskich pojawia się nasz wyraz w tem samem znaczeniu; w słoweńskim oznacza tancerza, co niemniej znajduję charakterystycznem. W nazwie tej dają się odczuć niemal całe dzieje tego, tyle interesu w sobie mającego zawodu a nawet to uczucie wzgardy i lekceważenia, jakie dlań żywi późniejsze społeczeństwo, czego jasny dowód leży w słowach Leopolity: „staliśmy się shańbieni, sąsiadom na igrzysko i pośmiewisko“ [2]. Nie obojętną tutaj dla wyjaśnienia będzie okolicznością, że tkwi w nim dotąd pierwiastek dramatyczny.

---

[1] „Wisła“, VI, 458.

[2] Linde pod wyrazem: igra.

W ustawie o zbytkach z czasów Kazimierzowskich (z r. 1336) użyty został wyraz *ioculator*, w następnych zaś ustawach, już zredagowanych w języku niemieckim zastąpiony został przez *Spielmann* [1], jest on zatem wzięty w znaczeniu średniowiecznego żonglera i to tak kuglarską jak dramatyczną uprawiającego sztukę, co wynika z przykładów przytoczonych przez profesora Creizenacha w jego dziele o dramacie.

Głosy kazań średniowiecznych z r. około 1450 tłumaczą wyraz łaciński *histrio* wyrazem szpilman [2]. Na innem miejscu objaśnia kaznodzieja z połowy XV. wieku: „hystryones, spylmany, globorum uel aliorum pylky ludorum“ [3].

Zdaje nam się, że *Spielmann* w znaczeniu wyłącznem grajka, na instrumencie muzycznym jest już późniejszem przeobrażeniem. I tak w głosie kazania z r. około 1500 *ioculatores* przetłumaczeni zostali na szpilmanowie skrzypkowie [4].

Słowniczek łacińsko-polskich wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV. [5] tłumaczy *ioculatores* na piszczkowie albo igrcy, kuglarze, a więc zgodnie z tem, cośmy dotąd powiedzieli, można w nim domyślać się zawodu, który łączył w sobie umiejętność gry na piszczałce, skrzypcach lub innym instrumencie muzycznym ze zdolnościami naśladowania i wyśmiewania ludzkich błędów a częstokroć znajomością sztuk akrobatycznych.

Najdawniejszą wiadomość o igrcu przynoszą nam „Najstarsze księgi miasta Krakowa“ [6] pod rokiem 1311, kiedy jeden z owych średniowiecznych igrców *(Spielmann)* kupuje tamże dom.

Często musiały też się otwierać sakiewki mieszczan krakowskich dla igrców i inszego ludu wesołków, kiedy ustawa przeciwko zbytkom z 1468 r. znów nakazuje, by nikt nie ważył

---

[1] Dr. Fr. Piekosiński, „Kod. dypl. m Krakowa“, I, 456, §§ 51—74, (z r. 1468).

[2] A. Brückner, *Archiv für slav. Philologie*, XIV, 487, 490.

[3] A. Brückner, „Kazanie husyty polskiego“, w Pracach filol. IV, 572.

[4] *Archiv für slav. Philologie*, t. X, 385.

[5] Przedruk homograficzny z Kodeksu kórnickiego. Poznań 1875.

[6] Tom I, nr. 172.

się dawać pieniędzy kobietom, żakom ani pismakom, młodym jako i starym igrcom *(Spielmann)*, łaziebnikom i łaziebniczkom, ani też wszystkim innym, śpiewającym czy mruczącym albo milczącym, którzy obchodzą po domach na Boże Narodzenie lub inne dnie, pod karą 1 grzywny. Wyjątek stanowić mają księża i dzwonnicy, którym się daje ze zwyczaju [1].

Wiele fragmentów z ich krotochwilnych zabaw przeszło w gry i zabawy towarzyskie. Przykładów tego znalazłoby się bez wątpienia wiele, gdybyśmy ich szukali, nie chcąc jednak zbyt od rzeczy odbiegać zadowolnimy się przytoczeniem starodawnej gry dyalogowej szpaczków, w której dwóch żartownisiów Pankracy i Czechacz wpadali z trzaskiem do izby wszczynając żartobliwą kłótnię, za nimi zaś biegł chłop Walek i szpaczkował z nich sobie [2]. Za czasów Reja przebrany żartowniś staroświeckie z dziejów wyjęte naśladował osoby, to znów wesołe grono przebierało się w świeckie lub duchowne ubiory i biczowników kapice zabawiając się tańcem i pośmiewiskiem [3].

Najbliżej spokrewnionym wyrazem z igrcem a częstokroć jego synonimem jest pochodne gracz, tak w znaczeniu muzykanta, jak uczestnika jakiejkolwiek zabawy, stąd zastosowanie jego mogło być najobszerniejsze.

Kto wie czy nie należałoby u nas w Polsce uważać, przybywających tutaj dotąd muzykantów i śpiewaków czeskich, nucących rozliczne piosnki przy akompaniamencie arfy i skrzypiec, a z drugiej strony naszych lirników i kobziarzy, opiewających dawne dzieje lub pieśni nabożne, za dziedzictwo średniowiecza. Zdaje się, że tak jest i że istnieje tutaj widoczny duchowy związek między tak dawnemi a dzisiejszemi czasy. Pierwszy z tych objawów przybywa, jak widać po dziś dzień namacalnie, z prądem cywilizacyjnym od Zachodu z Czech, drugi zdawałoby mi się idzie z Bizancyum, stapiając się z zachodnią kulturą.

Dziady-lirnicy ruscy posiadają własną odrębną organizacyę na kształt średniowiecznego bractwa, odbywają w pew-

[1] Dr. F. Piekosiński, „Kod. dypl. m. Krak.“, I, 458, § 74.
[2] W. A. Maciejowski, „Polska“, III, 160.
[3] Tamże III. 211.

nych okresach czasu swoje zgromadzenia, na których wyzwalają młodych, wykonywują własną jurysdykcyę połączoną z grzywną pieniężną, karą cielesną, czasowym zakazem wykonywania rzemiosła, kończącym się nawet rozbiciem liry i wykluczeniem ze swego grona. Co więcej posługują się między sobą tak zwaną „łebijską mową“, w której przeważną część stanowią obce pierwiastki zaczerpnięte z języków: łacińskiego, greckiego i rumuńskiego [1].

Kobziarze czyli bandurzyści małoruscy grając na kobzie śpiewają dumy, które posiadają wiele cech wspólnych z eposem starogreckim, byliną wielkoruską i epopeją serbską [2].

Narzędzia gędziebne. Jako instrumenta muzyczne średniowiecznych igrców, piszczków, skrzypków lub lutnistów może najsłuszniej należałoby uważać narzędzia dzisiejszych ludowych grajków. A więc byłyby niemi: fujarki, zwane dudkami lub piszczałkami, ligawki, surmy i trąby, kobzy [3], które zowią gajdami, dudą albo multankami, bardzo starożytne gęśle (wedle Gołębiowskiego, pospolicie o trzech strunach metalowych o które uderzano pałeczkami drewnianemi). W niektórych okolicach nazywają gęślą skrzypce, które znów przybierają nazwę psa lub zowią ich odmianę starodawną suką. Używano u nas i na Ukrainie liry i dawniej w powszechnem użyciu będące dziś rzadziej u ludu napotykane bębenki [4].

Oracya weselna na Kujawach wymienia: bas, skrzypki, szałamaje i dudy [5] jako zestawienie instrumentów muzyki wiejskiej. Kolęda wielkopolska prócz tych narzędzi wymienia jeszcze lirę

---

[1] „Wisła“ 1888, t. II, 611; t. IV, 249; t. VI, 476; wedle relacyi pana Waleryana Borżkowskiego.

[2] Fr. Rawita, „Szkice z dziejów twórczości ludowej dumy“. *Tyg. ill.* 1890, nr. 16—19 oraz „Wisła“ IV, 721, recenzya p. R. Lubicza.

[3] Jan Hanusz wyprowadza nazwę kobza od wyrazu tureckiego kopuz. Prace filol. I, 464.

[4] Por. artykuł pióra Jana Karłowicza, „Narzędzia ludowe na wystawie muzycznej w Warszawie“, („Wisła“, II, 431); następnie „Wisła“ III, 653 „O surmie“ przez L. M.; IV, 243 o muzyce łużyckiej i drobniejsze w t. IV, 248, 796; u Maciejowskiego, „Polska“ III, 136; Zbiór wiadom. do antrop. t. VIII, 272; Łukasz Gołębiowski, „Gry i zabawy“ str. 187.

[5] „Wisła“ VI, 81.

i gandziary[1]. A *Volumina legum* (V, 179) mówią: „skrzypkowie, cymbalistowie, dudowie i insza wiejska muzyka".

Dudkami zowią się również piszczałki w szereg zestawione, z jakiemi wyobraża starożytność bożków leśnych: „bożek Pan ze trzciny woskiem zlepione dudki zrobił, z nierównych piszczeli zrobione"[2].

Owi wspomnieni przez nas d u d o w i e, to identyczni z grajkami włóczęgami; lud to wzgardzony, każdy z nich: „zje za dwóch psów a wypije za dziesięć wołów"[3], stąd też Wacław z Potoka urąga im we wzgardliwem epitafium:

W tym grobie duda leży; dudy naleziono
A po śmierci na starej wierzbie obieszono;
Śmierć trochę uprzedziła, i opak się stało,
Bo co się dudom dzieje, to dudzie być miało[4].

Wzgarda, jakiej doznają cymbalista i dudziarz, jeszcze dosadniej maluje znaczenie nadane wyrazom duda lub cymbał; ciekawych odsyłamy do Lindego. A jednak dudziarz, to najbardziej wówczas pożądany gość, gdzie tylko ochota była do tańca lub śpiewu, gość godny nawet królewskiego ucha, bo oto w inwentarzu mieszkania królewskiego na Wawelu z r. 1736 znachodzi się jeszcze w skrzyni muzykanckiej koza z rogami, dudami i miechem, jako zapomniany tutaj instrument muzyczny, znany już z rękopisu miniaturowego heidelberskiego: *Minnesänger-Handschrift*[5]. Co do cymbałów, dodać nam należy, że w średnich wiekach zwią się babanami[6].

Bardzo często w źródłach pierwszej połowy XVI. wieku napotyka się na wzmianki o serbskich muzykach, śpiewakach lub serbskich skrzypicach[7], tak, że wyraz serb staje się współ-

[1] Zbiór wiad. do antrop. kraj. t VIII, 65.
[2] Linde wedle E. Otwinowskiego „Przemian Owidyuszowych".
[3] „Lekarstwo na uzdrowienie Rzeczypospolitej". W Krakowie 1649.
[4] Linde pod wyr. duda.
[5] A. Schultz, *Das höfische Leben*, wyd. drugie, I, 560.
[6] *Mon med. aevi* XV, 375, rok 1408.
[7] Por. Maciejowski, „Polska" III, 139, 140.

znacznem z gęślą [1]. Wałęsa się tych serbów u nas liczny bardzo zastęp, skoro *Volumina legum* (III, 468) przytaczają postanowienie przeciw nim skierowane: „Wiele rzeczy szkodliwych dzieje się w państwach naszych za przechowaniem Wołochów i Serbów nieosiadłych i luźnych; przeto zakazujemy przechowywać ich pod winą, która jest w prawie o przechowywaniu cyganów".

Zachodziłaby kwestya, czy to mowa o serbach łużyckich, czy też południowych. Otóż wszelkie prawdopodobieństwo skłania nas do pójścia za zdaniem Maciejowskiego, który wzmianki o tych śpiewnych muzykantach do Serbów południowych odnosi [2]. Poprzemy zdanie Maciejowskiego jeszcze uwagą, że na dwór Jagiełły r. 1415 przychodzą obok ruskich lutnistów, również muzycy kroaccy, więc jeszcze jeden dowód, że ów naród wędrowny z południowej Słowiańszczyzny przybywa do Polski [3].

Godne też przypomnienia są rachunki dworu królewicza Zygmunta [4], bo z nich widać, jak na jego dwór przybywają rozmaici muzycy. Gra tutaj organista Józek na organach, przychodzą piszczkowie polscy [5], niemieccy, szwajcarscy grając na piszczałkach samych lub z bębenkami, dmą w surmy i uderzają w bębny lancknechci, rusacy jazłowieccy przygrywają na skrzypkach, słychać grę starego krakowskiego skrzypka Raka na klawicymbale i organkach, grywa także na nich Wyrowski organista, jak również i na pozytywie, brzmi arfa i multanki lub smętnie w struny cytry uderzą lekkie palce dziewcząt.

Jak na królewskim dworze, tak i w starym grodzie podwawelskim pokaźne drużyny gędziebnych rozweselają umysł mieszkańców z okazyj najrozmaitszych uroczystości kościelnych czy świeckich [6].

---

[1] Por. Linde pod wyrazem Serb.

[2] J. w. III, 139.

[3] *Mon. med. aevi* t. XV. — Dr. Fr. Piekosiński, „Rachunki Władysława Jagiełły i Jadwigi", str. 457 i 459.

[4] A. Pawiński, „Młode lata Zygmunta Starego", str. 251—257.

[5] Knapski od piszczka zwykłego odróżnia „piszczka na stypie abo pogrzebnego".

[6] Por. Ambr. Grabowski, „Wiad. starożyt. o m. Krakowie", tudzież w „Rachunkach miasta".

VII.

Chwistów rodzaje.

Mimus, chwistowie, gwizdy, tur, turoń i mietelnicy. — Udział chwistów w roli dyabła w misteryach. — Rochwist, szermierze, krzepcowie i draby.

Średniowieczny *mimus* nazywa się po polsku wedle glos z połowy XV. wieku chwistem. Prócz tego w rękopisie z roku około 1450 wyraz łaciński *nebulones* przetłumaczono również słowem: chwistowie [1].

Obok chwista mamy jeszcze polskie równoznaczne wyrazy świst [2] i gwizd.

Na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem lub też po tych świętach chodzą po wsiach wieczorem gwizdy, tj. chłopcy przebrani w skórę za kozę, niedźwiedzia, konia, wiebląda, bociana lub wilka [3]. W Poznańskiem zwyczaj ten przywiązany jest do poniedziałku wielkanocnego, gdzieindziej do zapust [4]. Kazania średniowieczne wspominają, że przebierano się za tura, a zwyczaj ten dochował się dotąd po wsiach małopolskich, gdzie przebranego zwią turoniem [5].

W Krakowie i okolicach [6], w Kieleckiem, Pińczowskiem [7], Gorlickiem, Sądeckiem, Jasielskiem, jak i w Wielkopolsce [8], chłopcy wiejscy, w czasie od św. Szczepana do Trzech Króli, wiodą od chaty do chaty okrytego derką burą turonia z drew-

---

[1] A. Brückner, „Średniowieczne słownictwo polskie“ w Pracach filol. v, 42; następnie w *Archiv für slav. Philologie* xiv, 486; *Neue Quellen zur Geschichte der polnischen Sprache und Literatur,* tudzież *Bibliotece warsz.* z 1891, t. i, 243,

[2] Knapski Thes.

[3] Por. „Wisła“ iii, 732, viii, 268; Zbiór wiad. do antrop. kraj. ii, 7, 21, viii, 63. Maciejowski, „Polska“ iii, 235.

[4] Otto Knoop, „Podania i opowiadania w W. Ks. Poznańskiem“, „Wisła“ ix, 503, oraz Linde pod wyr. tur, przykł. z Fredry Ad.

[5] Por. Seweryn Udziela, „Lud polski w pow. ropczyckim“, w Zbiorze wiad. do antrop. kraj. xiv, 45. — Jan Świątek, „Zwyczaje i pojęcia prawne u ludu nadrabskiego“ w Materyałach antrop.-archeol. i etnograf Akad. Um. t. ii, 182.

[6] O. Kolberg, „Lud“ ser. v, 249 i nast.

[7] Zbiór wiad. do antr. kraj. iv, 105. ix, 6.

[8] Tamże. viii, 63.

nianym łbem, jakby końskim, ale z rogami, niekiedy skórką kudłatą obitym, a mającym oczy z czerwonego sukna. Czasami ma na łbie kawał kożucha czarnego. W szczękach zamiast zębów wbite gwoździe lub dwie stare podkowy, a z paszczy, wybitej czarnem lub czerwonem suknem, zwiesza się sukienny ozór czerwony. Za pociągnięciem sznurka z głuchym łoskotem kłapie szczękami, skacze i tańczy. U szyi wieszają turoniowi najczęściej dzwonek. Wszedłszy z towarzyszami do izby, wita się z gospodarstwem, kłania się, stroi figle, jak „uczony niedźwiadek", strasząc swą postacią, goni za dziewuchami, ucałować je pragnie lub drewnianym pyskiem but ściągnąć z nogi. Przygrywa mu przy tych krotochwilach jeden lub dwóch muzykantów, a inni towarzysze śpiewają piosenki turoniowe lub kolędy. Odzywając się do turonia, dają mu nazwę to misia, to bydlątka. Nabawiwszy się tak, wśród krzyku i pisku dziewek, oraz dziatwy, a śmiechu poważniejszych widzów, opuszczają chatę nasze wiejskie chwisty z okolicznościową piosenką na ustach.

Niewątpliwie w tych maszkaradach ludowych, które w dawnej Polsce były zabawą powszechną[1] mamy istotne mimy.

Nie są zresztą te zwyczaje nasze wyłącznie polskie, znane one i gdzieindziej, zabawa w tura znaną jest u Wielkorosyan, a pisarz rosyjski Sumców uważa je za resztki obyczajów pogańskich Rzymian[2] Oba wyrazy, tak tur (w średn. łać. *buballus*[3]) czyli żubr[4], jakoteż turoń są synonimem. „Wygląda jak turoń" znaczy czerstwo i silnie[5]. Rej powiada:

Każdemu się tak pewnie zda,
Iż co zacznie wszystko przetrwa,
Mniema człowiecza natura,
Iż tak zawżdy skakać tura[6].

---

[1] A. W. Maciejowski, „Polska" III, 209, rozdz. Maszkary.

[2] „Wisła" VIII, 621, IV, 246.

[3] A Brückner, „Średniowieczne słownictwo polskie" w Pracach filol. V, 28.

[4] Linde pod wyr. tur.

[5] S. Adalberg, „Księga przysłów", str. 708.

[6] „Zwierciadło" 236, b. (Linde j. w.).

Na Podhalu nazywają dzwonek owczarski turcaniem [1], gdzieindziej bębenek z dzwonkami zwie się turem [2].

Ślady o naszych chwistach przechowała nam historya bardzo skąpe i nadzwyczaj lakoniczne. Wilkierz rajców krakowskich z roku 1378 jak również z 1468 roku mówi ogólnikowo o śpiewakach i przebranych, którzy obchodzą na Boże Narodzenie i celniejsze święta domy mieszczan krakowskich [3].

Z tego postanowienia wypływa, że przebieranie się wiązało się wówczas z każdem znaczniejszem świętem.

Wzmiankę o podobnej igrze znajdujemy w rachunkach dworu królewicza Zygmunta, gdy w Głogowie 10 września 1503 r. przychodzą: kuglarze, by przedstawić grę ze smokiem i kolosem rodyjskim [4]. Rok przedtem nawiedzili byli królewicza 18 lipca chłopi niemieccy, grając coś w rodzaju kolosa rodyjskiego. W Budzyniu na Węgrzech „błażni“ zamaskowani z „koniem“ zawodzą w zapusty pląsy przed królewiczem [5].

Rej w satyrze z roku 1549 powiada: „wszystkoć to chwistowie“, wszyscy kuglarze czy igrcy, zaś w „Żywocie Józefa“ (wiersz 1530) „też mnie mało abo nic od tych waszych chwistów“, czyli do waszych igrów. Według słownika I. Mączyńskiego (z r. 1564) *mimus* jest błaznem, który wszech ludzi mowę, słowa, postać i obyczaje umie okazywać“; zdaje się, że albo Mączyński się myli, albo znaczenie mima inaczej już bywa w XVI. wieku rozumiane. Obok chwistowskiej sztuki kwitło jako jej dział osobny mietelnictwo, które było kunsztem miotania się po powrozach czyli linach, biegania i spuszczania

[1] Sprawozd. kom. językowej Akad. Um. t. IV, 315.

[2] Łuk. Gołębiowsski, „Gry i zabawy“, str. 222.

[3] A. Grabowski, „Starożytności polskie“ I, 100. — Dr. F. Piekosiński, „Kod. dypl. m. Krakowa“ I, 458, § 74.

[4] O kolosie rodyjskim por. Ł. Gołębiowski j. w. str. 122 i „Wisła“ na wielu miejscach.

[5] A. Pawiński, „Młode lata Zygm. Star.“ str. 255, 253, 262. — W powiecie inowrocławskim dotąd chodzą w zapusty chłopcy przebrani za konia, niedźwiedzia, kozła i w maskach, zaś dziewczęta za Turków, pustują oni i datki zbierają na wspólną zabawę w karczmie. („Wisła“ IX, 499).

się po nich (Linde), skakania z mietelnicą tj. kuglarską obręczą[1] i t. p. „Czarnoksiężnicy i mietelnicy, tudzież insi powsinogowie, ubiegając się za obiadami, jeździli od domu do domu, a za to, że się najedli i napili, widowisko z siebie współgościom dawali“ [2].

Zastanówmy się nad genezą chwistów polskich. Ważną, według naszego mniemania, jest rzeczą, że średniowieczne misterya uważają przedstawienie czarta za nieodzowny przydatek widowiska kościelnego, dla zbudowania wiernych i odstraszenia od grzechu. Poeci średniowieczni próbowali djabłu nadać kształty namacalne i wprowadzić na scenę tak dalece, że nietylko postać dyabelską pomieszczali w każdem misteryum religijnem, ale tworzyli nawet osobne dramata antychrystowe, które w XII. stuleciu zażywają już ustalonego znaczenia[3]. Roli dyabła podejmowali się wtedy świeccy chwistowie[4].

Stąd to pochodzi, że w przekształconych z intermedyów bachanaliach zapustnych[5] i wszystkich innych uroczystościach świątecznych pojawia się przebrany chwist, by straszyć swoim widokiem ludzi.

Czart wyobrażany bywa w średnich wiekach z głową zwierzęcą i ogonem, to też nic naturalniejszego, że nasi chwistowie w roli dyabła nakrywali głowę maską, przedstawiającą łeb zwierzęcy, a grzbiet ubierali skórą włosistą z ogonem. Ogon bydlęcy nazywa się inaczej chwost lub chwostek i prawdopodobnie będzie w ścisłym związku z wyrazem chwist[6]. „Gwizdać po kościele“ wiąże się tożsamością znaczenia z chłostą, chwostą = biczowaniem (patrz: Linde pod wyrazem chwościsty; Knapski, Thes. chwostam *v.* siekę biczem). Sięgnijmy jeszcze dalej. Świat

[1] Knapski, Thesaurus.

[2] W. A. Maciejowski, „Polska“ III, 160.

[3] Prof. W. Creizenach I, 78, 233.

[4] *Histrionibus et joculatoribus dare est demonibus ymolare.* Konstyt. bisk. przem, Piotra z r. 1450. Ks. prof. Fijałek j. w. str. 212.

[5] Por. M. Wiszniewski j. w. t. VII, 247, 248, 282 i n.

[6] W języku staropolskim jak starosłow. wyrazy: gwozd, gozd, starosłow. gvozdъ oznaczały las. (L. Malinowski, „Studya nad etymologią ludową“. Prace filol. I, 272).

starożytny stworzył demoniczną postać satyra, mieszkańca głębi leśnych, bożka lubieżnego, którego wyobraźnia i sztuka starożytna rysowały z koźlimi uszami i rogami, z ogonem i na nogach koźlich. Nie wiele odbiegła od tego wzoru wyobraźnia świata chrześcijańskiego, tworząc potworny obraz czarta.

Jakkolwiek dyabeł przybierał najrozmaitszą postać, na pół ludzką i na pół zwierzęcą, to jednak najpospoliciej i najdawniej przedstawiony bywa z kopytami, ogonem i rogami koźlemi. Tak samo też i lud nasz z dawien dawna wyobraża sobie czarta[1], a to przedstawienie chwistowskie k o z y w Krakowskiem, Lubelskiem i t. p. będzie jego najstarszą kreacyą. Przy śpiewie i muzyce skacze wtedy przebrany chwist w takt i straszy szczękając paszczęką[2]. Interesującym w tym względzie jest szczegół, że w Poznańskiem lud wiąże całą seryę podań i opowiadań z postacią błazna dyabelskiego[3], jakby postać starożytna m i m a i d y a b ł a zlewały się w jedno. Nazwa też gwizda i pogwizda znaczy w niektórych okolicach tyle co czart[4].

We wsiach wielkopolskich, jak pod Czarnkowem, obwożą w ostatni dzień zapust p o d k o z i o ł k a tj. lalkę z koźlemi rogami na kole, przymocowanem do długiej tyki i zbierają jaja, kiełbasę, słoninę i chleb na wspólną zabawę. Pod Żninem p o d k o z i o ł k i e m bywa młodzieniec przebrany. Przybywszy do karczmy kładą przed nim talerz i przy tanach i okolicznościowych wesołych piosenkach dziewczęta składają haracz na muzykantów. Nazwa pierwotna dochowała się w piosence wówczas nuconej:

Nie będę ja pod koziołka dawała,
Bom niewiele przed skrzypusiem stawała,
O i niech te pod koziołka dawają,
Co najczęściej przed skrzypusiem stawają[5].

---

[1] Maciejowski, „Polska“ III, 196. — O. Kolberg, „Lud“ V, 21. O szatańskiej poczwarze z łbem k o z i m wyciągniętej za Bolesława Wstydliwego.

[2] „Wisła“ VIII, 268, 626. — O. Kolberg, „Lud“, ser. V, 263.

[3] „Wisła“ IX, 325.

[4] „Wisła“ VIII, 597.

[5] „Wisła“ IX, 499; Zbiór wiad. do antrop. kraj. VIII. 66.

I to jeszcze zauważyć nam należy, że obyczaj ten żywo przywołuje na pamięć pogańskie obrzędy w czasie święta kozła, o czem już mówiliśmy, i sprawia wrażenie, jakby dwa odrębne wspomnienia zlewały się w jeden akord.

W puszczy sandomierskiej turonia nazywa towarzysząca mu piosenka, „czarnym baranem“ [1].

Wójcicki [2] opisał za świadectwem J. S. Bandtkego w rozprawie o błaznach następujący zwyczaj zachowany na Ślązku. W okolicach Wrocławia, po wsiach polskich, przechowuje się zwyczaj, „że równo ze świtem pierwszego dnia Zielonych Świątek, parobcy pasący konie wyjeżdżają na gonitwy. Kto pierwszy stanie u mety, zostaje królem, kto ostatni Rochwistem. Młodzież wraca tedy do domu, króla mając na czele, rochwist zaś służy mu za błazna; wiozą go na wózku o dwóch kołach umajonym, wstępując do każdej gospody we wsi, dla otrzymania podarku na ucztę wieczorną. Wówczas rochwist figle rozmaite stroi, wyłazi z wózka, tacza się na podwórzu, przewraca koziołki, nuża się w kałuży, umazuje błotem, a to wszystko by rozśmieszyć króla, towarzyszów i gospodarza“.

Najoczywiściej, że mamy tutaj do czynienia z odmianą chwista, tak w samej nazwie, jak i jego czynności. Wyraz roch znaczy według Lindego słoń w szachach, raja rodzaj gadu pływającego [3], łączyć się mógł zatem z pojęciem nieznanego bliżej ludowi zwierzęcia, którego larwę chwist na siebie przywdziewał. Podobna zabawa odbywa się na Kujawach, gdzie pasterze obierają sobie króla [4].

W Wielkopolsce, około Babimostu ku granicy ślązkiej, zachowują zwyczaj maika, a obchodzą go tam bez śpiewu. Tęgi chłopak siada wtedy na konia w stroju ułana polskiego, z chorągiewką, i odprawia gonitwy i stacza bójki z resztą mło-

---

[1] Zbiór wiad. XIV, 164.

[2] „Obrazy starodawne“ I, 155.

[3] Por. „Wisła“ V, 456, gdzie o igrzyskach zapustnych z fantastycznym potworem z paszczą krokodyla.

[4] Ł. Gołębiowski, „Gry i zabawy“ str. 119.

dzieży [1]. Nie wątpić, że wszystkie te zwyczaje pochodzą z jednego źródła.

Szermierze i krzepcowie. Najbardziej pokrewnym rodzajem zajęcia obok chwistów był zawód szermierzy, owych spadkobierców rzymskich gladyatorów. Igrzyska szermierzy i teatralne były w Krakowie, wedle świadectwa Długosza, rzeczą zwykłą [2]. Gdy w r. 1450 w czasie postu przybyło do Krakowa wielu książąt, między innymi Bolesław ks. mazowiecki, Mikołaj i Wacław książęta raciborscy, Bolesław ks. cieszyński, wyprawiać kazał król Kazimierz różne widowiska i igrę z włóczniami przez wojsko polskie [3]. Do królewicza polskiego Zygmunta, bawiącego r. 1501 w Budzyniu, przychodzą w niedzielę zapustną szermierze, by walczyć i tańczyć wśród mieczów, toż samo w Krakowie 13 lutego 1506 r. szermierze zawodzą przed księciem swe pląsy.

W styczniu r. 1502 pląsają przed królewiczem w Krakowie zamaskowani chwistowie taniec Maurów przezwany maruską; gdy ich braknie tańczą czyli krzepczą maruskę żacy krakowscy lub nawet chłopi. Krzepcowie polscy, to znów niemieccy tańcem go bawią [4].

W Egipcie, mówi Radziwiłł Sierotka w pielgrzymce do Jerozolimy, praktykują taniec w takt za muzyką, dziwnie się na tę i na ową stronę łamiąc kształtem ruskich mietelników, podczas też przy ziemi, jak u nas seydaka zwykli, tańcują [5]. Sebastyan Klonowicz w „Roxolanii“ śpiewa:

Widziałem płoche pasterskie chłopięta,
Jak wyprawiają skoki a igrzyska.
W tanku prawica z nożem wyciągnięta,
W swawolnym wirze żelazo połyska.

[1] Zbiór wiad. VIII, 67. U Łużyczan zwyczaj wyścigów konnych odbywa się na św. Jana, nagrodę stanowi placek strojny kwieciem i wstążkami. („Wisła“ III, 931).

[2] W. Nehring j. w. str. 198.

[3] M. Wiszniewski j. w. t. III, 435.

[4] A. Pawiński, „Młode lata Zygmunta Starego“, 261, 256, 252 i 253.

[5] Ł. Gołębiowski j. w. str. 316.

Nieraz swawolna młodzież się poważni,
I w pośród tańca [illegible]ew bryzga pod nożem [1].

Podczas koronacyi Cecylii Renaty (23 września 1637) dawano recytatywę włoską o św. Cecylii z pięknemi dekoracyami i saltem gladyatorów. Co kosztowało 15.000 zł. Na trzeci dzień około godziny 9 wieczór dawano wyścigi zwane bariera albo salty żołnierskie (karuzel) z wozami posrebrzanemi. Te kosztowały 35.000 zł. [2].

Zaciężni pieszy żołnierze zwani drabami, co to czasu wojny orężem się zabawiali, czasu pokoju, jako rozleniwiały i żebraczy lud szukali wywczasu cudzym kosztem, zarabiali na wyzwisko biegusa czy łapikury, powsinogi lub hultaja [3]. Oni to hulanką zajęci przynieśli trabanta, którego przez długie czasy w Polsce tańczono, po nich też pozostał zwyczaj przebierania się w okolicach Grybowa za drabów; to jest spowijają się w słomę od stóp do głowy a wziąwszy wysoką drankę w rękę, obchodzą wieś, wybierając okup i strasząc w dowcipnych piosnkach czarami i złą wróżbą [4].

Góralskie pląsy z toporkami w ręku nie są również czem innem jak przekształconem widowiskiem dawnych zbrojnych pląsów.

Nie będziemy już mówili o rozmaitych taneczników rodzajach, jakkolwiek należą oni do dawnych mimów, ani o tańcach ludowych, choć one są spadkiem po nich, boby nas to zbyt daleko zawiodło, ale tylko wspominamy o tem dla pełności obrazu.

(Dok. nast).

Leonard Lepszy.

---

[1] Wł. Syrokomla, „Przekłady poetów polsko-łacińskich“ t. III, 49.

[2] Żegota Pauli, Rękopis Bibl. Jag. nr. 5400 z pamiętników Albrechta Radziwiłła.

[3] Por. przykłady w Lindem pod wyrazem drab.

[4] Zbiór wiadomości do antrop. kraj. t. X, 169.

[5] L. Gołębiowski j. w. str. 313 i n.

KAZNODZIEJSTWO DRUŻBICKIEGO.

Rzecz oparta na rękopisach.

(Ciąg dalszy).

III.

Z całego, prawdziwie olbrzymiego materyału kaznodziejskiego, jaki zostawił po sobie Drużbicki, mała nader cząsteczka doszła naszych czasów. Trudno dlatego odtworzyć sobie z niej obraz historyczno-obyczajowy, oznaczyć bliżej zapatrywania Drużbickiego na stan narodu, błędy, jakie najbardziej w nim gromił. Brak nam przedewszystkiem najciekawszych jego kazań trybunalskich, w których kaznodzieje zastosowywali się zwyczajnie do chwili i głośniejszych spraw, dotykali potrzeb Kościoła czy kraju.

Z drobnej tej spuścizny weźmy pod uwagę najpierw kazania i egzorty. Najczęściej je Drużbicki mawiał, to też najlepiej można z nich poznać i ocenić kaznodzieję. Stanowiłoby pewną niedogodność, że pierwsze mamy tylko po łacinie, straciły więc zapewne dużo w tłumaczeniu Żułkiewskiego z własnego kolorytu.

Formę wymowy kaznodziejskiej znajdujemy u niego przedewszystkiem trojaką: homilię drugiego stopnia *(oratoria)*, kazanie katechetyczne i dogmatyczno-moralne. Czysto dogmatyczne mamy tylko dwa: na Niedzielę Palmową i uroczystość Zesłania Ducha św., częściej zdarzają się moralne; apologii ani polemiki

właściwie nie rozwijał. Nie znachodzimy zupełnie w pozostałych kazaniach panegiryków o świętych. Czy używał tej formy, nie wiadomo, bo z kazań o świętych przechowało nam się ledwo jedno w egzortach na uroczystość św. Wojciecha, w którem nie wychwala świętego, lecz zastanawia się nad pytaniem czemu Chrystus Pan chciał mieć w Kościele swoim męczenników, a w końcu robi krótką wzmiankę o męczenniku.

Co na pierwszy rzut oka zwraca uwagę w kazaniach Drużbickiego, to nadzwyczaj staranne wypracowanie. W każdem zarysowuje się jasno założenie, podział treści, dowody i uczucia — słowem, cały szkic kazania. Niema u niego owego bezładu, nieporządku myśli, który cechował XVII. stulecie. Ale z tej niemal pedantycznej dokładności w metodzie wypływa pewne skrępowanie jakby myśli kaznodziei i uczuć słuchacza, brak swobody niezbędny do rozwinięcia akcyi kaznodziejskiej. Czuć, jak ściśle wszystko rozmierzył i sobie określił. Niema też u niego gwałtownych albo wytwornych wstępów, czerpie je zwyczajnie z istoty samej rzeczy albo objaśnia w nich znaczenie bieżącej ewangelii. Po takim wstępie kładzie jasno i dobitnie założenie mowy, określa jej cel i dzieli ją na części. Założenie, które zlewa się u niego zawsze z podziałem mowy, ujmuje w antytezę lub w jednej części wykłada naukę Kościoła dogmatyczną, gdy w drugiej odpowiednią moralną. Niekiedy, chociaż z założenia spodziewaćby się można dwóch części w kazaniu, w rzeczy samej traktuje je na sposób jednej. Tak np. mamy w egzorcie na Zwiastowanie Matki Boskiej propozycyę: dwa cuda obaczymy w tem *fiat:* panieństwo z macierzyństwem, bóstwo z człowieczeństwem złączone; egzorta zaś składa się z jednej części.

Niezręcznem bardzo i słabem jest u niego zwyczajnie przejście i rozpoczęcie samego rozbioru. Ucieka się do historyi starożytnej, sentencyj pogańskich filozofów, aby stąd dopiero zejść do świata chrześcijańskiego, trafić do własnego przedmiotu. Dzięki Bogu, że jeszcze dosyć krótko się z tem załatwia. W samym rozbiorze przedmiotu trzyma się już porządku, nie odstępuje nigdy od założenia, nie miesza rzeczy, ani odskakuje na boki, ale mając przewodnią myśl na uwadze, zdąża miarowym

pochodem do końca. Główny nacisk położył Drużbicki w swojej metodzie na stronę moralną, zastosowania praktyczne i uczucia. Im najwięcej poświęca czasu w kazaniach i starannie w tym kierunku wyzyskuje każdą pozycyę. Nie zaniedbał jednakże przez to wcale wykładu nauki, w której dla zastosowań obyczajowych i uczuć ustawicznie szukał racyi i podstawy.

W szczególności rozbierając wykład dogmatu, znajdujemy go w Drużbickiego kazaniach nadzwyczaj ścisłym a treściwym. Dowody podaje w formie syllogistycznej. Czerpie zaś przeważnie z Pisma św. i tłumaczy najczystszą nauką, bo Ojcami i Doktorami Kościoła. Opierając się głównie na tych źródłach, wyjątki i teksty przytacza w wielkiej obfitości. Nie gardzi atoli i podaniem, historyą, owszem zdaniem poważniejszych pisarzy świeckich, nawet pogańskich. Pomimo formy scholastycznej, tak ściśle zachowanej, nie razi dowodzenie Drużbickiego zbytnią szkolnością; potrafi okrasić ją czasem figurą krasomówczą, opowiadaniem czy porównaniem zgrabnie spoić w całość literacką.

Z dogmatyczną częścią kazań łączy się kiedy niekiedy polemika z heretykami. W czasach Drużbickiego wrzała w Polsce kontrowersya z protestantami. Musiał i on, zwyczajem i potrzebą pchany, zwalczać ich błędy. Nie rozwinął jednakże w kazaniach swoich nigdy polemiki, bo uważał za skuteczniejsze raczej ubocznie zwalczać herezyę, niźli wprost występować i zapędzać się w rozprawy z nowatorami. Gdy nauczał w materyach spornych i chciał napiętnować jaki błąd lub ostrzedz katolików, prawie nigdy zarzutów przeciwnika nie podnosił i nie zbijał, ale cały nacisk kładł w dogmatycznej części kazania, w jasnem i dowodnem wyłożeniu danej prawdy.

Z ściśle polemicznych zachowały się nam właściwie tylko dwie egzorty: na poniedziałek wielkanocny, gdzie zbija błąd Lutra i Kalwina, twierdzących, jakoby krzywda się działa katolikom komunikującym się pod jedną postacią; a w drugą niedzielę po Zmartwychwstaniu Pańskiem, udowadnia wbrew protestanckim zarzutom, że ówczesny papież Urban VIII. jest prawdziwym następcą św. Piotra, a zatem i Jezusa Chrystusa. W innych kazaniach i egzortach tu i ówdzie czyni wzmiankę o pro-

testantach lub innych herezvarchach, ale to tylko mimochodem w formie refutacyi. Tak np. w egzorcie na Zwiastowanie Matki Bożej, zanim przystępuje do dowodzenia, zbija zarzuty Lutra i Kalwina przeciwko panieństwu Maryi; we wstępie egzorty na uroczystość św. Wojciecha odpowiada na twierdzenie, iż i heretycy mają swoich męczenników; w kazaniu na Zesłanie Ducha św. wzmiankuje o herezyarchach co do dogmatu pochodzenia Ducha św. i t. p. Przysłuchajmy się, jak Drużbicki rozprawia z protestantami o Kościele i papieżu:

Udowodniwszy, że Piotr św. jest prawym pasterzem, któremu Syn Boży przypisał tę władzę i podał mu klucze owczarni swojej, tak ciągnie [1]:

„Rzecze parabusz Ratuszny: o inszać to o Pietrze mówieć przyznawamy, że iest Pasterzem, alie nie Urban, ktory teraz w Rzymie Papieżem iest.

„Odpowiadam na to. Nigdy nie broniono tego, żeby nie miał kto zadawać Rzymskiem Biskupom, żeby nie byli następcami Piotra św., poniewasz y sami Biskupi Rzymscy odzywali się do teyże zwierzchności y do nastąpienia, y dlia tego S. Leo mówi: *In persona humilitatis meae ille intelligitur, ille (scilicet Petrus) honoratur in quo et omnium pastorum solicitudo cum commendatarum sibi omnium custodia perseveret, et cuius etiam dignitas in indigno haerede non deficit.* Jeślisz się słusznie odezwał S. Leo, że był następcą Piotrowym, toć y Urban słusznie się do teyże dostoijności odzywa, poniewasz prawdzywem następcą Piotrowym może także się pokazać, iako się pokazał y Leo S.

„A jeślisz przywileie nadane od krolia Oijcu iakiemu dziedziczą w potomkach, czemuż nadany przywiley pasterstwa Piotrowi od Krolia wszystkiech wieków niema służyć potomkom Piotrowym. Poniewasz w iednym Pietrze nie umarł Kościół.

„Nie mogą Haeretycy tego pokazać, żeby beł Urban wyrodkiem od Piotrowym, poniewasz iednasz wiara iest Urbana, która była y Piotra, iedna nauka, iedna Cathedra.

„Rzeką Haeretycy nie beł nigdy w Rzymie Piotr. Odpo-

[1] Egzorta na wtórą niedzielę po Wielkiejnocy. Str. 77 i 78.

wiadam. A gdziesz beł? Podobno w Auguście był! Kiedyście z Marcinem Lutrem Kościoł Christusow łżyli, kiedy na Stolice Apostolską Luter następował y nierządny złości swoi dokazował.

„Niechayże się nauczą ci dobrzy liudzie Augustowskiego gniazda, że Piotr S. po wniebowstąpieniu Zbawiciela naszego stolice pasterstwa swoiego założył w Antiochyi, na który siedział przez liat siedm, urząd gubernacyi swoi odprawuiąc.

„A isz Piotr S. uznawał to, że nie nad iednym tylio Kościołem Antioskiem Zbawiciel dał mu beł moc y władzę, alie nad wszystkiem światem, do tego sie miasta ze stolicą swoią obrócieł, ktore na ten czas miasto to iest Rzym miał władze i panowanie nad wszystkiem światem, aby s tego miasta iako z naywyszszego mieysca nauka Ewangelyi na wszystek świat wynikała. Zasadziwszy przeto stolice Antioską Euodiuszem y na biskupstwo poświęciawszy Antioskie, sam udał sie do Rzymu, aby beł w Rzymie zasadzieł kathedrę swoie.

„Ruszeł sie tedy z Antiochii roku Christusa Pana 44 y przes Sicilią peregrynatią swoią odprawuiąc, przypłynoł do Neapolim, gdzie po dzyś dzień pokazuią to mieysce, na którym miał Mszą Ś. Piotr. Z Neapolim przyszedł Piotr Ś. do Rzymu, a gdy ogłaszać poczoł prawdzywą wiarę, od Zydów opuszczonem będąc od Pudensa senatora w dom przyięty, ktory mieszkaiąc in Viminali, gdzie potym Kościół zbudowanym iest *titulo pastoris*, tam sie do Christusa nawrocieł, co było roku 45.

„Tam kathedrę y stolice swoie zasadzieł Piotr, na który siedząc przes liat dwadzieścia pięć od Nerona meczeńską koroną na kszysz opak przybitym będąc umarł, ktorego ciało y grob po dzyś dzień ze wszystkiego świata zbiegaiąc się narody w uczciwości y poszanowaniu maią.

„Nie iest Kościół S. katholicki bez pasterza, zna sie do tego, ktorego Christus zostawieł iemu, aby rządzieł y sprawował do ktorego pasterza kto sie nie odzywa, nie iest z owiec Christusowych, alie iest piętnowany synem potępienia“...

Właściwe pole znalazł dla siebie kaznodziejski talent Drużbickiego w naukach moralnych. Jest mistrzem zarówno, gdy uzasadnia wartość cnoty i zachęca do jej nabywania, jak kiedy

karci grzechy i od nich odwodzi, a wystawia nierozumność ich i ohydę. Wystąpił tu charakter kaznodziei w całej pełni.

Przejdźmy niektóre godniejsze uwagi czy to pod względem formy, czy treści. Najobfitszem jest dla nas w tym względzie kazanie na sobotę przed niedzielą Palmową[1]. Już we wstępie mówiąc o jutrzejszym wjeździe Chrystusa Pana do Jeruzalem, opowiada o świetności dawnej u nas procesyi, w stosunku do dzisiejszych czasów, kiedy herezya swój wpływ poczęła wywierać i wiarę społeczeństwa oziębiła:

„Ten wjazd Chrystusa podał myśl w Kościele i pobożnym naszym przodkom katolikom, którzy wiernie przekazali nam religię katolicką, ażeby czy to dla okazania, czy rozbudzenia pobożności, ustanowić jakieś wyobrażenie onej procesyi i tryumfu w którym Chrystus Pan wstąpił przed śmiercią do Jeruzalem. Dlatego ongi ta procesya odbywała się z prastarą pobożnością, była najokazalszą. Co okazuje się już z tego, iż procesya ta wprowadzoną była po wszystkich grodach i miastach katolickich, już z tego, że wystawiano na czas tej procesyi Najświętszy Sakrament, już, że jest w zwyczaju podwójne głosić kazanie do ludu czasu tej procesyi, a wreszcie i z tego, że po niektórych miastach zwykli postępować w niej senat cały i urzędy miejskie. O czem słyszałem, że i w tem mieście czyniono, ale kiedy herezya poczęła wkraczać w tę ziemicę, równocześnie oziębli katolicy, poczęli się wstydzić Boga i kościelnej pobożności. I jeszcześmy dotąd nie wrócili do gorliwości. Obyśmy zaś kiedyś, jak w wielu innych rzeczach, tak i w tej cofnęli się do pradziadowskiej pobożności".

Podzielił kazanie na dwie części; w pierwszej udowadnia, iż ta procesya jest chwalebną, pobożną i pożyteczną. W drugiej wyciąga z okoliczności procesyi niektóre nauki. Wykazując w pierwszej, dlaczego jest chwalebną, czyni zwrot do wychowania dzieci u nas:

„Już dlatego jest chwalebną (nasza procesya), że uczynił

[1] Ustępy tłumaczone na polskie ze zbioru ks. Żułkiewskiego. Kazanie miane w Poznaniu w sobotę przed niedzielą Palmową r. 1622 w kościele św. Ducha.

chwałę swoją (Chrystus) z ust dziatek i niemowląt. Cóż zaiste bardziej podziwienia godnego być może, jak gdy dusz nieznających różnicy pomiędzy złem a dobrem, które jeno płaczem potrafiły błagać piersi macierzyńskiej, gdy tych usta rozwiązują się, by wyznać i chwalić Chrystusa. O szczęśliwe takie niemowlęctwo, które tak wcześnie skłania się chwalić Chrystusa, które niewyraźne już słowa uczy się składać na chwałę Chrystusa. Cóż powiecie na to obecni tu chrześcijanie, ojcowie i matki. Gdyby dzisiaj Chrystus wchodził do tego miasta, jak śliczne słyszałby pochwały z ust niemowląt. Dzisiaj uczą się wzywać szatana pierwej, niż Boga, pierwej znają po dworsku się kłaniać, niż ręce ku Bogu na modlitwie składać. Przeklęte dziecięctwo które pierwociny swoje dyabłu poświęca. Lecz bardziej rodzice przeklęci, którzy albo sami tak nauczają, albo zezwalają na to przez niedbalstwo swoje. Nie gardźcie memi słowy, chrześcijanie, ale bierzcie je głęboko do serca. Zdarzyło mi się kiedyś w szlacheckim domu słyszeć, jak synek jeszcze pod ten czas uczący się mówić, już wyuczył się, nie pomnę już jakiej, piosnki mniej przyzwoitej. Już onę śpiewał, a jeszcze słowa nie dobrze umiał składać. Rzekłem onemu szlachcicowi: Żal się Boże, że to dziecię pierwej bluźnić niźli chwalić Boga umie. Tak wzruszyłem temi słowy szlachcica, iż natychmiast mi przyrzekł, że nigdy nie pozwoli chłopcu śpiewek podobnych. Przyrzeczcie dzisiaj, chrześcijanie moi, Panu Chrystusowi, iż będziecie bardziej baczyć na wychowanie waszych dziatek".

Niepozbawionym zalet krasomowczych jest następujący ustęp, gdzie wykłada, że jest i pożyteczną ta procesya, daje naukę o stanach, wreszcie wzbudza uczucia:

„Dlatego także Bóg chciał, ażeby na świecie były różne stany: aby byli maluczcy i wielcy, ubodzy i bogaci, słudzy i panowie. Gdyby wszyscy byli ubogimi, rzeklibyśmy, że Bóg jest albo skąpym, albo biednym; gdyby zaś wszyscy byli bogatymi, powiedzielibyśmy, że Boga nie potrzebujemy. Gdyby wszyscy byli ubogimi, któżby mógł komu dobrze czynić? Gdyby wszyscy bogatymi, jedenby drugiego nie potrzebował i nie byłoby końca pysze. Jeśliby wszystko było na świecie stałem, jeśliby złem

było wszystko, zrozpaczylibyśmy. Gdyby zaś samo dobre, nie myślelibyśmy o niebie. Chciał więc Bóg dlatego, aby wszystko się zmieniało i mieszało, abyśmy rzeczom zmiennym nie ufali, lecz szukali nieprzemijających, abyśmy co nas ma odejść, sami dobrowolnie odstąpili. To jest najlepsza sztuka ze wszystkich przeciwko marnościom: mianowicie to czynić światu, co on nam kiedyś ma uczynić; teraz opuścić go, który nas ma kiedyś opuścić. O jakże ten chrześcijanin szczęśliwy, który tak wydrwi zwodniczy świat, który tak zdradza i wydaje zdrajcę i uwodziciela. Szczęśliwy chrześcijanin, który nie wzdycha za ziemskiemi marnościami, gdy ich nie ma, a kiedy ma, nie tonie w nich cały, lecz myśli o wieczności i w wieczności całą nadzieję pokłada, która nie zna zmiany, nie zna współubiegania się, nie zna końca. Najmilsi, o jakże bardzo winniśmy pamiętać na ową wieczność! Lecz jak głęboko pogrzebaliśmy cię w sercach, o straszliwa wieczności, jak bardzośmy na cię zapomnieli! Dla wieczności urodziliśmy się i jesteśmy dla niej stworzeni, a przecież nie wiemy o tobie, nie chcemy o tobie pamiętać. Wszyscy od najmniejszego do największego, od najbiedniejszego do najbogatszego, oddaliśmy się błahostkom, marnościom, błotu, trosce ziemskiej, jakobyśmy dla nich właśnie się zrodzili, jakbyśmy tu na wieki mieli pozostać. O nieszczęśliwy człowiecze! ugruntowałeś się na lodzie i dowierzasz lodom, nie bacząc ni na niebezpieczeństwa, ni na straty. Nie dziwiłbym się ludziom, gdyby tylko ludźmi byli, a to chrześcijanie tak czynią, chrześcijanie w całem słowa znaczeniu. Poganie, gdyby mogli trzeźwo sądzić, wstydziliby się; owszem niektórzy, co rozumniej patrzyli na rzeczy wstydzili się rzeczywiście podobnych zabiegów, obyczajów. Chrześcijanin, co w Chrystusa wierzy, który wyznaje codziennie, że zna życie wieczne, wierzy, ufa, który oświadcza, że żyje i pracuje dla wieczności, który wyrzekł się świata na chrzcie św., który z Chrystusem walczy przeciwko światu i ciału, tak ugrzązł w tych znikomych i światowych sprawach, jakby nie był chrześcijaninem! Gdyby ktoś mianował się żołnierzem i miasto bronią bawił się rożnem — któżby uwierzył, że jest żołnierzem. Gdyby ktoś mówił, że jest badaczem mądrości, i miasto w książ-

kach siedzieć, przypasałby broń, powiedzianoby, że więcej jest żołnierzem, niźli filozofem. Tak się z nami stało; głosimy, że jesteśmy chrześcijaninami, a oddaliśmy się rzeczom ziemskim; któż uwierzy, żeśmy raczej chrześcijanami, jak światownisiami? Pytam się bowiem, czem różnią się owe nasze starania i zabiegi, od usiłowań pogan? Prawdę rzekł Chrystus: *Haec omnia gentes inquirunt.*

W kazaniu na czwartą niedzielę po Wielkiejnocy [1], dobrze charakteryzuje ludzi, w stosunku do prawa Bożego:

„Jest bowiem pewna klasa ludzi, którzy zastosowywują się do prawa Bożego i ci tem samem są synami Bożymi, nieprzyjaciółmi zaś świata. Jest inna znowu klasa ludzi, którzy sami się wytworzyli, żyjąc wedle względu świata i ci tem samem są dziećmi świata, nieprzyjaciółmi zaś Boga. Ludzie należący do pierwszej klasy ze wszech miar świat sobie i siebie światu krzyżują, przez to samo, że dla Chrystusa się ukrzyżowali. Drugiej klasy ludzie zupełnie krzyżują Boga sobie i siebie Bogu, przez to samo, że postępują za radami tego świata. Ale jest jeszcze jedna trzecia klasa ludzi, którzy usiłują pogodzić świat z Bogiem, ducha Chrystusowego z duchem świata, albo raczej spodziewają się zasady własne pogodzić z prawdami wiecznemi, którzy i Boga nie chcą obrażać i zatrzymać chcą równocześnie dyabła i świat, którzy chcą dwom panom służyć, Bogu mianowicie i mamonie, duchowi i cielesności, życiu i śmierci, którzy i w tem życiu chcą się weselić, obfitować, rozkoszować, ze światem mieć chwałę, i niemniej też w przyszłem życiu radować się z Chrystusem, królować z Chrystusem, dzielić chwałę Chrystusową, Ale że jest to niemożebnem — wyraźnie bowiem mówi Pan: „Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. I kto nie zbiera ze mną, rozprasza. Nie możecie służyć Bogu i mamonie“ — przeto owa trzecia klasa ludzi właściwie nie jest żadną klasą: lecz tem samem, że taką jest lub chciałaby być, należy do drugiej klasy. Niechaj się więc nikt nie łudzi, niechaj się nikt nie uwodzi czczą i głu-

[1] Rękopis ks. Żułkiewskiego. Kazanie miane w kościele parafialnym w Poznaniu r. 1648, 10 maja nosi tytuł: *De antipathia Dei et mundi.*

pią nadzieją owej trzeciej klasy. Jako bowiem nic wspólnego niema między światłem a ciemnością, życiem a śmiercią, dobrem i złem, tak nic wspólnego pomiędzy Chrystusem i Belialem, Bogiem i światem, duchem Chrystusowym i duchem świata".

W kazaniu na niedzielę czwartą Postu [1] wykazuje dlaczego ludzie wybierają raczej iść za szatanem jak za Chrystusem Panem. Jest to bezwątpienia jedno z piękniejszych miejsc w jego kazaniach:

..."A gdy ludzie skłonniejsi są częściej do rzeczy cielesnych, niźli duchowych; do teraźniejszych, niźli przyszłych; do zewnętrznych niźli wewnętrznych. stąd pochodzi, że łacniej skłaniają się słuchać i przyjąć dyabła i pójść za nim, niźli do Boga. Stąd pochodzi, że dyabła przenoszą nad Boga; stąd pochodzi, że prędko się Boga pozbywają i zrzucają z siebie jako ciężar zmysłom, ciału i namiętnościom; dyabła zaś przyjmują i z nim mieszkają, ponieważ dobrze z nim zmysłowości ich, pobłażliwości i mądrości. Porównajcie najmilsi przykazania Boże, jego wolę i prawo z zasadami i prawami dyabła. Porównajcie cnoty moralne z grzechami śmiertelnemi. Porównajcie ośm błogosławieństw Chrystusa z błogosławieństwami świata. Porównajcie owo potrójne źródło złości świata z przeciwnemi dobroci Bożej: pożądliwość ciała, której przeciwstawił Bóg czystość i umartwienie; pożądliwość oczu czyli bogactwa, której przeciwstawił ubóstwo i wzgardę świata; pychę żywota, której przeciwstawił pokorę i ubóstwo w duchu i posłuszeństwo. Porównajcie trzy rzeczy, przez które ludzie zwyczajnie są sprawiedliwymi, z trzema przez które stają się złymi. Sprawiedliwymi są ludzie przez zgodność z wolą Bożą i pragnienie jej spełnienia; przez umartwienie zmysłów zwłaszcza prowadzących do rozkoszy; przez umartwienie namiętności i poddanie ich pod rozum. Złymi się stają ludzie, przez miłość i szacunek własnej woli i wolności; przez wyuzdanie, pobłażliwość i chęć zadosyćczynienia swoim zmysłom; przez nieumiarkowanie i wolność namiętności i uczuć".

---

[1] Ibidem. Miane w Poznaniu 1649 r.

Tłumaczy dalej jeszcze obszerniej swoją myśl, wreszcie zwraca się do słuchacza i każe mu się osądzić:

...„Z tego, com opowiedział, możecie się już osądzić, czy należycie do Boga, czy do dyabła. Jeśli bowiem żyjecie wedle ducha, rozumu i wiary, jeśli jesteście nieprzyjaciółmi waszego ciała, a poddaliście je duchowi i rozumowi i wierze, jesteście synami Bożymi, należycie do Boga. Przeciwnie zaś, jeśli posłuszni jesteście skłonnościom ciała i zmysłów; jeśli brzuch jest waszym Bogiem, jeśli chęć zemsty jest waszym Bogiem, jeśli własna wola i pożądliwość, jest waszym Bogiem, wiedzcie, że jesteście synami potępienia, do dyabła należycie. Ponieważ spełniacie jego pragnienia“...

Rozejrzyjmy się jeszcze w kazaniu na trzecią niedzielę Postu o powtórnym upadku w grzech[1]. Pełne siły i owej gorliwości o piękność domu Bożego, która Drużbickiego tak cechowała. Dla zrozumienia treści zanotować musimy, że kaznodzieja wychodzi głównie z tych słów Ewangelii: „Gdy duch nieczysty wynijdzie od człowieka, chodzi po miejscach bezwodnych, szukając odpoczynku. A nie znalazłszy, mówi, wrócę się do domu mego, skądem wyszedł. A przyszedłszy znajduje go umieciony i ochędożony. Tedy idzie, bierze z sobą siedmiu innych duchów gorszych nad się a wszedłszy mieszkają tam. I stawają się pośledniejsze rzeczy człowieka onego gorsze, niźli pierwsze“. Tak po wstępie poczyna treść:

„Czuję dobrze, najmilsi, że rzecz, o której zamierzyłem dzisiaj mówić, nie bez podziwu tylko, lecz owszem niemile brzmi w waszych uszach. Cóżby bowiem miało być dziwnego, cóżby także miało być przyjemnego wam słuchać mnie mówiącego o was: o was wierni chrześcijanie, co tak szybko zwykliście Boga zasmucać, wypędzać, zaniedbywać, obrażać, przed chwilą przyjąwszy, przed chwilą dopiero przebłagawszy, uprosiwszy, umiłowawszy: i wyrzucając tak Boga do dyabła powrócić, jego przywoływać, przyjąć nawet w towarzystwie siedmiu gorszych i dać im miejsce i mieszkanie. I mieszkają tu!

[1] Rkp. ks. Żułkiewskiego. Kazanie miane w Poznaniu 7 marca 1649.

Mieszkają tutaj, skąd niedawno jednego wyrzuciliście, już siedm ich mieszka tutaj, gdzieście Boga po przyjacielsku przyjmowali! Stąd wyrzuciliście go! Siedmiu, na Boga, dyabłów tam mieszka! Gdzie był przybytek Trójcy Przenajświętszej, siedmiu mieszka tam dyabłów! Gdzie był dom Chrystusa, dom łaski, przybytek Ducha świętego, mieszkanie cnót, siedm tam mieszka dyabłów! W tymże języku, w temże sercu, w tejże duszy, w tejże woli, w temże sumieniu, w temże ciele, w tychże samych członkach, które były niedawno świątynią Ducha świętego, już siedm nikczemnych zamieszkało duchów, owszem, ośm tam mieszka! Któż nie zadrży na te słowa, któż nie przestraszy się siebie samego!

„Najmilsi moi, zaklinam was, bójcie się. Po przyjacielsku was błagam, słuchajcie słów moich bardzo poważnie. Oburzajcie się, najmilsi, jak umiecie i możecie, że to mówię, i że o was to mówię. Uczyńcie tak, proszę was i błagam. W tem bowiem polega wasze zbawienie, w tem wasze życie, w tem owoc jakikolwiek mojej pracy nad wami, w tem wywyższenie Boga, w tem wesele Chrystusa, w tem nagroda śmierci, w tem radość niebian. Gniewajcie się, najmilsi, ale słusznie się gniewajcie: abyście mi mogli zarzucić na sądzie Bożym, że fałszywie o was mówię i nieprawdziwe zarzucam rzeczy; że żadnemu z was sumienie nic nie wyrzuca, iżeście oziębli byli dla Boga, iżeście go jako ciężar zbyteczny odrzucili; jako niemiłego gościa z domu wypędzili, dyabła zaś, głównego swojego i Boga nieprzyjaciela nie przywołali znowu i przyjęli serdecznie.

„Lecz, ażeby to było o was, zapytajmy, czy tak zwykło bywać między ludźmi. Albowiem w rzeczy samej, zważywszy naturę rzeczy, zważywszy okoliczności, zważywszy samo słów znaczenie, któżby uważał coś podobnego za wiarygodne, któżby sądził możebnem? aby ludzie, ludzie obdarzeni rozumem, oświeceni wiarą, znający Boga, Jego obsypani dobrodziejstwy, Bożej obecności, pomocy i łaski najniegodniejsi, z natury Bogu podlegli; widzący dobrze w samym Bogu i od Boga samego mogący mieć szczęście w tem i przyszłem życiu; którym nie tajno, że bez Boga być choćby moment jeden o ostatnią zgubę ich może przyprawić, mogą jednakże Boga zasmucać, może im być

nudnem obcowanie z Bogiem, z Bogiem swoim przyjacielem, z Bogiem świadczącym im ciągle dobrodziejstwa i miłosiernym; że obecność jego ciążyć im może, mogą go od siebie wyrzucić, wypędzić i rzec mu: Oddal się od nas.

„Któżby mógł sądzić wiarygodnem, któżby za możebne uważał, by ludzie obdarzeni rozumem i światłem wiary, znający złość, nienawiść, okrucieństwo szatana, doświadczywszy jej bez miary na sobie samych i blizkich sobie osobach, od którego niczego spodziewać się nie mogą, niczego dobrego, lecz chyba wszystkiego złego w tem i przyszłem życiu, by jednakowoż tego dyabła przekładali nad Boga, przyjmowali w gościnę domu duszy i serca swojego i tam go pieścili i tam chętnie pozwalali mu mieszkać, panować, i rządzić bezpiecznie, cieszyli się z nim i chwalili go? Zupełnie nie do uwierzenia okazuje się to z samego znaczenia słów: jeśli tylko kto rozumie, co znaczy to słowo: Bóg, a co znaczy: szatan. Patrząc przecież uważnie w codziennem życiu, powszechnie doświadczamy i poznajemy, iż jest to zupełnie rzeczą możebną, zupełnie pewną, zupełnie widoczną, iż ledwo niektóre rzeczy dokładniej stwierdza codzienne doświadczenie".

Kaznodzieja domyśla się wprawdzie, że wiedzą słuchacze, czem jest Bóg, a czem szatan, ale dla przypomnienia chce rzucić kilka charakterystycznych rysów. Odwołuje się następnie do ich rozumu i wiary, co na to powiedzą; zapytuje, co sądzą wszyscy jego słuchacze od najmłodszego do zgrzybiałego starca; czy sądzą, że potrzeba przekładać jednego nad drugiego, czy Boga przekładają nad szatana, czy szatana nad Boga? Widzi w ich sercach, w ich umysłach odpowiedź, widzi, że nikt nie wątpi, że trzeba Boga nad dyabła przełożyć. Ale nie przestaje na tem i dowodzi przykładami z życia i Pisma św., że chociaż ludzie nie wątpią o tej prawdzie, jednakże zawsze tak było, że szatana nad Boga przekładali.

...„A pytam was chrześcijanie: iżaliście zgrzeszyli kiedy po chrzcie św., kiedyście przyszli już do używania rozumu, kiedyście już przyszli do wieku, w którym mogliście już rozu-

mnie sądzić o rzeczach? Mógłbym się was zapytać wprawdzie, co się to stało, że odrodz[illegible] wodą chrztu św. w synów Bożych, gdzie wyrzekliśmy się szatana, świata, grzechu, przecież ledwośmy przyszli do używania rozumu zaraz poczęliśmy się od Boga odsuwać, postępować po drodze i w obyczajach szatana: od wszystkiego, co Boskie, odstraszać się, uciekać, odchodzić, lgnąc tak chętnie do dyabła, ciała, świata? Lecz to zostawiam.

„Jeśliście zgrzeszyli kiedy, czyniliście też potem pokutę? Co znaczy to: uczynić, co było to: uczynić pokutę? Iżali nie żałować za popełnione grzechy, iżali nie przebłagać Boga? Iżali nie prosić przebaczenia? Iżali nie pojednać się z Bogiem, przyjętym być w jego przyjaźń i łaskę? Iżali nie skruszyć jarzmo szatana? Iżali nie postanowić unikać grzechów i obrazy Boskiej? Iżali nie postanowić gruntownej i szczerej poprawy życia? Jeżeli to znaczy, jak jest w istocie, uczynić pokutę; jeżeli tak i taką uczynić znaczy pokutę, pytam was dalej, jakżeście długo wytrwali w łasce i przyjaźni, w miłości Bożej i strzeżeniu przykazań? Czyście wytrwali już całe życie wasze aż do śmierci, jako godnem to było, słusznem, potrzebnem? Czyście wytrwali przez lat 20, czy może dziesięć, czy rok? Czyście wytrwali pół roku, miesiąc, niektórzy tydzień? Czyż nie powrócił pies do wymiotu? Czyż nie powróciła świnia do kałuży błotnej? Czyż pyszałek nie powrócił do pychy? lubieżnik do ciała? wyuzdanej mowy, przeklеńca, krzywoprzysiężca, kłamczuch, obmowca, potwarca do wymiotu swojego? Pytam jeszcze: czyście może raz tylko powracali tak, czy kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt razy? Pytam się was, najmilsi, co to jest, że tak ciężko wam z Bogiem, iż ledwo jeden dzień możecie z nim mieszkać? Co za przyjemność upatrujecie w obcowaniu z szatanem, iż ledwo jeden dzień możecie z nim mieszkać? Co za przyjemność upatrujecie w obcowaniu z szatanem, iż ledwo dzień jeden wytrzymać bez niego możecie?“

Takim był kaznodzieja gorliwy o zbawienie dusz w naukach moralnych. Drużbicki wogóle nie bawił się w politykę; raz przecie czyni folgę swoim poglądom na rządy Rzeczypospolitej we

wstępie do egzorty na wtórą niedzielę po Wielkiejnocy [1]. Chcąc mówić o rządach kościoła, mówi o niektórych systemach politycznych, mianowicie Machiavella, Arystotelesa i Chrystusa — oto zajmujący wyjątek:

...„Błogo tey Rzeczy Pospolity, która godności rozdaie ludziom cnotliwem. Żaden król więcy nie wsławieł Rzymskiego Króliestwa jako wielkich cnót Numa Pompilius, który wprzód nabożeństwo szczepieł w serca ludzkie, potym y prawa postanowieł y Rzecz Pospolitą sporządzieł. Nie beł woiownikiem król Polski Władisław Jagiełło, iako kroniki uczą, alie beł pobożny, gdy kościół w drodze pomiiał s konia ssiadał, czapkę zdeymował, y nie wsiadał na koń, asz dobrze mienąwszy kościół.

„Gdy Mszy S. słuchał podczas elewatyi z maiestatu na ziemię stępował, y trzaszczkę iaką druzgał w ręku mówiąc: daliekom ia podlieyszy przed oczyma maiestatu twego niśli ta trzaszczka. Gdy do Litwy przyieżdżał nie wstydał król prostych y grubiech Litwinów uczyć żegnać się, pacierza mawiać y do Christusa przyprawiać, a wżdy tak nabożnemu dał Bóg Wszechmocny zwyciężyć y zniszczyć moc krzyżacką.

„Błogo Rzeczy Pospolity gdzie mądrzy liudzie senat zasiadaią. Mawiał ieden Philosoph (Plutarchus): *fore beatissimas res publicas cum aut sapientes regnabunt vel reges philosophabunt.* Wielkiesz to kleynot w Rzeczypospolity mądry senator...

„Błogo Rzeczy Pospolity, gdy rycerskiem ludziom za odwagę ich daie godności. W potrzebie, która beła s Krzyżakami pod Grynwaldem w Prusiech złożeł beł ieden s Krzyżaków do krolia Władislava Jagiellona. Postrzegł niebespieczeństwo Zbigniew Olesznicki uspieszeł Krzyżaka zabiewszy, y krolia ochroniewszy, w nagrodę odwagi dano Biskupstwo krakowskie, na ktorym będąc z rycerza Biskupem nie złożeł mężnego serca; alie zrozumiawszy isz posłowie częścią beli zarażeni Heresyą s kroliem mowieli w pokoiu; wpadł do pokoiu, królia za rękę wziąwszy do innego pokoiu, zgromieł y s Heretykami mowieć nie dopuścił. To kształt polityki dobry“...

[1] Egzorty str. 74 i 75.

Jak surowo występował Drużbicki przeciw grzechom prywatnym, niemniej ostro wyt[illegible]kać nieraz musiał publiczne zdrożności i grzechy przeciwko krajowi, przeciwko miłości ojczyzny. Kazanie miane w Poznaniu w kościele parafialnym r. 1649 w czasie procesyi na św. Marka[1], najlepszym jest tego dowodem, a zarazem odkrywa nam w kaznodziei nową, kryjącą się wśród bogomyślnej ascezy, piękną stronę duszy — miłość rodzinnej ziemi. Krótkie ono, ale pełne treści i żałosnego uczucia, jest napomnieniem a zarazem jakby trenem nad nieszczęściami Polski. Wyrzuca narodowi smutne owe klęski ostatnich lat: wojnę kozacką, klęskę pod Żółtemi Wodami, klęskę pod Korsuniem, wreszcie klęskę Pilawiecką. Jak wielu innych kaznodziejów uważa je za chłostę Pańską za grzechy narodu.

Za tekst wziął Drużbicki słowa z ewangelii św. Jana r. 10: „Mówili tedy, co to jest co mówi: maluczko?“ Nie wie kaznodzieja czy dziwić się, czy oburzać, że chociaż Jezus jasno tak przemawia, nie rozumieją go własni nawet uczniowie. Cóż bowiem może być niezrozumiałego w tych słowach: maluczko a nie ujrzycie mnie, a sami przecież wyznają, że nie rozumieją. Ponieważ zaś wszystkim zdarza się nie rozumieć mowy Bożej, zamierza wytłumaczyć w tym kazaniu, jakich mów Bóg używa, a ludzie ich nie rozumieją:

„Dowodzić nie potrzebuję, jak zwyczajną jest to rzeczą, iż ludzie nie wiedzą, co im Pan mówi. Tak było zaraz od początku świata. Jasno zupełnie i dobitnie powiedział Bóg Adamowi i Ewie, aby nie pożywali owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego, gdyż inaczej śmiercią pomrą. Ale Ewa przekręciła słowa Boże i mówi: abyśmy przypadkiem nie pomarli. Adam zaś posłuchał swojej żony. Podobnie zagniewanego Kaina upomniał Bóg: Dlaczegoś się zagniewał? Zgoła nie rozumiał, lecz zabił brata uwiedziony szałem. Z wielu zaś sposobów, jakiemi Bóg do człowieka przemawia, których przecież ludzie nie rozumieją, są dwa przedewszystkiem im niezrozumiałe, lubo nic w nich niema niezrozumiałego:

---

[1] Zbiór ks. Żulkiewskiego.

„Jedna mowa Boga, jest mowa dobrodziejstw Jego względem nas. Ten sposób przemawiania jest najużywańszym, najzwyklejszym, najdonioślejszym, najzrozumialszym, najskuteczniejszym. A jednak tej mowy Jego ludzie wcale nie rozumieją. „A jako piastun Efraim nosiłem je na ramionach swoich, a nie wiedzieli, żem je leczył“ (Oseasz XI, 3); jeszcze wyraźniej Bóg skarży się u Izajasza (I, 3): „Poznał wół pana swego i osioł żłób pana swego, a Izrael mię nie poznał“. Możesz być coś bardziej dobitnego; możeli być coś bardziej głupiego z naszej strony? Szczenięta i ślepi, wiedzą kto ich żywi; niemowlęta mleczne poznają karmicielki; dzikie lwy znają swoich opiekunów — tylko ludzie rozumem obdarzeni nie poznają Boga!

„Nie zatrzymujmy się nad obcem głupstwem, ale rozważajmy nasze własne. Jakiemiż to dotąd Bóg przemawiał do nas słowy dobrodziejstw prywatnych i publicznych. Czyż nie wypełniło się świeżo na nas owo Izajasza: *Sedebit populus meus in pulchritudine pacis, in tabernaculis fiduciae, in requie opulenta.* Ażaliśmy zrozumieli mowę Bożą, że Bóg opiekował się nami, karmił nas? Czyśmy się poprawili? Czyż nie więcej raczej nadużywaliśmy dobrodziejstw Bożych i serca dumnieśmy wznieśli, nie dbając o chwałę Bożą?

„Inny język, którym Bóg przemawia, jest to mowa ucisków i klęsk. I ona dość jest powszechną, dość zrozumiałą. Czy ją rozumiemy? Oto co Bóg mówi: *Frustra percussi filios vestros, non receperunt disciplinam.* A przecież prawdziwie: nieszczęścia, które nas uciskają, pociągają do Boga (św. Grzeg.). Ale niestety i to nawet rzadkiem jest u ludzi. Że inne pominę przykłady: jakże rzadko my sami rozumiemy te mowy Boże. Czyż Bóg nie przemawiał do nas właśnie w tym czasie onym językiem dość ciężko i jasno? Odebrał nam głowę czyli króla, obciął ręce wojsku i wodzom. Następnie haniebnie pierzchnęliśmy, gdy nas nikt nie ścigał: zabrano w niewolę nad 500.000 naszych ludzi. Iluż zabitych? Jakie obszary spustoszone? Trzecia część królestwa oderwana?! I zdajemy się nie mieć dosyć sił ani ducha! O jakże wymowny ten język! czemuż nie zrozumieliśmy go? Czy poprawimy obyczaje? Cóż my na to teraz, gdy gniew Pański

jeszcze się nie odwrócił? Cóż? gdy jeszcze ręka jego wyciągnięta do chłosty? Cóż my Ja to teraz? Cóż, pytam, gdy w samej Rzeczypospolitej przygotowane ludy, żeby nas rozszarpać i rozedrzeć?!

„Bracia! Oto teraz przynajmniej zrozumiejmyż tę mowę: teraz się ocknijmy. Tak módlmy się, Bracia, aby wraz z modlitwą naszą, błagała za nami poprawa.

„Ty zaś, o Panie, nie dla naszych zasług, lecz z miłosierdzia swojego i tym razem ulituj się nad nami i wyciągnij nas z nieszczęścia, abyśmy się w wolności chwalili i wszystko z nami stworzenie na wieki. Amen".

Oto w krótkich rysach naszkicowany obraz kazań i egzort Drużbickiego. Mamy pod ręką ustępów pięknych jeszcze bardzo wiele, ale nie odrywają się one od ogólnego tła przytoczonych tu urywków żadną wybitną cechą.

(Dok. nast.).

Jarosław Rejowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Budżet i kredyt publiczny. *Dr. Józef Milewski.* Kraków. Nakład autora. 1898. (W 8-ce, str. 254).

Literatura zajmująca się budżetem jest nader bogata, zawsze jednak traktuje kwestyę tylko jednostronnie, ze stanowiska czysto formalnego, finansowego, politycznego lub prawniczego. Prof. Milewski, który nazywa swą pracę „roztrząsaniami finansowemi i politycznemi", wciąga w zakres swych badań — zupełnie słusznie — wszystkie te dziedziny, tak że w jego dziele dostajemy prawdziwą i zupełną monografię budżetu, jakiej dotąd jeszcze brakowało. Co więcej, autor nie patrzy na budżet z ciasnego kątka, niejako z formalistycznego zaścianka nauki, lecz wywody swoje opiera na szerokiej podstawie naczelnych zasad gospodarstwa i polityki, tak że właściwie daje czytelnikowi, zamiast zapowiedzianego jednego tylko problematu, całokształt swych poglądów na zadania polityczne, społeczne i gospodarcze tak państwa jak i społeczeństwa. „Budżet i kredyt publiczny" jest dziełem popularnem w najlepszem tego słowa znaczeniu, bo dzięki swym argumentom i swej ścisłości posiada wybitnie naukowy charakter, a z drugiej strony jest przystępnem każdemu przez przejrzystość układu i liczbę nagromadzonych przykładów i wyjaśnień.

Część ekonomiczna uwzględnia nietylko postulaty skarbowości, w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz ogólne zasady nauki gospodarstwa społecznego. Obok kwestyi ściśle budżetowej, znajdujemy tu cały obraz finansowej gospodarki publicznej; teoryę jej celu, zadań, warun-

ków rozwoju i określenie jej funkcyj w gospodarstwie społecznem. Wskazując na wstępie na b[illegible]stanny a nieuchronny wzrost udziału państwa w gospodarstwie ogólnem, na powody tej ewolucyi i na niebezpieczeństwa, które w niej się kryją, przechodzi autor w dalszych rozdziałach znamiona i naczelne zasady gospodarki publicznej, dowodzi konieczności jasnego i trwałego planu finansowego i ekonomicznego, wreszcie omawia uprawnienie poszczególnych wydatków i przedstawia teoryę ich pokrycia, czy to za pomocą dochodów zwyczajnych, czy też w drodze publicznego kredytu. Niema tu żadnej jednostronności, bo każdy problemat rozpatrywa autor tak ze stanowiska skarbowego, a więc państwowego, jak i ze względu na gospodarstwo społeczne, nie zapominając przytem o jego genezie i ewolucyi dziejowej, o funkcyi dzisiejszej i prawdopodobnem znaczeniu dla najbliższej przyszłości. Jest rzeczą niemożliwą wchodzić tu w bliższe szczegóły, zwracamy więc tylko uwagę na niektóre ustępy, które ze względu na panujące poglądy i niestety praktykę skarbową, należą w danej chwili do najważniejszych. Tutaj wypada zaliczyć przedewszystkiem jasne a dobitne określenie decydującego stanowiska ministra finansów, wobec najrozmaitszych żądań, na którego „spada *odium* za podatki, podczas gdy innym przyznaje się zasługę za uzyskanie zaspokojenia potrzeb“ (str. 68—75), doskonałe uzasadnienie opłat w szkołach średnich i wyższych interesem warstw uboższych (str. 191—192), wykazanie szkód gospodarczych, które spadają na kraj wskutek wydatków dorywczych i chwilowych na inwestycye (str. 81, 174), rzecz o t. zw. ekonomicznych kosztach poboru podatków (str. 77), wreszcie wywody o warunkach racyonalnego preliminarza, który nie powinien być ani nazbyt wczesnym, ani zbyt czarnym lub nadto różowym (str. 78—80). Te szczególniej ustępy polecamy wszystkim, interesującym się sprawą publiczną, a przedewszystkiem niektórym z naszych polityków, którymby się znajomość tych kwestyj niejednokrotnie bardzo przydała.

Natomiast nie możemy się zgodzić z szanownym autorem co do funkcyi ekonomicznej, którą ma spełnić ustrój podatkowy. Jego zdaniem podatki powinny być rozłożone sprawiedliwie, lecz nie powinny wpływać na zmianę rozkładu majątków i dochodów pomiędzy członków społeczeństwa, wskutek czego podatek majątkowy rzeczywisty — nietylko wymierzany według majątku, lecz z niego faktycznie pobierany — jest błędny (str. 200—206). Jakkolwiek to zapatrywanie liczy w literaturze bardzo wielu zwolenników, to jednak musimy tu zająć wręcz odmienne stanowisko: państwo nietylko może, lecz wręcz po-

winno wpływać za pośrednictwem podatków na odpowiedni rozkład majątku ogólnego, stąd należy wprowadzić cały szereg podatków majątkowych. Nie wdając się w szersze wywody, zaznaczamy tylko, że zasada sprawiedliwości winna się odnosić nietylko do teraźniejszości i przyszłości, lecz powinna także wynagrodzić krzywdy przeszłości, a szkodliwy rozkład dochodów powstał w znacznej mierze wskutek wpływu państwa — ustawowego i faktycznego; powtóre że w myśl zasady wydajności podatków, państwo we własnym interesie musi dążyć do równiejszego rozkładu dochodów, bo wysokie dochody łatwiej usuwają się z pod kontroli, w wyższym stopniu nadają się do defraudacyi podatkowej. Zresztą wszyscy domagamy się równiejszego — nie równego — rozkładu dóbr; przeprowadzenie tego postulatu należy w znacznej mierze do państwa, a władza podatkowa jest tu najpotężniejszą bronią, której pozbawiać się nie można.

Prócz tej zasadniczej różnicy zdań, nie moglibyśmy się zgodzić jeszcze na kilka rzeczy mniej ważnych, mianowicie na określenie podatków, jako dochodów, pobieranych jedynie wtedy, gdy nie wystarczą dochody z majątku i opłat (str. 61), na pojęcie gospodarstwa (str. 61), na uznanie rządu za podmiot gospodarstwa skarbowego (str. 64), wreszcie na twierdzenie, że najważniejszem zadaniem państwa jest utrzymanie bezpieczeństwa publicznego (str. 62). W końcu nie możemy powstrzymać się jeszcze od jednej uwagi. Szkoda, że autor tylko w pierwszym rozdziale poparł swe wywody cyframi; materyał statystyczny, choćby tylko podany przykładowo, byłby się przydał i w dalszym ciągu, zilustrowałby życiem dowody teoretyczne.

W części politycznej zajmuje się autor genezą nowoczesnego parlamentu i zakresu jego działania w sprawach budżetowych. Nawiązując do tych dwóch zasadniczych kwestyj, potrąca prof. Milewski niemal o wszystkie ważniejsze problematy, odnoszące się do parlamentaryzmu, wskazuje na przesadne nadzieje, z początkiem ery konstytucyjnej, i na pesymizm, który szczególniej u nas, owładnął obecnie umysłami, pod wrażeniem wypadków najnowszych. Autor zajmuje stanowisko pośrednie; broni stanowczo idei parlamentarnej, lecz pragnąłby usunąć parlamentarną swawolę; domaga się pozostawienia rządowi i reprezentacyi narodowej właściwego pola działania, żąda zatrzymania się na ślizkiej drodze, po której stacza się parlamentaryzm, który pragnąłby nie nadzorować lecz administrować. Na to stanowisko godzimy się najzupełniej; w dzisiejszych czasach tem silniej należy uwydatnić właściwe zadanie parlamentaryzmu, że i do nas, za przewodem Francyi, wkrada się

praktyka rządzenia nie przez odpowiedzialnych ministrów, lecz przez posłów, „których odpowiedzialność ginie w tłumie“ (str. 99). To też ustępy o nieudolności ustawodawczej parlamentu, o mnożeniu zbytecznych ustaw, przelicytowywaniu się w obiecankach dla wyborców, protekcyi i organizowaniu administracyi przez budżet i o partyjnych rządach (str. 90—94, 107—112), należą bezwarunkowo do najświetniejszych z całego dzieła. Również racyonalnem jest żądanie utworzenia fachowej komisyi ustawodawczej (str. 104), któraby zajęła się ocenianiem proponowanych ustaw i odpowiednią ich redakcyą. Z drugiej strony wydaje się nam, że autor poszedł za daleko, jeżeli parlamentowi odmawia prawa odrzucenia budżetu i zwiększania wydatków, preliminowanych przez rząd (str. 120—137, 140—141). Nie ulega wątpliwości, że prawo odrzucania budżetu jest anomalią tak ze stanowiska skarbowego jak i prawnego, że podział na t. zw. budżet stały i czasowy (str. 137) byłby bardzo korzystnym, lecz nie należy zapominać, że odmowa budżetu ma zawsze charakter ściśle polityczny, że jest to jedyny sposób usunięcia od steru ludzi, zdaniem parlamentu nieodpowiednich. Niema tu mowy o naruszeniu prerogatyw Korony, gdyż w takich razach nie chodzi o osoby, lecz o kierunek, który one reprezentują, a ostatecznie nie jest rzeczą teoretycznie wykluczoną, aby po takiem wotum nieufności monarcha nie zatrzymał tych samych ministrów, jeżeli oni zmienią swe postępowanie. Zresztą ta prerogatywa ma więcej charakter negatywny. Koronie nie można narzucać doradców, lecz to, co się da zrobić przez odrzucenie budżetu w krótkiej drodze, to samo się osiągnie systematycznem odrzucaniem ustaw, tylko powolniej. A społeczeństwo zawsze na tem traci, jeżeli wojna między rządem a parlamentem ciągnie się nazbyt długo — odrzucenie budżetu jest więc w każdym razie złem mniejszem. Co się tyczy inicyatywy posłów w zwiększaniu wydatków, to bardzo niepewną jest pociecha, że leniwy rząd i tak upadnie, a będąc u steru jest zawsze lepiej poinformowanym o potrzebach (str. 141). Nie należy zapominać, że rząd niejednokrotnie zna potrzeby, lecz nie chce ich zaspokoić, a platoniczne przypominanie ich w mowach, na nic się nie przyda, jeżeli brak im sankcyi w stanowczej uchwale. Z własnego, smutnego doświadczenia moglibyśmy o tem niejedno powiedzieć.

Prócz tych rzeczy ogólnych, ekonomicznych i politycznych, zawiera dzieło prof. Milewskiego, jeszcze cały szereg uwag o naszej krajowej polityce. Rzadko kiedy zdarzyło nam się czytać tak spokojne i przedmiotowe, lecz właśnie dlatego prawdziwe i przekonywujące wy-

tknięcie błędów, które u nas popełniano lat tyle i popełnia się jeszcze. Prof. Milewski wykazuje, jak zgubną była dla naszego społeczeństwa zasada „praca dla ludu choć bez ludu“ (str. 105—106), jak mylne są narzekania na rozszerzenie prawa wyborczego, które uważają niektórzy za jedyny powód wszelkich klęsk społecznych (str. 103), jak wielki błąd popełniają ci wszyscy, którzy chcieliby cofnąć te uprawnienia wyborcze, a trzymając się teoryi o szkodliwości „rozpolitykowania ludu“, usunęli się zupełnie od niego, pozostawiając go na pastwę nieznanym, najczęściej niesumiennym agitatorom (str. 113—114). Idź i czyń! — woła autor z Krasińskim — i temi uwagami stawia swe dzieło w szeregu najcelniejszych naszych prac, nietylko społecznych lecz i politycznych.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Tak zwana korona Bolesława Chrobrego i inne insygnia Polski. *Dr. Feliks Kopera.* Kraków. 1898. (W 8-ce, str. 62, z 2 rycinami w tekscie).

Skarbiec książąt polskich, opowiada autor, już w XI. wieku miał nagromadzone odwieczne skarby, które Brzetysław czeski r. 1039 zagrabił i na 100 wozach z Polski wywiózł.

Skarby królewskie otaczały ukoronowaną postać książęcą czy królewską urokiem bogactw, olśniewały swym blaskiem lud patrzący ze zdumieniem na przepych i wspaniałość książęcą, były widomym znakiem i miarą jego potęgi. To też żaden kronikarz średniowieczny, wielbiąc znakomitość księcia, nie przepomni dorzucić choćby słów kilka o jego bogactwach.

Za Chrobrego czasów „złota było wiele a srebro za nic się miało“; że tak istotnie być mogło, zdają się o tem świadczyć wykopaliska z owej epoki. Całe życie ubiegał się Bolesław Chrobry o prawo do korony królewskiej. Cesarz Otton III. opodal grobu św. Wojciecha, wśród uczty w niedalekim a starożytnym grodzie na Ostrowie jeziora Lednicy, włożył r. 1000 na skronie Bolesława Chrobrego, zwyczajem bizantyńskich cesarzów, dyadem i wręczył mu włócznię; insygnia to królewskiej godności, do których później miał jeszcze dołączyć tron złoty.

Do osiągnięcia teraz tytułu króla, pomazańca Bożego, brakowało Bolesławowi sankcyi papieskiej; ona dopiero i tylko ona mogła w pojęciu średniowiecznem użyczyć mu tego prawa, nadać blasku królewskości w oczach wszystkich, a głównie pozyskać uznanie duchowieństwa, które w moc słów, że „wszelka władza pochodzi od Boga“, sank-

cyi stolicy apostolskiej domagało się bezwarunkowo. Więc też Bolesław, pragnąc nadać państ ɣ charakter niezależnej monarchii, czyni równocześnie z królem węgierskim Stefanem, usilne zabiegi w Rzymie o koronę z rąk Głowy Kościoła.

Kilka miesięcy przed śmiercią, wnet po zgonie cesarza Henryka II., Chrobry nie doczekawszy się widocznie zezwolenia, kazał duchowieństwu namaścić się na króla i koronować konsekrowanym dyademem. Za krok ten spotkało go oburzenie ze strony Niemców. Polska wreszcie przyszła do posiadania uświęconych insygniów, jako przedmiotów liturgicznych, będących zarazem przez Kościół uznanym symbolem władzy, których zatrata mogła w przyszłości odjąć uświęcenie władzy królewskiej Chrobremu, który był założycielem wielkiego państwa, zależało, dla jego ugruntowania niezmiernie wiele na tem, aby takie palladium zostawić swoim następcom.

Mieszko II. wraz z żoną Ryxą, zaraz po śmierci ojca, koronują się r. 1025 prawdopodobnie w Gnieźnie a skarbiec królewski zwiększył się wówczas o dyadem królowej.

Gdy w roku 1031 Mieszka wygnano z kraju, Ryxa w zmowie z wrogami znienawidzonego męża, udaje się do Saksonii i oddaje cesarzowi Konradowi III. zabrane ze skarbca polskiego dwie korony królewskie.

Koronę niewieścią pozostawił cesarz Ryxie, która kazała się z nią pochować, bo przy otwarciu jej grobu w Kolonii r. 1633 znaleziono także koronę o sześciu klamrach, — niestety zaginęła ona później. Druga korona pozostała w ręku cesarskim. Ponieważ w tym czasie pojawia się nowa złota korona w skarbcu cesarskim i stylowo z tej epoki pochodzi, stąd uczony niemiecki Bock, w jednej z dwu przez siebie postawionych alternatyw, przypuszcza, że ta właśnie, zwana koroną Karola Wielkiego jest przeniesioną przez Ryxę polską koroną. Zatem korona Bolesława Chrobrego stała się świętym klejnotem rzymsko-niemieckiego państwa, a obecnie spoczywa w cesarskim skarbcu w Wiedniu.

Szanowny autor rozbiera teraz sprawę korony dalej i, aby upewnić się o słuszności hipotezy, zastanawia się nad okolicznościami dotyczącemi losów skarbca królewskiego. Rozbiera kwestyę koronacyi Kazimierza Mnicha przez cesarza Henryka, o której dochodzą wieści kronikarskie i nie wierzy w nią. Dodajmy od siebie, że kwestyę tę rozstrzyga ponad wszelką wątpliwość rozumowanie prof. O. Balzera („Genealogia Piastów“ str. 84), który dochodzi do wyniku, że jej

wcale nie było. Dopiero Bolesław Śmiały 25 grudnia 1076 r. ukoronowany został przez 11 biskupów i dał Polsce nowe insygnia królewskie. Wrogie usposobienie Niemców wobec tej koronacyi dowodzi oczywiście, że korony, która wieńczyła skroń Chrobrego, nie wydali. Nowe insygnia spoczęły, wedle sz. autora, od r. 1110 w skarbcu katedry krakowskiej. Życiopisarz św. Stanisława z r. 1261 twierdzi, jako insygnia królewskie, dane przez Ottona Bolesławowi: korona, włócznia i berło (pierwsza to o niem wzmianka) znajdują się w przechowaniu katedry wawelskiej. Dopiero Przemysł, ks. kaliski, z żoną Małgorzatą odbywają r. 1295 koronacyę w Gnieźnie używszy krwią św. Stanisława zroszonych insygniów. Niezadługo, bo r. 1300 koronuje się w Gnieźnie Wacław, a potem już w Krakowie (20 stycznia 1320) Władysław Łokietek; zerwał więc on z tradycyą i za miejsce koronacyjne Kraków obrał. Czy jednak dawne insygnia posłużyły mu w akcie koronacyjnym, kwestya nie rozstrzygnięta, bo źródła historyczne milczą o znakach widomych królewskiej godności. To pewną zdaje się być rzeczą, że nie posiadając szczerbca Chrobrego, miecz zakonu krzyżackiego odziedziczony po stryju, Bolesławie ks. mazowieckim († 1248), ujął w swe dłonie przy ceremoniale koronacyjnym. Dawny Szczerbiec Bolesławowy istniał jeszcze wedle kroniki wielkopolskiej w XIII. w., ale nie należał do insygniów królewskich, gdyż przy obrzędzie koronacyjnym, aż po XIV. stulecie używano włóczni, potem dopiero miecza. Pierwszy Przemysław, zda się, nie używa jej, lecz miecza, koronując się r. 1294 w Gnieźnie. Nazwa sama „szczerbca“ przeszła na miecz Łokietkowy, który powstał około r. 1215. (Sadowski, „Miecz koronacyjny polski Szczerbcem zwany“, str. 34 i 50).

Od czasu Łokietka insygnia koronne, aż do rozbicia się państwa pozostały w przechowaniu na krakowskim zamku.

Chociaż insygnia koronne przepadły bez wieści, jednak zachował się rysunek tak zwanej Chrobrego korony, złożonej z dziewięciu ogniw wygiętych w kształt lilii i bogato kameryzowanej, pięknej, pełnej harmonii blasków tęczowych, kruszcu pereł i drogich kamieni. Pod względem stylu jest rzeczą wprost wykluczoną, aby tego kształtu korona mogła powstać wcześniej jak z końca XIII. w., — a zgodnie z rysunkiem korony na pieczęci Władysława Łokietka, on jej używa, stąd wniosek, że za jego panowania zrobioną została.

Wszystkie insygnia Królestwa Polskiego zginęły bez wieści, jedynie ustna tradycya powiada, że ocalone! Jeżeli ocalone, byłby czas najwyższy, by z rąk prywatnych przeszły do jakiejś publicznej insty-

tucyi (Muzeum rapperswylskie w Szwajcaryi), i zostały zabezpieczone tym sposobem od niepewnej przyszłości i losów.

Oto treść, oto rezultaty mozolnych badań, które dotyczą drogich każdemu, co czuje i myśli po pol[illegible]u, zabytków. Rozprawa napisana wzorowo i bystro, z bardzo wielkim zasobem wiedzy. Niemniej pozwolimy sobie zrobić jedną krytyczną uwagę, jeśli nie zarzut w sprawie najważniejszego wyniku rozprawy: że korona Chrobrego spoczęła na głowie cesarzy rzymsko-niemieckich i znajduje się cała zachowana w stolicy monarchii austryackiej. Hipoteza d-ra Kopery jest tak ponętną i piękną, że siłą woli budzimy w sobie ducha opozycyi, by nie uledz złudzeniu.

Na str. 30 powiedział sz. autor, co się tyczy pochodzenia korony cesarskiej w Wiedniu, że dr. Franciszek Bock, w swej publikacyi: *Die Kleinodien des heil. römischen Reiches deutscher Nation nebst den Kroninsignien Böhmens, Ungarns und der Lombardei* (Wiedeń 1864) postawił dwie alternatywy. Otóż dlaczego sz. autor tylko jednej z nich poświęcił w rozprawie uwagę a o drugiej przemilczał? Nie mamy publikacyi wymienionej pod ręką, bo jej niema żadna z bibliotek krakowskich, ale mamy nowszą rzecz tego autora: *Die byzantinischen Zellenschmelze der Sammlung Dr. Alexander von Swenigorodskoi* (Akwizgran 1896), gdzie w rozdziale: *Die altdeutsche Kaiserkrone* wypowiada o niej zdanie, że Konrad II. wziął ją dziedzictwem po bezdzietnym Rudolfie III. królu burgundzkim († 1032). Fakt sam przejścia korony burgundzkiej w ręce cesarskie jest dostatecznie poparty źródłami. Dr. Bock popełnia tylko ten sam błąd, co nasz sz. autor, bo przemilcza znów o drugiej alternatywie, którą przyjął dr. Kopera.

Wobec tego, że Konrad przywłaszczył sobie za pośrednictwem Ryxy r. 1031 koronę Chrobrego a w r. 1032 posiadł prawem dziedzictwa koronę burgundzką, zachodzi kwestya, który z dyademów wybrał Konrad na przerobienie go na koronę cesarza rzymskiego państwa. To kwestya, którą rozwiązać należy, obalając jedną z alternatyw, i wtedy dopiero będziemy mieli prawo przechylić się na jedną lub drugą stronę. Rozwiązanie problemu uważamy za możliwe, ale wymagające wielkiego nakładu pracy i subtelnych dociekań.

Leonard Lepszy.

Dzieje narodu polskiego. *Wł. Grabieński.* 2 tomy. Kraków 1897. Nakładem autora. Gebethner i Sp. (Str. 277 i 370).

Społeczeństwo nasze z radością witać powinno każde dzieło, stawiające mu przed oczy obraz jego przeszłości; powstawanie i mnoże-

nie się takich prac jest dowodem żywotności narodu, budzeniem i utrzymywaniem ducha stokroć silniejszem, a zwłaszcza zdrowszem od wszelkich „manifestacyj“. Dla nas, u których życie polityczne skupia się tylko w jednej pomniejszej dzielnicy, a reszta musi na życiu umysłowem poprzestać, książki historyczne nie są, jak dla szczęśliwszych ludów, rodzajem muzeum, kędy się chodzi — podziwiać pamiątki przeszłości, ale są nieodzownym pokarmem, z którego mamy czerpać żywotne soki do dalszego istnienia. Mówię do istnienia, a nie do walki; istnienie bowiem nasze jest samo przez się walką i zwycięstwem. Im zaś organizm bardziej jest chorym, im bardziej potrzebuje wzmocnienia, tem podawany mu pokarm winien być zdrowszym. Czy dzieło p. Grabieńskiego w zupełności odpowiada temu zadaniu? Posiada ono niezaprzeczenie wielkie i bardzo cenne zalety; jest to praca poważna, sumienna, owoc trudu, którego setnej części pojąć nie zdoła czytelnik, nieuprawiający własnemi rękami ciężkiej roli dziejów, ani nawet pisarz, kreślący monografie, niezmuszające go do obejmowania tych dziejów całości.

Dzieło p. Grabieńskiego składa się z dwóch części, rzecby można z dwóch książek odrębnych. Jedna ściśle historyczna zawiera dzieje narodu polskiego włącznie do elekcyi Augusta III. Druga raczej rzec można polityczną historyę ostatnich 150 lat aż do naszych czasów. Każdą więc z nich należy traktować z osobna. U wstępu I. części autor ostrzega nas, iż zamiarem jego jest popularyzowanie dziejów ojczystych, że przytem praca jego różni się od poprzednich podręczników pod następującemi względami: „Przedstawia organizacyę państwa ze szczególnem uwzględnieniem ewolucyi w formie rządu i układzie społecznym; zawiera pomysły metodyczne, niepozbawione może wartości dydaktycznej. Osiągnęłaby cel, gdyby zdołała przygotować młodzież i publiczność wykształconą do czytania monografij historycznych i do oryentowania się w powodzi najróżnorodniejszych sądów o przeszłości narodu polskiego“. Czy nowy podręcznik „zdoła przygotować młodzież“, nie wiemy, jest może na to zbyt zwięzły; ale że „wykształconej publiczności“ posłuży do skupienia i logicznego zorganizowania w głowie faktów dziejowych — to pewno. Nie jest to książka do pierwszej nauki, ale raczej znakomity a ścisły „spis rzeczy“, coś w rodzaju „ksiąg“ Szujskiego, z któremi (pomimo że je autor oschłemi i chaotycznemi nazywa) posiada niektóre wspólne zalety i strony ujemne. Do pierwszych należy skrupulatna ścisłość faktów, do drugich zbytnia treściwość, sprawiająca przy ilości nagromadzonego materyału niekiedy

zamęt w myśli czytającego. P. Grabieński w przedmowie swojej zastrzega się od hipotez; pomimo to możnaby mu zarzucić, że niektóre hipotezy własne lub cudze nieco apodyktycznie za pewniki podaje. Tak np. czyż można bez zastrzeżeń przyjąć twierdzenie, jako „Czesi zabrali Mieszkowi I. Chrobacyę“, skoro nie jest dowiedzionem, że ją posiadał, a prawdopodobieństwo przemawia za tem, że historyczne podania z nad Wisły o Krakusie i Wandzie należy zupełnie oddzielić od podań z nad Warty i Gopła? Podobnie, skąd zdanie, że Sylwester II. był przeciwny światowładnym dążnościom młodego Ottona III.? Dalej, czyż można bez zastrzeżeń zapisać prawdopodobny, ale niestwierdzony fakt, że przyczyną upadku Bolesława Śmiałego był rokosz Sieciecha, a śmierć św. Stanisława umotywować jedynie wspólnictwem w buncie? Już to co do św. Stanisława, nie wiedzieć, co do niego cierpią obecnie niektórzy nasi pisarze, dlaczego ta wielka postać kłuje ich w oczy tak, że radziby gwałtem zedrzeć zeń szatę męczeństwa? Toć Anglicy, choć protestanci, nie burzą się na swojego św. Stanisława — Tomasza Beketta. Dalej znów w XIV. w historya rządów Ludwika i Elżbiety, a raczej małopolskich panów, wydaje nam się traktowaną nieco po macoszemu, tj. że autor, kładąc niemal wyłącznie winę po stronie rządzących, nie dość uwzględnia zasadniczą opozycyę Wielkopolski przeciw Łokietkowi i jego następcom. Przedwczesnem też wydaje nam się parokrotne użycie w przytoczonej hramocie Iwana Groźnego nazwy „Rossya“, która przecież dopiero pod koniec panowania Aleksego Michajłowicza zjawiać się poczęła.

Wszystko to jednak są rzeczy drobne, znikające w ogólnej masie dobrego, wobec konsekwentnie a jasno przedstawionego rozwoju instytucyj społecznych i politycznych. Ustępy osobne, traktujące o stopniowej organizacyi państwa są przewyborne, mogą posłużyć nietylko czytającym, ale i niejednemu piszącemu, oszczędzając mu poszukiwań za byle którym zapomnianym szczegółem fachowym. P. Grabieński podzielił swą pracę odpowiednio do założenia, tj. nie według zmian dynastycznych lub terytoryalnych, ale według postępu w ustroju państwa. Jest zatem: I. „Słowiańszczyzna“, II. „Kształtowanie się państwa polskiego monarchicznego“, III. „Upadek państwa monarchicznego“, tj. do Władysława Łokietka, IV. „Kształtowanie się Rzeczypospolitej szlacheckiej“ — do Zygmunta III., V. „Organizacya Rzeczypospolitej szlacheckiej“ (najcenniejszy rozdział książki), VI. „Rządy Stanów Rzeczypospolitej“ — do Augusta III., a wreszcie VII. „Literatura historyczna“, zawierająca spis i omówienie ważniejszych dzieł historycznych, po-

cząwszy od Naruszewicza, a więc z pominięciem zupełnem Gallusa, Długosza, Kromera, Bielskiego i t. d. Pytanie, czyby Naruszewicz mógł pisać historyę, gdyby przed nim starych kronikarzy nie było?

W całem dziele p. Grabieńskiego widocznem jest, iż autor stawił sobie za zasadę nie wypowiadanie własnego sądu o wypadkach dziejowych, tylko zestawienie ich dobitne i jasne dla sądu czytelnika. Jest to sposób idealny pisania historyi, ma jednak ujemne strony. Pierwszą z nich jest nieunikniona w tych warunkach bezbarwność, niedozwalająca uwydatnienia w myśli czytelnika ważniejszych postaci i wydarzeń, krom tych, które bezpośrednio na wewnętrzny ustrój państwa wpłynęły, pewna urzędowa monotonność, wykluczająca z obrazu wszelką wypukłość wrażeń, nadająca mu raczej pozór chłodnej, sztywnej, a bardzo dokładnej ryciny. Drugą zasadniczą wadą tej metody jest, że utrzymanie się w niej dla myślącego i czującego człowieka jest wręcz niemożliwem, że osobista jego opinia przeziera choćby z mimowolnego zestawienia faktów. I tak tu, pomimo pancerza, jakim się autor zasłania, dostrzedz można wyraźnie, że nie należy bynajmniej do Lelewelowskiej szkoły, że raczej stoi w pośrodku między Bobrzyńskim a Szujskim. Ten ostatni, zda się, zgodziłby się z nim w niejednem — krom w kwestyi najważniejszej, kwestyi religii.

Dotąd na różne kozły ofiarne zrzucano winę upadku Rzeczypospolitej: jedni winili królów, drudzy panów, trzeci szlachtę; inni znów i to może najsłuszniej winili wadliwy ustrój państwowy, za którego powstanie i utrzymanie odpowiedzialność ciąży na wszystkich klasach narodu. To jednak nie było dostatecznem. Dowiadujemy się z niemałem zdziwieniem, że przyczyną wszystkiego złego był... Kościół katolicki! Nie wierzą czytelnicy? A więc proszę posłuchać. W ogólności w całej książce uderza antykatolicki kierunek. Od początku razi poniekąd nazwa „reformy kościelnej“, dana herezyi Hussa; myślelibyśmy, że to chyba tylko mylne wyrażenie, nieprzesądzające całości, ale dalej widzimy usiłowania Oleśnickiego o wstrzymanie zarazy, wystawione nie jako walka o obronę dusz, ale o przewagę klerykalnej władzy. Humanizm przedstawiony jedynie pod kątem memoryału Ostroroga, jako bunt władzy świeckiej przeciw kościelnej. Cóżby na to zdanie powiedzieli Medyceusze, Leonardo, Rafael, Michał-Anioł, Kopernik; cóżby przedewszystkiem powiedzieli papieże-humaniści, jak Mikołaj V., Pius II., Sykstus IV., Juliusz II., Leon X. i Klemens VII.? Toż podobne zdanie, jeśli je do ogółu Europy zastosować chcemy, nie wytrzyma krytyki pierwszego lepszego studenta. Jeżeli zaś ma się odnosić wyłącznie do

Polski, to nań śmiało odpowiedzieć można, iż wszczęty przez Jagiellończyka *Kulturkampf* był nie wynikiem „wolnomyślnych“ sofizmatów Ostroroga, ale dalszym ciągiem polityki, dążącej do oswobodzenia tronu z pod przewagi oligarchii, aby oprzeć na ruchomej masie szlacheckiego żywiołu, w której miał wkrótce zagrzęznąć, a w końcu utonąć. Ale dajmy pokój humanizmowi. W Polsce, według autora, szło nie najgorzej do chwili, gdy reakcya katolicka poczęła zwalczać Reformacyę Lutra i wszelkie zrodzone z niej sekty. Ona to — owa nieszczęsna reakcya, miała stworzyć konstytucyę 1572 r., ona wywołać wszystkie późniejsze rozdwojenia, rokosze, klęski i wojny. Na ten zarzut dość niespodziewany, zważywszy mało patryotyczną rolę, jaką prócz kilku wyjątków innowiercy odegrali w kraju, możemy odpowiedzieć przez wymowniejsze od naszych usta, przez głos płynący z jasno widzącego a gorąco miłującego serca: „Tego prawie palcami dotykacie — mówił w jednem z swych kazań Piotr Skarga — iż kacerstwa i różne fałszywe wiary, które jedną prawdziwą zepsować chcą, przyczyną są najprzedniejszą tych niezgód waszych. Bo póki te nieszczęśliwe sekty między wami nie były, pótyście byli jako jeden mąż, jednego serca i woli jednej, i doma i na sejmach, gdyście potrzeby Rzeczypospolitej obmyślali!“

P. Grabieński może nam odeprzeć, że Skarga mówił *pro domo sua;* nam się jednak zdaje, że tutaj „domem“, za którym się ujmował, była właśnie Polska, i że choć katolik i choć Jezuita, mógł lepiej sądzić o współczesnych mu stosunkach, niż historycy dzisiejsi. Ofiarą opinii autora musiał oczywiście paść, jak zawsze, biedny Zygmunt III., którego „katolicka“ polityka sprowadziła na kraj wszystkie możliwe plagi. Stronniczość tu — dziwna u tak zresztą bezstronnego pisarza — jest tak wybitną, że Zamojski, który jako dowódca katolickiej partyi podczas bezkrólewia nie jest w jego łaskach, nagle je odzyskuje, gdy staje w opozycyi przeciw królowi. Czyż nie wypadało raczej uczynić mu zarzutu, że przed elekcyą Walezyusza użył (jak tylu innych) bodźca religii do przeprowadzenia wśród drobnej szlachty swych politycznych planów, że potem okryty chwałą za czasów Batorego chciał po tegoż śmierci stanąć w postaci mentora przy sprowadzonym przez siebie następcy, a zawiedziony na nowym monarsze stokroć gorszą wobec niego odegrał rolę, niż za naszych dni Bismarck wobec Wilhelma II. Z tej opozycyi zrodził się sejm inkwizycyjny, z niej wyrodził nieprzewidziany już przez kanclerza rokosz Zebrzydowskiego, do którego jak do każdej burdy zlecieli się innowiercy wszelkiej kategoryi pomimo ostenta-

cyjnego katolicyzmu swego przywódcy. Że polityka Zygmunta była czasem błędna, bo była nietaktowną i połowiczną, to prawda, ale nie dlatego, że była katolicką. Bo i czemże miała być polityka króla katolika? Czy protestancką, czy może... bezwyznaniową? Widzieliśmy za naszych czasów takie polityki „bez dogmatu“, ale widzieliśmy również, że nie zaprowadziły daleko. Tyle razy już zbijano zarzuty fanatyzmu, czynione Zygmuntowi III., że się nad tem rozwodzić nie warto; wiadomo też, iż przy końcu jego panowania senat składał się przeważnie z katolików dlatego, że się panowie innowiercy nawracali jeden po drugim. A zresztą czyż jest dziwnem, że król wolał powierzać godności senatorskie katolikom, których wierności był pewien, niż innowiercom, którzy znosili się to z Niemcami, to z Moskwą, a którzy w jakie trzydzieści lat później mieli najezdców szwedzkich z otwartemi ramiony przyjmować! P. Grabieński wylicza różne krzywdy w Polsce dyssydentom zrządzone, a że krzywdzić nikogo nie wolno, to mu każdy przyzna. Ale czyż wychodząc z tej samej zasady nie godziło się dla prostej miłości prawdy powiedzieć również, co innowiercy w miastach pruskich przeciw katolikom czynili, wiele tam i na Litwie obelg z ich rąk symbole naszej wiary doznały, obok wzmianki o zburzonych zborach nadmienić również o zburzonych klasztorach? Więc człowiek, któryby nie zniósł, aby kto jego ojcu czci należnej uwłaczał, ma znieść spokojnie, gdy w jego oczach depczą krzyże lub błoto i kamienie na Najśw. Sakrament rzucają?

Oprócz walk z innowiercami reakcya katolicka była wrzekomo również winną ciemnoty, jaka zapanowała nad krajem przez wiek XVII. i XVIII. Wyrazem tej ciemnoty, twierdzi autor, była astrologia. Nie zawadzi tu przypomnieć p. Grabieńskiemu, że astrologia była sztuką całkiem świecką, że Sykstus V., który przecież był papieżem, zabronił ją był w Rzymie pod bardzo surowemi karami, a król angielski, Jakób II. który był protestantem, uprawiał ją tak dalece, iż napisał dziełko o astrologii i czarnoksięskich sztukach. Astrologia istotnie kwitła naonczas w Rzeczypospolitej, ale nie mniej bujnie kwitła we Włoszech, we Francyi i w Niemczech, a nie szukając daleko, u palatynowej Anny Gonzaga, siostry Maryi Ludwiki, odbywały się w Paryżu posiedzenia okultystyczne, na które i wielki Condé bywał proszony. Podczas jednego z onych posiedzeń usiłowano spalić kawałek krzyża św., co nie świadczyło o zbytniej pobożności obecnych. Nie potrzeba dodawać, że praktyki te ustały dopiero, gdy w duszy palatynowej zaszła „reakcya katolicka“, a z nią zwrot do prawdziwego światła i Boga.

Ale cóż tu mówić o dawnych czasach, kiedy i w naszym arcyoświeconem, arcycywilizowanem stuleciu, gdzie świat się chełpi, iż się otrząsnął z cieniów klerykalnej zmory, spirytyzm i magia „czarna i biała“ w najlepsze kwitną we wszystki stolicach Europy, a więc i w Krakowie; gdzie w samem centrum oświaty, tj. w Paryżu praktykuje się tak zwane *envoûtement*, tj. nakłówanie woskowych figurek, mających przedstawiać nienawistne kłującym osoby. A dzieje się to nie po zakrystyach, nie w zaśniedziałych od katolicyzmu domach, ale właśnie w salonach „postępowych“, takich, gdzie ludzie nad prawdę wiary przekładają zabobon, a nad obrzędy kościelne idyotyczne gusła. Niema zatem czego tak bardzo się gorszyć astrologią XVII. w., niedorzeczną wprawdzie, ale dość niewinną, a w każdym razie ani mającą styczność z praktykami religii, ani pochodzącą z pietyzmu. Nie godzi się kłaść na karb pobożności to, co ta pobożność potępia.

Innym wynikiem ciemnoty miało być u dawnych Polaków przypisywanie wszelkich wydarzeń zrządzeniom Opatrzności. Tu już wolimy wierzyć, iż autor się źle wyraził, że chciał powiedzieć, iż ludzie skutki własnej nieprzezorności i głupstwa na karb Opatrzności składali, bo że Bóg losami świata rozrządza, w to wierzy chyba nietylko każdy katolik i każdy chrześcijanin, ale muzułmanin, brahmanin — słowem, każdy człowiek, posiadający religię. Kapłani w XVII. i XVIII. wieku namawiali do rekolekcyj, spowiedzi, modlitwy — to prawda; ale do czegóż namawiać mieli? Czy do kieliszka i tańca? Daleko słuszniejszym, a zapewne i z myślą autora zgodnym byłby zarzut, że w owych czasach prawdziwa wiara osłabła w duszach, a została tylko jej skorupa, zewnętrzne formułki, że niejeden odprawiał machinalnie Godzinki, a o przykazania Boże nie dbał, pościł z olejem, ale się upijał na umór, że tak w stanie religijnym, jak i społecznym u nas przyszło było do smutnego rozkładu. To wszystko prawda, ale należało może dodać, że pod tym względem nie byliśmy wyjątkiem; że podobnie lub równie źle działo się w innych Europy krajach, żeśmy przecież nie byli ostatni z ostatnich. Należało obok ciemnej podać i jaśniejszą stronę obrazu, aby snać młodzi nie powiedzieli sobie, że skoro takimi byli nasi ojcowie to nie dziw, że i dziś u nas nie dobrze i niema się co spodziewać ani nad tem pracować, aby było lepiej.

Drugi tom „Dziejów narodu polskiego“ obejmuje czasy od elekcyi Augusta III. do dni ostatnich. Równy pierwszemu dokładnością, ścisłością faktów i bezstronnością w kwestyach polityczno-społecznych, jest obszerniejszym a przez to samo bardziej interesującym. Tu już

autor nie ogranicza się na zapisywaniu wypadków, ale je opowiada, poważnie — jak na tak smutny przedmiot przystało — bez oschłości i bez liryzmu, z dziwną miarą w oddaniu sprawiedliwości każdemu, czy to Poniatowskiemu, czy konfederatom barskim, czy nawet Targowiczanom. Rzadko gdzie spotkać można czasy rozbiorów przedstawione tak dobitnie i jasno. Toż samo powiedzieć wypada i o czasach następnych, którym chyba ludzie bardzo skrajnych opinij zdołaliby coś zasadniczego przyganić. My pozwolimy sobie tylko jedno zadać pytanie: czy charakterystyka w. ks. Konstantego nie wypadła zbyt czarno? Że był dziwakiem, brutalnym w obejściu i nieco narwanym, to rzecz wiadoma, ale sądząc z opowiadań ustnych i piśmiennych ludzi współczesnych, zdawałoby się, że w gruncie duszy nie był złym, że Polakom nie życzył źle i że jego bierne postępowanie po wybuchu listopadowego powstania pochodziło nie z tchórzostwa (jakie mu autor zarzuca), ale z obawy, iżby z tego, co mienił być wielką burdą, nie wytworzył się konflikt między cesarstwem a małem królestwem, między wojskiem rosyjskiem a wyszturchanemi ale i ulubionemi jego hufcami polskiemi. Przecież znanem ogólnie jest, że gdy później dochodziły go wieści zwycięstw wojska polskiego, cieszył się i chełpił, mówiąc: „To moi żołnierze!“ Nie można też oskarżać go o wspólne z Nowosilcowem działanie. Widzimy to jak na dłoni ze strasznych pamiętników Bajkowa, z których p. Kraushar wydał przed kilku laty streszczenie i wyciągi. Tak Bajkow jak i pryncypał jego Nowosilcow nienawidzili w. księcia i wszystkich sił dobywali, aby podkopać stanowisko jego w Warszawie. Paraliżowali jego władzę, działali na własną rękę poza jego rozkazami lub krzywiąc rozkazy, kompromitując go przed narodem i dyskredytując w Petersburgu: zda im się zarówno wrogiem jak i Polacy. Bajkow zapisując pewnego dnia z radością wieść o skasowaniu któregoś z pułków litewskich, dodaje: *Ce sera un coup de foudre pour le Grand duc.*

Pan Grabieński pisze, iż w przeddzień zamachu Podchorążych „stary Niemcewicz pochwalał zamiary związkowców“. Przypomina nam to, że mamy właśnie w ręku oryginalny, prywatny list Niemcewicza, pisany w odpowiedzi do Józefa Wodzickiego, zasięgającego jakiejś rady w kwestyi wychowania synów. List jest z 30 grudnia 1830 r., a przy końcu zawiera następujące zdanie: „Niespodzianie nas wcale zaskoczyła ta rewolucya, Bóg sam wie jak się skończy, potrzeba jednak ginąć z honorem, jeśli zwyciężyć nie można; wiem że walecznie

bić się będziemy. Ja więcej pisać nie mogę, oddaję się szanownej przyjaźni".

Zapewne ani p. Grabieński, ani czytelnicy nie pogniewają się za to wtrącenie, przerywające penzyę, ale nie oddalające od przedmiotu. Dzieje owej nieszczęsnej a pięknej rewolucyi bardzo dobrze skreślone. W niektórych epizodach, jak np. w opowiadaniu kampanii generała Dembińskiego, autor zapomina się nawet i wlewa w opowieść swoją niezwykłe ciepło i życie. W późniejszych latach można było po okropnościach rzezi wspomnieć słówkiem o anielskiej działalności ks. Antoniewicza, o dziwnie szlachetnem postępowaniu niedomordowanej szlachty galicyjskiej, usiłującej na współ z duchowieństwem ukoić rany i nędze przerażonego własnem dziełem ludu. Można było, mówiąc o emigracyi, wspomnieć choć słówkiem o założeniu wyrosłego z tej emigracyi zakonu Zmartwychwstańców. Można też było — niech nam tysiące uprzedzonych jeszcze ludzi tę uwagę wybaczą — nie nagromadzić takiej liczby szpetnych przymiotników na głowie Wielopolskiego. Pan Grabieński wyliczając w następstwie wszystko, co margrabia zdobył dla kraju, czuł się snać w obowiązku złożyć u wstępu hołd „królowej opinii", pisząc, że „zdepopularyzowany margrabia, znany zresztą z pychy, zarozumiałości, arogancyi i gburowatości" i t. d. Pozwolimy sobie zapytać: 1) czy jest szlachetnem znęcać się nad pamięcią człowieka, który nie poparty ani przez naród, ani przez rząd, umiał wrogom naszym wydrzeć najdroższe dla kraju zdobycze tak obszerne — że już i o wojsku polskiem mówiono — a który gdy rewolucya dzieło jego zwaliła, zarzucając kraj w bezdenną otchłań nieszczęścia, padł jak dąb zwalony i umarł na obczyźnie po kilku latach tragicznego konania. 2) Czy ów nacisk kładziony na prywatne wady margrabiego, mające rzekomo służyć za wymówkę tym, co się przezeń ratować nie dali, nie jest istotnie obelgą, piętnem dziecinnej lekkomyślności, zadanem całemu społeczeństwu polskiemu? Powiedzieć, że reformy Wielopolskiego nie mogły być przyjęte dlatego, że on sam nie był dość grzecznym, jest powiedzieć tyle, że każdy ówczesny Polak, szlachcic czy mieszczanin, mierząc z jednej strony autonomię kraju po trzydziestoletnim ucisku, administracyę polską, szkołę wyższą w Warszawie i tysiące szkółek polskich po wioskach, oczynszowanie chłopów, oraz powagę narodową odzyskaną wobec Petersburga, a z drugiej mierząc ujmę uczynioną swojej miłości własnej przez niedość uprzejmy ukłon margrabiego lub nieuwzględnioną radę (a Bóg widzi, że mu ich nie szczędzono), znajdował, iż ta ujma przewyższa wszystkie

dla kraju zyskane korzyści. Że tak było u niektórych — to pewna, ale ogół zaś winić należy o nieprzezorność, o zaślepienie, o szał mający w sobie szlachetne pierwiastki, ale nie o tak brutalny egoizm. Zresztą ci co tak mówią, nie znali margrabiego wcale lub mało. Był on istotnie dziki, nie umiał obracać się między ludźmi, przez co ich sobie nieraz narażał; upomniany jednak, potulnie naprawiał złe. Zarozumiałym był zwłaszcza w tem, że się trzymał swego programu nie zważając na różnorodne zdania, narzucające mu się ze wszystkich stron; wówczas zaś nie pojęto, że niepodobna było działać w sposób sejmikowy. Ten sam „pełen pychy“ margrabia gniewał się, gdy słyszał krytykowane jakieś wiejskie nieudane kazanie. „Ja bowiem — mówił — nigdym tak nędznego kazania nie słyszał, żebym zeń nie mógł dla siebie dobrej wyciągnąć nauki“. Kochał namiętnie poezyę, dzieci i kwiaty, któremi tak się otaczał, że się aż raz od zbytniej woni zaczadził r. 1862 w Warszawie. Kochały go też i dzieci, kochały liczne przyswojone zwierzątka i ptaki, którym dozwalał czasem dzióbnąć jadło choćby z własnego talerza. Miał swoje wady, zapewne popełnił i błędy, chcąc naród powstrzymać nad brzegiem przepaści, chwytał go zbyt gwałtownie w uścisku — ale działał z gorącej miłości i nie złorzeczył, gdy mu za jego prace trucizną płacono w Warszawie, nie złorzeczył gdy upadł, więc i jemu złorzeczyć nie trzeba. Swoją drogą p. Grabieński okazał się jeszcze stokroć sprawiedliwszym od innych.

Drugi tom „Dziejów narodu polskiego“ zawiera przy końcu szkic literatury historycznej ostatniego wieku, napisany dość pobieżnie, co być musiało, ale też traktujący trochę lekceważąco niektóre dzieła jak np. Kalinki i Szujskiego. Zapewne od ich wydania musiała historyografia iść naprzód, ale gdyby nie zdrowe rzucone w nich poglądy, kto wie czyby sam autor mógł był o niejednym historycznym fakcie wyrobić sobie tak dokładne zdanie. Aniśmy się spostrzegli, jak zwolna poglądy te atmosferę przesiąkły, tak że nawet przeciwnicy ich muszą mimowoli je wdychać i sądy swoje chociaż po części według nich kierować.

Opis naszych dziejów w ostatniem stuleciu przedstawił p. Grabieńskiemu pole do krótkich tylko i rzadkich wycieczek na temat „klerykalnego obskurantyzmu“. Wogóle wszystkie te ustępy mogłyby śmiało być wymazane lub opuszczone w czytaniu bez najmniejszej szkody dla tekstu. Gdyby sam autor chciał wyrwać te kilka stron szpecących jego dzieło, z jakimże sercem moglibyśmy dziękować mu za jego piękną pracę, za miłosne staranie około rzeczy ojczystych,

któremu zawdzięczamy nietylko sam podręcznik, ale towarzyszące mu także genealogiczne i wyborne mapy! Rzecz dałaby się tak łatwo zrobić w następnem wydaniu; na to jednak należałoby wprzódy wygnać pewne przestarzałe Woltei ańskie przesądy, które snać jeszcze w Polsce pokutują po niektórych umysłach. Są przecież umysły tak światłe, że ich szkoda dla podobnych gości.

T. W.

Polityczna działalność Maurycego Mochnackiego na emigracyi. Napisał *Artur Passendorfer*. Jarosław 1898. (Str. 64).

Maurycy Mochnacki, ów „polski Robespierre", jak go nazywali niektórzy ze współczesnych, jest dzisiaj prawie zapomniany przez ogół naszej czytającej publiczności a dzieła jego zniknęły prawie zupełnie z rąk publiczności. A przecież jest to, jak słusznie mówi autor, jedna z najciekawszych postaci w dziejach naszego piśmiennictwa. Dobrze więc uczynił p. Passendorfer, młody profesor gimnazyalny w Jarosławiu, że postanowił poświęcić Mochnackiemu obszerną pracę, której „rozprawa niniejsza jest odłamem", jak czytamy w „Słowie wstępnem". Kreśli on nam tutaj na tle literatury publicystycznej współczesnej Mochnackiemu obraz pełen zajmujących szczegółów politycznej jego działalności.

Charakterystyka Mochnackiego, zawarta w rozdziale ostatnim, jest naszem zdaniem, bardzo dobra. Był to „człowiek prawy, szlachetny, patryota gorący; charakter tęgi, niezawisły, nieugięty. Usposobienie burzliwe, gwałtowne, temperament nerwowy, łatwo zapalny, wyzywający. Organizacya umysłowa dziwna: rozum przenikliwy, „skłonny do analizy i krytyki, obok gorącej, rozłożystej wyobraźni. Wszystko to złożyło się na naturę niespokojną, wulkaniczną, namiętną, rwącą się do czynów wielkich, do przewodzenia innym, do panowania. Ludzie tacy potrzebują ciągłego ruchu, ciągle burzą lub budują, reformują społeczeństwa, dźwigają narody, a wszystko to dokonuje się łatwo i szybko... w ich imaginacyi. Ludzie tacy idą przez świat przebojem, łamią wszystkie przeszkody, dopóki sami nie padną złamani" (str. 57 i nast.). Autor przyznaje, że Mochnacki rwał się do władzy, ale główną pobudkę do tego widzi w „gorącem pragnieniu służenia ojczyźnie"; zaraz jednak dodaje, że ta ambicya w pobudkach szlachetna, była często w skutkach zgubna. Niesłusznie zarzucano Mochnackiemu, że pióro swoje sprzedał magnatom, on „stał przy zasadach demokratycznych wytrwale do ostatniej chwili", umarł też w największem ubóstwie,

nie zostawiając nic po sobie, prócz stosu papierów i „bardzo emigracyjnej garderoby“, co jest najlepszym dowodem, że nie „sprzedał się“ nikomu. Prawda, że nauczony doświadczeniem, zmienił on w ostatnich latach życia swoje zapatrywania, a mianowicie stał się z najgwałtowniejszego przeciwnika księcia Adama Czartoryskiego tegoż stronnikiem i chciał mu poruczyć władzę naczelną, lecz tego nie można uważać za sprzeniewierzenie się zasadom, które wyznawał dawniej; był to raczej wynik przeświadczenia, że Czartoryski był człowiekiem dobrej woli, że mógł wiele zrobić dla ojczyzny i zostać moralnym naczelnikiem emigracyi.

Wogóle w całej broszurze przebija się głębokie współczucie i sympatya dla Mochnackiego, lecz nigdzie p. P. nie broni, nie zasłania jego błędów; przekonania zaś samego autora są zupełnie zgodne z zasadami demokracyi katolickiej. Sądzę więc, że dziełem, które nam zapowiada, odda on rzetelną przysługę naszemu piśmiennictwu, ale już i w tej broszurze, choć małe są jej rozmiary, uznają zapewne krytycy bezstronni wartość niepoślednią.

Ks. dr. A. Pechnik.

Częstochowa w obrazkach historycznych. Napisał *ks. Wacław, Kapucyn.* Wydanie Czytelni Polskiej. Kraków 1898. (W 8-ce, str. 156).

O cudownym obrazie Matki Bożej w Karmelu krakowskim na Piasku. Wiadomość historyczna. Przez *Wacława z Suligostowa, Kapucyna.* Kraków 1898. (W wielkiej 8-ce, str. 33).

O jednym i drugim obrazie cudownym Matki Bożej pisało wielu autorów. Ks. Wacław naliczył ich do dwudziestu kilku o każdym, ale pisząc one książeczki głównie dla podniesienia czci i pobożności do Matki Bożej, i wypisując jedni z drugich, mało się troszczyli o krytykę historyczną i powtarzali legendy nieprawdopodobne i błędne naracye bez zastrzeżenia. Otóż ks. Wacław w sposób przystępny, ale jasny a naukowy, wykazuje to nieprawdopodobieństwo legend, mianowicie co do obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, nie obrażając wcale pobożnych uczuć czytelnika. Mogło to być, powiada, że obraz ten namalował św. Łukasz, ale pewności żadnej niema, za to jest pewność, że nie od książąt Rusi i nie z Bełza dostał się on Władysławowi Opolczykowi, i że nie Opolczyk przywiózł ten obraz do Częstochowy z Bełza. Fundował on klasztor Paulinów w Częstochowie prawdopodobnie jako ekspiacyę za uciemiężanie duchowieństwa, za które był popadł w klątwę biskupa płockiego Dobiesława; obraz zaś Matki Bożej — znów

tylko prawdopodobnie — Paulini w liczbie 16 sprowadzeni z Węgier przywieźli z sobą, gdyż „jest to we zwyczaju, że gdy z jakiego klasztoru wysyłają zakonników na fundacyę, dają im z błogosławieństwem obrazy święte, zwłaszcza Matki Bo ej“ (str. 20). W braku pewnych źródeł przypuszczenie to O. Wacława przyjąć należy jako najbardziej racyonalne (rozdz. I—III). Przechodzi potem w 10 rozdziałach (IV—XIII) dzieje obrazu i klasztoru częstochowskiego popularnie, a jednak naukowo. Osobny rozdział (IX.) poświęca rzeczy bardzo niedokładnie przez Kalinkę, Przyborowskiego i innych przedstawionej, mianowicie obdarciu skarbca i klasztoru częstochowskiego ze złota, sreber, gotówki wszystko razem na 249.601 złp. przez króla Stanisława Augusta w latach 1765 i 1767 i o intrygach tegoż króla z eksprowincyałem paulińskim Anastazym Wargawskim przeciw autonomii i całości reguły Paulinów. Króla naśladował brat jego, książe Józef, i tytułem pożyczki „na wieczne nieoddanie“ kazał Paulinom 1765 roku wypłacić sobie 5.000 dukatów czyli blizko 100.000 złp. Był to pierwszy przykład u nas konfiskaty mienia kościelnego. Ciekawy jest także rozdz. XIII., w którym autor „na podstawie współczesnego rękopisu naocznego świadka opowiada, jak Paulini po rzezi 1846 r. obeszli się z procesyą galicyjskich pątników, skalanych krwią bratnią“. Nie wyszli, jak jest zwyczaj, na ich spotkanie, nie wpuścili do świątyni, dopiero po trzech dniach płaczu okropnego tych ludzi, wołania o miłosierdzie, „wyszli, poza murami wysłuchali spowiedzi, poczem wpuścili ich do kościoła, ale bez żadnej muzyki i śpiewów i niezwłocznie kazali im wracać nazad do domów“ (str. 104).

Rozdziały od XIV—XXV. stanowią część drugą książeczki i są zajmującym opisem kościoła 1695 r. wybudowanego, kaplicy Matki Bożej, zakrystyi i t. d., wreszcie zakonu OO. Paulinów.

Na zakończenie podaje nam autor bibliograficzny spis autorów, dzieł i dziełek o Częstochowie i „wykaz obrazów“ cudownych na model obrazu Częstochowskiego namalowanych; naliczył ich w Polsce 64, w obcych krajach 7 (rozdz. XXVII—XXIX).

Zaletą tej książeczki niemałą jest styl, godzący naukę z popularnością. Siedm rycin służy ku jej ozdobie.

Wiadomości o obrazie Matki Bożej na Piasku rozpoczyna O. Wacław znów od wykazu obrazów cudownych Matki Bożej w Krakowie; odszukał ich aż 41, z tych 6 obecnie nie istnieje, bo zniesiono kościoły; w dyecezyi zaś krakowskiej znajdują się cudowne obrazy Matki Bożej po dziś dzień w 22 miejscowościach.

Przechodzi potem do dziejów kościoła i obrazu Matki Bożej na Piasku, które opowiada w sposób naukowy przytaczając mnogie źródła i podając opis koronacyi 1883 r., której był świadkiem. Kończy zaś bibliograficznym spisem autorów i książeczek o cudownym obrazie Matki Bożej.

Ks. Stanisław Załęski.

O końcu świata i kometach. Z powodu przepowiedni końca świata na rok 1899. *Dr. Marcin Ernst.* Lwów 1899. (W 8-ce, str. 98).

Bają bo ludzie, bają: bo czas na bajki mają!

Więc staruszka przy kądzieli prawi dziwy o wilkołakach, myśliwy opowiada o jeszcze dziwniejszych potworach, z któremi wojował, a podróżny opisuje najdziwniejsze kraje, gdzie zaznał takich przygód, z jakich żaden pan Zagłoba nie wyszedłby cało, mimo wszelakich fortelów.

Tak bają, każdy jak umie, a słuchaczom strach zapiera oddech w piersiach... szczęśliwi przecie, bo nie wiedzą, że istnieje na świecie coś jeszcze przeraźliwszego od przygód najstraszliwszych, o których mogą słyszeć w polskiej chatce przy wieczornej gawędzie. Niech pójdą w świat i zabawią parę wieczorów między rodziną z dawien dawna luterską, tam, w zapadłym jakim zakątku Saksonii czy Wirtembergii, usłyszą dopiero okropne opisy tego antychrysta, który siedzi na rzymskiej stolicy, tych okropnych więzień, gdzie jego siepacze rozciągają na katowni wyznawców wolnej myśli.

A błądziłby, ktoby przypuszczał, że postęp oświaty prędko położy kres podobnym baśniom, snutym na tle papiestwa i jego nienawiści ku zdobyczom nauki. Jedna po drugiej praca źródłowa otwiera ludziom trochę oczytanym oczy na stanowisko, zajęte przez papieży względem oświaty: mimo to taki przedstawiciel nauki, jak członek grona nauczycielskiego na politechnice lwowskiej, dr. Marcin Ernst, nie zdołał jeszcze otrząść duszy z wrażeń, odnoszonych na wieczornicach wirtemberskich i wierzy we wszystko, co o straszliwym papieżu słyszą niewybredni słuchacze od sędziwej matrony z kądzielą.

Kilka arkuszy druku przeznaczył autor, aby haftować jaskrawe desenie na szarem tle ciemnoty bogobojnego chrześcijanina. Więc utyskuje, że darmo prawdę zgłębia nauka, darmo kwestya trwałości świata zaprząta umysły astronomów i matematyków — zanim ci coś pewniejszego orzec mogli, już istniał w apokalipsie „obraz końca świata, mogący wzbudzić trwogę w wierzących grzesznikach".

Ale przedewszystkiem widok komet mnożył owe wróżby o końcu świata. „Szczególnie silne wrażenie — pisze p. Marcin Ernst — na umysły wywierały nadzwyczajne a uderzające zjawiska astronomiczne". Któż nie widzi, że taką wrażliwość na zjawiska astronomiczne wyrabia religia chrześcijańska? Choć kto sam nie spostrzegł, to z pewnością ustąpi wobec dowodu autora, że sprzeczne z rozumem wykłady zjawisk astronomicznych „były zupełnie naturalnemi u bogobojnego chrześcijanina, który niebo uważał za mieszkanie Boga... zatem Bóg... objawić wolę swoją... mógł... najlepiej za pomocą znaków, zawieszonych na niebie". Dowodem swoim tem wymowniej autor przekona każdego, im wyraźniej sam przyznaje, że religia „uczy, iż Bóg jest wszędzie obecny". Więc kiedy z rozumem zgodnie religia chrześcijańska uczy o Bogu wszechobecnym, tedy zupełnie naturalnie religijny chrześcijanin sądzi, że Bogu najlepiej na sklepieniu niebieskiem zawieszać znaki swojej woli, stąd to najczęściej i najsilniej chrześcijaństwo sprzecznie z rozumem przepowiada koniec świata na widok komet!

Czego to nie dokaże logiczna dedukcya! A szczególnie wtedy do ciekawych wniosków prowadzi, kiedy szuka przesłanek w wypadkach zupełnie nieznanych! Tak np. dotychczas mniemaliśmy, że to na Anioł Pański dzwonią w południe po naszych kościołach, dopiero dr. Marcin Ernst wydobył nas z nieuctwa i wyjawił, że zwyczaj ten należy zawdzięczać komecie z r. 1456: jej widokiem strwożony papież Kalikst III., zarządził, żeby dzwony wiernych wzywały w południe do kościołów... Dziwny to przestrach przed kometą, który trwa przez półpięta wieku, owszem, który wyprzedził zjawisko tej komety na paręset lat, bo o tym zwyczaju już w XIII. i XIV. wieku wspominają przepisy dyecezalne po kościelnych archiwach we Francyi, Niemczech i na Ślązku. I dziwić nikogo nie powinna taka głupota średniowieczna: wszak w niem panował papież ze swojemi dogmatami, a te dogmata skąd pochodziły? „To, co było prostym wypływem nieświadomości, z biegiem czasu stało się dogmatem religijnym". Na jakież męki byli wystawieni wśród owych stosunków tacy szerzyciele światła, jak nieśmiertelny Paracelsus albo genialny Piotr Bayle!

Miły czytelniku! może wcale dokładnie znasz dzieje oświaty, a o tych dwóch nieśmiertelnych geniuszach nie masz wielkiego pojęcia? Wiedz, że Paracelsus, to mąż niezrównany, lekarz i magik, alchemik i teozof kabalistyczny, a Piotr Bayle wyżej jeszcze sięgnął, bo ponad chmurami ludzkich błędów bujał w czystem przestworzu skraj-

nego sceptycyzmu. Dzieła takich mędrców zostały oczywiście przez wrogów postępu wciągnięte w spis ksiąg zakazanych. Wiedzieliśmy o tem i w prostactwie swojem sądziliśmy, że nauka nic nie straci, jeśli ogół nie pozna pism kabalistycznych i sceptycznych. Dzięki d-rowi Marcinowi Ernstowi otwieramy oczy, bo słyszymy nieznaną prawdę, że obrońcy ślepoty umysłowej potępili jako heretyków Paracelsa i Bayla za ich zdrową naukę o kometach!

Wszystkich innych bajeczek niepodobna streszczać, tyle ich urozmaica pracę d-ra Marcina Ernsta. Kto ich ciekaw, niech sam czyta całą broszurę. Prócz zabawnego zbiorku baśni znajdzie w drugiej połowie wcale znaczny zapas prawd arcyciekawych o kometach i meteorach. Nie spotka tam nic wątpliwego: nad czem jeszcze łamią sobie głowy ludzie posiwiali nad teleskopami, to nic zawiłego ani ciemnego nie przedstawi dla czytelnika, dzięki apodyktycznemu wykładowi lwowskiego popularyzatora astronomii.

Może dr. Marcin Ernst nie chciałby uchodzić za skromnego pisarza popularnych dziełek dla ludu: przecie jego wyrób mierzyć może tylko do umysłu prostaczka, bo chyba wiejski pastuszek a w mieście dorożkarze zapragną czytać „O końcu świata“, aby powybijać sobie z głów i serc obawę przed tegoroczną kometą. Więc niech idzie sobie ta broszurka do rąk prostaczka, z których wytrąci senniki egipskie. Ale niechże tego prostaczka nie w polskiem społeczeństwie szuka. Dla polskiego ludu katolickiego niech każdy pisarz światły pracuje i wykłada nawet astronomię, ale niech do rozumnego wykładu prawdy nie idzie drogą bajek.

Ks. K. Czaykowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Vier skeptische Thesen. *S. Philipp.* Leipzig, Reisland 1898. (W 8-ce str. 182).

Jeśli kiedy, to w obecnej porze, możnaby określić człowieka jako zwierzę, mogące powątpiewać o wszystkiem. Chociaż bowiem wątpienie, jako takie, było zawsze wyłącznym i właściwym przymiotem natury ludzkiej, to wątpienie filozoficzne, potrzebując dla siebie zdolności intelektualnych bardzo rozwiniętych i środowiska odpowiedniego, zjawia się, zwłaszcza epidemicznie, tam tylko, gdzie cywilizacya za-

puściła swe korzenie już dosyć głęboko i gdzie potrafiła rozstroić i rozstrzelić siły umysłowe w wielostronnym kierunku. Nie dziw więc, że *homo sapiens* na przełomie XIX. i XX. stulecia przedewszystkiem jako *animal scepticum* zaczyna się przejawiać.

Że hardy, bystrzejszy umysł w swoim pochodzie i rozwoju natrafia bardzo często na groźne szkopuły sceptycyzmu — rzecz to naturalna. Dla umysłów, co jednocześnie posiadają granitowy charakter, nawała zwątpienia będzie dźwignią, która ich podniesie na wyższy teras ewolucyi psychiczno-moralnej — tylko lżejszy umysł lub leniwy łatwo lawinie *skepsis* ulegnie, w niej się pogrąży, grób swoj pod nią znajdzie.

Admirator sofistów starożytnej Hellady, stawiający ich wyżej od Sokratesa samego, przesiąknięty dzisiejszym przyrodniczo-filozoficznym nominalizmem i szablonowym, apryorystycznym formalizmem, trzeźwy obserwator oportunizmu i niestałości poglądów dzisiejszych w polityce, ekonomii, estetyce, w naukach t. zw. ścisłych, a nawet i w etyce, S. Philipp, doznaje mimo woli przygniatającego zniechęcenia i przykrego rozczarowania; usiłuje więc zrzucić z siebie ową dławiącą go zmorę, wznieść się ponad wszystkie opinie współczesne i przesądy, znaleźć jakiś wyższy punkt obserwacyi i widzenia. Znajduje go w *skepsis*.

Oto tezy jego, które stara się uzasadnić w zacytowanej książeczce:

1) Całe nasze myślenie opiera się na analogiach i antropomorfizmach i nie dostarcza nam nigdy i nigdzie przedmiotowego poznania.

2) Rzeczywistość jest złudzeniem, a cokolwiekbyśmy temu złudzeniu dali za istotną podstawę, będzie to zawsze dla całości świata czemś nieistotnem.

3) Jeżeli sądzimy, że przez zasady, jak: przyczyna, konieczność, prawo natury, można zrozumieć związek bytów rzeczywistych, to jest to tylko pusta słów igraszka.

4) Możliwa jest rzecz zbić słusznie i ogólnie nadarzające się opinie i poglądy, jest rzeczą niemożliwą uzasadnić je prawdziwie i ogólnie.

Nietrudną byłoby rzeczą wykazać zasadniczą sprzeczność w samych tezach autora, bardzo wiele sprzeczności możnaby napotkać w rozprowadzeniu tych tez, mimo że autor usilnie się stara, by sprzeczności uniknąć; bo wszelka *skepsis* powszechna lub do powszechnej w swych konsekwencyach wiodąca odznacza się nietylko tem, że żadnej prawdy nie stawia, lecz i tem także, że staje się wiązanką bezładną samych jaskrawych sprzeczności.

Krom koniecznych sprzeczności jest i sofizmatów nie mało. Na

sofizmat podstawny zwracamy uwagę, na tej bowiem przewodniej nici nanizane są wszystkie rzekome umotywowania podanych tez. Oczywista jest rzecz, że żaden byt w wszechświecie nie jest całkowicie odosobniony, że każda cząsteczka jest ściśle związana z resztą świata, z całością, a tem samem z niezliczonemi bytami. Kiedy poznajemy jakiś przedmiot, to wskutek przyrodzonego ograniczenia naszego rozumu nie możemy nigdy poznać wszelkich możliwych i rzeczywistych stosunków jego — innemi słowy: wszelkie poznanie nasze będzie do pewnego stopnia jednostronne, nigdy zaś nie będzie pod każdym absolutnie względem wyczerpujące. I kto wie, czy do poznania w ścisłem tego słowa znaczeniu wyczerpującego chociażby najdrobniejszej nawet rzeczy na świecie, nie potrzeba rozumu nieskończonego! Sofista nasz odwołuje się raz po raz w najrozmaitszych formach do owej ograniczoności rozumu naszego i do owej jednostronności naszego poznania, przyczem stara się wyciągnąć koniecznie wniosek, że nigdy o niczem nie mamy i mieć nie możemy pewności absolutnej. Zapomina widocznie o tem, że co innego jest poznanie wszechstronne i absolutnie wyczerpujące, czego w istocie nie mamy i mieć nie możemy, a co innego absolutna pewność poznania, która może towarzyszyć najbardziej nawet jednostronnemu poznaniu, która koniecznie musi być tam, gdzie jest niezbite wykazanie fałszu. Czyżby ślepy człowiek, posiadający inne zmysły zdrowe, nie mógł mieć pewności, podobnie jak ja, że dobre jabłko ma smak przyjemny, dlatego tylko, że nie widzi jego rumianych i złotych kolorów?!

Liczne inne sofizmaty z umysłu pomijamy, bo dużo czasu i miejsca potrzebaby na nie, a może i jednego i drugiego szkodaby było. Niepodobna nam zresztą krok za krokiem towarzyszyć autorowi, gdyż i drogi nasze i poglądy nasze za nadto są rozbieżne. Kiedy autor widzi w *skepsis* jakąś górę wyniosłą i świetlaną, my w sceptycyzmie właściwym nie możemy nic innego zobaczyć prócz grzęzawisk i mokradeł bezdennych; kiedy podług autora psychiczny stan *skepsis* jest stanem najwyższego ukojenia wewnętrznego i zadowolenia, to naszem zdaniem jest to najstraszniejsza męczarnia i pęta najsroższe; kiedy my nieraz zapuszczamy się w tonie powątpiewania, by z nich jak najprędzej wydostać się na niewzruszone skały pewności, autora jedynem marzeniem jest w nich się całkowicie pogrążyć i na zawsze tam pozostać. Tego zaś, co autor w ostatniem zdaniu swej książeczki twierdzi, że rozum w *skepsis* sam siebie zwycięża i w niej dopiero święci swe naj-

szczytniejsze tryumfy, nietylko logicznie, lecz nawet psychologicznie wytłumaczyć sobie nie potrafimy.

Trudno, kto najwyższe szczęście człowieka pokłada uparcie w negacyi życia, a szczyt mądrości widzi w pozbawieniu się rozumu — temu szczęścia jego i mądrości nie odbieramy i nie zazdrościmy.

J. Nuckowski.

Probleme und Charakterköpfe. Studien zur Litteratur unserer Zeit. Von *Jeannot Emil Freiherrn von Grotthuss.* Mit zehn Porträts. Dritte Auflage (5—6 Tausend). Stuttgart. Druck und Verlag von Greiner & Pfeiffer.

Zbiór krytycznych studyów, ukazujący się w krótkim stosunkowo czasie już w trzeciem wydaniu, posiada widocznie uznanie oświeconego (bo taki tylko czyta książki tego rodzaju) ogółu. Zbiór studyów nad współczesną literaturą niemal zupełnie ignorowany przez „miarodajne“ organa krytyczne i pisma literackie, niemające ostatecznie zbyt wiele podobnych dzieł do omawiania, widocznie nie posiada łaski u krytyków. Jak te dwa sprzeczne fakta pogodzić i kto tu winien? „przeciętny“ czytelnik czy krytyka? Odpowie się na to pytanie, zaznaczając na samym wstępie, że p. J. E. Grotthuss, autor tej książki, wydaje sądy, zwłaszcza odnośnie do etycznej i społecznej wartości omawianych pisarzów, dzieł i prądów, z wyraźnie chrześcijańsko-protestanckiego stanowiska a niejednokrotnie przemawia przez jego usta i arystokrata. Dzieląc z autorem wspólny grunt chrześcijańskich i zachowawczych zasad, jesteśmy raczej jego przeciwnikami tam, gdzie mówi jako protestant i pruski junker. Lecz mniejsza o te różnice czy podobieństwa; p. Grotthuss ma swoje przekonania, wypowiada je śmiało i z konsekwencyą, i to sprawia, że nawet przeciwnik uszanuje w nim wybitną, świadomą siebie indywidualność. Dziś, gdy krytyków jako ogół cechuje raczej zręczność dyplomatyczna i giętkość, autor „Problemów i charakterystyk“ jest dość rzadkim okazem siły w przekonaniach, nieraz może jednostronnych, lecz zawsze szczerych i stałych.

Autor usiłuje dać nietylko szereg luźnych studyów o rozmaitych przedmiotach, lecz powiązać je wspólną nicią, sprowadzić do wspólnego mianownika. Obok trudności trafnego wynalezienia i określenia tego wspólnego gruntu różnorodnych objawów współczesnych zagraża tu niebezpieczeństwo przymusowego podciągania szczegółów pod tę syntezę. Autor szczęśliwie pokonał pierwszą, uchronił się przed drugiem. W przedmowie występując z zamiarem pośredniczenia pomiędzy pisa-

rzami a ogółem, nie zaś prowadzenia zasadniczych lub szczegółowych sporów z omawianymi autorami, pragnie on tylko wykazać, co u nich jest ogólno-ludzkiem, co pięknem, jakim jest ich związek z współczesnem życiem. Przyrzeczenia dotrzymuje: w jego książce nie znajdzie się kontrowersyj, mogących zająć tylko autora i krytyka danego dzieła, raczej można powiedzieć, że w tej intencyi stworzenia pomostu pomiędzy treścią ducha poety a czytającym go światem, p. Grotthuss niejednokrotnie posuwa się do układów i kompromisów, które zazwyczaj są mu obce. Swoje społeczno-etyczne stanowisko zaś wyjaśnia w pierwszym rozdziale o „Starych i nowych ideałach"; szkoda, że tylko tę stronę swoich zapatrywań oświetla, pomijając swoje stanowisko odnośnie do sztuki, jako osobnego objawu ludzkiej duszy. Potępiając szerzącą się za dni naszych „moralność silniejszego" i rozbujały narodowy i osobisty indywidualizm, autor mniema, „że nie socyalna demokracya jest otwartym nieprzyjacielem chrześcijańskiej nauki o litości, o miłości bliźniego, nad wszystkiem się litującej. Bynajmniej! Socyalna demokracya niema tylko wiary, jest wrogą Kościołowi, ale nie wrogą chrześcijaństwu, nawet wtedy nie, gdy sama utrzymuje, że jest wrogą". Socyologom i politykom musimy pozostawić odparcie lub zatwierdzenie wywodów autora, ale czy p. Grotthuss nie miesza tu przypadkiem idealnej zasady z praktycznemi jej konsekwencyami? Poniżej jeszcze raz pochwyci się go na podobnej omyłce, gdy nadspodziewanie usłyszy się z jego ust przesadne pochwały tołstoizmu. Przeciw owemu wybujaniu indywidualizmu stawia autor przykład Fausta z II. części nieśmiertelnego poematu Goethego; tu bohater po wielu przejściach znajduje szczęście w miłości bliźniego, w pracy nad ludzkością w uszczęśliwianiu drugich.

Następny rozdział (str. 22—74) musi oczywiście Nietzsche'go mieć za przedmiot. Pisano o nim już tyle, nawet u nas, że treść wywodów tego nieszczęśliwego, dziś w pomroce szaleństwa pogrążonego człowieka, jest powszechnie znaną. Z uwag autora więc wyjmujemy to tylko, co jest po raz pierwszy lub z wybitniejszym zmysłem obserwacyi wypowiedziane. A najprzód to nader trafne spostrzeżenie, że Nietzsche jest naturą przedewszystkiem artystyczną; on usiłuje dawne wartości moralne zastąpić nowemi, lecz ostatecznie zamienia je tylko na estetyczne, które jako takie dawno już miały powszechny walor. Jak estetyk patrzy na wspaniałą grozę wyjącej i niszczącej burzy, lub gigantyczną postać męża, burzącego trony i całe krainy w perzynę zamieniającego, patrzy z uczuciem wielkiego i podniosłego zadowolenia

artystycznego, podobnie chciałby i Nietzsche uformować świat jako artysta, jako poeta, nie jako moralista lub „społecznik". Charakterystycznem jest zresztą, jak ten przyszły twórca i propagator *der Herrenmoral,* zaczyna od studyów estetycznych, o narodzeniu się tragedyi z ducha muzyki. Z tych samych podniosłych estetycznych pobudek smaga biczem „filistrów" i potępia znanego Dawida Straussa jako oschłego, filisterskiego zarozumialca, a korzy się przed Wagnerem i Schoppenhauerem. Pan Grotthuss szczęśliwem powodowany przeświadczeniem, zaznacza i odgranicza pewne epoki w życiu Nietzschego po sobie następujące; niestety jednak, nie zawsze tłumaczy przyczyny zwrotu. Skąd Nietsche nagle opuszcza dawniejszych mistrzów, wstępuje na drogę pozytywizmu i jedno z następnych dzieł poświęca Voltaire'owi w setną rocznicę jego śmierci? Zdaje się, że wpłynęło na to najwięcej zerwanie z Wagnerem i dlatego należało tę sprawę choćby szkicowo w jej rozwoju przedstawić, zwłaszcza, że po tym krótkim epizodzie widzi się filozofa już takiego, jakim się dziś powszechnie ogółowi przedstawia. W latach 1883—1885 dojrzewa bowiem główne jego dzieło: *Also sprach Zarathustra, ein Buch für Alle und Keinen.* „Ani państwo, ani lud, ani ludzkość nie są dla siebie samych, lecz istnieją w swoich szczytach, w wielkich indywiduach leży cel — a ten cel wskazuje ponad ludzkość *(über die Menschheit).* Tu już jest pojęcie *Uebermensch*'a, jest potępienie pryncypium litości, apoteoza krwawej, bezlitosnej walki, cierpienia, bo tylko poprzez te stadya dochodzi się do wyższych typów ludzi. Tu jest ten paradoksalny rzut oka na historyę ludzkości, uwielbienie dla starego Rzymu i Odrodzenia, potępienie chrześcijaństwa i — Lutra, wzgarda dla tłumów rewolucyi francuskiej, hołd dla Napoleona. Jak sobie tłumaczyć historyozofa, który dochodzi aż do apoteozowania Cezara Borgii? Tem, że nie mówi filozof, lecz artysta z olbrzymiemi popędami. Bardzo trafne są dalsze krytyczne uwagi, zwłaszcza, gdy przekonywa, jak *Uebermensch* jest ostatecznie altruistą. Bezwzględna jego wola i potęga jest tylko egoistycznym środkiem do altruistycznego celu. Kto niszczy otaczające go indywidua niższego gatunku w tem przeświadczeniu, że jego własna, potężniejsza indywidualność cenniejszą jest dla ludzkości, niż tamte inne, ten objektywnie jest egoistą, lecz subjektywnie altruistą. A więc, nawet w doktrynie Nietzschego, szydzącej z chrześcijańskich ideałów, jest altruistyczna idea chrześcijańska, co prawda wykoszlawiona i z jednostronną przesadą do niepoznania skrzywiona. W krytyce tej filozofii widać arystokratę, któremu umiarkowana teorya wyższości pewnych ludzi nad innymi nie

jest niedogodną, który jednak tem gwałtowniej jako wierzący chrześcijanin zwalcza ten zanik zmysłu moralnego, zdanego na łup wybujałe-fantazyi artysty. Szkoda, że niema ani słowa o tem, jak być może, iż wbrew intencyi filozofa, lecz nie bez konsekwentnego przejęcia się jego doktryną, w moralnym, społecznym a nawet i artystycznym świecie współczesnym narobiło się tyle szkody: lada zarozumialec uroił sobie, że jest *Uebermensch*'em, że ma się starać być nim, a te popędy wprowadzał naturalnie w czyn najchętniej w dziedzinie etyki... Szkoda również, że i innego wpływu Nietzschego autor tutaj w ogólnym związku nie przedstawił: jego wpływu na poezyę, na jej ducha i treść, wreszcie na jej styl. Materyału jest dużo i wszędzie. Także i u nas.

Ustęp o Hauptmannie (str. 75—126) napisany został naturalnie przed najnowszem dziełem poety, przed „Woźnicą Heuschlem". Ważny jest ten szczegół, bo kto wie, czy autor dziś, po tym ostatnim dramacie ślązkiego poety nie zmieniłby swego zdania; może nazwałby niejedną dawniejszą nadzieję złudzeniem, możeby dał się przekonać, że najwłaściwszą drogą rozwoju dla tego świetnego talentu nie jest kierunek, który wskazuje „Dzwon zatopiony". Pan Grotthuss będąc przeciwnikiem naturalizmu, cieszy się szczerze z tych dzieł, gdzie poeta „porusza lekko struny uczucia, ciche dzwony duszy, gdzie wraca do pogardzanego i podrwiwanego idealizmu". Więc — słusznie — potępia pierwszy dramat „Przed wschodem słońca" z jego naturalistyczną brutalnością, widzi — może już mniej słusznie — „nadspodziewany (?) postęp" w „Święcie pojednania", a bystro dostrzega w Vockeracie z „Samotnych ludzi" egoistę i nie wierzy w jego „siostrzane" uczucia dla panny Anny Mahr. Bezwzględnych wielbicieli „Tkaczów" oburzy surowa krytyka tego dramatu, choć nie znajdą argumentów przeciw spostrzeżeniu, że zapewne Hauptmann napisał to dzieło bez tendencyi rewolucyjnej, z czystej szlachetnej litości, że mimo to jednak sztuka z natury rzeczy działa na niższe instynkta; Hauptmann okazał się tu nie twórczym artystą lecz zdolnym rzemieślnikiem artystycznym *(Kunsthandwerker)*. Paradoksalnem wyda się twierdzenie, niemniej w sobie część prawdy zawierające. „Nie władza polityczna powinna była zakazać socyalno-reformatorskiej roboty tendencyjnej a krytyka chwalić ją nadmiernie, lecz wprost przeciwnie: państwo powinno było wziąść ją w swoją obronę, a krytyka protestować przeciw brutalnemu, sprzecznemu w zasadzie ze sztuką, bezideowemu odbiciu płaskiej rzeczywistości". Tego zdania nie podpisalibyśmy, ale jest w niem i nieco słuszności, a więcej w tem, że nie jest zadaniem sztuki przedstawiać na

scenie fizyczny jaki stan. O obu „komedyach“ jest bardzo mało, obszerniej o „Hanusi“, w której razi autora niepotrzebnie silnie odmalowany kontrast halucynacyj biednej dziewczyny z żebraczym tłumem, umyślnie jak najbrutalniejszym. Autor zapomniał dodać, że to upodobanie w silnych kontrastach będące ostatecznie prawem poety jest już w „Święcie pojednania“. O Geyerze kilka słów a w końcu dłuższy ustęp o „Dzwonie“. Wiele się w nim podoba autorowi, ale trafnie dopatruje się w nim organicznej wady: Hauptmann chcąc przedstawić tragedyę gisernika, który ostatecznie ginie wskutek swej połowiczności (ustawicznie wahając się pomiędzy „wyżynami“ a „doliną“) powinien być sam „całym“, jednolitym w sobie, a takim nie jest. Co powiedziałby p. Grotthuss dziś? czy nie przyznałby, że jeżeli gdzie, to w „Woźnicy Henschlu“ Hauptmann jest „całym“, że jeżeli które dzieło, to to jest tworem jednolitego ducha, z jednego odlewu? A jeżeli tak, to czy nie lepiej zrezygnować z przyjemności posiadania w nim poety „idealistycznego“ a życzyć mu rozwoju na drodze realistycznej sztuki?...

Bardzo życzliwym sędzią jest p. Grotthuss wobec Sudermanna (str. 127—179). Na domysł możnaby sobie tłumaczyć to w ten sposób, że autor widzi w twórcy „Johannesa“ jednego z tych nielicznych dziś beletrystów, u których kwestya etyki wogóle jako taka występuje. Prawda, że zbyt często jej rozwiązanie sprzeciwia się zapatrywaniom autora „Problemów“, lecz sam fakt istnienia tej kwestyi w epoce, chcącej być *jenseits von Gut und Böse*, ujmuje go i usposabia tak pobłażliwie. Nie wszystkie rzeczy Sudermanna są tu obszerniej omówione. ostatecznie tylko pierwszy dramat „Honor“, potem powieść „Frau Sorge“ i „Der Katzensteg“, wreszcie dramaty: „Koniec Sodomy“, „Heimat“ i „Johannes“. Wykazanym jest związek Sudermanna z Nietzschem i jego „moralnością panów“, lecz autor chciałby wpoić w czytelnika przekonanie, że Sudermann jest wprawdzie poetą tej moralności, ale nie jej apostołem. Możnaby się o to posprzeczać; równie nie wszyscy cenią tak wysoko, jak autor, przedostatni (dziś już po „Johannesie“ są „Trzy czaple pióra“) dramat Sudermanna, ujęty jego motywem z biblijnej historyi. Jest to jednak w związku z ogólnem przecenieniem wartości i znaczenia tego pisarza, w którym jedną z najwybitniejszych cech jest sceniczna rutyna z jednej, a zręczne naginanie się do gustów publiczności z drugiej strony.

Mniej znanym jest u nas inny autor dramatyczny niemiecki, Ryszard Voss, zresztą i w Niemczech nie zbyt popularny. Dobrze się

stało, że znalazł tutaj swoje miejsce (str. 180—202), bo rzeczywiście można go uważać za kto wie czy nienajgorliwszego piewcę i wyznawcę nowożytnego dążenia do wyemancypowania się z tradycyjnych pojęć i przekonań politycznych, społecznych i religijnych. Nerwowy, miejscami pełen elementarnej siły namiętności i stronniczy autor wielu dramatów i powieści, lubuje się w historycznych motywach, gdzie otwiera mu się szersze pole do odmalowywania potężnych elementarnych namiętności. Jako satyryk spełniałby zdrowo misyę, gdyby na zło tego świata nie wskazywał zła jako lekarstwo. Jak stronniczym jest, dowodzi choćby powieść p. t. „Konwertyta Daniel". Bohater opowiadania jako Żyd pełen jest wszelakiej zacności i szlachetności, dopiero przeszedłszy na wiarę chrześcijańską psuje się, spada coraz niżej, niżej, w końcu i morderstwo popełnia, a to dlatego tylko, że został chrześcijaninem. Książka ta, ciesząca się swego czasu znacznym rozgłosem w Niemczech, jest niemal od początku do końca namiętnym pamfletem na Kościół.

Do najsłabszych ustępów omawianego dzieła zaliczyć się musi rzecz o problemie erotycznym w literaturze (str. 202—222). Główną wadą jest nieuwzględnienie ogromnego materyału, jaki sam się narzucał. Stąd pod tym ogólnym, wiele obiecującym tytułem, kryje się silna co prawda odprawa, dana jednemu z wybitniejszych pisarzów realistycznych, Karolowi von Perfall, który w przedmowie do swej powieści *Das Verhältniss* teoretycznie stara się uzasadnić, jakoby wzajemny stosunek obu płci był najpotężniejszym motywem beletrystycznym. Ponieważ ustęp niniejszy nie przekracza zakresu krytyki tej jednej przedmowy i powieści, u nas nigdy nieznanej, a i w Niemczech dziś już szczęśliwie zapomnianej, więc sprawozdawca może iść dalej. Nie zatrzyma się też dłużej przy artykule o „Trzech niemieckich poetach domowych". Rzecz, według spowiedzi samego autora, napisana jeszcze przed dziesięciu laty, zajmuje się charakterystyką trzech powieściopisarzy, Feliksa Dahna, Jerzego Ebersa i W. H. Riehla. Pierwszy jako specyficznie germański autor nic nas nie obchodzi, ostatni nawet w swojej ojczyźnie musiał być z ukrycia wydobyty, a Ebers... ten dziś już nie żyje. Więc pocóż sprzeczać się z autorem studyów który mu radzi, aby pozostał wiernym swym Egipcyanom, a nie tykał się średniowiecznych mieszczan niemieckich, po co starać się udowodnić, że Ebers wogóle jako powieściopisarz nie ma większej wartości?

Daleko ciekawszym jest ustęp o „Współczesnej liryce niemieckiej". Doprawdy jesteśmy często bardzo niesprawiedliwi. Gdy u Niemca

spostrzeżemy brak znajomości naszej nowszej literatury, oburzamy się, rzucamy gromy na zachłanność, ignorancyę, nie bacząc, że trudno wymagać od obcego, aby umiał po polsku. A my, co my wiemy o nowszej poezyi lirycznej niemieckiej po Heinem. Spytać się nawet bardzo wykształconego, nawet literata, co wie o niej, odpowie jeśli jest szczerym: nic, lub jeśli się na tę otwartość nie zdobędzie, zamyśli się bez końca i skutku. P. Grotthuss nie daje obrazu obecnego stanu liryki, lecz tylko charakterystykę dwóch poetów, ilustrując rzecz licznemi i obszernemi wyjątkami z ich poezyj. Mówiąc o Liliencronie, autor przecenia jego wartość i piękność, może dlatego, aby dać chociaż moralną satysfakcyę poecie, który wśród narodu *der Dichter und Denker* cierpieć musi przykry niedostatek. Prawda, Detlov von Liliencron ma w sobie ogromny zasób świeżości, junactwa, pogody, wesołości, humoru, wreszcie technicznej łatwości, ale i wiele nieokiełznanej zmysłowości, lubowania się w drażliwych sytuacyach i t. p. A zresztą nie należy zapominać, że jego wpływ na niemiecką lirykę jest raczej szkodliwy: co u mistrza płynie z rozbujałych zmysłów, swobodnych instynktów, to u jego naśladowców staje się sztuczną, wymuszoną lubieżnością. Tak poważny, a przytem bynajmniej niekrępowany „filisterskiemi“ zapatrywaniami znawca literatury niemieckiej, jak Max Koch z tego właśnie punktu widzenia gani uwielbianego przez pewne koła Ryszarda Dehmela. Oto drugi z liryków, o których mówi p. Grotthuss, potwierdzając powyżej przytoczony sąd, słusznie zwracając ponad to uwagę na jego dziwaczność formy i techniki, oraz wykazując, jak Dehmel w ideowym swym charakterze jest jednem z ogniw idącego od Nietzschego łańcucha „estetyzowania etyki“. Optymizm autora, który wierzy, że z tego dekadentyzmu może u Dehmela jeszcze powstać życie, jest szanownym, chociaż jest niestety — optymizmem.

W bardzo zresztą dobrym poglądzie na Ibsena (str. 279—332) daje się tylko odczuwać brak przeprowadzenia związku pomiędzy nastrojem dramatów skandynawskiego poety, a naturą jego rodzinnego kraju i ogólnym narodowym charakterem jego mieszkańców. Autor wie, że taki związek istnieje i jest dość ścisły, ale powiedziawszy to, uważa rzecz za załatwioną. Wybornie natomiast scharakteryzowana jest rewolucyjna w swoim rodzaju dążność Ibsena, który w jednej publicznej mowie wyraźnie oświadczył, że „nie wierzy w wieczny byt ludzkich ideałów“, a gdzieindziej jeszcze dobitniej podnosi, że chodzi mu o „zrewolucyonizowanie ducha ludzkiego“, dodając zarazem, „że on pyta zazwyczaj, ale odpowiadać nie jest jego powołaniem“. Wytworzenie i wy-

kształcenie własnej indywidualności, oto według niego pierwszy obowiązek człowieka. Autor studyów poddaje surowej krytyce poszczególne dramata (zwłaszcza „Norę“, broniąc nierozerwalności małżeństwa), wykazując, jak olbrzymie posiada w nich znaczenie pewna abstrakcyjna idea filozoficzna, po największej części nie drogą doświadczenia zdobyta, lecz drogą spekulacyi wyrozumowana, niejako wyrachowana. Najwspanialsze wcielenie typu Uebermenscha widzi w tytułowej postaci dramatu „John Gabriel Borkman“, w ostatecznem zaś zwycięstwie ludzkości nad indywidualistyczną doktryną, czerpie dość optymistycznie nadzieję, że parta w końcu „zwróci swój wzrok w górę“, skąd jedynie „spokojne a przecież tak ciepłe światło pochodzi“. Zdaje się, że bardziej jeszcze, niż przy Hauptmannie, krytyk nie spostrzega, jak taki zwrot byłby wprost przeciwnym naturze poety.

Jeżeli Nietzsche jest więcej artystą, niż filozofem, i według swych estetycznych popędów usiłuje stworzyć nową etykę, to przeciwnie Tołstoj z etycznych pobudek właśnie zwraca się przeciw sztuce i wielu społecznym urządzeniom i poglądom. Podzielamy pochwały, jakie p. Grotthuss w tym rozdziale oddaje genialnym jego powieściom: „Anna Karenina“ i „Wojna i pokój“, lecz ustęp o osławionej „Sonacie Kreutzerowskiej“, ostatecznie będący jej obroną, nie zupełnie nam się słusznym wydaje. Nie będąc teologiem, nie możemy rozstrzygać kwestyi, o ile doktryna Tołstoja, w ogólnych zasadach i poszczególnych postulatach opiera się rzeczywiście na Ewangelii; chociaż w ścisłość tego związku nieco wątpimy. P. Grotthuss jako protestant większy ma szacunek dla podobnych „restytucyj“ pierwotnego ducha Ewangelii. Lecz i on przyznaje, że czystość, jakiej się Tołstoj domaga, jest tylko ideałem. Oczywiście, ale jeżeli tak, to przecież o tem wszyscy i przed Tołstojem wiedzieli, a np. Kościół katolicki w stanie duchownym już od wieków praktykuje celibat. Z Tołstoja można tylko zaczerpnąć pogardę dla małżeństwa, jako instytucyi niemoralnej, co więcej, potępienie wszelkiego wogóle związku mężczyzny z kobietą, co doprowadziłoby w końcu do zupełnego wymarcia rodu ludzkiego. Podobnie ma się rzecz i z innemi postulatami etyki tołstoizmu. W zasadzie są one zapewne i wzniosłe i szlachetne, w wykonaniu stawałyby się one często zgubnemi. Gdyby Tołstoj był sam i marzenia swoje wyraźnie jako egotyczne podawał, możnaby przed nim bić czołem, ponieważ jednak jest bądź co bądź i agitatorem — choćby mimo woli — a w nieoświeconych a za to fanatycznych rękach jego idee koszlawić się muszą, więc trudno jego naukę uznać jako dodatnią.

Krótsze i mniejszej wagi są ustępy poświęcone hiszpańskiemu poecie dramatycznemu, José Echegaray i francuskiemu pisarzowi, niedawno w obłąkaniu zmarłemu Guy de Maupassant. W pierwszym zaleca się szczególnie wytłumaczenie „Galeotta“, który to dramat znany jest powszechnie tylko w przeróbce niemieckiej p. Lindaua, bardzo dowolnej. Autor studyów zwraca się do pierwotnego tekstu i wykazuje, jak w nim jest ostateczna harmonia pomiędzy pierwiastkiem tak pogardzanej, a przecież niepozbawionej wartości opinii publicznej a indywidualnością poszczególnych ludzi. W drugim ustępie jest podniesienie wysokiego talentu Maupassanta, połączone z niezupełnie słuszną obroną go przed zarzutem niemoralności. Maupassant, według autora, przedstawia niemoralne sytuacye, ale zazwyczaj jest mimo to czystym, bo niema w nim umyślnej lubieżności.

Wiele ciekawych kwestyj porusza ostatni rozdział książki: „Publiczność, literatura i prasa“. Najlepsza uwaga to potępienie tej prasy, która ujadając na „naturalizm“, sama szerzy zepsucie obyczajów, karmiąc czytelników rozmaitemi „pikantnemi“ opowieściami, osłoniętemi płaszczem poczciwego sentymentalizmu.

Kończymy tem, od czego zaczęliśmy. P. Grotthuss nie wstydzi się przyznawać do pewnych przekonań. To jego charakterystyczna cecha, to jego wartość. Nie siadając na trójnogu, nie będąc nawet głębokim obserwatorem, mówi i sądzi po prostu, ale zazwyczaj ze swego stanowiska trafnie. Nieraz jest za mało „nowożytny“, za uparcie trzyma się dawnych ideałów artystycznych, ale to jest sympatyczne, chociaż czasem do walki wyzywa.

Józef Flach.

La terre qui meurt. Par *René Bazin.*

Młody autor, którego imię wypisujemy powyżej, nie od dziś zwraca uwagę czytelników i recenzentów. Dość wspomnieć śliczne jego zapiski z podróży po Hiszpanii, powieść *Les Noelles*, z której zdawaliśmy na tem miejscu sprawę, a która opowiadała dzieje rodziny włościańskiej, jej ofiary, aby syna wychować na księdza, i zawód bolesny, gdy ten syn, nie czując powołania, udaremnia rodzicielskie poświęcenia. Wspomnieć dalej wypada *Madame Corentine*, powieść, przedstawiającą nam dramaty życiowe nadbrzeżnych marynarzy bretońskich. rzecz pokrewną arcydziełu Loti'ego: *Pêcheur d'Islande*, mniej artystycznie może wyrzeźbioną, ale jakże wyższą chrześcijańskiem uczuciem i polotem; *La Sarcelle bleue*, opowiadanie, które się dobiło praw oby-

watelskich w niedostępnej *Revue des deux mondes*, i wiele, wiele innych klejnotów najczystszej wody. Obecnie René Bazin rzadki swój talent poświęca przedewszystkiem kwestyom socyalnym, ujętym w osnowę prostej, a pełnej dziwnego, niewolącego wdzięku opowieści. Nie obciąża on rzeczy zbyt widocznem stawianiem tezy i przeprowadzeniem wniosków, nie zapuszcza się w socyologiczne spekulacye, wystarcza mu wzbudzić współczucie, poruszyć serca litością, zacieśnić węzeł braterstwa, przedstawić pełne rzeczywistości obrazy z życia. W powieści *De toute son âme* wkroczył w świat pracownic igłą, wskazał na biedy i pokusy i niebezpieczeństwa, pochwytujące młode istoty, pogrążone w fatałaszkach i strojach i próżnościach, zgotowanych dla innych, szczęśliwszych, a od których one same mają być wydziedziczone .Mnąc wstążki, przykrawając suknie balowe, przypinając kwiatki, szwaczki nabierają rosnącego upodobania do płatków, do zbytku, do wykwintności życia. Łatwo zmierzyć, co z tego wynika, i na jakich drogach przychodzi im szukać zaspokojenia zbudzonych potrzeb i zachcianek... Wyższa od towarzyszek Henryetta, bohaterka powieści, dla wszystkich staje się opiekunką, dźwignią, oparciem. Do jej serca tulą się smutki, na jej duszy opierają się zwątpienia, jej ręki chwytają się upadające. Niema miejsca dla własnego szczęścia w życiu, tak pochłoniętem służbą bliźniego. Ciasna miłość nie starczy istocie żyjącej wyłącznie poświęceniem. Przez chwilę tkliwsze zatrzymuje ją uczucie, ale wnet większe biedy i niedole odciągają ją od własnego ogniska. Tak szeroka dusza nie zacieśni się w domu ani szczęściem własnem; ostatecznie zostaje zakonnicą, aby być „Siostrą“ wszystkich wydziedziczonych... Śliczne zwroty, ciepło serdeczne, wdzięk formy, składa się tu w całość niezrównaną. Przytem znajomość stosunków uwydatnia się niejednym drastycznym szczegółem, jaskrawym obrazem. Jak tu np. oddanem zostało znużenie, ogarniające szwaczki w dni przedłużonej roboty, lub nudę wiosny, której ciepły powiew wpada okuem, aby spotęgować tylko tęsknotę tych biedaczek, nieznających odpocznienia, ani swobodnych przechadzek.

Już w tej powieści z świata robotnic raz po raz wychylało się nadzwyczajne poczucie przyrody, a pełne poezyi opisy wybrzeży Loary zdradzały w autorze zżycie się z zamiejskiemi siołami, z wiejskim ludem i rolnemi, rybaczemi zajęciami. Epizodyczne tego dowody w poprzednich powieściach miały się złożyć na całość wątku ostatniej. Kiedyś słyszeliśmy z ust Henryka Sienkiewicza zapewnienie, iż nie mniema, aby człowiek, co nigdy nie wyjrzał za mury miasta, co nie

przepędził lat dziecinnych na wsi, mógł się zdobyć na lepsze dzieła i arcydzieła myśli, czy natchnienia... Snać tej szkoły nie zbrakło p. René Bazin, bo tylko ktoś bardzo oswojony z wsią i wieśniakami, z ziemią i przyrodą, mógł napisać powieść, której tytuł wypisaliśmy powyżej. *La terre qui meurt* to ta święta ziemia, gotowa zmarnieć i wyjałowić się zupełnie, gdy zabraknie rąk do jej uprawy. Autor kreśli dzieje jednej tylko dzierżawnej osady, wizerunek starego gospodarza, który z miłością chodzi około powierzonego sobie przez dobrego pana zagonu. Wszystkie dawne uczucia drgają w jego duszy, a więc przywiązanie do zdanego sobie kawałka ziemi, zobowiązanie wobec właściciela, przychylność dla sąsiadów. I cóż, że się stosunki zmieniają dokoła, stary włościanin się nie zmienia, nie zmienia i matka żywicielka, hojna dla tych, co jej dobrze służą. Ale powiały inne prądy. Przedewszystkiem opustoszał dworzec właścicieli, którzy wolą w Paryżu hulać, aniżeli po dawnemu w ojców pozostać siedzibie. Rozdzierający tu znajdujemy opis klęsk, sprawionych nieobecnością panów, zrywających nić łączną z ludem. Stary Lumineau, gdy mu cięższa dokuczy troska, dawnym zwyczajem zdąża ku dworowi, aby wobec pustych ścian skarżyć się i wołać pomocy swego chlebodawcy. Ale już go tam niema i żaden głos współczucia nie odpowiada na jęk włościanina. Owszem, nie dość było opustoszenia, oto jeszcze nadchodzi licytacya sprzętów i zabytków pałacowych, dzień klęski, który wszystkie pamiątki przeszłości rzuca na pastwę gotowych nabywców. Tragiczny opis tej frymarki, sprowadzonej hulaszczem życiem dziedzica, należy do najwymowniejszych ustępów powieści.

Ale jeśli źle się dzieje w pałacu i w chacie nie lepiej się życie układa. Stary gospodarz liczył na pomoc synów, aby wydajność ziemi spotęgować. Zabraknie mu wnet ich współpracownictwa. Starszy okaleczał w sile wieku, jest ciężarem, nie wyręczeniem. Młodsi z służby wojskowej wynoszą nowe aspiracye, potrzeby, żądania. Przykrzy im się rolna praca i znoje, maluczko a odbiegną ziemi: jeden, by miejskiego szukać zarobku i łatwego życia, drugi, by się dać złudzić nadzieją zamorskich w Ameryce powodzeń. Ziemia obumrze, stanie ugorem, skoro do uprawy rąk zabraknie. Na szczęście staremu gospodarzowi została córka, zmówiona z parobkiem, którego niegdyś dumnie odtrącił, a świetniejszych dla swojej Rózi marząc związkach. Teraz błogosławi wzajemnej zakochanych miłości, skoro oni jedni gotowi nie szczędzić trudu dla umierającej ziemi, skoro umiłować ją i uszanować jak należy potrafią. Na tym hymnie nowych nadziei i wiosennego odrodzenia

zamyka się ta rzadka powieść, potrącająca o najwyższe zagadnienia ekonomiczne chwili obecnej, chłoszcząca emigracyę ze wsi do miast, piętnująca opłakane skutki militaryzmu, ostrzegająca o niebezpieczeństwie „śmierci ziemi“, gdy się jej synowie od niej odwrócą, innych szukając zysków, niepomni zobowiązań wobec ojczyzny i ojcowizny. Absenteizm panów, lenistwo włościan, pokusy i zwątpienia chwili obecnej, wszystko to ujęte zostało w prześlicznej powieści, pełnej rzewnych rysów i szlachetnych myśli. Wobec podobnych niebezpieczeństw łatwo przyszłoby rzecz przerobić na nasze stosunki, nie wiele zmieniając w toku i osnowie. Tak trudno dziś o zdrową, piękną, szlachetną powieść. Niniejsza skupia w sobie te trzy przymioty: bije z niej zdrowie i czerstwość normalnych życia trudów, i w dodatku nauka, aby ziemię w pocie czoła uprawiać; piękny zaś, zajmujący wątek przykuwa i przywiązuje, a szlachetne podniety z każdego płyną ustępu. Nie możemy dość zalecić czytelnikom naszym powieści p. René Bazin. Odzwierciedlają one wszystkie niepokoje i zawiłości nad inne mętnej i smutnej epoki, a we wspólności pracy i wzajemnej miłości wskazują ratunek jedyny. Powieść dziś spełnia osobne posłannictwo. Szczęśliwy, kto takowe podjął i zrozumiał na pożytek współczesnych i własną zasługę.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KRYZY MINISTERYALNA W BELGII.

24 stycznia prezydent ministrów Smet de Naeyer i minister handlu Nyssens wręczyli królowi Leopoldowi swą dymisyę. O przyczynie tej nagłej i nieprzewidzianej dymisyi dwóch ministrów, powszechnie przez katolików wysoko cenionych i poważanych, szerzono rozmaite wieści. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że główną przyczyną była różnica zdań o kwestyi wyborczej, zachodząca między ministrami a królem.

Od czasu zaprowadzenia w Belgii powszechnego głosowania (1893), skutkiem ciągłego i szybkiego wzrostu handlu i przemysłu, okręgi, przedewszystkiem miejskie, tak się powiększyły, że powszechnie uznano potrzebę zmiany systemu wyborczego. Większość katolików jest za systemem reprezentacyi proporcyonalnej, polegającym na tem, że każde stronnictwo miałoby w każdym okręgu liczbę posłów odpowiednią do ilości głosów, któremiby przy wyborach rozporządzało. Przez to i prawa mniejszości byłyby wszędzie uwzględnione i wybory bardziejby odpowiadały rzeczywistej sile partyi, gdy tymczasem w teraźniejszych warunkach wszystkie mandaty okręgu należały do tej partyi, która na razie potrafiła zdobyć sobie absolutną większość głosów. I tak według systemu proporcyonalnego okręg, z którego

mają być wybrani 4 posłowie, a w którym 15.000 oddano głosów katolickich, a 5.000 głosów socyalistycznych, miałby 3 posłów katolickich, a 1 socyalistę, podczas gdy teraz miał 4 posłów katolickich. Na podstawie dat statystycznych wyborczych katolicy stwierdzili, że nowe prawo wyborcze rzeczywiście niecoby umniejszyło liczbę ich posłów, ale za to byłoby ono sprawiedliwsze, nie narażałoby wyborów tak łatwo na wpływ chwilowych agitacyj, a skutkiem tego dałoby katolikom trwalszą rękojmię na przyszłość.

Liberali przeciwnie już od r. 1894 dążyli do utworzenia małych okręgów wyborczych z jednym mandatem *(circonscriptions uninominales)*, gdzieby tak, jak w dawnym systemie, mniejszość żadnej nie miała możliwości zdobycia głosów. Kiedy w r. 1894 przedłożono w Izbie ów projekt, odrzucono go natychmiast ogromną większością. Partya liberalna jednak nie opuściła rąk, ale nieustannie pracowała, by mu zjednać zwolenników. Ostatnia dymisya jest owocem usiłowań w tym kierunku przedsięwziętych. Król Leopold zbyt niestety — jak wiadomo — ulegający wpływom sekciarskim, poświęcił dwóch wybitnych katolickich ministrów, zwolenników systemu proporcyonalnego, by dopomódz liberałom w dopięciu ich celu.

Kryzys ministeryalna wywołała między wszystkimi katolikami wielki popłoch, a co gorsza, spowodowała w ich obozie, ledwie przy ostatnich wyborach zjednoczonym, nowe niebezpieczne rozterki. Mianowicie część najstarszych konserwatystów katolickich, która już nieraz się zbliżała do kompromisu z liberałami przeciw socyalistom, znowu stanęła teraz otwarcie przy projekcie wyborczym, który od lewicy wyszedł. Jeżeliby ministerstwo mimo powszechnego oburzenia odważyło się przeprowadzić reformę w tym duchu i znalazłoby potrzebną do tego liczbę posłów, byłoby to prawdopodobnie zapieczętowaniem ery katolickiej. Nietylko żeby się katolików między sobą rozdzieliło, ale nowa ustawa wydarłaby także katolikom wiele mandatów, przedewszystkiem w okolicach fabrycznych prowincyi południowego wschodu. Prawda, że *Courier de Bruxelles*, organ skrajny konserwatywny, stanowczo przeczy, żeby powyższa ustawa wy-

borcza mogła zaszkodzić katolikom, ale przeciw niemu są prawie wszystkie inne gazety katolickie, które, jak *Le Bien public*, twierdzą, że trzeba „wszelkiemi siłami dla sławy i powodzenia sprawy katolickiej liberalny system wyrzeczy zwalczać".

Z ostatecznego zwycięstwa idei liberalnej i ze zerwania łączności między katolikami socyaliści największą korzyśćby odnieśli, gdyż w Belgii oprócz katolików oni są jedyną partyą, posiadającą żywotne siły. Po upadku rządów katolickich. kraj cały przeszedłby pod panowanie socyalistów.

ZWIĄZEK MŁODZIEŻY PROTESTANCKIEJ.

Wspomnieliśmy ostatnim razem o związku międzynarodowym młodzieży protestanckiej. W przedostatnim numerze *Revue de la jeunesse catholique* pojawiło się gruntowne o tej kwestyi studyum p. de Montenacha, z którego tutaj kilka szczegółów przytaczamy [1], aby dać naszym czytelnikom przynajmniej słabe wyobrażenie o tej potężnej organizacyi protestanckiej.

Związek ten założył już na całym świecie aż do 10 maja 1897 roku 5.382 stowarzyszeń młodzieży, które razem liczyły 478.252 członków. Komitet centralny związku rezyduje w Genewie, składa się z 11 członków i komisyi doradczej, do której wchodzą przedstawiciele wszystkich prawie krajów. Komisya rozporządza dla wykonania swych uchwał sekretarzami generalnymi i lokalnymi i agentami podróżującymi, którzy wszyscy pobierają wysokie pensye. W Springfield, w Stanach Zjednoczonych, istnieje nawet osobna szkoła przygotowawcza do tej karyery. Unia szerzyła się aż dotąd najbardziej w Stanach Zjednoczonych, w Anglii i Niemczech, nawet we Francyi założyła już 135 stowarzyszeń z 3.457 członków. Jest to liczba nadzwyczaj wysoka, jeżeli się zauważy, że w całej Francyi jest zaledwie 600.000 protestantów. Unia ma swe stowarzyszenia na całej kuli ziemskiej, w Japonii, na Ceylonie, w Afryce, w Oceanii. Najskuteczniejszym może środkiem propagandy są podróże młodych agentów. I tak wysłano amerykańskiego studenta Motta

[1] *L'Univers* z 12 stycznia.

w podróż około ziemi, skutkiem czego powstało 70 nowych stowarzyszeń.

Unia oddaje także ogromne praktyczne przysługi swoim członkom, utrzymując ciągłą korespondencyę z młodzieżą całego świata, udziela szybkich i dokładnych informacyj i wskazuje młodym ludziom pojedynczych zawodów, w którym kraju według swego wykształcenia spodziewać się mogą najlepszego powodzenia i w jakich warunkach.

Może się uda młodzieży francuskiej utworzyć podobny związek dla młodzieży katolickiej całego świata.

LIGA »OJCZYZNY FRANCUSKIEJ.

Przed kilkoma ledwie tygodniami pojawił się we wszystkich francuskich pismach manifest krótki, napisany stylem prostym i jędrnym, następującego brzmienia:

„Podpisani, patrząc z niepokojem, jak jedna z najzgubniejszych agitacyj rośnie i rozszerza się, przekonani, że dłuższe trwanie tej agitacyi musiałoby koniecznie narazić na szwank życiowe interesa ojczyzny francuskiej, a mianowicie interesa, które spoczywają w rękach armii narodowej; przekonani również, że w swych słowach wyrażają opinię Francyi, uchwalili:

Pracować w granicach swych obowiązków nad zachowaniem — w zgodzie z postępem idei i obyczajów — tradycyi ojczyzny francuskiej.

Łączyć się i grupować z wykluczeniem wszelkich dążności sekciarskich, aby pożytecznie w tym duchu działać słowem, pismem i przykładem.

Umacniać nareszcie ducha solidarności, który mimo różnic czasu ma łączyć między sobą wszystkie pokolenia wielkiego narodu“.

Ze wszystkich stron sypią się w naszych czasach manifesty, huczne, wiele obiecujące, a nic niedające, bo zwyczajnie podobne manifesty nie są wyrazem jednej wielkiej, z potrzeb czasu wynikającej myśli, ale tylko narzędziem osobistej lub partyjnej ambicyi. Z tego przedewszystkiem powodu nie chcieliśmy przeszłym razem wspominać o nowej lidze „Ojczyzny francuskiej“ i jej programie. Ogromny ruch, który nowy manifest we

wszystkich warstwach społeczeństwa francuskiego wywołał, jest jawnym dowodem, że nie mamy do czynienia z tuzinkowym manifestem, zaopatrzonym w kilka wielkich nazwisk, ale że mamy do czynienia z nowym silnym objawem ducha francuskiego, z którym warto się bliżej zapoznać.

Po 17 dniach istnienia Ligi już 10.000 członków osobiście do niej się przyłączyło, oprócz stowarzyszeń robotniczych, które się za nią oświadczyły. 10.000 — to liczba poważna, ale poważniejsze od liczby są nazwiska, które między podpisami spotykamy. Nie wymieniamy ich, bo bez przesady powiedzieć możemy, że spotkaliśmy tam wszystkie prawie nazwiska ludzi wielkich i szlachetnych, któremi się Francya dziś szczycić może [1]. Widzimy w szeregach Ligi aż 23 członków Akademii francuskiej, widzimy tam także wybitnych polityków najróżniejszych przekonań — np. hr. de Mun i M. Giarda. Między podpisami brak tylko wodzów ruchu żydowsko-masońskiego i ich przyjaciół, jak pana Zoli. Widocznie, że jedna myśl wielka wszystkich Francuzów złączyła.

Haniebne agitacye w sprawie Dreyfusa, o których codziennie w gazetach czytamy, prowadzone przez małą garstkę ludzi, ale ze sprytem i z namiętnością wschodnią wstrząsnęły całym krajem i co gorsza, doprowadziły do takiego pomieszania pojęć o władzy i sprawiedliwości, że zagroziły nawet bytowi państwa. Położyć tamę tym agitacyom, wzbudzić zdrowe poczucie sprawiedliwości w narodzie i zreflektować go w chwili ogólnego rozgorączkowania umysłów, to było bezpośrednim powodem powstania Ligi. Myśl ta była rzeczywiście na czasie. Agitacya żydowska prowadzona z krzykiem i hałasem nietylko we Francyi ale i w krajach przyległych, przedstawiała Europie całą Francyę, jak gdyby podzieloną na dwa wielkie obozy: za Dreyfusem i przeciwko niemu. Tymczasem Liga pokazała, że przyjaciele Dreyfusa przedstawiają partyę liczbowo bardzo małą i przez to samo już dodała zdrowej części narodu ducha i odwagi do

[1] Z literatów wymieniamy tutaj: Bourgeta, Brunetière'a, Lemaître'a, Coppée'go.

walki z najgorszym, bo wewnętrznym wrogiem. Lemaître mógł już na pierwszem publicznem zgromadzeniu Ligi powiedzieć: „My, to jest cała Francya, z wyjątkiem 2 albo 300.000“, potępiamy niecne agitacye za Dreyfusem przeciw rządowi i armii. Zdaje się, że liga uwolni Francyę przynajmniej chwilowo od teroryzmu żydowsko-masońskiego, wywartego na cały kraj przez małą tylko garstkę ludzi, ale ludzi czynnych, nie krępujących się niczem w dążeniu do celu. Walcząc za niewinnością Dreyfusa, mając za sobą całą prasę żydowską, Zola i towarzysze chcieli wyzyskać sytuacyę rzucaniem w tłumy takich haseł, jak postęp, oświata i sprawiedliwość. Tę broń niebezpieczną Liga jednym zamachem wytrąciła z rąk żydowskich agitatorów: „Chcieliśmy dodać siły uczciwym ludziom, powiada Lemaître, i wzmocnić armię, pokazując, że nie wszyscy ludzie rozumu *(intelectuels)* należą do przeciwnej strony; daliśmy tego dowody aż nadto wielkie“.

Mimowoli nasuwa się tu na myśl, jak to w wielu krajach Europy, podobnie jak we Francyi, mała garstka ludzi przewrotnych potężny wpływ wywiera na całe życie publiczne i często go prawie zupełnie opanowuje. W całej Austryi, we Węgrzech i u nas podobnie się dzieje, bo większość jeszcze się nie ocknęła, nie przyszła do świadomości swej siły, swych praw i swych obowiązków.

Liga, która powstała z powodu sprawy Dreyfusa, zakreśliła sobie jednak szersze zadanie. Nie chce ona mieszać się w politykę — widać to już z tego, że ludzie wybitni z wszystkich obozów politycznych do niej się przyłączyli — chce ona tylko myśleć i pracować nad podźwignięciem ojczyzny, zapraszając wszystkich ludzi dobrej woli do wspólnej pracy. „Ponieważ parlamentaryzm, jak się teraz oczom naszym przedstawia, jest bezsilnością, nieporządkiem, czasem hańbą, ponieważ niczego spodziewać się nie mamy, ani od rządzących, którzy nie rządzą, ani od polityków, którzy nie myślą, jak tylko o swych własnych interesach wyborczych, przeto chcemy działać i rządzić sobą poza nimi i nad nimi“.

Że Francya takiej energicznej łącznej akcyi potrzebuje,

to i robotnicy zrozumieli; przedewszystkiem zaś paryska federacya mechaników i palaczy kolejowych, licząca 6.000 członków, wyraziła to pięknie w liście do honorowego prezydenta Ligi p. Coppée. Ze smutkiem, piszą robotnicy, patrzymy na próżne wysiłki, które robiono aż dotąd, by nasz los polepszyć. Syci jesteśmy już walk wewnętrznych i politycznych; widzimy, że tylko w spokojnej, wspólnej pracy coś osiągnąć można. Jak wy i my chcemy Francyi uspokojonej, by módz rozwiązać trudne kwestye i przygotować lepszą przyszłość.

Ale czemuż tu obszerniej o tej Lidze wspominamy? czyżby ona była dziełem Kościoła albo zbliżeniem się ku niemu?

Jasnem zupełnie jest, że Liga niema cechy katolickiej. „Chcieliśmy zrobić z miłości ojczyzny rodzaj religii — powiada Lemaître — to jest rzeczą naglącą. Prawie od 30 lat zmniejszają się w całej Francyi wierzenia religijne. Jaka wiara zostanie temu ludowi? Jakie zasady bezinteresownego działania? Moralność racyonalistyczna nie przestaje przedstawiać się tłumom trochę zimną, oderwaną, mało przekonywującą — czyby nie można rozgrzać ją i ożywić, włączając ją niejako w miłość ojczyzny, pokazując, że ta miłość prawie wszędzie się równa miłości dobra moralnego“. Kto tak pisze, temu jeszcze daleko do katolicyzmu. A przecież ta Liga jest objawem wielce pocieszającym, jest dla Francyi krokiem naprzód do Kościoła, bo najprzód zrywa ona otwarcie z wszelkiemi sekciarskiemi programami, jest głośnem uznaniem niemocy narodu bez religii, jest nawoływaniem do moralności prywatnej i publicznej — i to wszystko do Boga i do Kościoła doprowadzić musi.

Nakoniec dla zrozumienia tego ruchu, nadmienić nam jeszcze wypada, że Liga cechy antysemickiej nie ma; Żydów nie wyklucza, przyjmuje ich z gotowością, jeżeli zechcą współpracować dla dobra wspólnej ojczyzny. Żałuje tylko głęboko, że większość Żydów swem postępowaniem w sprawie Dreyfusa nasunęła posądzenie, jakoby sami uważali się za osobną grupę w narodzie, która się wzbrania zlać się z nim w jedno ciało.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Nowa zdobycz w świecie planetarnym.

Dnia 1 stycznia 1801 roku, a więc pierwszego dnia bieżącego wieku, odkrył Piazzi w Palermo pierwszą planetę — asteroidę, którą „Ceres“ nazwano. Było to odkrycie jak na ówczesne czasy i ówczesne środki naukowe, bardzo doniosłe, aczkolwiek po części spodziewane i przeczuwane, bo już dwa wieki przedtem sławny Keppler przepowiadał jego możliwość i prawdopodobieństwo, a w r. 1800 zawiązało się towarzystwo złożone z 24 astronomów, które postawiło sobie za zadanie wypracować nową kartografię nieba w pasie zwierzyńcowym, i przy tej sposobności, a właściwie z pomocą tejże, rzecz niemal ciągle na stół wracającą, rozstrzygnąć. Tak zwane prawo Titiusa (v. Bodego), ujmujące w pewien systematyczny, acz ścisłej krytyki nie wytrzymujący, szereg odległości od słońca sześciu planet znanych do roku 1781, w którym W. Herszel odkrył Uranusa, nie dawało spać astronomom; luka w tym szeregu, zresztą tak pięknie na pozór zgadzającym się z faktami, wskazywała na zagadkowy brak jakiegoś ciała niebieskiego w ogromnej, niczem nie wypełnionej przestrzeni między Marsem i Jowiszem, i zachęcała zarazem do poszukiwań ścisłych w tym kierunku. Praca ta uwieńczoną została odkryciem Cerery, jak wspomnieliśmy, przez Piazzi'ego, jednego z owych 24 astronomów.

Zwycięska flaga systematu słonecznego zatkniętą więc szczęśliwie została w tych tak długo nieznanych stronach, gdzie, jak się niebawem okazało, i więcej autochtonów czekało na dobrowolne przyjęcie tego poddaństwa. W następnych sześciu latach odkryte znów zostały planety Pallas, Juno i Westa. Odtąd atoli dość długo, bo aż do września 1845 r. zdawało się, że to na tem koniec, i że tylko te cztery planety są uprzywilejowanemi posiadaczami tych bezdennych przestrzeni, a wszystkie poszukiwania czynione dalej w tym kierunku, pozostały bezowocne. Dopiero w r. 1845 nastąpił stanowczy zwrot na tej drodze. Odkrycie w tymże roku piątej z rzędu planety, Astraei, przez Henckego, astronoma-amatora w Driesen, otworzyło długi szereg współwłaścicieli zamieszkujących pozamarsowe strony, a żyjących w zgodzie i harmonii pod berłem słońca. Większa ich część zawdzięcza swe odkrycie nietylko wytężonej pilności, z jaką astronomowie, tak fachowi jak i amatorzy, śledzili za niemi, ale także i rosnącemu ciągle tak co do ilości jak i co do jakości bogactwu środków pomocniczych, a szczególniej kart niebieskich, z pomocą których wszelkie dostrzegalne zmiany

w ugrupowaniu się drobnych ciał niebieskich na niebie, jak też wszelkie tam chwilowe przybłędy łatwo spostrzeżone być mogły. Z roku na rok rosła odtąd stale liczba asteroidów, odkrywano ich po kilka a nawet i kilkanaście corocznie, wszystko na drodze optycznej i bezpośrednich obserwacyj, tj. przez porównywanie widoku nieba z kartami niebieskiemi.

Tą drogą postępując, odkryto do 27 listopada 1891 roku 322 planet. W tym atoli czasie, szczególnego, można powiedzieć, rozpędu doznała znów sprawa przez zastosowanie do niej fotografii, sztuki, która już wiele i to wielkich przysług oddała astronomii. Wprawdzie już i poprzednio robiono w tym kierunku pojedyncze próby, i to głównie celem odszukania zagubionych planet, okazało się jednak, że używane dotąd ku temu wielkie lunety (zaopatrzone naturalnie w kamerę fotograficzną) nie są bardzo korzystne, a to z powodu ich małego pola widzenia, czyli małej przestrzeni nieba niemi naraz objąć się dającej. Zastosowanie dopiero do tego celu lunet o krótkich odległościach ogniskowych, czego zasługa przynależy M. Wolfowi, astronomowi w Heidelbergu, nietylko usunęło powyż rzeczoną niekorzyść, ale dozwoliło nadto na skrócenie czasu ekspozycyi przy fotografowaniu nieba. Dłuższy czas ekspozycyi przy tak drobnych ciałach, jak są asteroidy, często unicestwiał pracę z powodu ruchu dziennego ziemi, jakoteż i zmian atmosferycznych.

Pierwszą taką na drodze fotograficznej odkrytą planetą, była t. zw. Brucia, z kolei 323, a odkryta 20 grudnia 1891 r. przez wspomnianego już Wolfa. Odtąd w szybkiem tempie potoczyły się odkrycia tych liliputów niebieskich, zrobione już to przy obserwacyach specyalnie *ad hoc* urządzanych, już też *data occasione*, tj. przy sposobności zbierania materyału przez niektóre obserwatorya do wielkiego pomnikowego dzieła, jakie w r. 1887 przez astronomów uchwalone zostało, a mianowicie wydanie atlasu fotograficznego całego nieba. Tak więc np. w r. 1892 odkryto za pomocą fotografii 20 asteroidów, w r. 1893 odkryto ich 48 i t. p., w ostatnim ubiegłym roku 14, i liczba ich z końcem 1898 r. doszła do 445 wogóle — wszystkie zdobycz bieżącego stulecia.

O ile w początkach odkrycia asteroidów gorąco i z zainteresowaniem się przyjmowane były przez astronomów, o tyle znowu przy tak szybko mnożącej się ich liczbie, jakoteż przy mnożącym się stąd materyale rachunkowym, któremu nawet osobno dlań założone instytuty rachunkowe nie były w stanie podołać, zainteresо-

wanie się to zaczęło już trochę słabnąć. Wobec wielu jeszcze innych zadań i pytań nauki, czekających swego rozwiązania, sprawa ta już astronomów ani wiele grzała, ani ziębiła. Ograniczono się niemal wyłącznie do notowania tylko numeru bieżącego lub nazwy nowego przybytku, bliższe jego oznaczenie zostawiając na lepsze czasy, i w tym pierścieniu asteroidalnym domyślając się jeszcze bardzo wiele nieznanych dotąd obywateli niebieskich. Tymczasem atoli zaskoczyła astronomów w drugiej połowie roku zeszłego rzecz najmniej spodziewana, która ich czujność znowu zwiększyła i do dawnej energii bardzo gorąco podnieciła. Było to odkrycie planety Eros, bardzo doniosłe w swej istocie, bo otwierające nowe zupełnie pole działania, i zmieniające w szczegółach dotychczasowy układ świata planetarnego. Z odkryciem tem tak się rzecz miała:

W zamiarze odszukania jednej z planet drobnych, już dłużej bo od r. 1889 nie obserwowanej, fotografował Witt, astronom obserwatoryum ludowego w Berlinie, t. zw. Uranii, w nocy z dnia 13 na 14 sierpnia 1898 r. okolicę gwiazdy β Aquarii (wodnika), gdzie się właśnie według rachunku ta planeta podówczas znajdować była powinna. Po skończonej dwugodzinnej ekspozycyi, jeszcze tejże samej nocy płyta fotograficzna została odpowiednio do dalszego użytku spreparowaną i wykończoną. Nazajutrz zaczął się staranny jej przegląd, i na niej ukazały się obrazy dwóch planet [1], Aithei i Eunike, w tej okolicy także tego dnia bawiących. Cokolwiek atoli później spostrzeżono z pomocą lupy jeszcze jedną podejrzaną kreseczkę, co przemawiało za tem, że jest ona obrazem gwiazdki, która w czasie ekspozycyi była wśród gwiazd innych ruchomą. Tę kreskę miał początkowo Witt, ponieważ na dawniejszem zdjęciu fotograficznem tejże okolicy nieba znaleźć jej

[1] Jakie dziś specyalne narzędzia, wprowadzone przez braci Henrych w Paryżu, używane są do fotografii gwiazd, i jakim sposobem astronom-fotograf z obrazu nieba, na kliszy otrzymanego, wśród wielkiej zwykle ilości punkcików, reprezentujących gwiazdy stałe, poznaje, czy jest tam między niemi także obraz planety, to opisaliśmy obszerniej w rozprawie naszej p. t. „Fotografia w służbie astronomii“ (str. 22 nast.), umieszczonej w *Przeglądzie Powszechnym* r. 1888. Tu więc tylko w krótkości przypominamy, że na takiej fotografii gwiazdy stałe jawią się rzeczywiście jako punkciki, mniejsze lub większe, zależnie od ich wielkości, zaś planety jako małe kreseczki, będące następstwem ich ruchu własnego między gwiazdami w czasie ekspozycyi, a krótsze znów lub dłuższe w miarę i tego ich ruchu i tego czasu, który dla każdej wielkości gwiazd musi być ograniczonym.

nie mógł, z powodu jej znacznej długości tj. około 0.4 mm (podczas gdy w przecięciu przy dwugodzinnej ekspozycyi robią planety na płytach fotograficznych takie kreski tylko o długości 0.2 do 0.25 mm), za obraz jakiejś nowej komety; skoro bowiem w tem miejscu ani żadna ze znanych już planet, ani żadna z wówczas na niebie będących komet znajdować się nie mogła, rozchodziło się tu więc widocznie o coś zupełnie nowego.

Aby rzecz zbadać, potrzeba się było teraz zwrócić bezpośrednio do nieba, do czego posłużył następny wieczór, czysty i pogodny. Zaraz też z wieczora, skierował Witt 12-calowy refraktor na β Aquarii i rzeczywiście niedaleko od tej jasnej gwiazdy dostrzegł inną małą, 10 do 11 wielkości, z położenia swego odpowiadającą owej kresce na płycie fotograficznej. Zabrano się więc natychmiast do jej obserwacyi, tj. wyznaczenia jej stanowiska w porównaniu do sąsiednich gwiazd stałych, a następnie, gdy ruch jej wsteczny sprawdzono za pomocą kilku grubszych obserwacyj, zrobiono ich następnie więcej, ale już dokładnych i precyzyjnych.

Dnia następnego przeprowadził Witt rachunki czyli t. zw. redukcyę, a z tych okazało się, że to zagadkowe ciało niebieskie, względnie planeta, ma nadzwyczaj wielki ruch, jakiego dotąd nie obserwowano przy żadnej planecie, a o komecie mowy już tu być nie mogło, bo te ostatnie prócz wielkiego ruchu mają także i inne oznaki, zdradzające ich istotę. Ten zadziwiający rezultat wraz z t. zw. pozornem miejscem planety DQ, które to oznaczenie ona tymczasowo w regestrze planet kolejno otrzymała, został natychmiast telegraficznie przesłany do centralnego biura dla wiadomości astronomicznych w Kiel, stąd zaś również telegramami zawiadomiono inne obserwatorya. Wzięto się też zaraz do jej odszukania i zebrano wkrótce wielką liczbę obserwacyj, które pod ścisły rachunek do wyznaczenia jej orbity wziął A. Berberich, astronom królewskiego obserwatoryum w Berlinie, a mianowicie obserwacye z 17-dniowego peryodu, bo jeszcze 31 sierpnia udała się Wittowi ostatnia obserwacya. Rachunek Berbericha, już 2 września ukończony, dał zadziwiający i zaledwie do wiary podobny rezultat, że ma się tu do czynienia nie z małą planetą grupy pozamarsowej, ale że jest to nowe ciało niebieskie, członek naszego systematu słonecznego, który swoją drogę około słońca w większej jej części w przestrzeni między drogą ziemi a drogą Marsa opisuje.

Z obliczonych t. zw. elementów jego orbity, a które przy licz-

niejszych, późniejszych obserwacyach mogą jeszcze małym uledz zmianom, znajdujemy między innemi, że średni ruch dzienny tej planety wynosi 2010″ (podczas gdy przy żadnej z dotychczas znanych nie przechodzi on poza 1200″), dalej, że czas obiegu jej około słońca jest 645 dni (dla ziemi ten czas wynosi, jak wiadomo, 365, zaś z drugiej strony dla Marsa 687 dni), zaś połowa wielkiej osi tej orbity wynosi 1.46 odległości ziemi od słońca, czyli przeszło 29 milionów mil, przyjmując tę ostatnią w okrągłej cyfrze 20 milionów. Wielkość tej planety, jak powyż wspomnieliśmy, w czasie odkrycia oceniono na 10 do 11 , była ona bowiem podówczas w punkcie odsłonecznym, czyli na końcu osi wielkiej elipsy, przez nią około słońca opisywanej, ale dalej od ogniska tej elipsy czyli od słońca położonym; ale skoro czas jej t. zw. przeciwległości (czyli opozycyi, gdy ziemia znajduje się między słońcem a planetą) zejdzie się zarazem z położeniem jej w punkcie przysłonecznym, czyli w punkcie elipsy najbliżej ogniska tj. słońca będącym, dojdzie wtedy planeta do 6 wielkości, zbliży się bowiem do ziemi na $2^1/_2$ miliona mil, a więc tak blizko ziemi, jak żadne ciało niebieskie, wyjąwszy księżyca, i w takich to położeniach swoich dostarczyć może bardzo dokładnych obserwacyj do obliczenia t. zw. parallaxy słońca bezpośrednio, zaś pośrednio do znalezienia odległości ziemi od słońca.

W ślad za odkryciem Witta poszły niebawem i inne, które atoli Wittemu, jako temu, który pierwszy zgłosił je do Kiel, palmy pierwszeństwa i nazwy odkrywcy już nie odebrały. I tak, wkrótce po ogłoszeniu tego odkrycia, Perrotin, dyrektor obserwatoryum w Nizzie, doniósł także do Kiel, że Charlois, znany odkrywca planet i obserwator tameczny, w nocy z 13 na 14 sierpnia również tęż samą, co i Witt, okolicę nieba fotografował, i że na jego płycie także taż planeta się znajduje. Więcej atoli teraz dla wszystkich było interesującem zbadanie, czy też na zdjęciach fotograficznych nieba z dawniejszych lat nie dałoby się jej odszukać? Według przeprowadzonych wstecz rachunków musiała ona w styczniu 1894 r. znajdować się w bardzo korzystnej opozycyi, a jeżeli już wówczas nie była dostrzeżoną, tłumaczyć można tem, że z powodu jej wielkiego i prostopadle do ekliptyki skierowanego ruchu znajdowała się ona tylko krótki czas w tych okolicach, w których zwykle za pomocą fotografii bywają szukane planety.

Wzięto się więc gorliwie do bardzo ścisłego i mozolnego przeglądu dawnych fotografij, a owocem jego było, że rzeczywiście odszu-

kano ją na kliszach fotograficznych z lat 1893/4 i 1896, zdjętych na obserwatoryum podczas jej opozycyi w Harvard-Collège (Stany Zjedn. amer.). Podobnych rezultatów spodziewać się można również przy najbliższej jej opozycyi z końcem listopada 1900 r., będzie ona bowiem wtedy także i w pobliżu punktu przysłonecznego swej drogi, który przypada na 4 lutego 1901 r., i odległość jej od ziemi wynosić będzie 6.6 milionów mil, ona zaś sama będzie 8 wielkości — a podobnież korzystne do jej obserwacyi położenie względem słońca i ziemi przypadają dopiero z początkiem stycznia 1931 i z końcem stycznia 1938 r. Daty te opierają się na pierwiastkach jej biegu, obliczonych przez Chandlera, astronoma przy Harvard obserwatoryum, i to na podstawie odszukanych jej stanowisk na 11 fotografiach, zrobionych tamże w latach 1893—1896. Najwięcej pracy i trudu łożyli na te poszukiwania Pickering, dyrektor obserwatoryum w Harvard-Collège, tudzież rzeczony powyż Chandler i Fleming, obaj astronomowie tameczni. Praca to była wielka, głównie z powodu niepewności ruchu dziennego tej planety, który w pierwiastkach jej orbity był u jednych rachmistrzów 2010″, u innych dochodził do 2015″, niepewność zaś ta choćby na 1″ pociągała za sobą wielkie zmiany dla parę lat wstecz rachowanego jej położenia na niebie, iżby potem, jak już wspomnieliśmy, z tego tak obliczonego położenia ocenić, na których kliszach z lat dawniejszych należy jej poszukiwać.

Na tem kończąc nasze sprawozdanie z tego senzacyjnego odkrycia, podnieść musimy, że stanęła dziś nauka wobec nowej zagadki, którą przyszłość i wiek przyszły dopiero będzie mógł rozwiązać, bo też obraz, jaki więcej niż od 50 lat, tj. od czasu odkrycia Neptuna przez Gallego, astronoma wrocławskiego, na podstawie rachunków Leverriera, astronoma paryskiego, przedstawiał nasz świat planetarny, doznał nagle i niespodziewanie istotnego uzupełnienia. Rosła i rośnie ciągle liczba asteroidów, lecz żadne z licznych tych odkryć, jakie w ostatnich latach przeważnie fotografii zawdzięczamy, nie dozwalało na usprawiedliwienie myśli, rzuconej już przez Leverriera, że także w przestrzeni między drogą ziemi a drogą Marsa jeszcze się błąka jakaś błędna gwiazda. Któż może zaręczyć, czy ta zagadkowa planeta jest jedyną z tego rodzaju, czy jeszcze ich tam więcej, a może i cała znów liczna grupa, podzielają jej los, że dotąd zdołały się ukryć przed naszemi oczami? Byłoby to przedwcześnie brać się już dziś do rozwiązania pytania, czy i o ile odkrycie to przyczyni się do wyja-

śnienia niektórych niewytłumaczonych dotąd zjawisk w mechanizmie planetarnym; to atoli pewne, że będzie ono bardzo wielkiego znaczenia dla rozwiązania fundamentalnych zadań teoretycznej i praktycznej astronomii. Bo umiejętność stoi i dziś jeszcze przed prastaremi tajemnicami; odwieczne pytania leżą jeszcze przed nią, a ona na nie, jak dawniej, tak i dziś odpowiada: „nie możemy zbadać Wszechmocnego".

Dr. Daniel Wierzbicki.

Z wystawy obrazów.

Jako najnowsze płótno twórcy „Świeczników", zapowiada nam afisz Wystawy Sztuk Pięknych — „Dirce chrześcijańską w cyrku Nerona".

Więc już sam przedmiot obrazu budzi w nas mimowoli zajęcie, pociąga do siebie, obiecuje jedno z tych wrażeń, jakich musiał doświadczyć każdy, kto poraz pierwszy stanął przed „Pochodniami Nerona". Wchodzimy przeto na wystawę z pewnego rodzaju pietyzmem, z pewnym religijnym nastrojem, bo przed oczami naszemi ma się otworzyć jedna ze scen krwawego dramatu, w którym dwa światy odrębne, pogański i chrześcijański, stykają się ze sobą wzajemnie; pierwszy — by odnosząc brutalne zwycięstwo nad prawdą i cnotą, runąć następnie przywalony własnemi gruzy; drugi — by zwyciężony i pokonany odżyć niebawem z całą nieprzepartą potęgą i siłą, jaką ze sobą przynosi nowe królestwo ducha, królestwo Chrystusowe, wzniesione na gruzach krwią męczeńską zroszonych. Czy jednak wrażenie, jakie sprawia Dirce Siemiradzkiego, odpowiada temu oczekiwaniu, zaspokaja to moralne pragnienie, z jakiem spieszymy zapoznać się z najnowszą kreacyą artysty? Oto pytanie, na które pragnęlibyśmy i sobie i czytelnikom naszym odpowiedzieć pokrótce.

Pierwszy rzut oka, którym zaraz na wstępie staramy się objąć całość obrazu, przekonywa nas, iż nie brak w nim żadnej z tych charakterystycznych, wybitnych zalet, które stanowiły zawsze największą siłę artysty. Więc pełno tam powietrza, i światła, i ciepła południowego; marmury galeryi i zdobnej płaskorzeźbą loży cesarskiej grają żywo w gorących promieniach słońca, wabią do siebie oko, zmuszają

wyznać, że i tym razem paleta i pendzel były artyście doskonale posłuszne, a to co ręka jego oddała przy ich pomocy, zadziwia prawdą, wywołuje te łudzące wrażenia, jakieby Włoch krótkiem skreślił zdaniem: *la natura stessa*. Środek obrazu zapełnia umiejętnie rozstawiona grupa: na przodzie stanął Neron, prawa jego ręka nieco kurczowo podtrzymuje fałdy klasycznie ułożonego płaszcza, lewa ku dołowi zwisła swobodnie, głowę, na której rudawych włosach spoczywa złoty laurowy wieniec, zwrócił niedbale ku leżącej u jego stóp męczennicy. Cała twarz jego zimna, obojętna, znudzona, nie zdradza nawet tej chwilowej zadumy, jaką wywołał nią w „Świecznikach“ widok przejmującej grozą sceny męczeństwa. To człowiek, którego już nic wstrząsnąć, nic zabawić nie zdoła. Przed nim, nieco na prawo, przez wpół plecami obrócony do widzów stoi Tigellinus, silna, muszkularna, o karnacyi bronzowej i jakby ogorzałej od słońca postać, wyglądająca raczej na gladyatora, jak na miękkiego, oddanego rozkoszom dworaka. Z innych osób, stanowiących najbliższe otoczenie, zwraca jeszcze uwagę dobrze uchwycony typ mężczyzny z nawpół rozchylonemi ustami i wyrazem ciekawości na twarzy. Głębiej, pod galeryą, we drzwiach wiodących na arenę cyrkową, niewolnicy-murzyni postawili na ziemi nieodłączną od Nerona lektykę, podobnie jak ich suknie, całą lśniącą od złota. Przepych i silny, żywy koloryt lektyki i niosących ją niewolników, umieszczonych w pełnem słonecznem świetle, niepotrzebnie odrywa uwagę widza od głównych figur obrazu, narażając na mimowolne roztargnienie.

A cóż powiemy o Dirce?

U stóp otoczonego świtą cezara, u grzbietu powalonego śmiertelnym razem dzikiego tura, zsunęła się łagodnie ku ziemi postać niewieścia o pełnych, bujnie rozwiniętych kształtach. Głowa spoczęła miękko na splotach włosów o złotawym odcieniu, co całą kaskadą okryły nietylko ziemię, ale i kark zwierzęcia, na którym oparła się prawa ręka Dirce, wyciągnięta nieco w ramieniu, a uwiązana u rogu tura. Gdyby nie więzy, co na rękach i nogach krwawe pozostawiły ślady, gdyby nie piasek cyrku zbroczony posoką ranionego zwierza, rzekłbyś, tancerka, co upojona szalonym wirem, odurzona wonią rozrzuconych dokoła kwiatów, oszołomiona atmosferą cyrkową — omdlała na chwilę, by wnet zbudzona burzą oklasków i krzykiem tłumu otworzyć oczy, na nowo rozpoczynając taniec przerwany. Nic w niej niema, coby mogło poruszyć widza grozą dramatu: ani twarz świeża, półsenna, na

której śmierć nie wycisnęła swojego piętna, ani sama postać rozkoszna, zmysłowa, której nie owionął bynajmniej urok męczeństwa. Gdybyż przynajmniej artysta pojął był Dirce w swoim obrazie wątlejszą, mniej rozwiniętą, łatwiejby mu było uniknąć w nim charakteru zmysłowości, jednając sobie tem samem u widzów większą sympatyę i współczucie dla nieszczęsnej ofiary wyrafinowanego okrucieństwa.

Słowem, chociaż brak Dirce tej precyzyi konturów, tej śmiałej czystości linij, jaką podziwiamy w klasycznych utworach Almy Tademy, choć w rysunku miejscami przebija pewne wahanie, widnieje jakby jakaś nieokreślona niepewność i chwiejność, mimo to jednak możemy o niej powiedzieć, że jest klasyczną, ale nie możemy żadną miarą powiedzieć, że jest „chrześcijańską". — Więc odchodzimy od obrazu z żalem, że nam się nie udało unieść ze sobą wrażenia dramatu osnutego na tle wspaniałych, wzniosłych momentów z pierwszych czasów chrześcijaństwa, tylko wspomnienie niewielkiego fragmentu, wyjętego z życia chylącej się ku upadkowi Romy.

Obok, w tej samej sali, umieszczono płótno hiszpańskiego malarza, p. José Garnelo y Alda, przedstawiające przybycie pielgrzymki do groty cudownej w Lourdes. Blizkie to sąsiedztwo wypadło dla p. Garnelo niepomyślnie: obraz jego przy Dirce wygląda blado i prócz nazwiska autora nic w nim nie zdradza szkoły hiszpańskiej, która i w chwili dzisiejszej wyróżnia się energią i werwą, świetnym i żywym kolorytem, czego nam daje wyborny przykład w swoich obrazach o tle religijnem współziomek p. Garnelo, José Beuljura y Gyl. Impresyonistyczny kierunek nie pozwolił artyście należycie rozwinąć w swoim obrazie tego właśnie, co najbardziej pragnął w nim oddać: jest i u niego pobożność, a na twarzach przybywających pielgrzymów widać skupienie i przejęcie się ważnością chwili, nie to jednakże, jakie się widuje istotnie i w Lourdes i na innych miejscach, gdzie się ludzie naprawdę modlą.

Wobec zaniedbanych ogólnie tematów pobożnych, wobec niedającej się niczem usprawiedliwić tendencyi niektórych artystów, nadsyłających w ostatnich czasach na wystawy utwory, interesujące może nawet nieraz stroną techniczną lub zadziwiające nowością inwencyi, które jednak bynajmniej nie licują z doniosłem zadaniem malarstwa religijnego, należy zawsze zaznaczyć każde dobre usiłowanie, każdy sumienny krok na tem polu, uprawianem albo w sposób nieodpowiedni, albo nawet zupełnie porzuconem odłogiem. Nie możemy przeto pominąć milczeniem obrazu p. Paulina Gardzielowskiego, z którego nazwiskiem spotykamy się po raz pierwszy. Jego „Chrystus w ogrodzie Oliwnym"

jest obrazem o nastroju poważnym i smutnym, licującym z ważnością i charakterem chwili. Dlaczego jednak, podczas gdy szata Chrystusa oblana jest pełnem księżycowem światłem, głowa jego pozostała w półcieniu, to rzecz, której sobie nikt wyjaśnić nie zdoła, jak również, czemu biała suknia, w świetle księżycowem przybrała silny zielonkowaty odcień. Nadto pendzel p. Gardzielowskiego jest jeszcze sztywny i twardy, skutkiem czego fałdy draperyi mimowoli przywodzą na myśl statuy z gipsu lub terakoty. W każdym jednak razie, zaznaczając pracę p. Gardzielowskiego, życzymy mu wytrwałości i powodzenia w raz obranym kierunku.

Ks. Józef Tuszowski.

Druk ukończono 28 lutego 1899 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica

Nasze Kółka Rolnicze. Rzut oka na ich stan obecny, potrzeby i zadania. Przez *Tadeusza Kudelkę*. . . 33

Nowe prądy w socyalizmie na kongresie stuttgarckim. (Dok.). Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . . 228

Artykuły naukowe i literackie.

Wstęp do studyum o „Świętych Obcowaniu". Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 1

Brandes o Polsce. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* . 14

Jerzyk, „król Czechów. (Dok.). (Charakterystyka). Przez *d-ra Antoniego Prochaskę*. 65

Lud wesołków w dawnej Polsce. Przez *Leonarda Lepszego* 81 176 378

Po krzyżu niebo. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . 157

Sighele o psychologii sekt. Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego* 159

Wiersze Mickiewiczowi przypisywane. Przez *Stanisława Zdziarskiego* 199

Kaznodziejstwo Drużbickiego. Rzecz oparta na rękopisach. Przez *Jarosława Rejowicza T. J.* 205 401

Książka Klaczki o Renesansie. Przez *T. W.* 317

Savonarola w świetle najnowszych badań. Przez *d-ra K. Krotoskiego*. 338

Etyka Sołowiewa. Przez *ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.* 362

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Sztuka lwowska w XVI. i XVII. wieku. Architektura i rzeźba. Władysław Łoziński. *(Leonard Lepszy).* 104

Nieznane listy Tadeusza Kościuszki w sprawie legionów z czasów Dyrektoryatu i Konsulatu (1798—1800). Wydał Aleksander Kraushar. *(T. W.)* 109

Z literatury pamiętnikowej:

Moje wspomnienia. Przez Leona Dembowskiego. Tom I. i II. *(Mieczysław Offmański)* 111

Wspomnienia jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Księga II. 1813—1820. *(M.).* 115

Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 1831 r. Karol Różycki. Z przedmową Adama Mickiewicza. *(T. W.).* 119

Jana Kilińskiego, szewca warszawskiego, pułkownika XX. pułku liniowego piechoty, drugi pamiętnik nieznany o czasach Stanisława Augusta. Z rękopisu po raz pierwszy wydał A. *(T. W.).* 122

Wydawnictwa Towarzystwa Naukowego w Toruniu: I. Rocznik IV. — II. Fontes I.: Visitationes archidiaconatus Pomeraniae Hieronymo Rozrażewski Vladislaviensi et Pomeraniae Episcopo factae. Curavit Stanislaus Kujot, Plebanus in Grzybno dioec. Culmensis. *(Ks. Stan. Załęski T. J.)* 241

Cudzoziemcy w Galicyi (1787—1841). Stanisław Schnür-Pepłowski. *(T. W.).* 247

Popularno-przyrodnicze opowiadania z pobytu w Gujanie francuskiej i po części w Peru (od roku 1865—1870). Konstanty Jelski. *(Dr. F. Chłapowski)* 257

O podatkach w Austryi. I. O bezpośrednich podatkach osobistych. Dr. Rudolf Różycki. *(Prof. dr. Wł. Czerkawski)* . . 263

Zasady ogólne ekonomii społecznej. Jan Stecki. (Wydawnictwo popularne). *(Prof. dr. Włodzimierz Czerkawski).* 264

Światła i kwiaty. Myśli zebrane z utworów H. Sienkiewicza, ułożył Maryusz. *(Bogusław Mączka T. J.)* 265

Budżet i kredyt publiczny. Dr. Józef Milewski. *(Prof. dr. Włodzimierz Czerkawski)* 419

Tak zwana korona Bolesława Chrobrego i inne insygnia Polski. Dr. Feliks Kopera. *(Leonard Lepszy)* 423

Dzieje narodu polskiego. Wł. Grabieński. 2 tomy. *(T. W.).* . 426

Polityczna działalność Maurycego Mochnackiego na emigracyi. Napisał Artur Passendorfer *(Ks. dr. A. Pechnik)* . 434

Częstochowa w obrazkach historycznych. Napisał ks. Wacław, Kapucyn. — O cudownym obrazie Matki Bożej w Karmelu krakowskim na Piasku. Wiadomość historyczna. Przez Wacława z Suligostowa, Kapucyna. *(Ks. Stanisław Załęski T. J.)* 435

O końcu świata i kometach. Z powodu przepowiedni końca świata na rok 1899. Dr. Marcin Ernst. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 437

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

AESTHETIK DES TRAGISCHEN. Von Joh. Volkelt. *(Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)* 124
THE LIFE OF CHARLES STEVART PARNELL. By B. Barry O'Brien. *(M**)*. 132
UNTER JÜDISCHEN PROLETARIERN. S. R. Landau. *(J. B.)*. 136
HISTORIOGRAPHIA ECCLESIASTICA, quam historiae seriam solidamque operam navantibus accomodavit Guil. Stang s. Theologiae Doctor eiusque in collegio Americano Lovanii professor. *(Ks. dr. Jakób Górka)* 268
LA ROLE SOCIALE DE LA FEMME. M-me Anna Lampérière. *(Prof. dr. Włodzimierz Czerkawski)* 271
JUDITH RENAUDIN, drame en cinq actes, sept tableaux. Pierre Loti. *(T. W.)* 272
DILETTANTEN DES LEBENS. Roman. C. Viebig. *(Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)* 275
HENNY HURRAH! Roman. Ernst Clausen. *(Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)*. 276
VIER SKEPTISCHE THESEN. S. Philipp. *(J. Nuckowski T. J.)* . . . 439
PROBLEME UND CHARAKTERKÖPFE. Studien zur Litteratur unserer Zeit. Von Jeannot Emil Freiherrn von Grotthuss. *(Józef Flach)*. 442
LA TERRE QUI MEURT. Par René Bazin. *(M.)* 452

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z Francyi. — Kongres młodzieży katolickiej. — Z Włoch. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* . . 137
LIST Z EGIPTU. Przez *O. Eug. Nourrit T. J.* dyrektora seminaryum dla Koptów 146
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNALAZKÓW: Fotografowanie dna morza. — Telegraf bez drutu. — Użycie do tego promieni ultrafioletowych. Przez *X. H. T. J.*. 153

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Katolicy a obstrukcya węgierska. — Zjazdy socyalistów polskich. — Pomnik Hussa w Pradze. — Katolicka Kolombia. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* . . 277
NOWINY HISTORYCZNE: Metoda historyczna. — Czasy przedhistoryczne. — Historya starożytna i średniowieczna. Przez *d-ra K. Krotoskiego* 289
JAK MOŻNA WIELE DOBREGO MAŁEMI ZDZIAŁAĆ ŚRODKAMI? Przez *M.* 300
GOYAU O ZMYŚLE SOCYALNYM. 303
Ś. P. KS. JAN BADENI, T. J. Przez *ks. Mieczysława Morawskiego T. J.* 305

Stronica

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Kryzys ministeryalna w Belgii. — Związek młodzieży protestanckiej. — Liga „Ojczyzny francuskiej". Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 456

Nowa zdobycz w świecie planetarnym. Przez *prof. d-ra Daniela Wierzbickiego* 463

Z wystawy obrazów. Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.* 469

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.